

POŹNIK

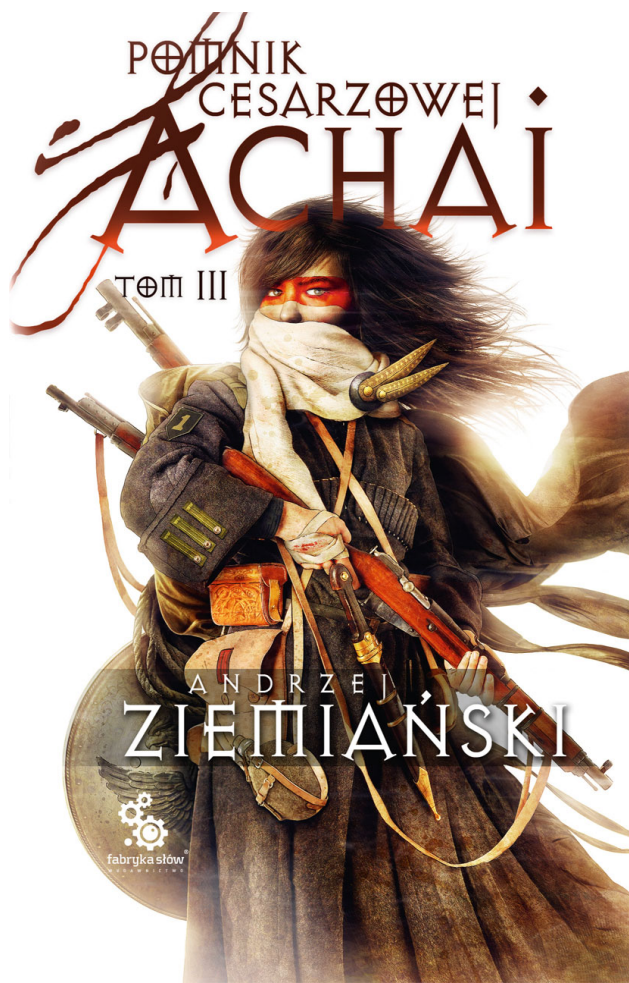
CESARZOWEJ

# ACHAI

TOM III

ANDRZEJ  
ZIEMIĄŃSKI

  
fabryka słów®  
WYDAWNICTWO



Pocznik Cesarzowej  
ACHAI

Tom III

ANDRZEJ  
ZIEMIAŃSKI

fabryka słów

# Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Książki Andrzeja Ziemiańskiego

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Karta redakcyjna

Okładka

ANDRZEJ  
ZIEMIĄŃSKI  
POMNIK  
CESARZOWEJ  
ACHAI  
TOM III

ILUSTRACJE  
DOMINIK BRONIEK

fabryka słów®

LUBLIN 2014



# Książki Andrzeja Ziemiańskiego wydane nakładem naszego wydawnictwa

1. Achaja – tom 1
2. Achaja – tom 2
3. Achaja – tom 3
4. Zapach szkła
5. Toy Wars
6. Breslau forever
7. Pomnik cesarzowej Achai – tom 1
8. Za progiem grobu
9. Pomnik cesarzowej Achai – tom 2
10. Pułapka Tesli
11. Pomnik cesarzowej Achai – tom 3



ACHAJA – singiel promujący cykl powieściowy Andrzeja Ziemiańskiego





# Rozdział 1



**R**ano Tomaszewski zastał bosmana Mielczarka, jak ten w warsztacie okrętowym zawzięcie nacinał piłą główki pocisków na krzyż. Komandorem zatrzęśło z wściekłości. Widział już makabryczne efekty działania takich kul.

– Czy wiesz, że używanie pocisków, które eksplodują po uderzeniu w ciało, jest zakazane? – nie wytrzymał. – Dlaczego tniesz pociski na krzyż?!

Mielczarek powoli podniósł głowę znad imadła.

– Ano tnę tak, bo jestem człowiekiem wierzącym, panie komandorze – odparł spokojnie. – W Boga wierzę, a krzyż to jego znak właśnie.

Tylko Mielczarek mógł sobie pozwolić na taką odpowiedź w stosunku do dowódcy. Znali się od wczesnych lat, a kiedy życie i kilka błędów młodości przycisnęły jednego do muru, drugi pomógł w odpowiedniej chwili. Stąd wzięło się coś w rodzaju nie przyjaźni nawet, ale w pewnym sensie oddania. Mielczarek uważał się za człowieka bliższego dowódcy i pozwalał sobie na więcej niż reszta załogi.

Tomaszewski jak zwykle powstrzymał się od reprimendy. A teraz, gdy na dwóch pontonach podpływali do dryfującego na zimnych wodach statku, właściwie odczuwał pewną ulgę na myśl, że tuż obok siedzi bosman, a w magazynku jego broni znajdują się naboje ze znakiem Boga na każdym pocisku. Widok przed nimi nie należał bowiem do napawających otuchą.

MS „Gradient” był zwykłą jednostką badawczą, niezbyt wielką, o odpowiedniej jednak morskiej dzielności, by wykonać zadanie

zwiadowcze. Dlatego też tuż przed misją uzbrojono go pośpiesznie byle jak i w byle co, po to jedynie, by mógł stawić czoła niebezpieczeństwu, których spodziewano się po tej stronie gór. Czyli drewnianym statkiem żaglowym, wspomaganym wiosłami. Pokładowa broń jednak nie pomogła. Opuszczony „Gradient” dryfował bezwładnie targany zimowymi falami na środku morza.

Dwa pontony wypełnione żołnierzami piechoty morskiej zbliżały się powoli, podskakując na falach, które moczyły ich rozbryzgami lodowatej wody. Ludzie klęli na czym świat stoi. Każdy z członków desantu miał na sobie gruby zimowy mundur, brezentowy sztormiak, kamizelkę kuloodporną i kamizelkę ratunkową. Wyglądali jak kukły, jak śnieżne bałwany pomalowane w zimowe barwy ochronne, niezdolne nie tylko do sprawnej akcji bojowej, ale w ogóle do sprawnego poruszania się po chwiejnym pokładzie.

– Jak się tam dostaniemy? – spytała Kai, patrząc z przestachem na ciemne, wysokie burty dryfującej jednostki.

Tomaszewski pokazał jej ręczne moździerze z nabojami o końcówkach w kształcie kotwiczek i wyjaśnił, że żołnierze wystrzelą je w odpowiedniej odległości, a potem będą się wspinać po linach na pokład.

– O mamusiu moja kochana – wyszeptała czarownica. – Ja nie umiem się wspinać po linie.

– Nam zrzucą drabinkę albo siatkę desantową.

– To jeszcze gorzej. – Kai rozmasowała sobie siniejące wargi. – Bo jeśli uderzy mną o stalową burzę, to spadnę.

– Trzeba było się nie pchać na akcję... – zaczął, ale siedząca obok Wyszyńska nie dała mu dokończyć.

– Proszę się napić wódki. – Podsunęła przestraszonej dziewczynie lśniąca piersiówkę. – Strach przejdzie, a i w nogi będzie ciepłej.

Sama nie wykazywała oznak zdenerwowania. Jej minę można byłoby nazwać nawet olewacką. Dziwna kobieta. Wzbudzała w Tomaszewskim sprzeczne uczucia. Z jednej strony denerwowała go, irytowała, doprowadzała do częstych wybuchów, a z drugiej, hm, ewidentnie jego uczucie do niej przesycone było dość dużą dozą fascynacji. I to nie zwykłej, jak wobec zagadki do rozwiązania, ale fascynacji, jaką kobieta wzbudza w mężczyźnie.

– Panie komandorze, rozpoczynamy? – Porucznik dowodzący desantem piechoty morskiej nachylił się z drugiej strony.

– Tak, nie ma na co czekać. I niech pan mnie nie pyta o każdy szczegół. To pan dowodzi akcją.

– Tak jest!

Porucznik podniósł do ust gwizdek. Kai skuliła się, kiedy użył go tuż nad jej głową. Silniki obu pontonów zagrały z gwałtownie zwiększającą się mocą. Jeden skręcił na ubezpieczenie, ustawiając się burtą w stronę podejrzanego obiektu, drugi dopłynął jeszcze bliżej i wystrzelił kotwiczki. Obie zahaczyły dobrze. Teoretycznie teraz sternik powinien manewrami utrzymać liny napięte, jednak w przypadku pontonu i wzburzonego morza było to niepodobieństwem. Żołnierze piechoty morskiej musieli wspinać się po luźnych sznurach, siłą rzeczy najpierw mocząc się w lodowatej wodzie.

Kai na sam widok zaczęła dygotać. Pociągnęła kolejny wielki łyk z piersiówki inżynier Wyszyńskiej. Tomaszewski zerknął na ponton manewrujący na pozycji ubezpieczającej. Wzruszył ramionami. Jego załoga w całym tym kołysaniu mogła dać wsparcie jedynie iluzoryczne, gdyby okazało się, że na opustoszałym pokładzie ktoś jednak jest. I to ktoś wrogo nastawiony.

Dwóch pierwszych żołnierzy dotarło do celu bez żadnych przeszkód. Obaj przedostali się przez reling i znikli z zasięgu wzroku. Musiało to trwać dłuższą chwilę. Poza pierwszą oceną sytuacji trzeba było dać im czas na wyjęcie krótkofalówki ze szczelnego brezentowego pokrowca. Ponieważ nie działo się nic niepokojącego, drugi ponton zaczął podchodzić od strony dziobu.

– Tu zwiad, tu zwiad – rozległo się w głośniku ich radia. – Melduję, że pokład czysty.

– Zrozumiałem. – Porucznik dowodzący desantem dał znać drugiej załodze, że może realizować swoją część zadania.

Kai znowu skuliła się na przeraźliwy dźwięk gwizdka nad głową. Po chwili wspomogła swoje morale kolejnym łykiem wódki. W innej sytuacji grymasiłaby, że nie ma czym popić ani zagryźć. Nigdy nie przepadała za czystą wódką. Tu jednak mogłaby łyknąć bez popijania nawet spirytus. Kołysało nimi gwałtownie. W dodatku ponton zbliżał się do burty ms „Gradient” w miejscu, gdzie dwóch pierwszych żołnierzy piechoty morskiej rzuciło im linę do dźwigu obsługującego szalupę.

– Ciekawe, co się stało z ich łodzią ratunkową – rzuciła Wyszyńska.

– Może dowiemy się czegoś już na górze? – odparł Tomaszewski. – Na razie dziękuję opatrności, że przy tej pogodzie nie musimy wspinać się po siatce desantowej.

– A tak. – Pani inżynier energicznie skinęła głową. – W tej kwestii zdecydowanie się z panem zgodzę.

Umiejętnie przygotowała zaczep swojej piechociarskiej uprząży do podpięcia w uchwycie liny. Ewidentnie chciała być pierwsza na pokładzie. Kai nie protestowała, Tomaszewski nie miał nic przeciwko. Kiedy tylko ponton znalazł się w dogodnej pozycji, pomógł kobiecie podpiąć się do dźwigu. Wyszyńska poszybowała w górę, a sądząc z szybkości, z jaką ją wciągnięto, na pokładzie musiało być czynne źródło zaopatrzenia w prąd elektryczny.

Co tam się stało? Tomaszewski potrząsnął głową.

Kiedy lina wróciła do nich, podpiął Kai i wysłał na górę. Potem dopiero łaskawie przepuścił porucznika dowodzącego akcją. Wszystko to było wbrew regulaminowi, ale mając stopień komandora i specyficzną sławę, która towarzyszyła mu od czasu bitwy w porcie Sait, nie obawiał się, że ktokolwiek tutaj wystąpi do niego z pretensjami. Sam wjechał na górę dopiero jako czwarty.

Pusty pokład sprawiał ponure wrażenie. Brakowało porzrzuconych rzeczy i elementów wyposażenia. U podstawy masztu, na który wspinał się już bosman Mielczarek, widać było małą, świecącą czerwonym światłem alarmową lampkę.

Żołnierze sprawdzali wejścia do pomieszczeń. Bardzo ostrożnie. Tomaszewski wyjął ze sztormowej torby mapę i notes. Zapisał pozycję i godzinę wejścia na pokład jednostki badawczej.

– To cud, żeśmy w ogóle znaleźli ten statek – mruknął.

– Nie taki znowu cud – powiedziała Wyszyńska. Zgasiła lampkę awaryjną i sprawdziła obwód. – Prąd ciągle jest, jak pan widzi.

– Ach. – Machnął ręką. – Będzie mi pani teraz udowadniała wyższość krokomierza nad tradycyjnymi metodami.

– I owszem. Gdy nikt nie dotykał krokomierza przez dłuższy czas, ten uruchomił pelengator. I dzięki sygnałowi udało się namierzyć „Gradienta”.

– Tak, tak, maszyna sama uruchomiła inną maszynę. Zaraz mi pani powie, że krokomierz jest mądrzejszy ode mnie.

– Jest na tyle mądry, na ile przewidział jego działania programista. – Wyszyńska uśmiechnęła się ugodowo. – A w przypadku statku, który płynął na zwiad w pobliże tajemniczego płaskowyżu Banxi, postanowiłam być szczególnie ostrożna.

– To pani programowała krokomierz? – zdziwił się. – Kiedy byliśmy w Syrinx?

– Nie. Wydałam odpowiednie dyspozycje przez radio.

Dalszą dyskusję przerwał Mielczarek. Zsunął się z masztu, lądując tuż obok Tomaszewskiego.

– Panie komandorze – wskazał gniazdo nad ich głowami – ale tam jest kipsisz.

Popatrzyli do góry. Niewielki pomost na maszcie nie był nawet gniazdem w klasycznym tego słowa znaczeniu. Stanowił raczej platformę, na której zamontowano wielkokalibrowy karabin maszynowy i trzy reflektory.

– Co tam znalazłeś?

Bosman pokazał im trzymane w dłoni łuski od wukaemu.

– Tam jest tego zatręsenie – powiedział. – Setki!

– O szlag! Do czego strzelali?

– Do czegoś, co stało mniej więcej tam. – Kai zaskoczyła ich wszystkich, wskazując kierunek, w którym znajdowała się sterówka. Dziewczyna miała nieprawdopodobny wzrok. Cała reszta musiała podejść dużo bliżej, żeby zobaczyć to, co ona. Dziesiątki przestrzelin, które podziurawiły na wylot metalowe ściany.

– No ładnie... – Tomaszewski rysował w myślach linię ognia. – Ciekawe, co tu się działo.

– Masakra – powiedział Mielczarek. Stał przy podziurawionej ścianie i przyglądał się z bliska otworom. Po chwili wyjął z kieszeni ołówek i jego końcem zaczął grzebać w jednym z nich. Po chwili podszedł do Tomaszewskiego, pokazując przyklepione do grafitu włókno. – To z odzieży. Pocisk przeleciał przez kogoś i walnął w ścianę, zabierając ze sobą fragment okrycia.

– To z naszego munduru? – zapytała Kai.

– Tutaj nie stwierdzimy. Do tego potrzeba kryminologa ze sprzętem.

– A wprost przeciwnie. – Wyszyńska ku zdziwieniu pozostałych wyjęła z kieszeni sztormowej kurtki wielkie szkło powiększające. Poprosiła

bosmana, żeby poświecił jej latarką, i przyglądała się strzępowi dłuższą chwilę. – Prymitywny splot włókien, prymitywny materiał. Na pierwszy rzut oka widać już, że to nie było tkane przez maszynę, równiuteńko.

– Ja też mam wrażenie, że paru dzikich rozstało się tu z życiem. – Podszedł do nich porucznik piechoty morskiej. Wyprężył się i zasalutował Tomaszewskiemu. – Panie komandorze, melduję, że statek jest czysty. Nie znaleźliśmy nikogo.

– Żadnych ciał?

– Nic.

– To skąd wrażenie?

– Woda zmyła ślady z pokładu, ale wewnątrz jest sporo zaschniętej krwi. Sporo też łusek, choć mniejszego kalibru. – Porucznik zerknął na znalezisko Mielczarka.

– A obca broń? Jakies ślady, może ich nóż, grot od strzał?

– Na razie skupiamy się na odnalezieniu dziennika pokładowego, map z wykreślonymi kursami i notatek. Ale każę ludziom dokładnie przeszukać statek.

– Ja się zajmę krokomierzem – powiedziała Wyszyńska. – Cały?

– Nie znam się na tym. – Porucznik w ostatniej chwili powstrzymał się przed wzruszeniem ramionami. – Nie potrafię stwierdzić.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

– Oj, chciałam tylko wiedzieć, czy są dziury na obudowie po tej strzelaninie. – Pani inżynier machnęła ręką. – Zresztą sama zobaczę. – Ruszyła w stronę sterówki.

Tomaszewski z trudem powstrzymał się od przekleństwa. Niby już przyzwyczał się do niesubordynacji cywilów, a do bezczelności Wyszyńskiej w szczególności, ale stare nawyki oficera marynarki nie pozwalały zapomnieć o tym, że ta wyszczekana cholernica powinna najpierw spytać.

– Dobra. – Zerknął na Kai i Mielczarka. – Skoro oni zajmują się konkretnymi rzeczami, to my pójdźmy poszukać śladów bardziej efemerycznych. A ty – rzucił do bosmana – spróbuj się zorientować, z czego strzelano, jaki jest układ śladów i jak mniej więcej mogła przebiegać bitwa.

– Tak jest!

Kiedy odszedł, Tomaszewski przysunął się do Kai.

– Czujesz coś? – zapytał.

Czarownica przestała uderzać dłonią o dłoń. Nie mogła się rozgrzać.

– Czuję zimno, smagający mnie lodowaty wiatr, jakieś drobinki wody wpadające za kołnierz i ogólne rozbicie. O to ci chodziło?

Zdążył się już przyzwyczać do, delikatnie mówiąc, niestałości emocjonalnej dziewczyny. A chciał zapytać o prostą rzecz: czy coś czuje. W sensie przeczuć, oczywiście. Przestał już zaprzeczać faktom, udawać, że wszystko, czego doświadczył dzięki jej niezwykłym umiejętnościom, to tylko splot przypadków. Słowo „czary” oczywiście żadną miarą nie mogło mu się precyzyjnie przeliczyć przez usta. Wolał nazywać to, co potrafiła, „niezwykłą wrażliwością”. W każdym razie wiedział już, że czarownicę warto traktować poważnie, bo to się po prostu opłacało.

– Dobra, wejdźmy więc do środka. Tam będzie ciepłej.

Poprowadził Kai do przybudówki na śródkręciu. Metalowe drzwi udało się otworzyć z dużym trudem. Przez chwilę Tomaszewski sądził, że ktoś, jakieś ciało, leży z tamtej strony na podłodze i blokuje ruch skrzydła, ale nie. Okazało się, że blacha była po prostu wygięta, jakby ktoś od wewnątrz walił w nią ogromnym taranem. Na korytarzu nic jednak nie wskazywało, że przeprowadzono tu jakąś bitwę.

Ruszyli do kabin mieszkalnych. Bardziej z obowiązku niż przekonania. Było mało prawdopodobne, że jakieś ciało spoczywa sobie we własnej koi.



I rzeczywiście, kajuty wyglądały na posprzątane, uporządkowane i generalnie bardzo czyste, oczywiście jak na samych mężczyzn, którzy tu mieszkali. Kobiecego wykończenia porządków Tomaszewski nie stwierdził. Idąc w kierunku rufy, natrafili na coś w rodzaju salki kinowej. Była połączona z laboratorium fotograficznym, ciemnią i pomieszczeniami technicznymi.

– Co to jest? – spytała Kai.

– Urządzenie do wywoływania filmów – wyjaśnił. – I to profesjonalne, wywiadowcze.

– No bo ten statek był chyba wywiadowczy, prawda?

– Nie myl zwiadu z wywiadem – mruknął. – Ten statek był zwiadowczy, a przynajmniej taką miał misję. Natomiast cały ten sprzęt to raczej pozostałość po poprzednich misjach „Gradienta”. Na tamtej półkuli, sądzę.

– A tu nic nie nakręcili?

– Trzeba sprawdzić.

Dziewczyna podeszła do projektora pod przeciwległą ścianą. Nie umiała go uruchomić, ale zaczęła przeglądać nawinięty na główną szpulę film. Świecąc sobie latarką. Klatka po klatce.

Tomaszewski zaczął się śmiać.

– Spokojnie. Nie w ten sposób. Każdy film musi być opisany.

– Jak?

– Szpule trzyma się w metalowych pudełkach. Na wieczkach przyklejone są kartki, a tam muszą być informacje. Data nakręcenia materiału, data wywołania, autor zdjęć, temat filmu, czyli czego zdjęcia dotyczą. Czasem dodatkowo warunki ekspozycji i różne inne przydatne informacje.

– Aha, czyli musimy przejrzeć wszystkie te pudła? – Wskazała stojak pod ścianą z kilkudziesięcioma zapakowanymi szpulami.

– Nie ma potrzeby. – Tomaszewski podniósł ze stołu wielki czarny zeszyt w twardej oprawie. – Każda ciemnia musi prowadzić rejestr wszystkich wykonywanych operacji. I tu masz wszystko napisane, skatalogowane, wyjaśnione i opatrzone uwagami. Oczywiście są to uwagi techniczne, a nie przemyślenia laboranta na temat wartości artystycznej filmu – zażartował, lecz czarownica nie zrozumiała.

Za to z ciekawością nachyliła się nad zeszytem.

– I co? I co?

Tomaszewski przeglądał powoli wpisy, jadąc palcem po kolejnych numerach, od samego początku.

– Tak jak sądziłem. Dokumentacja.

– Czyli? – Kai zdawała się nie rozumieć wpisów.

– Linia wybrzeży, ewentualne podejścia, ukształtowanie terenu. O cholera... – Jego palec zatrzymał się nagle. – Pierwszy atak na łódź – przeczytał na głos.

– Co to może znaczyć?

Wzruszył ramionami. Pewnie chodziło o szalupę z silnikiem, której brak zauważyli po wejściu na pokład. Ale co to za atak? Sygnatura świadczyła, że film został już wywołany, więc jeśli nastąpił jakiś atak, czemu załoga nie meldowała o tym przez radio? Ot, zagadka.

– Szukamy tego filmu? – Kai wyraźnie była poruszona takim wpisem.

Zaprzeczył ruchem głowy. Jego palec dotarł do pozycji opatrzonej tytułem: „Ponowne zjawiska”. Co to miało znaczyć? Albo: „Intensywne zjawiska” i, niestety, dopisek w następnej rubryce: „jakość fatalna”. Jeszcze ciekawiej wyglądały wpisy w rejestrze filmów przyjętych do wywołania, ale jeszcze niepoddanych temu procesowi. Obok nazwisk operatorów widniały krótkie: „Zjawiska”, „Atak na Jankiewicza”, „Siódmy: groza...”. Widać było, że ktoś zapisywał uwagi, czego dotyczy niewywołany film, w stanie sporego zdenerwowania. Ręka z długopisem drżała tak bardzo, że niektóre litery Tomaszewski odczytywał z trudem.

– Zabieramy wszystkie filmy – mruknął, odkładając zeszyt. – Tu do niczego nie dojdziemy.

Kai rozejrzała się po salce kinowej.

– A mamy w co zapakować?

Położył jej rękę na ramieniu.

– Pamiętaj, że oficer nie nosi żadnych bagaży, pani kapitan. I tak samo my, każemy to po prostu zrobić żołnierzom.

Otworzył drzwi, wyprowadzając dziewczynę na korytarz.

– Ale może zobaczymy, co jest na tym filmie, który został na projektorze? Widziałam tam na pojedynczych klatkach...

– Zrobimy to na naszej własnej jednostce – przerwał jej w pół słowa. – Oglądanie pojedynczych klatek na projektorze tego typu jest niemożliwe. Spalimy cały film.

Czarownica niechętnie powróciła do przeglądania poszczególnych kabin mieszkalnych. Jednak coś się w niej „włączyło”. Albo po prostu zrobiło się cieplej i zaczęła więcej czuć. Po długiej chwili przeglądania kajut utrzymanych we wzorowym porządku, no, na tyle, na ile mężczyźni niepoddawani wojskowemu dryłowi są w stanie to zrobić, podeszła do jednej z szafek. Otworzyła drzwiczki i spod stosu poukładanych jeden na drugim swetrów wyjęła pistolet. Przez chwilę trzymała go w dłoni, a potem położyła na blacie małego stolika przy koi.

– Nie był używany – orzekła. – Wiesz, chyba tu niczego nie znajdziemy. Cała aura kumuluje mi się raczej tam. – Wskazała palcem w kierunku dziobu statku. – W pomieszczeniu, gdzie jest ster.

– Myślisz?

– Czuję. Tu nic nie znajdziemy.

Tomaszewski przygryzł wargi.

– A to? – Podał jej notes, który znalazł na stole pod bulajem i właśnie przeglądał. Kartki były pozlepiane rozlaną kawą, ale na ostatniej dawało się odczytać koślawe litery: „Boże. Mam nadzieję, że duchy już nie powrócą!”.

Kai przeczytała to z kamienną twarzą. Z trudem odkleiła poprzednią kartkę. Ostatni wpis musiał być dokonany po długiej przerwie. Poprzednie bowiem, zupełnie nieistotne, dotyczyły samego początku podróży.

– Sterówka? – Wskazała kciukiem za siebie.

– Tak. Chodźmy.

Wyszli na korytarz, a potem ruszyli w stronę dziobu. Tu również nie napotkali żadnych przeszkód. Wszystko było utrzymane w rutynowym porządku. Jedynie w schowku kryjącym regulatory instalacji przeciwpożarowej ktoś porozwijał wszystkie parciane węże, których kłębówisko nie dawało teraz dostępu do głównych zaworów.

Dalej, tuż przed wejściem na mostek, jakaś postać nachylała się nad pakunkiem leżącym w drzwiach do łazienki i toalety. Czarna bosmańska kurtka pozwalała się domyślić, kto w tym miejscu prowadzi śledztwo.

– I jak tam? – zawołał Tomaszewski. – Jak wyniki?

Mielczarek podniósł się ociężale. Kpiący wyraz twarzy zobaczyli, dopiero kiedy się odwrócił.

– A co pan komandor chce wiedzieć?

– No jak tam bitwa, o której mówił porucznik piechoty morskiej?

Mielczarek wzruszył ramionami.

– Jedyna bitwa tutaj odbyła się w wyobraźni tego porucznika, panie komandorze. Tak samo jak liczne ofiary w szeregach napastnika.

– Skąd wiesz?

– Cała broń na tym okręcie znajduje się tam, gdzie jej miejsce. W szafce pancерnej w magazynie i w podręcznym sejfie w sterówce. Ktoś tylko wyjął jeden pistolet maszynowy i wysiał dookoła kilka magazynków. Jeśli ktoś zginął, to pewnie jedynie strzelec trafiony własnym rykoszetem.

– A liczne ślady krwi?

– Ta krew to też widziana przez pana porucznika oczami wyobraźni. Pewnie młody żołnierz. Bardzo chciał zobaczyć jakąś masakrę, to i w wyobraźni zobaczył. A przynajmniej jej ślady.

– Co tam się stało?

Mielczarek wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że oni skupili się w sterówce i tam chyba żyli. W jednym pomieszczeniu. Jakby nie chcieli łązić po całym statku. Albo się czegoś bali w kabinach.

– A skąd wiesz?

– Na mostku jest mnóstwo konserw, słoików z przetworami, dwie maszynki do parzenia kawy, butla do gotowania. Sporo pustych puszek. Coś jakby prowizoryczne posłania, a zresztą – bosman przygryzł wargi – cholera ich wie.

– I naprawdę nie ma krwi?

– Skąd! To ten wariat, co siepał z peemu, porozwalał i konserwy, i słoiki. No i naciapało dookoła na gęsto.

– A ślady ludzi?

– A w jakim sensie, panie komandorze? Żywych nie ma. Zwłok też nie.

Kai aż podskoczyła z emocji.

– Coś strasznego krążyło po pokładzie w nocy. Wyżerało ludzi i pozostali schronili się na mostku. Ostatni usiłował się bronić. Ale kiedy to coś wtargnęło do środka, pobiegł na pokład i z pomostu na maszcie zaczął strzelać do sterówki...

– Zmniejsz poziom konfabulacji, Kai, proszę.

Ktoś otworzył drzwi na mostek, wpuszczając na korytarz wicher wpadający przez potłuczone szyby. Mielczarek nie zdążył zrobić miny świadczącej, co sądzi o pomysłach czarownicy. Pomógł Wyszyńskiej, która szamotała się ze sporym tobołkiem w wąskim przejściu.

– I jak tam, pani inżynier? – Tomaszewski chętnie zmienił temat. – Krokomierz cały?

– Postrzelany jak tarcza po całodziennych ćwiczeniach kompanii wojska – odparła Wyszyńska. – Ale z rejestratora chyba uda mi się wyciągnąć jakieś dane. – Wskazała coś kanciastego, ukrytego w tobołku. – Choć też zasłużył na medal za rany odniesione na polu bitwy.

– Nareszcie coś, co trąci optymizmem.

Wyszyńska uśmiechnęła się nagle.

– No to zepsuję panu humor. – Włożyła rękę do kieszeni swoich wojskowych spodni i wyciągnęła kawałek białej kostki. – Znalazłam też to.

Tomaszewski złapał małą, podłużną konserwę sardynek z cieniutkiej blachy. Ktoś najwyraźniej usiłował odgryźć kawałek. Były na niej doskonale widoczne ślady zębów. I to, o ile mógł rozpoznać, ludzkich. Przez chwilę jakby sparaliżowała go pewna myśl. Miał wrażenie, że kiedyś w jego życiu coś takiego już miało miejsce. Po chwili przypomniał sobie. Czytał o tym w książce. I to w powieści, a nie w pozycji naukowej. Tak. Na pewno czytał już o czymś takim. Za żadne skarby jednak nie mógł sobie przypomnieć, o co w tej książce chodziło.



Ci ze stolicy i z wielkich nadbrzeżnych miast zawsze mieli lepiej niż reszta kraju. Tam zawsze kumulowały się władza i bogactwo. Nawet w czasach, kiedy reszta kraju pogrążała się w nędzy. Krążyły pogłoski, że do Negger Bank, największego z miast cesarstwa, zawinęły statki obcych. Przybysze tak bogaci, że swoją fortunę zbić przy nich mógł każdy kupiec. Byli tak władni, że dla kaprysu budowali sobie okręty z żelaza, a utrzymujące je na wodzie drewno, powiązane w zgrabne wiązki, wciskane było ciężarem pod wodę. Podobno umieli latać, ujarzmiając nieznane tu ptaki olbrzymy! Podobno dzięki bogactwu obcych ulice w Negger Bank wybrukowano złotem!

Chen nie bardzo wierzył w te opowieści nędzarzy. Ale ruszył z innymi do Negger Bank. Czyż to nie wszystko jedno, gdzie umiera się z głodu? A wielkie portowe miasto od zarania dziejów było przecież pyszne

i znaczące, bardziej potężne niż niejedno królestwo. Może więc w opowieściach kryło się choć ziarno prawdy?

Chen nie był zwykłym prowincjonalnym nieukiem. Urodził się w rodzinie kupieckiej, zajmującej się zaopatrywaniem dworów. Kiedy jednak wyniszczające kraj wojny doprowadziły wszystkich na skraj ubóstwa, jego ojciec nie wytrzymał konkurencji z innymi kupcami. Dom sprzedano za długi, matka umarła na jakąś nową i nieznaną, przywleczoną z dalekich krain przez weteranów chorobę, a ojca lichwiarze wtrącili do lochu. Chłopak musiał radzić sobie sam. Był inteligentny i wygadany, znał się na kupieckim rzemiośle, ale w czasach kryzysu, bez żadnych znajomości i układów nie miał szans.

Szedł więc teraz z tłumem obdartusów w kierunku wybrzeża, usiłując nie deptać zwłok tych, co w drodze padli z głodu. Czasem ktoś się litował i na jakiejś mijance wysypywał na ziemię wóz brukwi, a wtedy ciżba mordowała się nawzajem, żeby dostać się do jedzenia. Czasem wojsko z mijanego garnizonu rozdawało placki, a wtedy nawet dzięki mieczom i pejczom udawało się utrzymać jaki taki porządek w rozdzielnictwie.

Chen był młody i zdrowy. Dotarł do dalekich przedmieść Negger Bank. I tu od razu okazały się trzy rzeczy. Po pierwsze ulice na obrzeżach Negger Bank nie były brukowane złotem. Po drugie w ogóle nie były brukowane. Po trzecie to oni właśnie mieli je brukować. Hura! Najpiękniejsza wiadomość na świecie. Ten, kto okazał się zdolny do pracy przy kamieniach, dostawał jedzenie! W opowieściach gminu tkwiło jednak ziarno prawdy. Praca się znalazła. Oferta dotyczyła co prawda tylko nielicznych, silnych i zdrowych, ale nie była mirażem ani kłamstwem. Przynajmniej od niektórych odsuwało to widmo śmierci głodowej.

Chen, mimo że nienawykły do tak ciężkiej pracy, szybko się adaptował. Regularne odżywianie i praca na świeżym powietrzu sprawiły, że okrzepł, doszedł do formy, nie pozostał bezwolnym wykonawcą, któremu miska strawy wystarczała za cały świat, wypuszczał się nawet na wyprawy do miasta. I tu ze zdziwieniem stwierdził, że nie należy lekceważyć gminnych legend. Obcy naprawdę zawitali do Negger Bank i naprawdę byli bogaci tak, że przekraczało to wszelkie wyobrażenia. Naprawdę też potrafili latać. Naprawdę mieli żelazne okręty. Długo nie mógł się otrząsnąć.

Miał bystry umysł. Szybko zrozumiał, że przyszłość nie leży w kamieniarskiej robocie – przyszłość to właśnie obcy, ludzie z żelaznych

okrętów. Robił, co mógł, żeby być bliżej. Ale nie dla psa kiełbasa. Tam, przy budowie eksterytorialnej bazy, gdzie płacili bezpośrednio przybysze z daleka, miejscowi ustawili skuteczny parawan znajomości i zbójceckich układów. Jeśli nie byłeś z „towarzystwa”, to won z powrotem do brukowania ulic na przedmieściach, a i to z poczuciem, że samych Bogów za pięty połapałeś. Przy prawdziwym żłobie są lepsi niż ty i godniejsi. Chen jednak nie mógł się z tym pogodzić. Jego kupiecka dusza wyła z powodu każdego zmarnowanego dnia, każdej okazji, która przechodziła mu koło nosa. Uczył się gorączkowo nowej gwary, arkapolskiego, i szybko doszedł do wielkiej wprawy. Usiłował poznać zwyczaje obcych, ich upodobania. A potem wykorzystał jedyną okazję, która mu się przytrafiła. Znalazł dostęp do rzeczy, które nielegalnie sprzedawali marynarze z żelaznych okrętów. Mistrzostwo.

Aresztowano go i zakuto następnego dnia. Strażnicy miejscy wrzucili chłopaka do lochu pod zarzutem paserstwa. Oczywiście zarzut był równoznaczny z wyrokiem w tej kwestii, żadnej bowiem rozprawy sądowej nie przewidywano. Chen dowiedział się więc na własnej skórze, jak miejscowi radzą sobie z konkurencją. Radzili sobie... skutecznie.

No i stało się. Znowu gnął za życia, przymierając głodem. Głównym tematem jego przemyśleń było, czy pošlą go do kopalni, gdzie nie dożyje końca roku, czy raczej zabiją na którymś z forów. W czasach nędzy publiczne egzekucje połączone z torturami były często stosowanym sposobem na rozładowanie narastającej frustracji społeczeństwa.

Los jednak chciał inaczej. W więzieniu Chen poznał znaczenie słowa „eksterytorialność”. Pewnego dnia strażnicy wyprowadzili z lochów wszystkich więźniów. Ustawiono ich pod zewnętrznym murem, tych, co nie mieli sił stać, położono w pobliżu. Naczelnik oświadczył krótko:

– Wy gnoje parszywe! Popełniliście swoje zbrodnie na terenie obcej bazy. Sama baza co prawda jeszcze nie istnieje i nie jest ogrodzona, niemniej na mocy układu podpisanego przez Jej Cesarską Mość już dziś jest eksterytorialna. A to oznacza, że popełniliście przestępstwa na terenie innego kraju i będziecie sądzeni według prawa obcych!

Na więziennym dziedzińcu powiało grozą. Stojący w nierównych szeregach zaczęli żegnać się z życiem. Co bardziej przytomni usiłowali przestać myśleć o tym, jak wyrafinowane i jak długotrwałe tortury ma w swoim arsenale ktoś, kto potrafi zbudować okręty z żelaza.

– Jednak w drodze wyjątkowej łaski – podjął naczelnik – okazanej nawet takim śmieciom jak wy, dano wam wybór. Dzięki miłosierdziu naszych władz kto chce, może zostać tutaj, skąd przekazany zostanie nie na śmierć ani w ręce mistrza tortur, a jedynie do przymusowych prac publicznych w najbliższej kopalni srebra. Kto chce, niech wraca do lochu i przy wejściu podpisze, że robi to z własnej woli. Kto nie umie pisać, stawia trzy krzyżyki.

Zdjęci przerażeniem na myśl o wydaniu w ręce potworów nie wiadomo skąd, więźniowie zaczęli przepychać się w kierunku lochu. Nawet ci, którzy mieli trudności z poruszaniem się, krzyczeli, żeby ich nie zostawiać. Trwało to i trwało, bo każdy musiał własnoręcznie potwierdzić swoją wolę pozostania na łasce cesarstwa. Pod wieczór na placu zostało czterech więźniów. Wśród nich Chen.

– A wy co? – Jeden ze strażników podszedł bliżej. – Dwa razy wam powtarzać trzeba?

Nikt nie śmiał się odezwać. Ale, o dziwo, nie padły żadne razy. Strażnik przyglądał im się przez zmrużone oczy.

– A jeśli wam zagwarantuję, że nie wyślę do kopalni? Tylko na prowincję, do kopania rowów na bagnach? To co? Zmienicie zdanie?

Niesłychane! Strażnik zwracający się do więźniów z jakąś propozycją? Nikt nigdy o czymś takim nie słyszał. I, niestety, zadziałał tu mechanizm perfidii: skoro nasz wróg czegoś chce, to my będziemy chcieć czegoś przeciwnego. Dalej więc żaden z więźniów nie otwierał ust. Wykorzystując całą siłę woli, czwórka przestępców patrzyła niezmiennie na palce u swoich stóp. Wyraźnie wkurwiło to strażnika.

– No toście sobie załatwili! – wrzasnął. – Rano na pal każę wbić!

Najpierw wszystkich czterech uderzyła fala mdlącego strachu. Koniec! Chwilę później jednak dotarła do nich pewna myśl: przecież to nielogiczne. Mieli być wydani obcym, nie skorzystali z łaski i co? I za to na pal? Tu jest coś nie tak.

Po dłuższej chwili strażnik zrozumiał, że nieposłuszna czwórka zacięła się w sobie. Zaczął kląć i kopniakami popędził ich w stronę wozu czekającego przy więziennej bramie.

– Jazda! Parszywe świnie!

Dwóch innych brutalnymi ciosami pomagało więźniom dostać się do wnętrza ciemnej paki. Ktoś zatrzaskał drzwi, a po chwili usłyszeli szcęk



kolejnych zasuw. W środku za to mieli pełną swobodę. Każdy rozłożył się w miarę wygodnie. Rozmawiać ze sobą jednak się bali. Nawet najcichszym szeptem.

Nie wiadomo, jak długo czekali. Chenowi zdawało się, że skrzywienie rozsuwanych wrót więzienia usłyszał dopiero gdzieś w środku nocy. A potem dobiegł go głos w zupełnie innym języku. Na szczęście mógł zrozumieć większość słów. Nauka arkapolskiego przyniosła efekty.

– Co? Tylko czterech?

– Reszta wołała zostać u nas – rozległ się głos naczelnika.

– No dobra, dobra. Ja muszę mieć to na piśmie.

– Ależ oczywiście. Tu są listy z ich własnoręcznymi podpisami.

Słysząc było szelest kartek i czyjeś ciche przekleństwa.

– A oni co? Powariowali?

Naczelnik odpowiedział z godnością:

– To szczyrzy patrioci, panie. Wolą odkupić winy, zdychając u nas, w ojczyźnie.

Ktoś parsknął śmiechem.

– No niby fakt. Idiotów nie brakuje.

Rozległ się głośny stukot na górze ich pojazdu. Prawdopodobnie obcy wskoczył na kozioł, obok woźnicy.

– No dobra, biorę tych czterech. Szkoda, że tak mało u was rozsądnych.

Chen poczuł coś na kształt nadziei. A potem nagle zrozumiał zachowanie strażników. To zazdrość! To... Pieprzyć! Przestał o tym myśleć. Kiedy wóz wytoczył się poza mury więzienia, zaczął się śmiać.



Porucznik lekarz Leszek Siwecki opuszczał pokład niszczyciela w porcie bazy Sait z mieszanymi uczuciami. Po pierwsze, i mniej ważne, był to chyba jego ostatni rejs jednostką bojową. Dowództwo postanowiło nareszcie zrezygnować z misji kurierskich w wykonaniu nieporęcznych i paliwożernych okrętów. Powrót z Sait do Negger Bank zaplanowano z użyciem zwykłego transportowca. Jednego z tych, które już regularnie kursowały pomiędzy Sait i Negger Bank.

Po drugie, schodząc na ląd w małym porcie, poczuł coś dziwnego. Porucznikiem o władnęło uczucie, że wraca do domu. Do prawdziwego, za Górami Pierścienia, wrócić nie mógł, jego umysł potrzebował jakiegoś stabilnego punktu oparcia, więc z automatu niejako podświadomość umieściła go tutaj.

Wrażenie to spotęgował porucznik tatarski, Ibrahim Odrowąż-Jackowski, który powitał go na wybrzeżu.

– Miło pana znowu widzieć w tej głuszy! – krzyknął, kiedy lekarz był jeszcze na trapie, i od razu zmienił ton, gdy Siwecki dotknął stopą stałego lądu. – Cześć, Leszku! Fajnie, że jesteś.

Obaj zaszalutowali regulaminowo, podali sobie dłonie, a potem nastąpił typowo wschodni „miś” z obejmowaniem i wzajemnym całowaniem dwóch mężczyzn.

– Co sprawiło, że wróciłeś do tego zadupia? – Ibrahim zaczął prowadzić go w stronę portu. – Zostajesz tu?

– Zabieram was do Negger Bank. A tam są dziewczyny.

– O, to, to, to, właśnie. Ale jak to zabierasz?

– Żartowałem. Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie odda dwóch kompanii tatarskiego zwiadu pod dowództwo polskiemu porucznikowi. Tylko rozkazy przywiozłem.

Ibrahim westchnął z wyraźną ulgą.

– To dobrze, bo nie chciałbym cię widzieć powieszzonego za nogi na gałęzi już pierwszego dnia – powiedział takim tonem, że nie sposób było odgadnąć, czy na pewno chodziło o żart. – Jak jest w Negger Bank? – zmienił temat.

– Fajnie! Spodoba wam się.

– Dużo babów?

– No mówię, że ci się spodoba. To wielkie portowe miasto otwarte od tysiącleci na cały świat. Istny cud boży na tym łez padole.

Tatar zaczął się śmiać.

– Bardzo nam to potrzebne! – westchnął. – Już mam dość ganiań po chaszczach i strzelania do dzikusów. Tym bardziej że coraz dalej mamy ich szukać.

– Strzelacie do dzikusów? – zdziwił się Siwecki.

– No podobno dowództwo chce wkroczyć do świątyni odkrytej przez tę... – nie mógł sobie przypomnieć. – Przez oddział Chrzan, Szan, Przen czy

jakoś tak.

– Shen – odpowiedział Siwecki. – To by się zgadzało. Wasze miejsce na pierścieniu obronnym bazy mają zająć oddziały piechoty.

– Co?! Zające w bazie marynarki wojennej?

Siwecki wzruszył ramionami.

– Czasy idą nowe. A wy idziecie na nowe miejsce.

– Nawet nie masz pojęcia, Leszek, jak się cieszę – wyznał Ibrahim. – Mam tak dość tej dziury, że powitam nowe czasy, jakiegokolwiek by były.

– Żebyś się tylko nie zdziwił, co zaczyna się dziać – mruknął Siwecki. – Czy wiesz, że poza dostarczeniem rozkazów dostałem jeszcze misję priorytetową, od której tak naprawdę mam obowiązek zacząć mój pobyt tutaj?

– Nie będę pytał jaką, bo mi nie powiesz. – Widać było, że mimo tego, co mówił, Ibrahim jest bardzo ciekawy.

– Ależ wprost przeciwnie. Misja w pewnym sensie nie jest tajna. Jedynie niezrozumiała.

– Teraz to ja niczego nie rozumiem.

– Jest tak: pani Wszyńska pilnie chce się dowiedzieć wszystkiego o wynikach pracy doktora Bronowskiego. A ponieważ jest na wyprawie w okolicach Banxi, wysłała zapotrzebowanie przez radio. Dowództwo chce dostać natychmiast wyniki Bronowskiego, więc wysłali mnie, ponieważ ich już przez radio przesyłać nie wolno.

Ibrahim aż się zachnął.

– A kto mógłby podsłuchać?

– No właśnie. Tylko nasi.

– Stąd wniosek, że to nasi mają niczego nie wiedzieć? – Tatar zamyślił się. – To by wiele mówiło o tym, co tu się dzieje.

Teraz Siwecki nie mógł powstrzymać wyrazu zdziwienia na twarzy.

– A co się tutaj dzieje?

Ibrahim zatrzymał się na chwilę, rozejrzał wokół i ściszył głos.

– Wysłali cię, a nie wiesz? Bronowski przeprowadza doświadczenia na ludziach.

– Co?!

– Ciszej.

Tatar rozejrzał się znowu. Potem wziął Siweckiego pod rękę i poprowadził w boczną, ślepią uliczkę, przy której znajdował się, sądząc po

zapachu, magazyn materiałów pędnych.

– Wiesz co, Bronowski oczywiście nie łązi po wszystkich tawernach w porcie i nie opowiada o tym, co robi. Ale powiem ci inaczej. Polacy nie mają pojęcia, czym się zajmuje, bo sztab nie ma do nich zaufania. Pewnie sądzi, że gdy już wrócą do domu za górami, to rozpaplają o wszystkim, co się tutaj wyrabiało.

– Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że sztab ufa Tatarom? – Mina Siweckiego wyrażała skrajne powątpiewanie.

– Nie. Bez naiwności. Ale też zdają sobie sprawę, że u nas poziom współczucia dla jeńców i empatii dla istot ludzkich jest zdecydowanie różny niż w oddziałach *native polish*, jak określają to Anglicy.

No tak. Ibrahim musiał się przy okazji pochwalić i przypomnieć, gdzie skończył studia. Bez angielskich wtrętów trudno go sobie wyobrazić.

– Wiesz, do czego się używa oddziałów tatarskich, prawda?

Siwecki potrząsnął głową. Dziwny mechanizm psychologiczny. Powszechnie uważano, że Tatarzy są od brudnej roboty. Od pacyfikacji, mordów, wypędzania, brania w jasyr, zdobywania informacji każdymi metodami – od tego wszystkiego, czego dzięki nim RP unikała, chcąc zachować nieskazitelną biel swoich galowych rękawiczek. Ale to nie do końca prawda. Każdy pamiętał chyba bardzo nieprzychylną książkę pewnego amerykańskiego dziennikarza, opisującą rzeczywistość pogranicznych konfliktów. Znamienny był przykład kilku wsi spalonych przez zwiad. Zdesperowanym obrońcom udało się wtedy złapać jednego z rannych Tatarów. Mówili, że teraz mu odpłacą, a skazaniec śmiał się i powtarzał: „My jesteśmy tylko zwiadem! Prawdziwi masowi mordercy siedzą tam” – i wskazywał kierunek, gdzie czekało na bitwę wojsko polskie. „Są tam, w swoich czołgach, przy swoich armatach, czekają w zatankowanych samolotach. Oni dopiero pokażą wam, co to jest gołą ziemię i puste niebo po sobie zostawić. A my jesteśmy tylko zwiadem”.

Amerikanin miał wiele racji. Hipokryzję dało się dostrzec przecież nawet podczas tutejszej kampanii. Było be, gdy Tatar powiesił kilku jeńców na gałęzi. Absolutnie niedopuszczalne, jeśli związał kogoś i ciągnął za łażkiem. Niewybaczalne, jeśli wykastrował jeńca i posłał z powrotem, żeby straszył swoich. A kiedy pan admirał kazał polać tysiące dzikusów napalmem, to było w porządku. Uczciwe starcie, przecież dzikusy mogły się bronić przeciwlotniczymi dzidami. Albo kiedy zagazował cały port,

łącznie z własnym wojskiem. Przecież to wojna! Z hipokryzją nie da się walczyć. Ubłocony, śmierdzący potem Tatar, który kogoś oskalpował i przyczepił sobie włosy do pasa, był brzydki. Dzicz! A pachnący wodą kolońską lotnik w nieskazitelnie białym szaliku, który jednym przyciśnięciem palca zrzucił napalm, był piękny. Kultura! Na takiego trzeba wychować swoje dziecko. Ot co.

Ibrahim zmrużył oczy, co w jego przypadku wyglądało tak, jakby je zamknął.

– Wiesz co, ślepy nie jestem – powiedział, wywołując mimowolny uśmiech u kolegi. – Widzę, co się wyrabia, mydląc oczy, że wykonujemy głęboki zwiad, zabezpieczamy teren wokół bazy, żeby uniknąć zaskakującego uderzenia, że wreszcie będziemy podejmować marsz w stronę obcej świątyni. A w rzeczywistości chodzi chyba o to, żeby nałapać jeńców. A najlepiej w ogóle ich szamanów.

– I co się z nimi dzieje? – Tym razem Siwecki zaniepokoił się już poważnie.

– Oficjalnie doktor Bronowski bada sobie ich jako żołnierzy obcej armii. Ich wytrzymałość, zdolność do przemieszczania się na większe odległości, szybkość i tak dalej. Wszystko to niewinne jak cholera. Ale dostępu do zasłoniętych parkanem klatek nikt nie ma i nikt oficjalnie nie wie, jakie ciała zakopuje się nocami w lesie, w dole z wapnem. Zero śladów, prawda?

– Aż tak?

– Co aż tak? Za rękę go nie złapałem. Ale co się zakopuje razem z wapnem?

Siwecki przytaknął. Nagle przypomniał sobie całą serię eksperymentalnych leków, które firma „Kocyan i wspólnicy” przysłała armii do przetestowania gdzieś daleko za morzami, za górami.

– Może ja się dowiem.

Ruszyli z powrotem, by po chwili wyjść na główną ulicę, tuż przy nabrzeżu. Siwecki naprawdę czuł coś na kształt wzruszenia na widok starych budynków, wzorowo teraz pełniących swe funkcje po unowocześniających przeróbkach. Nikt nie miał pojęcia, ile setek lat mogły liczyć. Sam pamiętał tylko, że ich trwałość szokowała ich od samego początku. Od chwili kiedy po raz pierwszy postawili nogę na obcej ziemi, po tej stronie gór.

A teraz w porcie przy ulicy stały nawet elektryczne latarnie. Wskazał Ibrahimowi najbliższą tawernę i podniósł pytający wzrok. Ten skinął głową. Prawie jak w domu.

– Wiesz? – powiedział, gdy weszli do przytulnego, zadymionego wnętrza. – Nie rozumiem, jakim cudem posyła się porucznika po materiały, ponieważ jakiś cywil tego chce.

– Tego też się dowiem – mruknął Siwecki, zdejmując czapkę. – A przynajmniej mam taką nadzieję.



Shen leżała na trawie zajmującej większą część powierzchni małej polany w lesie na południowym stoku góry. Nie myślała o niczym szczególnym. Bezmyślnie wsłuchiwała się w ciche nawoływania wart postawionych właściwie tylko dla obowiązku. Okolice porzuconej przed laty, zdewastowanej faktorii kupieckiej w lesie, którą zajęły, były totalnie bezpieczne. Z dala od szlaków, z dala od skupisk ludzkich, wśród pustych gór, gdzie nie ma nic, czym mógłby zainteresować się człowiek. Teoretycznie były bezpieczne. Nawet zapasy żywności, którą musiały sprowadzać wozami z bardziej ludnych okolic, nie budziły niczyjej ciekawości. A kogo obchodzi, gdzie kupcy jadą? Grunt, że produkty kupili, do nowego roku będzie można jakoś przeżyć. Shen zastanawiała się, na jak długo wystarczy im pieniędzy zrabowanych w siedzibie sił specjalnych, na którą napadły? Co będzie, jak się skończą? Polacy pomogą? No tak, to może po prostu od razu przejść na ich pensje i wykonywać każdy rozkaz jak zwykły pracownik, który słucha swego pana? Tamci po akcji podwieźli oddział Shen daleko, na bezludny fragment wybrzeża. Dzięki temu udało się bez pościgu dotrzeć do tej pustelni. Ręka rękę myje – tak można nazwać tę operację. Zapewnili bezpieczeństwo ewakuacji w zamian za zrabowane artefakty. Transakcja z obopólnym zyskiem.

A co dalej? Przejście na obcą służbę, nawet do łaskawego pana, było oddaniem komuś wolnej woli. A poza tym jak to się ma do spraw jej ojczyzny? Obcy mają decydować, jak będzie? Z drugiej strony siedzenie tutaj stawiało Shen przed dylematem, przed którym Sirius i Zaan stanęli bez mała tysiąc lat temu. Jak się utrzymać w dziczy? Można zbójować,

oczywiście. Ale gdy się rabuje na ważnym szlaku kupieckim, to zaraz znajdują się pieniądze na kupno remedium: ochronę transportów przez wojska księcia, akcję pacyfikacyjną w okolicy i najlepszego mistrza tortur, który złapanych rabusiów ku przestrodze wiele dni na rynku będzie męczył. A jeśli wybrać wariant grabieży na szlaku małoznaczym, to co tam rabować? Chłopów, którzy zmierzają ze swoimi plonami na targ, albo rodziny jadące na odpust? Tak czy owak, koło się zamykało.

– Niewesołe myśli?

Podniosła się na łokciach, osłaniając oczy. Kadir, który właśnie wszedł na polanę, był chyba jedynym człowiekiem, któremu obecna sytuacja zdawała się służyć. Wyglądał bardzo dobrze w prostym chłopskim ubraniu. Ogorzały i opalony, dzięki codziennym wycieczkom i skromnym racjom stracił wiele tłuszczu. Jego brzuch był już prawie płaski, a mięśnie ręki, w której dzierżył sękaty kij pieszego podróżnika, wcale nie były sflaczałe.

– Polepszysz mi nastrój? – spytała.

– Nie – odparł szczerze, siadając obok. – Raczej pogorszę.

Wbrew swoim słowom uśmiechnął się jednak szeroko. Odpowiedziała takim samym uśmiechem.

– No to dobijaj – szepnęła. – Niech ci ręka nie zadrży.

– Oj, zaraz dobijaj. – Wzruszył ramionami. – Przyszedłem raczej przyznać się do własnych porażek.

– No to wal.

Dopiero teraz odłożył swój kij i powoli rozmasował twarz.

– Obawiam się, że komisja wojskowa, która odrzuciła moje pomysły dotyczące koncepcji repetowalnych karabinów, miała wiele racji.

Shen zaskoczona podniosła głowę wyżej.

– Przecież dzięki twojej broni zmasakrowaliśmy siły specjalne pod Lai Ho Park! Nie daliśmy im nawet zipnąć.

– Tak. – Potrząsnął głową. – Cudowne karabiny.

– A nie są takie?

– Są – przyznał ponuro. – Tyle tylko, że cudowne karabiny potrzebują cudownych fabryk amunicji i cudownych środków transportu tej amunicji na pole bitwy. A my nie mamy ani jednego, ani drugiego. Nie mamy nawet tyle amunicji, żeby powtórzyć bitwę pod Lai Ho Park.

– Z tym to się akurat liczyłeś. A przynajmniej mówiłeś o tym wcześniej.

– Miałem złudną nadzieję, że produkcję nowej amunicji uda się zorganizować tak jak poprzednio. Wykonanie różnych elementów u różnych wytwórców, a na miejscu złożenie ich do kupy. Lecz to się mogło sprawdzić na wybrzeżu. Gdzie jakaś huta i warsztat są na bez mała każdym rogu ulicy. A w tej dziczy? Nie mam zielonego pojęcia, jak zorganizować produkcję amunicji tutaj. Chyba że kawałek po kawałku, dzień po dniu, i Bogowie jedni wiedzą jak długo to będzie trwało. Przy czym zakładamy, że na pewno nie będzie tego dużo i na długo nie wystarczy.

Kadir urwał, bo trochę się zadyszał z powodu przydługiej przemowy.

– I co w związku z tym? – zapytała.

– Musimy zapomnieć o takiej wojnie, jaką sobie wyobrażaliśmy. Mamy coraz więcej broni, coraz większe zapasy i coraz liczniejsze oddziały. Toczymy wygraną bitwę za bitwą, aż do ostatecznego zwycięstwa. Wydarzenia w Lai Ho Park pokazały, że nigdy nie będzie nas na to stać.

Shen opadła z powrotem na trawę. Znała mężczyzn i ich skłonność do hysterii oraz demonizowania przeszkód. A Kadira znała w szczególności. Wiedziała, że po odmalowaniu wszystkiego w czarnych barwach przedstawi również jakieś sensowne rozwiązanie.

– Co powinniśmy zrobić?

– Trwać w ukryciu. Mówię o naszym oddziale. Nie o tobie.

– A ja co powinnam zrobić?

Rusznikarz zamilkł na dłuższą chwilę. Potem odezwał się, choć trochę niepewnie:

– Powinnaś wyjść z tego ukrycia.

Nie mogła uwierzyć.

– Wyjść? A co z ludźmi?

– Niech się szkolą, kiedy będę gromadził zapasy amunicji, takie, jakie uda mi się wyprodukować tutaj. To potrwa, ale może to i dobrze. A ty... powinnaś iść do miast.

Wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że mi przedstawisz jakąś nową rewolucyjną strategię – zakpiła. – Albo coś konkretnego.

– Ależ tak! – Aż podskoczył na trawie. – Mam nową strategię. Pomyśl: wystarczy nam jedna duża bitwa. Tylko do obezwładnienia przeciwnika. Do zrobienia wyłomu w jego szeregach. A potem nasze siły ruchome wychodzą na jego przestrzeń operacyjną i...



- Jakie siły ruchome? – przerwała mu w pół słowa.
- No... konnica – wyjaśnił.
- Konnica? – powtórzyła powoli. – Aha – mruknęła, biorąc do ust źdźbło trawy. – No to już może powiedz, co mam robić, jak stąd wyjdę.
- Zaczął się śmiać.
- No dobra, przesadziłem z tą konnicą, przepraszam. Ale jakieś siły ruchome musimy mieć.
- Położyła mu rękę na ramieniu.
- Tak, tak.
- Nie rób ze mnie dziecka.
- Wcale nie robię. Samo jakoś tak wyszło.
- Ech... – Znowu ukrył twarz w dłoniach, masując ją powoli. Potem zmienił temat: – Wiesz, ta twoja Sharri ma nieźle poukładane w głowie.
- Miała być kapłanką. Jest nieźle wykształcona.
- Nie mówię o samym wykształceniu, w szkole świątynnej jej tego nie nauczyli. Mówię o jej własnych przemyśleniach.
- Na temat rewolucji? Jakoś się nie udało. Ani koncepcja Randa wzniesienia wybuchu przez rozsiewanie plotek i wysłanie w pole oddziału kadrowego, ani koncepcja polska polegająca na podsycaniu zamieszek nie przyniosły efektu.
- Podniósł dłonie, chcąc powstrzymać potok jej wymowy.
- Po pierwsze wszelkie radykalne zmiany nie zachodzą od razu. Potrzeba kilku prób.
- A skąd ty to wiesz?
- Wykonał uspokajający gest, nie chcąc tłumaczyć w tej chwili rzeczy nieistotnych.
- Po drugie Polacy tak chcieli rewolucji jak ja psiego ogona na własnym tyłku. Podsycali niepokoje jedynie po to, żeby władza poczuła, że się tak wyrażę, własną chwiejność. I odczuła potrzebę pociągnięcia w swoją stronę jęczyczka u wagi, którym powoli się stają.
- Tak. Dzięki temu wynegocjowali takie warunki, jakie chcieli. Dobrze. Sam w związku z tym powiedziałeś, że oni już nie chcą zmian.
- Żachnął się.
- Tego nie powiedziałem. Chwiejna sytuacja bardzo im odpowiada.
- I w związku z tym nie posuną się do tego, żeby ustalić, jak to nazywasz, sytuację po naszej stronie.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Chyba nie zamierzasz robić rewolucji cudzymi rękami?

Zaskoczył ją. Nie no. Oczywiście, że nie. Zaraz! Nagle zdała sobie sprawę, że to Kadir zapędził ją w kozi róg. Przecież ona w ogóle nie chciała rewolucji. Zagryzła wargi. A czego chciała? O Bogowie.

– Wiesz co, abstrahując od tego, czego chce Sharri, powiedz mi, czego ty chcesz.

– Czy to próba uniknięcia odpowiedzi na pytanie, czego chcesz ty sama?

– Nie. – Wymknęła się z pułapki słownej. – Chcę najpierw poznać opinie ludzi dookoła.

Westchnął ciężko.

– Mam dziwne wrażenie, że dotknęliśmy tajemnicy, która naprawdę ruszy z posad cały świat.

– Mówisz o Lai Ho Park?

Skinął głową.

– Wydarzeń nie da się już zatrzymać. Pozostaje więc jedynie wybór: albo ty będziesz poruszać kołem historii, albo ono cię zmiażdży. A i tak wybór jest tylko pozorny.

– Wiem, wiem. Jak na każdym polu bitwy liczy się ten, kto ma inicjatywę. Kto się okopał i czeka, to już po nim.

– Tak. Wykaż więc inicjatywę. Wyjdź z okopu i walcz.

Ile razy to słyszała? A może inaczej: ile razy słyszała to już we własnej głowie?

– Wyjdź i skontaktuj się z Randem – ciągnął. – On teraz pewnie siedzi gdzieś pod polskim bokiem dla bezpieczeństwa. Ale jego organizacja, ludzie, którzy zbierają pogłoski i rozsiewają plotki, jest ciągle w ruchu. Siły specjalne nie zdołały tego zlikwidować.

– I co dalej?

– Dalej... musisz dowiedzieć się, jakim cudem Zakon przetrwał, i to w łonie sił specjalnych, imperium, które stworzył Biafra. A kiedy będziemy już wiedzieć cokolwiek o naszym wrogu, będziemy też wiedzieć, gdzie uderzyć.

Spojrzała na Kadira z powątpiewaniem.

– Nie uważasz, że siły, które ścierają się teraz w imperium, są zbyt potężne, jak na małą Shen?

Odpowiedział pytaniem:

– A jak wielki był Zaan, kiedy zmierzał mrocznym gościńcem ku swojemu przeznaczeniu?



Chen nie miał pojęcia, jak długo jechali. Czuł jedynie, że koła powozu najpierw toczą się po równych płytach miejskich ulic, potem zaczynają się trząść na podmiejskim bruku, przechodzą w łagodne kołysanie na nawierzchni cesarskiej drogi, by wreszcie o mało się nie rozlecieć na drodze gruntowej. Ta część podróży trwała jednak najkrócej. Po chwili wóz wjechał na coś idealnie równego, i to najwyraźniej bez spoin pomiędzy płytami podłoża. W ciemnym wnętrzu nie było niczego widać. Zatrzymywał się kilka razy, z zewnątrz dobiegały niezrozumiałe głosy i szcęk jakichś metalowych mechanizmów. Wśród współwięźniów dało się wyczuć rosnące zdenerwowanie, powoli przeradzające się w strach. Chyba każdy z nich w myślach pluł sobie w brodę, że nie został jednak w strasznym, ale w jakiś sposób przecież swojskim więzieniu.

Wóz zatrzymał się znowu. Usłyszeli odgłosy przesuwania jakichś wrót, a potem drzwi otworzyły się nagle. Oślepiło ich przeraźliwie jasne, zimne światło.

– Wysiadać! Wysiadać! – krzyczał ktoś zachrypniętym głosem.

Ledwie wydostali się na zewnątrz, popychając wzajemnie i szturchając. W nawale upiornej jasności nie sposób było czegokolwiek dostrzec.

– Tędy! Jazda!

Ktoś popychał ich energicznie. Chen zauważył jednak, że nie było to typowe dla strażników więziennych walenie ręką tak, żeby zadać jak najwięcej bólu, w celu zyskania natychmiastowego posłuchu. Ktoś, kto ich prowadził, musiał być pewny swego, posłuch miał zagwarantowany już z góry.

Nikt z więźniów nie mógł zogniskować porażonego zimną światłością wzroku. Czuli raczej, niż widzieli, że wprowadzono ich do wielkiego pomieszczenia.

– No szlag! Oni są skuci!

Znajomość arkapolskiego pozwoliła Chenowi zrozumieć mniej więcej, o co chodzi tajemniczym cieniem, które zbliżyły się od strony jaskrawych

źródeł światła.

– No i co teraz?

– Trzeba ich jakoś rozkuć. No jasna cholera, ja tak nie będę pracował.

– Ty widziałeś choć raz, jak to jest zrobione? Tam jest normalnie trzpień żelazny, rozgrzany do czerwoności i wbity w metal kajdan. Tego się niczym nie otworzy.

– No to przetnij.

– Nie będę ich dotykał ręką przed odwszeniem! – Jeden z cieni się cofnął.

Drugi wyraźnie się wahał.

– No masz rację. – Nagle głos rozległ się z podwójną mocą: – Hej, wy tam! Pod ścianę wszyscy! Rozbierać się!

Spietrana czwórka nie wiedziała, co robić. Okazało się, że Chen najlepiej rozumie mowę obcych. „Pod ścianę”? Znaczy na rozwałkę?

– No, nie śmierdzieć mi tu. Hangar, choć duży, to jednak nie latryna. – Mimo strachu Chen rozpoznał w głosie obcego nutki wesołości. Zrozumiał, że nie na śmierć im każą. – Pod ścianę!

Zaczął popychać współwięźniów w nakazanym kierunku. I jak tu się rozebrać, mając skute ręce? Nie da się ściągnąć tuniki przez głowę. Był tak przestraszony, że zaczął drzeć materiał, nie chcąc choćby okazaniem wahania narazić się obcemu nadzorcy. Reszta poszła za jego przykładem.

Zaczęli krzyczeć, kiedy dosięgnął ich ostry strumień przeraźliwie zimnej wody.

– No już, już tam! Nie zasłaniać się, jaj wam nie urwie! – wrzeszczał strażnik. – Odwracać się! Wszędzie was trzeba umyć, brudasy!

Jeśli oblewanie zimną wodą pod ciśnieniem było torturą, to rzecz, która nastąpiła potem, można było nazwać egzekucją. Z innego szlauchu trysnął na nich biały proszek czy powietrzna zawiesina. Szlag jasny i mniejsza z tym, co to było. W każdym razie piekło, paliło żywym ogniem, skóra zaczynała momentalnie swędzieć.

– Nie wrzeszczeć mi tam! Nie wdychać, bo to trucizna! – Strażnik pokrzykiwał niewyraźnie, bo przed zabiegiem włożył na twarz przedziwną maskę. Na szczęście makabra nie trwała długo.

– No i co? – Jeden z oprawców podszedł teraz bliżej. Chen zauważył szczegóły jego munduru i że był przeraźliwie wysoki. – Spłukani, odpchleni i odwszeni. Co z tymi kajdanami?

- Kowala tu nie znajdziesz. Spróbuj im to przepiłować szlifierką kątową.
- No szlag jasny z tobą. Łapy im poucynam.
- To staraj się nie uciąć.

Ktoś podszedł do nich z dziwnym przedmiotem w dłoniach przywiązany do długiego sznura. Więźniów znowu ogarnął niepokój, a potem któryś nawet krzyknął ze strachu, kiedy przy przecinaniu pierwszych kajdan z tej dziwnej rzeczy wytrysnął strumień iskier. Na szczęście dziwne urządzenie okazało się bardzo skuteczne. W przeciwieństwie do wirującej z głośnym piskiem tarczy metal, którym ich skuto, najwyraźniej był bardzo kiepskiej jakości. Kiedy wszyscy mieli już wolne ręce, rzucono im miejscowe ubrania. Co prawda na mokrą podłogę, niemniej sami mogli sobie wybrać.

W czystej, choć mokrej tunice, ze swobodnymi rękami Chen poczuł coś na kształt wielkiej ulgi. Tu nie mogło być tak strasznie jak w cesarskim więzieniu. Trochę uspokojony, z ciekawością obserwował nowego człowieka, który pojawił się przed nimi. Był wysoki jak wszyscy oni, dość tęgi i miał dużo lepszy mundur od tych ludzi, którzy się nimi zajmowali od początku.

– No i macie, łachudry – powiedział głębokim basem. – Doigraliście się. Za swoje przestępstwa dokonane na terenie eksterytorialnej bazy będziecie tu przymusowo pracować.

Zrobił przerwę dla podniesienia nastroju grozy prawdopodobnie, ale zdradził go głos. Ewidentnie wesoły.

– Przestępstw popełnia się tu dużo – podjął po chwili. – Przestępców dla odbycia kary, zgodnie z umową międzypaństwową, przysyła się tu. Z powrotem. No ale... – Mówca teatralnie pokiwał głową. – Przysyłali tu takich matołów, że strach było na nich nawet patrzeć. A do roboty się żadnej nie nadawali.

Obcy zaczął się przechadzać przed frontem słuchaczy. Ponieważ jednak nie stało ich dużo, robił cztery kroki w jedną stronę i cztery w drugą.

– Tu trzeba trochę myśleć i mieć otwarty umysł. I w związku z tym ktoś świątły z naszego dowództwa wymyślił test na inteligencję. Już w waszym więzieniu sprawdza się, kto jest idiotą i decyduje się na pewną śmierć w mękach i poniżeniu, ale za to „na swoim”, a kto zdecyduje się na niewiadomą, na obcy świat i nieznaną. Otóż... test zdają nieliczni. Z waszej tury udało się to jedynie wam czterem.

Mówca i dwóch strażników, którzy zajmowali się nimi od początku, zaczęli się śmiać.

Trwało to dłuższą chwilę, zanim najważniejszy zdołał podjąć wątek.

– Nie będzie wam tu źle – oznajmił. – A szczególnym wsparciem niech będzie dla was myśl, że wy tu będziecie zarabiać, podczas kiedy reszta tumanów, którzy zostali „na swoim”, będzie harować ponad siły i za darmo aż do rychłej śmierci w strasznym poniżeniu.

Zupełnie nagle roześmiał się nawet jeden z więźniów. Najważniejszy z obcych uznał więc, że jego przemowa spełniła swoje zadanie.

– No dobra. Mówiłem po polsku, więc zrozumieliście może piąte przez dziesiąte. A ja potrzebuję szczególnego człowieka. Niech zatem podniesie rękę ten, kto zrozumiał większość tego, co mówiłem.

Ręka Chena wyprysnęła do góry jak przy rzucie oszczepem. Obcy docenił refleks i zdecydowanie chłopaka. Podszedł bliżej.

– No dobrze. Szybko wyciągasz wnioski i zdałeś drugi test – powiedział ochryplym basem. – Chodź ze mną. A reszta – odwrócił się do swoich żołnierzy – do baraków. I powiedzcie im, co i jak.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Chen dreptał z tyłu, usiłując utrzymać tempo. Tamten miał długie nogi i robił wielkie kroki.

– Na ile mnie rozumiesz, synu?

– Słowa to chyba tak w połowie. Ale sens do mnie dociera.

– Inteligentny jesteś. To słychać.

– Dziękuję, panie.

– Do mnie nie mówi się „panie”.

– A jak, wielki panie?

– Do mnie mówi się „panie sierżancie szefie Lewandowski”!

O matko! O Bogowie wszyscy razem wzięci do kupy! Jak to wymówić poprawnie?! Chen spróbował powtórzyć.

– No nie... – obruszył się sierżant szef. – Powiedziałaś tylko jakieś: błe, błe, błe.

Na szczęście nie chciał, żeby Chen podjął jeszcze jedną próbę. Szli środkiem ogromnego hangaru. Dopiero teraz, gdy opuścili krąg ostrego, zimnego światła, można było ocenić jego rozmiary.

– Posłuchaj mnie, chłopcze, choć pewnie nie od razu dotrze do ciebie sens tego, co powiem. Ty będziesz pracował tylko dla mnie.

– Tak jest, wielki panie – Chen nie zdecydował się na powtórzenie oficjalnego tytułu.

– Ale nie pożałujesz. Należę do tych ludzi, którzy jeśli sami zarabiają, to dadzą też zarobić innym.

W umyśle Chena pojawiła się zupełnie niespodziewana myśl. Może nie myśl nawet, lecz podejrzenie. Kupiecki instynkt zapalił nagle w jego głowie niezwykle jasne światło z napisem: „interes”. Wszystko to może prowadzić w różne dziwne strony. Niemniej uczucie wzbierania gorąca gdzieś w samym środku ciała było po prostu niezwykle.

Sierżant wyprowadził więźnia z hangaru, na szczęście przez zwykłe drzwi, a nie wielkie wrota, które właśnie się otwierały w jakiś cudowny sposób same, bez udziału jakichkolwiek zwierząt pociągowych. Na zewnątrz ciągle była noc, rozświetlana zimną łuną. Na całkowicie płaskim polu obok mimo przedświtu pracowały setki ludzi. Jak mrówki. Bez rozumienia celu miejscowi realizowali narzucone im zadanie, każdy wyznaczony mu fragment. Ale nie to okazało się najciekawsze. Nikt najwyraźniej nie dozorował robotników. Znikąd nie dochodziły krzyki majstrów ani kierowników.

Sierżant pochwycił spojrzenie chłopaka.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego ci tutaj zapierdalają z takim entuzjazmem bez bata nad sobą? – zapytał i zaraz sam sobie udzielił odpowiedzi: – To chciwość, mały, wprawia ich w ruch. Bogini Mamona, nazywana tu robotą na akord. Jest lepsza niż bat nadzorcy. Człowiek wypruwa z siebie flaki sam, na własne wyłączne życzenie.

Chen nie zrozumiał jeszcze, choć bardzo się starał.

– Niewidzialna Mamona jest lepsza niż strażnik, bardziej skuteczna. – Sierżant wyjął z kieszeni pęk kluczy. – I ja w nią wierzę, chłopcze. Jako w jedyne boga, bo tylko to się opłaca. – Na chwilę zrezygnował z wykładu na temat własnego systemu wierzeń i otworzył dość spore drzwi wykonane z falistego metalu. Jakimś cudem, stojąc przecież tuż przy drzwiach, zapalił rząd małych światełek nad szynkwasem oddalonym o dobre kilkanaście kroków! Jak to zrobił? Bo to, że nie nastąpił żaden cud, Chen już wiedział. – Chodź, chodź. – Sierżant poprowadził chłopaka wprost do oświetlonej lady. Kazał mu usiąść na wysokim stołku, a sam przeszedł na drugą stronę. Uruchomił jakieś urządzenie, na obudowie rozbłysły kolorowe światełka, rozległ się głośny syk. – Piłeś kawę?

Chen drgnął zaskoczony pytaniem.

– Moja rodzina zajmowała się dostawami dla dworów i pałaców. Znam kawę, bo ojciec i tym handlował. Ale pić?

– No piłeś czy nie?

Chyba w poprzedniej wypowiedzi było za dużo wyrażeń w miejscowym języku. Żeby wyrazić się dokładnie, Chen za daleko odszedł od arkapolskiego i sierżant mógł nie zrozumieć.

– Raz w życiu piłem. Kawa jest za droga, żeby na mnie marnować.

– Aha.

Sierżant otworzył duży pojemnik, z którego bił łagodny, bardzo przyjemny zapach. Specjalną metalową miarką z długim uchwytem zaczerpnął dość sporo czarnego proszku. Potem krótkim stemplem ubił zawartość i zdecydowanym ruchem umieścił miarkę na jednym z wylotów urządzenia. Szarpnął za rączkę, chcąc całość zablokować. Chen, obserwujący całą procedurę z boku, uznał, że powinien się odezwać.

– Kilka razy piłem z czwartego parzenia.

Sierżant spojrzał na niego uważnie.

– Jest coś takiego jak czwarte parzenie? Dobrze zrozumiałem?

– Tak. Kawa jest bardzo kosztowna. Trzeba ją sprowadzać z daleka – chłopak starał się wyrażać jak najprościej.

– Hm.

Twarz wielkiego sierżanta szefa wyrażała chyba zadowolenie. O ile Chen mógł się zorientować. Tamten w każdym razie majstrował ciągle przy posyjującym urządzeniu. Podstawił małe naczynie pod srebrzysty wypust i mocno szarpnął za wielką czerwoną wajchę. Rozległ się głośny syk i całe pomieszczenie wypełniło się nagle znajomym, choć rzadko spotykanym zapachem.

– O Bogowie... – wyrwało się Chenowi. – Takiego parzenia jeszcze nie widziałem.

– Zaraz spróbujesz.

Sierżant postawił przed nim parujące naczynie, które nazwał filiżanką. Wyjaśnił, że u nich kawę generalnie się słodzi, więc maleńką łyżeczką wsypał do środka trochę białego proszku, który zaczerpnął z innego srebrnego pojemnika. Mieszał długo, potem podsunął chłopakowi.

– Pij.



Chen podniósł naczynie do ust. Wiedział, że napój trzeba pić, póki gorący, ale trochę bał się sparzyć wargi. Niepotrzebnie. Kawa zaparzana tą metodą, choć bardzo gorąca, nie miała już temperatury mogącej parzyć. Najpierw spróbował ostrożnie, potem wziął pierwszy łyk. Napój Bogów! Gorąco rozlewało się niespiesznie w jego wnętrzu. Czuł, jak rozjaśnia mu się umysł, a zmęczenie odchodzi gdzieś w dal. Powoli uspokajały się drżące z napięcia ręce. Jeszcze jeden łyk i jeszcze. Tak, to się pije na dworach. I tylko w takich chwilach jak ta można zrozumieć dlaczego.

– Smakuje?

Chen potwierdził gwałtownym potrząśnięciem głowy.

– No to słuchaj mnie teraz uważnie. – Sierżant z płaskiego pudełeczka, które wyjął z kieszeni, jednym pstryknięciem w denko wystrzelił papierosa, którego sprawnie chwycił ustami. Zapalił i głęboko zaciągnął się dymem. – U was za kawę płaci się złotem, prawda? – Nie oczekiwał jednak odpowiedzi. – U nas to popularny napój. Nie taki znów tani. Mówię oczywiście o dobrej kawie, a nie o ciepłym płynie barwionym na czarno, który sprzedaje się w sklepach dla biedoty.

Chen, chłonący przemowę z wypiekami na twarzy, nagle wyobraził sobie kraj, w którym biedota kupuje sobie... kawę. Choćby i pośledniego gatunku. Westchnął tylko i skupił się, nie chcąc uronić niczego, ani jednego słowa. Czuł, że zaraz usłyszy o jakiejś olśniewającej koncepcji.

– No i słuchaj – kontynuował sierżant. – Za jakiś czas pewnie zacnie się między naszymi krajami handel. Siłą rzeczy od zaspokajania doraźnych potrzeb przejdziemy do handlu opłacalnego. A wtedy ceny kawy dramatycznie u was spadną. Póki co jednak nie spadają i będzie tak jeszcze przez pewien czas.

– Który chcesz wykorzystać, wielki panie – wpadł mu w słowo Chen, czym wyraźnie ucieszył sierżanta.

– A to dobrze sobie wybrałem – mruknął. – Cwany jesteś, chłopcze. – Pokiwał głową z uznaniem. – To i dobrze. Problemów będzie mniej i wyręka duża.

– Będę ci służył.

– Nie służył! – Teraz sierżant wyraźnie się obruszył. – Pamiętaj: to nie nadzorca z batem i niewolnik pracują najbardziej wydajnie. Lepiej jest, jak bogini Mamona rządzi i wprawia wszystko w ruch. Ty nie będziesz moim

sługą, ale partnerem. Nie bat, nie słowo i lojalność, tylko chciwość będzie cię wprawiać w ruch! Zrozumiałeś?

Chen zaczerpnął głęboko powietrza. Zaczynał rozumieć. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

– Tak, wielki panie. Twoja mądrość jest ogromna...

– To mądrość kupca, durniu – przerwał mu sierżant. – Mój dziad był handlarzem, mój ojciec był handlarzem i ja byłbym. A to wojsko – uderzył się wierzchem dłoni po naszywkach – to tylko z powodu kryzysu. Ale i tak zostałem tu sierżantem szefem od zaopatrzenia, a nie jakimś dupkiem, który siedzi na wygwizdowie w okopie i strzela Bóg jeden raczy wiedzieć do kogo.

Chen potwierdził skinieniem.

– To Bogowie zesłali cię tutaj, a mnie postawili w pobliżu – powiedział.

– No i nareszcie zaczynasz myśleć jak kupiec – roześmiał się sierżant. – Oczywiście, że Bogowie, bo nam sprzyjają. Oni zresztą zawsze sprzyjają optymistom i tym, którzy nie mnożą przeszkód.

Chen roześmiał się dla towarzystwa. Było to duże bluźnierstwo, ale na szczęście nie był przesadnie religijny.

– No to słuchaj dalej. Kawy w naszych magazynach jest od zajebania.

– Aha. I my tę kawę w nocy...? – Chłopak wykonał ruch ręką, jakby coś zagarniał.

– Idiota! – skwitował go sierżant. – Toż to przestępstwo. Pamiętaj, niczego nie będziemy kraść, nikogo oszukiwać.

– To jak zrobimy?

– Widzisz, teoretycznie mógłbym tę kawę kupować z magazynów. Ale ile kupię? Przecież pociągów z kawą nie będą dla mnie sprowadzać. A nawet i mniejsze ilości będą podejrzane. Ziarna są dla wojska i jeśli pozwolą coś kupić, to tylko detal.

Chen chłonał każde słowo. Czuł, że właśnie teraz usłyszy coś przełomowego. Sierżant musiał już rozwiązać ten problem.

– Skąd więc wziąć hurtowe ilości kawy potrzebne do zbitcia fortuny? – zapytał sierżant retorycznie, a potem podniósł rękę i kiwnął na chłopaka palcem. – Chodź tu do mnie.

Chen zeskoczył z niewygodnego, wysokiego krzesła, pobiegł na bok, gdzie znajdowało się przejście w szynkwasiu, i po chwili stał już po drugiej stronie baru, przy urządzeniu do parzenia kawy.

– Widzisz to coś? – Sierżant wskazał miarkę, którą zamontował do urządzenia. Teraz chwycił za rączkę, szarpnięciem odblokował mechanizm przytrzymujący i zdjął miarkę, podsuwając pod oczy swojego przyszłego partnera. – Wiesz, co się z tym robi?

Chen zaprzeczył ruchem głowy. Sierżant przesunął miarkę nad pojemnik stojący na podłodze pod barem i wysypał użytą kawę do środka. Potem, żeby opróżnić dokładnie, postukał rączką o krawędź pojemnika.

– I tak się robi z każdą porcją. Ale nie powiem ci, co robi się z zawartością całego kosza, bo runiesz na kolana i zaczniesz całować podłogę.

Chen dał się zaskoczyć.

– Co się robi? – zapytał.

– Wyrzuca na śmieci – odparł sierżant szef.

To niemożliwe! To się nie może zdarzyć! To jest tak nieprawdopodobne, że... Chen złapał się na tym, że istotnie runął na kolana. Ale nie po to, żeby całować podłogę. Chwycił i przycisnął do siebie kosz. Żołnierz na stołku baristy śmiał się coraz głośniej.

– Tak, tak, na śmieci – powtórzył, zaciągając się dymem. – Moim zadaniem będzie, żeby to nie powędrowało na wysypisko, tylko żebyś ty mógł przejść. Twoim będzie kawę wysuszyć, popakować i sprzedawać. Wynajmij jakichś mądrali, którzy wymyślą, jak najlepiej suszyć, zorganizuj dystrybucję, a tu wracaj tylko po nowy towar i żeby się rozliczyć.

Chen, ciągle na kolanach, nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Został... Został wybrańcem Bogów normalnie. Taki interes, takie pieniądze, fortuna, znaczenie, otwarte drzwi na każdym dworze, w każdym pałacu.

– Panie, będę ci służył, będę wierny jak pies, będę...

– Nie zapewniam o niczym! – sierżant przerwał potok jego wymowy. – To Mamona wprawi cię w ruch. Od wszelkich zapewnień, lojalności, długu wdzięczności czy przyjaźni lepiej jednak liczyć na chciwość.

Trudno było się nie zgodzić. Święte słowa. Sierżant jednak nie zaprzętał sobie głowy takimi drobiazgami. Po wyrazie twarzy widać było, że teraz dopiero zamierza powiedzieć o najważniejszej kwestii.

– A teraz kruczek – powiedział.

– Co?

– Teraz powiem ci, jaki w tym wszystkim tkwi kruczek. – Widząc, że Chen nie rozumie, dodał: – Kruczek, paragraf, haczyk, subtelność, niuans.

Różnie to zwą.

– Nie rozumiem.

– Widzisz. Co kto robi ze śmieciami, nikogo nie interesuje. Ale jeżeli ktoś zacznie się bogacić, mieć lepiej, w ogóle robić cokolwiek z sensem, to wszyscy dookoła zaczną się wkurzać. Liczba wrogów wzrośnie.

– Dalej nie rozumiem.

– Ależ to proste. Zostań królem i wszyscy padną na pysk przed tobą. Zostań trochę lepszym, wyjdź ze dwa kroki przed szereg, wtedy przyjaciele cię rozerwą na strzępy.

– Zdziobią. To rozumiem.

– No właśnie. I dlatego potrzebujemy opiekuna.

Chen gwałtownie przytakiwał.

– To też rozumiem. Trzeba mu będzie płacić.

Sierżant zachnął się tylko.

– Ani mi się waży nawet tak myśleć! Łapówka? Nie tutaj, nie z tymi ludźmi. – Zaciągnął się po raz ostatni i zakiepował papierosa w lśniącej metalicznie popielniczce. – Posłuchaj. My jesteśmy na obcej ziemi. Wszystko zależy od informacji, którą możemy otrzymać. I na tym polu marynarka wojenna zdobyła za dużą przewagę. W sztabie złym okiem na to patrzą. Złym okiem widzą, jak się Wentzel wygłupia, jak jego wpływy rosną, jak jego ludzie stają się jęczyzkiem u wagi. Nie, nie. Wojsko polskie to nie marynarka wojenna. Dlatego myślę, że na nas łaskawym okiem spojrzą siły lądowe albo lotnictwo. Ja jestem z kwatermistrzostwa. Mnie z każdym po drodze.

– Co mam robić?

– Widzisz, służby się gryzą, a mądry korzysta. Pewni ludzie nie pozwolą jednak, żeby nam włos z głowy spadł, jeśli codziennie do ich uszu będą płynąć informacje, których oni potrzebują. Informacje ważne i nieważne, o szczególnych zdarzeniach i o wszystkim. Wiadomości muszą płynąć nieprzerwanie. Wtedy będziemy nietykalni.

Chen, nadal na kolanach, z przytulonym do siebie pojemnikiem na zużytą kawę, zaczynał rozumieć. Cóż, wszystko ma swoją cenę. Niekoniecznie mierzoną w pieniądzu. A on głupi nie był. Zdawał sobie sprawę, że kawowy interes otworzy przed nim wszystkie drzwi. I to te najważniejsze w imperium. A gigantyczne dopływy gotówki z handlu potrafią otworzyć każde usta. Coś za coś. Nie znał się na panteonie i

systemie wiary ludzi zza gór, ale ich bogini Mamona była chyba rzeczywiście największą i najsilniejszą z bóstw po tamtej stronie. Czuł też wyraźnie, że i po tej stronie wiele miała do powiedzenia.

– Rozumiem – powiedział bez wahania.

Sierżant westchnął tylko. Umowa z dodatkowym paragrafem została właśnie przypieczętowana.

– Jeszcze kawki? – Uśmiechnął się kpiąco, sięgając po metalową miarkę.

– Świt zaraz. Kłaść się spać nie ma już potrzeby.



## Rozdział 2



Orp „Dragon” nie miał zadań na tej półkuli, a z powodu tajemnicy nie mógł wrócić teraz do macierzystego portu. Właściwie nie wiadomo było, do czego go użyć. Nie miał żadnych przeciwników, z którymi mógłby związać się walką. Nie wyglądał reprezentacyjnie jak orp „Poznań”, który też nie miał przeciwników, ale przynajmniej prezentował się godnie i groźnie, więc mógł podnosić rangę ambasadora przy różnych oficjalnych uroczystościach. A „Dragon”, choć był bardzo groźny w istocie, groźnie nie wyglądał i dlatego jego istnienie trzymano w tajemnicy przed oficjelami na tej półkuli. Używany był wyłącznie do misji specjalnych, jak choćby dyskretne wywiezienie oddziału Shen z rejonu zagrożenia. Tak samo było teraz, podczas misji badawczej mającej odkryć, co się stało z załogą wysłanego na rozpoznanie do Banxi statku ms „Gradient”. I tu „Dragon” pokazywał wszystkie swoje zalety. Kiedy morze się burzyło, a goście na pokładzie cierpieli na chorobę morską, można go było po prostu zanurzyć i pasażerowie natychmiast zyskiwali pożądaną ciszę oraz spokój. Tak stało się i tym razem. Dodatkowo kapitan Kozłowski udostępnił ekipie badawczej największe pomieszczenie na okręcie, żeby zapewnić odpowiednie warunki pracy. Notabene nie doszło do żadnych animozji z powodu faktu, że dawny podwładny jest teraz wyższy stopniem. Kozłowski dobrze wiedział, że uniknął sądu wojennego za wymordowanie załogi statku Kai wyłącznie dzięki interwencji Tomaszewskiego u admirała

Wentzla. I potrafił to docenić. A co najważniejsze, nie usiłował mieszać się do prac ekipy badawczej.

– I co? – Kai rozsiała się przy niewielkim stole, na którym stał okrętowy projektor. – Czy technikom udało się wywołać filmy?

– Przynajmniej częściowo, owszem. – Tomaszewski położył na stole kilka metalowych, okrągłych pudeł. – Z różnym skutkiem jednak.

– Co to znaczy?

– Może ja wytłumaczę – wtrącił się inżynier Załuski. – Trochę się znam na taśmach filmowych.

Wyszyńska stojąca za jego plecami zrobiła minę w rodzaju: „No jak możesz tak mówić, przecież nie masz zielonego pojęcia” i Kai mało nie ryknęła śmiechem. Tomaszewski uratował się tym, że nagle odwrócił głowę, niby to szukając czegoś w rejestrze. Załuski na szczęście niczego nie zauważył i ciągnął niezrażony:

– Niewywołane taśmy zasadniczo mogą leżeć nawet kilkadziesiąt lat. Oczywiście przechowywane w odpowiednich warunkach.

– Przecież były – powiedziała Kai. – I w blaszanych pudełkach, i w tym czarnym papierze.

– Niestety, brak dostępu światła to nie wszystko. Tu mamy do czynienia z morskim, bardzo wilgotnym powietrzem, dodatkowo niosącym ze sobą różne substancje porwane z lądu przez wiatr.

Wyszyńska złożyła ręce jak do modlitwy i zrobiła minę niczym żałobnik nad grobem. Tomaszewski w ostatniej chwili zakrył twarz rejestrem. Kai, choć drgały jej mięśnie zaciskanych szczęk, jakoś wytrzymała. Załuski, nadal niczego nie zauważając, kontynuował:

– Do tego dochodzi wpływ niesłychanych dosłownie anomalii pogodowych, jakie napotykamy w tym regionie.

– Czy takie same anomalie można było zauważyć w dolinie Sait? – zapytała Kai.

– Owszem, choć nie porównujemy skali. W przypadku Sait mieliśmy do czynienia głównie z przedziwnymi nieprawidłowościami klimatu. Ten obszar leży przecież bardzo blisko równika, znajduje się więc w strefie tropikalnej. I z jednej strony mamy tam mnogość owadów, od komarów, muszek, meszek po latające mrówki...

– Latające i gryzące!



– Właśnie. A jednocześnie zakres panujących tam temperatur pasuje raczej do strefy umiarkowanej. No, nie powiem prawie polarnej, ale przypominam, że chodziliśmy tam w grubych płaszczach i ciepłych kurtkach. Żołnierze z imperialnego korpusu opowiadały, że wręcz potwornie tam marzły! A mówimy o tropikach.

– No fakt.

– Proszę zwrócić uwagę, że w położonym daleko bardziej na południe, a więc dalej od równika, Negger Bank nosimy koszule z krótkimi rękawami i szorty. A miejscowi uważają, że cieniutka tunika na gołe ciało jest absolutnie największym ustępstwem na rzecz obyczajowości, na jaki są w stanie się zgodzić.

– Mieliśmy mówić o taśmach – przypomniała mu Wyszyńska.

– Mówię o czynnikach, które miały wpływ na jakość zdjęć.

– Nie powiesz chyba, że podniszczyła je temperatura.

– Nie wiem, co je podniszczyło. Mówię o wpływie wielu czynników, których większości jeszcze nawet nie znamy – odparł Załuski niezrażony. – Nie wiemy dokładnie, co wiatr niesie ze sobą na pełne morze.

– Nie jesteśmy fachowcami od powietrza. Nawet nie mamy tego czym zbadać.

– Chwileczkę – wtrąciła się Kai, chcąc zapobiec sprzeczce. Doroślała wyraźnie z każdą chwilą. A dodatkowo na stan jej powagi wpływał elegancki mundur oficera marynarki wojennej, który zresztą bardzo pasował do jej urody. Wyszyńska potrafiła zręcznie wykorzystywać ten stan umysłu czarownicy.

– Pani kapitan! – powiedziała teraz ze śmiertelną powagą, robiąc tym dziewczynie wielką przyjemność. – Pani się wtrąca do cywilnej rozmowy.

– Kłótni! – Kai nie pozostawała dłużna. – Nie da się przecież zaprzeczyć, że tu też występują anomalie pogodowe. Generalnie jest mróz, sztorm, a wicher urywa głowę. Chwilę później wiatr może niespodziewanie ścichnąć, a temperatura rośnie tak, że marynarze na pokładzie rozbierają się do koszul.

– Do tego dochodzą przedziwne anomalie magnetyczne – poparł czarownicę Załuski. – Kompasy praktycznie tu nie działają. No dobrze – nagle poprawił sam siebie. – Są momenty, kiedy działają, i momenty, kiedy nie działają.

– A co kompasy robią między tymi momentami? – zapytała Wyszyńska.

– Proszę mnie nie chwytać za słowa – zachnął się inżynier. – Chcę powiedzieć, że gdyby nie nasze żyrobusole, w ogóle nie moglibyśmy żeglować po tych wodach. Pułap chmur niski, rzadko się rozstępują, więc gwiazdy, słońce i starożytny sekstans okazują się nieprzydatne.

– Krokomierz się nie myli i wie wszystko.

– Oj, tak, bardzo zmyślał po ostatniej naprawie – tym razem zakpił Załuski. – Wręcz można z nim prowadzić dyskusje intelektualne.

– Na szczęście nie został zaprojektowany do omawiania ostatnich premier teatralnych. Po prostu prowadzi nas bezbłędnie mimo wariujących przyrządów.

– A ciekawe, co będzie, jak nam zabraknie prądu? I powysiadają te nasze wspaniałe radionamierniki i żyrokompasiki, i wszystkie gównaliki?

– Panie inżynierze!

– Ja tylko mówię, że kiedy staną nasze zabaweczki, to kompas wtedy nie zadziała i jesteśmy w ciemnej du... – Załuski nie dokończył. – Pani inżynier!

Przekomarzali się. Byli oczywiście na ty. Tomaszewski uznał jednak, że należy się wtrącić.

– Drodzy państwo. To, że w pobliżu Banxi występują przedziwne zakłócenia, jak choćby w przypadku łączności radiowej, jest faktem. Ale rozmawiamy o taśmach filmowych. Czy anomalie miały wpływ na proces wywoływania materiałów?

– Tak, miały – powiedział Załuski. – Wiele zdjęć jest prześwietlonych. To jest częściowo prześwietlonych albo, nie wiem, jak powiedzieć... „przejaśnionych”, jakby operator miał problemy z przesłoną.

Wyszyńska wydeła wargi, znowu przedrzeźniając go za plecami.

– Po prostu amator robił zdjęcia. Skoro pudła i opakowanie były nienaruszone. Bez dostępu do światła.

– Promieniowanie jonizujące może zniszczyć kliszę.

Tomaszewski zdziwiony podniósł wzrok.

– A skąd tu promieniowanie jonizujące?

Wyszyńska najwyraźniej sama nie miała pojęcia. Widać było, że autentycznie szuka po omacku.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami.

Tomaszewski zerknął do teczki z raportami. W sztabie już działała specjalna komórka, która zajmowała się katalogowaniem map, zdjęć

lotniczych, a także badaniem ludowych legend. Kiedy chłopcy powzięli jakieś podejrzenia, konsultowali się z miejscowymi kartografami (w tym zakresie obopólnie korzystna współpraca dosłownie wrzała). Czasem wysyłano zwiad. Czasem opierano się na miejscowych próbkach, jeśli takie były.

Szybko dotarł do odpowiedniej notatki, do której dołączono nawet szkic mapy.

– Gdzieś tu w okolicach badacze spodziewają się bogatych złóż uranu. Właśnie na drodze do Banxi. Oczywiście to na razie tylko podejrzenia wymagające badań.

Oboje inżynierowie zachnęli się momentalnie.

– Nie, nie, nie! – Wyszyńska zaprzeczyła ruchem głowy. – Żaden wiatr nie jest w stanie wywiać z ziemi tyle uranu, żeby to miało wpływ na zamknięte w metalowych kasetach filmy.

– Absolutnie niemożliwe – potwierdził Załuski. – To musiałoby być coś daleko bardziej skondensowanego.

No to znaleźli się w kropce. Zresztą technicy na okręcie podwodnym nie byli specjalistami od wywoływania filmów. Może po prostu oni coś sknócili?

– Natomiast co do zakłóceń fal radiowych, to całkowita racja – podjął Tomaszewski. – Mówiłem przedtem, że „Gradient” nadał depeszę z zawiadomieniem o niebezpieczeństwie. Jedną.

– Tak, pamiętam. – Załuski podniósł głowę znad swoich notatek, które zdążył rozłożyć sobie na kolanach.

– Kazałem sprawdzić rejestry łączności na orp „Sęp”. Otóż lotniskowiec odebrał co najmniej kilka zawiadomień o niebezpieczeństwie.

– I jak to? – odezwała się Wyszyńska. – Radiooperatorzy na lotniskowcu zignorowali te wezwania?

– To nie były wezwania o pomoc. Jedynie zawiadomienie o niebezpieczeństwie.

– Bez znaczenia. Chłopcy z nasłuchu nic z tym nie zrobili?

– No właśnie. Przekaz był tak zakłócony, że niezbyt wiadomo, czego dotyczył. Mimo wezwań depesze nie były powtarzane.

– I to nie wzbudziło niczyjego niepokoju?

Tomaszewskiemu nie chciało się tłumaczyć wszystkich problemów z obiegiem dokumentów na jednostce tak wielkiej jak lotniskowiec,

dotatkowo zamieniony w centrum łączności sztabu. Zlecił śledztwo w tej sprawie. Nie po to, żeby pusto kogoś karać, ale żeby z pierwszej ręki dowiedzieć się przynajmniej o wrażeniach radiowców z nasłuchu.

– Poprosiłem Rosenbluma o pomoc. Powiedział, że zajmie się tym osobiście.

– Kiedy przyśle raport?

No tak. Tylko cywil mógł powiedzieć coś takiego.

– Kontradmiral nie jest moim podwładnym. Powiedział, że potraktuje moją prośbę jako priorytet.

– Kiedy więc będziemy mogli z nim porozmawiać?

Tym razem to Kai westchnęła zniecierpliwiona.

– Ja się może na tym nie znam – powiedziała – ale wiem od naszych radiowców, że mamy dokładnie takie same kłopoty z łącznością jak załoga „Gradienta”. I w związku z tym myślę, że do żadnej rozmowy nie dojdzie. Dostaniemy co najwyżej służbową notatkę przesłaną za pomocą tych kropek i kresek.

– A i to jak będziemy mieli szczęście.

Czarownica, która psim swędem zajęła najlepsze krzesło w pomieszczeniu, wyściełane, z odchylanym oparciem, właściwie prawie fotel, przeciągnęła się tak, że usłyszeli trzaski w stawach. Potem ziewnęła rozdzierająco.

– Czy moglibyśmy zakończyć tę niezmiernie ciekawą dyskusję i zobaczyć nareszcie, co jest na filmach?

– Popieram – zawtórowała Wyszyńska.

Załuski tylko machnął ręką. Złożył notatki, które trzymał na kolanach, i odwrócił swoje krzesło przodem do ekranu.

– Ostrzegam, że nie zobaczycie niczego przesadnie ciekawego – powiedział Tomaszewski, gasząc światło.

– Umiejętnie podgrzewa atmosferę, prawda? – Czarownica szturchnęła panią inżynier.

– Tak. Racja.

– Same panie chciały. – Oskarżony o efekciarstwo włączył lampę w projektorze, wentylator, a potem uruchomił terkoczący silnik. – Ten film jego twórca zatytułował „Zjawiska”.

Na ekranie najpierw pojawiło się logo producenta taśmy wraz z tablicą parametrów, potem skaczące cyfry określające rozbieg. Dopiero po dłuższej

chwili zobaczyli dużą kabinę na „Gradiencie”. Był to albo podręczny magazyn, albo jakaś przebieralnia. W szafkach po bokach wisiały kombinezony używane do prac technicznych, sztormiaki, na ścianie naprzeciwko obiektywu zawieszono sprzęt przeciwpożarowy: szlauchy, gaśnice, koce ratunkowe z azbestu i tym podobne drobiazgi. Kamere ustawiono na stole. Wiele kadrów było całkiem prześwietlonych, wiele przynajmniej częściowo. Obraz drgał i skakał trochę, ale bardziej było to wynikiem złej synchronizacji projektora niż wadą materiału.

Na ekranie nic się nie działo. Sekundy filmu mijały szybko, a w pomieszczeniu ciągle nic się nie ruszało. Gdyby nie lekkie drganie, można by było odnieść wrażenie, że mają do czynienia z pojedynczą fotografią, jednym slajdem.

– I to wszystko? – spytał Załuski. – Tak będzie do końca filmu?

– Mówiłem, żeby nie spodziewać się cudów – mruknął Tomaszewski. – Zaraz jednak coś się zacznie dziać.

Siedzieli w milczeniu, coraz bardziej znudzeni. Nagle Kai krzyknęła cicho. Wszystko na ekranie poruszyło się o ten sam kąt. Szafki po lewej stronie ekranu zamknęły się, wszystkie naraz, szafki po prawej przeciwnie, otworzyły. Każdy ze szlauchów, lin i luźnych przedmiotów przechylił się w lewo pod kątem jakichś trzydziestu stopni.

– Co to jest? – w głosie Kai słychać było nutki jeśli nie strachu nawet, to zaniepokojenia.

– Już tłumaczę – powiedział uspokajająco Załuski. Wyjął z kieszeni kartonową paczkę i wysypał z niej na stół wszystkie papierosy. Potem włożył do środka pudełko zapalek. – Proszę popatrzeć. Pudełko zapalek jest jak kamera. Przymocowana do statku, kartonika, na sztywno. Jeśli statek się kołysze, to kamera wraz z nim. – Powoli przewracał paczkę papierosów na lewo i prawo. – Dla obserwatora, który widzi tylko film rejestrowany przez pudełko zapalek, nic się nie dzieje, kąt pomiędzy urządzeniem a ścianami jest cały czas taki sam. Wyświetlany obraz jest więc idealnie nieruchomy. Jeśli jednak powiesimy coś na ścianie paczki papierosów – użył do demonstracji kawałka jakiejś nitki – to przedmiot taki będzie się kołysał, konkretnie: odchyłał, czyli zmieniał swój kąt w stosunku do ścian. I mamy efekt taki jak na ekranie. Kamera zachowuje swój kąt do ścian i mimo że się kołysze razem z nimi, my tego nie zauważamy. A luźne przedmioty się ruszają i to widzimy.

– Aleś to mądrze wywiódł – skrzywiła się Wyszyńska. – Ja ledwie zrozumiałam. – Odwróciła głowę do Kai. – Chodzi o to, że ruch przedmiotów na ścianie w pozornie nieruchomym pomieszczeniu jest naturalny.

– Jeśli to kołysanie statku, to jak pani wytłumaczy, że... – urwał, bo przedmioty na ekranie powróciły nagle do poprzedniego stanu, zwisając znowu mniej więcej prostopadle do podłogi. – Że nastąpił jeden przechył o jakieś trzydzieści procent, a później pokład wrócił ni stąd, ni zowąd do początkowego położenia?

– Tego nie wiem. Może to był nagły wychył na zakręcie? Po prostu wykonali nagły skręt i to tylko siła odśrodkowa.

– I co? Wychył taki idealny, jakby morze było lustrem?

– Czemu nie? Zresztą to chyba jedyne realne wyjaśnienie.

– Mało prawdopodobne. My tu nigdy nie mieliśmy idealnie spokojnego morza.

– A skąd dziwny tytuł filmu: „Zjawiska”? – zainteresował się Załuski.

– Oj, nie demonizujmy. Miałam w stoczni znajomego pomocnika księgowego. Wkładając wypłaty do kopert, tytułował każdą: „Sprawa Kowalskiego, numer” i takie tam.

– Może chciał się poczuć jak agent służb wewnętrznych?

– A może po prostu mu się nudziło. Nie demonizujmy – powtórzyła Wyszyńska.

– Dalej jest to samo? – zapytała Kai.

– Tak. Jeszcze dwa wychylenia rzeczy wiszących na ścianie. Oba w tę samą stronę.

Siedzieli, czekając w milczeniu, aż film się skończy. Nie było żadnych zaskoczeń. Prześwietlenia i niekiedy zupełnie prześwietlone kadry sprawiały, że od patrzenia na ekran zaczynały boleć oczy. Powtórzony dwa razy efekt przemieszczenia się wiszących rzeczy nie robił już takiego wrażenia jak poprzednio.

– Dziwne przechyły – skomentował tylko Załuski. – Delikatnie mówiąc. – Odwrócił głowę i jednocześnie podniósł podbródek, żeby nie widać było za bardzo tworzącej się na czubku głowy łysiny. – Mam nadzieję, że następną pozycją będzie jakiś film akcji, a nie żenująca awangarda, gdzie nic się nie dzieje.

– Będzie według życzenia widowni. – Tomaszewski śmiał się, zakładając następną szpulę. – Nędzny akcyjniak bez żadnych wyższych aspiracji.

Kolejny film był, niestety, takiej samej jakości jak poprzedni. Mnóstwo prześwietlonych kadrów i całość w ogóle jakby przepalona z jednej strony, a ciemnawa z drugiej. W dodatku operator miał kłopoty ze złapaniem ostrości. Całość zrealizowana została wyłącznie na dalekich planach.

– To jakiś amator – mruknęła Wyszyńska. – Albo trzyma kamerę w rękach.

Tomaszewski nie komentował. Troszeczkę poprawił ostrość, regulując soczewki projektora.

Zobaczyli łódź, której brakowało na zaczepach „Gradienta”. Całkiem spora jednostka. Filmowana chyba z pokładu statku na bardzo dużym zbliżeniu i dlatego wszystko na ekranie skakało, utrudniając skupienie wzroku. Na łodzi znajdowało się pięciu członków załogi. Morze wokół niespokojne, ale bez fal olbrzymów. Na pokładzie jakieś zamieszanie.

– Co to jest? – Wyszyńska przysunęła się bliżej ekranu, ale niczego jej to nie dało. Natomiast na srebrnej powierzchni ukazał się jej cień, przeszkadzając pozostałym.

– No nie... – Załuski machnął ręką. – Do tyłu!

– Już, już, przepraszam.

Ludzie na łodzi przyglądali się czemuś na powierzchni morza, każdy z innej strony. Sternik usiłował manewrować. Krzyczał coś do pozostałych. Marynarze jakby machali rękami, wygrażając komuś lub czemuś pod powierzchnią wody.

– Co oni robią? – zapytała Kai.

– Strzelają do czegoś z pistoletów, jak sędzę – powiedział Tomaszewski. – Zaraz powinnaś zobaczyć wyraźniej.

Obraz był bardzo zamazany. Ale rzeczywiście. Jeden z ludzi na pokładzie wyjął coś ze schowka przy sterze.

– Pistolet maszynowy! – Załuskiemu wyrwał się okrzyk.

Postać na ekranie przeładowała szybko, skierowała lufę w stronę morza i zaczęła strzelać.

– Krótkie serie – mruknął Tomaszewski. – To nie jest panika. On w coś celuje.

– Zgadzam się – powiedziała Wyszyńska. – To ogień mierzony.

Ktoś jeszcze doskoczył do schowka. Nastąpiła krótka szarpanina ze sternikiem. Tak jakby dwaj ludzie zaczęli się o coś kłócić. I to bez przelewek.

– Czy możemy zrobić zbliżenie? – Wyszyńska znowu przysunęła się do ekranu, znowu pojawił się na nim jej cień i znowu musiała się odsuwać.

– Tutaj? Na czym?

– Nie jest pan w stanie jakoś przybliżyć obrazu?

– Tu w ogóle nie ma takiej możliwości. Trzeba by było sfotografować każdą klatkę albo zrobić stykówki. I dopiero je powiększać. Zdjęcie po zdjęciu. Wyciąć odpowiednie fragmenty, no i sklejać znowu w film.

– A możemy zrobić stop–klatkę?

– Tak. Ten projektor to umożliwia.

Na ekranie człowiek, który szarpał się ze sternikiem, albo wygrał w przepychance, albo przekonał tamtego. Wyjął ze skrytki jakiś pakiet i chwiejąc się na nogach, zaczął coś rozdawać pozostałym członkom załogi.

– Co to jest?

Pytanie Załuskiego pozostało bez odpowiedzi.

– A teraz co robią? – nie ustępował inżynier.

– Rzucają...? – powiedział Tomaszewski niepewnie, co zabrzmiało jak pytanie.

– Rzucają – poparła go Kai, marszcząc czoło, jakby miało jej to pomóc w dostrzeżeniu szczegółów.

– Zróbmy stop – powiedziała Wyszyńska.

Tomaszewski włączył dodatkowy wentylator przy lampie i zatrzymał przewijanie taśmy.

– Możemy przewinąć trochę do tyłu?

Nie było innej możliwości, nawet zwykłej korbki monterskiej, więc chwycił szpulę palcami i po prostu pociągnął w tył. Niestety, na stop–klatkach postaci ludzi były rozmazane. Ale Wyszyńskiej najwyraźniej nie chodziło o szczegóły. Znowu nachyliła się w stronę ekranu.

– Jeszcze, jeszcze – powtarzała cicho, wpatrując się w poszczególne kadry. – O! Stop! O to chodziło.

– I co tu widać? – Kai nachyliła się również.

– Gejzer.

– Co?



– Gejzer na powierzchni wody. – Wyszyńska wskazała rozmazany ślup wody za burtą łodzi. – Ślad wybuchu.

– Oni na tym filmie rzucają granaty – wyjaśnił Tomaszewski.

– Bogowie, po co? – Czarownica spojrzała na niego zaskoczona.

– Coś ich atakuje spod spodu? – Wzruszył ramionami. Znowu zabrzmiało to jak pytanie.

– Na pełnym morzu?! – nie mógł uwierzyć Załuski.

– Możemy puścić dalej? – zapytała Wyszyńska.

Tomaszewski uruchomił projektor. Łódź chyba nabierała wody. W każdym razie ktoś stanął na rozstawionych nogach, zaczął czerpać wodę z dna kubelkiem i wylewać za burtę. Trudno się dziwić, skoro zafundowali sobie kilka eksplozji granatów pod kilem. To dlatego sternik tak protestował. Teraz jednak usiłował manewrować sterem i silnikiem. Wykonywał zwrot w stronę operatora kamery. Dokładnie w chwili, kiedy widzom wydawało się, że tuż pod powierzchnią morza pojawiają się ciemne kształty, film się urwał.

Kai jęknęła z zawodu.

– A może jeszcze zrobimy stop–klatkę ostatniego kadru?

– Możemy. Ale niewiele zobaczysz.

– A te ciemne kształty?

– Po prostu plamy. Przy tej jakości taśmy na stop–klatce nic nie widać poza zamazaną plamą.

– Pan komandor ma rację – poparła Tomaszewskiego Wyszyńska. – Co z pozostałymi filmami?

– Technicy pracują nad nimi. Widząc efekty dotychczasowej roboty, chcą postarać się trochę bardziej i postępować bardziej delikatnie z obróbką.

– To dobrze. Ależ mnie głowa boli, czy mógłby ktoś zaparzyć kawę?

Wyszyńska zdała sobie nagle sprawę, że chyba palnęła gafę. Nie sposób posłać po kawę komandora, Załuski był mężczyzną, a Kai, mimo że młoda siksa, była w stopniu kapitana, i to w dodatku w mundurze. I tak mniej więcej z towarzyskich zależności wynikałoby zatem, że parzeniem powinna się zająć właśnie ona. Na okręcie podwodnym stewarda nie było, a wołanie kucharza byłoby przesadą.

– Zaparzę – mruknęła, podchodząc do wnęki z mikroskopijną kuchenką.

– Ktoś się jeszcze pisze?

– Wszystkim nam to dobrze zrobi. – Tomaszewski zaczął wyłączać projektor. Cenne taśmy nie powinny stykać się z urządzeniem, które ma bardzo rozgrzane elementy.

Załuski zapalił jednego z rozrzuconych wcześniej na blacie papierosów. Zaciągnął się głęboko, przez chwilę trwał w nirwanie, potem jednak przypomniał sobie, że są na okręcie podwodnym, i wstał, żeby włączyć dodatkową wentylację w drzwiach kabiny.

– Czy nie odnosicie państwo wrażenia, że coś w ogóle szło na tym statku nie tak?

– Mówi pan o „Gradiencie”?

– Oczywiście. Coś się dzieje, w ich odczuciu aż tak niezwykłego, że kręcą film, który sami tytułują „Zjawiska”. Mają kłopoty z łącznością i jakby ich to nie obchodziło. Strzelają do czegoś, co, no już sam nie wiem, atakuje ich łódź od spodu, niby radzą sobie granatami, ale tak, że rozszczelniają własne dno. Powiedźcie mi. Co tu jest nie tak?

Kai skinęła głową.

– Mało racjonalne działania. Zgadzam się z panem.

– Macie rację – przytaknął Tomaszewski. – Trochę działają jak dzieci we mgle. Ja też się zgadzam.

– A ja nie – zaskoczyła ich wszystkich Wyszyńska.

– Słucham?

– Powiedziałam, że się z wami nie zgadzam. – Pani inżynier podniosła głowę znad kuchenki. Czajnik zaczął właśnie parować, więc przygotowała cztery filiżanki, nasypując do każdej porcję kawy. – Działają chaotycznie i niezbornie, owszem. Ale na pewno nie jak dzieci. Tym bardziej we mgle.

– No to dlaczego, gdy odkryli kłopoty z łącznością, nie zawrócili nadać meldunku? – zapytał Załuski.

– A dlaczego my, mając kłopoty z łącznością, nie zawracamy?

Zaskoczyła go zupełnie.

– No... my jesteśmy przecież misją ratunkową. Spodziewaliśmy się kłopotów.

– Ale nie z łącznością.

– Po pierwsze możemy zawsze schować się w bezpiecznym miejscu. Pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią wody nic nie jest w stanie nas zaatakować.

Tu Wyszyńska uśmiechnęła się dość tajemniczo. A może kpiąco.

– A po drugie – ciągnął Załuski – dlaczego stwierdziwszy niemożność nawiązania prawidłowego kontaktu z bazą, nie cofnęli się, żeby złożyć meldunek?

– A dlaczego myśmy się nie cofnęli, powtórzę? Być może uznali, że nie stało się jeszcze nic dramatycznego. A kiedy się stało, to już było za późno.

– No może.

Załuski zajął swoje miejsce przy stoliku. Zaciągnął się jeszcze raz i zgasił papierosa w małej okrętowej popielniczce. Najwyraźniej miał wyrzuty sumienia, że pali na okręcie, którego przewietrzyć nie sposób.

– A jak wytłumaczyć chaos ich pozostałych działań?

– Chaos?

Wyszyńska rozstawiła filiżanki na stole z taśmami. Zgrabnie rozlała wrzątek do naczyń, podała cukiernicę i łyżeczki.

– Kiedy się bronili przed czymś na łodzi – podjęła – to trudno oczekiwać wzorowego porządku. W bitwie nie raz się zdarzy rzucić granatem pod własne nogi. A cała reszta to tylko nasze przypuszczenia na podstawie strzępków informacji.

– Ale...

– Sekundę, jeszcze nie skończyłam. – Pani inżynier usiadła wreszcie przy stole i zajęła się własną kawą. – Myślę, że nie należy oczekiwać stuprocentowego trzymania się regulaminu u ludzi zmorzonych długotrwałą bezsennością.

– Bezsennością? – Tomaszewski spojrzał z zaciekawionym.

– Owszem. I to niewyobrażalną.

Teraz wszyscy patrzyli na panią inżynier z różnymi stopniami zaskoczenia malującego się na twarzach.

– Z czego to pani wnioskuje? – zapytał Tomaszewski.

– To bardzo proste. Pewien pan komandor – wskazała na niego palcem – zabrał z „Gradienta” wszystkie co bardziej istotne źródła pisane, żeby się najpierw samemu zapoznać. Skoro nie miałam dziennika pokładowego, który zresztą pewnie nie zawiera niczego ciekawego – odebrała ukłon podziwu od Tomaszewskiego – to musiałam się zająć źródłami mniej istotnymi.

– Co pominąłem?

– Wykaz rozchodu leków z apteczki pokładowej.

– No szlag – zaklął, bo miała rację, a on o tym nie pomyślał. – Co? Oksazepam jedli garściami?

– Mniej więcej. Zresztą różne inne leki, nazwijmy je, „z hipochondrycznej półki” również. A co najciekawsze, musieli kwitować pobranie leków.

– I co to ma do rzeczy?

– Ano ma. – Wyszyńska uśmiechnęła się ciepło. – Kto chce mleka? Mogę nawet podgrzać.

– Ja poproszę. – Kai podsunęła swoją filiżankę. – Może być niepodgrzane.

– Wróćmy do tematu – powiedział Tomaszewski. Pani inżynier go zaintrygowała. Zresztą nie pierwszy raz. Nie mógł sam siebie do końca zrozumieć. Raz Wyszyńska go wkurzała do granic możliwości, raz imponowała, a raz czuł do niej... Stop. Nie chciał się zagalopować. Zimna, skuteczna przywódczyni. Władcza i pewna siebie. Oczytana, wychowana, wykształcona, w typie idealnej, gładko zaczesanej okularnicy intelektualistki, zawsze chłodnej i wyrachowanej. Nagle jednak wyobraził sobie, jak oblizuje usta, otwiera je lekko i szepcze namiętnie: „Rźnij mnie!”.

Gwałtownie opuścił wzrok. Usiłował nie wciągnąć powietrza z sykiem.

– Zabrał pan dziennik pokładowy, ale zdążyłam zerknąć i przerzucić kilka stron. Znalazłam kilka prywatnych notesów. Niestety, żadnego dzienniczka, wspomnień ani nic z tych rzeczy. Nic ciekawego. Jest kilka wzmianek o problemach ze snem autorów, ale to jeszcze nie to.

– No to dlaczego pani o tym mówi? – indagował Załuski.

– Bo to, co znalazłam, pozwala mi z całkowitą pewnością stwierdzić, że wszyscy cierpieli na bezsenność.

– W jaki sposób?

– Po charakterze pisma. Poznałam trochę część sztuki zwanej grafologią i potrafię rozpoznać w charakterze pisma wiele cech. Na przykład czy ten, kto pisał, jest pijany, czy pod wpływem środków farmakologicznych, nawet z jakiej grupy chemikaliów i na co oddziałujących.

– I na tej podstawie...?

– Tak. Ich zmieniające się z dnia na dzień pismo, a konkretnie, jego charakter, pozwala mi stwierdzić, że od dawna podlegali ciągłej bezsenności.

- I nie pozostał z tego żaden ślad?
- Gdzie? W dzienniku okrętowym?
- No nie, ale... – Załuski urwał na chwilę. – No ktoś powinien zostawić jakiś zapisek.
- W książce nawigacyjnej? „Dziś Zdzisiek przylazł niewyspany, a Kazik ma kaca”?
- Musieli o tym przecież rozmawiać.
- Wyszyńska roześmiała się na cały głos.
- Toteż pewnie rozmawiali. I co z tego? Przecież nie nagrywali rozmów na płyty gramofonowe. – Powstrzymała następny argument obronnym gestem. – Nie kłóćmy się, bo nie ma o co. Moim zdaniem, od chwili kiedy przyплыnęli w ten rejon, każdy, a właściwie większość członków załogi zaczęła cierpieć na bardzo poważne problemy z zaśnięciem.
- A dlaczego my nie cierpimy? – nie dawał za wygraną Załuski.
- Wyszyńska wzruszyła ramionami.
- Pojęcia nie mam. Może dlatego, że większość czasu tkwimy pod wodą, na jakiejś strasznej głębokości?
- Aha, tajemnicze fluidy tu nie docierają. – Załuski pokiwał głową. – Mogę zobaczyć książkę leków?
- Tak, mam ze sobą. – Wskazała swoją torebkę, którą zostawiła na półce pod przeciwległą ścianą.
- Nie chcę grzebać w pani rzeczach.
- Ach, jasne. Chodźmy, dam panu.
- Kiedy tych dwoje oddaliło się trochę, Kai nachyliła się do Tomaszewskiego.
- Kiedy ona powiedziała, że potrafi odczytać stan piszącego z charakteru pisma, dziwnie posmutniałeś – szepnęła mu do ucha.
- Tak. Wiem, że nie tylko grafologów uczy się odczytywania z kształtu liter takich rzeczy.
- A kogo jeszcze?
- Agentów wywiadu.



Siwecki nie miał pojęcia, że baza w Sait została tak bardzo rozbudowana podczas jego w niej nieobecności. Wokół historycznych budowli, które adaptowano na samym początku, wznosiły się bezpłciowe, prostopadłościennymi magazyny, wielkie zbiorniki oleju napędowego, nowoczesne koszary i domy dla cywilnych pracowników bazy. Lotnisko wraz z zapleczem hangarowo-warsztatowym od dawna było gotowe. Cóż z tego jednak. Z powodu braku drugiego lotniska na razie mogło przyjmować tylko samoloty z lotniskowca oraz obsługiwać te, które operowały stąd w lotach zwiadowczych nad lasem.

Cel jego pieszej wędrówki był jednak dużo bardziej odległy od pogłębionego basenu portowego. Dotarł tam zdyszany, bo droga prowadziła pod górę, na gęsto zalesione wzgórze. Z powodu tych drzew zresztą nie miał sposobu ocenić wielkości obszaru zajmowanego przez budynki instytutu wam. Za to w całej okazałości widział płot z drutu kolczastego, osłaniający zabudowania od strony drogi. Mimo że części ogrodzenia po obu stronach znikwały między drzewami, to jednak całość sprawiała przygnębiające wrażenie.

– Stój! Kto idzie?!

Okrzyk wartownika osadził Siweckiego w miejscu. Aż tak? – nie mógł uwierzyć. Instytut wymagał stosowania aż takich szykan? Opowiedział się szybko i pokazał swoje papiery rozprowadzającemu wartę. Dopiero po spełnieniu tego rytuału wpuszczono go do środka i wyznaczono żołnierza, który miał zaprowadzić do celu.

Wewnątrz instytutu również nie sposób było się zorientować w jego wielkości. Nie wszystkie drzewa zostały wykarczowane. I całe ich grupy oddzielały poszczególne budynki od siebie, nie pozwalając na szybką orientację w terenie. Ciekawostka przyrodnicza.

Na progu pawilonu, do którego prowadził gościa wyznaczony żołnierz, czekał już rozpromieniony pułkownik doktor Bronowski.

– Ach, witam, witam serdecznie! – Po szybkim oddaniu honorów, choć widzieli się po raz pierwszy, rosyjskim zwyczajem Bronowski złapał Siweckiego w ramiona.

Co oni w tych siłach lądowych? W marynarce było nie do pomyślenia, żeby pułkownik obściskował porucznika. O co mu chodziło, psiakrew? O stworzenie pozorów domowej atmosfery czy podkreślenie powrotu do szlacheckich korzeni?

– To pan uczestniczył w dziewiczym rejsie „Dragona”, prawda? Razem z panią inżynier Wyszyńską?

– Tak.

– Niesamowita kobieta, nieprawdaż?

Bronowski prowadził lekarza jasnym korytarzem bez okien. Światło wpadało przez przeszklony dach.

– Tak, to ktoś o silnym charakterze.

– I nieprawdopodobnie rozległej wiedzy. Wiem, że ma wykształcenie techniczne, ale bardzo interesuje się naszymi badaniami. To ona zresztą pomogła je zorganizować, przekonując kilka władnych osób, żeby nie lekceważyć legend o czarach, widzeniu w ciemnościach i takich tam sprawach.

– Tak, słyszałem o tym. Zresztą przyjechałem właśnie po materiały, o które prosiła.

– Wiem, wiem. – Bronowski kręcił głową. Sprawiał sympatyczne wrażenie bardziej naukowca niż żołnierza. Z posiwiałymi skrońmi i pobrużdżoną zmarszczkami twarzą, gdyby tylko nic nie mówił, mógłby uchodzić za wzór twardego i bezkompromisowego oficera. Teraz jednak ze swoim lekkim wschodnim akcentem przypominał bardziej ciepłego dziadka opowiadającego bajki wnuczętom. – Tak, tak, rozległa wiedza – powtórzył, zaciągając. – A wie pan, że to ona mi poradziła, jak robić jajecznicę z ludzkich oczu?

– Co?!

Siwecki potknął się i mało nie upadł.

– To znaczy... chciałem powiedzieć: słucham?

Bronowski, zadowolony z efektu, który wywołał, otworzył przed nimi duże drzwi tak zwanego gabinetu operacyjnego. Ciekawe, czy miał tak obliczone kroki, żeby zszokować słuchacza, licząc właśnie na potknięcie i być może atrakcję w rodzaju rozwalenia sobie głowy o wzmocnione metałem skrzydło?

– Proszę, proszę. – Pułkownik doktor przepuścił Siweckiego przodem. – Jako lekarz wie pan oczywiście, że bardzo trudno przeprowadzać sekcję na ludzkim oku. Po nacięciu od razu się rozplywa, a te wszystkie zamrażania i środki chemiczne stosowane dotąd uszkadzają zbyt wiele szczegółów, żeby z nich korzystać.

– I pani inżynier znalazła rozwiązanie?

– Tak. Powiedziała, że trzeba rozbić kilkanaście jajek, oddzielić białko od żółtka, włożyć do białka oczy i usmażyć je na patelni, jak jajecznicę. No, bardziej jak jajka sadzone. I rzeczywiście, potraktowane jej metodą gałki oczne kroją się znakomicie!

Siwecki rozejrzył się. Na szczęście preparatów nie było nigdzie na widoku. Przestronne wnętrza zajmowały głównie półki z książkami, stojaki z olbrzymimi płachtami rysunków, stół montażowy i pozamykane na głucho szafy. Usiedli w fotelach pod oknem. Bronowski nie bawił się w podawanie kawy. Nalał do dwóch olbrzymich kieliszków spore porcje koniaku. Podał też cygara. Długie, miękkie, aromatyczne.

Siwecki z ogromną przyjemnością zajął się swoim i zaczął go szybko rozgrzewać.

– I posunęliśmy się jakoś w badaniach nad tym, dlaczego oni widzą w ciemności? – zagaił.

– Tak.

Bronowski umiejętnie rozpałał cygaro. Kiedy nareszcie udało mu się pyknąć kilka razy, podniósł swój kieliszek.

– Zdrowie!

– Zdrowie, panie pułkowniku!

Wypili po małym łyku, bardziej nawilżając płynem śluzówkę w ustach, niż przełykając. Koniak i cygaro – cóż za cudowna mieszanka. Szczególnie kiedy za oknem chmury, siąpienie i nieprzyjemne podmuchy wiatru.

– Panie kolego, obaj jesteśmy lekarzami, kończyliśmy tę samą wam, więc „panie doktorze” będzie bardziej na miejscu.

– Słusznie!

– A to, że nasze drogi się rozeszły, wybrał pan czarny mundur i musiał praktykować na jakimś kołyszącym się okropnie okręcie... Pański wybór.

– Wolę operować, gdy mi się okręt kołysze, niż trzęsie podłoga opancerzonego transportera.

Śmiali się obaj. Jeszcze łyk koniaku i atmosfera naprawdę zrobiła się przyjazna.

– Wracając do tematu. Otrzyma pan wszystkie materiały dla pani Wyszynskiej nie w jakiejś tam zalakowanej kopercie, ale w otwartej teczce. Bardzo proszę, żeby się pan nie krępował i przejrzał wszystko dokładnie.

– A są tam ciekawe rzeczy?



– Oj, są, są. Choćby dotyczące oczu dzikusów, które istotnie widzą w nocy.

– Przypominają kocie?

– No właśnie nie za bardzo. Oczywiście jest sporo wspólnych elementów. Natomiast mechanizm bezzrenicowy nie wiadomo, skąd pochodzi. Nie ma na świecie żadnego zwierzęcia z narządem wzroku tego rodzaju.

– Niesamowite.

– Wie pan, coś za coś jednak. Ich oczy nie świecą w ciemnościach jak oczy kotowatych. Ale z drugiej strony mają kilka mankamentów.

– Zamieniam się w słuch.

– Ostre światło razi dzikusów w nocy potwornie, powodując fizyczny, trudny do zniesienia ból. Wiedzieli albo domyślali się tego miejscowi już tysiąc lat temu. – Bronowski wskazał stojące niedaleko na półce trzy tomy opowieści o księżniczce Achai, istną kopalnię wiedzy o dawnych epokach. – Ówczesni racjonalizatorzy nawet szli w dobrym kierunku. Wyprodukowali pochodnie z magnezu. Które jednak okazały się prawie niemożliwe do rozpalenia w warunkach bojowych. Bo chodziłoby raczej o stosowaną przez nas magnezję, a nie magnez.

– Panie doktorze, a „cudowne” właściwości tych oczu?

– Nie ma żadnych cudownych właściwości. Jest szereg ograniczeń. Wydaje mi się na przykład, że oni po ciemku widzą mało kontrastową, szarą przestrzeń. I dlatego jest ich w stanie zdezorientować nie tylko bardzo jasne źródło światła. Poczują się zagubieni również w przestrzeni oświetlonej równomiernym światłem rozproszonym, gdzie my z kolei będziemy sobie radzić doskonale.

– Ciekawe jednak, jak osiągnąć światło rozproszone w warunkach bojowych? – zapytał Siwecki.

– Ach, to panu powie każdy, kto pracował w teatrze i zajmował się oświetleniem sceny. Ale jest jeszcze ciekawsza rzecz.

– Tak?

– Światło magnezjowe razi ich w nocy, ale... – Bronowski dramatycznie zawiesił głos. – Razi ich także w dzień!

– Każdego razi.

– Owszem, lecz dla nas jest to do wytrzymania. Nie jest przecież dla pana jakimś szczególnym bólem czy stresem, jeśli ktoś obok zrobi za dnia

zdjęcie z fleszem, prawda? A oni przeżywają tortury. Dlatego też walka z nimi w dzień jest dobrym pomysłem, jeśli się użyje nocnych środków oddziaływania, takich jak race i flary. U nich dezorientacja, my walczymy w komfortowych warunkach, jeśli można się tak wyrazić.

– Ciekawe. – Siwecki dopił swój koniak. – A słyszałem, że prowadzi pan też badania nad ich wytrzymałością?

– Tak. Robiłem próby, podczas których nasz żołnierz w oporządzeniu bojowym i ich wojownik musieli pokonywać różne dystanse i przeszkody dla porównania.

– Hm. Rozumiem, że motywacją dla naszego żołnierza był po prostu rozkaz. A co motywowało tamtych wojowników do udziału w próbie?

– Jedzenie – odparł spokojnie Bronowski, a ponieważ jednocześnie znowu napełnił oba kieliszki koniakiem, Siwecki odpowiedział jedynie:

– Aha.

Jakoś nie miał śmiałości spytać o eksperymenty na ludziach, łącznie z sekcją na żywca, o co podejrzewali lekarza Tatarzy. Ale, tak nawiasem mówiąc, skąd pułkownik doktor brał ludzkie oczy do jajecznicy, będącej specjalnością zakładu?

– Otóż – Bronowski zajął na powrót miejsce w fotelu pod oknem – okazało się wiele ciekawych rzeczy, jeśli chodzi o ich budowę fizyczną.

– Jakich mianowicie?

– Mają kondycję, którą nazwałem kondycją długodystansowca. Potrafią biec przez dzień albo nawet półtora, nie wykazując śladów zmęczenia, które powaliłoby przecież każdego z nas.

– Niebawale.

– I znowu coś za coś. Są bardzo lekcy, to wytrzymałość motyla, który cały dzień może machać skrzydełkami, a nie wkurzonego dzika jak nasi żołnierze. Tamci padają w biegu pod górę z oporządzeniem. Nie są wytrzymali w naszym sensie tego słowa. Nie są silni. W walce wręcz każdy nasz żołnierz radzi sobie z nimi w pół sekundy. Oczywiście mam na myśli sytuację, kiedy obaj mają tylko gołe ręce.

– Rozumiem, że mieczem czy łukiem posługują się znakomicie.

– Miecz trudno mi ocenić. Przeciętny Tatar albo ułan posługujący się szablą radzi sobie z nimi doskonale. Ale skąd w leśnych ostępach wziąć wojsko z szablami? A z łuku strzelają wyśmienicie. Mistrzowsko!

– Szczęściem łuk pancierza czołgu nie pokona. – Nagle Siwecki zmienił zdanie i zganił sam siebie: – No tak, ale nie każdy żołnierz siedzi w czołgu.

Bronowski wzruszył ramionami.

– Powiem panu tak o ich kondycji: nasz żołnierz włoży na siebie trzydzieści kilogramów oporządzenia, zaatakuje wzgórze, zdobędzie je, a potem zbiegnie, wespnie się na następne i i stoczy tam potyczkę. Oni nie są w stanie dokonać tego pod żadnym pozorem i w żadnym sensie.

Siwecki zamyślił się chwilę.

– Stąd pewnie ich taktyka, o której słyszałem od żołnierzy korpusu. Taktyka komara: ciąć lekko, za to bez przerwy, przez cały czas, aż zziąjany przeciwnik sam wpędzi się w pułapkę.

– Nie znam się na taktyce – powiedział Bronowski. – Jestem lekarzem.

Siwecki zajął się swoim koniakiem. Przez głowę przebiegało mu wiele myśli. A wśród nich ta najważniejsza: przecież Wyszyńska nie żądałaby w trybie pilnym raportu w sprawie badań nad kondycją dzikusów. To mogło oczywiście zainteresować jakiegoś oficera wojsk lądowych, narażonych na bezpośredni kontakt. A nawet nie oficera – prędzej sierżanta. Ale cywila? Nie mogła prosić o takie bzdury. A już na pewno nie w trybie pilnym. Z drugiej strony nie za bardzo wiedział, jak zapytać, o co chodziło, żeby się nie ośmieszyć. Postanowił spróbować z innej beczki.

– A te legendy? – zagaił. – Krążące wśród żołnierzy plotki, że niektórzy z dzikusów mają kły. Podobno znaleziono wśród rannych z korpusu rany... gryzione.

– Tak, to prawda. – Bronowski skinął głową. – Sam wprawdzie nie widziałem na własne oczy, ponieważ przybyłem tu za późno. Dostarczono mi jednak zdjęcia ran wykonane w szpitalu polowym. Rzeczywiście wyglądają jak zadane przez dzikie zwierzęta.

– Hm. Przecież widziałem dzikusów. Jakoś kłów nie udało mi się dostrzec.

– Bo to ciągle zagadka. – Pułkownik doktor uniósł się ociężale i z najbliższej półki wziął pokaźny plik fotografii. – W pewnym sensie przynajmniej.

Zaczął rozkładać materiały na stole.

– Proszę, tu ma pan prześwietlenia pazurów promieniami X. To przedziwna konstrukcja, trochę przypominająca to, czym dysponuje kot. To jest umiejętność wysuwania lub chowania pazurów według potrzeby.

Niestety, nie potrafię poznać mechanizmu wysuwania, bo jest on inny niż koci.

– Organizm nie korzysta z mięśni podczas tego procesu?

– Nie. Palec, jak pan widzi – Bronowski pokazał zdjęcie dłoni dzikusa – nie jest „zniekształcony” jak u kota. Co więc powoduje wysunięcia szponów? Ciśnienie krwi? Obkurcz tkanki? Trudno powiedzieć naprawdę.

Siwecki wykazał się refleksem.

– No to za kilka lat, kiedy zdejmą z nas klauzulę tajemnicy...

– Tak, tak! – podchwycił Bronowski z uśmiechem zadowolenia. – Profesurę mam gwarantowaną. To są fundamentalne badania o epokowym znaczeniu.

Siwecki uniósł kieliszek, chcąc już teraz uczcić przyszlą murowaną nominację. Kiedy wypili, pułkownik doktor ponownie napełnił szkło.

– A tu, widzi pan, mamy prześwietlenie szczęki. Oraz zdjęcia z sekcji.

– Widać kły!

– Tak. Jest kanał, jest miejsce, gdzie się chowają. Tak samo jak pazury. Ale znowu nie ma żadnych poruszających tym mechanizmów mięśniowych. Więc co wprawia kły w ruch? Obkurcz tkanki? Ale w tym przypadku kostnej?! Jakies ciśnienie wewnętrzne? A gdzie ślady?!

– Hm... – Siwecki nie wiedział, co powiedzieć.

– No właśnie. – Bronowski odłożył fotografie i pociągnął spory łyk koniaku. – No właśnie.

Siwecki, widząc wahanie tamtego, zdecydował się na najważniejsze pytanie.

– A... a czary?

Bronowski gwałtownie podniósł wzrok. Długo patrzył na Siweckiego w milczeniu.

– Widzę, że wy tam, w marynarce, macie bardzo trzeźwy stosunek do tego, co dzieje się dookoła.

Ot, zagadka. Co chciał przez to powiedzieć?

– Chodźmy, pokażę panu coś jeszcze.

Podnieśli się obaj. Na szczęście nie trzeba było iść nigdzie daleko. Alkohol, który tak świetnie rozgrzewał organizm, sprawiał, że trochę plątały się nogi. Nie za bardzo. Tylko trochę.

– Widzi pan... – Bronowski zaczął nakładać jakąś taśmę na mechanizm stolika montażowego. – Pani Wyszzyńska eksperymentowała tutaj z

wynalezionym właśnie urządzeniem do wykrywania ciepła. Dzięki niemu zresztą udało się zlokalizować w gęstym lesie ogniska zapalone przez dzikusów po bitwie.

– Tak. Można było je wykryć przez gęste korony drzew, z pokładu wiatrakowca. Byłem wtedy w bazie – pochwalił się Siwecki.

– To urządzenie mam teraz ja. Dogadaliśmy się z panią inżynier i użyczyła mi swojego sprzętu. A w dodatku pokazała, jak podłączyć go do kamery.

– I może pan sfilmować?

– Tak, mogę sfilmować ciepło. Nazywa się to robieniem zdjęć w podczerwieni.

Bronowski uporał się z taśmą filmową i zapalił silną żarówkę pod soczewką. Potem chwycił za korbkę i zaczął nią obracać. Na ekranie stolika montażowego ukazał się kolorowy kształt, przypominający człowieka. Lecz to dało się zauważyć dopiero po chwili. Człowiek poruszał się w ciemności, robiąc gwałtowne uniki.

– Jest rażony prądem – wyjaśnił pułkownik doktor. – Laboranci zniemacka dotykają go kablami elektrycznymi przymocowanymi do kijów. Nie widać tego na kliszy, bo kije nie są ciepłe.

Drażnienie jeńca musiało przybrać na sile. Albo ktoś zwiększył napięcie. Dzikus robił coraz gwałtowniejsze uniki. I nagle za jego plecami pojawiło się coś dziwnego. Jakby struga czerwono-żółtego światła.

– Co to jest?

Bronowski zaczął się śmiać. Długą chwilę nie mógł się opanować. Przestał kręcić korbką, zatrzymując obraz. Musiał obetrzeć łzy. Potem, ciągle rozradowany jak zaraza, wyjaśnił:

– Proszę pana. To ogon!

Siwecki zbaraniał doszczętnie, a pułkownik podszedł do półki z książkami i ponownie wskazał opowieści o księżniczce Achai.

– Tu wszystko jest przecież opisane. Ale nie wierzyliśmy dotąd w te brednie, prawda? A teraz – postukał wierzchem dłoni w stolik montażowy – ja mam dowody, że starożytni kronikarze nie kłamali.

Usiedli znowu przy stoliku. Siwecki, choć miał coś na końcu języka, nie odezwał się w tej kwestii. Nie było sensu mówić o moralności naukowca i lekarza. Każdy przecież był świadomy, że rp nie odmówi sobie wiedzy na

tak intrygujące tematy i każe ją zdobyć wszelkimi środkami. Nie patrząc na konsekwencje.

– Ma pan normalne zdjęcia tego ogona?

– Nie. Oni bardzo niechętnie dopuszczają do przemiany. Można to sprowokować tylko na chwilę i tylko w ciemnościach.

– A jak ogon wygląda podczas sekcji zwłok? Kiedy jest jeszcze, nazwijmy to, ukryty?

– No to niech się pan szykuje na szok! – Bronowski popełnił błąd i odruchowo zaciągnął się cygarem. Do samego pępka. Z dużym trudem opanował kaszel. – Podczas sekcji ogona nie ma!

– Co?!

– Ano tak właśnie. Nie ma.

– Przecież to niemożliwe. Organ tej wielkości, nawet jeśli się chowa jak kły czy pazury, to przecież musi gdzieś być.

Bronowski uśmiechnął się lekko.

– Pytał pan o czary.

No tak, ciężko z czymś takim dyskutować. Siwecki nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ktoś go usiłuje w coś wmanewrować. Po dłuższym namyśle jednak odrzucił tę myśl. Niby kto i po co? Materiały są przecież nie dla niego, tylko dla Wyszyńskiej. Będzie je wioził w otwartej teczce, będzie mógł wszystkie przejrzeć. Zresztą nie był kimś ważnym, żeby podejmować przeciwko niemu jakiegokolwiek zabiegi. Więc może nie chodziło o niego? Z całą pewnością Wentzel i Rosenblum kłuli w oczy ludzi w sztabie swoimi rosnącymi wpływami. Blisko nich był Tomaszewski, a najlepszym kumplem Tomaszewskiego był właśnie on. Ale tę myśl również odrzucił. Najprawdopodobniej więc przez przypadek wszedł w posiadanie wiedzy na temat badań w ośrodku, w którym dokonuje się eksperymentów na ludziach. W tym kontekście słowo „dzikus” nie bardzo chciało mu przejść przez usta.

– Naprawdę nazywa pan to czarami? – zapytał.

Bronowski wzruszył ramionami.

– Oni mają jakiś przedziwny zmysł. Odkryłem, że z niektórymi gatunkami zwierząt łączy ich jakaś... nie wiem, jak to ująć słowami. Jakaś więź.

– Słucham?

– No właśnie. Jak to powiedzieć... – Tamten zmarszczył brwi. – No dobrze. Mówimy o czystej hipotezie, więc ujmę to tak: oni mogą porozumiewać się z kotami. Na pewnym poziomie, oczywiście. Na pewno mogą przekazywać sobie wzajemnie informacje. Hm. Czucie? Obrazy?

– Z kotami?

Tym razem Bronowski roześmiał się głośno.

– Wiem, jak to brzmi. Jednak z całą pewnością zwykły kot może ostrzec dzikusa przed niebezpieczeństwem.

Siwecki siedział nieruchomo, z wybałuszonymi oczami.

– Mogą używać kotów jako zwiadowców?

– Prawdopodobnie także niektórych innych zwierząt. I to na całkiem konkretnym stopniu porozumienia.

– Niewiarygodne.

– Owszem. Nie będę zanudzał pana pokazem zdjęć z labiryntu w laboratorium ani toru przeszkód w lesie, jaki im zorganizowaliśmy. Zresztą ma pan te materiały w teczce dla pani Wyszyńskiej. Proszę sobie przejrzeć podczas podróży statkiem.

– Dziękuję.

– Hm. Czasem mam wrażenie, że ktoś majstrował przy ich ciałach – wyznał nagle Bronowski i od razu się spieszył.

– Majstrował przy ciałach tych dzikusów?

– Nie da się skrzyżować człowieka z kotem. Nie da się połączyć ich materiałów genetycznych. A tu mam wrażenie, że komuś się udało. – Pułkownik doktor odchrząknął nagle. – No, trochę się chyba zagalopowałem.

Zerknął na zegarek.

– Miło mi było spotkać oficera marynarki o tak otwartym umyśle. – Bronowski zrozumiał wyraz twarzy porucznika, bo dodał: – Nie wie pan, co sądzić o eksperymentach na ludziach? – Lekceważąco machnął ręką. – Przecież to tylko barbarzyńcy.

Jak chcesz zobaczyć prawdziwego barbarzyńcę, zerknij do lustra, pomyślał Siwecki, ale nie powiedział tego na głos.



Audiencja w pałacu miała charakter roboczy, ze strony sojusznika brał w niej udział zaledwie zastępca ambasadora oraz oficerowie kwatermistrzostwa. Podobną reprezentację powinno też zapewnić cesarstwo – minister spraw gospodarczych i jego pracownicy. Audiencja okazała się jednak wyjątkowa. Pojawiła się na niej cesarzowa osobiście. No, w końcu jej prawo, mogła przyjść przecież z czystej ciekawości, ponieważ nudziła się w swoich komnatach, ku rozrywce, bo sojuszniczy oficerowie mieli przynieść jakieś ciekawostki, czy z jakiegokolwiek innego powodu. Protokół nie miał tu nic do rzeczy, cesarstwo było tu gospodarzem, więc skład podejmujących delegację mógł być zmieniany dowolnie, w ostatniej chwili i bez informowania strony przeciwnej. Niemniej obecność samej pani cesarz przy rozmowach na tak niskim szczeblu budziła sensację.

Natomiast sensacji nie budziła obecność dawno niewidzianego na dworze Randa. No, może poza grupą osób wtajemniczonych w pewne sprawy. Ot, przyszedł sobie, tak jak przychodził dawniej przecież, a dotychczasowa absencja mogła wynikać choćby z jakiejś przedłużającej się choroby. Wyglądał co prawda zdrowo: ogorzały, odchudzony, z wyraźnie zarysowanymi mięśniami, ale kto tam może się orientować w sprawach będących domeną medyków.

Nikt jednak nie łączył tych dwóch spraw. A szkoda. Ponieważ cesarzowa pojawiła się na audiencji z powodu karteczki z informacją, którą przekazał jej Rand. Dla niego była to jedyna możliwość skontaktowania się z władcą. Załatwił sobie wciągnięcie na listę delegacji i w związku z tym stał się nietykalny. Nawet dla służb specjalnych. Mógł więc chodzić, gdzie chciał w obrębie pałacu, spotykać się, z kim chciał, nawet na osobności. Mógł robić wszystko, ponieważ sprawa była dramatycznie prosta: ilu Polaków i ich ludzi weszło do pałacu, tylu musiało wyjść. Całych i zdrowych. Inaczej wojna! Tak przecież przewidywał protokół dyplomatyczny oraz traktat podpisany przez obie strony. A nie było wariata, który wywołałby wojnę z rp. Zresztą... Po co zaraz cała rp? Nikt nie zaryzykowałby nawet wojny z samym tylko orp „Poznań” obecnym na redzie Negger Bank, mimo że krążownik był przecież staromodny i przestarzały, a na ojczystych wodach służył wyłącznie do szkolenia młodych załóg.

Rand chciał porozmawiać z władczynią na osobności. Jednak teraz musiał czekać, aż zastępca ambasadora skończy swoje przemówienie.



– Nasz prezydent, kiedy usłyszał o strasznym głodzie, który dotyka część społeczeństwa imperium, naszego przyjaciela i sojusznika, zatroskał się głęboko. Nie może tak być, rzekł w gronie najbardziej zaufanych doradców, żeby nasi bracia cierpieli.

Nikt z zebranych na sali dworzan, wdrażanych do polityki i dyplomacji od dziecka, nie ziewał. Aczkolwiek miny niektórych wskazywały, że chętnie przyłożyliby głowy do poduszek. Niestety, długie, kwieciste i nudne przemówienia, z których nic nie wynikało, były normą każdej dyplomatycznej audiencji. A na głód, o którym mówił poseł, to wiadomo, rady przecież nie ma. Głód od zawsze, od zarania, towarzyszył każdemu społeczeństwu. Na tym opierano także porządek społeczny. Byli syści, byli i głodni. Jedni rządzili drugimi właśnie za pomocą poziomu nasycenia. Idealny regulator. Gorzej, jeśli robiło się całkiem źle z żywnością. Regulator zamieniał się w straszak przeciwko sytym i w konsekwencji mógł stać się czynnikiem, który społeczeństwo całkowicie rozpręga, a nawet niszczy. A tu nagle obcy urzędnik z dalekiego kraju przekonuje, że ma cudowny sposób na głód i zaraz go ujawni. Dyplomatyczne brednie – był czas przywyknąć.

– Panie generale! – zastępca posła zwrócił się do jednego z oficerów w swojej świcie. – Proszę pokazać obecnym, co prezydent rp przesyła naszym braciom i siostram w imperium jako dar!

Generał wystąpił sprężysto, by odebrać od swoich żołnierzy osobliwą w przypadku takich audiencji rzecz. Wielki, ale zwykły jutowy worek, wypchany czymś do pełna i zawiązany sznurkiem. Generał przeciągnął ciężki wór na sam środek pomieszczenia, przed tron, wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i ruchem palca sprawił, że pojawiło się ostrze. Sznurek poddał się w jednej chwili.

– To nasza recepta na głód. To prawdziwa rewolucja!

Na dźwięk słowa „rewolucja” cesarzowa gwałtownie uniosła opadające powieki i spojrzała przed siebie ostrym wzrokiem. Generał kopnął worek, schylił się i szarpnął za dolne rogi. Na lśniąca pałacową posadzkę wysypały się dziwne brunatne grudki. Najwyraźniej brudne albo upaprane w ziemi.

– Co to jest?

– Ziemniaki – padła odpowiedź.

Dworzanie skamienieli. Takiego, za przeproszeniem, syfu jeszcze nikt nigdy pod nogi samej Jej Wysokości nie wysypał. Wszyscy patrzyli

oniemiali. Choć przynajmniej jakiś efekt został osiągnięty – na sali audiencji nikt już nie przysypiał na stojąco.

– To rewolucja! – powtórzył generał. – To najbardziej wydajna w uprawie roślina jadalna na świecie. Mało wymagająca. Rośnie byle gdzie. Jest bardzo odporna. Ale najważniejsze jest to, że całą dietę człowieka można stworzyć wyłącznie na jej bazie. Przy odgórnym nakazie uprawiania ziemniaków za kilka lat głód będzie tylko wspomnieniem. A populacja cesarstwa zacznie błyskawicznie rosnać.

Niewiele osób na sali zrozumiało słowa generała z obcych stron, choć tłumacz dwoił się i troił, dobierając najpiękniejsze sekwencje słów. Cesarzowa jednak, mimo że stosunkowo młoda i niedoświadczona, nie była wcale osobą mało inteligentną. Coś tam rozumiała.

– Jak to możliwe? – zapytała cicho.

– To warzywo. I ma tyle składników odżywczych, że wystarczy, by żywić ludzi wyłącznie nim. W krańcowych wypadkach można w ogóle wyeliminować mięso.

– I ludzie nie będą głodni?

– Nie będą. A jeśli dodać choć trochę zwierzęcego tłuszczu, samego tłuszczu, nawet bez mięsa, to głód już nigdy nikomu nie zajrzy w oczy.

Cesarzowa zachnęła się bez wiary.

– A ile to kosztuje?

Generał uklonił się lekko i powiedział z uśmiechem:

– Żeby uzyskać ziemniaki, sadzi się... ziemniaki. A one przyrastają same. Fachowcy wiedzą, jak sprawić, żeby to był postęp geometryczny.

– To znaczy?

– To znaczy, Wasza Cesarska Mość, że są praktycznie za darmo.

Cisza, która zapadła, była wręcz namacalna. Cesarzowa zmrużyła oczy.

– Chcesz powiedzieć, generale, że te bulwy uratują świat?

– Zależy, co Wasza Cesarska Mość ma na myśli – odparł dyplomatycznie oficer. – Chcę podkreślić tylko, że za parę lat nie będzie już w imperium głodu. W ogóle. Nigdy.

Ani władczynie, ani zebrani wokół dworzanie i urzędnicy nie mogli czegoś zrozumieć. Jeśli ktoś ma taką władzę, żeby zapanować nad głodem, który przecież towarzyszy ludzkości od samego zarania, to jakim cudem chce się tą władzą podzielić? I to za darmo. Co jest nie tak w tej opowieści? Gdzie kryje się haczyk?

– To się w ogóle da jeść? – Cesarzowa znowu zmrużyła swoje ciemne, ładne oczy.

– To podstawa naszej diety – odparł generał. – Wasi kucharze pod nadzorem naszych przygotowują różne potrawy do spróbowania. Wszyscy zainteresowani będą mogli spróbować.

– I naprawdę to jecie?

– Jesteśmy w porównaniu z mieszkańcami imperium bardzo bogaci. Jemy więc ziemniaki razem z mięsem i innymi warzywami. Ale, generalnie ujmując, prawie codziennie.

Władczyni pokręciła głową.

– I sądzisz, generale, że lud zgodzi się to jeść? Przecież nie obyczaj ani tradycja.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, pani. Tak jak i kiedyś u nas, uprawę trzeba nakazać dekretem. Zrobić to przymusowo. Potem głodni sami zaczną jeść ziemniaki, żeby nie umrzeć, reszta zrozumie, że tak taniej, a potem się przyzwyczai. Ale – wzruszył ramionami – przykład musi iść z góry.

– Co to ma znaczyć?

– Najlepiej będzie, jeśli Wasza Cesarska Mość sama zje potrawę z ziemniaków, i to publicznie. Razem z członkami dworu. Musi zrobić się moda na te nowości wśród wysoko urodzonych. Wtedy lud pójdzie za przykładem, małpując.

– Ja i cały dwór? Mam nadzieję, że nie chcesz nas wytruć wszystkich za jednym razem, generale?

Członkowie poselstwa zaczęli się śmiać. Po chwili dołączyli do nich dworzanie. Choć prawdę mówiąc, nie od razu i nie z pełnym przekonaniem.

– Dobrze. – Cesarzowa nie mnożyła trudności. Skinęła na mistrza ceremonii, żeby ten ogłosił przerwę na zwyczajowy poczęstunek. A potem zerknęła na Randa i ruchem głowy wskazała przejście do pomieszczenia obok.

Poczęstunek oczywiście czekał w licznych komnatach wokół sali audiencji. Jednak nie o jedzenie chodziło. Takie dyplomatyczne przerwy w oficjalnych uroczystościach ogłaszano po to, żeby właśnie w kuluarach dojść do porozumienia w kwestiach, których oficjalnie i publicznie nie wypadało poruszać. Można było też wykorzystać ten czas na nawiązywanie

prywatnych przyjaźni między dyplomatami. Była to często bardzo korzystna dla wszelkich rokowań tradycja.

Rand jednak wiedział, że z nim akurat władczyni nie będzie rozmawiać o prywatnej przyjaźni. Kiedy tylko znaleźli się sami, fuknęła jak kotka:

– To już oficjalnie przeszedłeś na żołąd Polaków, że jesteś w składzie ich delegacji?! Płacą ci, zdrajco, już jawnie?!

– Nie płacą mi, wielka pani. Są jednak jedynymi ludźmi w Negger Bank, którzy mogą mi zapewnić bezpieczeństwo na twoim dworze. Ponieważ ty, wielka pani, nie chcesz tego uczynić, a mówię tak tylko dlatego, że nie śmiem użyć słowa „nie umiesz”.

Uch! Ale ostro! Spojrzała na Randa, gwałtownie podnosząc rękę, by wezwać przybocznego. Zamarła jednak, zdając sobie sprawę, że nic mu nie może zrobić. Cham miał więc rację. Nie potrafiła go ani ochronić, ani nawet ukarać. I teraz będzie musiała przełknąć tę zniewagę. A propos przełykania, postanowiła odwlec dyskusję o przykrych sprawach i zapytać o bieżące nieprzyjemności.

– Te... ziemniaki da się jakoś przełknąć? I czy koniecznie muszę to zrobić osobiście?

– Odpowiedź na drugie pytanie brzmi: tak. Bez twojego przykładu nici z całego projektu. Odpowiedź zaś na pierwsze pytanie jest raczej kwestią gustu. Dla mnie ta potrawa jest mdła i właściwie bez żadnego smaku. Jest w niej jakiś cień „rozgotowania”, charakterystyczny dla jedzenia ubogich, ale da się znieść albo przykryć przyprawami i sposobem przyrządzenia.

Uspokoiała się już na tyle, żeby spytać rzeczowo:

– Czy naprawdę te warzywa zlikwidują w imperium głód?

– Tak – potwierdził bez wahania.

Władczyni naprawdę nie była głupia. Czowała, że nadchodzi historyczna chwila, być może jedyna taka w dziejach świata. Westchnęła ciężko.

– I dadzą nam je za darmo?

Rand uśmiechnął się.

– W każdym ich planie jest ukryty cel. Jeśli jednak chcesz odpowiedzi dosłownej, wielka pani, to brzmi ona: tak, dostaniemy ziemniaki za darmo.

– A ukryty cel?

I co tu powiedzieć? Rand znał co najmniej kilka. Wielu prawdopodobnie nie mógł sobie wyobrazić. Przyzwyczajął się powoli do jednego:

przebywając z obcymi, trzeba się przestawić na całkiem inny sposób myślenia.

– Wielka pani... – Nadal nie miał pomysłu, co jej powiedzieć. Wiedział jednak, że humorzasta kobieta nie może zbyt długo czekać na jego słowa, bo wpadnie w szal. – Likwidacja głodu zajmie ładnych kilka lat. Przecież te warzywa, choć cudowne same w sobie, nie rozmnożą się jednak w sposób cudowny. A obcy będą obserwować, jak klaruje się sytuacja. Oni w przeciwieństwie do nas nie mają z góry narzuconego planu kampanii na wiele lat do przodu. Wolą reagować elastycznie na to, co się zdarzy, bo to daje lepsze efekty. No i daje więcej możliwości szybkiej ingerencji niż sztywny plan ustalony z góry. – Rand westchnął cicho. – Wielka pani, czas uznać, że tu nie chodzi o fakt, że oni mają lepszą broń. Generalnie, niestety, oni prowadzą lepszą politykę, elastyczną, reagującą płynnie i szybko na jakiegokolwiek zmiany. Są bardziej doświadczeni, no i wyciągają wnioski z tego, co się dzieje. My nie. Kiedy przyjęliśmy raz jakiś plan, to trzymamy się go sztywno, choćby miał się zakończyć utopieniem w morzu krwi całego korpusu.

Cesarzowa spojrzała na niego ostro. Lecz, o dziwo, nie warknęła niczego pod jego adresem.

A Rand słyszał po prostu wiele opowieści Tomaszewskiego o tym, co się dzieje za Górami Bogów. Poznał takie określenia, jak „odejście z linii w celu przegrupowania”, „wycofanie się na z góry upatrzone pozycje”. Wszystkie one znaczyły ni mniej, ni więcej: „musieliśmy spierniczyć jak zające”. Jednak lepsza ucieczka, zebranie sił i uzupełnień niż szaleńcze trwanie na straconej pozycji albo konsekwentny marsz w głąb pułapki zastawionej przez wroga.

– Mówiłeś o ingerencji? – zapytała cesarzowa. – W co chcą ingerować?

– W trwałość naszych więzi – odparł dyplomatycznie.

Chyba zrozumiała.

– A czego się boją?

– Zmiany władzy, którą mógłby przejąć jakiś religijny fanatyk albo zwolennik idei zakonnych na przykład.

Znowu ostre spojrzenie, teraz jakby nierozumiejące. Czy była tak świetną aktorką, czy naprawdę niczego nie wiedziała?

– Skąd nagle przyszedł ci do głowy Zakon? – zapytała.

– O tym jeszcze porozmawiamy – odparł, siląc się na spokój. Nie mógł zrozumieć postępowania władczyni, a to irytowało go najbardziej. – A kontynuując odpowiedź na poprzednie pytanie: oni chcą stabilnej i racjonalnej władzy u swojego sojusznika.

– Dlaczego?

– Nie da się długo ukrywać, że mają przejście przez Góry Bogów. Oni niedługo będą musieli dopuścić inne państwa swojego świata, nie chcąc doprowadzić do wojny: rp przeciwko reszcie. Tego się obawiają najbardziej.

– No ale przecież my skorzystamy, kiedy tu wejdą inne ich państwa.

– Albo z powodu zazdrości te inne państwa wywołają tu wojnę z rp, ale nie będą walczyć własnymi rękami. My będziemy walczyć ze sobą w ich imieniu. Są na to przykłady w ich historii. I dlatego Polacy potrzebują tu stabilnej władzy. Lub też planu B.

– Co to jest plan B?

– Plan przejścia władzy przez kogoś bardziej pragmatycznego. Przez kogoś, kto nie będzie kierował się tradycją, przesądami ani wiarą, tylko interesem publicznym.

– Czyż ja nie jestem gwarantem stabilności władzy?

– Według nich niekoniecznie.

Znowu strasznie ostro. Znowu podjął ogromne ryzyko. Tym razem prawie nie zareagowała. Przeciwnie. Opuściła głowę, roztrząsając coś w myślach. Zdecydował się więc kontynuować:

– Oni nie chcą kogoś, kto będzie ich sojusznikiem dla doraźnych korzyści. Nie chcą kogoś, kto będzie służył, bojąc się ich siły. Chcą kogoś, kto będzie trwał w sojuszu, widząc w nim długofalowe korzyści dla swojego państwa.

– Tylko taki sojusznik jest coś warty?

– Czyż nie mają racji?

Wzruszyła ramionami.

– Kiedyś mówiłeś, że będziemy jak nadzorca niewolników. Dobrze opłacany, wyróżniony, ale też niewolnik.

Przytaknął ruchem głowy.

– Tak, z tym tylko, że wtedy mało ich jeszcze znałem. Ale możemy pociągnąć tę analogię, wielka pani. Weź przykład z gospodarza, który ma wiernego, wypróbowanego psa, którego lubi. Taki pies służy dobrze i

zawsze ma pełną miche. Więcej, kiedy wilki otoczą gospodarstwo, sam gospodarz wyjdzie z chałupy, trzymając w rękach tęgą pałę, żeby psu pomóc. Jeszcze więcej: jeśli pies zachoruje, to i do medyka z pobliskiego miasteczka gospodarz psa zawiezie. A i na starość miejsce przy piecu się dla psa znajdzie. – Rand rozłożył ręce w szerokim geście. – A zwykły pies łańcuchowy? Póki potrzebny, niech służy uwiązany o głodzie i chłodzie. A jak przestanie, za słaby będzie? To się go odpina od łańcucha, do lasu prowadzi i do drzewa sznurkiem przywiązuje. Niech sobie teraz z wdzięczności za służbę sam najbliższej nocy z watahą wilków radzi.

Cesarzowa prychnęła tylko.

– No ładnie, skoro już imperium do psa porównujesz.

– Chcę powiedzieć bardzo prostą rzecz. Dla ludzi z żelaznych okrętów ważny jest sojusznik, który z wolnego wyboru do nich przystał, widząc wspólną przyszłość razem, a nie ten, co ze strachu albo dla doraźnej korzyści. Bo takiego, który chciałby dostać jakieś świcidełko albo ukraść nawet coś ze stołu, to raczej bierze się na łańcuch i szczuje na kogo trzeba. Wystarczy kość ogryzioną rzucić.

– Dziwnie mówisz. – Cesarzowa najwyraźniej nie zamierzała zaatakować Randa za słowa, które normalnie można by uznać za obrazę majestatu. – Ale powiedz mi jeszcze: jaki jest rząd wystarczająco dla nich stabilny?

– Taki, którego działanie oparte jest na racjonalnych przesłankach – odparł bez chwili wahania, wprawiając tym władczynię w zdumienie.

– To znaczy jaki? Cesarstwo nie działa racjonalnie?

Rand przygryzł wargi. Był jednak mężczyzną, postanowił zaryzykować.

– Nie jest racjonalny taki kraj, który wysyła na zagładę cały korpus i nikt nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności! – wybuchnął. – Nie może tak być, że nasze własne wojsko nie chce wysiadać w macierzystym porcie! Nie może tak być, że nasz obywatel boi się własnego kraju. Ale przede wszystkim: nie można dla kaprysu władcy posyłać na śmierć tysięcy ludzi i twierdzić, że nic się nie stało. Tego ci z rp nie przełkną.

O dziwo, nie wrzasnęła na niego. W ogóle zdawała się nie reagować.

– Dziwne i ciekawe rzeczy mówisz. Z twoich słów wynika, że już mnie skreślono.

– Nie, pani. Nie wiem i nie mogę mieć pojęcia o ich planach i decyzjach. Ale u nich wszystko jawne. Najmarniejszy oficer orientuje się trochę nawet

i w światowych sprawach.

Podeszła do Randa i położyła mu ręce na ramionach. Swoimi dużymi, migdałowymi oczami spojrzała prosto w jego oczy.

– Skreślili mnie? – zapytała.

Nie było to wcale pytanie drżące o własny los dziewczynki. Było to pytanie potężnego władcy, które zadaje je z ciekawości. Nagle Rand zrozumiał, że nie wszystko jeszcze wie.

– Nie mnie sądzić i wydawać wyroki, wielka pani. Myślę jednak, że choć monarchii absolutnej nie chcą zaakceptować, to jednak monarchia konstytucyjna, z wybieralnym władcą, byłaby dla nich, przy wielkim bólu pośladków od zaciskania, jakoś tam do strawienia.

– I ja miałabym abdykować? Czekać, aż kogoś wybiorą?

– Niekoniecznie. Cały proces mógłby zacząć się dopiero od twojego następcy. Ale poważniejsza sprawa to kontrola nad siłami specjalnymi. To nie może być państwo w państwie, mające tajemniczy i nieokreślony wpływ na politykę. Władca i rząd obcego państwa muszą być dla Polaków przewidywalni. Przewidywalni, wielka pani.

Cesarzowa powoli zdjęła ręce z ramion Randa. Równie powoli odwróciła głowę i odeszła parę kroków.

– Ty już, zdaje się, policzyłeś się we własnym imieniu ze służbami specjalnymi, prawda?

– Mówisz, wielka pani, o Lai Ho Park?

– Tak.

– Jak się domyślam, drobny fakt, że napadli na mnie ich mordercy, zabili mojego kuriera, a mnie...

– Oj, bo się popłaczę ze wzruszenia. – Znowu spojrzała na niego, tym razem jakby chcąc skarcić. – Jak widać, nie był to poważny zamach, skoro żyjesz.

Randa zatrzęśło ze złości. Zacisnął zęby.

– Lai Ho Park nie było ani zemstą, ani moją...

Wpadła mu w słowo.

– Nie było twoją prywatną sprawą – dokończyła za niego. – Więc to płatne zlecenie Polaków? Dużo ci zapłacili? – Zaczęła się śmiać. – To chyba wszystko w zakresie „przewidywalności” partnera w interesach, o której to tak pięknie mówiłeś. Przewidywalność, tak! Dopóki nie przyjdzie



im do głowy rozwalić jakiegoś mojego garnizonu na terytorium mojego państwa. Wtedy przewidywalność jest przykrywana słodkim uśmiechem.

Znowu podeszła bliżej i kpiąco zajrzała Randowi prosto w oczy.

– Nieprawdaż?

– Nie ma w takim razie sensu tłumaczenie, że to nie oni.

– A karabiny Kadira, twojego przyjaciela, wzięły się tam przypadkiem? Znam sprawę, bo proponował tę broń przed komisją wojskową.

Nie miał pomysłu, jak się wywinąć, ale też liczył się wcześniej z tym, że rozmowa przybierze taki obrót.

– To nie było płatne zlecenie.

– Wiem, wiem, oni przecież nie lubią niczego robić własnymi rękami. Oni tylko wykorzystali to, że ty akurat jesteś „przewidywalny” – kpiła w najlepsze. – Niczego nie musieli sami robić. Być może niczego nie musieli i mówić. U przewidywalnych czasem samo tak wyniknie z siebie.

Znosił kpiny z kamienną twarzą. Ciekawe, na ile informowały ją służby specjalne. Ciekawe też, ile jej powiedzieli?

– Pozostając w temacie, ale zmieniając punkt widzenia... – podjął próbę wypuszczenia sondy. – Dlaczego nigdy mi nie wspomniałaś, pani, że siły specjalne to kontynuacja Zakonu?

Niczego nie potrafił wyczytać z twarzy władczyni. Ani zaskoczenia, ani tego, że spodziewała się jego słów. Musiała trzymaną za plecami ręką dać znać przybocznemu, a ten równie dyskretnie komuś dalej, bo w tej chwili właśnie pojawił się mistrz ceremonii i złożył przed władczynią ukłon.

– Czas zakończyć przerwę na poczęstunek, wielka pani. – Prawą ręką wykonał wszelkie przewidziane przez etykietę i bardzo skomplikowane gesty. – Czas udać się do gości.

– Ach, będę musiała zjeść dla przykładu te... ziemniaki? Na szczęście Rand twierdzi, że są bez smaku. – Na moment odwróciła się jeszcze do niego i szepnęła: – Może jeszcze porozmawiamy, a może nie. Lecz pamiętaj. Tu, w pałacu, gdy przychodzisz tylko do mnie, jesteś zupełnie bezpieczny.

Uklonił się, a ona odeszła z mistrzem ceremonii. Rand ruszył na salę audiencji sam, chwilę później. Fiasko. Cała ta rozmowa zakończyła się fiaskiem. Jednak czego się spodziewał? Że służby specjalne będą spały? Że nie przygotowują własnej wersji wydarzeń w Lai Ho Park? A teraz odgadywanie, ile ona wie o naturze służb, a ile nie, przypominało wróżenie

z gorących wnętrzności. Na ile była samodzielna w podejmowaniu decyzji? Żeby się dowiedzieć, najlepiej rzucić monetą. Fiasko. A w dodatku zagięła Randa na słowa. A tego żaden mężczyzna nie lubi.

Wszedł na salę, kiedy kucharze pałacowi wnosili właśnie egzotyczne potrawy. Nikt nie patrzył na Randa. Poza jednym jedynym, bardzo młodym człowiekiem. Nie chwycił wzrokiem spojrzenia młodzieńca. Udając obojętność, podszedł do jednej ze swoich dworskich „przyjaciółek”.

– Pożera mnie wzrokiem jakiś bogato ubrany pajac – szepnął. – Jest za moimi plecami, stoi pod kolumną podtrzymującą łuk przy głównym wejściu na salę. Wiesz, kto to jest?

Młoda kobieta zasłoniła twarz wachlarzem. Przez wycięte w nim dyskretnie otwory szybko zerknęła we wskazanym kierunku.

– To Chen – odszepnęła. – Handlarz kawą.

– Znasz go?

– Został przedstawiony na dworze bardzo niedawno. Dysponuje wyśmienitym towarem w bardzo przystępnej cenie. Zgarnia jakąś nieprawdopodobną fortunę i wszystkie drzwi się przed nim otwierają.

No ładnie. A przecież Rosenblum powiedziała by mu, że ma tu swojego człowieka. Co to mogło znaczyć?

– Jak myślisz? Czyj to agent?

– No przecież nie dahmeryjski! – Młoda kobieta prychnęła śmiechem. – W Dahmerii nie mają tyle kawy.



## Rozdział 3



Zimno, zaraza jasna!

Shen zeskoczyła z konia i rozejrzała się. Małe, wybudowane z białego kamienia miasteczko w górach zdawało się opuszczone. Przez cały czas, kiedy poganiając zziajane konie, jechały główną ulicą, udało im się zobaczyć trzy, może cztery osoby. Nikt się nimi nie interesował. Nikt też nie wyszedł z karczmy, pod którą się zatrzymały, żeby zająć się wierzchowcami. Dzicz i odludzie zatracone.

– Nanti by się przydała – wystękała Sharri, usiłując zejść z konia i nie zaczepić przy tym żadnym z pasków oporządzenia o wystające elementy rzędu. – W pół modlitwy by ich ustawiła.

– Wiesz, może lepiej, że została. – Nuk nie miała żadnych problemów, żeby zgrabnie zeskoczyć z siodła i elegancko wylądować na bruku. – Wolę nocami przy tym ziąbie porozmawiać przy ognisku o rzeczach wyższych i bardziej wzniosłych niż dowcipy okołolatrynowe.

– Szczególnie ja się nadaję do rzeczy wyższych – mruknęła Shen, z trudem prostując obolałe kości.

– Nie mów, nie mów. – Nuk spojrzała na siostrę łaskawym okiem. – Bardzo się wyrobiłaś ostatnio. A poza tym Nanti i tak musiała zostać, żeby dowodzić naszą kompanią. Kadir, z całym szacunkiem, bo lubię gościa, się do tego nie nadaje.

– To fakt – odparła Shen. Z pewnym zdziwieniem stwierdziła, że na dźwięk imienia Kadir poczuła coś dziwnego w głębi siebie. Co to mogło

być? Wzruszyła ramionami.

Uwiązały konie do pałaka przed karczmą. Dalej nikt się nimi nie interesował. Pies z kulawą nogą. Ani stajenni liczący na zarobek, ani gospodarz, dosłownie nikt. Co tu? Pomór jakiś? Choć może i dobrze. Nikt przynajmniej nie zwracał uwagi na rękojeści rewolwerów wystające spod koców, którymi się owinęły, ani na ich bębenkowe karabiny.

Shen otworzyła szerokie drzwi i poprowadziła dziewczyny do środka. Nikogo! Wnętrze karczmy było puste. Naprawdę niebywałe.

– Idę, idę! – rozległo się skądś z góry.

Dobiegł ich jakiś trzask, a po chwili na wąskich schodach przecinających ukośnie szczytową ścianę ukazał się sam gospodarz. Miał nie więcej niż jakieś czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Wygląd czerstwego mężczyzny psuły jednak siwe, a właściwie szare włosy. Były gęste, więc to chyba nie ze starości. Z jakiegoś nieszczęścia tak posiwiał? Ze zmartwień?

– Jesteśmy głodne. Znajdzie się jakiś gulasz? – zażartowała Shen. Co niby innego mogło być w karczmie? Na żadne frykasy nie liczyły. Ale i tu się zawiodły.

– Gulasz? Tutaj? – Gospodarz dotarł nareszcie na dół i stanął na swoim miejscu, przy kuchni. – Trzymając gulasz na ciągłym ogniu, dawno bym zbankrutował. Na tych pustkowiach nikt gulaszu nie kupi.

Oniemiałe patrzyły, jak mężczyzna, zamiast nalewać zmarzniętym podróżnikom gorącą strawę, zaczyna dopiero rozpalać pod kuchnią.

– Jak to? – Shen nie mogła zrozumieć. – Tu odludzie? Przecież ulice są brukowane! Budynki kamienne wokół placu. A tego się przecież na zapadłej wiosze nie robi.

Tamten uniósł głowę.

– Dawne, dobre czasy – mruknął. – Kiedyś był tu ruch, był zgiełk. Podobno sama ta karczma przynosiła fortunę właścicielowi. A teraz... Bieda, wojny, ludzie są bez grosza, większość uciekła za miską strawy. Gulasz tutaj! – Roześmiał się gardłowo. – Zaraz będzie fasolowa. I cieszcie się, że nie soczewica.

– Fasolowa? – ucieszyła się Sharri. – Na boczku?

– Chcesz jeść na boku, wielka pani, to wiedz, że gościom tu wszystko wolno. Możesz jeść i na boku, i w sieni, i nawet zupełnie na zewnątrz, jeśli taka twoja wola.

Wszystkie trzy wymieniły się spojrzeniami.

– No ale dostaniemy coś już teraz? Na szybko? – zaniepokoiła się Nuk.  
– Ano. Jest kapusta, jest groch, dam placki.  
– A coś ciepłego?  
– Dostaniecie wina z ciepłą wodą. Jeno pod kuchnią muszę rozpalić. Inaczej się nie da.

Mężczyzna nie należał do tych, którzy buty gubią z pośpiechu. Prawdę mówiąc, nie należał nawet do tych, którzy są jakoś specjalnie zainteresowani, żeby zrobić coś szybko. Los okolicy wpływał chyba na jego własny w coraz większym stopniu, jak każda bieda, obezwładniając umysł i ciało.

W końcu jednak zebrał się w sobie i postawił na stole pełną misę zimnych przekąsek. Oprócz grochu, kapusty i placków gdzieś znalazł też resztki solonej ryby. Samego wina jednak, bez dolewek, nie chciał podać nawet za sporą dopłatą. Nie, przecież od zawsze wino piło się pomieszane z gorącą wodą. A wrzątku do czasu rozpalenia pod kuchnią nie będzie. Więc on nie poda i już.

No nic. Siedziały, ciągle nie mogąc się rozgrzać, bo w kominku oczywiście nikt nie palił, i jadły kapustę z plackami pozbawionymi smaku. Taki los podróżnika, który zawitał w dzikie strony.

– Mówiłam, że nic dobrego z tego nie wyniknie – powiedziała Nuk. – Trzeba było jechać na wybrzeże, a nie w góry. Tam byśmy się przynajmniej rozerwały.

– Mhm – zgodziła się Shen. – Po tym, cośmy ostatnio nawywijały, zaprowadzono by nas do specjalnego lokalu rozrywkowego zwanego więzieniem. Ale na krótko, bo rychło przygotowano by dla nas specjalne atrakcje w dziedzinie rozrywki, czyli rozrywanie końmi publicznie na rynku.

– Oj, przestań marudzić. Tam przynajmniej mogłybyśmy podjąć próbę poszukania odpowiedzi na to, co znalazłyśmy podczas akcji w Lai Ho Park.

– Cicho! Ktoś może usłyszeć.

– Tutaj?

– Przestańcie obie – włączyła się Sharri. – I zdajcie się na mnie.

Przez chwilę fuczała na pozostałe jak rozżłoszczona kotka, a potem dodała:

– Mam wrażenie, że kapłanki mają jednak lepsze wykształcenie niż cała reszta, która szkoły kończyła.

To było wyraźnie pod adresem Nuk, więc koleżanka nie pozostała dłużna:

– Jesteś tylko niedoszłą kapłanką, kochanie.

– O? Prawie że skończyłam szkołę świątynną. A wylali mnie z egzaminu za poglądy. Nie dlatego, że się źle uczyłam.

– Znamy twoje poglądy, dziecko. To mówisz, że jesteś po szkole świątynnej? – Nuk zaczęła kpić otwarcie. – Przypomnij mi, jakie modły odprawia się po jutrzni, zakładając, że mamy dzień nieparzysty po święcie Tot, przypadającym w tym roku...

– Przestańcie! – Shen wpadła siostrze w słowo, widząc, co się święci. Zerknęła na Sharri. – Jesteś pewna, że właśnie tu, w tej zapadłej okolicy, możemy natrafić na jakiś ślad? Przecież widziałas, co na zewnątrz. Pustka.

– Ale my nie człowieka szukamy. Tylko książek.

– Tutaj?!

– A co? Złe miejsce? – obruszyła się Sharri. – Zadupie na pograniczu. Jedynie tu mogła przetrwać biblioteka Zakonu.

– Jakiego Zakonu? – poderwała się Nuk. – Debilko, o czym ty mówisz?

Shen machnęła ręką z lekceważeniem. Natomiast Sharri najwyraźniej się wkurzyła.

– Obie jesteście ofiarami systemu edukacji. Ty – wskazała Nuk – jesteś ofiarą lansowanego szeroko przez nauczycieli poglądu, że Zakon został przed tysiącem lat zniszczony, zlikwidowany, zdelegalizowany, a wszelkie ślady po nim usunięte. A ty – przeniosła palec na Shen – jesteś ofiarą braku jakiegokolwiek edukacji w ogóle. Ot co!

– Mnie tam życie uczyło – odparła Shen.

– Akurat. Z urodzenia jesteś inteligentna, a troszkę wiedzy masz, bo los zesłał ci siostrę wykształconą.

– O! – Nuk uniosła brwi w zdziwieniu. – Powiedziała o mnie coś miłego. To się w pale nie mieści.

Sharri nie zwracała na sierzant uwagi.

– I zdarzył ci się facet, jeden z nielicznych na tym świecie obdarzonych rozumem. I rozmowy z nim wiele ci dały, bo jak mówię, pojętna jesteś na szczęście.

– Kto to taki ten facet?

– Kadir przecież.

Shen znowu poczuła, jakby coś ją ukłuło. Poczowała też, że tęskni za Kadirem. Że brakuje jej ciętych uwag, sprowadzania wszystkiego na racjonalne drogi bez utraty jednak tego, co stanowi istotę poruszającej idei. No nie... Młoda dziewczyna tęskni za starym repem, chce znowu usłyszeć jego kojące słowa, doświadczyć uspokojenia z kimś, kto znajdzie radę na wszystko, roztoczy aurę bezpieczeństwa, pokaże ukryte i piękne strony życia, na które dotąd nie zwracała uwagi. Otrząsnęła się z myśli.

– Przestań lać wodę – osadziła niedoszłą kapłankę. – Tylko powiedz, co wiesz konkretnego.

– Na temat Kadira?

Shen westchnęła, a potem zacisnęła usta.

– Na temat Zakonu, biblioteki i naszych luk w edukacji! – warknęła.

– Aha. Dobrze.

Sharri zerknęła na gospodarza, czy może zacząć opowiadać, czy też ma on dla nich nareszcie coś gorącego. Niestety. Siwemu mężczyźnie najprawdopodobniej dopiero udało się rozpalić pod kuchnią, a i to nie wiadomo, na ile skutecznie, sądząc po kłębach białego dymu wydobywającego się spod płyty.

– Wszystkim się wydaje – podjęła po chwili – że w złości Achaja rozsmarowała Zakon i wyczyściła mapy ze wszystkich jego pozostałości. Wydaje się to prawdopodobne, bo sama miała przejścia z rycerzami Zakonu i miała o nich, mówiąc delikatnie, nie najlepsze zdanie. Podobno na jej oczach mordowali bezbronnych ludzi, wyczyniali najróżniejsze świństwa i takie tam różne.

– Achaja raczej wrogom nie darowała – wtrąciła Nuk.

– O? A skąd takie przekonanie?

– A co z jej byłymi sojusznikami? Spaliła Wielki Las, poharatała ziemie Chorych Ludzi.

– Stop, stop, zatrzymaj się tutaj, domorosły historyku. Największe jatki z Chorymi Ludźmi to...

– Sierżant Sha, siostra Achai, prawda?

– Owszem, ale nie sierżant, tylko generał Sha. A robiła to już po śmierci swojej siostry.

– E tam. Ważne, kto wojnę zaczął.

– Nawet jeśli za czasów żyjącej Achai były to tylko potyczki?

– Wielki Las spaliła. Za swojego życia. Jak można zrobić coś takiego?



– A ty co robiłaś w ramach działań korpusu?! Nie mordowałaś wszystkiego, co się rusza, w Lesie doliny Sait? Tyle tylko, że Achai udało się spacyfikować potwory, a nam nie!

Shen uderzyła w stół otwartą dłonią.

– Przestańcie. Do rzeczy, jedna z drugą.

Nuk uniosła ręce w obronnym geście. Pewnie chciała dodać jeszcze, że w przeciwieństwie do Achai potwory nie były nigdy jej sojusznikami, ale poddała się, nie chcąc prowadzić dalej głupiej kłótni.

– Łatwo nazwać Achaję amoralną terrorystką, jak to się często dzieje – podjęła Shen. – Żyła w czasach, w jakich żyła. Lecz to za jej rządów pojawiła się edukacja dla większych grup ludzi. Pojawiło się społeczeństwo, które chciało dać choć cień szansy nie tylko ludziom ze świecznika. Szkoła, którą ukończyłaś, Nuk, była możliwa do założenia tylko dzięki jej prawu. Tak samo jak i moja szkoła świątynna, która dała mi podstawy szerszej wiedzy, a nie jedynie nauki modłów i rytuałów, jak to było przed Achają.

– No dobra już, dobra. Pomniki cesarzowej stoją w każdym mieście. Nie musisz budować następnego.

– Nie buduję. Chcę tylko powiedzieć, że nie paliła bibliotek.

– Nikt nie twierdzi, że paliła.

– Oj, przestań!

– Spokój! – Tym razem Shen walnęła pięścią w stół. Gospodarz wziął to do siebie i zdwoił wysiłki zmierzające do przygotowania posiłku. – Zaraza jasna, dwie baby jedno. Jak się za łby nie wezmą, to dzień stracony normalnie!

– Dobra. – Sharri machnęła ręką, co mogło oznaczać gotowość do pogodzenia się z koleżanką. Dziwne, bo ze szkoły świątynnej poza gruntowną wiedzą, którą jednak sama zdobywała w czytelni, wyniosła także kapłańską zjadłość. – Wbrew więc powszechnemu mniemaniu Achaja nie niszczyła dóbr zakonnych. Część została przejęta przez rozmaite urzędy, część, jak na przykład dobra ziemskie, cesarzowa rozdała swoim weteranom.

– Głównie kumpelom – wtrąciła Nuk.

– Nie tylko, są źródła, że nie tylko.

– Owszem. Kumpelom Biafry też dała.

– Ja was ostrzegam! – Shen podniosła rękę.

– Nie dacie mi skończyć – odcięła się Sharri. – A chcę powiedzieć prostą rzecz. Po Zakonie pozostały rzeczy, których nie dało się nikomu dać, bo stanowiły raczej obciążenie niż nagrodę. Na przykład bogate biblioteki choćby.

– To czemu nie włączyła zbiorów do bibliotek publicznych?

– Bo to nie były zwykłe książki generalnie, tylko archiwa zakonne, rejestry i książki, które gromadzili jako obudowę doktryny. Skarb dla historyków, a nie dla ludu. I to w dosłownym tego słowa znaczeniu, skarb, bo oni przecież prowadzili arcydokładne kroniki. Stronnicze tylko ze swojego punktu widzenia. Czyli doktrynalnego, a nie faktograficznego. W przeciwieństwie do kronik książęcych na przykład, które tak naprawdę są tylko opowieściami fantastycznymi na temat tego, co się jaśnie oświeconemu księciu chciało tam podyktować.

– Niczego nie rozumiem – mruknęła Shen.

Sharri westchnęła. Zerknęła na Nuk. Ta najwyraźniej rozumiała, ale nie chciała popierać swojego wroga w dyskusji.

– Chcę powiedzieć bardzo prostą rzecz. Biblioteki zakonne były umieszczane przy ich ośrodkach, fortach, szkołach i tak dalej. Kiedy te ośrodki zostały zlikwidowane czy przekazane komuś innemu, bibliotek nikt nie chciał. I w związku z tym, mimo że Achaja nie kazała ich palić, to podupadały, były rozkradane albo nawet i podpalane, jeśli jakiś miejscowy watażka chciał pokazać wszystkim, że i on walczył dzielnie z dawno nieżywym Zakonem. Na wybrzeżu, w wielkich miastach próżno szukać nawet ich śladu.

– Chcesz przez to powiedzieć, że tu możemy taką bibliotekę znaleźć? – zapytała Shen.

– Owszem. To właśnie chcę powiedzieć.

Nuk spojrzała na koleżankę z taką kpiną w oczach i z tak zabawnym wyrazem twarzy, że Shen mało nie parsknęła śmiechem.

– Aha. – Sierżant była radosna jak skowronek o świcie. – I teraz zamienimy się w badaczki. Od rana do nocy będziemy siedzieć wśród papierów i zwój po zwoju, karteczkę po karteczce badać każdy strzępek informacji przez całe lata. A Shen będzie nam grzane wino donosić, bo ona mniej biegła w sztuce czytania.

– Nie ma się z czego śmiać. – Sharri wykrzywiła się, przedrzeźniając koleżankę. – Przy każdej bibliotece musi być przecież mistrz, który tym

zawiaduje. Jego można spytać o wszystko.

– Jeśli wytrzeźwieje jakimś cudem. – Nuk nie pozostawała dłużna i też zrobiła odpowiednią do opisywanego stanu minę. – Każdy księgozbiór, który nie był prestiżową biblioteką miejską, był pod opieką jakiegoś moczymordy, który z reguły nie trzeźwiał w ogóle.

– Przepraszam, łaskawe panie. – Gospodarz zbliżył się, przerywając na szczęście tę mało wyrefinowaną dyskusję. – Udało mi się rozpalić pod kuchnią! – obwieścił z triumfem.

– Brawo! – Nuk zaczęła klaskać. – Czy dostaniemy nareszcie wino?

– Woda do mieszania musi się zagrzać.

– To się pospiesz. Chcę wznieść toast za twój sukces.

– Tak, łaskawa pani. – Odwrócił się, żeby odejść, jednak jakaś myśl musiała mu przyjść do głowy, bo się cofnął. – A! – Uderzył się w czoło. – Konie radzę odprowadzić do stajni. Ziąb się wzmacza, zaraz zimny wiatr przyjdzie. Spoconego konia na wygwizdowie zaraz niemoc chwyci.

– Jak to odprowadzić do stajni? – zaperzyła się Shen. – A dlaczego ty tego nie zrobisz?

– Bo muszę stawiać fasolową na ogień. A poza tym ja się na koniach nie znam. Jeszcze mnie taki ugryzie albo kopnie czy co.

– Parobków pošlij!

– Nie mam parobków. Tu bieda wszędzie.

Kiedy odszedł, wszystkie trzy pomstowały na to zadupie, które w ich mniemaniu samo sobie było winne własnej biedy. Bo przecież nawet nikt pieniędzy nie chciał za dodatkowe usługi. W końcu jednak rozsądek wziął górę. Biedne konie nie były winne ciasnoty umysłowej mieszkańców okolicy. Wstały i klnąc przebrzydłe, poszły zająć się zwierzętami.

Stajnia na zapleczu karczmy okazała się na szczęście przestronna i w miarę nawet zaopatrzona. Rozkulbaczyły konie, wytarły szybko i zadały obroku. W ostatniej chwili, ziąb rzeczywiście wzmaczał się szybko. Nie zdążyły wyjść z powrotem na wybieg, kiedy na zewnątrz rozległy się jakieś głosy.

Nuk wyszarpnęła z kabury rewolwer i doskoczyła do drzwi. Sharri zamarła niepewnie na środku stajni, Shen przysunęła się po cichu do sierżant.

– Co się stało? – szepnęła jej prosto do ucha.

– Wydawało mi się, że ktoś wymówił twoje imię – odpowiedź była równie cicha.

– Moje? Tutaj? – Shen wzruszyła ramionami. – Zresztą to nie głosy strażników.

Pchnęła mocno ciężkie skrzydło i pierwsza wyszła na podjazd dla kupieckich wozów. Tuż obok stał dość duży wózek, sądząc po lichoci konstrukcji, ewidentna samoróbka. Na pace znajdowały się głównie kołdry i koce. Może jeszcze kilka najpotrzebniejszych przedmiotów przechowywanych w zbitej z desek skrzyni. Trójka dzieci tłoczyła się wokół zaimprovizowanego pojazdu, a matka właśnie usiłowała posadzić na górze najmłodsze z nich.

– Tu ci będzie wygodnie – mówiła łagodnym tonem. – Opatulimy cię kocem, nie zmarzniesz.

– Mama, ale ja wolę iść z wami.

– To bardzo daleko.

– Ale ja chcę z bratem i siostrą.

– Oni będą musieli mi pomóc. Tylko do przełęczy. Potem droga będzie już prowadzić na dół.

– Mamo – odezwał się stojący obok wózka chłopiec – jestem głodny.

– Nic nie mam teraz.

– Ale ja jestem bardzo głodny!

– Musimy dojść do przełęczy. Za nią na pewno będą bogate wsie, a w nich dobrzy ludzie. Coś dostaniemy.

Nuk schowała rewolwer do kabury. Sharri, która dopiero teraz ukazała się w drzwiach stajni, upewniła się, że teren jest bezpieczny. Potem podeszła do Shen i chwyciła ją za rękę, widząc, że koleżanka sięga do sakiewki z zamiarem dania jałmużny.

– To wbrew zasadom – powiedziała. – Nie nakarmisz wszystkich w ten sposób.

– Ale mogę pomóc tu i teraz.

– Zamieniając się w jednego z Bogów? Ty będziesz decydować, kto ma przeżyć, a kto nie?

– O kurde, jak ty wszystko komplikujesz.

– Bo trzeba się trzymać zasad. Tak jak mówiłam: pomóżmy wszystkim, a nie kilku ludziom, rozdając wszystko, co mamy, w formie jałmużny.

– Objazdowy filozof – mruknęła Nuk.

Dziecko znowu chwyciło matkę za rękę. Usiłowała je wyszarpnąć, ale maluch trzymał zawzięcie.

– Mamo, ja bardzo chcę coś zjeść. Muszę. Boli mnie brzuch.

– Napij się wody. Kiedy przejdziemy przez przełęcz, na pewno znajdzie się ktoś, kto nam coś da.

Udało jej się umieścić najmniejszą córkę na szczycie stosu pakunków.

– Ja chcę do taty! – jęknęła dziewczyna, która stała przy dyszlu. – Czemu tato z nami nie jedzie?

Kobieta odwróciła się powoli.

– Mówiłam ci, tatuś zasnął. Nieprędko go zobaczymy.

– Czemu tatuś śpi?

– On nie śpi – odezwał się chłopak. – Umarł po prostu.

Kobieta uniosła rękę, chcąc go skarcić, ale nagle jakby zabrakło jej siły. Oparła się o burtę wózka, potrząsając głową.

– Ja...

– A kiedy przyjdzie Shen i nam wszystkim pomoże? – rozdarło się najmniejsze dziecko umieszczone na szczycie pakunków.

Nuk zamarła z otwartymi ustami. Shen dłuższą chwilę sądziła, że się przesłyszała, a potem, kiedy zrozumiała, że to nie omamy, stała jak zamurowana, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. Sharri zadziwiła ich wszystkich. Podeszła do kobiety, wyjmując srebrną monetę z własnej sakiewki.

– Nie postępuję wbrew zasadom, bo to nie jest jałmużna, tylko wynagrodzenie – powiedziała, podając monetę. – Bardzo wam to pomoże w podróży.

Kobieta zawahała się. Przełknęła ślinę. To rozwiązywało przynajmniej część jej problemów, ale widać było w jej oczach strach.

– Nie bój się – mówiła Sharri cichym głosem. – Nie jesteśmy ani strażnikami książęcymi, ani miejskimi, ani imperialnymi. Nie jesteśmy ze służb specjalnych. My po prostu chcemy wiedzieć, gdzie słyszeliście imię Shen?

– Shen przyjdzie i uwolni nas od biedy! – Dziecko na szczycie pakunków uśmiechnęło się do Sharri.

Ta odpowiedziała uśmiechem. Kobieta trochę niepewnie wzięła od niej monetę.

– Ty mów – szturchnęła syna. – To ty go słuchałeś.

Chłopak nie dał się prosić.

– Bajarz był – wyjaśnił. – Do wsi przyszedł bajarz. Taki, co to chodzi i za kubek piwa o świecie opowiada.

– I co mówił?

– U nas wieś taka, że nawet piwa nie dostał. Tyle co parę kęsów strawy u gospodarza, gdzie nocował.

– A co opowiadał?

Chłopak wyprostował się, jakby z odcieniem dumy.

– O naszej bohaterce! Od nas, z ludu, jest Shen. Bajarz mówił, że do wojska ją wzięli, z potworami bić się miała. A to ją dowódcy zdradzili i cały korpus w pułapkę posłali. Wszyscy dookoła ginęli, tylko Shen nie. Uratowała wielu żołnierzy i z lasu ich wyprowadziła na wolność. A ci, co chcieli korpus na zagładę dać, do lochu ją wtręcili za to.

– Ożeż ty – wyrwało się Nuk.

– A ona zerwała kajdany i uwolniła zdradzonych żołnierzy. A oni mówili, że już nie chcą cesarstwa, nie chcą żyć wśród kłamców, zdrajców i krwiopijców.

Matka chłopca przestraszyła się już naprawdę. Nie wiedziała przecież, kto tych słów słuchał. Kim były trzy obce kobiety z bronią. Sharri zrobiła uspokajający ruch ręką.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

– Nie bój się nas – powiedziała. – A ty mów dalej.

– Shen zdobyła z żołnierzami okręty. I wszyscy na nie wsiedli. I powiedzieli, że nie zejda na ziemię cesarską, bo ona batem i krzywdą skalana. Ale przyjdzie czas, że Shen wróci na czele wielkich wojsk i uwolni tę ziemię i jej lud.

– Ciekawy konglomerat zmyśleń, faktów i przeinaczeń – mruknęła Nuk.

– Cicho. – Sharri położyła chłopcu dłoń na ramieniu. – Mów.

– I otoczyli ją w wielkim mieście nad morzem. I bitwa była, a źli ludzie przewagę mieli okropną. Ich tysiąc na jednego z naszych. Ale Bogowie rację Shen przyznali i cud się stał. Nagle z jednego karabinu każdego jej żołnierza sto kul naraz zaczęło wylatywać! Sto kul z jednej lufy! I ginęli oprawcy wrogowie. A Shen ze swoim wojskiem ukryła się głęboko w toni morza. Lecz powiedziała: „Przyjdzie czas, kiedy wrócę. Przyjdzie czas, kiedy nikt na tej ziemi jęczeć nie będzie ani płakać. Ludzie nie będą znali głodu ani chorób”. Przyjdzie Shen...

Sharri pogłaskała chłopaka po głowie. Wyjęła ze swojej torby podróżnej gomółkę sera i podała. Oboje uśmiechnęli się do siebie. Mały nagle zrozumiał, że stojąca obok kobieta nie jest donosicielem ani żadnym strażnikiem. Zrozumiał, że jest „swoja”.

– Dziękuję. Zobaczysz pani. Shen po nas przyjdzie!

– Ja myślę, chłopcze!

– A... A jak pani na imię?

– Sharri.

– Shen przyjdzie, prawda?

– Prawda.

Zupełnie już ośmielony chłopak podszedł do drugiej kobiety.

– A jak pani jest na imię?

– Nuk.

Chłopak podszedł do trzeciej.

– A pani?



Dwa pontony sunęły powoli ku sinemu brzegowi zasnutemu przez pasma gęstej mgły. Powierzchnia morza była stosunkowo spokojna, na ludzi nie



chlapało za bardzo i nie wiało, co Kai błogosławiła po cichu, bo tego by jeszcze brakowało, żeby się musiała owijać ceratą. I tak miała na sobie całe to przerażająco ciężkie wyposażenie żołnierzy piechoty morskiej polskiej marynarki wojennej. Nie mogła sobie wyobrazić, gdyby coś się stało, jak w tym pływać. Zdać się na kamizelkę ratunkową? Ale wtedy było się ogromną, bezwolną, bo okutaną w wiele ciężkich warstw kulą. Wzruszyła ramionami. Na szczęście nic nie zapowiadało wypadku. Jednak nie mogła zapomnieć tamtego filmu z „Gradienta”, na którym widać było, jak coś atakuje załogę szalupy od spodu. I to tak, że musieli rzucać granaty do wody, pod łódź, i sami rozszczelnili sobie dno.

Najwyraźniej nie ona jedna myślała o filmie. Załuski poruszył się niespokojnie.

– Ten człowiek na nowym filmie... – Miał zapewne na myśli taśmę, którą technicy okrętowi wywołali dopiero teraz, za to z o wiele lepszym efektem niż poprzednie. Na pudle chroniącym szpulę napisano: „Zjawiska 2”. – Wydaje się, że on jakby... – inżynier nie mógł znaleźć słów. – Jakby uciekał przed czymś niewidzialnym. Prawda?

Wyszyńska chyba wzruszyła ramionami. Przez wiele warstw okryć, które miała na sobie, ciężko to było stwierdzić.

– Nie mam pojęcia, co tam się działo. Ale kadr był statyczny.

– Znowu kamera ustawiona na stole?

– Chyba tak.

– A jak pani sądzi? – włączył się Tomaszewski. – Czy ta bezsenność, którą pani stwierdziła na podstawie ich pisma... Czy ona mogła spowodować jakieś aberracje umysłowe?

– Bezsenność? Na pewno tak.

– Ale jeśli idę dobrym tropem, to tu już mamy do czynienia z omamami. Czy są możliwe aż takie skutki bezsenności?

Wyszyńska chyba znowu wzruszyła ramionami.

– O to trzeba by spytać kolegę Siweckiego. I niech pan, z łaski swojej, poruszy tę kwestię, jeśli uda się panu z nim połączyć. To ciekawa sprawa, a ja już dawno przekroczyłam swoje kompetencje, wypowiadając się na ten temat.

– Ale on uciekał, prawda? – Załuski nie dawał za wygraną. – Uciekał przed czymś niewidzialnym?

– Albo miał omamy.

Bosman Mielczarek uniósł się lekko i pokazał coś, wyciągając rękę.

– Mamy naszą zgubę! – Tomaszewski zerkał przez lornetkę.

– Łódź z „Gradienta”? – Wyszyńska osłoniła oczy dłonią.

– Tak. Choć niewiele widać, bo bardzo kołysze.

– Podpływamy tam? – spytał Załuski.

– Nie. Łądujemy tutaj, według planu. Tam dojdziemy już plażą.

Mielczarek sam wybrał miejsce lądowania. Motorowe pontony przyspieszyły ostro, żeby z impetem przeciąć obszar przybrzeżnych fal. Szczęście sprzyjało im w dalszym ciągu. Niezbyt pomoczeni dotarli do brzegu, gdzie gumowe łodzie zaryły w piachu. Z każdej wyskoczyło po czterech żołnierzy i zaczęło wciągać pontony na plażę.

Po chwili Kai mogła się już wygramolić na brzeg. Tu nareszcie z wielką ulgą pozbyła się kamizelki ratunkowej i sztormiaka. Źle stanęła przy wychodzeniu i teraz prawa kostka pulsowała lekkim bólem. Leciutkim. Dawno nauczyła się doceniać sznurowane wysoko nad staw buty piechoty morskiej. Co prawda trzeba było spędzić wiele czasu, żeby je porządnie zawiązać, i jeszcze więcej, żeby potem rozsznurować i zdjąć, ale był to wynalazek wprost szokujący. Jakkolwiek by się stanęło, na kamieniu, korzeniu, dziurze czy jakimś wykrocie, kostka zawsze pozostawała cała. Żadnych zwichnięć, skręceń, złamań w najgorszym miejscu ani pęknięć. No i buty, w czymkolwiek by się brodziło, zawsze pozostawały suche w środku. Istny cud.

A drugim cudem była kurtka, nazywana przez marynarzy parką. Parka to był jakiś pieprzony, istny ideał. Ciepła, a jednocześnie niekrępująca ruchów i niepozwalająca, by podmuchy zimnego wiatru dostały się do środka. A kaptur miał na obwodzie wszyty drut. Można było go zacisnąć i na zewnątrz wystawała tylko twarz, okolona pasem ciepłego, miękkiego futra.

Kai, uniezależniona w ten sposób od kaprysów pogody i, co równie ważne, mając pod nogami stały ląd, poczuła się znacznie lepiej.

Zgodnie ze ścisłymi procedurami panującymi w marynarce tu, na plaży, dowództwo przejmował porucznik piechoty morskiej. Mielczarek z marynarzami mieli zostać przy pontonach jako warta. Wszystko odbyło się bez słowa, każdy znał swoje zadanie i mały oddział bez zwłoki mógł ruszyć w stronę celu. Zawsze budziło to zazdrość wojsk lądowych, gdzie pokonywaniem najprostszej przeszkody wodnej musiał dowodzić minimum pułkownik. A tu bosman i na brzegu porucznik.

– Myślicie, że ją porzucili? – Kai usiłowała poprawić pasek pistoletu maszynowego, który w marszu obijał jej biodro.

– Zaraz się przekonamy. – Wyszyńska, wysoka jak wieża, z długimi nogami, wysforowała się naprzód. – Zdaje się, leży na boku.

Tomaszewski zatrzymał się, przykładając lornetkę do oczu.

– Tak.

– Przewrócili ją, wyciągając na brzeg?

– W morzu było więcej wody? – zażartował, doganiając resztę.

Nie byli specjalnie zdyszani, kiedy dotarli nareszcie do przewróconej łodzi „Gradienta”. Żołnierze piechoty morskiej utworzyli pozycję obronną wyłącznie z przyczyn proceduralnych. Wokół żywego ducha. Plaża owiana coraz lżejszą mgłą, kilkadziesiąt kroków dalej piaszczysty klif, wydmy. Nic. Żadnego przedmiotu, na którym można by zogniskować wzrok. Tylko ta łódź.

– Śruba i podstawa silnika w porządku – zaraportował ktoś od rufy.

– Dno łodzi rozszczelnione – powiedział porucznik. – Uszkodzenia jednak nie powstały w wyniku lądowania.

– Pomoże mi pan? – Wyszyńska oparła się na ramieniu Tomaszewskiego, chwyciła jedną ze zwisających smętnie lin i wspięła się na burtę. Tomaszewski poszedł w jej ślady, a potem pomógł Kai.

Pokład pochylony był pod takim kątem, że nie sposób było normalnie chodzić. Najbardziej bezpiecznym sposobem poruszania okazała się pozycja na czworaka. Każdy powędrował w stronę, gdzie spodziewał się znaleźć coś interesującego.

– W zbiorniku paliwa jest jeszcze sporo ropy. – Tomaszewski szarpał sztycą, by uruchomić wskaźnik poziomu paliwa przy kole sterowym. I tak musiał przeliczać w głowie odpowiednie wartości, uwzględniając przechył.

– Zapasy również wydają się nietknięte. – Wyszyńska sprawdzała bakisty na sterburcie. – Wygląda na to, że konserw nie brakuje.

– A pojemniki ze słodką wodą?

Pani inżynier stuknęła knykciem w cienką blachę.

– Też wydają się pełne. No ale to w końcu nie jest łódź wyprawowa.

– Tak, ale mieli podstawowe zapasy, gdyby zdarzył się jakiś wypadek.

– Widzi pan jakieś dokumenty?

– U mnie, przy kole, nic.

Kai wyrznęła łokciem o jakiś wystający element.

– Pamiątek i papierów ja szukam – powiedziała. – Jeśli coś tu jest, to w przeciwieństwie do was ja znajdę.

– Nie ma to jak pewność siebie. – Wyszyńska nie wierzyła w szczególne umiejętności czarownicy. – Czy widzi pan jakąś broń?

Tomaszewski przeszukiwał skrytkę przy sterze. Poza przemokniętą paczką papierosów nie było tam niczego. Za to w schowku na liny znalazł dwie skrzynki granatów. Napisy mówiły, że to własność wojsk lądowych, co znaczyło, że na statku badawczym obie skrzynki znalazły się ewidentnie w sposób nielegalny.

– Mam granaty.

– Ile?

Wyszyńska na czworaka zaczęła się gramolić w jego kierunku.

– Dwie nienaruszone skrzynki.

– To znaczy, że nic nie atakowało łodzi podczas ostatniego rejsu.

– Jeśli to był rejs, a nie dryf.

Tomaszewski zapalił papierosa, osłaniając żar przed wiatrem dłońmi. Wyszyńska usiadła obok na burcie. Zerknęła na nienaruszone plomby przy zatrzaskach skrzynek.

– Dziwne. Skoro tu wylądowali, to czemu nie zabrali ze sobą kilku granatów?

Tomaszewski nie był przekonany co do faktu, że ktokolwiek tu lądował. Wyobrażał sobie raczej, że pusta łódź dryfowała niesiona prądem.

– A mnie bardziej dziwi, co w ogóle robią na statku badawczym skrzynki z granatami – powiedział. – I to w dodatku armijne.

Inżynier wzruszyła ramionami.

– Wzięli sobie.

– A po co?

Uśmiechnęła się sympatycznie.

– Każdy chyba ma zakarbowaną w pamięci masakrę w porcie bazy Sait. Kiedy dzikusy zaatakowały po nocy, mordując każdego, kto się nawinął. To chyba naturalne, że udając się tu, w nieznane, każdy człowiek chce wziąć coś do ubezpieczenia.

– Cywile i granaty?

– No właśnie cywile pasują mi do granatów. Dobrze, że nie udało im się wynieść z magazynów jakiejś armaty wielkiego kalibru. Albo wręcz bomby. Wie pan jakiej.

– Hej! Mam coś – zawołała Kai.

Zacząła chwiejnie iść w ich kierunku, jedną nogę stawiając na burcie, drugą na pokładzie. Na szczęście błogosławione buty piechoty morskiej pozwalały na takie akrobacje bez niebezpieczeństwa natychmiastowego skręcenia kostki. W lewej ręce trzymała czyjś portfel.

– Znalazłam tutaj.

– Są w środku jakieś dokumenty? – zapytał Tomaszewski.

Kai zaprzeczyła ruchem głowy.

– Niemniej sam przedmiot pozwolił mi dowiedzieć się, co tu zaszło. Mniej więcej.

– Jakim cudem? – Wyszyńska przez moment patrzyła na czarownicę ze zdziwieniem, a potem palnęła się w czoło. – Ach, znowu te durne szamanizmy. Kiedy ty wydoroslejesz nareszcie, dziecko?

Tomaszewski od pewnego czasu nie podzielał zdania inżynier w tej kwestii. Mrugnął do Kai. Wziął od niej właściwie nawet nie portfel, ale wodoodporną saszetkę na dokumenty. W środku rzeczywiście nie było niczego poza zdjęciem jakiejś kobiety z niemowlakiem na ręku i zapisaną kartką papieru.

– List jest prywatny, do żony – wyjaśniła Kai. – Nie chcę go czytać.

– Ja nie mam z tym problemów. – Wyszyńska przejęła kartkę z rąk Tomaszewskiego i przysunęła sobie do oczu. Szybko przebiegła ją wzrokiem. – Rzeczywiście do żony, o miłości i tęsknocie. Nic nie wnosi do sprawy.

Tomaszewski zerknął na nią i zaraz opuścił wzrok. Ale suka. Czemu mu tak strasznie imponowała?

– Ten człowiek przypląnął tu sam – powiedziała Kai. – Wtedy prawdopodobnie wszyscy jego towarzysze już nie żyli. Nie znał się na żeglarstwie, jedynie dzięki silnikowi udało mu się dotrzeć do plaży. Towarzyszyły mu ogromne emocje, ten przedmiot – wskazała saszetkę – dosłownie nimi pachnie! Wszystko tu jest nimi przesycone.

– Z fusów to wywróżyłaś, dziecko? – mruknęła Wyszyńska.

– Nie. Dookoła pusto, nie towarzyszą temu miejscu żadne inne ani obce uczucia. Tu czyta się emocje jak z księgi.

– Gdzie on poszedł? – zapytał szybko Tomaszewski, chcąc zażegnać kłótnię między kobietami.

– Tam. – Czarownica bez wahania wyciągnęła rękę w stronę wydmy, a konkretnie, jakby przesmyku w klifie, przy kępie iglastych drzew.

– Jeśli poszedł w głąb łądu, to tylko tamtędy – mruknęła kpiąco Wyszyńska.

– Żyje? – zapytał Tomaszewski.

– Wątpię – odparła Kai. – Niósł już w sobie śmierć.

Na szczęście okrzyk porucznika uniemożliwił Wyszyńskiej dalsze złośliwości.

– Człowiek na perymetrze!

Cała trójka odwróciła głowy. Niczego jednak nie zauważyli.

– Mam go! – Klęczący niżej na piasku snajper precyzyjnie regulował swoje przyrządy, mierząc w stronę wydmy. – Około siedemdziesięciu sześciu metrów. Zlikwidować? Obezwładnić? Ranić? Strzał pewny.

– Czekaj – Tomaszewski ostudził zapał strzelca, przeskoczył burtę łodzi i wylądował na piasku obok.

– Jeden tylko. – Mielczarek oceniał sytuację, posługując się silną morską lunetą. – Nikogo z nim nie ma.

– Dostkoczymy go, zanim ucieknie? – Tomaszewski podszedł do porucznika.

– Wątpię, panie komandorze. – Młody oficer nie miał złudzeń co do sprawności swojego oddziału w tym terenie. – My mamy do przebiegnięcia kilkadziesiąt metrów po piasku, potem kopne wydmy i pod górę. Jak zacznie wiać, nie mamy żadnych szans, żeby go dopaść.

– Rozumiem. Jakież pomysły? – Rozejrzał się.

– Ja, panie komandorze, mam pomysł – odezwał się Mielczarek. – Wystrzelmy do niego z granatnika.

– Zwariowałaś? – Tomaszewski uśmiechnął się szeroko, bo lubił tok myślenia bosmana. – Za co od razu z granatnika?

– Nie, nie.

– Aha. Znaczą jak mu nogi urwie, to nie będzie mógł uciekać za szybko?

Marynarze zaczęli się śmiać. Najwyraźniej ta koncepcja przypadła im do gustu.

– Nie, nie, panie komandorze. – Mielczarek stukał się w czoło pod adresem kolegów. – Wystrzelmy, ale za niego. Jak mu za plecami wybuchnie, to od razu zacznie uciekać. W naszym kierunku.

– Dobrze – błyskawicznie ocenił pomysł Tomaszewski. – Poruczniku. Wykonać!

– Tak jest!

Żołnierz piechoty morskiej szybko nakręcił na lufę swojego karabinu odpowiednią nakładkę i założył granat.

– Jak daleko za nim ma uderzyć? – spytał, przyjmując pozycję strzelecką.

– Dla efektu blisko – wyjaśnił Mielczarek. – A jeśli go jakiś odłamek zahaczy, to też facet nie będzie za szybki.

Żołnierz ledwo zauważalnie wzruszył ramionami. Mierzył długo. Potem delikatnie, jakby go pieścił, ściągnął spust. Pufff! Ci, co stali obok, widzieli dokładnie stromotorową trajektorię pocisku. Ktoś, kto znajdował się naprzeciw, nie miał na to szans. Kto miał lornetkę, nie odrywał oczu od okularów.

Wybuch dosłownie wyrzucił mężczyznę z kryjówki. Jednak nie siłą eksplozji. Obcy z wrzaskiem biegł w panice dokładnie tak, jak przewidział to bosman. Żołnierze rechotali jak na wiejskiej zabawie, kiedy ktoś kogoś z okna wypchnął.

Tomaszewski ruszył naprzód.

– Tutaj! – wołał. – Tu będziesz bezpieczny.

Pociągnął za sobą kilku żołnierzy. Biegący był w średnim wieku. Jego gładka twarz lśniła od nałożonego na skórę tłuszczu. Mimo zimna nie był jednak specjalnie grubo ubrany, skórzana bluza i spodnie nie były podbite futrem. Biegł bardzo sprawnie, choć coraz wolniej. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że potencjalni wrogowie znajdują się przed nim, a nie za nim.

– Chcemy porozmawiać – krzyknął Tomaszewski, przyspieszając kroku.

Tamten obejrzał się za siebie, oceniając sytuację i możliwość odwrotu. Ale teraz na ucieczkę nie miał już szans.

– Tutaj, tutaj – nawoływał Tomaszewski. – Nie bój się. Nic ci nie zrobimy.

Tubylec podchodził do nich powoli. Rozglądał się niepewnie. Dobry znak dla Tomaszewskiego. Jakby gdzieś tu znajdowali się jego pobratymcy, nie trząsłby się tak ze strachu.

– Jak ci na imię?

Obcy odchrząknął. Skrzywił się. Potem powiedział coś bardzo cicho.

– Jak?

– M...la.

– Dobrze zrozumiałem? Mola?

Tamten kręcił głową, zaprzeczając. Szlag! Nie było sensu zajmować się głupkiem.

– Co się stało z ludźmi, którzy przyплыnęli tą łodzią? – Tomaszewski celowo nie odkrywał kart i nie ujawnił, że wie, iż do brzegu dotarł prawdopodobnie tylko jeden rozbitek. – Co z nimi?

– Wiele dni, dawno, dawno już burza była. – Głos tubylca był chrapliwy i ledwie rozumiały. – Burza. Wielka burza i wszyscy potonęli! Dawno...

– Nie kręć! Wiemy dokładnie, kiedy to było.

– Burza, panie, burza. Wszyscy potonęli!

Wyszyńska zdenerwowała się nagle i wyjęła z kabury ogromny rewolwer.

– Nie kłam, świnió! – Wycelowała w trzęsącego się mężczyznę. – Wiemy, kiedy to się zdarzyło! I wiemy, że nie było burzy!

– Ja serdecznie panią proszę, żeby go pani swoim zwyczajem nie zastrzeliła na samym wstępie przesłuchania – zakpił lekko Tomaszewski. – Będzie mi bardzo miło, jeśli zrobi pani wyjątek i pozostawi go przy życiu.

Spojrzała na niego wściekła. Kai, która była świadkiem różnych wyczynów pani inżynier, zaczęła chichotać.

– Co się z nimi stało?

Mężczyzna znowu zerknął za siebie.

– Nie myśl głupio. Nie uciekniesz.

– Nie, uciekać nie. – Tubylec znowu zerknął za siebie. – Tam wieś. Niedaleko. Tam starszyzna, tam ludzie. Ktoś widział. Ktoś powie.

– Aha, zmienił wersję – mruknęła Wyszyńska. – Na taką, że może ktoś coś widział.

– Jest chory ze strachu – powiedziała Kai. – Tu i tak nic konkretnego z niego nie wyciągniemy.

Tym razem Tomaszewski spojrzał za siebie, na morze. Na orp „Dragon” były tylko dwa pontony. Jeśli je straci lub pozwoli uszkodzić, to na okręt będą mogli wrócić tylko wpław. A i to teoretycznie. Woda jest lodowata, a okręt podwodny do brzegu nie podpłyne. Teoretycznie również w razie jakichś nieprzewidzianych wypadków mogliby użyć łodzi z „Gradienta”, ale nie wiadomo, czy zachowała jeszcze pływalność. Potem pozostawały już tylko tratwy ratunkowe „Dragona”, ale to rozwiązanie najbardziej



teoretyczne ze wszystkich. Szlag! Nie mógł zostawić pontonów na brzegu bez osłony. I to solidnej. A wysłanie pontonów na okręt, żeby przywiozły w ratach większy oddział, miało się z celem. Zresztą do takiej operacji nie byli przygotowani.

A tu ze sobą miał tylko dziesięciu żołnierzy piechoty morskiej, dziesięciu marynarzy, dwa erkaemy i dwie zawodne krótkofalówki. No trudno. Kiedy nie ma przewidzianej planem dywizji pancerniej, trzeba atakować więźniami wypuszczonymi z ancla i obsługą lazaretu. Jak brzmiało stare wojskowe powiedzenie? Co się mówi, w chwili kiedy nikt nie ma pojęcia, co zrobić? Przyszedł czas na wydanie rozkazów.

– Mielczarek.

– Tak jest!

– Weźmiesz marynarzy, erkaem i jedną krótkofalówkę. Obejmiesz dowodzenie rejonem lądowania. Jesteś cały czas na podsłuchu, a gdy mi się urwie łączność z okrętem, zaczniesz przekazywać wiadomości.

– Tak jest! – Bosman wyprężył się słuźbiście. – A... – zawahał się na chwilę. – A jeśli się urwie łączność z panem komandorem?

No i tu pojawiał się pewien istotny problem. Tomaszewski zmarszczył brwi. Przydałoby się jakieś wsparcie. O samolotach nie mógł marzyć. Regulamin w przypadku zwiadu na obcym brzegu mówił jasno o wsparciu artyleryjskim. Krążowników ani niszczycieli wokół jednak nie było. Hm. orp „Dragon” dysponował co prawda jedną armatą o zasięgu umożliwiającym strzelanie po tej okolicy, ale artylerzystów na okręcie podwodnym szkolono wyłącznie do zatapiania statków handlowych wroga. Nigdy nie byli na poligonie, żeby móc sobie strzelić do czegokolwiek na stałym lądzie.

– Wtedy zawiadomisz okręt. Pod osłoną jego działa wrócisz na pokład po większy oddział. A potem kapitan Kozłowski podejmie decyzję. Okazał się bardzo elastyczny, jeśli chodzi o współpracę.

– Tak jest!

Tomaszewski zwrócił się do porucznika:

– Piechota morska, za mną!

– Tak jest!

Wyszyńska dźgnęła tubylca lufą rewolweru.

– Prowadź, świnió!

– Pani inżynier. Jeńca mi pani stresuje.

Uśmiechnęła się.

– Ach, jednak przyznaje pan, że to jeniec.

– Tak mi się powiedziało.

Całą grupą ruszyli w stronę wydym. Tubylec narzucił ostre tempo. Idąc po piasku, szczególnie pod górę, szybko tracili oddech. A po chwili mimo panującego chłodu cywile zaczęli odpinać kurtki. Na szczęście za klifem, kiedy przebyli pasmo wydym, pojawiły się iglaste drzewa. Trochę podobne do sosen, bardziej powyginane i rosnące dużo gęściej. Na szczęście jednocześnie podłoże stało się trochę twardsze i łatwiej było iść.

Teren okazał się bardzo pofałdowany. Omijali jednak pagórki o łagodnych stokach. Wkrótce napotkali małą rzeczkę, a właściwie strumyk. Dziwne, bo nigdzie na plaży, przynajmniej w zasięgu wzroku, nie było żadnego ujścia. Koryto musiało więc wić się wśród wzgórz, a często pewnie wręcz równoległe do linii brzegu.

Wieś ukazała się, dopiero kiedy stanęli na szczycie kolejnego wzniesienia. Rzeczka w dolinie rozlewała się na płyciźnie łatwej do przejścia w bród. Wokół niej stało kilkadziesiąt... chat? Namiotów? Szałasów? Najbardziej cisnęło się na usta słowo „jurta”, poprzez skojarzenie z konstrukcjami Mongołów, ale tu przecież, w przeciwieństwie do stepowej pustki, rósł las, a w nim dowolna ilość budulca. Dziwne.

Tomaszewski ruchem ręki wezwał łącznościowca i wziął mikrofon radiostacji, którą tamten dźwigał na plecach.

– Tu Szwadron, tu Szwadron. Gniazdo, jak mnie słyszysz? Odbiór.

O dziwo, w głośniku od razu rozległo się donośne:

– Tu Gniazdo. Szwadron, słyszę cię głośno i wyraźnie. Odbiór.

Tubylec mało nie umarł ze strachu na widok mówiącego pudła. Tomaszewski uśmiechnął się tylko. Bał się tych drzew wokół i wierzchołków wzgórz, jeśli chodzi o propagację. A jednak jak dotąd łączność działała bez zarzutu.

– Tu Szwadron. Schodzę na rekonesans do obcej wsi. Proszę o gotowość wsparcia ogniowego. Odbiór.

– Tu Gniazdo, jesteśmy już uprzedzeni. Wsparcie ogniowe w gotowości. Odbiór.

– Tu Szwadron. Dziękuję. Bez odbioru.

– Tu Gniazdo. Powodzenia.

Na dany znak żołnierze piechoty morskiej zaczęli schodzić jako pierwsi. Nie wiadomo, czy ich przymusowy przewodnik miał jakiś sposób na ostrzeżenie swoich, czy też minęli linię wart, których nie zauważyli. W każdym razie na dole, między jurtami, gromadzili się już wszyscy chyba mieszkańcy wsi.

Porucznik ustawił swoich ludzi w elastyczny szyk obronny. Grupa ogniowa, czyli on i erkaemista, w środku, razem z oficerami i cywilami, pozostali w dwójkach wokół. Żołnierze zdjęli kaptury, żeby nie zaskoczył ich żaden ruch z tyłu. Tomaszewski wyjął z plecaka oficerską czapkę marynarki wojennej, z lśniącym czarnym daszkiem i otokiem oraz idealnie białym denkiem ze złotymi insygniami. Ujawnianie osoby oficera było wbrew wszelkim regulaminom, ale on znał już znaczenie efektu psychologicznego.

Zeszli i powoli zaczęli mieszać się z ludźmi. Żołnierze piechoty morskiej w swoich zimowych, białych mundurach wykonanych z materiałów, o których jakości tubylcom nie mogło się nawet śnić, wyglądali tutaj jak książęta wrzuceni między ludzką mierzwę. Jak bogacze wśród biedoty, jak elitarna gwardia cesarska podczas ceremonii podejmowania obcego króla. Mieszkańcy rozstępowali się przed nimi w milczeniu. Być może też domyślali się, że trzymane w pozycji bojowej małe automatyczne karabinki, choć wielkością nie dorównywały ogromnym karabinom imperialnej piechoty, w istocie były bronią stokroć bardziej groźną. Być może deprimowały ich też komunikaty dobiegające z dziwnej skrzynki na plecach jednego z żołnierzy: „Szwadron, Szwadron, Gniazdo zgłasza gotowość bojową wsparcia”. Cisza stawała się coraz bardziej namacalna. Napięcie rosło.

Słyszając, że działo „Dragona” jest gotowe do strzału, Tomaszewski poczuł się znacznie lepiej. Proporcja: dziesięciu żołnierzy na jakichś stu, stu pięćdziesięciu tutejszych nie była już taka ważna.

– Prowadź do sołtysa czy wójta!

Ich przewodnik najwyraźniej zrozumiał. Wyciągnął rękę, wskazując kogoś w tłumie.

– Starsi! Starsi!

Powoli podeszli do grupy mężczyzn i kobiet. Rzeczywiście, może i wyróżniali się wiekiem, choć trudno to było dokładnie określić. Tomaszewski czuł, że coś było nie tak. Coś wisiało w powietrzu. Zerknął na

porucznika, a potem na Wyszyńską. Oboje skrzywili się, jakby czuli dokładnie to samo.

Przeniósł wzrok na Kai.

– Czujesz coś?

– Niby co? – odparła zdziwiona.

Teraz on się zdziwił.

– Wszystko w porządku? – Nie mógł zrozumieć. Kai przecież zawsze była znacznie wrażliwsza na wszelkie odcienie ludzkiej aury, jak to nazywała. A teraz on czuł wyraźne napięcie, a ona zdawała się obojętna niczym podczas pokazu musztry w jakimś garnizonie w głębi kraju.

– W porządku. – Kai wzruszyła ramionami. – Czemu pytasz?

No nic. Jemu samemu wszystko wokół podobało się jednak coraz mniej. Czuł się jak na scenie podczas występu w podrzędnym teatrze, kiedy zniesmaczeni poziomem przedstawienia widzowie mogli go w każdej chwili obrzucić ciężkimi przedmiotami. Ale co mógł poradzić. Stan umysłu, w jakim się znajdował, sprawił, że postanowił zrezygnować z przedstawiania się i jakichkolwiek tłumaczeń. Od razu przeszedł do ofensywy.

– Gdzie są ludzie z łodzi, która leży na brzegu?! – ryknął.

Najstarszy z grupy „starszych” zgiął się w ukłonie.

– My nie wiemy, panie. My nic nie wiemy.

Tomaszewski wyciągnął w jego stronę dłoń w białej rękawiczce. Wsunął dwa palce pod brodę tamtego i wyprostował mu głowę.

– Nie kryj twarzy, jak do ciebie mówię – powiedział spokojnie i cicho, prawie szepnął. A potem wrzasnął: – Gdzie są ludzie z mojej łodzi?!

– My nie wiemy, panie! My tam nie chodzimy.

– Łżesz! A ten wasz Mola, czy jak mu? Co tam robił?!

– On wartownik... On...

– A jednak tam był! Co z moimi ludźmi?! I bez kłamstwa, chamie!

Wszyscy widzieli, że starszy kręci. Atmosfera gęstniała wyraźnie. Co jest grane?

– Mów!

Dowódca nigdy nie bije przesłuchiwanego osobiście. A już na pewno nie dowódca tej rangi. Coś przedziwnego zaciskało się wokół i Tomaszewskiego jednak poniosło.

– Przypiernicz mu! – krzyknął do radiotelegrafisty, który stał najbliżej. – Już!

Żołnierz chwycił zapasową antenę i przyłożył mężczyźnie na odlew. Mocne chłaiście i towarzyszący mu nieprzyjemny dźwięk robiły piorunujące wrażenie. Starszy opadł na kolana, radiotelegrafista strzelił jeszcze raz, po plecach. Ludzie z wioski poruszyli się gniewnie, wielu zrobiło krok naprzód.

Żołnierze dokładnie w tej samej chwili przeładowali karabiny. Ostre trzaski zamków osadziły tubylców w miejscu.

– Mów! – Tomaszewski kopnął klęczącego. – Gdzie moi ludzie?!

– Słusznie, panie komandorze! – niespodziewanie poparła go Wyszyńska i podsunęła starszemu pod brodę lufę rewolweru. – Mów, bo ci spalimy tę wiochę!

Kai obserwowała wszystko z boku. Coś ciepłego rozlewało jej się w brzuchu. Bogowie... Krzysiek! Jaki on był władczy, jaki pewny siebie!

– Dołóż mu! – krzyknął dowódca.

Kolejne uderzenie z dźwiękiem, który przyprawiał o ból zębów. Nowoczesna, giętka antena okazała się świetnym narzędziem tortur. Lepszym niż kot o dziewięciu ogonach. Dosłownie przyklejała się do pleców, oddając za każdym razem całą energię zwiększoną o moment obrotowy.

– Podnieś go!

Żołnierz chwycił płaczącego człowieka i postawił na nogi przed Tomaszewskim, który spytał cicho i łagodnie jak dziecko:

– Gdzie są moi ludzie? – Znowu delikatnie dotknął twarzy starszego dłonią w białej rękawiczce. – Co?

Tamtym wstrząsnęło. Mieszkańcy wioski napierający zewsząd również stanęli zaskoczeni. Szlag! Tomaszewski miał tylko dziesięciu ludzi. I to frontowców z piechoty morskiej, a nie zwiadowców. Zamarzył o plutonie Tatarów dowodzonym przez jego kolegę Ibrahima. Po kwadransie w wiosce panowałyby cisza, spokój i idealny, wzorowy wręcz porządek.

– Tylko jeden – wyłkał starszy mężczyzna. – Był tylko jeden człowiek. Jeden przyplynał.

– Gdzie jest?

Kai stojąca obok słabła, czując, jak ciepło wewnątrz jej ciała rozlewa się coraz szerzej i sprawia, że wszystko stawało się coraz bardziej miękkie. Z

całkowitą wyrazistością zdała sobie sprawę, że kocha Tomaszewskiego i właśnie taki mężczyzna, władczy i twardy, będzie mężczyzną jej życia. Nie mogła sobie poradzić z uczuciami. Gdzieś nisko, w podbrzuszu, była miękka i ciepła, wyżej czuła coraz bardziej sterczące piersi. Pod parką nie było oczywiście niczego widać. Odeszła jednak o kilka kroków. Wszyscy patrzyli na głównych aktorów zdarzeń, nią nie interesował się nikt.

– Co zrobiliście z tym człowiekiem?

Tomaszewski czuł, że pali go twarz. Miał suche usta. Miał też nadzieję, że wszystko rozwinię się dalej zgodnie ze scenariuszem, który napisał on, a nie jakiś tam przypadek. Czuł, że trochę balansuje na krawędzi wybuchu. Nie miał tylko pojęcia czyjego. Sytuacja zaskakiwała jego samego.

– On... on umierał, panie.

– I umarł?

– Tak.

– Gdzie jest?

– Tu. – Mężczyzna podtrzymywany przez radiotelegrafistę wykonał niezborny gest, jakby chciał pokazać coś z tyłu. – Jest zakopany tutaj. Na skraju wsi.

– Jak umarł?

– Sam z siebie. Był bardzo słaby i ledwo szedł.

– Mam spalić te chałupy, w których znajdę jakikolwiek przedmiot zabrany mojemu człowiekowi?

– Nie, panie. Nie, panie, błagam. Nikt mu nic nie zabrał, bo klątwa!

Tomaszewski zerknął na Wyszyńską. Ta wzruszyła ramionami. Brednie o wierze w klątwę mogły być prawdziwe, bo przecież łódź z „Gradienta” tkwiła opodal z nienaruszonymi bakistami. Wszystko zostało na miejscu: kamizelki ratunkowe, sztormowe płachty z brezentu, rakielnica, race, a nawet granaty ułożone równo w nienaruszonych skrzynkach.

– Co pani o tym myśli?

– Chyba trzeba go zabrać, choć szkoda, że na pokładzie nie ma Siweckiego.

– Tak, felczer sekcji nie robi. Ale możemy go chyba zamrozić w chłodni.

– Na pewno. Tym bardziej że zwłoki spoczywają tutaj w już dość zamrożonym gruncie. Nie powinien nam sprawić kłopotu.

– Dobrze. – Tomaszewski odwrócił się do starszego. – Każ ludziom wziąć narzędzia. Niech go wykopią.

– Panie! Ale klątwa!

– Co jest? A kiedy go zakopywaliście, to klątwy nie było?

– Pochówek, złożenie zwłok do grobu, jest rzeczą właściwą. Miłą Bogom. A wykopywanie nie! Klątwa spadnie na nas!

I nagle Tomaszewski zdał sobie sprawę, co tak bardzo irytuje go w zachowaniu mieszkańców wioski, a starszego w szczególności. To był strach. Oczywiście. Lecz strach nie przed nim i jego żołnierzami. Nagle zrozumiał to z całkowitą jasnością. Aż poczuł mrowienie w plecach. Jeśli to nie jego bali się najbardziej, to... To co wprawiało ich w takie przerażenie?

Znowu zerknął na Wyszyńską i znowu, o dziwo, ona chyba czuła to samo. Widział wyraźną nić porozumienia, kiedy oboje zrozumieli sytuację. Jednak w takim razie to, co tak napawało mieszkańców przerażeniem, musiało być gdzieś tutaj. W wiosce.

– Każ ludziom brać łopaty albo powiedz im, że co piąta chata zostanie spalona. – Tomaszewski włożył do ust papierosa i jakby dla demonstracji zapalił go z charakterystycznym trzaskiem pokrywki benzynowej zapalniczki. – Ewentualnie niech sami wybiorą, co wolą. – Ułożył odpowiednio usta i wydmuchnął w stronę mężczyzny powoli powiększające się kółko dymu.

Jawna bezczelność obcego oficera, stojącego jedynie z garstką żołnierzy naprzeciw tłumowi, który w każdej chwili mógłby go zgnieść jednym potężnym ruchem do przodu, była obezwładniająca. Ale zadziałał tu pewien mechanizm psychologiczny. Obcy tak bardzo odróżniali się od tutejszych, byli tacy wspaniali. Te idealnie białe zimowe mundury z materiałów, których tu nikt nigdy nie widział. Ich czapki, szaliki, rękawiczki, obszyte białym futrem kaptury... Bogowie! Książę nawet nie miał obszytego białym futerkiem kaptura, skąd oni w ogóle wzięli tak białe futro? Podobnych żołnierzy nie miała sama cesarzowa. A ich dowódca? Bez bojaźni w sercu wszedł i od razu rządzi, kazał naczelnika obić jak psa, ludzi poroztrącał, grozi, że chałupy spali, no i ma złote insygnia na swojej czapce. Co z tego, że ich dziesięciu, a nas prawie dwie setki? To czysta psychologia i jej triki sprawiły, że część ludzi w milczeniu poszła po narzędzia do kopania.

Tomaszewski obserwował uważnie otoczenie. Na razie metody wypracowane w czasach wojen na Kresach sprawdzały się i tutaj. Tyle

tylko, że w przeciwieństwie do tamtych czasów tu w razie czego nie mógł liczyć na przybycie ułanów z odsieczą. Zaciągał się ostrożnie, żeby się nie rozkaszczyć przypadkiem. Oficer nie może w tej sytuacji okazać jakiegokolwiek ludzkiej słabości. Rozglądał się uważnie. Czego oni się boją? Co dla mieszkańców wioski może być straszniejsze niż on?

– Szybciej! – zakomenderował tylko po to, żeby pokazać stojącym wokół, że ma wszystko pod kontrolą. – Macie czym kopać?

– Tak, panie. – Starszy trząsał się jak w gorączce.

– Prowadź!

Ruszyli całą grupą przez rozstępujący się tłum. Na szczęście nie musieli pokonywać jakiegoś większego dystansu. Coś w rodzaju cmentarza, miejsca świątynnego, czy jak to nazwać, znajdowało się tuż przy skraju wsi, bardzo blisko placu, na którym spotkali się ze starszyzną.

Wyszyńska wyjęła z torby jakąś książkę. Zaimponowała tym trochę Tomaszewskiemu, bo nie była to książka wydana za Górą Pierścienia, tylko pochodząca stąd. Napisana na terenie imperium.

– Wypożyczyłam z biblioteki w Negger Bank – wyjaśniła pani inżynier, widząc pytający wzrok. – Muszę jej bardzo pilnować, bo wpłaciłam kaucję, mam karnet i zobowiązałam się ją oddać.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Jestem naprawdę pod wrażeniem poziomu cywilizacji imperium – powiedział. – A o czym to jest?

– To naukowa rzecz, imperialnego etnologa, o zwyczajach tubylców żyjących w okolicach Banxi. – Wyszyńska przewracała kartki. – Co prawda on odbył wyprawę w czasach Achai, więc rzecz może być nieco przeterminowana. Ale – trafiła na właściwy rozdział – nie do końca, sądzę. Niech pan zerknie, komandorze.

Spojrzał na przepiękny, odręcznie wykonany obrazek, który przedstawiał prawie dokładnie to, co właśnie mieli przed oczami. Wota zawieszane na krzyżowych stojakach, malutki ołtarz ofiarny, gdzie składano głównie różne gatunki roślin, i skromny grób z malutkim kurhanem.

– To nie jest ich prawdziwy cmentarz – wyjaśniała. – Ten prawdopodobnie leży gdzieś dalej. W miejscu niewidocznym ze wsi. To tutaj to tak zwany cmentarz fałszywy. Jeśli tubylcy mają odpowiednie ciało, chowają je tuż przy swoich domach, żeby nieboszczyk przyciągał do siebie złe moce, a jednocześnie odwracał je od mieszkańców. Stając się czymś w



rodzaju wotum dla wsi. Hm, nie wiem, jak to nazwać, za słabo jeszcze czytam w tym języku.

– No to nie do końca im się udało – mruknął Tomaszewski. – Nasz nieboszczyk co prawda przyciągnął złe moce, ale od wsi ich nie odwrócił.

Wyszyńska spojrzała mu prosto w oczy.

– Też pan to czuje? To dziwne napięcie kumulujące się dokoła?

– Spytajmy Kai, co to może znaczyć. – Odwrócił głowę. – Kai? Kai?

Dziewczyny w pobliżu nie było. Napotkał tylko zaskoczony wzrok Załuskiego, który też zaczął się rozglądać.

– Panno Kai? – zawołał inżynier. – No stała tu obok przecież... Gdzie pani jest?

Wyszyńska również wodziła wokół trochę ogłupiałym wzrokiem.

– No była... Zaraz, kiedy pan ją widział ostatnio?

– Przed chwilą. – Załuski wzruszył ramionami. – Stała tuż obok.

– Przed jaką chwilą?

Inżynier skupił myśli.

– Zaraz... Stała przy mnie, zanim ruszyliśmy tutaj. Tam, gdzie spotkaliśmy starszą. Była tuż obok, a potem odeszła na kilka kroków.

– Gdzie odeszła?

– No nie wiem. Zrobiła tylko kilka kroków i zatrzymała się. Straciłem ją z oczu. Nie. Nie patrzyłem po prostu, co dalej.

Tomaszewski poprawił czapkę na głowie i odrzucił papierosa. Tubylcy na szczęście zajęli się rozkopywaniem grobu. Dobrze, że nie zwracali uwagi na to, co się dzieje. Dowódca, który gubi własnych ludzi, nie był najlepszym wsparciem dla psychologicznego efektu, który tu wywołali. Cholera jasna!

– Kai! Kai! – krzyknął, patrząc ponad głowami mieszkańców wioski.

Wyjął z kieszeni gwizdek i dmuchnął ostro. Przerażliwy dźwięk wzbudził uwagę tubylców, ale nie wywołał żadnej słyszalnej reakcji. A przecież według regulaminu Kai powinna odpowiedzieć również gwizdem, i to natychmiast. Tomaszewski nie mógł okazać wahania ani zbyt długo nawoływać swojego człowieka. Wyznaczył dwie pary żołnierzy na prowizoryczne patrole.

– Rozejrzyjcie się wokoło. Tylko nie odchodźcie za daleko.

– Tak jest!

Załuski kręcił się w miejscu z ogłupiałą miną.

- Gdzie ona mogła pójść? Panno Kai!
  - Niech pan nie nawołuje. To nic nie da, a okazujemy w ten sposób słabość.
  - Słusznie – poparła Tomaszewskiego Wyszyńska. – Jeśli nie odpowiedziała na gwizdek, to żadne krzyki nic tu nie dadzą.
  - Ale gdzie mogła pójść? Sama wśród obcych?
- Czekali w milczeniu, obserwując tubylców kopiających z trudem w zamrzniętej ziemi. Oba patrole wróciły po kilku minutach.
- Nigdzie jej nie ma, panie komandorze.



Garnizon Kong był ostatnią placówką cywilizacji na długiej drodze łączącej wybrzeże z granicami imperium. Dalej nie było już nic. Droga zasadniczo się kończyła. A może inaczej, dalej nie była już wykładana kamiennymi płytami. Zimą dawało radę pokonać ją saniami. A na krótkie, chłodne lato, kiedy zamieniała się w strugę błota popstrzoną kałużami, nie wymyślono jeszcze pojazdu zdolnego poruszać się po takiej nawierzchni. Dalej były bandy dezertersów, bandyci różnego autoramentu, barbarzyńcy, wrogie wojska różnych królestw i księstw, z rzadka, bo z rzadka, ale jednak czasem zapuszczające się w te pustawe i ponure okolice. Mieszkający w zimnej tundrze tubylcy byli wrogo nastawieni do wojsk imperialnego garnizonu, a potwory z Wielkiego Lasu na płaskowyżu Banxi potrafiły docierać aż tu, rabując wsie i zagrażając kupcom ciągnącym od pogranicznego miasteczka do miasteczka. Z Lasu wychodziły też straszdyła. Różne widma i stwory, będące zapowiedzią ciągnących nisko nad ziemią całunów morowego powietrza. Ale o tym najstarsi weterani woleli nie wspominać. Nie chcieli odbierać młodym resztek morale, jeśli w ogóle coś takiego mogło istnieć w szeregach porzuconych na zadupiu, w tej zapyziałej okolicy. Generalnie zabijały tu: nuda, pod postacią samobójstw, i koleżanki, które miały o coś żal. A w razie jakiejś konkretnej akcji bojowej wojska odnosiły ogromne straty z powodu odmrożeń i dezercji.

Pułkownik Thien nasączała się winem w swoim ogromnym gabinecie, pamiętającym jeszcze czasy świetności cesarstwa, ale... świetności Cesarstwa Luan. Wielkie okna wychodziły na plac ćwiczeń, a wspiąwszy

się na antresole, można było dostrzec nawet pobliską rzekę i główne (ostatnie w imperium z tej strony) skrzyżowanie dróg. Major Phan stała właśnie w tym oknie, owinięta nieregulaminowym kocem. Przez szpary wiało i ciągnęło niemiłosiernie jesiennym chłodem. Coś jakby zaczynało się dziać. Major bowiem dowodziła ochroną wyprawy geologicznej imperium w te strony. Jaśnie panowie inżynierowie nie raczyli oczywiście osobiście zaszczyścić pani pułkownik w progach jej garnizonu, lecz Phan ze swojej misji przywiozła sporo opowieści z dalekiego, cywilizowanego świata.

– No ale jak to? – Thien podstawiła swój pusty puchar porucznik Yao, pełniącej tego wieczora rolę podczaszego. – Nie powiedzieli ci, czego szukają?

– A powiedzieli, powiedzieli... – Phan ciaśniej owinęła się kocem. Na zewnątrz wiało okrutnie. – A myślisz, że coś zrozumiesz z tych fachowych określeń specjalistów od kopalń? W każdym razie byli strasznie z siebie zadowoleni, bo chyba znaleźli to, czego szukali.

– Skoro się cieszyli, to pewnie znaleźli złoto! – wtrąciła się Yao.

– Cicho, młoda. Nie gadaj głupio – osadziła ją pułkownik.

– To była jakaś ziemia, jakiś rodzaj. Strasznie trująca i niebezpieczna. Imperialni inżynierowie czasem nazywali to ziemią śmierci.

– I na jaką zarazę im to?

– W każdej ilości jednak kupią to przybysze. Za ich pieniądze nasi pobudują kopalnie i drogi. W okolicach, gdzie jest zabijająca ziemia, będzie praca dla ludzi. Będzie trochę lepiej.

– Domyślam się, że sami obcy do pracy przy zabijającej ziemi jakoś się nie palą – roześmiała się pułkownik. – Zapłacą, żeby to inni wydobywali.

– No – uśmiechnęła się major. – Skoro są tacy bogaci, to głupi przecież być nie mogą.

Wszystkie trzy zaczęły się śmiać. Niczego nie wiedziały o przybyszach z dalekich krain. Gdzie by tu, do zapadłej głuszy, dotarły jakiegokolwiek wieści. Jediną informację zawierał okólnik ministerstwa wojny, w którym napisano im, że cesarz i prezydent rp zawarli strategiczny sojusz. I dlatego odtąd nie należy traktować nikogo w mundurze wojsk rp jako wroga. Postępować jak z sojusznikiem i okazać pomoc, jeśli ten o taką poprosi. I wszystko. Jak wygląda mundur wojsk rp – nikt nie wiedział, bo żadnych

rysunków do okólnika nie załączono. Nikt najwyraźniej nie liczył, że ktokolwiek w takim mundurze zawita do garnizonu Kong.

– Czy któryś z tych inżynierów widział chociaż jakiegoś „sojusznika” na własne oczy?

– Jeden tak. Krótco, na wybrzeżu, ale widział.

– I co? Bogate stroje mają? Jak książęta?

Phan wzruszyła ramionami.

– Ten jeden to skromnie był ubrany. Ale wszystko uszyte miał z materiału, którego my ponoć uprać nie potrafimy. – Major odwróciła wzrok od szyby i zerknęła porozumiewawczo. – Podobno sympatycznie to wygląda.

– Nie są to jakieś, mam nadzieję, dzikusy z wielką armią?

– A skąd. Ten inżynier, który widział, twierdzi, że wysoka kultura. No oczywiście nie aż tak wielka jak nasza, to jasne. Ale to nie barbarzyńcy. Podstawowe zasady dobrego wychowania znają.

– Eee – odważyła się wtrącić Yao. – Wszystko, co nie urodzone na naszej ziemi, to dzicz jakaś.

– Coś w tym jednak jest – zgodziła się niespodziewanie Phan. – Podobno śmiesznie mówią. Zupełnie nie można ich zrozumieć.

– Jak to? Jak mówią?

– Podobno tak warczą jak wilk. Tak: wrrrrrrrr, w każdym słowie. I jeszcze szeleszczą, jakby wąż pełził po piasku, tak: szszszszszszsz.

Pułkownik upiła łyk grzanego wina. Czowała, że powoli jej głowę ogarnia błogosławiony ciężar i powolność w myśleniu.

– Hm. Ciekawość by zobaczyć choć jednego takiego.

– Żebyś tylko w złą godzinę nie powiedziała. – Phan podeszła do stolika, gdzie stał mieszalnik do wina. Omijając pojemnik na wodę, nalała sobie samego gorącego wina z ziołami. Potem wróciła na swój posterunek przy oknie.

– Co tam tak sterczysz? – spytała Thien. – Narzeczonego wypatrujesz?

– Marzę sobie o dalekich podróżach.

– Jak dalekich? Aż do Negger Bank?

– Na koniec świata na przykład. Przecież ci przybysze to musieli przebyć kawał drogi, skoro do tej pory nikt o nich nie słyszał.

– Świat jest wielki.

Major przypomniała sobie coś, bo nagle odwróciła głowę.

– Ten inżynier mówił, że podobno budują dwie drogi. Na Złe Ziemie. Pułkownik parsknęła śmiechem.

– A po co aż dwie? I to w dodatku na Złe Ziemie, gdzie przecież niczego nie ma?

– Jedną z żelaza. A tam na miejscu będą kopać olej skalny.

Tym razem śmiały się już obie, Thien i Yao.

– Jeśli oni tacy łąsi na zabijającą ziemię i olej skalny, to może im jeszcze krowiego łajna sprzedajmy, pomieszanego z końskim moczem! – chichotały. – A jeśli oni lubią rzeczy nikomu niepotrzebne, to sprzedajmy też zawartość latryn!

– Droga z żelaza. – Yao wtórowała pułkownik. – Ja bym im kazała zbudować drogę ze złota!

– Tak! Prowadzącą z obory do latryny!

– Ha, ha, ha!

Phan nie brała udziału w zabawie. Jej twarz z każdą chwilą robiła się coraz bardziej poważna. Wręcz zasepiona.

– Coś dziwnego dzieje się na skrzyżowaniu.

– Niby co? – Pułkownik ocierała łzy z policzków.

– Wozy jadą. Jakies dziwne.

– A co w nich dziwnego?

Major odwróciła się od okna.

– Wozy jadą, ale koni, które by je ciągnęły, nie widać.

Pułkownik mało nie udławiła się kolejną porcją wina. Razem z Yao podskoczyły do okna. Ogromne wozy stały na drodze przed skrzyżowaniem. Jeden z nich, najmniejszy, rzeczywiście jechał i nawet skręcił w kierunku koszar. Thien i Yao, obie naraz, przełknęły ślinę. Koni nie było.

– To mówisz, że jesteś ciekawa i chciałabyś zobaczyć jednego z obcych?

– mruknęła Phan do dowódcy. – No, mówiłam, że w złą godzinę powiedziane.

– Jadą do nas! – krzyknęła Yao.

Od kolumny zaparkowanej na skraju drogi zaczęły się odrywać pojedyncze wozy i skręcać w ich stronę. Bez koni! Bez żadnych zwierząt pociągowych! A ten najmniejszy, który był w ruchu, właśnie dojeżdżał do koszar.

– Do nas! Jak Bogów kocham, do nas jadą!

– Warty ich nie przepuszczą. – Pułkownik wzięła się w garść. – Ogarnijcie się, dziewczyny. I chyba... – głos jej zadrżał nagle. – Chyba trzeba pluton alarmowy uruchomić? – zabrzmiało to jak pytanie.

– Nie ma po co – jęknęła Yao. – Są już w środku.

Obcy wóz istotnie nie przejmował się wartami, które stały jak oniemiałe. Po prostu przejechał obok, nikogo nie pytając o pozwolenie. Dziwna konstrukcja nie była otwarta ani z góry, ani z boków. Przypominała trochę metalową skrzynię na niezwykle, grubych ponad wszelką miarę kołach.

– Pluton alarmowy!

– Oficer dyżurny! Oficer dyżurny!

– Sądzicie, że to atak? – Pułkownik żałowała, że wypłała za dużo wina. Myślało jej się bardzo powoli.

Pozostałe pojazdy zmierzały w kierunku garnizonowych koszar. Ten pierwszy zatrzymał się na dziedzińcu. Okazało się, że oficer dyżurna na szczęście była na swoim stanowisku, zbiegła na dół i pojawiła się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Zgarnęła skądś nawet grupkę żołnierzy, pewnie z kuchni, bo tylko część z nich miała broń. Wartownia była przy wjeździe na dziedziniec, zasłonięta wieżą strażniczą, i nie widać było, co tam się dzieje. Nikt nigdy nie atakował garnizonu w Kong bezpośrednio i nikt dotąd nie wdarł się od razu prosto do środka.

Drzwi pojazdu się otworzyły. Żołnierze na dziedzińcu zamarły w bezruchu. Jedyne oficer dyżurna podeszła bliżej. Przynajmniej ktoś, jeden jedyny człowiek, nie skompromitował się od razu. Po chwili okazało się, że nie było się czego bać. Z pojazdu wysiadła dobrze ubrana dziewczyna, widać, że z porządnego domu, a za nią dwóch mężczyzn w nieskazitelnie białych strojach. Dziewczyna spytała o coś oficer na placu. Pokazała jakiś papier. Po chwili cała czwórka ruszyła w stronę budynku dowództwa.

– O psiamać! Dziewczyny, ogarnijcie się jakoś! – zakomenderowała pułkownik. Runęła w tył, do swojego biurka, nogi plątały jej się ze zdenerwowania, a może z jakiegoś innego powodu.

– Yao, schowaj to wino! – krzyknęła Thien.

– A czym ich poczęstujemy?

– No ale nie w takich ilościach.

Nie miały czasu, żeby zrobić coś więcej. Major tylko ukryła swój koc i poprawiła mundur, kiedy oficer dyżurna zapukała do drzwi.

– Wejść!

Ciężkie skrzydło otworzyło się z trzaskiem.

– Porucznik Wen melduje przybycie dwóch oficerów Rzeczypospolitej Polskiej wraz z tłumaczem!

Elegancko ubrana dziewczyna i dwóch ubranych na biało oficerów weszli do środka. Ciekawe, czy to były mundury zimowe, czy wystroili się tak, żeby zrobić wrażenie na miejscowych. Dziewczyna coś jadła. Fuj, co za chamstwo, a początkowo sprawiała takie dobre wrażenie. Teraz żuła i żuła, nie mogąc przełknąć. Poczwała na sobie wzrok oficerów.

– Jestem tłumaczem – wyjaśniła. – Mam na imię Duon i jestem córką kupca z Negger Bank.

Czuła jednak instynktownie, że to niewiele powiedziało obecnym, bo podjęła się dalszych wyjaśnień:

– Teraz na wybrzeżu jest moda, żeby posyłać dzieci do szkoły przy bazie wojskowej. Najlepsza inwestycja na przyszłość. Szczególnie dla kupców, jak mój ojciec. No i ja się okazałam bardzo zdolna w językach i wzięli mnie prawie od razu do pracy. Za takie pieniądze, że... – dziewczyna odruchowo dotknęła swojego kosztownego i wykwintnego stroju – że się w ogóle nie wahałam.

– A możesz nareszcie przełknąć to, co masz w ustach, Duon? – Thien przerwała potok wymowy młodziutkiej tłumaczki.

– A! To? – Duon wysunęła język i pokazała na nim coś białego. – To nie jest jedzenie. To guma do żucia.

– Tego się nie przełyka czy co?

– Nie, to się żuje. – Dziewczyna wzruszyła ramionami i wyjęła z torby kolorowe drobiazgi. – Mam jeszcze lizaki. Chcą panie?

Thien i pozostałe zrozumiały, że coś niebywałego działo się na wybrzeżu. Sytuację uratował na szczęście starszy z oficerów.

– Jestem major Janusz Baranowski, a to porucznik Grzegorz Jasiak. Jesteśmy doradcami wojskowymi rp delegowanymi do garnizonu Kong. – Wyjął z raportówki jakieś pismo i wręczył pani pułkownik. – Mamy rozkaz samej pani cesarz i działamy na mocy układu pomiędzy naszymi państwami.

Duon mimo gumy w ustach tłumaczyła bardzo sprawnie i dokładnie. Rzeczywiście miała niezwykły talent do tego zadania.

– Pragnę panie uspokoić – kontynuował Baranowski. – Wszystko zostanie po staremu. My jesteśmy tylko ciałem doradczym. Nie będziemy

się w nic wtrącać.

Dwa piętra niżej, na szerokim dziedzińcu, sierżant Kowalski chyba nie słyszał słów swojego dowódcy.

– Wypakowywać się! – wrzeszczał na swoich żołnierzy. – Zajmujemy tamtą część koszar. Jak ktoś już tam jest, to wykwaterować.

Żołnierze, którzy wyskakiwali z ciężarówek, wcale jednak nie myśleli o wykwaterowywaniu. Pokrzykiwali wesoło do dziewczyn w mundurach imperium, które przyglądały im się w rosnącym osłupieniu.

Sierżant obracał w dłoniach plan garnizonu. Rozdzielał zadania swoim ludziom na bieżąco.

– Ty, do kuchni! Wprowadź tam nasze porządki! Wy, do lazaretu! Żeby mi to przynajmniej choć trochę zaczęło przypominać normalny szpital. Ty każ tym babom czyścić rejony, w tym syfie nie będziemy mieszkać, ty...

Urwał nagle, widząc imperialny patrol wracający z obchodu w miasteczku.

– Co to, kurwa, jest?! – wrzasnął do żołnierzy obcego bądź co bądź państwa. – Ożeż! – usiłował się sumitować. – Ja mam tylko doradzać, nie wtrącać się. – Powoli ruszył w stronę trójkowego patrolu, który zatrzymał się, nie wiedząc, co robić. – No to ja wam, kurwa, zaraz doradzę! Co to ma być?!

Dziewczyny patrzyły na siebie zdezorientowane. Nie rozumiały po polsku, ale sens okrzyków wydawał się jasny.

– Co to ma być?! Jak ty trzymasz broń?!

Jednym szarpnięciem zdjął dziewczynie karabin z ramienia i kazał go trzymać w obu dłoniach, gotowy do strzału w każdej chwili. Wrzeszczał, że nie mogą iść wszystkie trzy, ramię przy ramieniu, bo je zabiją jedną serią, jednym granatem. Kolba ma być przy ramieniu. Lufa w dół, broń gotowa do użycia. Jedna z bab ma iść pod jedną ścianą, a druga pod drugą naprzeciw. Obserwować teren krzyżowo. Dowódca ma iść z tyłu, a nie z przodu, żeby nie zginąć jako pierwszy. Szarpał dziewczynami, ustawiał, popychał, a one przerażone poddawały się jak marionetki. Po jakimś czasie jednak udało mu się opanować. Oddychając głęboko, wrócił do ciężarówki.

– Nie, ja się nie wtrącam. Nie wolno mi ingerować. Ja się nie wtrącam...  
– Nagle przypomniał sobie o czymś, odwrócił się i wrzasnął: – Zaraz! A skąd wy wiecie, że jestem sojusznikiem i mam prawo was opierdalać, co?!



Pierwszy raz mnie widzicie, więc dla was jestem wrogiem! Dlaczego do mnie nie strzelacie, łajzy! Dlaczego, kurwa, do mnie nie strzelacie?!

Dziewczyny w mundurach przymykały oczy z przerażenia i modliły się gorączkowo.

W tym czasie dwa piętra wyżej, w gabinecie dowódcy garnizonu, major Baranowski tłumaczył dobitnie pułkownik Thien:

– My się do niczego nie będziemy wtrącać. Proszę nas traktować wyłącznie jako ciało doradcze, zgodnie z umową między państwami. – Wyjął z torby plany garnizonu, które przywiózł z Negger Bank. Nawet dość aktualne. Pobrane z biblioteki wojskowej rysunki miały nie więcej niż dwieście, trzysta lat. – Zajmujemy, proszę pani, to skrzydło. Oczywiście nie mam tyle wojska, żeby je obsadzić. Trzeba je przygotować na przybycie większych sił. Aha! – Uderzył się w czoło. – W związku z tymi siłami przejmujemy jeszcze port i bazę zaopatrzenia.

– Port?

– Nie, nie, proszę mnie źle nie zrozumieć. My nie reprezentujemy interesów marynarki wojennej. – Baranowski zinterpretował zdziwienie pułkownik po swojemu. – Jesteśmy z wojsk lądowych. Naszym zadaniem jest wyłącznie pełnienie roli doradczej. W nic nie będziemy się wtrącać.

Major Phan studiowała pismo z pałacu. Nie da się ukryć, że sama cesarz osobiście podpisała dokument stwierdzający, że ci tutaj mogą się panoszyć i właściwie robić na terenie garnizonu i okolic, co im się żywnie podoba. Niemniej do spraw wojskowych albo tych, które dotyczyły interesów cesarstwa, mają się nie wtrącać, a jedynie służyć radą w razie potrzeby. Mają też szkolić wojsko, a oficerów zapoznawać z nowymi metodami prowadzenia walki.

Phan podsunęła pułkownik pismo w taki sposób, że palec, którym je przytrzymywała, wskazywał odpowiedni fragment, tak żeby dowódca od razu mogła przebiec po nim spojrzeniem. Thien jednak ledwie mogła zogniskować wzrok.

– Będzie nam niezmiernie miło gościć panów – powiedziała.

– Proszę mi wierzyć, cała przyjemność po naszej stronie.

Major okazał się więc człowiekiem na poziomie. A przynajmniej umiał się wyrażać z klasą. Młodziutka tłumaczka również dawała sobie doskonale radę. Jedyne, co budziło niepokój dowództwa garnizonu, to raczej sama ich

obecność tutaj. Ewidentnie nie przywykły ani do zmian, ani do przerywania ich spokojnego, choć być może i niezbyt przyjemnego snu.

– Tak jak mówię – podjął Baranowski – do niczego się nie będziemy wtrącać.

Jego słowom towarzyszył dochodzący z za okien wrzask Kowalskiego na dziedzińcu:

– Jak ty to robisz, miejscowa ofermo?! Kurwa! Jak jest po ichniemu: „Masz mnie odtąd słuchać, suko”?!

Żująca gumę tłumaczka nie zadała sobie trudu, żeby podjąć się interpretacji tych słów. Jej zadaniem było przecież pośredniczenie w konwersacji między oficerami.



## Rozdział 4



**T**ubylcy zdawali się nie rozumieć, o co chodzi. A Tomaszewskim zaczynało trząść ze złości.

– Gdzie jest Kai? Gdzie ukryliście mojego człowieka?

Trochę się zagalopował, bo przyznał w ten sposób, że podejrzewa mieszkańców wioski. Ale trudno. Co innego mogło się stać czarownicy? Przecież sama nie wyszłaby poza zasięg sygnału gwizdka. Mimo wieku nie wyglądała też na dziewczynkę, która ukryła się za najbliższą jurta tylko po to, żeby za chwilę wyskoczyć i śmiać się z wywołanego zaniepokojenia. Tomaszewski wiedział, że musi w takiej sytuacji okazać stanowczość. Problem w tym, że miał jedynie dziesięciu żołnierzy, zdecydowanie za mało do pacyfikacji.

– Panie poruczniku, proszę wysłać trzy dwuosobowe zespoły i kazać przeszukać każdą jurta.

– Tak jest!

Dobre sobie. Sześciu ludzi na tak rozległą wioskę. Mogli sobie szukać z jednej strony, podczas kiedy tamci mogli z drugiej wynieść zakneblowaną i związaną Kai do lasu. Ciągłe zakładał, że dziewczyna żyje. Musiała żyć. Zerknął na przestraszonych przedstawicieli wioskowej starszyny. Cholera, nie wyglądali na kogoś, kto porwie jednego z przybyszów dla... tu nie wiedział, co powinno się znaleźć: dla wypełnienia jakiegoś rytuału? Zdobywania lepszej pozycji w negocjacjach? No bo przecież nie dla okupu. Nie wiedział, co o tym myśleć. I po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że jego

niepokój to coś więcej niż profesjonalne zachowanie dowódcy. Czuł coś do tej młodej cholernicy?

Ruchem ręki wezwał łącznościowca.

– Mielczarek? – Podniósł mikrofon do ust.

– Jestem na stanowisku – rozległo się natychmiast w głośniku.

– Weźmiesz erkaem i radiostację. Przy pontonach zostaw czterech ludzi.

– Zrozumiałem, panie komandorze.

– Wydadź im rozkaz: niech czekają na plaży tylko do momentu, aż w zasięgu wzroku pojawi się ktoś z miejscowych. Jeśli się pojawi, mają go ostrzelać i pod osłoną ognia zwodować pontony. Potem niech płyną na „Dragona”.

– Tak jest!

– Posłuchaj mnie jeszcze. Weźmiesz ze sobą oba kanistry z benzyną do silników łodzi. Mam nadzieję, że są pełne.

– Są pełne, panie komandorze. Sam sprawdzałem przed wodowaniem.

– Doskonale. W takim razie sam ze swoimi ludźmi wykonasz głębokie obejście wsi od południowego wschodu.

– A gdzie jest wieś, panie komandorze?

– Na kursie prostopadłym do linii wybrzeża w miejscu lądowania, jakieś dwa kilometry od ciebie – usiłował powiedzieć to tak, żeby bosman mógł sobie łatwo wyobrazić.

– Tak jest! Zrozumiałem.

– Obejście zakończysz mniej więcej na jednej trzeciej obwodu. Potem zbliż się, tak żeby zobaczyć zabudowania, i ukryj. Czekaj na dalsze rozkazy.

– Tak jest! Wykonuję!

Tomaszewski oddał mikrofon, a Wyszyńska nagle uśmiechnęła się do niego.

– Sprytne – powiedziała. – Gdyby się coś zaczęło nieprzyjemnego tutaj, to tubylcy będą myśleć, że zaczniemy uciekać na wybrzeże. Na to mogą być przygotowani. A my tymczasem będziemy wiać w zupełnie inną stronę, i to od razu pod osłoną erkaemu. – Pokręciła głową w podziwie. – Nie mogę powiedzieć, żeby od razu zagościły u mnie jakieś przyjazne uczucia do pana, ale na pewno zyskał pan mój podziw. Szczególnie z powodu kanistrów.

Spojrzał na Wyszyńską, czy mówi poważnie. A ona odpowiedziała kolejnym uśmiechem.

– Tak, tak, ja też mam dość politycznej poprawności. A jeśli pan każe Mielczarkowi podpalić tę wiochę, to coś się będzie przynajmniej działo.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Tomaszewski podszedł do wioskowej starszyny. Zbici ciasno patrzyli na niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Nie było w nich hardości ani zaciętości. Raczej strach? Rezygnacja? Nie miał pojęcia, jak to określić.

– Jeśli porwaliście mojego człowieka dla okupu, zemsty czy z powodu jakichś guseł, to dowiodę wam, że to był zdecydowanie głupi pomysł.

Obserwował ich twarze uważnie, lecz nie dostrzegł żadnej reakcji. Wyszyńska również podeszła bliżej.

– Spalmy tę wioskę – syczała. – Tu się dzieje coś bardzo nie tak.

Miała rację. On czuł dokładnie to samo. Nie miał jednak uprawnień pacyfikatora ani żadnego usprawiedliwienia, które mógłby podać w raporcie po zakończeniu akcji. Czekaliby go sąd polowy. Nikt z tubylców nie atakował go przecież w żaden sposób.

Co za frustrująca sytuacja. Żołnierze wysłani dwójkami na patrole powoli przeszukiwali jurty. Jedną po drugiej. Systematycznie i wkurwiająco powoli. Nie miało to żadnego sensu. Jeśli tubylcy trzymali Kai gdzieś w tych chałupach, obojętnie, żywą lub martwą, to przy tak szczupłych siłach poszukiwawczych zdołaliby przenieść Kai z jednej jurty do drugiej, już przeszukanej, i to z dala od wzroku żołnierzy. Bez sensu! Wszystko bez sensu! No to może jednak rzeczywiście kazać Mielczarkowi podpalać? Nie, to mógł być wyrok na Kai.

Tomaszewski wił się we własnej niemocy. Frustracja sięgała zenitu. Tym bardziej że szajbnięta Wyszyńska podsuwała coraz to nowe pomysły:

– Weźmy zakładników. Jeśli nie oddadzą Kai, to zabijamy jednego co każde pięć minut.

– A kto będzie do nich strzelał? – zainteresował się Załuski.

– Ja się podejmę – oświadczyła pani inżynier.

– No ciekawe, na której uczelni panią tego nauczyl. Ale żeby to miało sens, trzeba by wziąć ludzi z rodzin tych tu starszych. Inaczej gotowi się nie przejąć.

– No to w czym problem?

– Jak znaleźć członków ich rodzin? Przecież sami się nie przyznają.

Tomaszewski o mało nie eksplodował.

– A może każę poustawiać wam dzieci? Od razu trójkami, jedno za drugim, żeby pocisk karabinowy przebił trzy ciała za jednym strzałem i zaoszczędzimy na amunicji. To na pewno zrobi na nich wrażenie!

Załuski wyraźnie poczerwieniał na twarzy i opuścił wzrok. Wyszyńska wzruszyła ramionami.

– Niech pan robi, co pan chce – mruknęła. – Radzę jednak zrobić to szybko.

Tomaszewski wyjął papierosa. Ale nie zapalał. Nie wiedział, czy nie zadrzą mu dłonie ze zdenerwowania. A tu, w tej sytuacji, nie mógł okazać nawet cienia wahania ani niepewności. Tłum napierał coraz bardziej. Nie, nie był agresywny. Po prostu ludzie stali coraz ciasniej, coraz bliżej. Nie naparli jednym paroksyzmem, który spowodowałby jego reakcję, ale stopniowo, centymetr po centymetrze, zacieśniali się wokół, minimalizując margines ruchu. Czuł, że rzeczywiście jest bliski, żeby wyszarpnąć pistolet i strzelać, a wtedy oni rozgnietliby ich jednym szarpnięciem.

Nagle podjął decyzję. Ten ich ciągły, wzmagający się napór podsunął mu pewien pomysł. On też przecież mógł na nich delikatnie napierać.

– Tu Szwadron. – Podniósł mikrofon do ust. – Tu Szwadron, Gniazdo, słyszysz mnie? Odbiór.

– Tu Gniazdo, słyszę cię doskonale. Odbiór.

– Potrzebuję wsparcia ogniowego. Czy możecie strzelić na punkt, gdzie opadnie raca? Odbiór.

– A mogę strzelić, czemu niiiiie... – Oficer artyleryjski po tamtej stronie miał silny wschodni akcent i zabawnie przeciągał głoski. – Wystrzelcie racę na to, co ma zniknąć, a ja poprawię, czemu niiiiie. Odbiór.

Tomaszewski uśmiechnął się odruchowo.

– No to załadujcie coś, co mocno wstrząśnie. Po pierwszym strzale będę korygował ogień przez radio. Odbiór.

– Przyjąłem. Bez odbioru.

Tomaszewski odszedł kilka kroków na bok. Wyjął raketnicę z kabury i podniósł rękę. Nie mierzył specjalnie. Strzelił tak mniej więcej wzdłuż koryta strumienia przechodzącego przez wieś. Rakietka wzbiła się w górę z głośnym sykiem. W zenicie rozbłysła upiornym nawet w dzień magnezjowym światłem i dymiąc obficie, zaczęła opadać na małym spadochronie.

Przez bardzo długą chwilę nic się nie działo. A potem bez żadnego ostrzeżenia coś przeleciało nisko, tuż nad wioską, z okropnym gwizdem, a właściwie łoskotem. Chałupy zadrżały. Niektórzy tubylcy przerażeni kucali albo się kładli, żeby to coś nie ścięło im głów. Ale nie. Jakiś kilometr za wsią, na brzegu strumienia, potworna eksplozja wyrzuciła w górę potężny gejzer ziemi. To nie było byle co, tylko największy kaliber, który mieli na pokładzie okrętu. Coś, co miało bez trudu przebijać pancerne burty. Ziemia pod stopami zadrżała, ludzie zaczęli wyc ze strachu. Po chwili dotarł do nich stłumiony huk dalekiego wystrzału.

– W celu! – zameldował Tomaszewski do mikrofonu. – Następny ze skrótem sto!

– Przyjąłem.

Armata na okręcie to nie chirurgiczny skalpel, ani nawet snajperski karabin. Szczególnie w przypadku marynarzy nieszkolonych do osiągnięcia celów w głębi lądu. A w dodatku pokład się kołysze, wiatr nad morzem przy brzegu często zmienia kierunek. To nie apteka. Działo strzelało niekoniecznie z inżynierską precyzją, tylko tak mniej więcej na cel.

Znowu rozległ się upiorny świst wprawiający chałupy w drżenie, a potem wybuch, od którego zatrzęsała się ziemia. Tym razem trafiło w wodę. Gejzer na chwilę przesłonił widok, a potem okazało się, że strumień zmienił bieg. Piski przerażenia i okrzyki ludzi mieszały się z odgłosami zwierząt usiłujących w panice uciec z ogrodzonych byle jak szałasów gospodarczych.

– Poślijcie jeszcze jeden – rozkazał Tomaszewski. – Skrót sto pięćdziesiąt.

– Przyjąłem, skrót sto pięćdziesiąt. Wysyłam... – W głośniku rozległ się stłumiony huk wystrzału. – Poszedł!

Ludzie w wiosce na razie nie słyszeli niczego. Pocisk wystrzelony z tej odległości potrzebował około dwunastu sekund, żeby tu dotrzeć. To niedługo, ale ludziom, którzy słyszeli wystrzał w radiu, ten czas dłużył się okropnie. Tym bardziej że każdy wiedział, że działo okrętowe strzelało tylko „tak mniej więcej”. A dystans między strefą rażenia a ich stanowiskami malał z każdym strzałem. W przeciwieństwie do tubylców poczuli ulgę, słysząc upiorny świst. Kula, która świszczę, nie zabija – w momencie kiedy go usłyszeli, pocisk przecież był już daleko za nimi.



Nowa eksplozja zatrzęsała ziemią. Tomaszewski podskoczył do starszyny.

– Widzicie to?! Następny będzie jeszcze ostrzegawczy! Porozwala wam zagrody dla zwierząt w drobny mak! Ale kolejny będzie już w środek wioski!

Tamci stali przerażeni do granic możliwości. Widzieli oczywiście, że straszne wybuchy były coraz bliżej. Jakby jakiś gigant postępował krok za krokiem, wzbijając przy każdym fontanny ziemi i powodując coraz gorsze wstrząsy. Jakby sama śmierć kroczyła do nich powoli.

– Następny wali w zagrody! – krzyczał Tomaszewski. – A kolejny pośle w sam środek wsi! Gdzie jest Kai?!



Kai odeszła na kilka kroków zupełnym przypadkiem. Tak jej się przynajmniej wydawało. Czuła coś dziwnego w sobie. Nie, nie w sobie, to złe określenie. Ewidentne ciepło tuż nad piersiami, tam, gdzie... Przygryzła wargi i odpowiedziała sama sobie: tam, gdzie człowiek z reguły nosi amulet. Co to ma znaczyć? Przymknęła oczy. Zobaczyła aurę Shen. Chyba. Tak jej się zdawało.

Dziewczyna z rybackiej wioski, zagubiona w wielkim porcie, rekrut odpływający na wyspę Tarpy. Kai dała jej amulet, którego zasady działania sama nie do końca знаła. Prawdę powiedziawszy, nie sądziła, żeby w ogóle działał. Myliła się jednak. Przedziwny, przypadkowy splot zaklęć, który składał się na jego moc, zaczął działać, kiedy Shen znalazła się w Wielkim Lesie w dolinie Sait. Tam, gdzie trwała magia Bogów. Tylko i wyłącznie dzięki amuletowi uratowała się sama Shen i resztki korpusu, którym udało się dotrzeć do portu zajętego przez ludzi z żelaznych okrętów.

Dlaczego więc działał teraz? Banxi było bardzo blisko, ale przecież Kai nie znajdowała się w samym Wielkim Lesie. No zaraz. A poza tym w ogóle nie miała tego amuletu, to Shen nosiła go na szyi. Ale właśnie Shen czarownica zobaczyła w swej wizji, jak siedzi w ogromnej bibliotece i poznaje bardzo niebezpieczną prawdę. Coś w tej wizji ostrzegało czarownicę. Uważaj!

Z niewyjaśnionych przyczyn Kai odsunęła szmatę zasłaniającą najbliższą jurkę. Jakby wbrew sobie pochyliła się i weszła do środka. Długo przyzwyczajała wzrok do ciemności. Na szczęście te nie były całkowite. W zniszczonym i starym pokryciu jurty znajdowały się liczne szpary. Dziewczyna zauważyła jakąś postać siedzącą nad dawno wygasłym ogniem. Obok znajdował się mały stojak z wotami chyba oraz podróżną torbą zawieszoną skosem, z której wystawały zwoje jakichś pism.

– Witaj. – Siedzący człowiek podniósł głowę, okazując pomarszczoną twarz bez wyrazu.

Jedynym przykuwającym uwagę szczegółem była krótka siwa broda, dość sprawnie przystrzyżona przez jakiegoś cyrulika. Powoli, jakby wbrew sobie, Kai podeszła bliżej.

– Kim jesteś?

Mężczyzna najwyraźniej nie zamierzał się przedstawić.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Chciała usiąść, ale spojrzał na nią z pogardą i powstrzymał ruchem ręki. Patrzył jej w oczy.

– Suko! – powiedział cicho i wbrew temu, co mówił, bez emocji. – Nie jesteś godna, żeby siedzieć przy mnie. Na twarz.

Nie potrafiła się opanować. W ogóle w jej umyśle nie pojawiła się możliwość odmowy. Trochę tak, jakby patrzyła na siebie z boku. Najpierw opadła na kolana, pochyliła się, opierając dłonie na mokrym klepisku, a potem dotknęła go czołem. Nie mogła się temu mężczyźnie przeciwstawić. Nie miała szans wobec siły jego czarów. Stary był mistrzem. Prawdziwym.

– Jesteś zdrajczynią – powiedział wypranym z jakiegokolwiek tonu głosem.

– Kogo zdradziłam?

Poczuła nagle ślinę w ustach, gwałtowną potrzebę zwymiotowania i uczucie duszenia. Jak on to robił? Nadal jeszcze miała w pełni sprawną świadomość. Lekko unosząc głowę i wywracając oczy, mogła dostrzec, że nie rzucał żadnego słowa, nie chwycił i nie opanowywał go dłonią. To była magia, o jakiej nie tylko nie mogła marzyć. Nie powinna nawet śnić. Ciekawe, co jeszcze jej zrobi podczas tego spotkania. Jeszcze nie zaczął, a już czuła się okropnie. Upokorzona, z twarzą przy ziemi i wypiętym tyłkiem, targana mdłościami i dusznością.

– Rolą czarownika jest utrzymywanie istniejącego porządku. Nie uczono cię tego w szkole?

Skoro zadał pytanie, uznała, że może odpowiedzieć, nie narażając się na dalsze cierpienie.

– Nie jestem czarownicą.

Zła odpowiedź. Fala piekącego gorąca przelała się przez jej wnętrze, wypełniając ciało pulsującym bólem, którego nie mogła prawie wytrzymać.

– To, że zdradzasz własne państwo, niewiele mnie obchodzi. Możesz się przebrać, w jakikolwiek mundur zechcesz, możesz sobie nawet pióro do dupy wetknąć i przejść na stronę ptaków, które srają na przechodniów z gałęzi, niewiele o to dbam – ciągle mówił cicho, beznamyślnie, nie podnosząc oczu. – Ale nas – wskazał ją palcem i dopiero teraz lekko uniósł głowę – nas się nie zdradza.

– Nie zdradziłam!

– Czarownik jest po to, żeby utrzymywać istniejący porządek rzeczy.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Bała się ponownego zaprzeczenia, że przecież nie jest jeszcze czarownicą. Że nie może nawet marzyć, aby być mu równa. A jednak przeżycia, jej wszystkie przejścia i w ogóle to, czego doświadczyła, zmieniły dziewczynę na tyle, że nawet nie pomyślała o poddaniu się jego woli. Co za zбочeniec pierdolony, który wyżywa się na słabszym. Co za kutas kurewski! – przypominała sobie wszystkie przekleństwa, które poznała od marynarzy z różnych flot świata.

Musiał coś wyczuć, bo znowu szarpnął nią palący ból, aż straciła oddech. Tym razem trzymał długo. Miała mroczki przed oczami, krew pulsowała w skroniach, a płuca, choć zadławione, bez powietrza, zaczęły pracować na darmo w ostatnim paroksyzmie.

O mało się nie przewróciła, kiedy puścił i poczuła ulgę. Walcząc o odzyskanie oddechu, delikatnie skręciła głowę. Przez szpary w lichym pokryciu jurty zobaczyła żołnierzy w białych zimowych mundurach, jak przeszukują teren wokół. Już się zorientowali, że jej nie ma. Dwóch podchodziło coraz bliżej. Wzięła głęboki oddech.

– Na pomoc! – wrzasnęła tak głośno jak mogła przy bolących, pulsujących ciągle płucach. – Ratunku!

Oczekiwana nowa porcja bólu nie nadeszła. Najwyraźniej rozśmieszyła czarownika przy wygasłym ognisku.

– Oddechu szkoda – mruknął. – Nie usłyszą.

Mogła się spodziewać. Czar działał na wszystkich. To dlatego mieszkańcy wioski tak bardzo czegoś się bali. Dla nich tak mocne czary musiały być czymś niesłychanym. Ciekawe, co im zrobił. Nie, odrzucić głupie myśli. Co będzie z nią samą? Przecież ten kutas po prostu ją tu zabije. Nie. Rozmawia. Chce się czegoś dowiedzieć. I znowu natrętna myśl: owszem, zabije ją później.

– O czym rozmawiałaś z Meredithem?

Wiedział nawet to? Wiedział o czymś, co zdarzyło się nie między czterema ścianami, nie w ustronnym miejscu, nie na odludziu, ale na pokładzie okrętu podwodnego w zanurzeniu? Skąd mógł? Jak się dowiedział? Pogodziła się z myślą, że nie odpowie sobie na te pytania teraz.

– O niczym szczególnym.

Ostrzegawcze szarpnięcie bólu.

– Opowiadał mi trochę o sobie, o swojej historii i związkach z tajemniczą rzeczą stworzoną przez Boga Sepha. Bardzo przejął się, kiedy mu powiedziałam, że oni tam, na pokładzie okrętu, mają podobną rzecz, tylko jeszcze bardzo, bardzo prymitywną.

Mężczyzna wyraźnie się zaciekawił, bo ból w ciele Kai ustał.

– Oni mają takie coś jak Wirus? – zapytał.

– Coś, co może być jedynie bardzo prymitywną zapowiedzią rzeczy Boga Sepha. Tak przynajmniej sądził Meredith.

O Bogowie, jak bardzo teraz potrzebowała czyjejś pomocy. Wiedziała, że zginie, i nie mogła się temu przeciwstawić w żaden sposób. Ten ohydny czarownik! Bogowie, wołała ciepłą obecność Wyklętego. I przypomniała sobie, jak mówił, że gdyby go potrzebowała, to przecież Kai wie, jak porozmawiać z nim jeszcze raz. Wie? A gówno! Nie wiedziała, nie miała pojęcia, nawet nie świtało jej w głowie.

– Czy Meredith mówił ci, że możecie się jeszcze zobaczyć?

Drgnęła, nieprzygotowana na to, że pytanie może dotyczyć tego, o czym właśnie myślała. Spokojnie – usiłowała zapanować nad swoim rozdygotanym umysłem. Przecież nie można wejść do cudzego umysłu i czytać w myślach jak w książce.

– Tak – nie widziała sensu tego ukrywać.

– Czy powiedziałaś mu, po której stronie jesteś?

– A po której stronie jestem? – odparła szczerze zdziwiona.

O dziwo, nie spotkała jej bolesna kara. Mężczyzna z siwą, dobrze przystrzyżoną brodą zaczął jej tłumaczyć, niczym wyjątkowo opornemu umysłowo złodziejowi, który jednak przed śmiercią poprzedzoną torturami musi zrozumieć, że należy opowiedzieć oprawcom, gdzie ukrył łup.

– Posłuchaj, szczeniaku! – po raz pierwszy podczas tej rozmowy podniósł lekko głos. – Mnie naprawdę nie obchodzi, czy pycha pcha cię w łapy tych, którzy płacą lepiej.

– Nikt mi nie płaci – obruszyła się.

– Nie? A stopień w obcej armii? A dogadzanie, spełnianie zachcianek, a władza wreszcie, którą ci dają? Władza! Tak. Jesteś przy mocniejszym hegemonie. To cię kusi, to oszalał. Nic, tylko władza, moc i potęga. Nieważne, czy on ojciec, czy brat, czy z twojego kraju, byle siłę miał i trochę ci użyczał! Więc ci płacą nędzne grosze, ciesz się, głupia, rób, co każemy.

– Nieprawda. To ja pomogłam ocalić resztki naszego korpusu. Uratowałam naszych ludzi w porcie, zabijając czarownicę potworów...

– Widzisz? – przerwał jej znowu dość spokojnie. – Już ci się w głowie miesza i nie znasz znaczenia słowa „naszych”. Co?

– No, nasi to... – zawiesiła głos.

– No kto? Ten oficer, który zaraz spali całą wieś albo obróci w perzynę? Och! – drwił z niej okrutnie. – On taki jak cukiereczek, a w dodatku ma siłę! Zaraz pokaże wieśniakom drogę do piekieł.

– A jaką drogę pokazałeś im ty?!

Trafiła, bo szarpnął nią taki ból, że nie mogła wydobyć nawet jęku. Tak, mścij się, skurwysynu, za celne słowa. Co ty pokazałeś wieśniakom, kutasie, i przstraszyłeś ich tak, że nie wiedzą, kogo bać się bardziej? Obcego potwora czy własnego?

– A może się z nim zmierzysz? – warknęła, kiedy ból na chwilę poluzował.

– Ty już się zmierzyłaś z czarownicą potworów.

– I zabiłam ją jak psa! Choć jej się wydawało, że jest lepsza.

Znowu paroksyzm bólu i syczenie:

– Tamta czarownica mnie nie obchodzi. Zdradzaj sobie swoją ojczyznę, jak chcesz. Stań po stronie, po której chcesz. Ale za to, że sprzeniewierzyłaś się prawu czarowników, zapłacisz.

Kątem oka zauważyła, że żołnierze w białych mundurach pojawili się znowu, sprawdzając teren wokół. Tym razem metodycznie zaglądali kolejno do środka każdej jurty.

Pochwycił jej spojrzenie. Uśmiechnął się lekko.

– Do tej jurty nie zajrzą – powiedział spokojnie, rozwiewając jej nadzieję na serię z automatu posłaną we właściwym kierunku.

Czar musiał być naprawdę potężny. W rodzaju tych, którymi była strzeżona ich szkoła na pustyni. Kogo nie chcieli wpuścić, ten nie odnajdował drogi. Mógł patrzeć na budynki szkoły, mógł chodzić wokół, ale wejść do środka nie sposób. Czar płatał mu ścieżki i intruz, myśląc, że idzie prosto do celu, kreślił na piasku esy–floresy śladami stóp, gubiąc się zupełnie.

Nie było też sensu wołać do żołnierzy. Ten sam czar sprawiał, że nie usłyszą.

– Powiedz mi jedną rzecz... – siwobrody przeszedł do interesującego go tematu. – Czy wśród załogi tego okrętu są ludzie, którzy bardzo różnią się od innych?

Otępiała, przez dłuższą chwilę nie mogła zrozumieć tego pytania. Czy są ludzie, którzy różnią się od innych. No są. Jeden to blondyn, drugi czarny, a trzeci rudy. Ale zaraz jasność umysłu zaczęła do niej wracać. I nagle zrozumiała, o co czarownikowi chodzi. On pyta o Wyszyńską i Załuskiego! Zaraz, zaraz, przecież to dałoby się łatwo wyłapać. Musi się skupić. Nie. On mógł nie zauważyć żadnych różnic. Przecież zewnątrz tamci dwoje niczym się nie różnią. Ale czarownik wie, że z niektórymi coś jest nie tak. A to znaczy, że nie ma szpiega na okręcie. Od kogo więc zna tak wiele szczegółów? Jakie są punkty styczności pomiędzy Meredithem, Wyszyńską, Tomaszewskim i nią samą? Na razie nie mogła tego rozstrzygnąć.

– Mów!

Teraz, kiedy odkryła, na czym tak naprawdę mu zależy i po co w ogóle prowadzona jest ta rozmowa, którą pewnie przypłaci śmiercią, trochę się uspokoiła. Wie, co z nią będzie. Domyśla się, o co chodzi. Czas strachu i niepewności ustąpił więc miejsca czasowi nadziei. A to dawało spokój.

– W jakim sensie różni? – zapytała.

Spotkała ją za to kara w postaci paroksyzmu bólu, jednak była już na to przygotowana. Teraz to już była walka. Kto kogo?

– Odpowiadaj wyczerpująco na każde pytanie, to może zabiję cię szybko, bez niekończących się tortur.

Jej umysł zalała fala takiego przygnębienia, że sama z siebie miała ochotę popełnić samobójstwo. Nic nie ma sensu, życie jest głupie i bezbarwne, a jakiegokolwiek działania są z góry skazane na niepowodzenie. Chciało jej się wymiotować. Ogarnął ją jakiś niewyobrażalny żal, nieokreślona, straszna tęsknota za chwilami przyjemnymi, za miłością, za spełnieniem, którego już nigdy nie dozna. Gdyby mogła, naprawdę w tej właśnie chwili targnęłaby się na własne życie. Ale nie! To on! Przecież to on jej narzuca takie stany. Ale ma popapraną duszę. Zrozumiała jedno: skoro sprowadza na nią takie emocje, to sam musi je znać bardzo dobrze. I po drugie: nie ma mowy o niekończących się torturach. Facet miał jaja, skoro wszedł w sam środek nieprzyjaciół i męczył dziewczynę prawie na ich oczach, ale znała też Krzyśka, który łatwo tracił nerwy, kiedy coś szło nie po jego myśli. Prędzej spali tę wiochę, niż zostawi zagadkę nierozwiązaną.

Dwóch żołnierzy w białych mundurach przeszło tuż obok jurty, gdzie była więziona. Krzyknęła w nadziei, że może uda się z zaskoczenia, ale czar działał niezawodnie. Nie słyszeli jej.

– No? – Mężczyzna nie był zaskoczony jej próbą. W ogóle nie brał pod uwagę, że coś mogłoby się stać.

– Siwecki się różni od wszystkich. Powstrzymał zarazę na okręcie podwodnym.

– Nie udawaj głupiej!

Chciała wrzasnąć, ale ścisk krtani sprawił, że zaczęła charczeć. Uczucie duszenia było tak intensywne, tak niewyobrażalnie świdrujące, że zsikała się w spodnie. Głowa chciała jej eksplodować, coś straszego wlewało się do środka. Nagle wszystko ustało. Kaszłała cicho, nie mogąc odzyskać tchu.

– Kto z nich różni się od innych?

Aha, on nie wie, że jest ich dwoje. Nie może niczego dostrzec w aurze tych ludzi. No tak. Przecież fizycznie w ogóle się nie różnią. A przeprowadzanie jakichkolwiek prób leżało daleko poza możliwościami oprawcy.

– Kto z nich jest inny niż pozostali? – zapytał z groźbą w głosie.

– Tomaszewski. – Usiłowała zmusić się do płaczu, myśląc, że postępuje sprytnie. – Błagam, nie rób mu nic złego. Nie zabijaj, bo ja go kocham!

Tamten zgłupiał na chwilę. Oczywiście miał igiełkę pozwalającą mniej więcej przynajmniej odróżnić kłamstwo od prawdy. Ale co po niej, skoro w jednej wypowiedzi Kai użyła i kłamstwa, i prawdy. Sama aż się otrząsnęła ze zdumienia. To, że kocha Krzyśka, było najwyraźniej prawdą! I dlatego ogłupiła przesłuchującego.

Mężczyzna z siwą brodą również to zrozumiał. Zadał więc prostsze pytanie:

– A ta wysoka, nonszalancka kobieta?

Kai nie dała się nabrać. Jeśli zacznie wymieniać tych, których podejrzewa, a innych nie wymieni w ogóle, czarownik od razu domysli się, że kogoś kryje. Ciekawe więc, co zrobi z taką zagwozdką:

– Tak, ona też jest obca.

– A uczony?

– On też.

Czyli wszyscy?! Skądś wiedział, że tak nie jest. A teraz wiedział też, że dziewczyna wie go w krzaki. Skrzywił się lekko, ale nie zdążył niczego powiedzieć.

Coś przemknęło wysoko nad nimi z upiornym świstem. Skóry pokrywające jurte załopotwały, a kiedy w oddali rozległ się okropny huk, cała konstrukcja zadrżała.

Aha, Krzysiek właśnie się wkurzył. Zaraz rozwali wioskę wraz z całą okolicą.

– Wszyscy zginiemy – powiedziała Kai.

Mężczyzna nie zareagował. Nie mógł przewidzieć, że dostaną wsparcie artyleryjskie. Nie mógł być wszechwiedzący i wszechmocny – nie miał zielonego pojęcia, że za ich plecami, poza zasięgiem wzroku, kryje się okręt podwodny. To nie „Gradient”, którego było widać z daleka. To pancerne monstrum wynurzające się znieacka z otchłani i rażące cele, których nie musi widzieć.

Milczał, kiedy drugi, znacznie bliższy huk wstrząsnął okolicą.

– Wszyscy zginiemy – powtórzyła Kai.

Nie przejął się. Przez cały czas myślał o czymś innym, bo spytał:

– To ona zabiła kapłankę potworów w Sait?



Aha, to, co powiedział, znaczy, że nie Dairin, czarownica korpusu, donosi. Bo wtedy by wiedział, że Wyszyńska, owszem, zabiła w Sait, ale najstarszą kapłankę dzikich.

Kai nagle olśniło. Siwobrody wcale nie był tak dobrze poinformowany, jak udawał. O czymś nie pomyślał. Albo w ogóle nie miał pojęcia. A może miał pojęcie, ale jakoś nie skojarzył faktów? Postanowiła spróbować go wy badać.

– Zabiła też czarownicę Zakonu w Syrinx. Byłam tego świadkiem. – Dotąd była to prawda. – Widziałam, jak czarownica wyczuła jej zamiary, zanim jeszcze Wyszyńska się pojawiła. – Kłamała. – Ale nie mogła nic zrobić.

Uniosła lekko głowę, żeby na niego zerknąć. Najwyraźniej jej słu chał i brał wszystko za dobrą monetę. Ale numer! Nie wiedział albo nie kojarzył z sytuacją, w jakiej się znaleźli, prostego faktu, że na Wyszyńską czary nie działają, ponieważ najprawdopodobniej ta wysoka kobieta nie była człowiekiem.

– Kogo jeszcze zabiła? – spytał czarownik.

Kai z trudem powstrzymała westchnienie ulgi. Trzeci wybuch, znowu dużo bliższy, wstrząsnął okolicą.

– Mistrza Zakonu i jego ludzi – odparła.

Pani inżynier była za daleko, żeby usłyszeć krzyk. Zresztą oprawca mógł momentalnie zadławić wrzask Kai. Trzeba go zaskoczyć. Zerknęła w dół. Jej oficerski gwizdek tkwił w kieszeni munduru. Zgodnie z regulaminem marynarki wojennej tak ważna część wyposażenia oficera musiała być zabezpieczona sznurkiem. Teraz, kiedy tkwiła na czworakach, z twarzą prawie przyklejoną do klepiska, sznurek zwisał sobie spokojnie kilka centymetrów od jej ust. Jedno szarpnięcie i gwizdek znajdzie się na ziemi. Trzeba tylko odwrócić uwagę czarownika.

Kai rozglądała się gorączkowo, usiłując przy tym nie ruszać głową. Zerknęła na stojak z wotami. Hm. To dlatego był taki pewny siebie. Reprezentował nie tylko swoją moc, ale również innych czarowników, którzy użyczyli mu swoich amuletów. Ciekawe.

– Moja przyjaciółka już wie, że tu jestem – zaryzykowała.

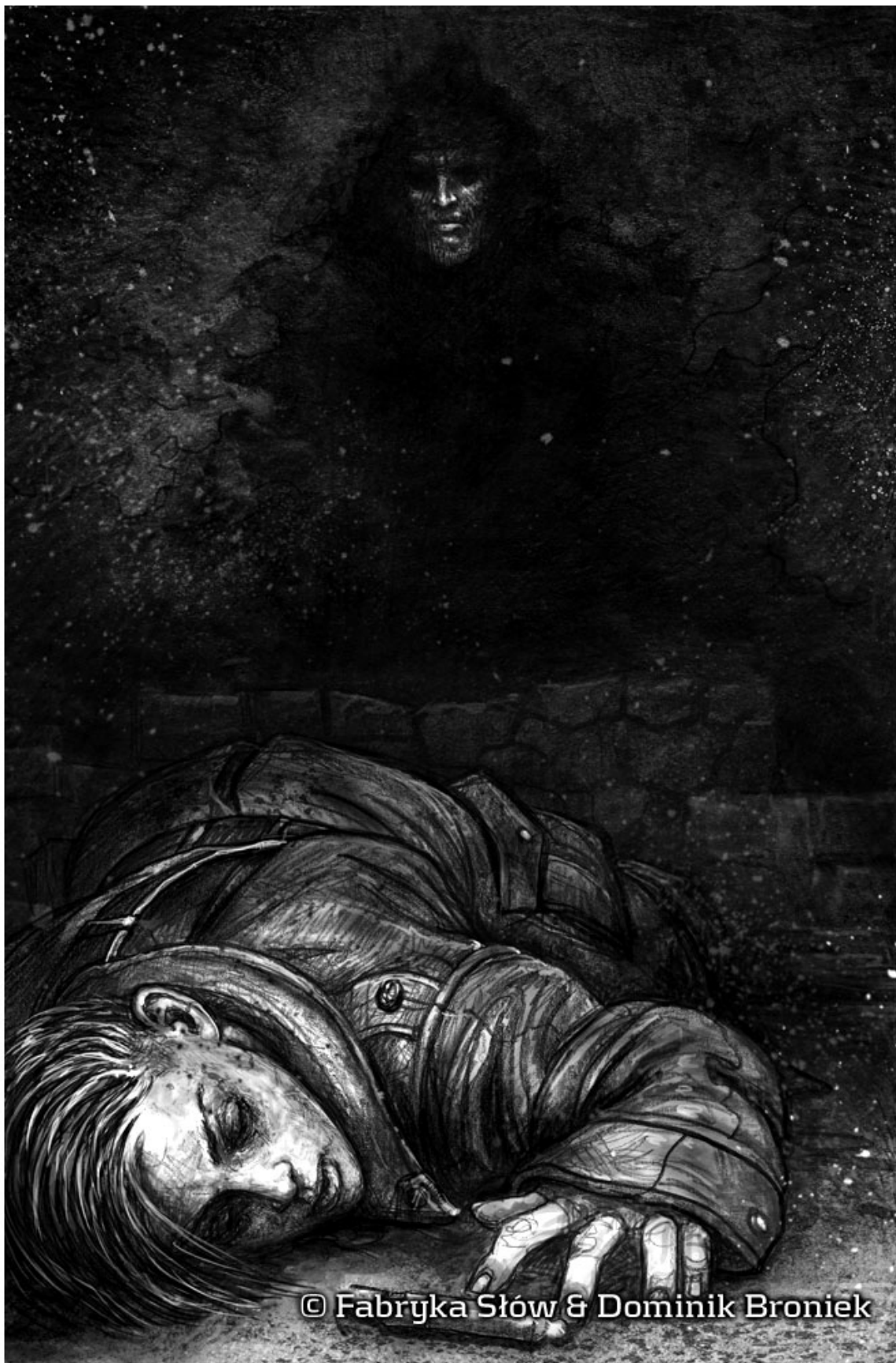
Podniósł na dziewczynę wzrok, ale tylko na chwilę. Nie skomentował. Lekceważył, nie wierzył, uznał za nieistotne. Wszystko jedno.

– Ma na imię Shen i jestem z nią połączona nicią amuletu.

Tak! Strzał w dziesiątkę! Poczuł tę przedziwną więź i sięgnął do stojaka po jeden ze swoich amuletów, żeby sprawdzić dokładnie, o co chodzi. Wykorzystała moment, kiedy odwrócił wzrok, i szarpnęła zębami za sznurek. Gwizdek posłusznie wypadł z kieszeni. Nie dała mu leżeć na klepisku, błyskawicznie podniosła wargami i ukryła w ustach. Znowu przytknęła czoło do ziemi, żeby nie mógł zauważyć sznurka wychodzącego spomiędzy warg. Spokojnie odwracała gwizdek językiem. Żeby tylko nie zaślinić.

Czarownik sprawdził ją, wykorzystując swoje wota. Rzeczywiście mówiła prawdę. Ale fakt, że coś nieokreślonego czuła dziewczyna oddalona o wiele dni drogi, był tak nieistotny, że aż syknął ze złości, że bez powodu marnuje czas. Kolejny wybuch, teraz naprawdę bliski, spowodował wściekły łopot skór jurty. Tomaszewski nie popuszczał. Następny pocisk mógł już uderzyć w wioskę. Czarownik przy wygasłym ogniu nie przejmował się jednak. Nie mógł odwrócić toru lotu czarami, oczywiście, ale groźba ewentualnej śmierci zdawała się nie robić na nim wrażenia. Odłożył swoje wota z powrotem na stojak. I ten moment właśnie wykorzystała Kai.

Podniosła głowę, delikatnie wysunęła gwizdek z ust i dmuchnęła z całych sił. Siwobrody drgnął, nieprzygotowany na nagłe uderzenie tak ostrego dźwięku. Natężenie dosłownie paraliżowało. To był marynarski gwizdek – skonstruowany tak, żeby jego dźwięk był dobrze słyszalny na całym okręcie, w wyciu wichru i huraganu, w łoskocie przeciążonych maszyn podczas burzy, w łopocie żagli czy nawet tuż po wystrzale z okrętowego działa! Wszystko, co żywe na pokładzie, miało go usłyszeć i zwrócić wzrok w jego kierunku, by dostrzec wydawaną gestami oficerską komendę.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Żadne czary nie działały ani na Wyszyńską, ani na Załuskiego. Oboje odwrócili się momentalnie.

– Tam! Tam gdzieś!

Runęli w kierunku jurty, pociągając za sobą resztę.

Kai zerwała się i skoczyła do wyjścia. Ból sparaliżował ją już w biegu. Pozbawiona nagle oddechu, upadła na bok, zwijając się z udręki. Wiedziała, że umiera, że teraz obcy czarownik po prostu ją zabija. Coś mdlącego rozlewało się wewnątrz, brak powietrza paraliżował, sprawiając, że myśli zamierały. W ostatnim paroksyzmie chciała zerwać z głowy i wyrzucić na zewnątrz czapkę, żeby wiedzieli, gdzie jest, ale nie udało się. Nie mogła już wykonać żadnego ruchu. Umierała w słabnących drgawkach.

Wyszyńskiej czapka nie była do niczego potrzebna. Ta utalentowana wszechstronnie kobieta miała także pewne pojęcie o akustyce i od razu szarpnęła za szmatę zakrywającą wejście do właściwej jurty.

– Stać! – krzyčeli żołnierze za nią. – Ręce do góry!

Wyszyńska niczego nie krzyčwała. Strzeliła w siedzącego czarownika, celując tak mniej więcej, „na sylwetkę”. Uderzony pociskiem dużego kalibru przewrócił się na plecy. Inżynier podeszła do niego i strzeliła mu jeszcze dwa razy w brzuch.

– Sanitariusz! – Tomaszewski nachylił się nad Kai. – Sanitariusz, psiakrew!

Sprawdził palcami puls na szyi. Skurczona na ziemi dziewczyna nie mogła złapać oddechu. Uderzył leżącą otwartą dłonią w plecy.

– Sanitariusz!

– Jestem! – Rosły żołnierz przepchnął się bliżej, rzucając swoją torbę na klepisko.

– Adrenalina!

– Tak jest!

Tomaszewski rozerwał ubranie na Kai, a żołnierz wbił dziewczynie wielką igłę przez mostek w samo serce. Potem przycisnął tłok.

– A!!! – Kai chciała zerwać się na równe nogi. Zachłysnęła się powietrzem.

– Będzie żyć?

Sanitariusz wzruszył ramionami.

– Wszystko na to wskazuje.

Tomaszewski podniósł się ciężko. Podeszedł do wygasłego ogniska, wyjął pistolet z kabury. Kiedy leżący pod jego stopami mężczyzna, charcząc, otworzył usta, strzelił dokładnie w sam środek. Kropelki krwi bryznęły na śnieżnobiały mundur.

– No, teraz mi pan nie zarzuci, że kogoś zamordowałam – powiedziała Wyszyńska i wskazała Tomaszewskiego palcem. – To już jest współudział.



– W sprawie?

Kobieta, która otworzyła drzwi, a właściwie nie drzwi, lecz wrota do świątyni położonej na skalistym wzgórzu, nie była stara. Dziewczyny miały problem w określeniu jej wieku. Mogła mieć równie dobrze czterdzieści, jak i pięćdziesiąt lat. Trzymała się dobrze. A uroku dodawała jej swoista nonszalancja, z jaką traktowała ludzi. Zamiast: „Witajcie”, „Czego panie tu szukają” albo chociaż: „Jak mogłabym wam pomóc?” padło od razu: „W sprawie?”. Zupełnie bezosobowo.

– W sprawie badań historycznych – odparła Sharri.

Tamta zerknęła na ich broń.

– Nie pierwsi to już tutaj badacze historii z karabinami w garści – powiedziała z kpiną. – No ale dobrze, żeście baby. Przynajmniej mnie nie zgwałcicie.

– Nie przyjechałyśmy strzelać do nikogo.

– No to po co? – zdziwiła się. – Zrabować tu nie ma czego. Książki, które tu są, w mieście niepokupne. Jedzenia też nie ma dla tylu osób.

– Jedzenie mamy ze sobą. – Shen wskazała juczne konie. – Poczestujemy chętnie. No i możemy coś zostawić.

Kobieta zerknęła na juki. Bez jakiegoś specjalnego zainteresowania. Tak jakby przypadkiem właściwie. Jednak wrota uchylły się, tworząc trochę większą szparę.

– No skoro nie palić i nie grabić, no i siłą rzeczy nie na gwałt przyjechałyście, to po co? – zapytała z trochę już większą dozą powagi.

– Chcemy dowiedzieć się paru rzeczy z zasobów zakonnej biblioteki – powiedziała Sharri. – Wpuścisz?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Skoro tak grzecznie prosisz... – Pociągnęła za wielkie skrzydło, robiąc im drogę.

Teraz dopiero zobaczyły odźwierną w całej okazałości. W dłoni, która dotąd kryła się za framugą, kobieta trzymała bandolet. Niewielki pistolet ogromnego kalibru, bez przyrządów celowniczych. Taki do strzelania prawie z przyłożenia. Ot, żeby łeb urwało albo wnętrzności wszystkie posiekało na sałatkę. Ale jeszcze lepsza broń wisiała na haku na murze za odrzwiami. Zwykła kosa na bardzo krótkim drzewcu. Tyle tylko, że jej klinga była przeklepana na opak, w drugą stronę, tak że ostrze znajdowało się na zewnętrznej stronie łuku. Idealne narzędzie do ścinania głów albo rozplątywania tuszy. Wedle woli.

– Jestem Brethe – przedstawiła się z kpiącym wyrazem twarzy. – Chodźcie.

Ledwie zdążyły powiedzieć swoje imiona. Poprowadziła ich przez niezbyt równo wybrukowany dziedziniec wprost do stajni. Nie trudziła się, by pomagać w oporządzaniu koni. Wskazała jednak, gdzie leży wszystko, co potrzebne. W trakcie oprowadzania bandolet gdzieś zniknął. Żadna z przyjezdnych nie zwróciła uwagi, jak i kiedy. Może miała olstra pod kożuszką? Zaraza jedna ją wie.

Z jukami w rękach poszły za gospodynią, która poprowadziła ich chyba do swojego mieszkania. W każdym razie jeśli świątynię zbudowano na skalistym wzgórzu, to dom mieszkalny zajął miejsce na samej grani. Coś zupełnie niesamowitego. Budynek górował nad wszystkim wokół. A widok z okien głównej sali, gdzie je zaprowadziła, rozciągał się na całą okolicę. Było to naprawdę poruszające, szczególnie że chmury rozchodziły się powoli, ustępując miejsca chylącemu się ku zachodowi słońcu.

– Wiatru co prawda dzisiaj nie ma – powiedziała Brethe. – Ale lepiej ubrać się ciepło. Wieczorem panuje tu chłód trudny do wytrzymania.

– A kiedy wieje?

– To wtedy w ogóle się tu nie wchodzi. Czytałam, że w czasach, kiedy wznoszono te budowle, w okolicy było dużo cieplej. Na stokach wzgórz stały nawet winnice. To i wybudowali dom na samym szczycie, z oknami w każdą stronę, pewnie żeby widoki podziwiać, wschodami i zachodami słońca się delectować, ukojenie znajdować w skwarne dni. A teraz to wygwizdów i zinnica.

– Skoro już mowa o winnicach i przejmującym chłodzie... – Nuk postawiła na szerokim, niskim stole dwa ogromne bukłaki. – Mamy środek zaradczy w postaci wina z miodem i ziołami. Podgrzać tylko trzeba.

– O, to, to. – Brethe zakrzętnęła się szybko przy naczyniach stojących na specjalnych półkach pod ogromnymi oknami. Musiała być bardzo silna. Jedną ręką podniosła wielki żeliwny podgrzewacz do wina i postawiła na stole obok bukłaków. – Jak na rabusiów, macie dobre obyczaje.

– Nie jesteście rabusiami – mruknęła Shen. – Przyjechałyśmy po wiedzę.

– No fakt, jak wzorowe uczennice uzbroiłyście się w karabiny i pistolety, żeby wam raz zdobytej wiedzy nikt z głów potem nie wyrwał. – Brethe kpiła w najlepsze, rozpalając węgiel drzewny do podgrzewacza. – Zapomniałyście przy tym jednak, żeby zabrać wszystko, co potrzebne do studiowania w bibliotece i ślęczenia latami nad zapisanym papierem.

– Nie możemy tu spędzać lat. Ani nawet zbyt wielu dni.

– To na co liczyłyście?

– Na ciebie – rzuciła Shen z uśmiechem. – To znaczy na kogoś, kto nam objaśni, co i jak.

Brethe opadły ręce. Zwinęła dłonie w pięści i oparła kułaki na biodrach.

– Ty kim jesteś? – spytała, nie bawiąc się w konwenanse. – Bo coś widzę, żeś w szkołach niekształcona.

– Jestem córką rybaka. Czytać umiem.

– Czytać umiem trochę, jak se pomogę palcem i językiem przygryzionym – zakpiła Brethe znowu. – Tylko trochę, tak coś mi się zdaje, jak patrzę na ciebie. No ale żeś sprytna, to też widać. – Przeniosła wzrok na Nuk. – A ty to kto?

– Sierżant – odparła Nuk wzięta z zaskoczenia, chwilę potem sama parsknęła śmiechem. – Nie bój się, ja nie tylko w musztrze szkolona.

– Też widzę. Mówisz jak człowiek wykształcony. A ty? – Spojrzała na Sharri. – Ty kim jesteś, panno mądralińska?

– Ja ukończyłam szkołę kapłańską.

– Aha, wygadana, wyszczekana, zawsze ma rację, ale zbyt tchórzem podszyta, żeby jej bronić, jeśli nie jest w przewadze. A wie wszystko, a mądra we własnych oczach tak, że miary jeszcze nie wymyślili, żeby tę mądrość zmierzyć.

– Najkrótsza charakterystyka – westchnęła Nuk, rozkładając ręce. – Popatrz, Shen, jak to można jednym zdaniem wszystkie cechy Sharri opisać

trafnie i wyczerpująco!

Niedoszła kapłanka zmierzyła sierżant złym spojrzeniem. Brethe zaczęła się śmiać. Wróciła do rozpalania węgla. A kiedy spod podgrzewacza zaczęło kopcić, zeszła na dół, by przynieść kilka kotletów, które położyła obok na palenisku.

– Baranina. – Potaknęła, widząc pytające spojrzenia. – Ale nie rycerska, czyli o twardości pancerza, spokojnie. Miejscowym zwyczajem mięso było marynowane wcześniej i trzymane w odpowiednich warunkach. Zębów tu nie zostawicie.

– Mamy swoje zapasy, a mówiłaś, że tu o jedzenie trudno.

– Komu trudno, temu trudno. – Brethe zajęła miejsce w fotelu na podwyższeniu, skazując dziewczyny tym samym na zajęcie ław nieco niżej. Z boku mogło to trochę wyglądać, jakby królowa gości podejmowała. – A jak przybysze z winem przychodzą, to ciepłą strawą poczęstować ich można.

Zachodzące słońce sprawiało, że ściany przybierały czerwoną barwę. Chłód rzeczywiście był dojmujący, ale nie wiało. Dziwna radość wypełniała serca, mimo że nikt jeszcze nie pił. Widok stoków poniżej, cienistych dolin i błyszczących w promieniach szczytów napełniał umysły dziwnym szacunkiem dla świata i ukojeniem.

Shen, oparta o jeden z filarów, miała ochotę owinać się ciepłym kocem i zasnąć. Po raz pierwszy od dawien dawna spokojnie. Bez nerwów i natrętnych myśli. Bez obaw o to, co stanie się jutro, bez szarpania, wierzenia, ciągłego otwierania oczu, żeby zerknąć, czy wokół wszystko w porządku. Jej głowa robiła się coraz cięższa. Powieki opadały same.

– Ale cisza – ktoś szepnął.

Była to chyba ostatnia rzecz, która dotarła do Shen.



Teren, na którym wybudowano rampy przeładunkowe dla towarów, był rodzajem łącznika między nową bazą ludzi z żelaznych okrętów, których port ciągle nie był gotowy, starym portem w Negger Bank a lotniskiem, które powoli już zaczynało działać. Bez popadania w przesadę można go było nazwać majstersztykiem klasycznej imperialnej inżynierii. System



ramp i podnośników potrafił obsłużyć wszystkie standardy transportowe i płynnie przekazywać towary między nimi. Żywność z chłopskiego wozu na ciężarówkę? Proszę bardzo. Ze statku handlowego na przyczepę spalinowego traktora? Nie ma sprawy. Z furgonu do cysterny z ciągnikiem siodłowym? Bez problemu, system pomp też został przewidziany.

To było naprawdę mistrzostwo miejscowej klasycznej inżynierii. Nie bez powodu napełniało dumą inżynierów z Negger Bank, którzy z lubością wysłuchiwali pochwał płynących z ust kolegów, którzy przybyli z Gór Bogów na żelaznych okrętach. Każdy, kto operował oddziałami wojskowymi daleko od własnych baz zaopatrzenia, doskonale wiedział, że najłatwiej pośliznąć się na przeładunku. A jak dochodzi do tego konieczność pogodzenia ze sobą kilku naraz systemów transportu, to katastrofa w każdej chwili gotowa. Nie tutaj jednak. Precyzyjna rozdzielnia pozwalająca na rozładunek, załadunek, sort i posłanie towaru z dowolnego źródła w absolutnie dowolne wskazane przez kwatermistrzów miejsce działała bezbłędnie. Huk, ruch, bieganina, masy sygnałów, tony towarów krążące bezustannie przywodziły na myśl działanie żywego organizmu. Nie bez przyczyny wzorem starożytnej Syrinx zaczęto nazywać ten teren Sercem Negger Bank. Nie największą warownią, nie forum ani największe koszary, nawet nie imperialną bibliotekę. Sercem Negger Bank stał się teren przeładunku.

Było to też ulubione miejsce spotkań pracowników różnych służb wywiadowczych. Tu akurat nawet nie trzeba się było za bardzo kryć z czymkolwiek. Izaak Rosenblum, idący w wyjściowym mundurze oficera polskiej marynarki wojennej, nie dość, że nie zwracał niczyjej uwagi, to wręcz miał wrażenie, że nikt nawet na niego nie spojrział. Tu się pracowało na najwyższych obrotach, wszystko wrzało, gotowało się, bulgotało i syczało w rosnącym ciśnieniu różnych spraw. Prawdopodobnie gdyby się przebrał za strusia, przeszedłby równie niezauważony.

Rosenblum zobaczył Aie czekającą na niego w cieniu wielkiego dachu, pod którym przechowywano worki z mąką tuż przed wysyłką do miejsc przeznaczenia. Skinął jej głową. Odpowiedziała uśmiechem i zaprowadziła go kilka kroków dalej, do małej kanciapki majstra młynarskiego, nieużywanej teraz, z czego można by wnosić, że mąka tego dnia nigdzie nie pojedzie. Rand podniósł się na widok Rosenbluma.

– Nie spodziewałem się aż tak wysokiej szarzy – powiedział. – I to osobiście.

Rosenblum zdjął czapkę, zajmując wskazane mu miejsce przy stole.

– Sprawę mam i ważną, i pilną – wyjaśnił.

– Z przyjemnością pomogę w jej załatwieniu tak wspaniałemu sojusznikowi.

Widać było, że Rand nie kłamie. Uważny obserwator mógł też dostrzec cień napięcia na jego twarzy. Sytuację jego organizacji można by było określić łagodnym mianem: „trudna”. Można też było znaleźć tysiąc bardziej brutalnych czy dosadnych określeń. Utrzymanie poprawnych stosunków z sojusznikiem (trudno powiedzieć, bardziej Randa czy bardziej imperium) stało się więc sprawą dla niego priorytetową.

– Mam nadzieję, że zadbałeś o to, żeby nikt nas tu nie słuchał?

Rand przytaknął.

– W zasięgu słuchu jest tylko Aie. A ona głuchoniema, kiedy stoi na warcie za drzwiami i nie widzi ruchów ust, to poza nami mogą nas słyszeć tylko Bogowie.

– Czyżbyś był wierzący?

– A ty nie, przyjacielu?

Rosenblum uśmiechnął się lekko.

– No to do rzeczy. – Odchylił się na oparciu krzesła, które jednak poddało się temu ruchowi niespodziewanie łatwo. Musiał zrezygnować z ekwilibrystyki. – Przeprowadzono bezpośredni atak na polskiego oficera w mundurze podczas pełnienia służby – powiedział.

Rand o mało nie zachłysnął się powietrzem. Przez chwilę miał wrażenie, że pęknie ze szczęścia. Co za debil popełnił aż taki błąd?! Ile to jemu samemu dawało możliwości. Ale zaraz się opanował. Moment, na pewno nie chodziło o zwykły napad ani przypadkowego bandziora, bo wtedy zająłby się tym dowódca straży miejskiej, mistrz tortur i kat. Ta dobrana trójca załatwiłaby sprawę szybko, sprawnie i definitywnie. Nie mógł to być również żaden żołnierz, a tym bardziej zorganizowany oddział imperialnej armii. Bo w tym przypadku pan ambasador skopałby mentalnie tyłek cesarzowej, a ta postawiłaby cały świat do góry nogami, by wytrząsnąć winnych wprost na plac kaźni. Sprawa była skomplikowana, a więc w sam raz dla niego. A przy ognisku, w którym przypiecze się winnych, będzie można upiec wiele własnych pieczeni.

Rosenblum obserwował mimowolne zmiany na twarzy rozmówcy nieruchomym wzrokiem. Był chyba najlepszym oficerem wywiadu marynarki wojennej i teraz po raz kolejny dziwił się, dlaczego Tomaszewski forsował układ właśnie z Randem. Ktoś, kto nie do końca może utrzymać pokerową twarz, nie wyglądał na człowieka godnego zaufania w rozwiązywaniu tajnych spraw. A jednak wielokrotnie przekonał się, że nos niedawno mianowanego komandora podporucznika rzadko zawodził. Ciekawe, czy tak będzie i tym razem.

– Któż ośmielił się dokonać tak durnego czynu? – zapytał Rand.

– Czarownik.

Tamten gwizdnął, lekko kiwając głową. Cóż za karygodna bezmyślność cechu czarowników. Nie dość, że głupio pomyśleli, to jeszcze dali się co najmniej zauważyć. Z trudem powstrzymał się, żeby nie uśmiechnąć się radośnie. Woda na jego młyn właśnie się rozpędzała, dając nadzieję na jakieś światło w tunelu cesarskiej niełaski.

– A gdzie?

– Tuż przy lesie w Banxi. W zapadłej wsi. Ale to nieistotne.

– Czy napastnik żyje jeszcze?

– Nie. I to najbardziej mnie martwi. – Rosenblum znowu się uśmiechnął.

– Bo teraz, zamiast kulturalnie go przesłuchać i wydobyć, co ma do powiedzenia, sami musimy się dowiedzieć, o co im chodziło.

– Im? – podchwycił Rand.

– Napastnik usiłował wyciągnąć od naszego oficera wiele informacji. Żadna z nich nie miała charakteru militarnego. I w związku z tym przypuszczam, że pracował dla swoich.

– Dla cechu czarowników. Choć oni sami nienawidzą tej nazwy.

– Jest coś takiego? – zapytał Rosenblum.

– Jest – przytaknął Rand. – Choć to związek bardzo mało formalny. Oni sami wolą nazywać się radą. Ale i tej nazwy nieczęsto używają. Chodzi o mistrzów. Ludzi rządzących w swoich szkołach, na dworach i w pałacu, w armii, różnych służbach. Związek trudny do namierzenia, luźny, pozornie niemający struktur. Przenikający jednak wszystko wokół.

– Tak myślałem. A muszę się teraz z nimi zmierzyć.

– Przy mojej pomocy?

– Tak, z tym że nie chciałbym, żeby to trwało Bóg wie ile. Na początku chcę im dać porządnego klapsa. Jeśli zmądrzeją, to może im odpuścimy.

Rand uśmiechnął się radośnie.

– Nie zmadrzeją – powiedział. – Działają tak od tysięcy lat.

– Więc ten tysiąc może być ostatni! – Rosenblum, nie podnosząc głosu, wycelował w rozmówcę palcem. – I ktoś im to musi uzmysłować.

No to ostro poszło. Po raz pierwszy przybysze jasno wyrazili, że nie będą czegoś tolerować. Rand przełknął ślinę. To był ten moment! Teraz albo nigdy, bo właśnie ważyły się losy świata. Na razie klaps, ale ponieważ nikt jeszcze od tego nie nabrał rozumu, to w perspektywie był kop w jaja! Kto się teraz załapie na ten wóz, który wygra wyścig, będzie później obecny przy rzucaniu kośćmi.

– Kogo napadli? – spytał.

– Znasz ją. To kapitan Kai.

– Uu... – westchnął Rand. – Swoją chcieli przesłuchać.

– Właśnie.

– To rodzi pewne możliwości.

– Jakie?

Rand zamyślił się na dłuższą chwilę.

– Przyznasz, przyjacielu, że najmilej sercu jest, jeśli winowajca sam musi zapłacić za swoją egzekucję?

Rosenblum skinął głową, mrużąc lekko oczy. Ten zniewieściały chłopak zaczynał mu się podobać. Trochę na razie. Przynajmniej nie miał zamkniętego umysłu.

– No to zanim uda się dojść, kto wysłał zamachowca i w jakim celu, rzeczywiście warto wymierzyć klapsa ostrzegawczego. Publicznie upokorzyć całą radę.

– No? No?

– Skoro sukinsyny ośmieliły się zorganizować napad, to teraz niech się dowiedzą, kim jest Kai. W drodze bowiem uznania jej zasług dla cesarstwa, sojuszy i wszystkich czarowników zebranych w radzie niech ją... mianują mistrzem! Będzie równa im powagą i godnością. A imprezę mają uświetnić najważniejsi z cechu, ma zostać sprowadzona z pustyni cała jej szkoła, wraz z koleżankami i nauczycielami. Niech to ich kosztuje ogromne sumy, ale na uroczystość ma przyjechać przedstawiciel czarowników z każdej prowincji. Nawet najdalszej! Uroczystość wagi państwowej. I przykład dla całego cechu: za to, że podnieśliście rękę na tego, co nie wolno, to teraz publicznie naplujemy wam w twarz, a wy jeszcze zapłacicie za ślinę.

Rosenblum znowu odchylił się na oparciu i o mało znowu nie upadł.

– Dobrze.

Wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę i zapalniczkę. Rand powstrzymał go gwałtownym gestem.

– Nie tutaj! – Wskazał drewniane urządzenia, parciate worki i zapasy mąki. – Tu wszystko bardziej suche niż piasek na pustyni.

Rosenblum schował papierośnicę. Przez chwilę zastanawiał się nad czymś.

– Myślisz, że cesarzowa pójdzie na taki układ?

– Oczywiście. Będzie musiała przełknąć tę żabę i wydać odpowiednie rozporządzenia, bo znajduje się teraz w bardzo trudnej sytuacji. Biedota szturmuje wybrzeże, ponieważ rozeszły się plotki, że tu być może jest jeszcze jakaś praca. Gdy skończy się kupowana przez was na wolnym rynku pomoc, to biedacy jak mrówki rzucą się, żeby wyjść wszystko w zasięgu wzroku. Ziemiaki nie pomogą w tym roku ani w przyszłym, ani jeszcze za pięć lat. Plantacje muszą się rozrosnąć.

– To fakt, a rozruchy teraz wywołać łatwo.

– A ja dodatkowo podsycam pewną legendę.

– O Shen? Co z nią, wszystko w porządku?

– W jak najlepszym. Zbiera siły.

Rosenblum skinął głową.

– I jeszcze jedno – powiedział. – Chciałbym, żebyś zaczął namierzać sprawców tego napadu.

– Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedział, o co tamten pytał.

– Z tym musimy poczekać do powrotu Tomaszewskiego. Ale mam kaprys. – Mina komandora nie przypominała miny rozkapryszonej panienci. Twarz miał spokojną i nieruchomą. – Chciałbym dostać czyjaś głowę na złotej tacy. Nic tak nie poprawiłoby mi humoru, jak gdybyś mi kogoś wystawił.

– Uderzając w któregokolwiek z czarowników, uderzymy na ślepo.

– Wiem. Chciałbym jednak, żeby wszyscy wiedzieli, że złamanie immunitetu kończy się źle i w sposób ostateczny. Nikt, kto choćby wiedział o zamiśle podniesienia ręki na polskiego oficera, nie może się czuć bezpieczny.

Rand doskonale wiedział, o czym Rosenblum mówi. Racją stanu imperium było, żeby nie prowokować żadnych zadrażeń ze strategicznym

partnerem. Ta kwestia to już być albo nie być w złej sytuacji państwa. Dlatego armia, wszystkie służby, administracja i wszystko, co podległe władzy, wiedziały doskonale o immunitecie dla przybyszów. Kupcy i przedsiębiorcy z miast wybrzeża w nich właśnie upatrywali jedynej okazji do robienia doskonałych interesów, a ludność widziała nadzieję. Nawet bandyci zrzeszeni w swoich cechach, węsząc zyski, objęli przybyszów własną ochroną, żeby podczas wizyt w portach nikt im niczego nie ukradł. Każdy wiedział, że nie skubie się kury znoszącej złote jajka. A teraz nastąpił precedens. Pewien mit nietykalności upadł. Na szczęście daleko, poza zasięgiem wzroku czy słuchu, ale jednak.

Polacy słusznie chcieli odpowiedzieć od razu i zdecydowanie. Rand przygryzł wargi.

– Przychodzą mi do głowy różne, różniste myśli – powiedział cicho. – Czy mógłbyś mi odpowiedzieć na jedno pytanie?

– Słucham?

– Kto to jest Chen?

Rosenblum zmierzył rozmówcę wzrokiem. Szlag! Tomaszewski jednak miał rację. Naprzeciw siedział facet, który naprawdę miał dobrze poukładane w głowie.

– A powinienem wiedzieć? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– To czyjś agent. Raczej nie dahmeryjski, ponieważ dysponuje potężnymi zapasami kawy, którymi handluje z coraz większym powodzeniem. A w Dahmerii ta roślina nie rośnie.

– I?

– No nie wiem. – Rand wzruszył ramionami. – Ale może warto przepatrzeć także własne szeregi?



Shen obudziła się, czując coś obrzydliwego tuż przed nosem. Jakiś straszny smród sprawił, że otworzyła gwałtownie oczy. Nie mogła odwrócić głowy. Ktoś ją trzymał, i to całkiem mocno. Kiedy zogniskowała wzrok, zobaczyła Brethe, która przystawiała jej do ust naczynie z cuchnącą breją.

– Pij! – nakazała, w chwili kiedy druga oprawczyni pchnęła głowę Shen do przodu.

– Co to za gówno?

Shen szarpnęła się słabo. Znowu nic z tego. Okazało się, że druga osoba siedziała jej na nogach i trzymała za ręce.

– Sok z kiszanej kapusty. Pij! Gorączkę miałas.

Brethe zręcznie rozchyliła jej usta, podczas kiedy Nuk i Sharri uniemożliwiały jakąkolwiek obronę. Zatęchła ciecz, którą wlewano jej do gardła, była okropna w smaku, a fetor zdawał się wypełniać całe ciało. Nie miała jednak siły, żeby zwymiotować. Posłusznie, choć wbrew woli przełknęła trochę. Co za ohyda.

– Gorączkę miałas – wyjaśniała Brethe. – Rzucałas się w nocy. Pij teraz! Kwaśny sok kapuściany pomaga na choroby, które z ziąbu się biorą. I jeszcze wyciąg z kory białej wierzby ci dam zaraz.

– Zachorowałam? – zapytała Shen słabym głosem.

– Rzucałas się strasznie. A zimno było – powiedziała Nuk.

– Zimno było – dodała Sharri. – Więc myślałyśmy, że to z ziąbu cię tak wzięło.

Brethe odstawiła nareszcie naczynie z kapuścianym sokiem.

– Zimno to tak, też, ale to nie wszystko. Świątynia Zakonu tuż obok biblioteki stoi. Tu różne rzeczy podróżni czują. A jak ktoś mocą związany, to wiadomo.

– Jaką mocą? – jęknęła Shen.

– W malignie krzyczałas, że amulet cię wzywa. Że coś straszego stało się Kai, a ty to czułaś od wielu nocy, ale dopiero teraz sobie uświadomiłaś.

– Krzyczałam coś o Kai? – Nie mogła sobie przypomnieć. – Też od amuletu?

– Właśnie. Krzyczałaś, że ona nie żyje.

Shen potrząsnęła głową. Niczego nie pamiętała. Nawet nie wiedziała, że miała w nocy koszmary. Jedyne, co pamiętała, to wczorajsze spokojne i miłe zasypianie, i następna rzecz to teraz. Smród i fetor tuż przy twarzy.

Odruchowo odsunęła się, kiedy Brethe dała jej następny kubek.

– Nie bój się. To wyciąg z kory wierzby białej. Świetny na gorączkę i wszystkie zapalenia.

– Smaczny?

– No smaczny, psiamać, nie jest. To nie miód z małmazją! Ale nie śmierdzi.

Działając w trójkę, bez żadnego problemu zmusiły dziewczynę do wypicia zawartości kubka. Napój był gorzki, pełen garbników, ściągał gardło i podniebienie, ale rzeczywiście nie cuchnął i nie zostawiał posmaku kocich szczyń.

– Kai rzeczywiście umarła? – Shen spojrzała na Nuk.

– Mnie się pytasz? – Sierżant wzruszyła ramionami.

– Umarła, ale żyje. – Brethe usiadła na brzegu posłania i odgarnęła Shen włosy z czoła, żeby nie wpadały do oczu. – Odratowali ją cudem. Tak przynajmniej krzyczałaś.

– No, z naszymi wspólnymi znajomymi, z którymi ona się teraz zadaje, to na cud z reguły nie trzeba długo czekać – powiedziała Nuk, wskazując własne ciało. – Ja sama posiadam w środku mnóstwo jakichś gwoździ w kościach, śrubek i innego żelastwa. – Sierżant poklepała się po nodze. – Błoto mi z ran wyjęli i brudy, a ja nie umarłam i dalej żyję. Jakimś cudem właśnie.

Brethe spojrzała na Nuk z prawdziwym zainteresowaniem. Widać było, że powoli zmienia zdanie na temat swoich gości.

– Kto może uratować człowieka, który odniósł takie rany, jak mówisz? Kto jest w stanie scalić kość gwoździami?

– Ludzie z żelaznych okrętów – uśmiechnęła się Nuk. – Oni nawet potrafią widzieć przez kość. Pokazywali mi te gwoździe.

– Jesteście z korpusu?

Sharri westchnęła cicho. Przez moment jakoś tak zapatrzyła się w siebie, odpędzając ulotne wspomnienia.

– Tak.

Brethe uniosła się z posłania Shen, na którym siedziała. Westchnęła również, ale głęboko.

– Wybaczcie moje żarty, kpiny i docinki – powiedziała cicho. – Nie wypada tak niegodnie weteranów podejmować.

– Ależ nic niegodnego nie zrobiłaś – roześmiała się Nuk. – Wprost przeciwnie. Dzięki za fajny nocleg.

Gospodyni odpowiedziała smutnym uśmiechem. Poszła zakrzętać się przy przepastnych szafach ukrytych we wnękach wielkiego pomieszczenia. Po chwili wróciła z kryształowym dzbanem wypełnionym klarowną brązową cieczą.



– Przy wszystkich wadach Zakonu – powiedziała, napełniając kubki – zostawili po sobie też kilka dobrych rzeczy. Jak choćby recepturę przepędzania wina i robienia tego cuda. No, spróbujcie. I uwaga, bo mocne.

Wypiły wszystkie, łącznie z Shen, która tym razem bez wydziwiał spełniła życzenie gospodyni: „Pij, bo chorym to też pomaga”. I jako jedyne z nakazanych lekarstw to właśnie rzeczywiście zdawało się pełnić swoją rolę. Po raz pierwszy też poczuła wewnątrz rozchodzące się bardzo miłe ciepło.

– Oni rzeczywiście potrafią sprawiać cuda? – zapytała Brethe poważnie.

– Zależy, co kto uważa za cud – powiedziała Nuk. – Ale pamiętam to dobrze. Leżałam śmiertelnie ranna w ostatniej bitwie, patrzyłam po sobie, na krew, brud, wiedziałam, że nie mam już szans. Ta wariatka – wskazała na Shen – mnie szarpie i gdzieś ciągnie w bezpieczne miejsce, a ja już nie potrzebuję. Żegnam się z nadzieją, nie mogę sobie przypomnieć modlitwy za zmarłych, z całą, całkowitą pewnością zdaję sobie sprawę, że umrę. To już koniec. I wiesz... – Nuk zawiesiła głos. – A tu nagle rozlega się jakiś ryk, potworna kanonada, ktoś krzyczy takim dziwnym, zniekształconym głosem: „Jesteśmy sojusznikami, jesteśmy sojusznikami! Macie iść w kierunku czerwonego dymu”. Wtedy zaczynasz wierzyć w cuda. A jak ich medyk nie porzuca cię na polu, tylko ładuje do cuchnącego wozu i wiezie na okręt, a tam cię szyją, nogę ci młotkiem kują i dłutem, a ty nic nie czujesz... Wtedy wiara w cuda bardzo się umacnia.

Brethe położyła jej rękę na ramieniu. Potem przeniosła spojrzenie na Shen.

– Tam, w Lesie położonym w dolinie Sait, też czułaś swój amulet?

Zapytana skinęła głową.

– Dzięki niemu czarownica Dairin wyprowadziła resztki korpusu na wybrzeże.

– A normalnie nie działa za bardzo?

– Nie. A na pewno nie w sposób odczuwalny.

Brethe nalala im jeszcze do kubków ze swojego kryształowego dzbanka.

– Tak i w Sait, i w Banxi działa magia Bogów. Wszystkie czary są silniejsze niż gdzie indziej.

– Chyba nie jesteśmy jeszcze w Banxi?

– Nie. Ale ta zakonna świątynia jest połączona z Wielkim Lasem. I nie chodzi mi o drogę.

– To ma znaczenie? – zdziwiła się Nuk. – Wystarczy, że leży przy drodze prowadzącej na płaskowyż?

Brethe po raz trzeci napełniła im kubki, a potem usiadła przy wielkim stole zarzuconym papierami. Musiała przez noc zgromadzić trochę materiałów na tematy, o które wypytywały dziewczyny, bo bez większego trudu znalazła mapę, sądząc z wyglądu, sporządzoną setki lat temu.

– Widzicie, Zakon trochę lepiej niż reszta świata orientował się w sprawach magii, ontologii. – Urwała na chwilę. – Któraś zrozumiała to słowo?

Nuk i Sharri podniosły ręce. Shen natomiast nie miała pojęcia, o czym tamta mówi. Zrozumiała jedno: kiedy zasnęła, dziewczyny musiały wypytywać gospodynię o wszystko, co chciały wiedzieć. I to skutecznie, skoro Brethe w nocy zgromadziła tyle papierów. W ogóle nie spała? No, po prawdzie trudno się dziwić. Ciekawe, kto usnąłby spokojnie, mając pod bokiem trójkę obcych zbrojnych.

– Trochę lepiej orientowali się we wszystkim – ciągnęła Brethe. – Ich czarownicy byli lepsi niż reszta, ich świątynie służyły nie tylko do modłów.

– Ich czarownicy byli lepsi? – Tu nareszcie Shen miała coś do powiedzenia. Dzięki trunkowi opartemu na zakonnej recepturze lekko chwiała jej się głowa. – Do czasów Mereditha chyba.

– No tak, tak. On pierwszy i jedyny pokonał mistrza zakonnych czarowników.

– Zaraz – wtrąciła się Sharri. – Z tego, co mgliście pamiętam, to ktoś mu pomagał.

– No to co? Sztuka zjednywania sobie potężnych sojuszników jest tylko i wyłącznie zaletą dowódcy. Nie bądźcie naiwne, dziewczyny. Nie ma sensu stawać samemu naprzeciw silniejszemu. Z kumplami różniej.

Wszystkie trzy opuściły głowy. No tak. Wszystkie znały to uczucie. O wiele fajniej się walczy, mając w perspektywie wsparcie makabrycznej siły marynarki wojennej rp. Tyle tylko, że ma się wrażenie, że załatwia się cudze sprawy i robi cudze interesy. Ale mieć za plecami okręt podwodny z żelaza a go nie mieć to zasadnicza różnica niepodlegająca dyskusji.

Brethe, widząc ich miny, zdawała się zgadywać myśli.

– Co? – zapytała. – Mocni w pięściach kumple żądają zbyt wiele za pomoc?

– Coś w tym stylu.

– No. – Brethe przygryzła lekko wargi. – Dylemat moralny trzeba rozstrzygnąć przed walką. Ale wracając do Zakonu... – Rozłożyła mapę przed sobą. – Sporo ich ośrodków skupiało się przy Wielkich Lasach. Umieeli czerpać moc z tej bliskości.

– I co im to dało? – Nuk wzruszyła ramionami. – Achaja ich o tak! – Uderzyła dłonią we własne przedramię, jakby zabijała komara. – Jeb! I nie ma.

Brethe uśmiechnęła się lekko.

– Nie zapominaj, że przedtem trzęśli naszym światem przez tysiące lat. I nie zapominaj, że jest jakiś cel waszej wizyty u mnie, w dawnej bibliotece Zakonu. A sądząc po waszych gorączkowych pytaniach wczoraj, chcecie dowiedzieć się czegoś bardzo dla was istotnego. Czyżbym... – zawiesiła głos i przyglądała im się badawczo. Była dobrym obserwatorem, bo dokończyła: – Czyżbym mogła przypuszczać, że „Jeb! I nie ma” – powtórzyła gest Nuk – nie do końca zakończyło się sukcesem?

Dziewczyny zerkały na siebie, co dało gospodyni prawo do uznania, że miała rację. A Shen pod wpływem rozmowy zaczęła przypominać sobie swoje koszmary. Zobaczyła czarownika, który zabija Kai. Zobaczyła wota, które miał ze sobą i skrupulatnie ułożył na stojaku. Przecież już takie widziała!

– Powiedz mi – spytała – czy czarowników coś łączy z Zakonem?

Brethe aż uniosła oczy w geście ubolewania nad cudzą głupotą.

– No chyba przesadziłaś. – Spojrzała na Shen po chwili. – Mam nadzieję, że nie przyjechałyście tylko po to, żeby dowiedzieć się czegoś, co każde dziecko powinno przecież wyssać z mlekiem matki.

– Powiedz.

– Ale co?

– Czy coś łączy czarowników i Zakon?

Brethe ukryła twarz w dłoniach.

– Jakie jest credo czarowników? – jej głos brzmiał niewyraźnie.

– „Czarownik jest po to, żeby utrzymywać istniejący porządek rzeczy” – odpowiedziała Sharri.

– A Zakonu?

Oniemiały. Oczywiście nie znały motta Zakonu, nikt już dziś o tym nie uczył. Ale przecież od zawsze włączano im do głów, że Zakon był najbardziej wsteczną siłą w historii ludzkości, przeciwstawiającą się

wszelkim zmianom i reformom, ponieważ interesowało go tylko utrzymanie rzekomo ustalonego przez Bogów istniejącego porządku rzeczy.

Bogowie! Jak można mieć to przed oczami od samego przecież początku historii i nie połączyć tych dwóch faktów? Cóż. O wielu oczywistościach ludzie nie myślą w taki sposób, żeby uzmysłwić sobie ich znaczenie.

– Posłuchajcie mnie, baby, bo nie chce mi się mówić pierdołek dwa razy. Zakon i czarownicy to tak naprawdę całość. Tyle tylko, że czarownicy są z pozoru mało zorganizowani, no, mają tych swoich mistrzów, mają szefów swoich szkół, mają radę, ale to nie jest konkretne ciało dowódcze. Niby. Jakoś tak jednak w przypadku Mereditha udało się ustanowić prawo, że nie wolno go powoływać do życia nigdy i nigdzie. Jakoś tak niby nie dowodzą, a prawo obowiązujące udaje im się stanowić, prawda? No ale mniejsza z tym. Czarownicy od zawsze byli potrzebni. Na przykład w kwestiach zdrowotnych, hm... ale zaraz w stolicy Troy musiał powstrzymać mędrzec Zaan. Im się to jakoś nie udawało. No dobrze. Potrzebni są w wojsku. Hm... A słyszałyście o jakiejś bitwie, którą wygrano dzięki czarownikom?

– Są po to, żeby przeciwdziałać wpływowi czarowników wroga – powiedziała Nuk.

– Właśnie. Nie odniosłyście wrażenia, że oni generalnie zajmują się sami sobą?

Shen zaczęła się śmiać.

– No ale dzięki Dairin i mojemu amuletowi udało się uratować resztki korpusu.

– Tak, kiedy już strach o własne życie dupę ścisnął, to i wyprowadziła wojsko z Lasu. Jednak mniejsza z tym. Przyjęło się uważać, że czarownicy są bardzo potrzebni, choćby do zapobiegania złym czynkom innych czarowników, więc pomagają i zbijają niesamowite majątki na tym procederze. Każdy zapytany jednak odpowie: są potrzebni. I chętnie, za pieniądze, pomagają. W związku z tym ja bym ich nazwała służbą cywilną. Mają swoje ośrodki szkoleniowe, mają radę, mają system „mistrzów”, czyli dowódców w terenie. Z tym że to cywile, luz wielki u nich panuje, a zasady nie są skodyfikowane tak jak regulamin.

– A Zakon to w takim razie to samo, tyle że był służbą wojskową? – zapytała Shen.

– Oczywiście. Był wredną, opresyjną organizacją militarną, wymuszającą porządek siłą. Owszem, oni też zajmowali się „pomocą”,

często militarną nawet, lecz na poziomie państw. Ich majątek więc przekraczał wszelkie granice, a możliwości były nieporównywalnie większe niż cywilnych czarowników. Ale to było to samo! Dwie służby, no, jak to zwykle bywa w każdych strukturach, niekoniecznie pałające do siebie wzajemną miłością, lecz mające dokładnie ten sam cel. Utrzymać istniejący porządek rzeczy!

Shen uniosła się na łokciu. Kręciło jej się w głowie, choć umysł pozostawał w miarę trzeźwy.

– Powiedz, czy było możliwe, żeby ludzie Zakonu przeniknęli do służb specjalnych?

– Odpowiedz sobie, dziewczyno, na dwa pytania. Pierwsze: kiedy powstały służby specjalne cesarstwa?

– Krótco po tym, jak Achaja na placu Zgody w Syrinx pokazała Zakonowi, gdzie jego miejsce. Spoczynku wiecznego.

– Tak, Biafra chciał połączyć tajne służby Arkach i Troy, kiedy już skupił władzę w jednym ręku. A teraz drugie pytanie: czy w służbach specjalnych są czarownicy?

– Oczywiście.

– No to pomyślcie teraz tak: różne rodzaje wojsk konkurują ze sobą, podgryzają się, często nienawidzą. Marynarka wojenna na przykład nienawidzi wojsk lądowych, bo z nimi przecież konkurują o fundusze. Ale jak zachowa się oficer marynarki, kiedy oficer piechoty znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie? No przecież mu pomoże! Prawda?

Oczywistość tej koncepcji była powalająca.

– Tak więc odpowiedź na podstawowe pytanie, czy czarownicy Zakonu przetrwali w służbach specjalnych, brzmi: tak, byli tam od pierwszej chwili! – Brethe jeszcze raz nalała dziewczynom do kubków. – A jak się tam później żarli wzajemnie, to już ich sprawą pozostanie.

Podniosła swój kubek niczym do toastu. Wypiły, a Shen po raz pierwszy tego poranka poczuła, że jest jej naprawdę dobrze. Powracający koszmar i kolejne z niego sceny, które sobie przypominała, stawały się coraz mniej straszne, gorączka, czy to z powodu medykamentów, czy trunku, mniej dokuczliwa.

– Zakon zresztą przetrwał także w różnych innych formach – podjęła gospodyni, kiedy odzyskała pełnię władzy nad własnym oddechem. Napój sporządzony według dawnej receptury był okropnie mocny. – Czy to pod

postacią różnych sekt lęgnących się w oddalonych od cywilizacji miejscach, czy wręcz w zwyrodniałej formie jakichś wierzeń ludowych i bractwa tułaczy, którzy te wierzenia kultywują. Różni dziwni ludzie tu przychodzą, często nocami. I wertują stare księgi.

– A ty ich wszystkich wpuszczasz?

– Państwo płaci, utrzymując tę bibliotekę, to moim obowiązkiem jest wpuszczać. Księgi udostępniać. A jako urzędnikowi na państwowej pensji nic mi do tego, co oni tam sobie czytają. Takie prawo jeszcze sama cesarzowa Achaja ustanowiła.

– Skąd wiesz o tych sektach i tułaczach?

– Trochę się słyszy, trochę składa z różnych drobiazgów, które przy wielu okazjach wpadają w ucho. Różni naprawdę tu ściągają, bo zasoby biblioteki ciekawe. Tu był jeden z ważniejszych ośrodków Zakonu.

– Tutaj? Wśród gór na wygwizdowie?

Brethe uśmiechnęła się, pokazując obszar na mapie.

– Właśnie o te góry chodziło.

– Jak to o góry?

– Tu mieli swoją szkołę górską. Ale potraktujcie to dosłownie. Nie chodzi o bliskość Banxi, bo to w innym sensie było potrzebne, ani o określenie lokalizacji. Tu uczyli zakonników wspinaczki. Sztuki przeżycia w okropnych warunkach na wielkiej wysokości.

Shen i Nuk wymieniły się spojrzeniami, niczego nie rozumiejąc.

– Na jaką zarazę była zakonnikom sztuka wspinaczki?

– Nie wiecie?

– No nie.

– Przecież jedną z obsesji Zakonu było przekroczenie Gór Bogów. Oni wiedzieli, że tam nie ma końca świata ani żadnej pustki. Po prostu chcieli przejść na drugą stronę.

Shen i Nuk znowu popatrzyły na siebie. Najwyraźniej je zatkało.

– I co? – spytała Sharri. – Udało im się?

– Hm... – Brethe zaczęła przerzucać papiery na stole w poszukiwaniu jakiegoś dokumentu.



Czterosilnikowa łódź latająca podchodziła do lądowania po zatoczeniu drugiego już kręgu nad celem. orp „Dragon” zapalił wszystkie swoje reflektory, w tym dwa potężne, przeciwlotnicze, usiłując dać pilotowi jakiś punkt odniesienia i pokazać, jaki jest stan powierzchni morza. Nie było sztormu, nie zapadał jeszcze zmierzch. Dziwna mgła jednak układała się w pasma, zaciemniając obraz sytuacji. Wokół były obszary zupełnie wolne od białej zawiesiny, ale były i takie, gdzie widoczność spadała do zera, a białawy tuman przypominał wierzchołek zanurzonej w morzu góry lodowej.

Pilot krążył wokół i kilka razy dopytywał, czy za tymi niesamowitymi skupiskami nic się nie kryje, żadne skały, wysepki lub płycizny. Nie, zapewniano go z „Dragona”. Byli na pełnym morzu. A w dodatku jego powierzchnia była stosunkowo spokojna. Niech traktuje zgęstki mgły jak zwykłe chmury, za którymi przecież nic się nie kryje.

W końcu ogromna łódź latająca wylądowała, prawdopodobnie bazując wyłącznie na przyrządach. W dodatku załoga nie zamierzała manewrować ciężkim pojazdem, kiedy już znaleźli się na powierzchni. Wyrzucili dwie dryfkotwy, dając jasno do zrozumienia, że to do nich należy podpłynąć. Siłą rzeczy więc „Dragon” zmuszony był wodować na pełnym morzu swoje pontony. Ledwie przytomną Kai musiano umieścić na specjalnych noszach. Kolejne nosze okazały się też najłatwiejszym sposobem przetransportowania drugiego pasażera – ciała człowieka z załogi „Gradienta”.

Na szczęście z marynarzami nie było problemów, wyszkolono ich perfekcyjnie. A Wyszynska i Załuski usiłowali po prostu nie sprawiać kłopotu. Udało się więc odbić od burty okrętu podwodnego w miarę sprawnie i bez bólu. Tomaszewski z Kozłowskim oddali sobie honory na pożegnanie. Komandor miał wrażenie, że coraz bardziej lubi kapitana. Jego determinacja w ostrzeliwaniu wioski z okrętowego działa i precyzja, z jaką wykonał to zadanie, budziły szacunek.

Sternicy pontonów płynęli blisko siebie, usiłując nie tracić kontaktu głosowego. Słupy dziwnej mgły zdawały się wędrować po powierzchni morza i w każdej chwili można było stracić kontakt wzrokowy. Siedzący najbliżej marynarz kłął pod nosem, nie było za dobrze słyhać, ale chyba powtarzał w kółko: „Pierdolona okolica!”. Szczęściem sternicy sprawili się dobrze. Najpierw do latającej łodzi dobił ponton wiozący inżynierów. Dość

sprawnie przekazano nosze z przywiązanymi zwłokami, potem udało się przeskoczyć cywilom. Pierwszy ponton odbił i wycofał się na bezpieczną odległość, a ich sternik podpłynął do wjazdu, w którym czekał sierżant piechoty morskiej.

– Tutaj, tutaj! Z tej strony. – Pokazywał, jak najlepiej podać mu uchwyty noszy, do których przywiązana została Kai. – Ostrożnie, uwaga na klapę!

Bosman Mielczarek z drugim marynarzem balansowali na krawędzi bezpieczeństwa. Dopiero po dłuższej chwili razem z sierżantem udało im się przenieść Kai w bezpieczne miejsce. Mielczarek wskoczył na pokład samolotu za noszami. On też miał już wracać. Marynarz został na pontonie. Pomógł Tomaszewskiemu przejść do łodzi latającej, prosto w ramiona sierżanta, który zapobiegł osunięciu się w fale. Wjazd nie był najlepiej zaprojektowany. W przeciwieństwie do przestronnego wnętrza, które robiło wrażenie swoją nowoczesnością.

– Przywieźliście ze sobą lekarza?

– Tak jest, panie komandorze. – Sierżant wyprężył się na baczność, wskazując stojącego niedaleko młodziutkiego porucznika z naszywkami służb medycznych.

– To świetnie, że pan jest. – Tomaszewski podał rękę młodzikowi po szkole. – Na okręcie podwodnym mieliśmy wyłącznie felczera.

– Rozumiem.

– Proszę więc od razu przejść do swoich obowiązków.

– Tak jest!

Chłopak zasalutował dziarsko, a ponieważ na pokładzie samolotu nie nosił czapki, zrobił to do gołej głowy, co było ewidentnym złamaniem zasad. Tomaszewski zignorował to jednak i ruszył w stronę kabiny pilotów. Wielkość czterosilnikowej łodzi latającej naprawdę robiła wrażenie. A sama kabina pilotów, gdyby nie dziesiątki zegarów, dźwigni i przełączników, przypominałaby wprost luksusową oranżerię – wszystko wokół było oszklone.

Na widok komandora z fotela podniósł się pilot w stopniu kapitana. Przedstawił siebie i pozostałych oficerów, nawigatora i drugiego pilota. Tomaszewski w rewanżu dokonał prezentacji inżynierskiej pary.

– Dolecimy do Negger Bank? – od razu przeszedł do rzeczy.

– Niestety nie – odparł pilot. – Na takie cuda nie wystarczy paliwa.

– A jaki cel możemy osiągnąć?



– Możemy spróbować dolecieć do orp „Sęp”. Lotniskowiec znajduje się na granicy naszego zasięgu. Ale czy dolecimy, to się dopiero okaże po paru godzinach, w zależności od wiatru i warunków panujących na górze.

– To co jest łatwo osiągalne?

– Nasz okręt baza. Możemy wodować tuż przy nim, a jutro się państwo na coś przesiądziecie.

– Dlaczego dopiero jutro?

– Bo do bazy dolecimy o zmierzchu albo w nocy. A wtedy zasadniczo nie prowadzimy operacji lotniczych poza awaryjnymi.

– Rozumiem.

Tomaszewski zastanawiał się, co wybrać. Niepewny co do zakończenia lotu w stronę lotniskowca czy... Przerwał mu czyjś okrzyk:

– Panie komandorze! Panie komandorze!

W ich stronę biegł młodzieńki lekarz w mundurze porucznika.

– Panie komandorze! Mam dla pana straszną wiadomość!

– Co się stało?

– Jeden z pańskich ludzi nie żyje!

– Który?!

– Ten mężczyzna na noszach.

Tomaszewskiego zapowietrzyło. Wyszyńska zacisnęła zęby, żeby nie ryknąć śmiechem. Jedyne Załuski w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Panie poruczniku – wysyczał Tomaszewski – tego człowieka osobiście wykopałem z grobu! Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby jeszcze żył.

– Jak to z grobu? – nie mógł uwierzyć chłopak. – Nie ma śladów rozkładu.

Wyszyńska zaczęła chichotać.

– No wykopaliśmy go, ale proszę się nie obawiać, panie doktorze. – Położyła młodzikowi dłoń na ramieniu. – Kolega Załuski trzy razy przebił go kołkiem osinowym. Nieboszczyk na pewno nie wstanie.

– Ziemia była zamarznięta – zakończył głupią dyskusję Tomaszewski. – A teraz proszę wrócić do swoich obowiązków przy jeszcze żywej chorej. Żeby nie podzieliła losu tego z noszy obok.

– Tak jest!

Kiedy odszedł, Tomaszewski odwrócił się do pilota.

– Kogo wyście tu przywieźli, panowie?

Ten rozłożył ręce w geście bezradności.

- Wzięliśmy, kogo nam dali. Przykro mi.
- A może niech on się lepiej nie zajmuje Kai? – Wyszyńska ciągle nie mogła opanować śmiechu.
- Powiem Mielczarkowi, żeby miał na niego oko – postanowił Tomaszewski. – A pan co proponuje? – zapytał pilota.
- Kapitan rozłożył na podręcznym stoliku nawigatora mapę. Była pokryta licznymi zdobieniami i rysunkami. Okazało się, że lotnictwo piechoty morskiej korzysta z miejscowych, imperialnych map!
- Jest jeszcze niedaleko garnizon Kong z portem. – Pilot wskazał miejsce na wybrzeżu oznaczone rysunkiem biało-czerwonej chorągiewki.
- Mamy w pobliżu garnizon?
- Nie, nie, to koszary wojsk imperium. Ale na mocy umowy z cesarstwem mamy tam już doradców wojskowych.
- Tomaszewski zmarszczył brwi.
- Co armia lądowa robi w koszarach na drodze do Banxi?
- Nie mam zielonego pojęcia – wyznał pilot. – Ale to jeszcze nie nasza armia. Na razie tylko doradcy. Z tym że połączyłem się z nimi w trakcie lotu w tę stronę. Mają paliwo lotnicze i sprzęt do tankowania samolotów.
- Montują bazę?
- Mhm. Najwyraźniej.
- Dlaczego akurat tam?
- Może mają ochraniać kopalnie uranu?
- Bzdura. Niech sobie miejscowi ochraniają nasze kopalnie sami. – Tomaszewski nie mógł czegoś zrozumieć. – Ci piechociarze muszą mieć jakiś cholerny powód.
- Nie mnie oceniać – westchnął pilot. – Niemniej są blisko i możemy tam zatankować.
- I lecieć do Negger Bank?
- Wtedy tak.
- No to dobrze. Załatwione. To najlepsze wyjście.
- Nawigator zbliżył się o krok.
- Ja mam pewne wątpliwości. Będę musiał posługiwać się miejscową mapą!
- To źle? – Tomaszewski wzruszył ramionami. – Podczas planowania budowy kolei na Złe Ziemie korzystałem z imperialnych map. Oceniam je jako bardzo przyzwoite.

– Pewnie korzystał pan z map budowlanych, dla inżynierów. A ta tutaj? Patrz pan, co oni sobie tutaj porysowali!

Wskazał na przepiękne zdobienia w kształcie różnorodnych potworów morskich, gigantycznych ośmiornic, wielorybów, ptaków z kłami, statków i okrętów różnej maści.

– I mam tej mapie wierzyć? Niech pan patrzy tutaj. – Pokazał dość spory, ślicznie barwiony rysunek. – To przecież orp „Dragon”! Jak swoimi zębiskami pożera jakiś miejscowy statek.

– No rzeczywiście. „Dragon” jak żywy. – Tomaszewski był pod wrażeniem szybkości, z jaką rodzą się i rozprzestrzeniają legendy. – Wypisz wymaluj.

– Jeśli tu okręt podwodny kogoś pożera, to trochę się boję ufać tej mapie w kwestii linii brzegowej.

– Cholera.

Spojrzeli na siebie z dużą dozą bezradności. Na szczęście kwestię celu rozstrzygnął sam pilot.

– Mam przekazać panu kopertę z rozkazem. – Podał Tomaszewskiemu zalakowany papier. – Od samego admirała Wentzla. Proszę tu pokwitować i jeszcze tutaj, stwierdzeniem, że pieczęć nienaruszona.

Zanim jeszcze Tomaszewski rozerwał kopertę, pilot wyjaśnił:

– Znam ogólnie treść rozkazu. To data i miejsce spotkania z admirałem. Bardzo pilne!

– Czyli?

– Proponuję wybrać drogę z międzylądowaniem w Kong. W ten sposób dotrzemy na miejsce najszybciej ze wszystkich opcji.

– Admirałowi aż tak spieszno?

– Sprawa musi być bardzo ważna. Z całym szacunkiem. – Pilot lekko skłonił głowę. – Nie po każdego wysyła się czterosilnikową łódź latającą na sam koniec świata.



## Rozdział 5



Sierżant Kowalski nie miał tłumacza. Ten, który z nimi przyjechał, towarzyszył oficerom, ale nie stanowiło to dla sierżanta większego problemu. Miał wrażenie, że mimo braku znajomości odpowiednich słów imperialni żołnierze dobrze go rozumieli.

– No jak leziesz, łajzo jedna, czego cię uczyłem?!  
– krzyczał. – Zwykła rzecz za trudna, matole?!

Besztana szeregową z reguły spuszczała głowę i szeptała coś tam pod nosem. Ale kto by jej słuchał.

– No jak przenosisz broń, oślico?! Ja wiem, że wasza broń jest gównem warta, ale broń to broń! Jak mus, to żołnierz ma iść do boju ze szczoteczka do zębów w rękach! Ale nic nie działa, jeśli tę szczoteczka będzie źle trzymał, baranie jeden! Tfu!... Kozo!

– Koza nie jest chyba żoną barana, panie sierżancie – swoje wątpliwości wyraził stojący obok szeregowy Walczak.

– A kto jest?

– Chyba owca, panie sierżancie.

– Owca to za mało obraźliwe.

– Ale ona i tak nie rozumie. Sam ton wystarczy.

– Skoro ona nie rozumie, to jej wszystko jedno, czy koza, czy owca, czy glista jedna. A ty mi tu, Walczak, krecią robotę robisz!

Opieprzana dziewczyna dostrzegła cię szansy na uniknięcie najgorszego, czyli chodzenia w kucki przed frontem kompanii. Zdążyła już poznać ten rodzaj kary. Sama więc z siebie zaczęła poprawiać broń i

oporządzenie. Najgorzej było z karabinem. Dlaczego oni wymagają, żeby chodzić nie z bronią na ramieniu jak dotąd, tylko z kolbą przy ramieniu, lufą opuszczoną w dół i całością trzymaną w obu rękach? Przy takim sposobie trzymania dłonie cierpły bardzo szybko. A do tego jeszcze bagnet przez cały czas na lufie. Karabin był długi i ciężki. Łatwo w chwili nieuwagi wbić ten bagnet w ziemię, a kolbą walnąć się samemu w twarz.

– No! – wrzasnął Kowalski. – Coś zrozumiałaś, ofermo z najgorszego burdelu. – Spojrzał na swoją ofiarę łagodniejszym okiem. – W tej pozycji, jeśli zobaczysz wroga, momentalnie będziesz mogła unieść broń i wystrzelić. A w tej wiosce to cholera wie co nas czeka.

Żołnierze imperium niby nie rozumiały po polsku, jednak teraz, po ostatniej uwadze, wiele z nich zerknęło na zabudowania pobliskiej wioski. No niby nic. Przecież to własna wioska, mieszkają tam „nasi” chłopci, którzy rozumieją język i są sto razy bardziej przyjaźni niż obcy przybysze. Ale właśnie ci przybysze potrafili wytworzyć taką atmosferę, że dziewczyny zaczęły się spodziewać co najmniej zasadzki wilkołaków z ludowych legend. Nie potrafiły odgadnąć, że obcym o to właśnie chodziło.

– Walczak, bierz te po lewej. Ja ruszę z prawej strony.

– Tak jest!

Po chwili dwie drużyny, bez przerwy musztrowane przez polskich „doradców”, ruszyły na dół, ku chałupom. „Macie się nas bać bardziej niż wroga!” – powtarzali ci wymuskani żołnierze ubrani w mundury jak z salonów krawieckich w stolicy. I dziewczyny się bały. Właściwie teraz to już wszystkiego. „Tylko ten, co sam odczuwa strach, jest zdolny do prawdziwej agresji”. Tego nie rozumiały, widziały jednak, że to działa. W tej chwili najchętniej same wyżyłyby się na kimś, choćby i na bezbronnym chłopach z nikomu nic niewinnej wioski.

– Jazda! Jazda!

Trzecia drużyna ruszyła za nimi dla ubezpieczenia. A chwilę potem drugi pluton, i trzeci jako odwód do udzielenia wsparcia w razie potrzeby. Nastrój grozy wzmagająca inna kompania, której rozkazano prowadzić ćwiczenia strzeleckie tuż obok wioski. Ciągła palba z boku wpływała drażniąco na żołnierzy. Ciekawe więc, jak oddziaływała na wystraszonych chłopów ukrytych w swoich domach?

Szpica powoli wchodziła między chałupy. W luźnym szyku, ciężkim do powalenia jedną salwą. Dziewczyny może i nienawidziły obcych, ale

zaczęły doceniać świadomość pewnego faktu. Gdyby rzeczywiście napotkały zasadzkę, gdyby ich ktoś zaatakował, to koleżanki z boku mogły natychmiast udzielić wsparcia. A jak te z boku nie dadzą rady, to można się wycofać pod osłoną dziewczyn z tyłu. Aż do plutonu wsparcia, tam się przegrupować, naładować broń i z powrotem do ataku na już rozpoznany cel. Teoria prowadzenia wojny była im obca. Ale to postępowanie, procedura do zastosowania bezpośrednio na polu bitwy, znajdowało uznanie nawet u najbardziej tępych szeregowych. Bo odtąd żołnierz przestawał być sam. Zawsze mógł liczyć na pomoc koleżanek.

– Rozpoznać tę chałupę! – darł się Kowalski. – No już, kozy jedne!

Trzy dziewczyny podeszły do drzwi.

– Nie tak! Z kopa! – Sierżant sam podszedł, żeby pokazać. Podniósł nogę i z rozmachem kopnął w drzwi. – O szlag!

– One się otwierają na zewnątrz – odpowiedział Walczak.

Na szczęście wojskowy but był bardzo odporny.

– No, biegiem do środka! – Kowalski usiłował zakrzyczeć ból stopy. – Wrzeszczeć na cały głos, szarpać ludzi i rabować! Musicie ich zastraszyć, sterroryzować!

– Mają się zesrać ze strachu! – wtórował mu Walczak. – I rabować. Rabować!

Nie wiadomo, kto bał się bardziej. Chłopi czy dziewczyny, które wpadały do wnętrza cudzych domów. Niewiele rozumiały. Kwestie rabowania jednak udało się szybko wyjaśnić. Polacy kazali im zabierać pierzyny i odnosić biegiem na wozy, które stały zaparkowane na pobliskiej drodze.

– No zapierdalać, kurwa! – ryczeli, kiedy tylko coś szło zbyt wolno albo nie tak.

Stojący na pobliskim wzgórzu porucznik Jasiak towarzyszył major Phan, która dowodziła tą akcją. No, przynajmniej dowodziła formalnie, bo sama niezbyt orientowała się w celu tych ćwiczeń w terenie zorganizowanych przez „jej” doradców. Na szczęście stała przy nich żująca gumę tłumaczka, więc rozmowa miała bardziej kulturalny przebieg, zupełnie bez używania takich słów, jak „zapierdalać” czy „kurwy”.

– Czemu chcieliście, żeby ćwiczenia strzeleckie urządzić właśnie tutaj, panie poruczniku? – zapytała major Phan. – Nie lepiej ćwiczyć to w koszarach?

– Tu mamy kilka korzyści naraz. Po pierwsze warunki zbliżone do polowych. A po drugie strzelanina tuż obok zdeprymuje chłopów jeszcze bardziej. Natomiast żołnierzy w wiosce zahartuje i przyzwyczai do prawdziwego pola walki. To efekt psychologiczny.

Phan spojrzała w jego szaroniebieskie oczy. Na dole, we wsi, z powodu „rekwizycji” działy się coraz bardziej dramatyczne sceny, a on miał oczy spokojne, jakby właśnie zabierał się do ulubionej lektury w zaciszu domowej biblioteki. Był taki młody. No tak, ale z punktu widzenia przybyszów była to pewnie mało istotna placówka, więc dali tu i młodych. Natomiast mimo wieku porucznik nie wyglądał na niedoświadczonego. Miał w sobie jakąś taką trochę drażniącą pewność siebie. Nie, nie był z tych, co wszystko wiedzą lepiej, skądże. Czują, że musi go rozgryźć. Nie dawał jej spokoju.

– Czy mógłby mi pan wyjaśnić, panie poruczniku, dlaczego w ramach ćwiczeń rabujemy chłopom pierzyny?

Trochę się jednak zmieszał.

– Och, po prostu usiłujemy łączyć przyjemne z pożytecznym – powiedział.

Nie wiedziała, czy to żart.

– A mógłby pan jaśniej?

– Oczywiście, przepraszam. Hubelman wszystko wyjaśni. – Odwrócił się i skinął na kogoś. – Salomon! Salomon, chodź tu!

Chudy, czarnowłosy chorąży zbliżył się natychmiast i zameldował słuźbiście.

– Powiedz pani major, na jaki pomysł wpadłeś po inspekcji.

Hubelman uśmiechnął się szeroko.

– Na rozkaz majora Baranowskiego przeprowadziłem inspekcję w koszarach mającą na celu stwierdzić, co jest przyczyną niskiego morale tutejszych żołnierzy. Poza brakami w wyszkoleniu, zaopatrzeniu i organizacji czasu przyczyn demoralizacji upatruję w licznych stratach, które ponosi garnizon, i to nie biorąc udziału w jakichś poważniejszych walkach. Głównymi przyczynami tych strat są odmrożenia, dezercje i samobójstwa. Drugi i trzeci czynnik do opanowania pozostaje szarżom wyższym. Natomiast na pierwszy mogę poradzić ja sam.

– Co? Żołnierze mają stać na warcie owinięci w chłopskie pierzyny?



– Prawie, pani major. Pochodzę ze słynnej krawieckiej rodziny i trochę się na tym znam. Zamówiłem już brezent i przemysłową maszynę do szycia. Zajmę się też szkoleniem krawczyń.

– Co to jest brezent?

– Nieprzemakalny materiał, rodzaj bardzo odpornej tkaniny. Z zarekwirowanych kołder wyjmie się pierze i uszyje puchowe kurtki dla wojska. Porządne, zakrywające krzyże i pośladki, ale niekrępujące ruchów. Z dużą liczbą kieszeni, gdzie żołnierz będzie mógł wygodnie trzymać najpotrzebniejsze mu rzeczy.

Phan nie mogła czegoś zrozumieć.

– A kto by się przejmował, co potrzebne szeregowemu? – Wzruszyła ramionami. – Jak jest zima, to jest zimno. Jak się jest w wojsku, to trzeba zmarznąć, szczególnie jeśli jest zima. Proste jak dyszel!

– No właśnie. – Hubelman uśmiechnął się jeszcze szerzej. – A morale bliskie zeru. Proszę zresztą spojrzeć, pani major. Jeszcze zima nie nastąpiła, a dziewczyny już są przemarznięte i ręce im się trzęsą. Tuniki i krótkie spódniczki są genialne w okolicach Negger Bank, gdzie panuje upał cały rok. Nie tutaj. Tu musimy im zapewnić wełniane czapki zamiast hełmów, szaliki i nieprzemakalne buty. Jeśli nie będą miały suchych stóp, polegną na samym początku zimowej kampanii.

Phan gwałtownie podniosła głowę.

– To ma być jakaś zimowa kampania? – zapytała zaskoczona.

Chorąży szybko odwrócił wzrok.

– A ja tam nie wiem, aj–waj. Ja się na krawiectwie znam z cywila.

Porucznik usiłował uratować sytuację.

– Pan chorąży zgodnie z regulaminem przygotowuje się na najgorszą ewentualność. Gdyby nas ktoś zaskoczył zimową akcją czy coś... – Rozłożył ręce. – Wszystko się może zdarzyć.

Phan sama nie wiedziała, co powiedzieć. Dowództwa garnizonu nikt nie informował o planach sztabu generalnego. Lista zadań pozostawała od lat ta sama, a przybycie doradców niczego nie zmieniało. Zakres ich praw był określony w liście z podpisem samej władczyni i obcy ściśle się go trzymali. Wspólne ćwiczenia, poprawa warunków, nauka nowych założeń taktycznych. I tyle, żadnych dostaw broni ani zaopatrzenia w planach nie było. Obcy jednak okazali się niebywale zaradni. Z tego, co zastali na miejscu, zaczęli remontować koszary. Nawet te niezamieszkałe części,

powoli popadające w ruinę, tak że garnizon stawał się miejscem, które mogło przyjąć i pomieścić jakieś niebywałe ilości wojska. A w dodatku dyscyplina wprowadzona przez majstrów wśród imperialnych żołnierzy i specjalne porcje żywieniowe dla pracujących sprawiły, że demoralizacja w szeregach zaczęła się zmniejszać.

– Czy może mi pan powiedzieć, po co rekwirujecie w miasteczku takie ilości płótna?

– Nie do końca rekwirujemy. To raczej handel wymienny.

– Po co wam płótno?

– Z analizy przyczyn klęski waszego korpusu w Lesie doliny Sait wynika...

Nie dała mu dokończyć.

– Ponieśliśmy klęskę z powodu złej strategii, niewłaściwych założeń...

Tym razem on jej przerwał.

– Od strategii to są sztaby generalne, pani major. Z całym szacunkiem. A nam, oficerom niskich rang, kazano zobaczyć, co jest nie tak z armią imperium, za pomocą obserwacji bezpośredniej. No i zobaczyliśmy.

– Co?

– Że imperialny żołnierz podczas marszu jest zmuszany do wegetacji w jakichś koszmarnych warunkach, bez zaspokajania podstawowych potrzeb.

– A do czego wam płótno w związku z tym? – Major przyzwyczała się już do myśli, że przybysze mają przedziwną skłonność do dbania o najzwyklejszych, prostych, nieuczonych żołnierzy. Pewnych rzeczy nie mogła jednak pojąć.

– Płótno trzeba będzie uszlachetnić. Zrobimy z niego połówki namiotów. Odtąd każda szeregowka będzie dźwigała swoje pół, a na noc połączy się z koleżanką i zrobią sobie schronienie.

– To może jeszcze łóżka niech ciągną za sobą na sznurkach! – zdenerwowała się Phan.

– Tego nie jesteśmy w stanie im zapewnić. – Porucznik nie dawał się sprowokować. – Ale podczas pełnienia nocnej warty połówkę namiotu można zamienić w rodzaj peleryny. Żołnierzowi będzie sucho i cieplej.

– Chyba troszkę przesadzacie.

– Nie. Z analizy wynika, że żołnierze korpusu musiały spać wprost na drodze. Bez żadnego dodatkowego okrycia. I to przez cały czas trwania kampanii.

– Panie poruczniku, taki jest los żołnierza! Wojna to nie zabawa!

– No to dobrze, pani major, zrobmy eksperyment. Bez żadnych podtekstów, ale połóżmy się razem tu obok, na drodze. – Ręką wskazała kierunek. – Tak jak stoimy, a więc sto razy lepiej ubrani niż żołnierze imperium. I spróbujemy poleżeć kilka godzin.

Spojrzała na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

– Bez żadnych podtekstów – powtórzył. – Spróbujemy położyć się razem na tej drodze i zobaczyć, ile wytrzymamy. A jest dzień! Zaznaczam. I w miarę sucho. Jednak każę moim ludziom bez przerwy skrapiać nas solidnie wodą. I zobaczymy, czy nad ranem żadne z nas nie pomyśli o tym, że lepszym rozwiązaniem może być kula we własne gardło.

Phan zrozumiała, że nie pokona go w dyskusji prowadzonej po męsku. Musiała użyć trochę swojej kobiecości.

– Panie poruczniku, pańska propozycja, żebyśmy się razem gdzieś położyli, jest bardzo kusząca. Jednak chyba nie na środku drogi.

Stojący obok chorąży przełknął ślinę. Porucznik zamarł w pół słowa, gorączkowo zastanawiając się, czy to jest propozycja. Pani major była sporo starsza od niego, ale ładna cholernica. Z tą burzą krótko obciętych kruczoczarnych włosów nad wygiętymi w dumne łuki brwiami... Kusząca cholera. No i do tego, jak świadczy jej zachowanie, doświadczona. Umie grać w te klocki.

Sama Phan spojrzała na niego z przyjaznym uśmiechem. No i co? – pomyślała. Wygrałam z tobą w dyskusji, chłopczyku. Na nic twoje męskie argumenty.



Tomaszewski szedł niespiesznie rojną ulicą Negger Bank, z rozkoszą poddając się szokowi klimatycznemu. Po dusznych, klaustrofobicznych wnętrzach okrętu podwodnego i mroźnych pustkowiach okolic Banxi cieszył się z powodu słońca, zgiełku i ruchu oraz rozpalonych upałem przestrzeni. Z zaciekawieniem rozglądał się, chłonąc wszystko, co oferowało to egzotyczne, ogromne miasto. Mimo że był sam, nie groziło mu żadne większe niebezpieczeństwo. Przybysze mieli immunitet klanów złodziei miejskich i związków żebraczych, więc kradzieże, a już na pewno

napady, praktycznie się nie zdarzały. A jeśli jakiś prawdziwek albo naturszczyk z prowincji jednak skusił się na wielki łup, to z reguły skradzione przedmioty po kilku dniach wracały do właściciela. Pieniądze też najczęściej zwracano. A złodziej amator, mimo że nie trafiał w ręce miejskiej straży, już się nigdy nie pojawiał. Miejscowi dobrze znali porzekadło o nieskubaniu kury znoszącej złote jajka. A jeśli ktoś o tym nie wiedział, to miał pecha. Taki los.

Tomaszewski miał konkretny cel swojej podróży. Na szczęście sztab potraktował Negger Bank zgodnie z procedurą dotyczącą pobytu wojsk w mieście okupowanym. A to oznaczało, że każdy oficer na przepustce, który opuszczał bazę i szedł na miasto, musiał w książce na wartowni napisać, gdzie idzie i w jakim celu. Otóż Siwecki z kolegami umieścili tam następujący wpis: „Idziemy do »Zadumy«, lokalu z tancerkami. Będziemy się tam uczyć egzotycznych tańców”. Hm.

Tomaszewski już dwa razy pytał o drogę. Za każdym razem pytanie to wywoływało na twarzy miejscowego szeroki uśmiech i uwagi w rodzaju: „Tak! Tam najlepsze tancerki! Z całego świata przywiezione”. Hm.

„Zadumę” udało mu się znaleźć po dobrej godzinie krążenia ulicami wokół wspaniałych budowli. Sama knajpa okazała się równie wspaniała jak otoczenie. Przypominała pałac. Słusznie się domyślał, że to burdel. Ale, musiał oddać kolegom honor, chyba najbardziej ekskluzywny na świecie.

Już w drzwiach, które otworzyli pstrokato ubrani służący, podeszły do niego młode, acz dostojnie wyglądające panny.

– To dla nas zaszczyt gościć pana, panie komandorze.

Jasna cholera! Dziewczyny orientowały się już nawet w polskich stopniach wojskowych. Oczywiście powitanie również zostało wypowiedziane po polsku. Odpowiedział w miejscowym języku. Damy okazały się wspaniale wyszkolone w okazywaniu zachwyty nad jego zdolnościami leksykalnymi. Ale wbrew pozorom czuł się naprawdę dobrze.

– Chciałbym zobaczyć się z przyjacielem.

– Oczywiście, panie komandorze. Najpierw jednak proszę pozwolić się odświeżyć naszym młodym koleżankom.

No tak. Grupa dziewcząt opadła go ze wszystkich stron. Nie mając wyboru, dał się zaprowadzić do nasyconego wonią ziół pokoju, gdzie rozebrano go szybko, wysuszono z potu, umyto, natarto oliwą i wonnościami, a potem poczęstowano schłodzonym winem. Dopiero po

jakichś trzech kwadransach odziany w niesamowicie miękki, lekki szlafrok mógł wyjść z powrotem na wypełniony pozłocanymi rzeźbami, szeroki korytarz. Dziewczyny wiedziały, że obcy lubią palić. Jedna z nich na małej tacy niosła za nim jego paczkę papierosów i zapalniczkę. Coś niesamowitego. Nie wiedział nawet, czy jest prowadzony, czy bardziej niesiony w swojej podróży omijającej większość sal udekorowanych z ogromnym przepychem. Zatrzymali się dopiero przy wejściu na basen.

– Tutaj są pańscy koledzy, panie komandorze. – Jedna z dziewcząt, pochylając głowę z szacunkiem, otworzyła przed nim drzwi.

Zauważył dwóch mężczyzn owiniętych w ogromne ręczniki, którzy dyskutowali o czymś, mocząc nogi w wodzie. Piękne kobiety dolewały im wina, a tancerki robiły wrażenie, ponieważ ich sztuka była... sztuką pływania.

– No cześć, panowie! – krzyknął. – Jak wam idzie nauka tańców egzotycznych, co?

– Aaa! Krzysiek!

Siwecki i Odrowąż–Jackowski zaczęli energicznie do niego machać.

– No chodź, chodź. – Porucznik lekarz podniósł się chwiejnie, usiłując nie wpaść do wody. Na szczęście pomagało mu kilka kobiet naraz. – Ibrahima kojarzysz?

– Jasne. – Tomaszewski podał rękę Tatarowi. – Mieliśmy okazję się poznać podczas akcji w Lesie.

– Super, że jesteś. Na dłużej?

– Pojęcia nie mam. Niczego nie wiem i nie będę wiedział do czasu spotkania z Wentzlem.

– A panna Kai? – spytał Ibrahim.

– W szpitalu. Ale w porządku. – Podniósł uspokajająco dłonie. – Już jest wszystko dobrze.

– Jak to w szpitalu? – poderwał się Siwecki. – Mogę do niej zaraz iść.

– Lepiej jutro. Jak wszyscy będziemy trzeźwi. – Tomaszewski skinął na podręczną, która dolewała wina.

Podano mu kielich. Napój był ciepły, słodki, lekko oleisty. Pachniał jakimiś egzotycznymi owocami, rozlewał się przyjemnym, kojącym ciepłem w całym organizmie. Miejscowi, a przynajmniej ich bogata część, umieli się i bawić, i odpoczywać.

– A co jej się stało? Coś poważnego?

– Nie wiem, na pokładzie mieliśmy tylko młokosa bez doświadczenia. – Tomaszewski opowiedział zwięźle o przebiegu akcji w pobliżu Banxi, swoją historię zakończył: – Moim zdaniem czarownik, który ją schwytał, wstrzymał u niej akcję serca. Samym wzrokiem.

– Ożeż...

– Ech, na lancę takiego nabić! – Tatar podstawił swój kielich do ponownego napełnienia.

– Już nie jesteś kawalerzystą, Ibrahim. Wozem pancernym możesz go najwyżej rozjechać.

– Ech, a dusza Tatara jęczy! Wódką mi ją polać trzeba!

– Pij wino. – Siwecki położył rękę na ramieniu przyjaciela. – Dłużej będziesz wśród stojących na nogach.

– Uuu... – westchnął Tomaszewski. – Widzę, że parę karniaków powinienem wypić, żeby do was doszłusować.

– Nie, nie, nie, nie. – Lekarz pogroził mu palcem. – Najpierw to ty musisz, jak my wcześniej, pójść z damą na bok, odprężyć się i pofigłować. A dopiero później się upić. Ale! Ale najpierw, najpierw powiedz mi najważniejsze. Bo potem, wiesz, mogę cię nie zrozumieć.

Tomaszewski usiadł obok nich. Wieczór zapowiadał się ciekawie.

– Co chcesz wiedzieć?

– W jaki sposób można zatrzymać akcję serca samym wzrokiem?

– Nie wiem. Widziałem efekty. – Tomaszewski wzruszył ramionami. – Zresztą może źle się wyrażam i źle opisuję, co się stało. Nie znam się.

– To powiedz, co zaszło.

– Jak ją zobaczyłem, to moim zdaniem już nie żyła. Wyszyńska zaczęła strzelać do gościa, który to zrobił.

– He, he. Podoba mi się ta baba.

– Nie tobie jednemu. Słuchaj, Kai nie żyła, rzuciliśmy się z sanitariuszem do ratowania. Była cała sina.

– Co zrobił sanitariusz?

– Zastrzyk dosercowy.

Siwecki zamyślił się, spoglądając na tancerki w basenie. Ich ruchy były idealnie zgrane z grajkami ukrytymi dyskretnie w niszy naprzeciw. Podziwiał kondycję pływaczek. I to, że reprezentowały cywilizację, w której kilkudziesięciu osobom opłacało się dbać o rozrywkę kilku zaledwie gości. Irracjonalnie ogarnęła go fala nostalgii za Polską. Co prawda tam

jedna tylko kelnerka obsługiwała kilkanaście stolików, a przy barze na pianinie rzępolił tylko jeden grajek. No i nikt nie pływał mu do taktu. Ale...

– No dobra. Jutro zorientuję się w szpitalu, co zaszło – powiedział. – A ten, który ją zaatakował, kim był?

– Czarownik. I zdaje się, że oni wszyscy staną przeciwko nam.

– Bo?

– Takie mam przeczucie.

– Nie no, świetnie... – Siwecki jeszcze dość łatwo opanowywał kiwanie się głowy. – Ale chyba się ich nie boimy, prawda?

– Nie boimy się, oczywiście. Ale też nikt nigdy nie zabił nikogo wzrokiem.

Przysłuchujący im się z boku Ibrahim wtrącił się do rozmowy:

– Ja to potrafię!

– Co? Zabijać wzrokiem?

– Tak. – Tatar energicznie skinął głową. – Patrzcie!

Wlepił wzrok w najbliższą siedzącą damę. Szeptał coś, jeśli dobrze słyszeli, w rodzaju: „Złóż głowę na moim ramieniu”, a nawet pociągnął ją za rękę. Dama rzeczywiście oparła się o jego ramię i zamknęła oczy.

– No i co? Martwa! – Ibrahim zrobił minę bohatera. – Samym wzrokiem ją ubiłem.

– Akurat! – Podpity Siwecki aż się zatrząsł z oburzenia. – Łapskami ja przyciągnąłeś do siebie!

– Przestańcie. – Tomaszewski podsunął swój kielich do ponownego napełnienia. Był w coraz lepszym nastroju. Zastanawiał się, która z otaczających ich pań byłaby najlepsza, żeby oddalić się z nią i zaszyć w ustronnym miejscu. Cholera, wszystkie były ładne. Najstarsza z nich pochwyciła jego wzrok.

– Jeśli mogę doradzić, panie. – Nachyliła się do niego i ściszyła głos. Do sali weszło kilku miejscowych notabli pogrążonych w rozmowie. Również zajęli miejsce przy basenie, otoczeni wianuszkami uroczych pracownic. – Proszę spojrzeć tutaj. – Wskazała smagłą dziewczynę ze splecionymi ciasno na głowie włosami. – To Dahmeryjka. Prawdziwa. One to pokazują mężczyźnie, co to jest wojna, choćby i w sypialni prowadzona.

Dziewczyna uśmiechnęła się, lecz nie było w tym uśmiechu ciepła. Ciekawe. Fascynująca niewątpliwie.

– A ta tutaj jest z Symm. – Najstarsza wskazała pulchną dziewczynę, która widząc, że o niej mowa, przybrała lubieżny wyraz twarzy. – Otóż ona olśniewa mężczyznę pomysłami, jak rozkosz można uczynić bardziej intensywną. Polecam, polecam.

Tomaszewskiemu nagle przypomniały się dwie kobiety. Wyszyńska i Kai. Wyszyńska kojarzyła się z Dahmeryjką, pewnie nawet seks uprawiała z rewolwerem w dłoni. Albo Kai. W jej dziewczęcym umyśle, podejrzewał, kryły się całe pokłady skrywanej lubieżności.

– Mogę też zaproponować... – podjęła kobieta, ale przerwał jej szybko.

– Nie ma potrzeby. – Tomaszewski uśmiechnął się do najstarszej z dam.  
– Nigdy nie byłem w Dahmerii, a dochodzą mnie słuchy, że to piękny kraj.

– O, tak, tak, tak. – Tamta podchwyciła uśmiech. – Warto zaznać tego piękna, zapewniam. A i walki użyć!

– A przepraszam. – Siwecki chwycił Tomaszewskiego za rękę. – Zanim się oddalisz. Powiedz coś więcej.

– Potem, potem.

– Jedną sekundę, powiedz.

– O czym?

– O sytuacji.

Tomaszewski westchnął tylko. Z drugiej strony dawno nie widział przyjaciela, a Dahmeryjka przecież nie ucieknie.

– Armia lądowa coś knuje.

– Co?

– Nie wiem. Jednak z zaskoczeniem stwierdziłem, że w garnizonie w Kong są nasi doradcy wojskowi. Co więcej, mają sprzęt i transport. Są tak zorganizowani, że mogli nam zatankować samolot. Ale nie wyjaśnili, po co im było targać paliwo lotnicze gdzieś na koniec świata.

– A co w tym dziwnego? Cesarzowa podpisała umowę, w ramach której nasi doradcy mają szkolić armię imperium.

– I dobrze. W marynarce wojennej to rozumiało. Dostali nowe okręty, to trzeba ich wyszkolić w obsłudze i taktyce. Budujemy drogi do Złych Ziemi i w porządku, że w garnizonach w pobliżu szlaku są nasi doradcy. Ktoś musi ochraniać kolej profesjonalnie. Ale w żadnym innym garnizonie na terenie całego imperium nie ma ani jednego naszego doradcy. No bo po co? Nie ma na razie takiej potrzeby, nie ma też możliwości. Za parę lat może stanie się to normalne.



– I sprawdziłeś? Naprawdę nigdzie nie ma naszych doradców?

– Nigdzie. Wyjątkiem jest Kong. Gdzie są dobrze wyposażeni, aktywni i na coś przygotowani.

– Na co?

Tomaszewski wzruszył ramionami.

– Wyjaśnię ci, gdzie jest Kong. – Odwrócił głowę do otaczających ich kobiet. – Czy macie coś do pisania?

Węglowy rysik znalazł się prawie natychmiast. Pewnie służył do czernienia brwi. Ale papieru nie udało się znaleźć. Zresztą... No niby na co w burdelu papier? Dziewczyny jednak poradziły sobie błyskawicznie z tym problemem. Jedna z nich obciągnęła mocno na biodrach swoją cieniutką sukienkę i wypięła się w stronę Tomaszewskiego. Ten przełknął ślinę. I zaczął rysować na jej pupie.

– Popatrz. Tu jest Negger Bank. Tu linia brzegowa, mniej więcej. Od następnego punktu dzieli nas ogromna odległość. Lądujemy w innym klimacie, w innym otoczeniu, w zupełnie innej krainie. O, tu jest Kong. Zimny i nieprzyjemny. Jak Polska późną jesienią. A jeszcze dalej, o, widzisz, tylko kawałeczek drogi, jest płaskowyż Banxi. Ot co!



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

- Zastanawiasz się, dlaczego tak blisko?
- Owszem. I dlaczego tylko tam.
- Skąd armia lądowa wie o różnych naszych celach? – Siwecki roztarł drętwiejącą twarz dłońmi. – Słuchaj, przywiozłem Tatarów z Sait. I widziałem, już tutaj, ich dostawy wyposażenia.
- Nie ty nas przywiozłeś, poruczniczyno, tylko my ciebie – wtrącił się Ibrahim. – No!
- Siwecki ciągnął jednak niezrażony:
  - To jest wyposażenie zimowe!
  - Właśnie. W Negger Bank niepotrzebne, prawda?
  - No to powiem ci jeszcze coś. I wrzucę kamyczek do twojego ogródka.
  - Mhm?
  - Ta wizyta piechociarzy w Kong...
  - Zajęcy, a nie piechociarzy – wtrącił znowu Ibrahim. – My ich nie nazywamy piechotą, tylko kicajami!
  - Dobrze, dobrze. – Siwecki poklepał Tatara po ramieniu. – Ta wizyta wojsk lądowych w pobliżu Banxi to może być element szerszej akcji. Bo?
  - Tatarów na stanowiskach w bazie w Sait zluzowały wojska lądowe. Słyszałem, że planują tam głębokie operacje.
  - Głębokie operacje w Sait?! O Boże, po co?!
  - No właśnie. Co tam jest interesującego?
  - Nic.
  - I tu się mylisz. Tamten Wielki Las jest teraz położony na terenie w naszym władaniu. Razem ze świątynią, w której była Shen, prawda? A może ktoś chce sprawdzić w komfortowych warunkach, co kryje się w tej świątyni. Nie?
  - Możesz mieć rację, cholera jasna. – Tomaszewski gwałtownym ruchem potarł brodę. – Ale dobrze, pogadamy jutro. Byle jeszcze przed rozmową z Wentzlem.
  - Nie ma sprawy. – Siwecki uśmiechnął się promiennie. – Idź, idź, bo ci dziewczyna wystygnie! Dziś się bawimy.
  - Doskonale. – Tomaszewski podniósł się lekko, zerkając na Dahmeryjkę, która zerwała się w tym samym momencie. – Tylko się nie upijcie w sztok pod moją nieobecność. Zaczekajcie na mnie.
  - Dostojni panowie mają się nie upić? – zapytała najstarsza z kobiet do towarzystwa. – To w takim razie proponuję wyśmienitą kawę.

- O kurczę. – Siwecki oniemiał. – Skąd macie kawę?
- O tam, widzi pan? – Wskazała dłonią młodego człowieka, który przy basenie rozmawiał z miejscowymi notablami. – To jest pan Chen, nasz dostawca. Zaopatruje również pałac i najlepsze dwory w mieście.
- A to sprytny handlarz. – Siwecki nachylił się do Ibrahima. – To co? Zaczekamy na Krzyśka? – Zerknął na odchodzącego z dziewczyną Tomaszewskiego.
- Zaczekamy. – Tatar smętnie pokiwał głową. Pewnie znowu marzyły mu się wierzchowce zamiast zwiadowczych czołgów. – Zaczekamy, bracie.
- Zatem poprosimy o dwie kawy! – zaordynował Siwecki i opadł na stos mięciutkich poduszek, wprost w ręce chętnych do masowania kobiet.
- Najstarsza skinieniem wezwała podręczną. Dłuższą chwilę szeptały tak cicho jak mogły. Potem podręczna pobiegła do kuchni z zamówieniem, a najstarsza nachyliła się do dziewczyny, na której sukni Tomaszewski zostawił swój rysunek.
- Pan Chen chce kupić twoją sukienkę – dosłownie tchnęła jej do ucha. – Leć więc do niego, rozbierz się i sprzedaj ją bardzo drogo.
- A jeśli będzie pytał o rozmowę przed chwilą?
- Ani mi się waż coś chlapanąć! To burdel jest, a nie świątynia, gdzie lud zwierza się kapłanom, a ci później wszystko wykorzystają.
- No ale suknię mu sprzedać?
- Jasne. Przecież mówię, że to burdel. Chce się przebrać w damską kieckę, której dotykał inny mężczyzna, to mu wolno!



Brethe nie mogła odnaleźć właściwych papierów. Narzekała, że nikt dotąd nie zajął się zebraniem porządnego katalogu. Orientacja w zasobach biblioteki opierała się tylko i wyłącznie na strzępkach wiedzy, którą się uzyskało od poprzednika. Lepsze efekty dawało chyba oparcie się na kobiecej intuicji.

Wspomniana intuicja teraz jednak najwyraźniej ją zawodziła. Brethe miotała się między szafami ustawionymi przy oknach i klęła coraz głośniej.

– Zaraza jasna! Nikt się tym nie interesował od czasu...

Nuk przerwała jej w pół słowa:

– Słuchaj, czy to, co tu się znajduje, w tej sali na dachu świątyni, to cała biblioteka?

– Chyba zwariowałaś. To nawet nie katalog.

– Zaraz. Mówiłaś, że katalogu nie ma.

– Bo nie ma z prawdziwego zdarzenia. A spis, który zawiera tytuły wszystkich pozycji, przecież istnieje. Piętro niżej.

– To czemu tam nie zajrzysz?

– Po pierwsze nie sposób się w nim zorientować, bo spis nie jest tematyczny, tylko datowany. Po drugie pamiętam, że dokumenty, których teraz szukam, sama przyniosłam tutaj wiele lat temu. I po wykorzystaniu gdzieś tu zostały, bo nie chciało mi się tego targać z powrotem.

Nuk spojrzała na bibliotekarkę z nagłym zainteresowaniem.

– A po co przyniosłaś papiery o zakonnych wyprawach w góry?

– Bo ktoś się nimi zainteresował. Chciał, to mu przyniosłam. – Brethe odwróciła się od półki i spojrzała na dziewczyny. – Taki mój zawód jest. Czytelnik chce, to ja mu mam przynieść.

– Mhm.

Stało się jasne, dlaczego w zbiorach i w samym katalogu panuje bałagan. Osobie dbającej o całość nie chciało się po prostu odnosić niczego na miejsce. I w sali, gdzie powinny być tylko pozycje podręczne albo aktualnie wykorzystywane, było dosłownie wszystko.

– Słuchaj. – Shen uniosła się na łokciach. – A kto interesował się tymi papierami?

– Jak to kto? Przemytnicy.

– Kto? Przemytnicy w bibliotece?

– Klient jak każdy. – Brethe wzruszyła ramionami. Potem westchnęła jednak i usiadła na zydlu pod oknem. – Dobra, wyjaśnię wam wszystko. To będzie dłuższa opowieść.

Nuk zerknęła na opatuloną kocami, drżącą lekko od gorączki Shen.

– Nam się nie spieszy – mruknęła.

Brethe zamyśliła się na moment, potem podniosła wzrok.

– W tej okolicy kobieta, która mieszka sama, ma dwa wyjścia. Albo ze wszystkimi będzie żyła w zgodzie, albo nie będzie żyła w ogóle. Dlatego ja ze wszystkimi usiłuję się dogadać. Być wszystkim potrzebna, a przynajmniej przydatna. Dlatego też, mimo że jesteśmy w bibliotece, to także jest to miejsce, gdzie każdy znajdzie schronienie. I przemytnik, i

rabuś nawet, i takie jak wy, trzy dziewczyny uzbrojone po zęby, które przyszły nie wiadomo skąd i w jakiej sprawie. Tu każdy znajdzie nocleg pod dachem, a w razie potrzeby trochę strawy. Jestem dla nich wszystkich przydatna i dlatego tu się nie rabuje, bo i nie ma czego, nie robi burd ani nie gwałci, choć może coś by się znalazło. A światło z tej sali, w której siedzimy, jest widoczne z tak daleka, że często dla zagubionego w ciemnościach przemytnika jest ostatnią deską ratunku. Dlatego szanujemy się wzajemnie.

Nuk skinęła głową ze zrozumieniem.

– A skąd tu przemytnicy? – spytała tylko.

Brethe odwróciła się na zydlu i wskazała lśniące w słońcu ośnieżone szczyty. Trudno było ocenić odległość. Wszystko jednak wskazywało, że góry były bardzo wysokie, odległość więc od nich musiała być znaczna.

– Tam, za górami, leży Królestwo Shah. I z nim właśnie imperium lubi sobie od czasu do czasu uciąć jakąś wojenkę. Albo odwrotnie. – Brethe wzruszyła ramionami.

– A o co może się toczyć wojna w tej ponurej okolicy? – spytała Shen.

– A o co w ogóle toczą się wojny? Pojęcia nie mam i żadnych racjonalnych przesłanek nigdy znaleźć nie mogę.

– Czy tu jesteśmy bezpieczne?

– Jasne. W takich górach nikt nie potrafi operować masami wojsk. Ale... jest wojna, są zamknięte granice, jest więc i przemyt. A tym facetom tędy właśnie po drodze. No i moja samotnia czasem dla nich jak zbawienie. To i szacunek u nich mam, i nietykalność.

Nuk przytaknęła ponownie.

– A czego mogli szukać przemytnicy w starych księgach?

– Mówiłam wam, że w tych właśnie górach Zakon miał swoje bazy szkoleniowe. Tu młodzi uczyli się, jak przetrwać w wysokich górach, jak się wspinać, jak nie zamarznąć i jak wytrzymać, kiedy nie ma czym oddychać.

– No i co z tego?

– Ano to, że nikt tak jak słudzy Zakonu tych gór nie poznał. Każda przełęcz, każdy szlak, wszystkie szczyty przecież zostały przez nich zbadane. I to przez całe pokolenia przecież. A że słudzy Zakonu piśmienni byli i raporty składać musieli, to wszystko uwiecznili na papierze.

– I przemytnicy chcieli się dowiedzieć, czy jest jakiś szlak, o którym imperialni nie mają pojęcia?

– W rzeczy samej.

– I dowiedzieli się?

– Takich pytań lepiej nie zadawać, panienko, nawet w żartach. Nawet jeśli się ma karabin i dwa pistolety. Przemytnicy ludzie prości, na żartach się nie znają.

Shen otworzyła oczy. Była cała obolała.

– Nuk, przestań drażnić, proszę.

– Nie no, ja przecież tylko...

– Nie chcemy wiedzieć, co „tylko”. Za to pytanie z innej beczki. Czy przemytnicy natrafiali na ślady tych zakonnych baz?

– Teraz ty się opamiętaj. – Nuk nachyliła się nad Shen. – Jakie ślady? Przecież minęło prawie tysiąc lat.

Brethe zaczęła się śmiać.

– Wbrew pozorom twoja chora koleżanka ma rację. – Mrugnęła do sierżant porozumiewawczo. – A ty nie.

– Są ślady?! – Nuk nie mogła uwierzyć.

– Są, są. – Gospodyni zasepiła się wyraźnie. Wspomnienia, które pojawiły się w jej głowie, chyba nie należały do najprzyjemniejszych. – Pamiętajcie, że w wysokich górach jest wieczna zmarzlina. Tam lód nie ustępuje, a wszystko, co zostawisz, trwa przez wieki. Tam nic nie gnije, nie psuje się, nie niszczy. Pokrywa się szronem i śniegiem, ale wiatr od czasu do czasu odwiewa śnieg. Słońce topi szron. Ale psuć się nic nie zaczyna.

– O czym ty mówisz?

– O ludziach. Tam jest wiele sług Zakonu.

– Bogowie...

– A tak. Trening był morderczy. Wielu zginęło w górach. A przecież zwłok nie znoszono na dół. Co najwyżej ktoś zepchnął do rozpadliny. A lodowiec wędruje. Co rusz wysypuje swoją zawartość. Ale to nie wszystko. Są jeszcze ci ludzie, którzy umarli w niedostępnych miejscach. Do których po śmierci dotrzeć się nie opłacało.

– I co? – Zaniepokojona Sharri aż podskoczyła. Do tej pory nie włączała się do rozmowy. Teraz najwyraźniej poruszył ją zbyt plastyczny opis.

– Przemytnicy opisywali położony wysoko wąwóz, zwany Aleją Trupów. Młodzi mężczyźni leżą tam martwi od wieków, trwają skuleni w

rozpadlinach, pod skalnymi okapami, które kiedyś miały być ich ostatnim schronieniem. Wiszą na linach nad głowami. W hamakach rozpiętych na grani. Gdy powieje odpowiedni wiatr i zaświeci słońce, łód skrzy się na ich otwartych oczach. Wędrowcowi zdaje się, że martwi wodzą za nim wzrokiem.

- Aaa! – Sharri zerwała się na równe nogi. – Ja nie chcę tam iść!
- Cicho. – Nuk machnęła ręką. – Nikt od ciebie tego nie wymaga.
- Ja nie chcę!
- Cicho, głupia!

Brethe uderzyła wierzchem dłoni w drugą dłoń.

– Ciągłe jest tam wiele zakonnych śladów. A ja przypomniałam sobie, gdzie zostawiłam papiery, których szukam!

Wstała rześko i przeszła pod przeciwległą ścianę wielkiej komnaty, wprost do ogromnego stosu papierów.

- No przecież! Musi leżeć przy spisie zakonnych szkół górskich!

Zawzięcie przerzucała rękopisy, nie bacząc, że cały stos może się zawalić. Najwyraźniej miała rękę albo wielkie wyczucie do równowagi konstrukcji. Po dłuższej chwili trzymała już w rękach olbrzymi foliał.

- Jest! Miałam rację.

Wróciła do stołu i położyła zdobycz na samym środku.

– No i teraz będę mogła odpowiedzieć na wasze podstawowe pytanie o Zakon i Góry Bogów. – Oparła łokcie na blacie. – Nie jest to proste, ale postaram się opowiedzieć w przystępnych słowach. – Zerknęła znacząco na Shen, lecz dziewczyna była zbyt słaba, żeby odpowiedzieć na przytyk. – Wiecie, co tą są wyprawy wotywnie?

– Wiemy – odparła Sharri bez zmruczenia powiek. – Wyraz wdzięczności dla Bogów, wyrażany jednak wyłącznie przez ludzi bardzo bogatych. Trzeba mieć naprawdę pojemną kiesę, żeby zapłacić za dowieszenie wotów do stóp gór. Zapłacić za statek, załogę, kapłanów i czarownika. Hu, hu, hu, mało kto jest dziś tak rozrzutny. Ale zdarza się, jeśli we własnym mniemaniu Bogowie komuś bardzo dogodzą.

– Załoga, kapłani i czarownik – podjęła Brethe, powtarzając słowa Sharri. – A czarownik po co, skoro są kapłani?

Sharri wzniosła oczy ku powale i trwała tak dłuższą chwilę.

- Dobre pytanie. Nie wiem.



– No właśnie. Bo dzisiejsze wyprawy wotywnie są tylko ślepym naśladownictwem tych prawdziwych.

– Organizowanych przez Zakon?

– Właśnie. I jak każde bezmyślne naśladownictwo zatraciło swój pierwotny sens. Nie jesteś w stanie odpowiedzieć, po co w takiej wyprawie jest czarownik, ponieważ nie wiesz, co tak naprawdę oznacza słowo „wota”.

– Dar wotywny to dowód wdzięczności, składany przez ludzi dla Bogów za wysłuchanie próśb i modlitw w miejscach szczególnych, jak świątynie, ośrodki pielgrzymek czy miejsca święte u stóp Gór Bogów.

– Otóż to spłaszczona interpretacja. Prawdziwe wota służyły zakonnym czarownikom do łączności z Bogami. Zawsze podczas szczególnych chwil trzymali je na specjalnych trójnogach obok siebie...

– Tak, czytałam o tym.

– To były przedmioty o bardzo skomplikowanej budowie. Ale mniejsza z tym. Po to zakonni czarownicy wozili je do stóp Gór Bogów, żeby tam właśnie, w bliskości Stwórców, nawiązać z nimi łączność i uszczknąć cokolwiek z ich wiedzy. A cała dzisiejsza reszta to po prostu małe, głupie naśladownictwo. Zakonni czarownicy pływają na koniec świata z wotami? To my też będziemy, pomyśleli cywilni. A ponieważ w tym wszystkim zatracił się sens, dzisiaj jest więc to tylko ślepy, bezduszny, powtarzający głupotę mechanizm.

– Niektórzy nazywają to tradycją – mruknęła Nuk.

– Tak.

– No dobrze – włączyła się Shen. Ledwie mogła się skupić. – A po co zakonni czarownicy pływali do podnóża gór?

Brethe dłuższy czas szukała czegoś w leżącej przed nią księdze. Po chwili uśmiechnęła się i odwróciła foliały w ich kierunku, tak żeby mogły widzieć ilustrację zajmującą całą stronę. Przedstawiała grupę ludzi wspinających się na skały, jeden za drugim. Wszyscy byli przywiązani do jednej liny. Każdy z mężczyzn oprócz plecaka miał przywieszzone dziwne przyrządy, w tym na przykład młotki.

– Sztukę wspinaczki Zakon doprowadził do niewyobrażalnych wyżyn. W przenośni i dosłownie.

– Ale ja pytałam o czarowników – przerwała jej Shen.

– Oj, dziecko, dziecko. Za brak zmysłu obserwacji należy ci się nauczycielska chłosta.

Shen zerknęła pytająco na Sharri. Ta jednak poparła gospodynię.

– Patrz uważnie. – Pokazała koleżance palcem. – Dwóch mężczyzn na tej wyprawie ma na głowie czarną opaskę. To oznacza czarownika w misji. Przyznam się, że nigdy nie słyszałam o czarowniku wspinającym się gdziekolwiek. Przecież to za wysoka godność. A tym bardziej o dwóch.

– Racja – zgodziła się Brethe. – Ale jest jeszcze jeden. Niewidoczny tu, na rysunku.

– Mistrz?

– Tak. Czuwa na dole, przy stojaku z wotami.

– I czemu to wszystko ma służyć? – zapytała Shen, lekko już zniecierpliwiona brakiem odpowiedzi na podstawowe pytanie, które wcześniej zadała. – Czego oni tam wszyscy szukają?

– Przejścia przez Góry Bogów. Na drugą stronę.

Właściwie spodziewały się tego. Przecież właśnie o tym mówiły od samego początku. Teraz jednak, kiedy te słowa padły, zaległa cisza. Wiatr wzmógł się chyba. Podmuch szarpnął papierami na wielkim stole. Wszystkie poczuły przejmujący chłód.

– Przez cały czas szukali przejścia – ciągnęła Brethe. – To był imperatyw, z którym nawet nie usiłowali walczyć. Nie szczędzili też ani sił, ani środków, ani ludzi. Nie potrafię nawet szacunkowo obliczyć, ilu ludzi zginęło podczas tych prób.

– A to nie jest przypadkiem niezgodne z wolą samych Bogów? – Sharri ogarnęły wątpliwości.

– Nieważne – powiedziała Nuk. – Ja ich rozumiem. Chodziło o wyzwanie.

– Masz rację – odparła Brethe. – To troszkę przerosło ich kodeks postępowania i rolę, jaką przypisali im Bogowie. Wyzwanie samo w sobie stało się celem. I poświęcili nieprawdopodobnie wręcz środki, żeby ten cel osiągnąć.

– I udało się?

– Jak to sprawdzić? – Brethe uśmiechnęła się tajemniczo. – Ale... posłuchajcie mnie dalej. Zakonnicy dobrze wiedzieli, że gór nie da się sforsować z marszu. Udowodnił to setki lat przed czasami Achai pewien awanturnik ze skłonnością do pojedynków i dalekich podróży. Udowodnił,

że nie tam żadnej klątwy Bogów. Po prostu im wyżej się człowiek wspina, tym jest zimniej i tym mniej jest powietrza. Aż dochodzi się do miejsca, skąd jeśli ma się choć resztkę rozumu i sił, to należy zawrócić. Albo się umiera.

– I co? I tam naprawdę nie ma w ogóle powietrza? – zapytała zaaferowana opowieścią Nuk.

– Tak długie lata sądzono. – Brethe zerknęła na swój foliał. – Zakonni jednak myśleli inaczej. Sprawdzili sami. Okazało się, że awanturnik miał rację. Od pewnej wysokości nikt nie przeżyje. Nie ma żadnych szans. Jednak to wcale nie znaczy, że tam nie ma powietrza.

– A co jest? – Shen poprawiła sobie poduszkę i usiadła wyżej. Ją również fascynowała ta mroczna opowieść.

– Nazywali to resztkami powietrza albo powietrzem resztkowym. Słowo „resztkowe” później zamienili na „rozrzedzone” lub „rozpuszczone”.

– W czym?

– W niczym. Po prostu jest go tam tak mało, że człowiek umiera i już. Nie można tam żyć.

– No i co? No i co? – Shen i Nuk, obie naraz, zadały to samo pytanie.

– A widzicie. Istotnie człowiek tam nie przeżyje. Ale... – Brethe zerknęła na nie z lekką domieszką kpiny. – Ty, zdaje się, mówiłaś, że jesteś córką rybaka. Wychowana nad wielkimi jeziorami, tak?

– Tak.

– No to odpowiedz mi na pytanie: gdybym teraz wrzuciła was obie do wody i trzymała pod powierzchnią na siłę, a jedną z was puściła, dopiero kiedy ta druga umrze. Utopi się. Powiedz: która z was wypłynęłaby na powierzchnię?

– Ja – odparła Shen bez wahania.

– Jak to? Przecież Nuk jest większa, ma większe płuca.

– No to co? Ja od dziecka przy wodzie, nurkowałam już jako bachor.

– No to co? – powtórzyła jak echo Brethe. – Powiedz, dlaczego ty wypłyniesz, a nie Nuk?

– Bo potrafię to robić, jestem wyszkolona, nic mnie nie zaskoczy, woda mnie nie oszołomi, nie spanikuję, a wszystko, co trzeba, zrobię odruchowo, na pamięć.

– No właśnie. Masz rację, dziecko. – Brethe zaczęła się śmiać. – Do identycznych wniosków doszli zakonni. Nikt nie przeżyje ani chwili w

obszarze, gdzie jest tylko powietrze resztkowe – powiedziała, poważniejąc nagle. – Nikt. Poza tym, kto w takich warunkach żyje od dawna.

Shen poruszyła się niespokojnie.

– Jak to rozumieć?

– Widzisz, prawdziwych gór nie zdobywa się szybko, jak ten słynny awanturnik. Góry zdobywa się powoli. A Zakon miał i czas, i pieniądze. Najpierw, po serii doświadczeń, podzielili wysokości Gór Bogów na siedem stref. Siódma jest na plaży, gdzie mając zapasy, można żyć dowolnie długo. A potem następują coraz gorsze warunki, im wyżej, tym krócej da się przeżyć. Aż do strefy zero. Tam umierają wszyscy.

– I co im dał ten podział? – Shen wzruszyła ramionami.

– Ale pod wodą też wszyscy umierają, dziecko. Poza tobą, jak ustaliliśmy.

– Ja mogę przeżyć pod wodą tylko przez krótki czas.

– Tak jak i oni w strefie zero. Śmierć można oszukać, jednak tylko na krótko.

Nuk westchnęła. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś bukłaka. Na szczęście szafy gospodyni oprócz książek zawierały wiele naczyń. Niektóre z nich były nawet po części pełne. Wojsko nauczyło jednak sierżant nie wybrzydzać. Powoli i systematycznie Nuk zajęła się dopijaniem resztek.

– No i w ten sposób zaczęła się historia prób przejścia Gór Bogów. Zakon założył tu swoją bazę, wybudował świątynię, która czerpała coś z Lasu na płaskowyżu Banxi. A w tych górach znajdowały się obozy szkoleniowe. Po wielu próbach i błędach doszli do tego, że zabierali młodzieńców, ba, dzieci nawet, do służby zakonnej i od małego trzymali je w obozach na dużej wysokości. W wiecznym zimnie, w resztkowym powietrzu. Szkolili ich na mnichów, szkolili w przeżyciu w straszliwych warunkach szczytów gór, umacniali w wierze, hartowali. A potem wysyłali na wyprawy, z których generalnie się raczej nie wracało.

– Jak to? Nikt nie wracał?

– No nie przesadzaj. Statek dowoził ich do plaży, gdzie zakładali obóz bazę. Potem w kolejnych strefach zakładali kolejne obozy, coraz mniejsze, i etapami przenosili do nich zapasy. Potem następowała aklimatyzacja różnych ludzi na różnych wysokościach w zależności od zadań, które im przeznaczono. I dopiero potem zaczynała się wyprawa właściwa. Atak na góry.

– Nazywasz to atakiem?

– Tak, zakonnicy stosowali nazewnictwo wojskowe. Formowali oddział wysokościowy, w którego skład wchodziło dwóch młodych czarowników. Mistrz zostawał na dole ze swoimi wotami. Tamci ruszali w górę. Kiedy udało się odnaleźć jakąś możliwość przejścia, czarownicy zostawali w jednym z ostatnich obozów, w strefie drugiej lub pierwszej.

– Byli zbyt cenni?

– Właśnie. A szturm na szczyt, do strefy zero, podejmowało tylko trzech zakonników. I ci właśnie nie wracali.

– Trochę trudno się dziwić. Jeśli im się udało...

– Nie tak hop, hop – Brethe osadziła Shen. – Procedura była jasna. Cała trójka szturmuje szczyt. Jeśli tam dotrą, dwóch z pasami idzie dalej, na drugą stronę. Jeden wraca, żeby zawiadomić zakonnego mistrza o możliwości sukcesu.

– No i?

– Z reguły z tej trójki nikt nie wracał. No... byli przepełnieni wiarą i poczuciem wagi swojej misji. Pewnie szli do końca, do śmierci. Poświęcili się jeden za drugim.

Nuk oderwała się od przeglądania zawartości szaf i otarła usta. Musiała trafić na resztkę jakiegoś wyjątkowo słodkiego, lepiącego się wina.

– Wspomniałaś coś o jakichś pasach? – spytała. – Co to było?

– Pasy z zaszytymi diamentami. Przecież wysłannicy musieli sobie jakoś radzić w świecie po drugiej stronie gór, gdyby tam dotarli.

– I mówisz, że nie wracali?

Brethe uśmiechnęła się do sierżant.

– Słusznie rozumiesz. Nikt przecież nie szedł po zwłoki – westchnęła. – Gdzieś tam, w różnych miejscach strefy zero, niezmierzone bogactwo czeka na swoich odkrywców.

– Jak w Alei Trupów – szepnęła Sharri.

– Tak. Tylko bardziej luksusowo.

Shen potrząsnęła głową. W całej opowieści diamenty obchodziły ją najmniej.

– No a ten trzeci, który miał zejść po tej stronie gór? Żaden nie wrócił?

Brethe zaczęła kartkować wielką księgę przed sobą. Powoli i denerwująco, bo zatrzymywała wzrok na każdej stronie.

– O, proszę. – Stuknęła palcem w jakiś wpis. – Wyprawa numer siedemset dziewięćdziesiąt osiem. Tak, tak, wszystkie sobie skrupulatnie ponumerowali. Ze strefy śmierci wrócił Henne. W gorączce twierdził, że dwóm jego towarzyszom udało się zejść po drugiej stronie. Rozstali się na samym szczycie. Niestety, nie był zbyt przytomny, wkrótce zmarł od gorączki i licznych odmrożeń. – Podniosła głowę. – I co?

Shen prychnęła jak kotka.

– E, nie wiadomo, co majaczył w gorączce.

– Jest trochę takich wpisów i nie wszyscy powracający umierali. Choćby wyprawa cztery tysiące dwieście trzydzieści dwa.

– Co?!

– Numer cię dziwi? Spokojnie. Zakon prowadził eksperymenty z górami na przestrzeni setek lat.

– No dobra. Nawet jeśli iluś tam posłańców wróciło. Rozstali się ze swoimi kolegami na szczycie góry i przynieśli wieść o sukcesie. To jeszcze o niczym nie świadczy.

– Owszem.

– Przecież tamtych dwóch musiało jeszcze zejść po drugiej stronie. Ale już bez pomocy czarowników, bez kolejnych obozów po drodze. I bez znaczących zapasów, bo przecież nie mogli nieść za dużo. No i najważniejsze. Nie wiadomo, co tam po tej drugiej stronie jest! Może też ocean, może pustynia?

– Masz rację. – Spokój Brethe pozostawał niewzruszony. – Zakon jednak często powracał na miejsce swoich starych obozów.

– Po co?

– Poczekaj. Wysyłali statki, zakładali obozy w tych samych miejscach co kiedyś. Nie wiadomo, na co czekali. Ale pozwól, że ci coś jeszcze przeczytam. To już z naszych czasów. Prawie że z naszych czasów...

Znowu zaczęła przewracać karty księgi. Tym razem nie w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca, lecz pergaminowej karty, którą ktoś wsunął pomiędzy strony. Brethe wyjęła ją i rozprostowała na stole.

– To działo się paręset lat po zagładzie Zakonu. Kapitan Qijon popłynął do Gór Bogów z wyprawą wotywną. We współczesnym już tego słowa rozumieniu, czyli powtarzając bezmyślnie i na ślepo dawny mechanizm. Posłańcy jakiejś księżniczki złożyli dziękczynne wota, kapłani rozpoczęli modły, a on poszedł zobaczyć, czy w okolicy nie ma czegoś ciekawego.

- I znalazł?
- Wrak starego zakonnego statku. I to nie na plaży. Głębiej.
- Coś musiało się stać, prawda?
- Tak. Prawdopodobnie statek uległ uszkodzeniu. Podczas burzy czy na jakiejś mieliźnie. Pewnie, choć tu możemy się jedynie domyślać, żeglarze zakonni z trudem dobili do brzegu, wyciągnęli statek, żeby dokonać napraw. Ale stało się coś jeszcze. Qijon znalazł nędzne resztki obozowiska. A nawet groby. Nie wiadomo, co się stało setki lat przed jego przybyciem. Może stracili zapasy? Może nie umieli naprawić statku? Wymarli? Wyginęli? To przecież pustkowie na końcu świata.
- Kapitan znalazł coś jeszcze?
- Brethe skinęła głową.
- Znalazł. Kości człowieka, który umarł tam dużo, dużo później.
- A skąd się wziął?
- Brethe wzruszyła ramionami.
- Być może to on pochował resztki zakonników w grobach? A jak tam dotarł? – Zamyśliła się na chwilę. – Może wrócił z za gór?
- Bogowie... – wyrwało się Sharri. – Miał przy sobie diamenty?!
- Nie. Przy zwłokach leżała duża metalowa kłamra do pasa, na której ktoś wyrył napis: „Misję swoją wypełniliśmy”.



Sprzątaczkki przykładały się do pracy. Obcy lubowali się w skrajnej czystości. Nawet w świątyni nigdy nie było tak czysto jak w tym cholernym korytarzu. Dziewczyny ze ścierkami, posuwające się na kolanach wzdłuż ścian, przykładały się do roboty bez żadnej taryfy ulgowej. Przybysze chcieli mieć czysto, to będą mieli. Każda drobinka kurzu musiała zniknąć. Pracowały uczciwie, zawzięcie, z zaciętością. Wszystkie pochodziły z ubogich dzielnic, a tu... złapały Bogów za stopy! Obcy za sprzątanie płacili więcej, niż dostawał mężczyzna za ciężką, całodzienną pracę przy tłuczeniu kamieni na drogę. A one zarabiałały pieniądze za głupie machanie mokrą szmatą. I nie było zlitowania, sprzątaczkki kontrolowały się wzajemnie, żeby nie podpadła cała grupa. Za to, co tu dostawały, ich rodziny mogły żyć. A

nawet w niektórych głowach zaczęły się pojawiać nieśmiałe jeszcze myśli o jakiejś tam skromnej przyszłości.

Na razie jednak nikt ich nie zamierzał wyrzucać. Polscy żołnierze kręcili głowami w podziwie. Często słyszały uwagi starego, doświadczonego kaprała rzucane do innego podoficera:

– Co tu się wyrabia w tej popierdolonej bazie? Koszary, korytarze i kantynę powinni przecież pucować żołnierze!

– He, he, spróbuj ich zmusić. Każesz coś zrobić szeregowemu, on przychodzi, rzuca jakiś nędzny napiwek, a te baby w pizdu lecą do każdej roboty. A czyszczą tak hardo, jakby chciały te deski w podłodze zheblować do zera.

– No właśnie! No właśnie. I przez takie cuda morale ludzi mi spada. Przecież tu palcem wystarczy skinąć i już ktoś zrobi za ciebie.

– Ta, w tej pieprzonej bazie wszystko jest na głowie. A tutejszych tu więcej niż naszych.

– Tańsi niż maszyny...

Dziewczyny nie rozumiały, o czym mówią tamci. Bainu rozumiała. Uczyła się języka przybyszów bardzo intensywnie. I zawsze też wybierała miejsce obok kantyny i połączonego z nią baru, gdzie Polacy robili interesy z miejscowymi. Mogła wybrać takie stanowisko pracy, jakie chciała. Pozostałe sprzątaczkę bały się Bainu, po tym jak pewien rosły mężczyzna pracujący przy budowie płyty lotniska na jej zawołanie podszedł i dał w pysk tej, która miała jakieś wątpliwości. Od tej chwili dziewczyny tolerowały jej zachcianki i nie wnikały, czy tamten robotnik to jej brat, ojciec, czy łączy ich coś zupełnie innego.

Tym razem Bainu pucowała posadzkę tuż przy drzwiach do baru. Wiedziała, że dzisiaj stanie się coś ważnego. Dotarły do niej pogłoski o zamieszczeniu przy bramie. Otóż miejscowi chcieli wnieść na teren bazy kilka skrzyń. Nie za wielkich. Ale nie zgadzali się, żeby je otworzyć na stanowisku kontrolnym. I to na bramie, gdzie sprawdzano dosłownie wszystko. Gdzie przeprowadzano rewizje osobiste, a każdy wnoszony czy wynoszony przedmiot był oglądany i badany wiele razy. Coś niesłychanego. Sprawa oparła się nawet o szarżę wyższe – zainteresowali się nią sierżanci. Chłopcy od skrzyń jednak musieli wiedzieć, co robią, bo nagle różni ludzie zaczęli biegać w różne strony, trzymając w rękach butelki wódki. I to nie zwykłe, okrągłe, jakie Bainu już знаła. Dziś nosili specjalne,



graniaste, z kolorowymi nalepkami, albo jakieś takie pękate, niskie, z nieprzezroczystego szkła. Najwyraźniej zmieniały one właścicieli.

Bainu czekała cierpliwie, pucując ciągle tę samą deskę, jak najbliżej drzwi. I nie zawiodła się. To Chen kroczył na czele tragarzy dźwigających skrzynie, poprzedzany przez rosłego, bardzo wysokiego Polaka.

Bainu nie dość, że dzięki nauce rozumiała po polsku, to jeszcze, a to już ewenement, potrafiła czytać po polsku i rozpoznawać wojskowe stopnie oraz odznaki. Miała też dobry wzrok i dlatego błyskawicznie dowiedziała się, że prowadzącym orszak jest starszy sierżant szef o nazwisku Lewandowski.

Mężczyźni weszli do pustego o tej porze baru, a za nimi przepychali się tragarze. Po czterech na każdą skrzynię. Nieźle. Cóż może nieść aż czterech facetów na jedną nie za wielką skrzynkę? Ołów? Nie, raczej metal o bardzo podobnym ciężarze, a jednak absolutnie różny w skali pożądania. Ostatni ze sług niósł paczkę owiniętą w papier. Dziwne. Bainu nie ośmieliłaby się ani wobec Chena, ani tym bardziej Polaka. Ale ten? Oceniała sytuację błyskawicznie i kiedy mężczyzna zbliżał się do drzwi, podstawiła mu pod nogę kubek. Tak jak przewidywała, uniknął kopnięcia w naczynie, ale zrobił za długi krok, zatoczył się i szukając podparcia przed upadkiem, wypuścił pakunek z ręki.

– Uważaj, krówsko! – ryknął.

– Wybacz, panie! Wybacz, błagam cię! – Bainu błyskawicznie znalazła się przy pakunku, podniosła go i udając, że trzęsą jej się ręce, bezczelnie rozpakowała. Sukienka? Zaraz, coś tu jest narysowane.

– Patrz, gdzie szmatą machasz!

– Ja przepraszam! Ja bardzo przepraszam, wielki panie! – Gorączkowo pakowała zwój półprzezroczystego materiału z powrotem w papier. Opadła na kolana, odrywając kawałek papieru lewą dłonią, i posłusznie oddała mu pakunek. – Wybaczcie, panie!

– Krowa!

Mężczyzna wziął paczkę i ruszył za pozostałymi do baru, zamykając drzwi. Dziewczyna trwała cierpliwie na swoim posterunku. Inne sprzątaczkę nie zwracały na nią uwagi. A Bainu nie myliła się. Nie będą przecież prości tragarze uczestniczyć w rozmowach. Po chwili, zgodnie z przewidywaniami, zaczęli wychodzić. Bainu zmięła trzymany w dłoni papier w ścisłą kulkę i gdy przechodził ostatni, położyła ukradkiem tuż przy

progu. Oczywiście drzwi zostały zamknięte. Dzięki kulce papieru między progiem a framugą zamek jednak nie zaskoczył. Skrzydło odstawało, pozostawiając malutką szparę. I przy niej właśnie dziewczyna obrała stanowisko swojej dalszej pracy.

– Fortuna – słyszała prawie na granicy zrozumienia słów. – Fortuna, wielki panie! – to był głos Chena.

– Tyle razy ci mówiłem, żebyś nie zwracał się do mnie „wielki panie”!

– Wybacz, panie.

– I „panie” też nie! Do mnie się mówi „panie sierżancie szefie Lewandowski”. Zapamiętaj to w końcu.

– Tak. Zapamiętam.

Rozległ się trzask podważanego łomem wieka skrzyni. Jakiś szelest, a potem szczeł metalu.

– Fortuna! Mówiłem.

– Dobrze się spisałeś, mały gnojku. Dobrze! – głos Lewandowskiego był wyraźnie podniecony. – Po opłaceniu wszystkich, co trzeba, zostanie nam tyle, że... O kurwa! Będziemy bogaci.

– Już jesteśmy, panie. To znaczy panie sierżancie szefie!

– To jeszcze nic, to jeszcze nic. – Ktoś głośno zacierał ręce. – Zobaczysz, jakie jeszcze będziemy robić interesy, Chen, ty małpo. Będziesz bogaty jak Nabuchozodonor!

– Jak kto?

– Nabusronokozor! A, w dupę! Nigdy nie miałem pamięci do historii i nazwisk. Do interesów tylko głowę mam, a ze szkoły to jedynie dodawanie dobrze zapamiętałem. – Rozległ się śmiech sierżanta. – Dobrze się spisałeś, mała szujo! O! Widzisz? Do ludzi też nosa mam. Wiedziałem, że dasz radę.

– Do usług, wielki panie... e... sierżancie szefie!

– To co? Może kawki se zaparzymy? Na służbie wódy nie da rady.

– Z wielką przyjemnością, panie sierżancie szefie!

Obaj ryknęli śmiechem tak gwałtownym, jakby ktoś opowiedział świetny dowcip. Po chwili rozległ się syk ogromnego ekspresu na barze i brzęk podstawianych filiżanek.

– A jak tam inne nasze sprawy? Te dla panów przewąchiwalskich, którzy tu mi dupę kryją?

– Oj, mam dla nich dobre wieści. Będą zadowoleni i dalej będą kryć, za przeproszeniem, dupę pana sierżanta szefa.

Rozległ się szelest odwijanego papieru. Obaj siedzieli teraz przy szynkwasiu i dziewczyna słyszała dużo lepiej.

– No przecież to zwykła kiecka! – zawołał nagle Lewandowski.

– Nie zwykła – odparł Chen. – Zdarta z kurwy, która panów oficerów marynarki obsługiwała.

– I co ja mam z nią zrobić? Nałożyć czy obwąchać?

– O, tu jest rysunek.

– Miałeś się dowiedzieć, po co marynarce wojennej tatarski zwiad w Negger Bank.

– No i się dowiedziałem. Tutaj jest im po nic. Niech se żołnierze poszaleją po nudnej służbie w Sait.

– I wiesz, dokąd ich skierują?

– Wiem.

Sierzant odsunął od siebie filizankę. Słyszała to wyraźnie.

– No to chodźmy pogadać gdzie indziej. Gdzie bezpieczniej.

– A ja niczego nie będę gadał. Wszystko pokażę.

Znowu zaszeleścił papier. Chen najwyraźniej rozwijał coś wielkiego. I to bardzo, bo sierżant, jak słyszała, zaczął odsuwać naczynia.

– Ten Tatar ze zwiadu ciągle zasypywał komandora z marynarki pytaniami. Nie wiem, o czym rozmawiali, ale w pewnej chwili oficer kazał się wypiąć kurwie i coś jej na... na plecach narysował. To jest właśnie ta sukienka. A to rysunek na niej.

– No i co to niby jest za zawijas?

– Fragment mapy.

Znowu intensywnie szeleścił papier.

– Długo szukałem, bo nie miałem pojęcia, gdzie zacząć. Ale w końcu znalazłem na naszej mapie. O! Ten fragment jest tutaj!

– Ożeż, kurde balans! – głos Lewandowskiego wyrażał ewidentnie wielki podziw. – Chłopcy z wywiadu będą wniebowzięci.

– No, ładnie maluje ten oficer.

– On z marynarki. A ich tam wszystkich nawigacji uczą. Ale ten rzeczywiście ma talent, linia brzegu idealnie się zgadza.

Dziewczynę dobiegł inny hałas. Mężczyźni prawdopodobnie trzasnęli się dłońmi.

– No to możemy wracać do interesów. Pańszczyznę odrobiliśmy.

Bainu delikatnie zabrała kulkę papieru blokującą skrzydło i ostrożnie odsunęła się od drzwi. Wykręciła ścierkę, podniosła się i wzięła kubek. Poszła niby to zmienić wodę. Przy ujęciu skręciła i zamiast skierować się do koryta, poszła w stronę wartowni przy bramie. Do niej samej oczywiście nie miała wstępu. Ale tuż przed nią znajdował się przecież budynek przepustek, gdzie kręciło się zawsze pełno miejscowych, którzy chcieli przedłużenia karty wstępu do enklawy złotem płynącej. Tu każdy znikał w tłumie.

Bainu nie zamierzała jednak ustawiać się w którejś z sążnistych kolejek. Weszła do budynku, ale tutaj też nie zamierzała się zatrzymać przy żadnym z licznych kantorków ani żadnej z lad, przy których obsługiwano klientów. Poszła wprost do pokoju majstra rozprawdzającego.

– Witaj.

Starszy już, doświadczony w organizacji pracy na wielu budowach mężczyzna podniósł wzrok.

– Miło cię widzieć. Co tam?

– Powtórz dokładnie tak, jak mówię: Chen pracuje dla sierżanta szefa z logistyki Lewandowskiego. To jest mały cwaniaczek, nikt, ale szybko dorabia się fortuny równej niejednemu księciu. Lewandowski pracuje dla wywiadu wojsk lądowych. A wywiad w tej chwili bardzo interesuje się, gdzie marynarka wojenna chce wysłać tatarski zwiad. Chen w burdelu zdobył sukienkę, na której polski oficer narysował fragment mapy.

Wzięła z biurka majstra kartę papieru i gęsie pióro. Umoczyła w atramencie i zaczęła rysować, przygryzając język.

– Skąd wiesz, że to było w burdelu?

– Bo rozmawiali o kurwach, a poza tym widziałam sukienkę. Zupełnie przezroczysta, a w takiej na ulicy nie pochodzisz.

Dziewczyna miała doskonałą pamięć do szczegółów. Rysunek powstał błyskawicznie.

– O, to jest ten fragment, który trzeba porównać z mapami wybrzeży i odnaleźć właściwe miejsce. – Otworzyła lewą dłoń, w której ciągle trzymała kulkę z papieru. Teraz ją rozprostowała. – A to urwałam z opakowania sukienki. Zwróć uwagę na jakość.

– U, takie coś... To któryś z najdroższych burdeli. – Podniósł skrawek do oczu. – No nic. Dowiemy się który i dowiemy się, o czym mówili.

– Uważajcie, bo kurwy nie puszczały farby zazwyczaj.

– Nam powiedzą. – Uśmiechnął się w odpowiedzi. – My nie obcy i wiemy, jak pytać.

– To dobrze. Daj mi przepustkę do wywiadu. Muszę sprawdzić, dla kogo konkretnie pracuje Lewandowski.

– Ojjoj. To za wysokie progi.

– Nie wygłupiaj się. Nie do sztabu przecież. Żołnierze mają swoje kwatery, ktoś im musi prac, ktoś prasować i odnosić bieliznę, i ktoś im musi dupy dawać. I tym razem to będę ja. Daj mi kwit na prasowaczkę.

Majster wziął gotowy formularz, wpisał imię Bainu i przystawił specjalną pieczęć.

– Ty patrz – powiedział z wyraźnym podziwem, trzymając papier pod światło. – Tu jest nawet specjalny znak, niewidoczny normalnie! No nie do podrobienia! Ci przybysze są po prostu genialni.

Doceniła dowcip szerokim uśmiechem.

– Są genialni. Kwit nie do podrobienia – potwierdziła. – I dlatego musieliśmy cię tu wsadzić.



– Ale karabin proszę zostawić w szatni!

Pielęgniarka, która wyłoniła się zza lady przy wejściu, zasłoniła sobą przejście na korytarz. Jak każda Polka była wysoka w porównaniu z miejscowymi, postawna i pewna siebie. Biedną Aie przerastała o półtorej głowy, patrzyła na nią z góry i dosłownie miażdżyła powagą swojej funkcji.

– Proszę pani! Proszę zostawić karabin! – wycodziła rozkazującym, władczym tonem. – Na teren szpitala nie wolno wnosić żadnej broni!

Aie spojrzała na Randa, ale ten wzruszył ramionami. Wolał się ukryć za wielkim bukietem kwiatów, który wziął ze sobą, kierując się radą Tomaszewskiego. Chcąc nie chcąc, dziewczyna położyła więc posłusznie swoją broń na ladzie kantoru. Spowodowała tym jednak nowy wybuch złości.

– No gdzie?! – wrzasnęła pielęgniarka. – Ja tu co najwyżej kłuję ludzi igłą. Na razie nie kazano mi strzelać do pacjentów, choć na widok takich jak pani to i ochota przychodzi.

Biedna Aie nie wiedziała, gdzie jest szatnia. Pielęgniarka, która zdążyła już wrócić na swoje stanowisko w kantorku, co chwila opuszczała głowę, patrząc na jakieś papiery, i trudno było obserwować jej usta.

– Czemu pani się tak na mnie gapi?

Zachowanie dziewczyny nie uszło uwagi wysokiej kobiety w białym kitlu. Aie pokazała rękami znak zaprzeczenia przy ustach i przy uszach. Polka zrozumiała i chyba zrobiło jej się głupio.

– Ach, pani do laryngologa – zinterpretowała to po swojemu, ale głos miała już dużo łagodniejszy. – No ale do lekarza z karabinem? Aż tak dojadła pani służba zdrowia?

Po chwili w ogóle przeszła już na ton żartobliwy. Powiedziała, że zaopiekuje się bronią, a goście mogą się nie obawiać, bo tu są pod ochroną wojska polskiego i w związku z tym ona rozumie, że pacjenci wnoszą broń, bojąc się tej ochrony bardziej niż wroga. Wypełniła jakiś formularz i dała Aie kwitek na czerwonym papierze. Zaopiekowała się karabinem i wskazała im kierunek.

Dzięki temu zamieszaniu Rand na szczęście nie musiał niczego tłumaczyć. A jak poruszać się po szpitalu, wyjaśnił im wcześniej Tomaszewski. Zresztą budynek nie był duży. Teren bazy ciągle nie sprzyjał działalności leczniczej i ciężej chorych transportowano na wielkie okręty. Tutaj właściwie zajmowano się przypadkami nagłymi albo takimi, które można było opanować mało inwazyjnymi środkami. Przypadek Kai właśnie spełniał i jedno, i drugie kryterium.

Samą czarownicę spotkali na małym patio wypełnionym zielenią. Siedziała, a właściwie wpełzała na dziwnej konstrukcji z drewna i płótna. Na ich widok odrzuciła czytana właśnie książkę i zerwała się błyskawicznie.

– Rand, Aie, świetnie, że przyszliście. Zaraz zwariuję tu z nudów.

Rand obyczajem obcych wręczył jej przepyszny bukiet kwiatów. Rada Tomaszewskiego była dobra! Większej radości nie mógł dziewczynie sprawić. Pocałowali się grzecznościowo.

– Przyszedłem tutaj przede wszystkim dla twoich pięknych, przepastnych oczu – powiedział.

Kai rozplynęła się w uśmiechu, a na twarzy dało się zauważyć lekki rumieniec. Stojąca z boku Aie dobrze widziała, jakie jej szef robi wrażenie

na kobietach. Ale też nigdy nie mogła się nadziwić, że one dają się nabierać na tak banalne, tanie komplementy rzucone ot, tak sobie, z rękawa.

– Czy mnie wzrok myli? – kontynuował Rand. – Przecież ty bardzo schudłaś!

Kai zrobiło się miękko w nogach, a obserwująca to beznamiętnie Aie uśmiechnęła się kpiąco. No tak, powiedz babie, że jest chuda, a będzie twoja po następnym pustym komplementcie. Lubiła obserwować Randa w takich sytuacjach. Fachowiec przy pracy. Ale najśmieszniejsze, że on nawet nie musiał niczego wymyślać. Każdej mówił to samo. A one wymiękały jedna za drugą.

Teraz Rand zatroskał się zdrowiem czarownicy. Tak dla picu, bo wiedział od kolegi, że wszystko jest w idealnym porządku, ale musiał dać jej się nagadać na życiowo ważne tematy, sam przybierając pozę przejętego słuchacza.

Wystarczyło jednak odczekać trochę, przetrwać sążniste wypytywania o stan zdrowia (nic się przecież nie działo, gołym okiem widać było, że z czarownicą wszystko w porządku), by Rand przeszedł do rzeczy.

– Czy masz jakiś kontakt z Shen? – zapytał.

Kai spłoszona spojrzała na niego, jakby zobaczyła ducha w biały dzień. Nie spodziewał się takiej reakcji.

– Lekarze ci o tym mówili? – w jej głosie zabrzmiało coś jakby strach. A przynajmniej jego ulotny cień.

– Mówili o czym? – dał się zaskoczyć. – Zaraz. To lekarze wiedzą coś o Shen?

– Myślałam, że wiesz o koszmarach. – Czarownica wyraźnie się uspokoila. – Nawiedzają mnie ostatnio.

– A co mają wspólnego z naszą kapral?

– Skoro nie wiesz, to o co pytales?

Roześmiał się.

– Tak, tak. Wynika, że myślimy o tym samym, ale chodzi o dwie różne sprawy. Kto o swojej powie pierwszy?

– Ty mów.

Rand rozejrzał się, jakby sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje. Głupi odruch. Gdyby ktoś taki był, to przecież zadbałby o to, żeby nie zwracać uwagi.

– Polacy wiedzą, że działania mojej organizacji przynoszą skutek. Większy od oczekiwanego.

– O czym mówisz?

– O plotkach.

– A konkretnie?

– No o Shen przecież. Jej imię powoli staje się legendarne. Nie dość tego: ta legenda zaczyna żyć własnym życiem.

– I Polacy zwracają uwagę na takie rzeczy? Interesuje ich głos ludu?

– Interesują ich wszystkie procesy społeczne. Wszystko, co ma związek z władzami, z którymi łączy ich traktat. A jak władza, która im gwarantuje to, czego chcą, zacznie się chwiać, to chcą mieć swój palec wetknięty w to, co wypłynie na wierzch po zmianie.

– Niby zrozumiałe. Jednak trzymanie palców wetkniętych wszędzie sprawia, że dłoń rozcapierzona i niczego konkretnego nie chwyci. W końcu zawiedzie ich ta metoda.

– Jak dotąd nie zawodzi. Wywołali zamieszki w Negger Bank podczas negocjacji i co? Mają traktat na takich warunkach, jak chcieli? Mają. Zero dyskusji było z nimi, gdy porządek zaczął się chwiać.

– A o co chodzi tym razem? Nie uwierzę, że o same legendy Shen bohaterki narodowej.

– Raczej wyzwolicielki ludu. – Rand uśmiechnął się ciepło. – Oni już wiedzą, że do obozu w górach, gdzie zakamuflował się oddział Shen, ciągną ochotnicy z całego państwa.

– Co?! Skoro władza nie ma pojęcia, gdzie są buntownicy i dezercerzy, to prosty lud potrafi się dowiedzieć?

– A właśnie. Lud potrafi, choć nie jest to jeszcze ruszenie wszystkich uciskanych.

Kai wzruszyła ramionami.

– Zaraz wśród ochotników znajdzie się jakiś szpieg czy prowokator i... – Przeciągnęła sobie palcem po szyi.

– Dlatego też Polacy wiedzą, że trzeba się spieszyć. Wiedzą też, że Kadir na głuchej prowincji ma ogromne problemy z wyprodukowaniem amunicji do swojej broni. Nie może też wykonać części zamiennych.

– Więc?

– Sami mu wyprodukowali. Podobno skrzynie w wielkiej ilości czekają w magazynie na jakimś okręcie na transport i w każdej chwili mogą zostać



wyeksponowane lub nawet zrzucone z powietrza.

– O Bogowie. Zrobią to?

Rand roześmiał się głośno.

– A po co? Są gotowi na każdą ewentualność, ale przecież skoro nic się nie dzieje, to nie będą jawnie uzbrajać rebeliantów. A jak amunicja zleci Kadirowi na łeb z nieba, to przecież każdy będzie wiedział, kto to sprawił.

– Rozumiem. A czas, który pozostał oddziałowi Shen do wykrycia przez służby specjalne, jest z każdą chwilą coraz mniejszy.

– Właśnie. Dlatego chcę się z nią szybko skontaktować.

Przerwało im głośne trzaśnięcie drzwiami.

– A! Tu pani jest!

Lekarz w białym kitlu podszedł do Aie i oskarżycielsko wskazał na czerwony kwitek, który ciągle trzymała w dłoni.

– Gdzie się pani podziewa? Pielęgniarka mnie uprzedziła, że skierowała do mnie pacjenta, ja czekam. Czekam, a pani się po ogrodzie kręci.

Wziął kwitek do ręki, sprawdził numer i schował do własnej kieszeni.

– Dobrze, że mnie uprzedziła, że pani jakaś taka niekumata i w dodatku głuchoniema, to się tu pani z nikim nie dogada. Dobrze, że szukać zacząłem. – Nachylił się nad Aie, oczywiście górował nad nią wzrostem i zapytał troskliwie: – Czy pani rozumie, co do pani mówię?

Aie odruchowo przytaknęła.

– To proszę za mną. Zaraz panią zbadamy.

Dziewczyna rozejrzała się w poszukiwaniu pomocy i tu do akcji wkroczyła Kai.

– Idź, idź, to nie boli.

Aie chciała napisać coś na swojej tabliczce przymocowanej do ramienia, ale doktor chwycił ją za dłoń i zaczął prowadzić za sobą.

– Proszę się nie bać. Jest pani dorosłą dziewczynką.

– Idź, idź – dogadywała Kai. – Skorzystaj z okazji.

Kiedy zdezorientowana dziewczyna dała się posłusznie odprowadzić, czarownica odwróciła się do Randa.

– Po co mi o tym mówisz? O tej amunicji dla Kadira?

Wzruszył ramionami.

– Rosenblum chciał, żebym ja wiedział. Ale przypuszczam, że nie chodzi o mnie, tylko o przekazanie wiadomości do Shen. Żeby wiedziała, na czym w razie czego stoi.

– Mógłbyś jaśniej?

– To po prostu bardzo nieoficjalny sygnał: jak będziesz grzeczna, to pomożemy.

– Teraz rozumiem twój mętny, męski wywód. Jeśli dziewczyna będzie robiła to, co jej każą, to oni łaskawie wyciągną ją z kolejnej opresji, tak?

– Tak. Tyle że oni tych słów nie mogą użyć.

Kai zbliżyła nos do bukietu kwiatów. Przywieziony z gór zwyczaj bardzo jej się podobał. Mokre kwiaty pachniały cudownie. Z trudem oderwała od nich twarz.

– Wiem, gdzie jest Shen – powiedziała. – Mniej więcej przynajmniej.

Spojrzał na nią trochę zaskoczony. Nie spodziewał się, że powie to tak zdecydowanie. Miał mgliste pojęcie o błyskach, więzi i różnych tam komplikacjach babskich czarów. Spodziewał się teraz serii kpin w rodzaju: „To co, wywiad nie wie, gdzie są jego ludzie, i musi pytać czarownicę?”. Ale nie. Darowała mu. Chyba dobrze wiedziała, że Shen po ucieczce z miejsca akcji na bazę służb specjalnych, którą umożliwił jej „Dragon”, musiała improwizować i zaszyć się w głuszy bez możliwości nawiązania szybkiego kontaktu.

– Chętnie ci pomogę – mruknęła Kai. – A w zamian prosiłabym cię o małą przysługę.

– Jaką?

– Chodzi o twoją opinię na temat pewnej nurtującej mnie ostatnio sprawy. – Uśmiechnęła się. – Ale o tym później.

Skinął głową.

– Skąd możesz mieć pojęcie, gdzie jest Shen? – przeszedł do zasadniczego celu swojej wizyty.

– To ten przeklęty amulet. Shen jest znowu przy Wielkim Lesie i tam znowu amulet zdobywa jakąś nieprawdopodobną moc. Jakieś nieprzewidywalne, dziwne wzmocnienie siły.

– I masz z nią łączność?

Roześmiała się.

– No, nie tak jak Polacy za pomocą tych swoich trzeszczących radiostacji. Mimo trzasków oni jednak przekazują konkretne słowa i zdania. Ja odbieram emocje.

Babska magia! Mógł się spodziewać. Co kobieta przekazuje, mówiąc bez przerwy przez pół dnia? Nic konkretnego. Przekazuje emocje.

– Męczą mnie koszmary – ciągnęła czarownica. – Czuję, że ona chce mi coś przekazać. Sama czuje się źle. Jest chora. Jest gdzieś w górach i bez przerwy rozmawiają o zdobywaniu szczytów, wspinaczkach. To dla Shen jest bardzo ważne. I bardzo chce mi to przekazać.

Rand skrzywił się lekko.

– A coś bliżej?

– Jest w górach, niedaleko ciągnie się droga do Banxi, niedaleko też jest szlak przemytniczy. Sama Shen jest w świątyni Zakonu na szczycie góry. Wokoło jest mnóstwo ksiązek.

To już było coś. Na podstawie tych danych jego służby mogłyby się już podjąć próby poszukiwań.

– A tak mniej więcej co dziewczyna chce ci przekazać? Jakiego rodzaju emocje?

Kai wzruszyła ramionami.

– Bardzo silne! – odrzekła z sarkazmem. – Ona też ma koszmary. W snach pojawiają się natrętne myśli.

– O czym?

– Góry Bogów, Zakon, wspinaczka.

Przymknął oczy. O Bogowie... Jak połączyć te trzy rzeczy? Nie chciał myśleć o konsekwencjach. Był jednak wrednie trzeźwy w swoich przemyśleniach. Musiał się jak najszybciej spotkać z Tomaszewskim.

Ponure rozmyślenia przerwał ostry, ale stłumiony gwizd na palcach.

– Co to? – Kai rozejrzała się.

– To Aie – mruknął. – Pewnie nie może się dogadać z lekarzem.

– To chodźmy – powiedziała czarownica. – Wiem, gdzie jest gabinet laryngologa.

Poprowadziła go do ocienionego specjalnym daszkiem wyjścia z patio. Tuż obok znajdował się główny korytarz z bocznymi odgałęzieniami. Skręcili w jedno z nich. Kai energicznie zapukała i otworzyła drzwi.

Gabinet nie był duży, ale jak wszystkie pomieszczenia lekarzy bił w oczy umeblowaniem, którego jedynym celem była łatwość wprowadzania zasad aseptyki. Aż lśniło, a jałowość powietrza w środku sprawiała nieprzyjemne wrażenie. Aie siedziała na białym fotelu przed lekarzem, który zbierał właśnie rozłożone na podręcznym stoliku narzędzia.

*On coś mówi, a ja niczego nie rozumiem* – napisała Aie na swojej tabliczce.

Rand przytaknął.

– Kai, przetłumacz wszystko, proszę.

– Jasne. Czy skończył pan już badanie, panie doktorze?

Lekarz zdjął z czoła opaskę, na której trzymało się wklęsłe lustro z dziurką pośrodku.

– Tak, proszę pani. No i nie wiem, jak jej to powiedzieć.

– Co powiedzieć?

– Czy ona długo się z tym męczy? Bo nie jest głuchoniema od dziecka, prawda?

– Odpowiedź na oba pytania brzmi: tak.

– No właśnie. No właśnie... – Lekarz westchnął ciężko. – Traciła słuch i mowę stopniowo w wyniku silnej infekcji bakteryjnej. Zasadniczo powinna umrzeć, no ale mamy do czynienia z wyjątkowo mocnym organizmem. Straty ograniczyły się jedynie do mowy i słuchu.

– Mogła stracić coś jeszcze?

– Życie. – Lekarz uśmiechnął się smutno. – Bardzo cierpi, choć nie chce się przyznać.

– Cierpi? – Kai spojrzała zaskoczona. – Czemu?

– Ta infekcja ciągle tam jest. Jest i rozwija się powoli. To naprawdę dzielna dziewczyna. Jak widzę, nie skarży się za bardzo, a przez cały czas odczuwa silne bóle, nasilające się przy zmianach pogody, przy zmianie trybu życia...

Rand spojrzał na Aie zdziwiony. Nigdy nie słyszał od niej ani cienia skargi. Ani razu. A to się nasila przy zmianie trybu życia? Co w takim razie musiała czuć Aie w wilgotnym więzieniu? Pokręcił głową w niemym podziwieniu.

– Czy może pan jakoś pomóc w tych bólach?

– No właśnie. – Lekarz znowu westchnął. – I tego nie mogę jej wytłumaczyć.

Wstał i podszedł do regału pod ścianą. Otworzył jedną z opisanych kaligraficznym pismem szuflad, grzebał w niej przez chwilę, a potem wyjął ze środka srebrny listek z przyklejonymi do niego pastylkami.

– Mamy tyle nowoczesnych leków – powiedział. – Widzieli państwo kiedyś skutki ich użycia?

– Ja wiele słyszałem – powiedział Rand.

– No właśnie. Pacjentkę dręczy śmiertelna choroba. Bardzo poważna i dlatego miejscowi lekarze byli bezradni. – Podał Aie listek z pastylkami. – Niech pani bierze jedną rano i jedną wieczorem – powiedział. – Dla nas jednak to tylko banalna infekcja. Niepotrzebnie się pani męczyła przez te lata.

Aie patrzyła na niego pytająco. Trwała nieruchomo jak posąg. Potem przeniosła niezbyt przytomny wzrok na Randa. Ten zapytał natychmiast:

– Co to znaczy, panie doktorze?

– Lekarstwo zlikwiduje infekcję całkowicie, wyjaławiając organizm do zera. Trzeba będzie jeść kiszoną kapustę, pić zsiadłe mleko. Ale wzrok i słuch, niestety... – zawiesił głos na moment. – Będą wracać dopiero stopniowo. W takim samym mniej więcej czasie, jak kiedyś zanikały.

Aie chyba zrozumiała. Nagle opuściła wzrok. Siedziała z pustym wyrazem twarzy, wpatrując się w małe listki z tabletkami.

– Dajmy jej oswoić się z myślami – powiedział cicho lekarz i wskazał im drogę na korytarz. Już na zewnątrz dodał jeszcze: – Niech posiedzi sama i pobędzie ze sobą. Zaczekajcie państwo na nią.

Kai skinęła głową. Doceniała to, że był delikatny. Zerknęła na Randa, kiedy tamten zamknął drzwi.

– No coś takiego – szepnęła, jakby bojąc się zburzyć czyjś spokój. – Kto by się mógł spodziewać?

– Tak. Zaskakują nas ci ludzie. – Rand uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. – Kilkadziesiąt małych kawałeczków czegoś łykane dzień po dniu i zmienione całe życie?

– No – zgodziła się natychmiast. – To zależy od takiego małego gówna?

Czarownica potrząsała głową.

– Dobra, chodźmy stąd, bo zaraz zaczną się na nas gapić. – Zerknęła na pielęgniarki przy kantorku rozprowadzania. – Chcesz się czegoś napić?

– Chętnie. – W szpitalu było rzeczywiście gorąco, ale nie myślał o tym. Zmusił się, żeby oderwać umysł od sprawy Aie. Sam przecież nic tu nie pomoże. – Miałem ci w czymś pomóc – zmienił temat, idąc za czarownicą. – I wygłosić jakąś opinię.

– Ach, tak... – Zatrzymała się. Ona też musiała dopiero powrócić myślami do poprzedniego wątku. – Chciałam cię zapytać o pewną prywatną sprawę.

– No to jestem najlepszym adresatem takich pytań. Wal śmiało.

– Ale będzie naprawdę szczerze? – Spojrzała na Randa taksująco.

– We mnie wpada jak w studnię. Bez dna.

Przygryzła wargi. Nie wahała się długo.

– Powiedz, co stoi na przeszkodzie.... nie. Złe słowo. Powiedz mi, z czym konkuruję o Krzyśka?

Zrozumiał w jednej chwili, o co pytała. To były rejony, w których poruszał się jak ryba w wodzie.

– Nie z czym, a z kim – odparł.

Aż podskoczyła.

– Z kim?

– Z panią inżynier Wyszyńską.

Zapowietrzyła się.

– No nie. Z tą wysoką, chudą jak patyk, zajadłą kurwą?!

Rand z trudem zapanował nad twarzą, żeby nie zmienić jej wyrazu. Biedne dziecko.

– Krzysiek nie może się mentalnie zdecydować, co mu pasuje. Czy takie śliczne, ciepłe coś do kochania, głaskania, okazywania miłości jak ty. Czy też kobieta wojownik, wredna, inteligentna suka, silna, wygadana, która zawsze musi postawić na swoim, ma własne zdanie i potrafi zrealizować własne decyzje.

Kai patrzyła na niego, czując, jak pod powiekami zbiera się coś pięknego i gorącego.

– Kocha ją?

– Nie – zaprzeczył stanowczo Rand. – On się po prostu nie może zdecydować. Czy chce o kogoś dbać i kochać, czy raczej walczyć jak z równym partnerem. Typowo męskie wahanie. Patrząc na niego, wiem doskonale, że przybysze zza gór to nie żadne inne cudaki. Oni są dokładnie tacy sami jak my.

Chciała się twardo skrzywić, lecz wyszedł jej jedynie jakiś niewielki, smutny uśmiech. Rand objął dziewczynę ramieniem i przyciągnął do siebie. Jak brat siostrę. Jak przyjaciel przyjaciółkę.

– Co powinnam zrobić? – prawie chlipnęła.

– Doświadczenie mnie uczy, że najlepiej nic.

– Proszę?

– Jest takie stare przysłowie. „Jeśli masz wielu wrogów, uspokój się. Usiądź na brzegu rzeki i czekaj cierpliwie, aż ich ciała spłyną z nurtem”. I

uwierz mi. Wiele razy sprawdziłem: to działa.

– Chciałabym.

– Zaufaj. Tak samo mówi mi moja intuicja. Na razie nie rób nic. Czas działa na twoją korzyść.





## Rozdział 6



Adiutant wprowadził ich do dużej kajuty dowodzenia. Obaj, Tomaszewski i Rosenblum, wymienili się spojrzeniami. Metalowe ściany w naturalnym kolorze stali, z ogromnymi główkami nitów na łączeniach kontrastowały ze złotym ciepłem mosiężnych bulajów. Stalowa lampa pod sufitem, metalowe, gęsto onitowane wręgi zdawały się przenosić ich do innej epoki. orp „Poznań” był naprawdę starym krążownikiem. A jednak dobrze spełniał swoje zadanie. Idealnie pasował do wyobrażeń zapraszanych tu czasem miejscowych oficjeli o pływającym pałacu z żelaza obcego władcy.

– Pan admirał zaraz przyjdzie – powiedział adiutant. – Prosi o chwilę cierpliwości.

Dziwne. Młody oficer nie zapraszał ich, żeby usiedli. Nie powiedział niczego, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego spotykają się na pokładzie krążownika, a nie w jakimś przytulnym miejscu, w jakie obfitowało Negger Bank. Sam stanął w pozycji „prawie na baczność” pod metalową ścianą i znieruchomiał, wlepiając wzrok w przestrzeń przed sobą.

Tomaszewski i Rosenblum znowu wymienili się porozumiewawczymi spojrzeniami. Wentzel lubił pompę i teatralne zachowania, ale tu chyba, z całym swoim niemieckim przywiązaniem do regulaminów i przepisów, trochę przesadził. Goście znaleźli się w dziwnej sytuacji. Ani usiąść samemu bez zaproszenia, ani wszcząć jakąś poważniejszą rozmowę. Najwyraźniej szef wywiadu marynarki chciał, żeby czekali na niego, stojąc,

jak uczniaki przed gabinetem dyrektora szkoły. Ciekawe, czy czekał ich w związku z tym opieprz za jakieś przewinienie, czy tylko szef chciał podkreślić w ten sposób wagę spotkania?

Na szczęście nie musieli czekać długo. Wentzel pojawił się po kilku minutach, sam otwierając drzwi i co wróżyło nawet gorzej: nie obdarzając gości choćby spojrzeniem.

– Witam panów.

Podszedł do biurka, otworzył leżącą na nim skórzaną teczkę i wyjął dwie gęsto zadrukowane kartki papieru. Wręczył im po jednej, mówiąc sucho:

– Proszę się zapoznać z tym, co zaraz podpiszecie, panowie.

Tomaszewski i Rosenblum nie skomentowali tak obcesowego podejścia. Obaj zaczęli czytać i obaj też poczuli, jak włos jeży im się na karkach. To były deklaracje zachowania tajemnicy. Rodzaje cyrografu oddającego ich w razie złamania zakazu w ramiona wojskowych organów ścigania właściwie bez możliwości obrony. Niesłychane. Żeby wymagać od oficera, który i tak przecież związany jest przysięgą, podpisania dodatkowego przyrzeczenia? Jak weksel in blanco u przyszłego pracodawcy, który nie ufa swoim pracownikom. Sprawa musiała być więc wyjątkowa. I obaj czuli, że Wentzel się nie wygłupia. Tę procedurę wymyślił ktoś postawiony jeszcze wyżej. I po prostu kazał wdrożyć.

Podpisali kolejno dokumenty, korzystając z leżącego na biurku admiralskiego pióra.

Wentzel włożył kartki z powrotem do teczki i podał ją adiutantowi.

– Zamknij to w sejfie – rozkazał.

– Tak jest!

Młody oficer strzelił nieregulaminowo obcasami, jakby go ktoś nagle przeniósł do zwykłej piechoty. Nikt z obecnych tego nie skomentował. Atmosfera robiła się ołowiana. Jednak po wyjściu adiutanta admirał z właściwym sobie talentem do nagłych zwrotów rozładował ją błyskawicznie.

– Co? Zdziwieni? – Zajął miejsce za biurkiem. – Izaak, widziałem, jak ci się ręka trzęsała, kiedy podpisywałeś na siebie wyrok.

– No wiesz? – Rosenblum tylko potrząsnął głową. – Co to za szopki jakieś urządzasz?

– Ażebyście wiedzieli, że dopuszczam was do tajemnicy wagi państwowej! Żebyście jeden z drugim pary z gęby bali się wypuścić.

– E... – Tomaszewski posepnie wzruszył ramionami. – A ja chyba wiem, o co chodzi.

Rosenblum zaskoczony spojrzął na niego gwałtownie. A Wentzel pytająco.

– Z całego tego cyrku wynika chyba, że miałem rację. Prawda?

Z admirała uszło powietrze. Ale potwierdził po dłuższej chwili:

– Tak, miałeś.

Wyjął z pudełka na biurku cygaro, ogrzał specjalną zapalniczką, potem zapalił. Jedynie Rosenblum rozglądał się, niczego nie rozumiejąc.

– A czy mnie ktoś mógłby poinformować? – zapytał. – I czy moglibyśmy wreszcie usiąść?

Wentzel podniósł wzrok.

– No właśnie. Tak patrzę na was i patrzę, i dziwię się, dlaczego sterczycie jak te dwa kołki – mruknął. – Siadajcie, proszę.

Lekko wkurzeni zajęli miejsca na ciężkich drewnianych krzesłach. Niespecjalnie wygodnych. Ale i tak dobrze, że nie były przynajmniej przyśrubowane do podłogi. Admirał najwyraźniej nie przewidział żadnego poczęstunku, więc obaj zapalili papierosy.

– Słuchajcie, panowie – powiedział Wentzel sucho. – Czasami sobie żartuję, czasami przesadam z luzem i lekkim traktowaniem, tym razem jednak musicie wiedzieć, że sprawa jest naprawdę najwyższej rangi państwowej.

– Czego dotyczy? – spytał Rosenblum.

– Inżynierów, których tu przysyłają z różnych instytucji.

– Ach – przytaknął komandor. – Pamiętam. To idée fixe Krzyśka. Chciał nawet, żebym sprawdzał, jak inżynierowie zareagują na pamiątki po stratosferycznym księciu odnalezione w świątyni dzikusów.

– A ze mną przeprowadził decydującą rozmowę w ruinach Syrinx. Przedstawił wszystkie swoje podejrzenia i sprawił, że po powrocie do ojczyzny nakazałem śledztwo w tej sprawie.

– Ze skutkiem? – Rosenblum w chwilach napięcia odruchowo ściszał głos. Ostatnie pytanie padło prawie szeptem.

Admirał odchylił się w fotelu. Pyknął kilka razy swoim cygarem, potem wyjął je z ust i zerknął na rozżarzony koniec.

– Szokującym – powiedział.

Tomaszewski westchnął ciężko. Podniósł głowę, patrząc w metalowy sufit. To oznacza, że miał rację. No ładnie. Jak sobie teraz z tym poradzić?

Rosenblum poruszył się niespokojnie.

– Czy mógłbym prosić o trochę szersze wyjaśnienie?

– Jasne. Ale, Izaak, trzymaj się mocno krzesła, żebyś z niego nie spadł, kiedy usłyszysz, o co chodzi. – Trudno było rozpoznać wyraz twarzy Wentzla. Patrząc z boku, nie dało się określić, czy jest wściekły, zaaferowany, czy przeciwnie, zadowolony z tego, że jego ludzie posunęli się o krok dalej. Choć pewnie nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby wcześniej tego kroku zrobić. – Dlaczego interesujemy się grupą tajemniczych inżynierów, to wiesz, prawda?

– Tak. Choć trudno nazwać ich grupą. Działają w tak wielu zakładach i gałęziach gospodarki, że przecież nie mogą się wszyscy znać wzajemnie.

– Owszem, bo to grupa w innym sensie. Mają, jak wiesz, wiele cech wspólnych.

– Mhm. Dziwny akcent, niejasna sprawa pochodzenia, niejasna sprawa ukończenia studiów, a w wielu wypadkach także praktyki zawodowej. Wszyscy jednak błyskawicznie obejmują kluczowe stanowiska w przemyśle. Wszyscy dzięki rekomendacjom giganta chemicznego „Kocyan i wspólnicy”.

– Nie bardzo wiadomo, skąd są, nie bardzo wiadomo, gdzie pobierali nauki, wszyscy jednak kładą podwaliny pod rewolucję naukowo-techniczną, której właśnie jesteśmy świadkami.

– I jeszcze jedno. – Rosenblum zaciągnął się po raz ostatni i zgasił papierosa. – Każde śledztwo prowadzone w ich sprawie utyka na samym początku. Ginie we mgle spowodowanej brakiem faktów.

– I tu się mylisz! – Admirał wycelował w komandora triumfalnie cygarem. – Krzysiek domyślił się, gdzie popełniamy zasadniczy błąd!

– Gdzie?

– Usiłujemy śledzić wymyślone przez nich historie. Dojść, gdzie studiowali, gdzie żyli, gdzie zdobywali doświadczenie. A tego nie ma! To tylko mgła, w której mamy się pogubić.

– Jak to?

– A tak to. Krzysiek zrozumiał nasz błąd i zasugerował mi, żeby nie śledzić historii tych ludzi. Miałem odtąd śledzić historię ich ciał!

Rosenblum odkaszlnął głośno.

– Dobrze, że mnie uprzedziłeś. – Oparł mocniej dłonie na poręczach krzesła. – Trzymałem się.

– Mocne, prawda?

Admirał podniósł się zza biurka, podszedł do pancernej szafy przymocowanej do ściany i zaczął majstrować przy rozetkach szyfrujących.

– Krzysiu, powiedz Izaakowi, jak na to wpadłeś.

– To właściwie przypadek i dziwne skojarzenie. – Tomaszewski wolał nie wprowadzać nikogo w rolę, jaką odegrały w tym dwie czarownice: Kai i ta, która zginęła, zakonna. Dobrze jednak pamiętał ich słowa: „To nie są ludzie, to nie są ludzie!”. – Dwa razy byłem świadkiem, jak ginął bliski przyjaciel Wyszyńskiej... No nie, może za mocno powiedziałem. Jak ginął kolega, z którym długo współpracowała.

– Świadkiem śmierci Węgrzyna sam byłem osobiście.

– No właśnie. Pamiętasz jej reakcję? Jakby nic się nie stało.

– Hm. Coś w tym jest.

– A ja miałem drugą możliwość obserwacji. Widziałem reakcję i Wyszyńskiej, i Załuskiego na wieść o tym, że zginął ich kolega, Sakowicz.

– Znowu, delikatnie mówiąc: obojętna?

– Nawet gorzej. Mniej zainteresowania, niż gdyby ci pies zginął pod kołami samochodu. Widziałem nawet rodzaj wkurzenia. Jak by to określić słowami? Przykładowo: „No nie! Miał myć naczynia, a tu se w łeb strzelił, co za sukinsyn!”.

Rosenblum nawet się nie uśmiechnął.

– I jaki wniosek wyciągnąłeś?

– Jedyne możliwe. Że ich koledzy wcale nie umarli.

Jakby piorun w stół strzelił. Komandorem coś wstrząsnęło od wewnątrz.

– Widziałem ciało Węgrzyna z rozszarpanym gardłem – powiedział sucho.

– To ja ci zaraz powiem, co widziałeś. – Admirał odwrócił się od szafy pancernej, w której ustawił już rozetki. – Sprawdź, czy drzwi na pewno zamknięte na głucho.

Rosenblum wstał energicznie i sprawdził. Wartownicy na korytarzu sprawiali się dobrze. Zamek był zatrzaśnięty na amen. Wracając do stołu, komandor rozpiął kurtkę munduru, kołnierzyk koszuli i poluźnił węzeł krawata, choć w pomieszczeniu wcale nie było duszno.

Wentzel położył na biurku stos tekturowych teczek. Okładkę każdej zdobiła wielka pieczętka: „Ścisłe tajne – materiały specjalnego znaczenia”. Poniżej był numer akt i sążnista lista kar, jakie spotkają tego, kto bez upoważnienia otworzy którąkolwiek z teczek. Listę otwierała pozycja: „Kara śmierci przez powieszenie”. Ciekawe, co było dalej? Co jeszcze mogło poruszyć człowiekiem, który już doznał konsekwencji punktu pierwszego. Nie było jednak czasu czytać dalej. Admirał otworzył pierwszą teczkę na wierzchu.

– Inżynier Janusz Węgrzyn. Lat czterdzieści trzy. Urodzony w Wągrowie... – Wentzel teatralnie zawiesił głos i pokazał im zdjęcie w formie pocztówki, przedstawiające Węgrzyna w wieku jakichś osiemnastu lat. Rozpoznali go jednak bez żadnego problemu. – Urodzony w Wągrowie jako Ireneusz Jaworski. W rodzinie robotniczej. W tymże Wągrowie ukończył szkołę podstawową, która była kresem jego edukacji. Po szkole podjął pracę w firmie spedycyjnej jako ładowacz. – Admirał wyjął z teczki następny papier. – Opinia pracodawcy: „Ireneusz Jaworski jest pracownikiem sumiennym, niespóźniającym się i nieprzedłużającym należnych mu przerw. Jest jednak pozbawiony jakiegokolwiek inicjatywy, wydaje się ociężały umysłowo, nie przejawia ani entuzjazmu, ani zniechęcenia. Każdą czynność, którą ma wykonać, trzeba mu dokładnie wyjaśnić”. Wystarczy?

– Boże... – Rosenblum potrząsał głową. Rozluźnił krawat jeszcze bardziej.

– Więcej. – Admirał postanowił dobić kolegę: – Jaworski zamieszany był w kradzież na terenie firmy spedycyjnej. Okazał się całkowicie niewinny, sprawców ujęto po kilkunastu dniach, ale...

– Nie mów, że policja pobrała mu odciski palców?

– Pobrała.

– Zgadzą się z Węgrzynem?

– Tak.

Rosenblum opadł na oparcie krzesła. Nie pytał, skąd wywiad marynarki ma odciski wszystkich inżynierów, bo wiedział skąd. Od dawna zbierano wszystkie odciski ludzi, którzy byli związani z dostawami dla marynarki. Tkwiły w kartotekach podejrzanych łącznie ze zdjęciami, opisami i wszystkimi dokumentami, jakie udało się zgromadzić.

– Czy możesz mi wyjaśnić jedną rzecz? – zapytał. – W jaki sposób go namierzyliście? Po samych zdjęciach? Śledztwo polegające na porównywaniu fotografii?

– Coś ty? Przecież to niemożliwe, żeby w ten sposób przeszukać cały kraj.

– No to jak?

– Krzysiek słusznie przewidział, że coś dziwnego zdarzyło się w życiu tych ludzi. Jakaś ciężka choroba, śmierć kliniczna, coś niesamowitego. Najpierw szukaliśmy po bazach policyjnych osób zaginionych bez wieści i zestawialiśmy ich dane z danymi osób, którym wcześniej przytrafił się „cud medyczny”.

– No tak. To zawęży krąg poszukiwań. Szpitale, ostre dyżury. A dlaczego bazy osób zaginionych?

– Nawet kostnice, na wypadek gdyby któryś cudownie ożył. Jeśli chodzi o zaginionych, sami zaraz wpadniecie po co.

– I tak było w przypadku Węgrzyna–Jaworskiego?

– Tak. Zapalenie opon mózgowych, stan ciężki, zasadniczo lekarze nie dawali mu szans. A jeśli nawet doszłoby do wyzdrowienia, to pytanie, w jakim stanie przetrwałby jego umysł.

– Domyślam się jednak, że umysł przetrwał?

– Cóż. Jaworski po wyzdrowieniu zaczął zdradzać objawy schizofrenii. Niestety, nie mamy bogatej dokumentacji tego przypadku. Nie był bogaty, rodzina ledwie wiązała koniec z końcem. Kiedy więc wyzdrowiał fizycznie, został wypisany ze szpitala ze wskazaniem dalszego leczenia, które prawdopodobnie jednak się nie odbyło. W każdym razie nasi ludzie nie natrafili na żadne ślady.

– A co wiemy? – wtrącił się Tomaszewski.

– Właściwie tylko plotki. Może wyolbrzymione.

– Czego się nasi ludzie dowiedzieli?

Wentzel wyjął z teczki fotokopie czyichś odręcznych notatek.

– Podobno, jeszcze raz podkreślam: podobno, zaczął wypowiadać słowa, a nawet zdania w jakichś nieznanym językach. Zmienił mu się smak. Pewne potrawy zaczęły odrzucać go tak, że nie mógł przełknąć ani kęsa. Do innych natomiast, których przedtem nie mógł znać, poczuł zamiłowanie. Niektóre rzeczy stały się dla niego nie do pojęcia, miał problemy w zrozumieniu niektórych prostych spraw. W pracy, do której wrócił, nagle

okazał się człowiekiem energicznym, pełnym inicjatywy i racjonalizatorskich pomysłów. Trwało to jednak bardzo krótko. Jaworski zniknął w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach.

– Po prostu pewnego dnia wyszedł z domu i nie wrócił? – domyślił się Tomaszewski.

– Tak.

– I nigdzie nie odnaleziono żadnego dalszego śladu? W jakimś porcie, na przejściu granicznym, na lotnisku?

– Zbyt dawno to było i zbyt wielki obszar, żeby szukać. Przypominam, że mówimy o człowieku, który nie był ścigany listem gończym. A jeżeli przeszedł na przykład granicę polsko–niemiecką na piechotę, to nawet nie potrzebował okazywać żadnych dokumentów.

– No tak. Faktycznie.

Wentzel metodycznie pakował papiery do teczki. Zawiązał ją starannie tasiemką i odłożył na bok. Potem wziął następną teczkę. Po chwili zobaczyli zdjęcie odmłodniałego inżyniera Sakowicza.

– To Witold Otwocki. Najmniej o nim wiemy. Wszystkie dane pochodzą właściwie z archiwum szpitala. Nie zebrano nawet śladów wspomnień czy plotek, bo praktycznie nikt go nie pamiętał po upływie takiego czasu. Ot, zwykły przypadek, niczym się nie wyróżniał.

– To jak go w ogóle namierzono?

– Związał ze szpitala i nie wrócił do pracy. W szpitalnym archiwum zostały więc jego dokumenty.

– A co o nim wiemy?

– Że był robotnikiem pracującym w głuszy przy wyrębie lasu. Przywieziono go, jak twierdzili pracodawcy, w stanie paraliżu. Sądzili, że to od jakiegoś dawnego urazu. Diagnoza jednak była inna.

– Zapalenie opon?

– Tak jest. Cudem wyleczony zapadł na schizofrenię. Ale to też raczej przypuszczenia, ponieważ leżał w małym, prowincjonalnym szpitaliku, gdzie psychiatry ze świecą szukać. Szykowano już bardziej księdza do ostatniego namaszczenia niż konsultanta naukowego. Niestety, pewnej nocy Witold Otwocki po prostu wstał z łóżka, ubrał się w odzież innego pacjenta, którą znalazł, i wyszedł.

– Wypuścili go po nocy?

Admirał uśmiechnął się lekko.



– Myślę, że był rozsądny i nie budził ciecia.

Rosenblum zaczął się śmiać.

– Krzysiek, Krzysiek... Ty, jeśli w ogóle byłeś w szpitalu, to w renomowanym i najlepszym w okolicy. Więc uwierz mi, nie wszystkie w naszym kraju są takie.

Wentzel otworzył następną teczkę.

– Mam wątpliwości co do tego materiału. Zdjęcia, które udało się zdobyć, są kiepskiej jakości, a z pozostawionych papierów żaden nie znajdował się w rękach Załuskiego, więc nie ma materiału porównawczego sprzed lat. W związku z tym ta historia jest jedynie „być może prawdopodobna”. Nie dysponuję żadnym dowodem.

– Czyżby chodziło też o najdalsze strony naszego kraju?

– Owszem. Miejsca, gdzie nie szuka się za dokładnie, gdzie nie ma żadnej pełnej ewidencji. Gdzie łatwo zniknąć, zgubić się, gdzie się nie sprawdza, a najwięcej wie ksiądz, nie policjant. – Wentzel odchrząknął lekko. – Załuski to prawdopodobnie Felicjan Marczuk. Robotnik rolny. Historia bardzo podobna do poprzedniej. Z tym tylko, że Marczuk, opuszczając samowolnie szpital, pożyczył sobie samochód ordynatora. Jechał w kierunku Warszawy do momentu, aż zabrakło mu paliwa. Samochód zostawił w lesie, co się z nim działo później, nie wiemy.

– A nasza ukochana znajoma? Została na koniec?

– Wyszyńska? Tak. – Wentzel odłożył chudą teczkę Załuskiego i wziął następną. – To chyba najciekawszy przypadek.

– Dlaczego?

– To jeden jedyny raz, kiedy następuje ingerencja kogoś trzeciego. Moim zdaniem, to bardzo ważne i niezłe udokumentowane. Tylko początki są niejasne.

Admirał wyjął z teczki powiększone zdjęcie Wyszyńskiej. Była na nim dużo młodsza, jednak wyraz twarzy nie zmienił się w ogóle. Tomaszewski z pewną dozą fascynacji patrzył na jej twarz, z dzikimi, nieokiełznanymi oczami, w których, miał wrażenie, krył się cień jakiejś zamierzchłej tajemnicy.

– Naprawdę nazywała się Marta Wiencek. Urodziła się w niewielkiej kresowej wsi. Nic nie wiemy o jej wykształceniu. Bardzo możliwe, że w ogóle go nie odebrała. Nie mamy nawet pojęcia, czy potrafiła czytać i pisać.

– Ożez...

– Początki tej historii, jak mówiłem, są niejasne. Wszystko, co wiemy, zaczyna się od protokołu kop-u.

– A co ma do niej Korpus Ochrony Pogranicza?

– Żołnierze złapali dziewczynę o nazwisku Wienczek podczas próby przekroczenia zielonej granicy.

– Co za nieudolność. Nie mogła przekroczyć tej samej granicy za dnia, podczas odpustu w jakimkolwiek kresowym miasteczku? Przecież jeśli mówimy o kop-ie, to w ogóle nie jest regularna granica.

– No właśnie. Zachowywała się, jakby nie za dobrze znała realia, prawda?

Rosenblum i Tomaszewski przytaknęli zgodnie.

– No a w tej sytuacji kop słusznie uznał, że albo jest przemytnikiem, choć nie miała bagażu, albo coś przeszkrobała i ucieka, albo, co gorsze, jest szpiegiem. Zatrzymano ją do wyjaśnienia. Stąd zresztą mamy jej odciski. Zgadza się ze współczesnymi. Wienczek to Wyszyńska.

– Przesłuchali ją ostrzej? – zainteresował się Rosenblum. A widząc pytające spojrzenie Tomaszewskiego, dodał: – Przy panującej na kresach szpiegomanii nietrudno o przypadek pobicia w więzieniu. Nawet baby.

– Na szczęście to nie było więzienie, tylko stacja. Wienczek odmawiała zeznań, więc zastosowano ostrzejsze środki. Kilka nocy w nieogrzewanej celi, na gołych deskach, a z innych atrakcji chleb i woda.

– Jak to odmawiała?

– Domagała się dostępu do telefonu.

Rosenblum parsknął śmiechem.

– Zapytana jednak, do kogo chce dzwonić, nie wiedziała do kogo, tylko prosiła o spis numerów telefonów z Warszawy – kontynuował admirał.

Teraz zaczął się śmiać Tomaszewski.

– Odbiło jej. – Nie mógł powstrzymać chichotu na myśl, że więzień w zapadłej stancy gdzieś pośrodku puszczy prosi o telefon. – Dlaczego nie chciała kawy, koniaku i muzyki z gramofonu?

Na końcu poddał się Wentzel i też zaczął się śmiać.

– No dość zabawne, przyznam. – On również wyobraził sobie młodą Wyszyńską, jak przedstawia prostym żołnierzom swoje niestworzone prośby. – Zapytana, kto mógłby potwierdzić jej tożsamość, wymieniła księdza z jakiegoś miasteczka. Nie potrafiła jednak podać jego nazwiska. Śledczy popytali wśród proboszczów z okolicznych wsi. Żaden nie miał

pojęcia o istnieniu Marty Wiencek. Zapytana o bliższe dane na temat księdza, dziewczyna powiedziała tylko, że to ktoś ważniejszy niż wiejski proboszcz. Jedynym efektem tych zeznań było to, że odtąd strażnicy nadali jej ksywę „córka prymasa”. I z takim to pseudonimem odesłano Wiencek do stacji okręgowej, gdzie wpadła w łapy drugiego wydziału i żarty się skończyły.

– Do czego się przyznała? – zapytał Tomaszewski.

– Miała szczęście. Trafiła na oficera, któremu nie wystarczało proste przyznanie się do szpiegostwa. Chciał znać jej kontakty oraz wszelkie inne aspekty działalności szpiegowskiej. I dzięki niemu dowiedzieliśmy się, że Marta Wiencek żyła w leśnej osadzie drwali. Kiedy zachorowała na zapalenie opon mózgowych, wezwano znachora z pobliskiej wsi. Kiedy jednak dziewczyna cudownie ozdrowiała, dostała ataku schizofrenii, zaczęła wypowiadać słowa w nieznanym języku, postanowiono ją utopić jako czarownicę.

Rosenblum nie wytrzymał i zaklął. Tomaszewski zapalił kolejnego papierosa. Spodziewał się właśnie czegoś takiego.

– To by znaczyło, że ona wcale nie chciała przekroczyć granicy. Po prostu uciekała na oślep przed siebie.

– Tak się wydaje.

– No w porządku – odezwał się Rosenblum. – A ksiądz?

– Chłopi sprowadzili go, żeby dokonał egzorcyzmów nad dziewczyną i wygonił złego. A skoro nie przyniosło to skutku, no to pod łód dziewczynę.

– Admirał odłożył cygaro do wielkiej popielniczki. – To wyjaśnia również, dlaczego przepytывanie okolicznych kapłanów nie przyniosło rezultatów. Ten, który znał Martę, pewnie się nie przyznał.

– Tak. Pewnie nie wiedział, w jakiej sprawie go przepytują. Czy przypadkiem nie chodzi o udział w morderstwie.

– Właśnie. No ale wracając do oficera drugiego wydziału. Nie był skłonny oczywiście udostępnić dziewczynie telefonu, ani tym bardziej jechać do miasta na pocztę, żeby zdobyć spis telefonów w Warszawie. Powiedział jednak, że może wskazanej osobie przekazać wiadomość od podejrzaney.

– A to spryciarz – mruknął Rosenblum, myśląc z politowaniem o kresowym specjaliście „od wiejskich dziewczuch”.

– No. – Tomaszewski przytaknął i dodał z sarkazmem: – Intryga kontrwywiadowcza pełną gębą. Odtąd na wszystkich odpustach będą go chwalić.

– Nie ma się z czego śmiać – powiedział Wentzel. – Dziewczyna poprosiła o przekazanie wiadomości właścicielowi albo komukolwiek z zarządu firmy „Kocyan i wspólnicy”.

Tomaszewski machnął ręką.

– Każdy z więźniów chce, żeby jego sprawę rozpatrywał osobiście pan prezydent. No, ewentualnie jeden z najbogatszych i wpływowych ludzi w państwie.

– Właśnie. Oficer żadnej wiadomości nikomu nie przekazywał, natomiast przekazał więźniarkę wraz z aktami do województwa.

– A na tym szczeblu...

– A na tym szczeblu – admirał wpadł Tomaszewskiemu w słowo – specjalna delegacja z Warszawy przyjechała po Wiencek już w nocy następnej doby i zabrała dziewczynę samochodem, wywożąc w niewiadomym kierunku.

– Delegacja legitymowała się...? – Tomaszewski zawiesił głos.

– Papierami wywiadu wojskowego. Na poziomie ministerstwa.

Zapadła cisza. Z jednej strony wiadomość była jak ogłuszający cios. Skoro ministerstwo jest już „zainfekowane”, to dalsza walka będzie wojną z państwem polskim. Ale po chwili przyszło opamiętanie. Właściwie każdy z obecnych w tym pomieszczeniu ludzi przy pomocy przyjaciół sam zmontowałyby taką akcję i nie znaczyłoby to przecież, że całe struktury wywiadu marynarki to już obcy agenci. A szczególnie ktoś mający takie pieniądze i takie wpływy jak właściciel firmy „Kocyan i wspólnicy”. Zresztą... w wielu krajach zdarzały się przecież afery ze szpiegiem umieszczonym tuż przy ośrodku władzy. A kończyły się jednak ujawnieniem zagrożenia i ustąpieniem skompromitowanego polityka.

Po dłuższej chwili Tomaszewski przerwał ciszę.

– Czy to wszystkie materiały, które zdobyliśmy?

– Nie. – Wentzel wskazał pancerną szafę. – Mam tego dużo i ze wszystkimi będziecie się musieli zapoznać.

– O szlag!

– No niestety. Jesteście oficerami działającymi w tej chwili na pierwszej linii frontu. Musicie wyrobić sobie obraz sytuacji.

– Na temat?

– Przede wszystkim na temat skali zjawiska. Oprócz tego, przeglądając wszystkie teczki, spróbujcie wyławiać elementy wspólne, elementy niepasujące do siebie i w ogóle wszystko łącznie z wyjątkami. Znacnie przecież procedurę równie dobrze jak ja.

Rosenblum poruszył się niespokojnie.

– Jak to? – Wodził wzrokiem od jednego rozmówcy do drugiego. – Mamy się teraz zapoznać z pełną szafą tajnych teczek?

Wentzel uśmiechnął się radośnie.

– To właśnie miałem na myśli. A jutro sobie podyskutujemy o waszych spostrzeżeniach.

– Ale...

– Wiem, o czym myślisz, Izaak. I potwierdzam: tak, teczki są ściśle tajne, zatem trzeba zapoznawać się z ich treścią zgodnie z procedurą obowiązującą w centrali. Radzę więc wam, chłopaki, skorzystajcie teraz, póki jestem, z toalety. Później każde wyjście z tej kabiny będzie możliwe jedynie w obecności dwóch adiutantów i z dokładną rewizją na wyjściu oraz wejściu.

Tomaszewski dopiero teraz zrozumiał, co ich czeka. Cała noc w tej cholernej kabinie bez wygod. Znał oczywiście procedury postępowania z materiałami specjalnego znaczenia i wiedział, że regulamin nie przewiduje innego wyjścia.

– Każę wam przynieść kilka tac z kanapkami i dużo kawy. – Admirał usiłował osłodzić komandorom ponurą wizję. – Niestety, regulamin wyklucza jakikolwiek alkohol i otwieranie okna. – Zerknął na bulaj. – Starajcie się więc nie nakopcić tutaj za bardzo, chłopaki. – Demonstracyjnie zgasił swoje cygaro.

– A ty będziesz w tym czasie spał wygodnie w łóżeczku?

Wentzel rozłożył szeroko ręce w geście współczucia podszytego jednak bardzo widoczną hipokryzją.

– Nie ma mi czego zazdrościć – powiedział. – Przecież ja rano będę musiał przeliczyć kartki we wszystkich teczkach i pokwitować, żeście nic nie ukradli.



Śnieg prószył coraz mocniej, ale było go jeszcze zbyt mało, żeby utworzyć zasy mogące sparaliżować ruch na drodze. Oddziały garnizonu w Kong maszerowały więc, nie napotykając większych przeszkód, w dobrym porządku i bez postojów. Major Baranowski udostępnił oficerom wyższym rangą swoją terenową półciężarówkę, co zostało przyjęte z dużym zadowoleniem. Zawsze przebywanie w ciepłym, nieprzewiewnym wnętrzu, z możliwością napicia się kawy z termosu w każdej chwili było lepszym rozwiązaniem niż sterczenie na końskim siodle, gdzie było się zdany na wszystkie nieprzyjemności, które przygotowała natura. Dodatkowo pojazd miał wiele zalet. Po pierwsze napęd na wszystkie sześć kół, więc nie było potrzeby wysiadania przed każdym wzgórzem ani stromizną. Po drugie miał specjalny bieg, który pozwalał na jazdę z prędkością, z jaką maszerował przeciętny piechur, bez masakrowania sprzęgła. A po trzecie miał nawiew ciepłego powietrza do wnętrza kabiny i stolik, na którym można było rozłożyć mapę.

I właśnie znad tej mapy major Baranowski podniósł głowę.

– Zmierzamy w te okolice? Tak? – Zerknął na Phan, oczekując potwierdzenia, a kiedy ta skinęła głową, dodał: – A co to za punkt, który tu jest oznaczony siódmką?

– To fort numer siedem – wyjaśniła. – Nie znaczy, że istnieją w okolicy forty o niższych numerach. Od jeden do sześć.

– Nie ma też fortów od numeru osiem i wyżej – dodała porucznik Yao. – To ruina, pozostałość linii umocnień z jakichś zamierzonych czasów.

– Ruina?

– Kompletna.

– Zatem w jakim celu tam zmierzamy?

– Ja wyjaśnię. – Major Phan nachyliła się nad mapą. – Otóż Królestwo Shah rzadko atakuje zimą. Wojenki, które wybuchają między nimi a imperium, mają generalnie, jak to się śmiejemy w sztabie, charakter rekreacyjny. Czyli toczą się w okresie późnowiosenno–letnim, ku obopólnej rozrywce. W zimie atakują tylko wtedy, kiedy ich skarb świeci pustkami.

– Nie rozumiem.

– To proste. Z rejonów, które dysponują pewnymi nadwyżkami żywności, tędy właśnie eksportuje się ziarno. Kupcy wożą ziarno drogą leżącą na granicy Shah i imperium do krajów, gdzie panuje głód, i bogacą się na tym procederze szczególnie właśnie w zimie.

– Nasi kupcy czy ich? – spytał Baranowski.

– I nasi, i ich – wtrąciła się Yao. – Problem w tym, że kiedy w Shah brakuje gotówki w skarbcu, to królestwo blokuje drogę dla naszych kupców, a samo zgarnia wszystkie podatki. I tyle mniej więcej filozofii.

– Imperium na to pozwala?

– Trzeciorzędny front, trzeciorzędne interesy i w ogóle to sprawa miejscowych watażków, a nie imperialnego sztabu – powiedziała Phan. – My nawet nie mamy sił, żeby im się przeciwstawić. Mają czterokrotną przewagę liczebną na tym odcinku. Wyruszyliśmy z garnizonu właściwie tylko po to, żeby pokazać, że nie śpimy. I nie radzimy zbliżać się do samego Kong.

– Zresztą nie mieliby jak tam dojść – dodała Yao. – Jest zima.

– Ciekawe. – Baranowski nachylił się nad mapą. – A jaką rolę gra tu fort numer siedem?

– To jedyna możliwość założenia jakiejś stałej bazy w zimie. Żołnierze długo na mrozie nie wytrzymają.

– I jak bywało do tej pory?

– My mamy krótszą drogę. Zajmowaliśmy z reguły fort numer siedem jako pierwsi. Oni mają czterokrotną przewagę, więc odbijali fort, zakładali tam bazę i to zasadniczo był koniec naszych operacji zimowych. Przechodziliśmy do obrony na linii wsi pod Kong, gdzie ludzie mogli znaleźć schronienie i...

– Ale oni nie atakowali? – upewniał się Baranowski.

– W zimie nigdy. Zresztą po co mieli iść dalej?

– No fakt – zgodził się Polak. – Przecież droga była już w ich rękach.

Długo studiował mapę, potem podniósł głowę. Na jego twarzy gościł uśmiech.

– Cóż... – Na sekundę przygryzł wargi. – Jako doradca desygnowany przez panią cesarz mam taką propozycję: maszerujmy dalej drogą, którą się posuwamy. Aż do chwili, kiedy natrafimy na czołówki armii Shah. I zastopujmy ich w dalszym parciu naprzód.

– No zaraz. – Phan również zerknęła na mapę. – Wtedy oni podzielą swoje oddziały na dwie części. Jedna będzie powstrzymywać nas, a druga w tym czasie zajmie fort.

– Chyba właśnie o to nam chodzi. Żeby podzielili armię na dwie części.

– No tak, ale... oni zdobędą bazę i staną się panami sytuacji.

– Nie zdobędą. – Baranowski nachylił się w stronę kierowcy. – Zatrzymaj się i zatrąb! – rozkazał.

Samochód zatrzymał się natychmiast. Na dany sygnał ktoś z zewnątrz otworzył drzwi, wpuszczając do środka mroźny podmuch i kłęb wirujących płatków śniegu.

– Sierżant Kowalski melduje się na rozkaz!

Major kończył właśnie szkicować schemat sytuacji na nakładce mapnika. Po chwili podał ją sierżantowi.

– Słuchaj, weźmiesz sześciu naszych ludzi, termit i fosfor w dużych ilościach.

– Tak jest!

– Weźmiesz też pluton miejscowego wojska. Niech ci pokażą, gdzie to jest, zorganizują osłonę i dźwigają kłamotoy.

– Rozkaz!

– Rozkaz to ci dopiero teraz wydam. – Baranowski smętnie pokiwał głową. – Masz pójść i spalić fort numer siedem. Do imentu!

Sierżant okazał cień wątpliwości. Do takiej akcji tylko sześciu ludzi?

– A ten fort to silnie broniony, panie majorze?

– Nie. To opuszczona ruina. Jednak moim wyraźnym życzeniem jest, żeby nie pozostała tam ani jedna cała belka, ani jedna deska czy choćby fragment podłogi! Spalisz do gołej ziemi. Rozumiesz?

– Tak jest, panie majorze!

– No... to wykonać!

– Rozkaz!

Sierżant zatrzasnął drzwi. Po chwili zza metalowej burty rozległy się jego gromkie okrzyki.

– Drogie panie – Baranowski odwrócił się do oficerów imperium – wojska Shah nie zdobędą żadnej bazy, bo za chwilę nie będzie już czego zdobywać.

– No ale... – Yao nie mogła zrozumieć w pierwszej chwili. – My też nie będziemy mieli się gdzie schronić.

– I dobrze. Zaoszczędzimy sobie strat, które ponieśliśmy, kiedy oni wypieraliby nas z ruin. Spotkamy się na drodze. I tylko z połową ich sił, bo jeśli panie przewidują dobrze, oni wyślą część za mirażem fortu, który zaraz przestanie istnieć.

– I co wtedy?



– Spróbujemy doprowadzić sytuację do takiego stanu, że droga handlowa będzie nasza.

Phan poruszyła się niespokojnie.

– Przypominam tylko, że wywoływanie i prowadzenie wojny z innym królestwem na obcym terytorium nie leży ani w moich kompetencjach, ani w kompetencjach pułkownik Thien.

Baranowski uśmiechnął się szeroko.

– Jakiej wojny? Będziemy usiłowali nie oddać ani jednego strzału.

Półciężarówka ruszyła powoli za oddalającym się oddziałem. Nocny marsz nie był taki straszny, sądząc z napływających systematycznie raportów. To, czego najbardziej bali się oficerowie imperium, najwyraźniej nie następowało. Jednostki posuwały się powoli, ale sprawnie, jednostajnym ruchem. Nikt nie odstawał, ciągle nie było meldunków o jakichkolwiek kłopotach.

Zwiadowcy zatrzymali pochód dopiero nad ranem, o pierwszym brzasku. Napotkano czołówki armii Królestwa Shah. I to w dość korzystnej konfiguracji. Czołówki imperium zatrzymały się na szczycie wzgórza, mając tamtych u podnóża. Półciężarówka podjechała na pierwszą linię, a oficerowie zaczęli wysiadać, żeby zobaczyć, jak wygląda sytuacja.

– Nieźle – pierwsza odezwała się Phan. – Pod górę z marszu nie zaatakują.

– Właśnie – mruknął Baranowski. – Dajmy im czas. Niech spokojnie podzielią armię na dwie części i poślą połowę do tego, co pozostawił po sobie sierżant Kowalski.

Major podniósł do oczu silne szkła.

– Wyglądają jak łachmaniarze – powiedział.

Phan wzruszyła ramionami.

– Wszystkie armie świata mają podobne mundury. Z tym że w zimie żołnierzom wolno zawinąć się w koce.

– No właśnie. W tych swoich obszarpanych tunikach, z kocami wyglądają jak banda przemarzniętych żebraków w łachmanach, proszących o zlitowanie.

Yao miała jednak wątpliwości.

– Jest ich jednak cztery razy więcej niż nas.

Z niepokojem obserwowała rozlewającą się na boki masę ludzi u stóp wzgórza. Z każdą chwilą było ich więcej i więcej.

– No pięknie. – Baranowski najwyraźniej zgodził się z oceną liczebności wroga dokonaną przez imperialną porucznik. – Ciekawi mnie zatem, skąd wezmą cztery razy więcej zaopatrzenia od tego, co my mamy?

– A na co im zaopatrzenie na krótką kampanię? Żołnierz ma jeść to, co sobie znajdzie.

– Ale tu dookoła nie ma wsi. A zimą w lesie niewiele znajda.

– Pewnie mają jakieś suche placki.

Ta informacja bardzo ucieszyła Baranowskiego.

– No to świetnie – powiedział rozradowany. – Skąd wieje wiatr?

– Strasznie zimno! – Yao niechętnie zdjęła rękawiczkę, polizała palce i wystawiła na podmuch. – Wieje od tyłu, z kierunku, z którego przyszliśmy, w ich stronę.

– Wręcz doskonale. Czas zacząć wojnę kielbasianą.

– Jaką?! – Phan zerknęła na Yao, a potem obie na obcego majora. Co on? Zwariował?

– Wojnę kielbasianą – powtórzył Baranowski. – Drogie panie, żołnierze po nocnym marszu muszą dostać ciepły posiłek. A nie mamy skąd wziąć, ponieważ zanim dotrą tu nasze zapasy, kuchnie polowe i całe kwatermistrzostwo, zajmie to dużo czasu.

– A żołnierze nie mogą poczekać?

– Ani żołnierze, ani przede wszystkim ich morale czekać nie może. Dlatego też na tych wozach z tyłu podąża za nami... kielbasa. Jeśli można się tak wyrazić, oczywiście.

Obie zerknęły do tyłu. Wozy rzeczywiście były. O ich zawartość dotąd nie spytały, bo i po co?

– No niestety – ciągnął Baranowski. – Każdy żołnierz będzie musiał sam znaleźć sobie patyk, zastrugać na końcu, nabić kielbasę i osobiście opiekać nad ogniskiem. Naszym żołnierzom przygotowanie gorącego posiłku nie sprawi kłopotu, ale zapach, który będzie się niósł w kierunku obcych linii, podziała na wroga lepiej niż trujący gaz bojowy!

Major wyjął z kieszeni notes, wyrwał kartkę i zanotował na niej kilka słów.

– Poproszę o kaprała do dyspozycji.

Na skinienie Yao podbiegła do nich smukła dziewczyna z karabinem.

– Melduję się na rozkaz! – krzyknęła dziarsko.

Phan przyjrzała się dziewczynie po raz pierwszy oczami przybysza zza gór. I po raz pierwszy porównała z żołnierzami formującymi się u stóp wzgórza. Kapral zamiast metalowego hełmu, który wymrażał mózg, miała na głowie grubą wełnianą czapkę, a na szyi porządny szalik. Zamiast lekkiej tuniki i cienkiego koca ubrana była w pikowaną puchową kurtkę pokrytą brezentem. Buty na jej nogach miały ochronne brezentowe pokrowce, a na łydkach zawiązała sobie nieprzemakalne owijacze ułatwiające marsz w trudnym terenie. I rzeczywiście, dziewczyna o rumianych policzkach nie wyglądała ani na zmęczoną, ani na zniechęconą. A teraz jeszcze czekał ją ciepły posiłek.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Phan przeniosła wzrok na dół, na gromadzące się u podnóża wojsko. Zakłęła cicho. Różnica była widoczna gołym okiem.

Baranowski dał kapral kartkę z rozkazem dla chorążego. Dziewczyna pobiegła na tyły, nie obdarzając pozostałych oficerów ani jednym spojrzeniem. Rozkaz dostarczyła. Dziwiła się tylko, dlaczego chorąży Salomon Hubelman klnie w żywy kamień:

– No nie! Akurat mnie musieli wybrać! Do rozdawania kiełbasy wybrali akurat Salomona Hubelmana! Panie Boże, ty widzisz i nie grzmisz! Hubelman do rozdzielania tego świństwa, którego mu nawet jeść nie wolno!



– Zdrowa już jesteś! – krzyknęła Brethe, rzucając Shen ogromny ręcznik. – Bo powietrze tu zdrowe, bez waporów i miazmatów.

Dziewczyna, która wyszła spod lodowatego strumienia, tworzącego w tym miejscu wodospad wręcz idealnie stworzony do brania prysznic, dygotała lekko. Z ulgą zawinęła się w prześcieradło. Bibliotekarka miała jednak rację. Nie czuła śladów choroby, a rada, która jeszcze rano wydawała się szaleńcza, żeby wykąpać się w górskim strumieniu, okazała się dobra. Shen czuła, jak ciepło szybko powraca do jej kończyn. Znowu czuła się rześka i pełna energii.

– Powietrze tu zimne i zdrowe – powtarzała Brethe, podając jej kolejne części ubrania. – Łatwo chorobę złapać, a raczej rozwinąć, jak się ją przywiozło już w sobie. Ale łatwo też choroby się pozbyć.

– Miałaś rację. Czuję, że się pozbyłam przez tę lodowatą kąpiel.

– To nie przez kąpiel, dziecko. Nie przez kąpiel. To tylko symbol.

– Nie rozumiem.

– Ale to proste. Ten dom na samym szczycie góry, gdzie was podejmowałam, ta sala z widokiem na góry... To jest miejsce, gdzie warto sobie poukładać sprawy w głowie. Tam, jeśli się wejdzie z zamętem w duszy, można wyjść z ładem.

Shen roześmiała się radośnie. Czuła, jak rozpiera ją siła.

– I sądzisz, że ja sobie poukładałam?

Brethe skinęła głową.

– Na taką wyglądasz, dziecko – szepnęła. – Na taką wyglądasz.

A potem zatoczyła ręką szerokie koło, wskazując opustoszałe budowle wokół.

– To miejsce sprzyja kontemplacji – powiedziała. – Widzisz... Nie wszystko, co zrobił Zakon, jest złe i godne potępienia.

Shen zapięła na biodrach pas z dwoma rewolwerami. Zarzuciła na ramiona kurtkę i wzięła do ręki swój karabin. Brethe poklepała ją po ramieniu.

– Mówiłam. Choroba już za tobą.

Zaczęły schodzić w kierunku stajni, gdzie dziewczyny zajmowały się końmi. Nie dane im było jednak dotrzeć do celu. Z budynku wybiegła Sharri.

– O! – krzyknęła na ich widok. – Jesteście nareszcie.

– Co się stało? – zapytała Brethe.

– Ktoś się dobija do bramy. I to nie jeden człowiek. Wielu!

Bibliotekarka wzruszyła ramionami.

– No to chodźmy zobaczyć – mruknęła. – Gdzie ta trzecia?

– Nuk? Już tam jest.

Ruszyły szybciej w stronę bramy. Rzeczywiście, zza muru dochodziły odgłosy świadczące, że na wpuszczenie czeka sporo ludzi. Brethe odsunęła Nuk spod furty. Sprawdziła, czy wyklepana na wspaniałą kosa jest w zasięgu ręki.

– Kto tam?! – krzyknęła ostro.

– To ja, Hun – rozległ się zachrypnięty męski głos. – Z kolegami.

– Źeś z kolegami, to słyszę, dziady! Co jest? Obrabować mnie z żarcia przyszłście?

– Ty nas dziadami nie nazywaj, stara! I nie bój nic. Źarcie mamy swoje!

– Akurat wam uwierzę, pasibrzuchy cudzynią karmione.

– Cicho, stara. Wojna wybuchła. Na szlak idziemy znowu. Własnego jedzenia mamy w bród!

Brethe zaklęła pod nosem i położyła dłoń na rękojeści ukrytego pod szatami bandoletu. Potem jednak otworzyła furkę.

– No chodźcie w takim razie.

Zarośnięci i obdarci mężczyźni zaczęli przechodzić pojedynczo przez wąską furkę. Każdy z nich miał broń. A wprawne oko mogło dostrzec, że pod pozorami łachmaniarstwa są dobrze ubrani, i to w odzież, która

pozwoli im przetrwać w wysokich górach. Dziwni przybysze jednak nie ruszali dalej, w stronę zabudowań. Gromadzili się przy furcie, patrząc podejrzliwie na trzy obce dziewczyny z karabinami.

– A te tutaj to kto? – Hun, który okazał się roslým drabem o skołtunionej brodzie sięgającej aż do mostka, wskazał je palcem. – Toż one na dzień drogi śmierdzą imperialną armią! To regularne wojsko jest!

– To nie żadne wojsko – usiłowała go uspokoić Brethe. – Ot, przybysze znikąd, jak i wy.

– Jak nie wojsko, kiedy wojsko?! Przecież widzę! Baby moresu nauczone, stoją jak żołnierze w pozycji „gotów do strzału”!

– A ja ją znam! – Z tłumu prawie już czterdziestu mężczyzn wyskoczył jakiś wyrostek z szeroką szramą na twarzy, wskazując palcem na Nuk. – Widziałem ją w mundurze sierżanta wojsk specjalnych!

– O matko – wyrwało się dziewczynie. Ale pech.

– To speckurwy! – rozległ się wrzask.

– Ja z piechoty – pisnęła przerażona Sharri.

Hun podniósł rękę. Nieważne, że trzymał w niej tylko zakrzywiony nóż, którym zamierzał dziabnąć dziewczynę stojącą najbliżej. W rękach pozostałych mężczyzn tkwiło już z osiemdziesiąt pistoletów. Przy takich proporcjach nawet ich szybkostrzelne karabiny nie dawały żadnej przewagi.

Hun jednak nie zadał ciosu. Stojący obok niego młodzieniec z podkrążonymi oczami powiedział cicho:

– No pchnij! Jeśli chcesz zginąć z ręki kobiety, którą nazywają Shen.

Głos młodego człowieka nie był donośny. Jednak wszyscy zamarli nagle, zastygając w najprzedziwniejszych pozach.

Po dłuższej chwili Hun opuścił rękę z nożem i cofnął się o krok.

– To naprawdę Shen?

Nuk rozglądała się niepewnie. Wolała się nie odzywać. Sharri za to, kiedy minęło bezpośrednie niebezpieczeństwo nagłej utraty życia, odzyskała mowę.

– Tak, to Shen, draby jedne. Legendarna Shen we własnej osobie.

– Skąd mnie znasz? – zapytała Shen, podchodząc do chłopca o podkrążonych oczach, które nadawały całej twarzy wyraz zmęczenia, wręcz zniechęcenia.

– A kto cię nie zna? – odpowiedział pytaniem. – Jestem Tainu – przedstawił cię. – Ci tutaj to ciemni przemytnicy. A ja jestem złoczyńca

lepszey klasy. Z miasta! – powiedział to prawie z dumą. – Z nimi tylko uciekam przez góry.

– No i? – indagowała dalej.

– Kto cię nie zna? – powtórzył. – Ja człowiek w świecie bywały. A twój portret na każdym rozstaju dróg wisi z ceną podaną w złocie za głowę. Na każdej przydrożnej szubienicy, przy świątyniach i przy karczmach. A lud boży patrzy na te portrety.

– I chyba wąsy domalowuje – wtrąciła Sharri, która już całkiem odzyskała pewność siebie.

– A tak. Są tacy, co węglem wąsy domalowują. – Tainu potwierdził skinieniem. – Są też tacy, co w nocy portrety zrywają, cenę za głowę odcinają, a obrazki sobie w domach nad łózkami wieszają. I modlą się do nich przed snem. – Znowu skinął głową. – I widzi mi się, że tych drugich jakby, kurwa, więcej.

Nuk potrząsnęła głową i zerknęła na siostrę badawczo. Ta jednak stała nieporuszona. Na jej twarzy nie malował się żaden wyraz jakiegokolwiek ekspresji.

– A tych drugich jakby, kurwa, więcej! – Hun podchwycił okrzyk Tainu. – Ha, ha, ha! Siostra ty nasza!

– Ja ci dam siostra! – Shen błyskawicznie przeszła do ofensywy. – A ty kto jesteś? Nie przypadkiem strażnik przebrany?

Tak zaskoczyła Huna, że zamilkł. Natomiast Brethe tylko machnęła ręką.

– Spokojnie, dziecko. To bandziory z dziada pradziada, przemytnicy z rodu przemytników. A ten tu herszt to strażnika może kiedyś i widział... mierząc do niego z pistoletu.

– Ha, ha, ha! – Hunowi bardzo się ta wypowiedź spodobała. Nie należał do ludzi o skomplikowanej duszy i pokrętnym umyśle. – My strażnicy! My! Słyszeliście?

Zbóje rechotali ubawieni.

– Ja to tam jestem strażnikiem – odezwał się jeden, wyjmując z sakwy bukłak z jakimś napojem. – Czci niewieściej zawsze pilnuję!

– A udało ci się choć raz upilnować? Choćby przed sobą?

– Nie!

– Ha, ha, ha...

Brethe usiłowała zapanować nad kilkudziesięcioma mężczyznami, którzy zaczęli już pić ze swoich zapasów, i zagonić ich do pomieszczeń.



Nie było sensu sterczeć na dworze. Podczas tych przepychanek Shen znalazła się znowu blisko Tainu.

– Dużo jestem warta? – spytała wprost, mając na myśli nagrodę obiecaną w liście gończym.

Młodzieniec wydał wargi, robiąc minę znawcy cen bydła na targu.

– Dużo – powiedział cicho. – Bardzo dużo.

– No szlag.

– Ty już twarzy na trakcie nie pokazuj, siostró. Lud modli się do ciebie, lud pragnie bohatera, który go ze stłamszenia podniesie. Ale pamiętaj... W każdym człowieku dobro i zło są splecione razem jak dwa węże, które własne ogony połykają. Widziałem ja ludzi, którzy ustami po rękach całowali, a dupą jednocześnie donosili. Dobro i zło w ludziach zawsze razem, rozpoznać trudno.

Już słyszała gdzieś tę maksymę. Ile się w człowieku naraz pomieści. Naraz. I to przeciwstawnych całkiem uczuć. Wzruszyła ramionami.

Brethe zaprowadziła wszystkich do wielkiej sali połączonej z kuchnią, gdzie kiedyś pewnie ucztowali zakonnicy. Zaczęła rozpalać pod wielkim paleniskiem, a przemytnicy pomagali jej ochoczo. Widać było, że nie przebywają tu po raz pierwszy. Rzeczywiście mieli też ze sobą spore zapasy. Nie rabowali więc w miejscu, gdzie będą spać. Więcej tu zostawiają, niż zużywają.

– To mówisz, że wojna wybuchła? – Brethe, czekając, aż ugotuje się woda w wielkim garze, przysiadła przy stole.

– Ano. Nie inaczej – przytaknął Hun. Jak inni pociągał tego ze swojego bukłaka. Oznaczało to, że przemytnicy nie będą się przedzierać przez góry nocą. – Jak zwykle Shah uderzyło. To i zarobek dla nas będzie. Ech! – Przełknął sporą porcję wina. – Wojno, ty nasza żywicielko!

– No ale w tym roku jakoś inaczej idziecie – indagowała gospodyni. – Zawszeście od gór szli najpierw. Z towarem do nas.

– Ano. – Brodacz skinął głową. – W tym roku idziemy z towarem od nas do nich. Tam głód będzie.

– A co to się stało?

Hun rozejrzał się po swoich towarzyszach, jakby szukając natchnienia albo pomocy. Żaden jednak nie chciał zabrać głosu.

– Widzisz, Brethe, cesarzowa mędrców tu jakichś przysłała z za morza. No i ci zamorscy mędrkowie klarują teraz pułkownik z Kong, co i jak. I tak

jej klarują, że w tym roku będzie inaczej. Że nie będzie już jatki i setek ofiar w rzeźni, co się zawsze przy siódmym forcie odbywała.

– A jakim cudem?

– Bo fort mędrcomie spalić kazali! Na samym początku.

– Bogowie... To co tam się teraz dzieje, skoro schronienia w ruinach fortu nie ma?

Hun głośno wytarł nos w szmatę, którą podniósł z podłogi, a po oczyszczającym zabiegu odrzucił z powrotem.

– Ano ganiają się dwie armie po lesie, tam i nazad. I nawet nie strzelają za bardzo do siebie, bo nie ma jak we śniegu. Ale... – zawiesił głos, myśląc nad czymś intensywnie, aż mu się zmarszczki na czole pojawiły. – Ale nasze dziewczuchy ganiają na mrozie w ciepłych kurtkach i mając suche nogi. A co znaczą suche nogi zimą, to tylko, kurwa, żołnierz wie i przemytnik.

– Ano, prawda to. – Brethe, która we wcześniejszych rozmowach z dziewczynami w bibliotece używała języka wykwintnego, teraz z łatwością przeszła na sposób mówienia, a nawet intonacji ludzi prostych. – Prawda.

– A żyć ciepłego nasze dziewczuchy dostają, bo te zamorskie mędrce mówią, że to kwatermistrzowie, a nie piechota, wojny wygrywają. – Hun cmoknął głośno. – Suche nogi mają, ciepłe do żarcia dostają, to i ganiać po lesie mogą. A tamtych coraz mniej.

– Znaczy wygrywamy?

– Znaczy nie po naszej stronie, a po tamtej głód w tym roku będzie. No to i przemyt w odwrotną stronę ciągnie. Proste jak deska od najlepszego cieśli.

– Ta, każdy chce pieniądze zarobić.

– Ano. Na drodze do Kong to przejechać się nie da. Jak kupcy się zwiedzieli, że zimowy szlak w tym roku nasz, to ich wozy z towarem drogę zakorkowały. Tak ich dużo. Każdy jeden człowiek pieniądz lubi.

– Jak to? Całą drogę zakorkowali?

– No w jedną stronę to tak. Bo w drugą stronę, znaczy połowa, to jest w remoncie. Jeńcy budują.

Brethe potrząsnęła głową. Nawet ona na odludziu poczuła tchnienie zmian. W tym roku będzie inaczej niż zawsze.

– Jak to jeńcy?

– No bo widzisz. Mędrce chcą drogę porządną mieć, imperialną, taką, jaka kiedyś była. Materiał jest, tylko przełożyć trzeba, żeby te ich dziwne

wozy jeździć mogły. No ale ludzi brakowało i pieniędzy. No to mędrce kazały drogę jeńcami budować. Ale tylko pół, bo drugą połową wozy kupców napierają. Tam bez wrzasków i mordobicia ani jednego dnia nie ma. Teraz dopiero porządek zrobili.

– Kto zrobił?

– No te, zamorskie mądrale.

– A co zrobili?

– Powiedzieli kupcom: „Chcecie, żeby szybciej było? To macie karmić jeńców na budowie”.

– Cwane gady – wtrącił jeden z siedzących bliżej przemytników. – Wszystko za darmo chcą osiągnąć. Żeby tylko jednego złotego z kieszeni nie wyjąć.

Shen postanowiła sobie darować słuchanie niezbyt wyrafinowanej dyskusji. Wszystkiego, czego chciała się dowiedzieć o szerokim świecie, właśnie się dowiedziała. Szukała wzrokiem młodzieńca o podkrążonych oczach. Siedział pod ścianą, blisko ognia. Podeszła do niego.

– Mam pewną sprawę.

Tainu podniósł głowę.

– Mogę jakoś pomóc?

– Głównie radą. – Przysiadła na ławie obok niego. – Muszę przekazać pilną wiadomość do kogoś w Negger Bank. A do tego zadupia poczta nie dochodzi. Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest najbliższa stacja Imperialnego Ekspresu?

– Wiem. W najbliższym większym mieście. To dwa dni drogi konno od Kong, wzdłuż wybrzeża.

– Traktem?

Zerknął na Shen i domyślił się, o co chodzi.

– Można i bokiem, na piechotę, nikt nie będzie zwracał uwagi. Ale to prawie pięć dni wtedy.

– Szlag.

Tainu nachylił się bliżej do ucha dziewczyny.

– Mam lepszą propozycję. Niech ktoś pójdzie do garnizonu w Kong. Do koszar.

– No to jeszcze gorzej.

– Dlaczego? Poślij tę rosłą. Skombinujcie skądś imperialny mundur, teraz tego na kopy wszędzie, jak przy każdej wojnie, łatwo dostępne.

– No ale żołnierz nie może się poruszać bez rozkazu.

– Bez przesady. Niech powie, że jest speckurwą. Skoro tam służyła, to kminę ichnią zna, nie da się zahukać.

To był jakiś pomysł. Nuk na pewno ma swoją srebrną odznakę pułku, baretki za kampanie i insygnia sierżanta sił specjalnych.

– No fakt. To się da zrobić. – Shen kiwnęła głową. – Ale do garnizonu iść? Po co?

– Bo widzisz, ci zamorscy to mają takie coś do popiskiwania. Oni popiskują tutaj, a hen, hen w dalekim Negger Bank ktoś słucha. I też popiskuje w odpowiedzi. A ci tutaj go rozumieją.

Dziewczyna uderzyła się dłonią w czoło.

– No przecież wiem, że oni mogą porozumiewać się na ogromne odległości tak po prostu. Przez samo powietrze. – Pokręciła głową. – Że też mnie zaćmiło. No ale... – Nagle opadły ją wątpliwości. – Ludzie z żelaznych okrętów dla mnie na posyłki?

Tainu roześmiał się chrapliwie.

– Nie daj się zwieść przekonaniu, że to ludzie jak Bogowie – powiedział.

– To ludzie jak ludzie. Są tacy sami jak my.

Poklepał Shen uspokajająco po ramieniu.

– Tyle że cholernie bogaci. I w związku z tym ilość złota, którą będziesz musiała przeznaczyć na łapówkę, będzie wielokrotnie większa od tego, ile by wzięli nasi.

Zaczęła się śmiać.

– No masz rację, oczywiście.



Baza powstająca na obrzeżach miasta była istnym cudem, który ni stąd, ni zowąd pojawił się w antycznym świecie. Legendy krążące po kraju wyolbrzymiały jej znaczenie, choć tak po prawdzie nie było czego wyolbrzymiać. Pełnomorski, głęboki port, magazyny i tereny przeładunkowe, lotnisko, hangary, warsztaty, tereny produkcyjne, koszary i cała towarzysząca temu infrastruktura były żyłą złota. A Negger Bank, wielkie i bogate od tysiącleci miasto, wyposażone w całe zaplecze kulturalne i naukowe, miało wszystko, by zapewnić przybyszom idealną

obsługę. Stara zasada mówiąca, że bogatemu nawet byk się ocieli, sprawdzała się tu doskonale. Miasto zapewniało wszystko, czego potrzebowali przybysze z Gór Bogów, i w związku z tym zarabiało, jak zwykle, jak przez tysiąclecia, jakieś niewyobrażalne góry złota. Przepaść pomiędzy metropolią a całą resztą kraju, jeśli chodzi o bogactwo i znaczenie, rosła błyskawicznie i stawała się nie do przebycia. Tu było wszystko: praca, pieniądze, nadzieja, marzenia. Co chcesz, to masz, jeśli tylko roboty się nie boisz. Ale też tu dawano wszystko, co obcym potrzebne. Nie możecie przywieźć swoich specjalistów? Nie ma sprawy. Damy dowolną liczbę miejscowych inżynierów. Nie trzeba ich niczego uczyć, wystarczy zapoznać z obcymi procedurami i już wszystko zrobią sami. Potrzebujecie wykwalifikowanych robotników? Masa już czeka pod bramą. Kwalifikacje tego rzędu, że wystarczy pokazać, co i jak na nowych stanowiskach. Resztę zrobią sami. Urzędnicy potrzebni? Jacy? Kwatermistrze, magazynierzy, spedytorzy, administratorzy? Wszyscy wdrożeni. A tłumacze? Czy każdy polski żołnierz chce mieć osobistego tłumacza? Miejscowa inteligencja już biegnie, sandały gubiąc. Skąd znają polski? No toż oni uczelnie w mieście pokończyli. Po coś to przecież robili. Teraz uczą się szybko. Taaak... Bogaty zawsze zyskuje dwa razy. Ma czym handlować po prostu. Negger Bank po raz kolejny w swojej historii przeżywało ogromny wzrost. Był czas przywyknąć, że tu zawsze wszystko się udaje i że miasto po prostu zawsze ma szczęście. Ktokolwiek by w danej chwili rządził.

Rand jednak nie przyszedł podziwiać wspaniałości wielkiego placu budowy. Miał konkretny plan, ale najpierw musiał sforsować kolejne pierścienie straży i urzędnicze sita. Jako pierwsze tłum chcący dostać się do środka przerzedzały posterunki miejskiego garnizonu wojsk imperium. Tu się przechodziło łatwo. Wystarczył byle jaki papier z pieczęcią, dobra gadka czy jakikolwiek pretekst i już puszczali.

Dalej było trochę gorzej. Na posterunkach straży miejskiej odsiewano tych, których zaświadczenia nie były ważne, nie były prawdziwe, nie miały właściwych pieczęci na właściwych miejscach. Sama gadka już tu nie wystarczała.

Krąg trzeci okazał się jeszcze gorszy. Stanowili go byli żołnierze imperialnego korpusu, już w polskich mundurach i z nowoczesnym uzbrojeniem, ale ciągle jeszcze prawdziwego Polaka nie sposób tu

uświadczyc. Przybysze skrupulatnie wywiązywali się z umowy. Tylko i wyłącznie miejscowi będą zarządzać obcą bazą na terenie imperium. Na trzecim kręgu interesowano się tym, co kto wnosi na teren bazy. Kontrole osobiste były tu na porządku dziennym. Ale jeżeli ktoś zdołał przekroczyć ten krąg, to wiedział już, że więcej zbrojnych straży nie będzie. Niestety. Błąd popełniał ten, kto z tego powodu zaczynał się cieszyć. Dalej kolejne sity stanowili miejscowi, zatrudnieni przez przybyszów urzędnicy. I tu dopiero zaczynała się groza, mimo że taki urzędnik nie miał przy sobie pistoletu, ani nawet noża.

Co? Kto? Po co? Dlaczego? W jakim celu? Imperialnej armii w prawdziwych bitwach nigdy nie udało się stworzyć umocnień trudniejszych do zdobycia. A bronią defensywną wcale nie były tu armaty. Bito się za pomocą odsyłania do kolejnych okienek, zdobywania następnych zaświadczeń, pokonywania coraz to innych papierowych barier.

Rand, mimo że miał wszystkie zaświadczenia, papiery i pieczętki w absolutnym porządku, pierwszego Polaka zobaczył dopiero po południu. Po upływie ponad połowy dnia, który strawił na forsowaniu wejścia.

– Ja w sprawie dostaw papieru do kancelarii – powiedział do rosłego kaprała z zaopatrzenia, który zdawał się drzemać za biurkiem w ogromnym fotelu.

Kaprał otworzył jedno oko.

– A. – Przełknął ślinę. Ledwie unosząc rękę, wskazał kierunek. – To chyba tam.

Zamknął niepotrzebne już do wnikliwej obserwacji intruza oko i powrócił do swojej krainy półsennych marzeń.

Rand mógł oczywiście wejść na teren bazy oficjalnie, jako on sam, w asyście Polaków, i załatwić każdą sprawę w ciągu pięciu minut, a nie ponad siedmiu godzin. Jednak z pewnych przyczyn wolał, żeby o jego dzisiejszej wizycie nie wiedział nikt. Nawet Rosenblum.

Ruszył więc w stronę baru, tak dobrze opisanego mu przez przyjaciółkę kobiety, z którą miał się spotkać. Na szczęście nie musiał już szukać długo. Kantyny i w ogóle wszystkie miejsca dla Polaków były opisane wzorowo i oznakowane strzałkami. Trafił bezbłędnie. Trochę onieśmielony obcym wyposażeniem podszedł do człowieka stojącego za barem. Tamten jednak, zgodnie z tym, co mówiła informatorka, nie mnożył problemów.

– Dla pana kawa? Herbata? – zapytał z uśmiechem.

– Poproszę o piwo z dodatkiem imbiru – wypowiedział zapamiętaną formułkę Rand.

Kobieta, z którą miał się spotkać, tkwiła na stanowisku. Usłyszawszy hasło, podbiegła do baru i przejęła go błyskawicznie.

– Witaj, przyjacielu. – Pocałowała Randa w policzek. – Jakże się cieszę.

Była bardzo młoda, ładna, ostrzyżona już na polską obecną modłę, czyli chłopczycę z krótką, ulizaną fryzurą. Jej kruczoczarne włosy miały jednak naturalną skłonność do skręcania się w pukle i widać było, że fryzjer włożył maksimum wysiłku, żeby je jako tako wyprostować. Dziewczynie to jednak nie przeszkadzało. Nie znał jej imienia.

– Witaj, przyjaciółko. Świetnie, że cię tu spotkałem – wyrecytował.

Kobieta zajęła się zamówieniem i już po chwili z kuflem w rękę poprowadziła Randa do stolika w odległym kącie.

– Pokaż mi swoje dokumenty dostawcy, póki barman patrzy.

Położył przed nią okazały plik, a ona, udając, że zapoznaje się z ich treścią, zerknęła w stronę kontuaru. Kiedy uznała, że nikt ich już nie obserwuje, włożyła w papiery Randa własny plik. Zawierał raport i wszystko, co udało jej się zdobyć.

– Jak ci się pracuje wśród Polaków?

Uśmiechnęła się słodko.

– Nazwałabym to wakacjami.

– Nie boisz się?

– Widzisz. Ja zdobywam informacje, które nie mogą im zaszkodzić w żaden sposób. A poza tym zdziwiłbyś się, jaka ilość rzeczy jest u nich po prostu jawna. Chcesz się czegoś dowiedzieć? To zapytaj. Dosłownie niebawale.

– Nikt cię nie śledzi? Nie interesuje się?

Wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę. A nawet jeśli, to generalnie rzecz biorąc, mają mnie w dupie. No nie ci, z którymi sypiam, oczywiście.

– Doskonale. – Rand upił trochę piwa z imbirem. Skrzywił się lekko. No, może nawet było i niezłe. Tylko jego smak został zmodyfikowany przez powszechną u ludzi zza Gór Bogów manię do ulepszania wszystkiego. A poza tym piwo powinno być piwem, a nie jakimś tam leciutkim napojem do powolnego sączenia. Przyzwyczajał się już do myśli, że Polacy wszystko potrafią spieprzyć. Wina dobrego nie mają w ogóle, a piwo popsute

dosmaczaczami. I lekkie. Pamiętał, jak podczas nielicznych swoich wizyt w karczmach trafił na chrzest bojowy nowego czeladnika. Mistrzowie rozlali uwarzone przez niego piwo na drewnianej ławie, a on sam musiał na niej usiąść, mając na sobie skórzane spodnie. Po kilkudziesięciu modlitwach powinien wstać. Jeśli dzięki piwu ława trzymała mu się mocno dupy i wstał razem z nią, zostawał przyjęty do cechu. Inaczej nie. A te tutaj siki można chyba rozlać wszędzie i nic się nie stanie.

– Doskonale – powtórzył, odstawiając nie kufel przecież, ale szklanekę z cieniutkiego szkła. – Powiedz mi w dwóch słowach, co jest w twoim raporcie.

– Parę ciekawych rzeczy. – Uśmiechnęła się słodko. – Z poprzedniego mojego raportu już wiesz, że Chen pracuje dla sierżanta szefa Lewandowskiego.

Skinął głową.

– Lewandowski to pionek, oczywiście. Wpadł na pomysł, jak się dorobić fortuny, i właśnie go z sukcesem realizuje. Dogadał się z Chenem i tak się polubili... – zawiesiła głos. – A może inaczej: tak bardzo stali się sobie niezbędni, że są właściwie nierozłączni. Jeżeli chodzi o ich los. Żeby było śmieszniej, interes Lewandowskiego jest właściwie legalny. Oni handlują już raz wykorzystaną kawą, co jest tutaj uznawane za odpad, rodzaj śmieci. Ale oczywiście pan sierżant jest na swój sposób sprytny i kłuć w oczy ludzi nie chce. Wymyślił sobie, że znajdzie władnego protektora.

– Wywiad sił lądowych?

– Mhm. A konkretnie, generała Kawalca.

– Tak wysoko?

Potwierdziła ruchem głowy.

– Posłuchaj, Lewandowski kręci fortunę. Kiedy się spije, to żartuje, że kupi sobie u nas księstwo i będzie księciem. Tu naprawdę jakieś niewyobrażalne pieniądze wchodzi w grę. I dlatego Chen za góry złota zorganizował siatkę, która panu generałowi dostarcza naprawdę pierwszorzędnych informacji. I to, w rozumieniu polskiego podatnika, za darmo.

– I dlatego pan generał kryje dupę przyszłym książętom? – zakpił Rand.

– Nie inaczej. Ma pod nos, czego zażąda, nic za to nie płaci, więc będzie osłaniał tych dwóch przed ludzką zazdrością i niezyczliwością dokładnie do momentu, aż przestaną mu być potrzebni. Ale oni doskonale o tym wiedzą,



zdają sobie sprawę z kruchości kopuły ochronnej, więc każdego dnia sumiennie i skwapliwie dowodzą, że są absolutnie niezbędni.

– No tak. Bardziej sumienni niż zwykli pracownicy wywiadu.

– No. – Uśmiechnęła się rozbijającą. – Lewandowski może mądrym filozofem nigdy nie zostanie. Ale głupi to on ewidentnie też nie jest.

Rand przygryzł wargi.

– No niestety... widzę.

– W raporcie masz wszystkie szczegóły, które udało mi się zgromadzić na temat osoby pana generała Kawalca. O drobiazgach sobie przeczytasz, a powiem ci o najważniejszym. To generał Kawalec jest bezpośrednim sprawcą wysłania polskich doradców wojskowych do garnizonu w Kong. Chłopaki mają ogromne prerogatywy i trzęsą tam wszystkim.

– Konkretnie czym?

– A konkretnie, to wywołali kolejną wojenkę z Królestwem Shah, lecz tym razem to imperium ma wygrać. Nie wiem, potrzebowali jeńców do remontu drogi, który natychmiast podjęli, czy potrzebują spokojnego zaplecza do zimowej operacji.

Rand tak zacisnął dłonie na krawędzi blatu, że zbieleły mu kostki.

– Jakiej operacji?! – spytał szeptem. Nie mógł powstrzymać emocji. Cała rzecz stawała się coraz bardziej zagadkowa.

– Nie wiem. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Ale troszkę sobie wymyśliłam.

– Co?

– Doradcy nie mogą przebroić armii imperium w polską broń, bo układ międzypaństwowy tego nie przewiduje. Ćwiczą jednak nowoczesną taktykę, najpierw w warunkach zbliżonych do polowych, a teraz wręcz na wojence, którą wywołali. No i... dziewczyny ćwiczą też osłonę pojazdów bojowych, choć takich przecież nie mają na wyposażeniu.

– Pojazdów bojowych? – powtórzył Rand. – A droga do Kong jest remontowana...

– Tak jest. I jeszcze jedno. Polacy co prawda swojej broni nie mogą dostarczyć, ale dziewczyny z garnizonu mają już doskonałej jakości zimowe mundury.

– Bogowie... Rzeczywiście szykują kampanię zimową. – Nie był pewny, co w Kong uważa się za zimę, ale wszystko wskazywało, że to tuż-tuż. – I ten remont. Dokąd prowadzi ta droga?

- Gdyby ją przedłużyć, to na płaskowyż Banxi.
- No ładnie. – Puścił krawędź blatu i odchylił się na oparciu krzesła. – Pozostaje tylko odgadnąć, co pan Kawalec widzi w Banxi.
- Nie wiem, co on widzi. Jednak następuje tu szereg dziwnych koincydencji.

Spojrzał na nią ostro. Przecież jego agentka nie mogła mieć zielonego pojęcia o misji Tomaszewskiego, mającej na celu wyjaśnienie tego, co się stało na pokładzie statku „Gradient”. A to ta sama okolica. Nie mogła mieć też pojęcia o ostatniej wyprawie księcia Osiatyńskiego. Nie mogła wiedzieć o zainteresowaniach Wszyńskiej.

I najwyraźniej nie wiedziała. Do mozaiki o już dziwnym układzie dorzuciła kolejny kamyczek.

– A teraz trzymaj się krzesła. W Kong Polacy zainstalowali bardzo silną radiostację. I taki radiotelegrafista, rzucony rozkazem gdzieś na koniec świata, w zapadłą okolicę, też chciałby użyć życia. Też w końcu człowiek, też mu się coś ze stołu należy. No i co sprytniejsi wielmoże już się zorientowali, że za obfitą daninę w złocie można stamtąd wysłać wiadomość do Negger Bank sto razy szybciej niż Imperialnym Ekspresem.

Rand zaczął się śmiać. Prywatna przedsiębiorczość po obu stronach po prostu budziła podziw i łamała wszystkie bariery.

- Kawalec o tym wie?
- Ależ oczywiście. Dzięki brudnym, osmarkanym nosom spółki „Chen i Lewandowski” wetkniętym gdzie trzeba ma na biurku każdą nielegalną wiadomość, zanim ta jeszcze dotrze do adresata.
- I patrzy na proceder przez palce?
- On też głupi nie jest. Nie będzie przecież ścigał swoich radiotelegrafistów za łapówki od miejscowych, skoro może się w ten sposób dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. I patrz, to jest system, wszyscy zadowoleni!

Westchnął cicho. No tak. Wszyscy zadowoleni. A kto będzie górą, okaże się jak zwykle na samym końcu.

- A co chciałaś mi powiedzieć? – spytał.
- Coś o dziwnych koincydencjach. Otóż... – zawiesiła głos – ja też wiem, co się nielegalnie przesyła za pomocą radiostacji w Kong. I jedną z takich wiadomości pozwoliłam sobie wycofać z drogi na biurko generała, zanim zdążył ją przeczytać.

- Do kogo adresowana?
- Do ciebie. Pewnie ją niedługo dostaniesz normalną drogą. A ode mnie masz szybciej i z gwarancją, że tylko dla twoich oczu.
- Był coraz bardziej zaciekawiony.
- Od kogo ta wiadomość?
- Od Shen.
- Drgnął, nieprzygotowany na zmianę zakresu poruszanych tematów.
- Shen do mnie?
- Owszem. Píše, że była w jakiejś starej zakonnej bibliotece. I musi się pilnie z tobą zobaczyć. Szczegóły masz tu, w papierach.
- Rand zmarszczył brwi, myśląc intensywnie.
- I jak to się ma do kamyczka pasującego do dziwnej mozaiki? Shen i stara zakonna biblioteka?
- Która leży niedaleko drogi do Banxi – dokończyła za niego śliczna agentka.



## Rozdział 7



**D**rzwi kabiny na orp „Poznań” otworzyły się z cichym zgrzytem. Admirał Wentzel zaczął machać otwartą dłonią przed twarzą.

– O! Aleście tu nadymili, panowie – powiedział. – Trzeba jakoś wywietrzyć.

Kazał zostawić otwarte drzwi i do tego otworzyć dwa bulaje. Było to karygodne złamanie przepisów dotyczących obchodzenia się z materiałami opatrzonymi pieczęcią: „Ścisłe tajne – specjalnego znaczenia”. Ale admirał, jak widać, może wszystko.

O poranku wyglądał świeżo i kwitnąco. W przeciwieństwie do nich, wymęczonych i wyplutych po nocy spędzonej nad setkami stron tajnych papierów.

– Zamówiłem dla was śniadanko.

– Wolałbym wziąć kąpiel – mruknął Rosenblum, rozciągając ramiona.

Powiew chłodnego powietrza, który wtargnął do kabiny, wbrew pozorom podziałał na obu „skazańców” usypiająco. Dopiero teraz zdali sobie sprawę z ogromu zmęczenia. Tomaszewski powoli masował sobie twarz, na której zdążył pojawić się zarost.

– Spokojnie, spokojnie, nie martwcie się, nie będę was długo trzymał. – Admirał zajął swoje miejsce za biurkiem. – Zanim pójdziecie się wyspać, chciałbym jednak poznać wasze wrażenia z lektury na gorąco.

Coś musiało być w spojrzeniach, którymi go zmierz yli, bo cofnął się, opierając plecy o skórzane oparcie fotela.

– No co? To mnie można współczuć. Ja będę teraz musiał przeliczyć wszystkie kartki przed schowaniem do sejfu i opieczętować ponownie.

Hipokryzja władz czasem bywała nie do zniesienia, ale Tomaszewski wolał nie komentować. Opuścił dłonie i spojrzał przed siebie niezbyt przytomnie.

– Jestem chyba zbyt zmęczony, żeby teraz formułować jakieś wiążące wnioski – powiedział.

– Ależ nikt tego od ciebie nie wymaga. – Wentzel potrząsnął głową. – Bardziej zależy mi na waszych wrażeniach. Na gorąco, pierwsze skojarzenia po zapoznaniu się z aktami.

– No cóż... – Rosenblum zerknął na Tomaszewskiego i wzruszył ramionami. Też najwyraźniej wzięłyby prysznic i poszedł spać, żeby dać czas myślom na ułożenie się w głowie. – Tak na pierwszy rzut oka mamy do czynienia z dziesiątkami prawie identycznych historii z bardzo podobnym zakończeniem. Aż dziw, że nic wcześniej nie wyszło na jaw.

– Co masz na myśli? – spytał Wentzel.

– No przecież ci ludzie po jakimś czasie od zniknięcia ze swoich wioseczek czy miasteczek zaczęli wieść normalne życie. Pokazywali się publicznie, pracowali, i to wcale nie w zakładach zamkniętych przecież, bywali w restauracjach, kinach, teatrach, na ulicach wielkich miast. I co? Nikt z ich rodzin czy znajomych nigdy ich nie rozpoznał? Nie trafił na nich przypadkiem?

– A co niby chłopci z zapadłych wsi mieliby robić w pięciogwiazdkowych restauracjach metropolii? – zaoponował Tomaszewski. – Tym bardziej w teatrach?

– To śmietanka inżynierów i naukowców. Ich zdjęcia często ukazywały się w prasie.

– Ale branżowej albo bardzo poważnej, opiniotwórczej. Nie w brukowcach z plotkami, które może i ktoś przegląda na wsi czy na prowincji!

– Zaraz, zaraz, panowie. – Wentzel powstrzymał rodzący się konflikt pomiędzy zmęczonymi mężczyznami. – Mam wrażenie, że podchodzimy do sprawy od tylnej strony. Poproszę o wasze pierwsze wrażenia po zapoznaniu się z aktami.

Tomaszewski wzruszył ramionami.

– Wszystkie historie są praktycznie takie same. Jedyne różnice wynikają z przypadkowych kłopotów, które przytrafiły się tym ludziom po... – zawiesił głos, nie wiedząc, jakiego słowa użyć. – Po? – Zerknął pytająco na Rosenbluma.

– Po przemianie – zaryzykował komandor i skrzywił się, jakby powiedział coś niestosownego.

– Takie macie wrażenie? – zainteresował się admirał.

– No a jak to ująć? – Tomaszewski przygryzł wargi. – Nagle jakiś nieważny człowiek gdzieś na prowincji zapada na dziwne zapalenie opon mózgowych. Cholera wie co oni tam zdiagnozowali w tych malutkich szpitalach. Może wszystko podciągali pod zapalenie? Każdą chorobę, której objawami jest pozbawienie świadomości.

– Wymyślili sztywność karku, żeby im pasowało?

– Oj, nie jestem lekarzem. W każdym razie po wyprowadzeniu z tego stanu chorzy podlegali niesamowitym przemianom.

– Mówili obcymi językami? – podpowiedział Wentzel.

– Otóż nie. Sprawdziliśmy to dokładnie. Nikt z nich nie przeszedł nagle na ugrofiński czy staroarabski.

– Tak, to nieporozumienie kogoś, kto źle interpretował zapisy – dodał Rosenblum. – Oni używali dziwnych słów, mówili w dziwny sposób, a nie używali obcych języków.

– Czyli co nastąpiło?

– Pokażę to w sposób przerysowany. Jeśli ktoś do tej pory mówił, nie artykułując za bardzo: „Eee, dajna mie kartochli” – Rosenblum dowiódł, że ma spore talenty kabaretowe w naśladowaniu sposobu mówienia najniższych warstw społecznych – to jeśli nagle zacznie mówić: „Czy nie miałabyś nic przeciwko, żeby podzielić się ze mną sałatką ziemniaczaną” – tym razem wypowiedział słowa z uniwersytecką manierą akcentowania każdej zgłoski – to niewątpliwie zostanie uznany za osobę, która nagle zaczyna „mówić dziwnie”.

Wentzel zaczął się śmiać.

– No tak – mruknął. – A rzeczywiście poruszamy się ciągle w obrębie jednego jedyne go języka polskiego.

– Właśnie – powiedział Tomaszewski. – A jeśli do tego dodamy niecodzienny akcent, którego nie za bardzo mogą się pozbyć inżynierowie,

to mamy w rezultacie: „zaczynali mówić dziwnym językiem”, stwierdzone ciągle w aktach.

– I co o tym sądzicie?

– Ja mam wrażenie, jakby ktoś sterował tą niecodzienną chorobą – rzucił Tomaszewski. – Jakby miał niewielki wpływ na to, gdzie pojawi się następny przypadek. Ale tylko zgrubnie. Jeśli chodzi o rejon, a nie o konkretne miejsce, a już na pewno nie konkretną osobę.

– Bo?

– Łatwiej ukryć takie rzeczy na prowincji. Łatwiej później „zmienionym psychicznie” ludziom ukryć się przed „byłymi” rodzinami w wielkich miastach.

– A ja się z tym nie zgadzam – zaproponował Rosenblum. – Po prostu w wielkich miastach są wielkie szpitale i wielcy specjaliści. Diagnozy były bardziej zróżnicowane, niepasujące do łatwego wzorca „zapalenia opon mózgowych”, leczone inaczej dały inne rezultaty. A nawet jeśli nie, to „dziwny język” nie zwrócił w miastach tak wielkiej uwagi. Tym bardziej że akcent może się zmieniać po chorobach związanych z mózgiem.

– Hm... – Wentzel przenosił wzrok z jednego na drugiego. – Czy macie, panowie, jakiś pomysł na temat tego, co to może być?

Zapadła męcząca cisza.

Tomaszewski mimo kaca tytoniowego po nieprzespanej nocy przełamał się i zapalił papierosa. Rosenblum przecierał piekące oczy.

– Co? Mamy się przyznać, że podejrzewamy działanie wampirów psychicznych? – spytał.

Admirał nie dał się zaskoczyć.

– Przyznacie jednak, że sprawa jest, delikatnie mówiąc, niecodzienna i nie poddaje się szablonowym próbom rozwiązania.

– Jeśli nieszablonowe działanie ma polegać na wzbudzeniu w sobie wiary w wampiry, to ja się chyba z wywiadu wypiszę.

Wentzel przeniósł wzrok na drugiego rozmówcę.

– Krzysiek?

Tomaszewski właśnie zaciągał się dymem. Zdołał jednak stłumić kaszel i powiedzieć w miarę opanowanym głosem:

– A może jednak coś jest w miejscowych legendach? Jak do tej pory się sprawdzają.



– No nie! – Rosenblum gwałtownie potrząsnął głową. – On nam każe uwierzyć w czary.

– W jakie legendy? – zapytał rzeczowo Wentzel.

– Wszystko jest w moim raporcie. A streszczając, można powiedzieć tak: ten świat jest pułapką stworzoną przez Bogów na potwory zwane Ziemcami. Ci tutaj, po tej stronie gór, są odbiciem innych światów stworzonych przez Bogów. Tu działają czary, magia skupia się w matecznikach stwórców, można z niej czerpać i z niej korzystać. My, po tamtej stronie gór, jesteśmy odbiciem, prawie kopią świata Ziemców. Jesteśmy racjonalni, mamy technologię. Ale... Jesteśmy braćmi tych tutaj. Kiedy przyjdzie czas inwazji potworów, zjednoczymy się i razem stawimy im czoła. Co, moim zdaniem, właśnie następuje.

– Stek bzdur – warknął Rosenblum. – Jeśli inwazja następuje, to gdzie ślady lądowania ich ogromnych statków kosmicznych?

– Żadnego lądowania nie było.

– Więc jak się tu dostali? Dzięki czarom?

– Może to nie czary, tylko technologia?

– O?

– Technologia, której nie rozumiemy. I dlatego wydaje nam się cudowna.

– Ożeż...!

– Panowie! – Wentzel podniósł dłonie. – Albo wyjmijcie z kabur wasze pistolety, idźcie na korytarz i załatwcie sprawę jak oficerowie, albo zacznijcie dyskutować! Bo na razie wrzeszczycie na siebie niczym dzieci walczące o łopatkę w piaskownicy.

– Ale...

– Dość tego!

Wentzel, chcąc się uspokoić, zaczął porządkować papiery na biurku. Nie tolerował kłótni między swoimi ludźmi, bo wiedział, że do niczego nie prowadzą. Wiedział też, niestety, że w tej sprawie żadne rozwiązanie nie będzie satysfakcjonujące. Podniósł głowę dopiero po upływie dobrej minuty.

– Czy naprawdę wierzysz, że czary działają?

Tomaszewski przełknął ślinę.

– Proszę o pozwolenie na zachowanie milczenia w tej sprawie – powiedział sucho.

– Nie zezwalam!

Krzysztof wciągnął z sykiem powietrze. Wiedział, że żadne wzdychanie, pokasywanie ani wycieranie nosa nie oddalą tej chwili za bardzo.

– Mmm... To nie jest coś, o czym można przeczytać w bajkach o czarodziejach, to...

– Tak czy nie?! – przerwał mu Wentzel.

Tomaszewski poczuł, że musi się wznieść na same szczyty odwagi cywilnej. Musiał powiedzieć słowa, które nie miały prawa paść na żadnej sztabowej naradzie nigdy i nigdzie na świecie. Nagle przypomniał sobie wszystkie rzeczy, które przeżył razem z Kai, i wszystko to, co trochę umykało jego obserwacji, bo nie mógł faktów wyjaśnić racjonalnie.

– Tak czy nie? – wysyczał admirał.

– Tak.

Odetchnął z ulgą. Rosenblum przeciwnie. Coś nim zatrzęsło. Jedynie Wentzel siedział nieporuszony.

– Tak – powtórzył. – Choć mam wrażenie, że to efekt działania jakiejś technologii, o której nie mamy pojęcia.

– Dobrze. – Wentzel stał się teraz skrajnie pragmatyczny. – Przyjmijmy więc, że tak jest. No i wracając do sprawy, którą wszyscy znamy, spróbujmy spojrzeć na nią z nowego punktu widzenia. Zakładamy, że istnieje jakaś cudowna technologia pozwalająca ludziom na... – zawahał się po raz pierwszy – na zagnieżdżanie się w głowach innych ludzi. To... czy mamy do czynienia z jakimś rodzajem inwazji?

– Tak – znowu Tomaszewski był zdecydowany.

– Tak, tak – przedrzeźniał go Rosenblum. – I ci inwazyjni inżynierowie wyposażyli nas w tak upiorną broń jak Agregat! Maszynę zwaną Dużym Jasiem! Coś, co może zakończyć życie na całej planecie. A na razie przepaliło Góry Pierścienia na wylot!

– My też wyposażamy imperium w broń i jednocześnie dokonujemy tu cichej inwazji.

– A dokonujemy?

– Nie no, oczywiście. Bierzemy sobie, co chcemy, a oni po prostu grają w naszej drużynie i zasadniczo robią, co chcemy.

– Ale my mamy za to ropę, uran, węgiel! A co mają od nas ci inżynierowie?!

– Nie wiemy! Tak jak imperium nie zna wartości ropy naftowej!

– To bzdury.

– Panowie! – Wentzel znowu musiał interweniować. – Rozstrzygnijcie szybko, czy wychodzicie i strzelacie do siebie, czy zostajecie tutaj. Jeśli to drugie, to nakazuję spokój! Meldować zrozumienie rozkazu!

– Tak jest!

– Tak jest!

– No. I pamiętajcie, że nie ma sensu rozpatrywać czegoś, czego i tak tu nie rozstrzygniemy. Chciałbym poznać waszą opinię o faktach.

Tomaszewski zaczął masować czoło. Mniej więcej wiedział, o co chodziło Rosenblumowi. On nie chciał po prostu zanurzyć się w jałowych rozważaniach: „Jak oni robią to, czego nie wiemy, czy robią”. Słuszna postawa. Ale też tym razem należało wyjść poza ramy rutynowych działań. Jakiegokolwiek wypracowane dotąd procedury zawodziły ewidentnie i nie miało sensu krzyć, że są po prostu nieprzydatne. Sam też nie chciał mieć pustych przypuszczeń, jednak na potrzeby operacyjne musieli coś ustalić.

– Dobrze – powiedział ugodowo. – Wypadkami w kraju i tak zajmują się nasze służby, które są tam, na miejscu. Spróbujmy więc zrekapitulować to, co wiemy o inżynierach tutaj.

– Nareszcie coś rozsądnego. – Rosenblum nagle zdał sobie sprawę, że mówi przy admirale, sugerując tym samym, że zwierzchnik do tej pory nie powiedział nic, co miałoby związek z rozsądkiem. Zacisnął zęby, wciągając powietrze. Ale gafa. No trudno. Wiedział, że najgłupszym rozwiązaniem, jeśli już się popełniło faux pas, jest przeproszenie za to.

Wentzel tylko przytaknął.

– Zgadzam się – powiedział sucho. – Spróbujmy zatem wypowiedzieć się o inżynierach, których znamy osobiście. – Rozejrzył się po obecnych. – Słucham?

Tomaszewski, niewiele myśląc, zaryzykował.

– Oni znali Osiatyńskiego.

Rosenblumowi o mało nie wypadła z rąk papierośnica, którą właśnie wyjmował z kieszeni.

– Eee... A różnica lat między nimi? Sądzisz, że stratosferyczny księżę żył tak długo?

– Źle się wyraziłem. Miałem na myśli, że ich krąg, nie wiem, ich cywilizacja, ich... pfff... – zatoczył ręką koło w powietrzu, nie mając pojęcia, jakich słów użyć – posiadają jakąś wiedzę, którą dostarczył im Osiatyński.

– O czym konkretnie mówisz?

– O tym, że oni za dużo o nim wiedzą. Znają zbyt wiele faktów powiązanych z Wielkimi Lasami. Na przykład byli wyraźnie rozczarowani, kiedy Kai pokazała im w bazie Sait pamiątki po Osiatyńskim.

– Jaki z tego wniosek?

– Stąd wniosek, że oni już wcześniej wiedzieli, że to, czego szukają, nie znajduje się w Lesie, który wcześniej odwiedził stratosferyczny książę. Shen znalazła pamiątki po nim w świątyni, w związku z tym zrozumieli, że to nie ten Las.

– Hm... – Wentzel potarł brodę. – To by znaczyło, że... – zawahał się. – No fakt. Wiedzieli więc, że dzwoni, nie mieli tylko pojęcia, w którym kościele.

– Drugi zadziwiający fakt. Wyszyńska z kolegami doprowadzili do tego, że wysłano ich z misją geologiczną. Notabene warto by sprawdzić, kto ich konkretnie wysłał. Bo to jednak niecodzienne zjawisko. Do ściśle limitowanej wyprawy, jeśli chodzi o liczbę osób, włączyć specjalistę od lamp elektronowych na etacie geologa. To jest wyższa szkoła jazdy w mataczeniu.

– Sprawdzę to.

– Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Wyszyńska z kolegami odłączyła się od wyprawy, podejmując własny marsz na Syrinx. I od razu znalazła tam kapsułę lądownika księcia Osiatyńskiego wraz z jego odręcznymi notatkami.

– Skąd wiedziała, że akurat tam należy szukać?

– No właśnie. Skąd? – Tomaszewski odchylił się niebezpiecznie na oparciu krzesła. Od ciągłego siedzenia bolał go już kręgosłup. – Zapytałem ją o to, oczywiście.

– I?

– Nakłamała mi w żywe oczy. Powiedziała, że doszły ją słuchy o opowieściach tubylców ze Złych Ziem o latającej metalicznej kuli, która wylądowała w ruinach stolicy Luan.

Rosenblum potwierdził energicznym skinieniem.

– Oczywiście, że nakłamała – powiedział. – Balon stratosferyczny w momencie lądowania, to znaczy od chwili kiedy można go dostrzec gołym okiem, nie jest kulą! Przypomina raczej ledwie napełniony flaczek.

– Może więc tubylcom chodziło o kształt kapsuły? – zapytał admirał.

– Kapsuła nie jest kulą. – Tomaszewski potrząsnął głową. – Przypomina raczej autobus. A poza tym Wyszyńska mówiła o „metalicznej kuli”. Sprawdziłem. W oryginale kapsuła została pomalowana importowaną farbą Skylax, a ona ma barwę idealnej czerni, jeśli oczywiście w przypadku czerni w ogóle można mówić o barwie. Widziałem zresztą na własne oczy resztki tej farby.

– Oj, tubylcy mogli coś pokręcić.

– Dowiedziałem się od Randa. Na Złych Ziemiach nie ma i nie było nigdy żadnych tubylców.

Admirał westchnął ciężko, a właściwie wypuścił z sykiem powietrze.

– Jakież pomysły?

– Interesuje ich coś ukrytego w którymś z Wielkich Lasów. Być może chodzi o pomnik Achai, a konkretnie, jej zwłoki, a może nie. Wielki Las, a w tej chwili już wiedzą, że prawdopodobnie chodzi o Banxi.

– Hm... – Admirał oparł na biurku łokcie, a na złożonych dłoniach swój podbródek. Trwał tak dłuższą chwilę. – Tam zaginęła załoga „Gradienta”, prawda?

– Istotnie. I też warto sprawdzić, kto konkretnie posłał tam statek badawczy i w jakim celu. Mnie nie udało się dowiedzieć.

Rosenblum postanowił się włączyć.

– Warto by zerknąć na świątynię dzikich w Sait. I sprawdzić, czego szukał tam Osiatyński.

– Myślę, że za późno. Bazę w Sait objęły wojska lądowe i one prawdopodobnie to badają – uśmiechnął się Tomaszewski. – A na pewno już, co wiem od Siweckiego, przeprowadzają tam eksperymenty na dzikusach.

– No ładnie. – Wentzel podniósł głowę. – Pozostaje nam sprawdzenie, co takiego znajduje się w Banxi.

– Słusznie! – Rosenblum ochoczo poderwał się z krzesła. – I tym optymistycznym zewem do działania proponuję zakończyć dzisiejszą naradę. Muszę wziąć równie optymistyczny prysznic i trochę się przespać.

Tomaszewski wyciągnął ramiona w obie strony. On również miał dość na dzisiaj.

– Twój optymizm zniknie jednak, kiedy się dowiesz o paru rzeczach – powiedział do kolegi.

– Jakich rzeczach?

– O tamtych okolicach. Załoga „Gradienta” zaliczyła tam naprawdę ciężkie przejścia. Na morzu coś ich atakowało, ale... spod wody. Cierpieli na chroniczną bezsenność. Mieli straszne zakłócenia w łączności. No i prześladowało ich coś na samym okręcie. Tajemnicze zjawiska sprawiły, że nawet do siebie strzelali.

– No nie mów! – Rosenblumowi oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– No mówię. – Tomaszewski wzruszył ramionami. – Co mam ci kłamać?



Uroczystość nadania Kai tytułu mistrza odbywała się w cesarskim pałacu w Negger Bank. Z kuluarów, z bocznych sal, gdzie goście zbierali się, żeby plotkować po cichu, wiało grozą. Najczystsza, najprawdziwsza, najbardziej okropną zgrozą. Nikt nigdy w całej historii świata nie zmusił jeszcze cechu czarowników do mianowania mistrzynią uczennicy z prowincjonalnej szkoły, która nawet nie ukończyła swojego kursu. Dla każdego stało się jasne, że nastąpił moment przełomowy. Do tej pory przybysze zza gór podobno manipulowali, wdawali się w zakulisowe zagrywki, wywierali naciski, a może nawet podsycali zamieszki. E tam. Polityka, wiadomo. Nikt nie wie, co jest plotką, co kłamstwem, a co prawdą.

Teraz jednak Rzeczpospolita zupełnie jawnie i z całą mocą tupnęła nogą! Przekaz był jasny. Nie będziecie podnosić ręki na moich ludzi! Wara! Dokonaliście zamachu na niezbyt ważną postać w naszych szeregach, na czarownicę, która nawet szkoły nie ukończyła. I za to zostanie upokorzony publicznie cały cech czarowników, a takiego czegoś nie zdołał dokonać żaden mocarz w całej historii świata. I zapamiętajcie sobie dobrze naukę. To kara za podniesienie ręki na jednego z nas. Wyobraźcie więc sobie, co się stanie, jeśli przyjdzie wam myśl, żeby ugodzić kogoś znacznie ważniejszego.

Czarownicy zaproszeni (jeśli rozkaz osobistego stawienia się można nazwać zaproszeniem) na uroczystość zachowywali kamienne miny. Dostojnicy usiłowali nie komentować. Pałacowe plotkarki nie dość, że kryły się po kątach, to jeszcze ściszyły głosy najbardziej jak mogły. Nienaturalna cisza jednak paradoksalnie sprawiła, że sama uroczystość wypadła szczególnie znacząco i dostojnie.

– No ładnie, ładnie – szeptał Tomaszewski do ucha Randa. – Nie sądziłem, że cesarzowa tak łatwo zgodzi się wywrzeć nacisk na Radę Czarowników.

– Wie, skąd wiatr wieje, przecież. – Rand nieznacznie się nachylił. – Głupia nie jest.

– I naciski pałacu wystarczyły, żeby ich złamać?

– Nie mówmy o naciskach. To było ultimatum.

Obserwowali, jak prowadzący ceremonię zawiązuje na głowie Kai chustę mistrza. Czarownica, ubrana w galowy mundur marynarki wojennej (damską wersję ze spódnicą musiano w trybie pilnym sprowadzić aż z Polski), wyglądała zjawiskowo. Ktoś do paczki z mundurem dołączył zestaw nowoczesnych środków do makijażu. Damy dworu bowiem syczały z zazdrości na sam widok.

– No tak, dziwi mnie jednak, że zgodziła się na upokorzenie rady.

– Widzi w tym swój interes. Upiekła własną pieczeń przy waszym ogniu. Tomaszewski uśmiechnął się sceptycznie.

– Co? Rada dawała jej się we znaki swoją niezależnością?

– Tak jakby.

– Hm. Ciekawi mnie w takim razie, na kim się oprze w razie jakiegoś konfliktu z rp.

Tym razem uśmiechnął się Rand. I to wyjątkowo zjadliwie.

– Czarownicy i specsłużby gruchają sobie wzajemnie, spoglądając w oczy. Więc kto jej w razie czego zostanie?

Tomaszewski rozłożył ręce.

– Ty.

Rand ukłonił się kpiąco.

– No właśnie. No właśnie, o to chodzi. – Usiłował nie chichotać. – Najbardziej lubię, kiedy rzeczy przyjemne są jednocześnie pożyteczne.

Musieli się uspokoić, bo następowała właśnie najbardziej podniosła część uroczystości. Niestety, zakłócona przez nieprzewidzianą przeszkodę natury technicznej. Prowadzący ceremonię chciał nałożyć Kai na głowę jej kapitańską czapkę. A w tym przeszkadzał węzeł zawiązanej wcześniej chusty, której końcówki zwisały na lewej skroni. Musiał przekrzywić czapkę na prawo i jakoś ją przymocować. Dziewczyna wyglądała w tym trochę zawadiacko. Ale też, sądząc po cichych syknięciach, damy dworu oceniły jej wygląd jako godny zazdrości.

– Shen się odezwała – szepnął Rand, zmieniając temat.

– Jakim cudem?

– Pomińmy techniczne opisy. Przekazała wiadomość, że ma nam coś do zakomunikowania. Czy możemy jakoś do niej dotrzeć?

Tomaszewski zaprzeczył ruchem głowy. Wiedział, w jakim mniej więcej rejonie znajduje się Shen.

– Za daleko, jak na wiatrakowce. A czterosilnikowej łodzi latającej nikt mi nie da ot, tak sobie.

– Szkoda. Z wiadomości wynika, że to coś bardzo ważnego.

Tomaszewski zastanawiał się, jak wiele z planów sztabu może zdradzić sojusznikowi. Teoretycznie nie powinien. Po chwili uznał jednak, że przecież nie ma konkretnych planów, a jedynie mgliste zamierzenia, więc niczego nie zdradzi.

– Jeśli to nie jest szczególnie pilne, to może zaczekajmy do operacji marynarki, która prawdopodobnie odbędzie się w tamtym rejonie.

– O? Nie będzie jedyna.

– Słucham?

– Wojska lądowe też szykują się tam do poważnych działań.

Rand długo delectował się efektem, który osiągnął. Postanowił dołożyć do ognia.

– Wiem też, dla kogo pracuje Chen, który kupił sukienkę od kurwy, której na plecach narysowałeś fragment wybrzeża. I wiem również, dla kogo pracuje facet, który zatrudnił Chena.

– Wojska lądowe?

– Tak.

– Generał Kawalec?

– Tak.

Tomaszewski usiłował sprawić, żeby zmiany na jego twarzy nie były zbyt widoczne. Spokojnie, wystudiowanym ruchem zapalił papierosa, wciągnął dym i długo przetrzymywał w płucach.

– No to dobrze – mruknął. – Jak tak, to tak.

– Załatwisz jakiś transport?

Tomaszewski przytaknął.

– Najpierw jednak muszę wstrzymać kilka spraw, a parę innych przyspieszyć. Potem zobaczymy, czy jeszcze osobny transport będzie potrzebny.



Rand zrozumiał w lot.

– No to świetnie. Spróbujmy się spotkać w bardziej sprzyjającym otoczeniu i porozmawiać otwarcie.

– Dobrze.

Nie mogli dłużej wymieniać się uwagami. Z boku podszedł wysokiej rangi lokaj i zgiął się w ukłonie.

– Wybaczcie, panowie oficerowie.

Z drugiej strony zbliżyła się dama do towarzystwa, ujęła Randa za ramię i z dużym wdziękiem pociągnęła w stronę stołu z zakąskami. Wszystko zgodnie z zasadami etykiety. Najwyraźniej wiadomość była przeznaczona wyłącznie dla Tomaszewskiego.

– Wielki panie! – Lokaj zgiął się jeszcze niżej. – Czarownik, mistrz szkoły w Danoine, chciałby zamienić z tobą słowo w kaplicy Wszystkich Bogów. Kaplica łączy się z salą audiencji ażurową ścianą, nie umknie więc wam, panie, ani jeden szczegół odbywającej się tu uroczystości.

Tomaszewski skinął głową. Nie był za bardzo ciekaw, co nastąpi dalej. To był dzień Kai i niech tak zostanie.

Lokaj poprowadził go do znajdującej się z boku kaplicy, bardziej jednak przypominającej wygodny pokój konferencyjny. Nawet ołtarz zasłonięto gustownym nakryciem we wschodnie wzory. I rzeczywiście. Od głównej sali, gdzie odbywała się ceremonia, dzieliła ich tylko półprzezroczysta ściana z przęsł podtrzymywanych małymi kolumnkami.

Starzec, który siedział na oszczędnie zdobionym szezlongu, uniósł się i pochylił z szacunkiem. Nie był to ukłon, ani pałacowy, ani zwykły, nie było to też jednak zdawkowe skinięcie głową. Postawił tym samym Tomaszewskiego w trudnej sytuacji: czy odpowiedzieć na takie powitanie salutem, czy właśnie skinięciem. Wybrał nieoficjalne i niedbałe machnięcie palcami przy daszku czapki typu: „Dwa piwa proszę”. Starzec jednak nie zamierzał wdawać się w meandry dworskiej etykiety. Wskazał miejsca przy małym stoliku zastawionym słodyczami.

Kiedy usiedli, zmierzył przybyłego badawczym wzrokiem.

– Dziękuję, że przyjąłeś, panie, moje zaproszenie – powiedział, głaszcząc swoją długą brodę. – Jestem mistrzem pustynnej szkoły w Danoine. Tak, tak, tej samej, w której Kai pobierała nauki.

– Nie chcesz się zobaczyć ze swoją uczennicą, mistrzu? – odpalił Tomaszewski bezceremonialnie. W jego rozmówcy było coś... może nawet

nie tyle niepokojącego, co drażniącego po prostu.

– A tak, zobaczę się z nią na pewno i złożę gratulacje – zgodził się starzec. – I być może nawet powstrzymam się, żeby nie powiedzieć, co o niej myślę.

– Potępiasz własną czarownicę?

– Mówiąc „własną”, co masz na myśli, panie?

No tak. Rozmowa od samego początku zaczęła przypominać rodzaj słownego ping-ponga, czyli kolejną próbę zbadania zawłości bioder i pośladków panny Maryni. Ale starzec sam sobie był winny. Tomaszewski zrozumiał nagle niechęć Kai do swoich byłych nauczycieli i wieczne narzekania, ilekroć rozmowa zboczyła na ten temat. Mistrz nie budził sympatii. Znać było belfra z dziada pradziada.

– Czemu zawdzięczam przyjemność wspólnej rozmowy? – zapytał więc oschle.

Stary zamyślił się. Najwyraźniej nie zamierzał odpowiedzieć na pytanie wprost. Patrząc z boku, miało się wrażenie, że szepce do siebie coś niezrozumiałego. Albo roztrząsał w myślach jakieś pradawne dzieje, albo cierpiał na uwiąd starczy. Ewentualnie jedno i drugie.

– Czy dobrze znasz Kai? – zapytał nagle.

Zaskoczył tym Tomaszewskiego.

– Dość dobrze – odparł.

– A jak długo zajęło ci, panie, dowiedzenie się, że jest czarownicą?

– Powiedziała to praktycznie od razu.

– Powiedziała. – Mistrz skinął głową. – Jak wiele czasu zajęło ci, żeby w to uwierzyć? – wprowadził korektę do swojego pytania.

Znowu zaskoczył Tomaszewskiego. Jak długo? – zadał sam sobie pytanie. No zaraz. A czy tak naprawdę teraz już w to wierzy? Czy naprawdę wierzy? Nierozstrzygalny dylemat umysłu od dziecka wychowywanego w racjonalnej cywilizacji, która nie dopuszczała guseł, szamanów ani naiwnych wierzeń. No niby mu udowodniono. No niby widział efekty działania czarów. No niby dotarło do niego, że coś takiego istnieje naprawdę. No niby! Nie do końca. Jego racjonalizm przecież wyraźnie miał zakarbowane w podświadomości: jakoś to przecież da się realnie wytłumaczyć. To, że na razie nie potrafimy znaleźć tego wyjaśnienia, nic nie znaczy. Na razie. Doświadczenia jednak, badanie

przyczyn i skutków wyjawiają tajniki tej... no, jakiego słowa użyć? Tej technologii!

– Milczysz? – ni to zapytał, ni stwierdził mistrz.

Tomaszewski podniósł wzrok.

– Do czego zmierzasz?

– Widzisz, panie. Jest taki gatunek węża, którego jad nie zabija. Więcej, jest on wykorzystywany w leczeniu ludzi. Najwięksi medycy na świecie chcieliby mieć zapas takiego jadu. Niestety, ten gatunek gadów jest niezwykle rzadki. Niełatwo go spotkać, prawie nie sposób odnaleźć. A ty, wybaczone panie, zachowujesz się jak żołnierz, któremu kazano wykopać okop. Znalazłeś gniazdo tych węży i po prostu pozabijałeś je łopata. Bo przecież wąż to wąż. – Starzec pochylił plecy. – Jeszcze raz wybaczone porównanie, panie oficerze.

– A zabiliśmy jakiegoś węża?

– Jeszcze nie. Ale jesteście blisko.

Tomaszewski wyjął papierośnicę i bawił się nią, obracając w dwóch palcach. Kai w głównej sali była właśnie namaszczana przez kapłanów. Na szczęście nie śpiewali na całe gardło, czego już nie raz był tu świadkiem. W tym przypadku zadowolili się szeptaniem jakichś modłów.

– Ja doskonale rozumiem waszą reakcję na to, co usiłowano zrobić z biedną Kai – podjął mistrz po chwili. – To typowa reakcja mocarza i suwerena. Od moich ludzi ręce precz! Albo poucinać! I niech to będzie przykład, który ostrzeże innych.

Tomaszewski chciał coś powiedzieć, lecz starzec powstrzymał go ruchem ręki.

– Więcej – ciągnął. – Jestem pod wrażeniem waszego podejścia. Rzeczpospolita to mocarz o wielkiej kulturze. Zamiast bowiem kazać cesarzowej wprowadzić prawo, że każdy czarownik, który odtąd pojawi się na ulicy, ma być oćwiczony do krwi, rany natarte solą, a on sam wbity na pal, podpalony i poćwiartowany, wy ograniczyliście się jedynie do publicznego upokorzenia Rady Czarowników. I dobrze. – Wzruszył ramionami. – Widać im się należało za pychę i niezwracanie uwagi na sytuację, która diametralnie się zmienia. Nie zaszkodzi im kubeł zimnej wody, a nawet pomyj, wylany na głowę.

– A tu mnie zdziwiłeś, mistrzu – wyznał szczerze Tomaszewski.

Starzec podniósł wzrok. Nie było w nim żadnych emocji. Powoli głaskał swoją długą brodę.

– W każdej opowieści, którą bajarz snuje przy ognisku, ludzie są dobrzy albo źli. W głupiej opowieści świat zawsze dzieli się na dobro i zło. Tymczasem mądry bajarz wie, że ludzie są źli i dobrzy, a także nijacy i szarzy naraz! W każdym człowieku dobro i zło, głupota i mądrość splatają się zawsze w jedno i nie rozróżnisz, które na wierzchu, albowiem nici o różnych intensywnych kolorach splatają się razem i dają wspólną barwę: szarą.

– A jak to się ma do naszych czynów?

– Czarownik, który zaatakował Kai, może nie mieć nic wspólnego z radą. A może też robił to, co dyktowało mu przeznaczenie.

– Widzisz, mistrzu. Należę do kultury, która nie wierzy w przeznaczenie.

– Ale my wierzymy.

– A co ma jedno do drugiego?

– Ano to, panie, że ingerujecie w układ sił, którego w ogóle nie rozumiecie. Zabijacie cenne węże łopata, bo dla was wąż to wąż. A być może czarownik z wioski przy Banxi chciał dobrze i dla nas, i dla was.

Tomaszewski nachylił się nad stolikiem i popatrzył starcowi z bliska w oczy.

– Przykro mi, ale odpowiadam za ludzi, którzy są pod moimi rozkazami. Następny czarownik, który nam zagrozi, będzie dziękował waszym Bogom, jeśli, jak ten, zginie przypadkiem na miejscu.

Starzec pokiwał głową.

– Mówiłem. Ingerujecie w układ sił, których zupełnie nie rozumiecie.

Tomaszewski uśmiechnął się i zdecydował przejść na ton ugodowy. Zapalił papierosa i wyciągnął się na miękkim oparciu.

– Mówiłeś przed chwilą, że człowiek jest jednocześnie zły i dobry, i nijaki. Bardzo słusznie. Mówiłeś, że wkładamy nasze brudne paluchy w coś, czego nie rozumiemy. Również słusznie. Tak jest w istocie. Zawsze jednak możesz mnie oświecić. Wytłumaczyć, co i jak.

Z satysfakcją obserwował, że teraz on zaskoczył mistrza.

– Widzisz – podjął więc natychmiast – nasza kultura wypracowała system negocjacji. Wiadomo, że wojna niszczy wszystko, i przegranych, i wygranych. Każdy traci. Opracowaliśmy więc sztukę negocjacji.

Sprawiliśmy, że nadrzędną wartością jest próba porozumienia się. Porozmawiania ze sobą i wzajemnego zrozumienia.

– Zasada bardzo słuszna – zgodził się starzec.

– No to może objaśnisz mi, co robimy nie tak?

– Mam mówić o czarach człowiekowi, który nie wierzy w czary?

No tak. Miał rację. Całkowity impas. Tomaszewski zapalił papierosa, nie mając pojęcia, co robić dalej. No ale przecież ten obowiązek nie spoczywał na nim. To nie on zapraszał na rozmowę.

– Co więc chcesz mi przekazać, mistrzu? – zapytał, wydmuchując dym.

– Chciałbym powiedzieć o tym, że nie wszystko jest tym, czym wydaje się na pierwszy rzut oka.

Tomaszewski stracił cierpliwość.

– Długo jeszcze będziemy karmić się truizmami?

Mistrz przestał głąskać brodę.

– Chciałbym, żebyś, panie, nie kierował się kapryсами tej młodej czarownicy. Nie ja chciałem przypomnieć, gdzie jej miejsce. Nie ja wysłałem napastnika, który ją zaatakował. A wasza reakcja, mimo że całkowicie uzasadniona, jest skierowana nie przeciw temu, kto jest winny. Pragnę ci powiedzieć, panie, że rada to nie wasi wrogowie.

– Czyż nadrzędnym zadaniem czarowników nie jest utrzymywanie istniejącego porządku rzeczy? – Tomaszewski dowiódł, że zwyczaje czarowników nie są mu obce. – I czyż my tego porządku właśnie nie naruszamy?

– Masz rację – zgodził się mistrz. – Ale pamiętaj. Prawda nie jest jedna jedyna. Mogą istnieć dwie prawdy, tak jak można mieć dwa zdania na temat tej samej rzeczy. To nie my jesteśmy waszymi przeciwnikami. I w pokorze, bez obrazy łykniemy tę żabę. – Wskazał na salę, gdzie odbywała się ceremonia. – Żeby pokazać, że jesteśmy po waszej stronie.

– Już mi to ktoś mówił nie tak dawno. – Tomaszewski przypomniał sobie mistrza Zakonu w ruinach Syrinx.

Starzec westchnął. Najwyraźniej wiedział, o czym mówi obcy oficer.

– Zakon to osobny rozdział, o którym niewiele mam do powiedzenia. Ale on też nie jest jednoznaczny w swym postępowaniu. Być może zdziwi cię wiadomość, że to właśnie Zakon przez stulecia chronił grobowiec cesarzowej Achai. Włącznie z przeniesieniem całej bramy do wnętrza budowli, choć to zakrawa na cud.

– Chronił przed czym?

– Przed działaniami rzeczy stworzonej przez Boga Sepha. Ale jak ci to wytłumaczyć, skoro w czary nie wierzysz?! – Mistrz teatralnie załamał rękę.

– No dobrze. A czy możesz w takim razie wyjaśnić mi pewną rzecz? Nie wnikając za bardzo w czary i tajemnicze zjawiska?

– Pytaj.

– Co takiego szczególnego jest w pomniku cesarzowej Achai? – Tomaszewski zaciągnął się głęboko. – Tym prawdziwym, naturalnej wielkości – dodał, wydmuchując dym przez nos.

Starzec zaczął się śmiać.

– Pomnik cesarzowej Achai. – Potrząsał głową. – Pomnik cesarzowej... Mityczna rzeźba, która odwróci losy świata.

– Czyżby nie istniała?

– Nie wiem. Być może istnieje. – Mistrz uspokoił się i znowu zaczął gładzić swoją brodę. – Być może istnieje.

– Mówiłeś o Zakonie, który jej strzegł przez stulecia. Strzegł zwłok swojej pogromczynie.

– Nie mieszaj dwóch spraw. Zakon chronił grobowiec. A czy mityczny pomnik jest tożsamy z ciałem cesarzowej, tego nie wiem. Ale dobrze... – Czarownik zastygł nagle w bezruchu i zamyślił się, usiłując przypomnieć sobie całą historię.

W sali obok ceremonia zdawała się zmierzać ku końcowi. Ponieważ uroczyste złożenie przysięgi powinno odbyć się wśród kolegów i koleżanek ze szkoły – a polecenie władczynie imperium było jasne: „Natychmiast podnieść Kai do godności mistrza” – w związku z tym radzie nie pozostało nic innego, jak sprowadzić wszystkich uczniów z dalekiego, pustynnego Danoine. Rozkaz to rozkaz, nikt nie śmiał dyskutować. Po młodych ludziach nie widać było trudów podróży. Tłoczyli się zaaferowani w wielkiej cizbie. Nie zajmowali sobie głów polityką. Jedynym łączącym ich uczuciem była tylko czysta, skondensowana zazdrość malująca się na ich twarzach. Zazdrość i oszołomienie przepychem ceremonii. Tomaszewski zdawał sobie sprawę, że dzisiejszej nocy nie będzie mógł się dopchać nawet w pobliże Kai. Zostanie otoczona przez ciekawskie koleżanki, i to kordonem, którego nawet imperialna armia nie zdoła rozerwać.

– I? – Przeniósł wzrok na starca.

Ten ocknął się nagle.

– Pamiętaj, panie, że opowiem ci tylko ułudę prawdziwej historii. Zobaczysz jedynie cień prawdziwej opowieści. Co z tego zrozumiesz, co przyjmiesz, twoja sprawa. Ale to nie będzie prawdziwa opowieść, bowiem prawdziwej nie zna nikt. Przekażę ci tylko miraż utkany ze słów, jeno kalekie odzwierciedlenie prawdziwych spraw.

– Wal śmiało.

– W czasach, kiedy konstituowała się nasza rada, najwięksi mistrzowie usiłowali przeniknąć zasłony czasu i dotrzeć do wydarzeń, które ukształtowały naszą kulturę, stały się fundamentem naszego świata. Zapadali w niebezpieczny trans i brnęli przez niewyobrażalne otchłanie czasu, by po obudzeniu się podyktować zamazane obrazy swoich wizji.

– Rozumiem – przytaknął Tomaszewski. Czytał już o tych eksperymentach czarowników. Był sumiennym oficerem wywiadu i zapoznał się z całą dostępną literaturą przedmiotu, którą pomogła mu zgromadzić Kai. – Poznam jedynie jedną z wersji roboczych, bardziej hipotezę niż obraz prawdziwych zdarzeń.

– Jest tak, jak mówisz.

Starzec pochylił głowę w lekkim ukłonie. Trudno powiedzieć, czy w jego oczach zagościł ślad szacunku, już nie dla siły, lecz dla przenikliwości przeciwnika. W każdym razie na pewno był pod wrażeniem faktu, że ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby zrozumieć nawet obce mity.

– Kiedy Bogowie opuszczali nasz świat, pozostawili po sobie miejsca zwane matecznikami. Miejsca, gdzie działała magia Bogów. Człowiek miał poznać tę magię. Lecz nie od razu, nie u swojego zarania, bo to rzeczy zbyt niebezpieczne. Wszystko spoczywa więc w przetrwalnikach i czeka na moment, kiedy ludzkość będzie gotowa.

– Kiedy nastąpi ten moment? – Już w chwili zadawania pytania Tomaszewski zrozumiał, że jest ono niewłaściwe. Niby skąd tamten miał wiedzieć. Odpowiedź starca zaskoczyła go jednak.

– W chwili kiedy z powodu opresji ze strony Ziemców ludzie potrzebować będą pomocy. Jeśli to nie nastąpi, przetrwalniki zostaną zamknięte na zawsze.

– Aha.

– Nie pytasz, jak je otworzyć?

Tomaszewski uśmiechnął się odruchowo. O to go podejrzewał czarownik? Ale nie. Intencja pytania była inna.

– To człowiek jest kluczem.

– Jakiś konkretny?

– Nie. Grupa ludzi. Zrozum, panie, to wszystko działo się tak dawno, że my nawet nie jesteśmy w stanie za dobrze określić tego słowami. Jak powierzyć misję jednemu człowiekowi? A jeśli zawiedzie? Zatem grupie ludzi? Ale co oni zrobią z tą wiedzą? Nie, nie... To była cała rasa.

– Rasa? Dobrze zrozumiałem? Ludzka rasa?

– Tak. Ludzie, których imiona pochodziły od gwiazd. Ludzie namaszczeni, żeby być elitą najstarszego Królestwa Troy.

– Imiona od gwiazd. – Tomaszewski czytał również i o tym. – Orion, Sirius, Amaltea i Achaja.

– Achaja to jedyny gwiazdozbiór niewidoczny ze świata Ziemiców. – Starzec podniósł oczy.

– To ma znaczenie?

– Nie wiem. W każdym razie to była rasa, która rządziła w Troy. A klucz, czy raczej klucze tkwiły w nich.

– Nie rozumiem.

– Ja, prawdę powiedziawszy, też nie. Przyjmuję po prostu jako wiedzę, która została mi dana.

– Mhm... – Tomaszewski kiwnął głową. Zaciągnął się jeszcze raz, wzrokiem szukając popielniczki. Nie było niczego takiego w pobliżu, więc zgasił papierosa na małej tacce z rodzynkami w syropie. Miał nadzieję, że nikt później nie weźmie oblepionego syropem peta do ust. – Rasa jak rasa – powiedział. – Przecież się rozpuszczała w nowej krwi.

– Właśnie. Prawdopodobnie czas musiał być ograniczony, kiedy klucz będzie działał, a potem już nie. Jego cechy rozplyną się w całej społeczności.

– Tak. Mam pewne podstawy z biologii. Ale w tej materii zakończyłem edukację na szkole średniej.

Starzec chyba nie zrozumiał.

– Niestety, rasa książąt Troy rozrzedzała się. Zamiast łączyć się wyłącznie ze sobą, dopuszczano świeżą krew. To już stawało się nagminne nawet w czasach samej Achai. A potem Troy zaczęło podupadać. Stało się częścią imperium Białej, a tu rządziły zupełnie inne mechanizmy



dochodzenia do władzy niż książęca sukcesja. Szczególnie przy formowaniu się nowego państwa.

– Domyślam się, że dziś członków tej rasy pełnej krwi pewnie już nie ma? To znaczy czystej krwi, chciałem powiedzieć – poprawił się Tomaszewski, chcąc uniknąć rodzącego się w jego mózgu porównania z wierzchowcami.

– A może są? – Mistrz rozłożył ręce. – Kto to wie? Tylko szukaj ich, szukaj...

– To skąd w ogóle wiadomo...

Czarownik przerwał Tomaszewskiemu.

– Poczekaj, panie – powiedział cicho. – Ja w ogóle nie wiem, czy opowiadam ci prawdę. Nikt nie ma pojęcia, ile w wizjach czarowników jest odbicia prawdziwych wydarzeń, a ile fałszywych emanacji ich odurzonych narkotykami umysłów.

Mistrz uśmiechnął się lekko.

– Według jednej z takich wizji ciąg następujących po sobie procesów przekazywania klucza z pokolenia na pokolenie urwał się. Być może jeszcze gdzieś są potomkowie starej rasy o idealnych cechach, a być może nie. Nieważne, bo nie wiadomo, jak ich odnaleźć.

Tomaszewski doznał olśnienia.

– Rozumiem. I jedynym przedstawicielem nieskażonej „starej” rasy, o której wiadomo coś na pewno, była cesarzowa Achaja? Tak?

– Prawdopodobnie.

Starzec wzruszył ramionami.

– Mówię o wizjach do człowieka, który w nie nie wierzy. Co mam zrobić? – zapytał sam siebie. – Są ludzie, którzy podejmowali niewyobrażalne wręcz wysiłki, żeby uchronić grobowiec cesarzowej Achai. Są też tacy, którzy słysząc tę opowieść, wybuchną śmiechem. Co jest więc prawdą? Ja sam, niestety, nie wiem.

Tomaszewski znowu zerknął na to, co działo się w głównej sali obok. Młodzi uczniowie podzielili się właśnie na dwie grupy. Pierwsza, liczniejsza, ale złożona głównie z dziewczyn, runęła w stronę Kai z gratulacjami, uściskami, a przede wszystkim pytaniami. Żądne barwnych opowieści koleżanki zepchnęły bohaterkę dnia na bok i przyparły do ściany. Druga grupa ruszyła natomiast szturmem na stoły ze smakołykami, które

ustawiono wokół kolumn podtrzymujących sklepienie. W przypadku obu ataków ofiary nie miały żadnych szans na przetrwanie.

– Hm... – Tomaszewski odwrócił wzrok. – Czy w takim razie jedynym powodem, tak naprawdę, dla którego zaprosiłeś mnie na rozmowę, jest próba uświadomienia mi, że ingerujemy w siły, których znaczenia nie rozumiemy?

Starzec powoli przytaknął.

– Nadchodzi dla was czas, w którym możecie nie odróżnić przyjaciela od wroga. Czas, w którym przyjaciel będzie jak wróg, a wróg zda się serdecznym przyjacielem.

Tomaszewski wzruszył ramionami.

– A co mi powiesz o mitycznych Ziemcach?

Tym razem nie musiał długo czekać na odpowiedź.

– Ziemcy już tu są – usłyszał. – O czym wiesz, panie, równie dobrze jak ja. A my nie jesteśmy gotowi. Przyszli wcześniej, niż było to przewidziane w boskim planie. No ale... w związku z tym i oni nie są przygotowani. Walka więc rozgrywa się nie według boskiego planu. Każdy improwizuje i działa według planów tworzonych naprędce.



Kurier Imperialnego Ekspresu dostał karkołomne zadanie. Musiał dostarczyć wiadomość osobie, o której nie było wiadomo, gdzie jest. No trudno. Jeśli ktoś był na tyle bogaty i władny (bo samo bogactwo nie wystarczało przecież), żeby wynająć całą załogę wraz z łodzią, żeby dostarczyć jedną jedyną wiadomość, to nie należało się ociągać. Tym bardziej że stało to w zgodzie z kodeksem imperialnych kurierów. Teraz jednak jego samego dosięgły wątpliwości. Żeby wypełnić zadanie, łódź musiała wypłynąć daleko poza ostatnią stacją ekspresu, w dzikie okolice, gdzie z rzadka dało się zauważyć na brzegu ludzką osadę. Szybka łódź na żaglu i wiosłach przebyła odpowiednik jakichś dwóch dni konnej jazdy od ostatniego miasteczka. Zaczumowali na pustkowiu, w malutkiej rybackiej wiosce, gdzie wszyscy mieszkańcy przybiegli natychmiast na pomost, chcąc z bliska zobaczyć tak niecodzienne zjawisko.

Imperialny Ekspres. Legendarna, obrosła wieloma mitami służba, stworzona tysiąc lat temu przez głównych wrogów Cesarstwa Luan – Białą i Zaana. Nikt dzisiaj jednak o tym nie pamiętał. Poczta była apolityczna, niepodatna na wpływy, niebiorąca nigdy niczyjej strony. Dostarczyć pocztę – to jedyny imperatyw. Kurierzy byli nietykalni. Za podniesienie ręki na niosącego pocztę wyrok okazywał się równie srogi jak za zamach na wielkiego księcia. Najgorsze tortury z możliwych i mistrz umierania sprowadzony z daleka bez względu na koszty. Był kto oczywiście nie mógł zostać kurierem. Potrzebne było wykształcenie, zdrowie, a nawet wygląd. To służba nie dla wszystkich. Ale... kiedy już zdało się wszystkie egzaminy i przeszło pomyślnie wszelkie próby, odsłużyło frycowe jako popychadło, wtedy przyszłość kuriera rysowała się już wyłącznie w jasnych barwach. A nimb, który ich otaczał, dawał to, co mężczyźni najbardziej lubili: sławę, poważanie i niezwykłą wręcz uległość serc niewieścich.

Mężczyzna, który wysiadł z łodzi, nie miał jednak radosnej twarzy. Trudna do wypełnienia misja na końcu świata nie przygotowała go o dobry nastrój. A jednak, choć młody jeszcze, przywykł już do ciężkich zadań. Ignorując gapiów, zakładał na siebie wszystkie elementy ekwipunku, z powodu których już po chwili zaczął przypominać juczne zwierzę. Jedyne emblematy imperialnej poczty lśniły lekko w promieniach słabego, wczesnozimowego słońca.

– Panie? – Starszy wsi podszedł bliżej tak znakomitego gościa i odważył się zapytać o sprawę najbardziej istotną dla małej społeczności trwającej tu na granicy głodu i przetrwania. – Czy będziecie nocować u nas? Mam wszystko przygotować?

– Nie. Ale moja załoga tutaj zostanie.

Mężczyzna błyskawicznie zgiął się w ukłonie, który miał zapewne wyrażać najwyższe oddanie. Nocleg dla tylu światowych ludzi, duży zysk dla wsi.

– Mogą jednak popłynąć dalej i tam się umówimy.

Zgromadzeni rybacy w lot zrozumieli, że pomyślność tej zimy zależy od faktu, czy zdołają zadowolić kuriera, czy też nie zdołają spełnić jakiegoś warunku.

– Panie, my dostarczymy wszystkiego, co trzeba.

– Dobrze. Potrzebuję konia.

Starszy zgiął się w jeszcze głębszym ukłonie.

– Konia u nas nikt nie ma. A najbliższy pewnie będzie w miasteczku, dwa dni drogi stąd.

– Wiem, wiem. Wynając potrzebuję, mam nadzieję, na krótko.

– Konia nie ma. Ale kupiec rybny ze wzgórze ma muła. Na krótko to go na pewno odstąpi.

– Muł stary pewnie i słaby?

– Nie, panie. Muł zdrowy. A w górach lepszy niż koń. Nie potknie się, nogi nie złamie. No, szybki to on nie jest, ale galopować i tak tu nie ma gdzie. Muł się nie zmęczy jak wierzchowiec. Nie pośliznie!

Kurier był młodym mężczyzną. Wizja podróży na grzbiecie muła zamiast w siodle ognistego rumaka najwyraźniej nie przypadła mu do gustu. Do wyboru miał jednak tylko podróż pieszo. A tu zima zaczynała się w najlepsze. Oczywiście, że był wytrenowany w dźwiganiu na plecach namiotu, obozowego sprzętu i zapasów. Ale, do jasnej zarazy, nikt chyba dobrowolnie nie chciałby tego robić, brnąc po pas w śniegu. Wieśniak miał rację. Muł okazał się sto razy lepszym rozwiązaniem, nawet gdyby trzeba go było prowadzić z jukami za uzdę.

– Trakt daleko? – zapytał jeszcze kurier. Miał oczywiście mapę, jednak wykonane przed paroma setkami lat mapy często srodze zawodziły w niecywilizowanych okolicach.

– Blisko, panie. Blisko. – Wieśniak czuł, że może zdarzyć się cud i załoga imperialnej łodzi zostanie tu dłużej, płacąc za wszystko żywą gotówką. – Tylko pół dnia drogi.

– A biblioteka zakonna i świątynia to gdzie?

Starszy zdziwiony podniósł głowę.

– A Zakonu to już nie ma, panie.

– Ale budynków nie rozebrali, prawda?

Wieśniak wzruszył ramionami.

– Ja tam nie wiem, panie.

No trudno. Pozostawała druga możliwość, choć znacznie trudniejsza. Cesarski kurier musiał być człowiekiem apolitycznym, takim, który nie służył nikomu, nie donosił, nie miał żadnych związków ani z wojskiem, ani ze speckurwami, ani nawet ze strażą miejską. Tak zostało zapisane w statucie Imperialnego Ekspresu. Ale czy ci tutaj byli o tym przekonani?

– Gdzie mógłbym znaleźć Shen?

Starszego wioski zapowietrzyło. Zdawało się, że wszyscy, którzy stali wokół, wstrzymali oddech.

– Tylko nie wpierajcie, żeście o niej nie słyszeli. – Kurier rozejrzał się po zgromadzonych. – Pewnie macie nawet jej obrazki w chałupach.

Starszy zbyt szybko zerknął w stronę wioskowej kapliczki, żeby mogło to umknąć uwadze przybysza.

– Obrazki na drogach wieszają – powiedział, żeby zakryć swój odruch. – Tak nam mówił stary kupiec. – Listy, co gonić każą, powiesili. I cenę napisali, ile dają za głowę. Ale ja nieczytaty. A jak ktoś drogą szedł, to może i obrazek se wziął, bo ładny. Za darmo przecież wiszą.

– Nie jestem ze straży, nie pracuję dla służb specjalnych. – Młodzieniec wziął głębszy oddech. – Jestem kurierem Imperialnego Ekspresu! Muszę dostarczyć Shen list! Tyle mojego psiego obowiązku.

Jego przemowa zrobiła wrażenie. Sława poczty sięgała i do tej zapadłej wioszczyny, choć była tylko mityczną ułudą. Rybacy pospuszczali głowy. Słowa przybysza miały swoją wagę. Ale wagę miało też to, że Shen, której także nigdy nie widzieli, jest ich. Córka rybaka, jak oni. O, nie, nie, dylemat, który trzeba było rozstrzygnąć teraz w głowie, przekraczał ich możliwości. Powiedzieć? Nie powiedzieć? No niby przecież sami nie wiedzieli, gdzie, co i jak, ale... powiedzieć? A może list z ostrzeżeniem jakimś? A może z pomocą? Jak to rozstrzygnąć?

Po bardzo długiej chwili jedna z kobiet wyszła nieśmiało przed szereg. Ta, której zeszej zimy dwoje dzieci z głodu umarło.

– Na trakt idźcie, panie – powiedziała cicho. – Do Shen ludzie ciągną. Więc patrzcie, gdzie idą, panie. Patrzcie, gdzie lud zmierza, a jak dobrze będziecie patrzeć, to was doprowadzi do celu. – Kobieta spojrzała w kierunku zamglonej przełęczy, którą trzeba było pokonać w drodze na trakt. Potem znowu przeniosła wzrok na kuriera i powtórzyła: – Podążajcie za ludźmi, panie.



Wielki napis „Budowa drogi żelaznej” mógł być odczytany tylko przez bardzo nielicznych, którzy posiadli sztukę czytania. Tłum jednak, który codziennie zbierał się przed bramą, był dobrze poinformowany i doskonale

wiedział, że to właśnie jest miejsce, gdzie można dostać coś najbardziej pożądanego w pogrążonym w biedzie kraju: dobrze płatną, stałą pracę! W cizbie przed ogrodzeniem nie było więc zlitowania. Ludzie cisnęli się niemiłosiernie, walczyli łokciami i pięściami o lepsze miejsce, stosowali najbardziej brutalne metody, byleby tylko przepchnąć się jak najbliżej upragnionego celu: małej furty, gdzie ustawiono stół liczman, który zbierał zamówienia na ludzi od majstrów. W zależności od zapotrzebowania przyjmowano nawet do kilkudziesięciu ludzi dziennie. A prawdziwe święto następowało, kiedy pod widoczną w oddali rampę podstawiano wielkie wozy, przeznaczone do transportu robotników na daleką pustynię. Po pierwsze praca na wyprażonej słońcem pustyni była lepiej płatna. A po drugie tego dnia robotę znajdowało nawet i kilkuset ludzi. O miejscu przed furką krążyły już legendy w całym imperium. Podobno potrzebowano tu wszystkich: od zwykłych robotników budowlanych po szewców do szycia buciorów, w których źle rzucony kamień nie zgniecie palców, krawców do ubrań roboczych, rachmistrzów, magazynierów, kucharzy, wszelkiego rodzaju rzemieślników, medyków, woźniców i nieprzeliczonego mnóstwa innych zawodów. I dlatego ludzie ścigali tu zewsząd, z najdalszych krańców imperium, by stać się pokarmem dla bestii, konstruującej coś, czego nikt jeszcze w historii cywilizacji nie zbudował. Tu powstawała kolej żelazna.

Dziś jednak było inaczej niż zwykle. To nie liczman, ani nawet nie majster wyszedł na podest zawieszony na palach przed ogrodzeniem. Na miejscu, skąd wyrzaskiwano komunikaty dla czekających, pojawił się sam inżynier. Istota z innego świata. W idealnie czystej tunice, świeży, wypachniony, tryskający doskonałym humorem. Miał zresztą swój powód. Dziś rano stał się świadkiem, jak dawnym obyczajem przywieziono na plac budowy ogromny blok marmuru. W nim właśnie biegli w swojej sztuce rzeźbiarze i kamieniarze wykują stosowne sceny z postępu prac, a potem ozdobią nazwiskami budowniczych. Nie wszystkich, ma się rozumieć, a jedynie tych posiadających stosowne wykształcenie. Ach... pieniądze były ważne, oczywiście, ale w porównaniu z nieśmiertelną inżynierską sławą stawały się niewarte wspomnienia. Przecież ten blok marmuru będzie tu tkwił przez wieczność, dając świadectwo chwale twórców drogi.

Inżynier podniósł ręce, usiłując uciszyć tłum poniżej.

– Słuchajcie, ludzie! – krzyknął jak mógł najgłośniej. – Czy jest wśród was ktoś, kto przywędrował prosto z Kong?

Trudno powiedzieć, czy ktokolwiek go usłyszał. Stojący obok liczman tylko drapał się w brodę. To zupełnie nie tak, myślał, ale nie śmiał zwrócić uwagi przełożonemu.

– Może napiszemy im to na wielkiej tablicy? – zapytał inżynier.

Liczman wybałuszył oczy.

– Toż oni generalnie niepiśmienni, panie.

– Ach, fakt. Co więc zrobić?

– Może ja spróbuję, panie.

– No próbuj, próbuj. Ale ich się nie da przekrzyczeć.

Liczman włożył do ust dwa palce i gwizdnął przeraźliwie. Tłum na dole jakby ścichł na chwilę.

– Kto z Kong?! – wrzasnął. – Furta! – Wskazał ramieniem kierunek. – Kong! Furta!

Inżynier patrzył zdziwiony. Okrzyki przyniosły efekt. Co najmniej kilkadziesiąt osób zaczęło się przepychać w stronę przejścia.

– Aż tylu? – spytał, zdziwiony liczbą przybyszów z bardzo dalekiej, zapadłej prowincji.

– A skąd. – Liczman zaczął schodzić do swojego stanowiska. – To cwaniaki przecież. Chcą się dostać do furty pierwsi, przed innymi.

– To jak odróżnić prawdziwych?

– Przesłucha ich się zaraz.

Dotarli do stołu z porozkładanymi papierami zamówień na ludzi. Liczman skinął na pomocników.

– Wpuszczać po jednym – rozkazał.

Kilku mężczyzn w jaskrawoczerwonych tunikach otworzyło śluzę przed furką. Kiedy tłum naparł z całą siłą, szybko okazało się, skąd tak odróżniający się kolor ich ubrań. Łachmaniarze ogarnęli ich błyskawicznie i gdyby nie intensywna czerwień, szybko stałoby się nie do rozróżnienia, kto tu może wydawać rozkazy, a kto ma słuchać.

– Po jednym! Po jednym, mówię! Panujcie nad nimi!

Kilku jeszcze pomocników z najbliższego baraku rzuciło się kolegom na pomoc. Po dłuższej chwili udało im się wyłowić z cizby pierwszego człowieka.

– Skąd?

– Z Kong, panie. – Młody człowiek w poszarpanym ubraniu ukłonił się z szacunkiem.

– Ile jest wielkich jezior w pobliżu garnizonu?

– Sześć, panie – młody człowiek nie miał wątpliwości.

– Łżesz! – Inżynier potrząsnął głową. – Przecież Kong leży nad morzem, a nie nad jeziorami.

– Na bok go! – rozkazał liczman. Był wściekły, że przełożony zepsuł mu temat do pytań kontrolnych. Inni już usłyszeli, więc to pytanie spalone. Nie śmiał jednak niczego powiedzieć. – Dawać następnego!

Pomocnicy przepuścili rosłego mężczyznę w sile wieku. Ten wyglądał na dużo bardziej wiarygodnego. No i nie odpowiadał od razu, zostawiał sobie chwilę na namysł.

– Skąd?

– Ze wsi spod samego Kong, panie.

– A wokół twojej wsi to lasy są iglaste czy liściaste, co?

Chwila na zastanowienie.

– Mieszane, panie – padła odpowiedź.

– Na bok go! Następny!

Inżynier nachylił się z boku.

– A jakie tam są lasy? – zapytał.

– Nie mam pojęcia, panie. Ale on też nie. Za długo myślał.

Następny łachmaniarz wyglądał na przebiegłego. I uśmiechał się przymilnie.

– Jaki pomnik stoi na głównym placu Kong?

– To Tyranobójcy, panie. Cesarzowa Achaja, cesarz Biafra, mędrzec Zaan i księżę Sirius, panie.

– Nie bądź za sprytny, takie pomniki są wszędzie. A mnie chodziło o ten przed bramą do garnizonu.

– To pomnik cesarzowej... – Mężczyzna zapowietrzył się, ale szybko okazało się, że w ogóle źle zaczął.

– Łżesz! Wymyśliłem sobie, że tam jest pomnik. Na bok go!

Ktoś z cisnących się w służbie ludzi zaczął podskakiwać, żeby ci przy stole mogli go zauważyć.

– Ja jestem z Kong! – krzyczał. – Ja przybyłem prosto z Kong! Jestem nauczycielem!



Nawet inżynier zwrócił na niego uwagę. Skinął na pomocników, żeby umożliwili mu podejście bliżej. Dopiero po dłuższej chwili udało im się wyprowadzić chudego mężczyznę na wolną przestrzeń za furta.

Inżynier chciał zadać pytanie, lecz się zawahał. To nauczyciel, człowiek równy mu statusem, jednak jakoś głupio było mówić do obdartusa per „panie”. Przez moment rozstrzygał problem w głowie i rozwiązał go, wybierając nowomodną formę przywiezioną przez Polaków, która błyskawicznie przyjmowała się wśród ludzi wykształconych. Ba, stawała się modą i snobizowano się na ten rodzaj wymowy. Wystarczyło przejść z liczby mnogiej na pojedynczą i zmienić szyk zdania. Zamiast więc dotychczasowej formy, na przykład: „Chcielibyście zjeść obiad, panie?”, należało mówić: „Czy chciałby pan zjeść obiad?”. Proste i nieokreślające, kto stoi wyżej, a kto niżej w hierarchii społecznej.

– Jest pan nauczycielem i szuka pracy przy budowie drogi?

Nauczyciel ukłonił się z szacunkiem.

– U nas, na prowincji, głód, panie. Pracy w ogóle nie ma. Głód i pomór.

– Nie no, znajdziemy dla pana lepsze zatrudnienie. Ale skąd mogę mieć pewność, że naprawdę jest pan z Kong?

– Nikt z nich nie wie – nauczyciel wskazał cisnący się tłum za plecami – że w Kong od późnej jesieni są polscy doradcy wojskowi. O to chodziło?

– Tak, mniej więcej o to. Proszę więc za mną.

Inżynier zatrzymał się jeszcze na moment i nachylił do liczmana.

– A co zrobicie z tymi ludźmi, którzy kłamali? – Palcem pokazał na odprowadzonych na bok.

Liczman nie miał żadnych wątpliwości.

– No, łąą jak psy, faktycznie. Ale spryt mają i refleks, żeby się tu przed innymi dostać. To ich zatrudnię w pierwszej kolejności. Szybcy w myśleniu zawsze potrzebni.

Uśmiechnęli się do siebie.

Droga nie prowadziła daleko. Barak administracji, gdzie czekali Tomaszewski i Rand, nie miał co prawda klimatyzacji, ale tuż pod sufitem zamontowano obracające się powoli śmigła, które obniżały o kilka stopni temperaturę panującą wewnątrz. A jeśli miało się jeszcze do dyspozycji schłodzony napój, to naprawdę warunki zdawały się znośne.

I choć otoczenie, jak na przybyszów zza gór, było skromne, przyprowadzony przez inżyniera nauczyciel czuł się oszołomiony. Z lekkim

niepokojem zerkał to na wiatraki pod sufitem, to na smolistoczarny mundur człowieka z żelaznych okrętów.

– Napije się pan lemoniady? – zapytał Tomaszewski.

Ośmielił trochę nauczyciela. Przede wszystkim tym, że używał języka ludzi wykształconych, z perfekcyjnym akcentem. Nauczyciel uśmiechnął się nieśmiało, przyjmując wielką, oszronioną szklankę. Napój zrobiony był z cytryn, wody i czegoś, co nadawało mu słodki smak. To nie wino, nie czuć alkoholu. Ale najbardziej zdumiewające okazało się to, że napój był bardzo zimny, a w naczyniu grzechotały kostki lodu. Skąd oni wzięli lód w tym upale?! Nauczyciel usiadł na przygotowanym dla niego zydlu. Inżynier opuścił barak. Miał ważniejsze zadania na budowie niż odnajdywanie potencjalnych informatorów.

Rand przyglądał się przybyszowi taksującym wzrokiem.

– Prosto z Kong?

– Tak, panie. Głód mnie wygnał jak innych. Tyle że ja się trochę na mapach znam i w ogóle. – Nauczyciel wrzucił ramionami. – Po prostu myślę, planując podróż, więc nie szedłem jak wszyscy drogą przy wybrzeżu.

– Dlaczego?

– Bo tak idzie się najdłużej. Droga wiję się, skręca do różnych osad. Można iść i iść, a dystans do celu niezbyt się skraca przez te meandry.

– Można inaczej?

– Pewnie. Jak się kojarzy fakty. – Nauczyciel odstawił pustą szklankę. Nawet nie zauważył, że wychylił ją prawie duszkiem. – Wojna w tym roku, i to, o dziwo, chyba przez nas wygrana. No to myślę sobie, że skoro bystrzyny rzeki Mi w naszych rękach, to będą nimi drewno spławiać. Żeby urobku drwali na wozach nie targać przez las. Rzeką szybciej, bliżej i taniej.

– Inni o tym nie wiedzieli?

– A skąd prosty lud ma wiedzieć? – Nauczyciel ponownie wrzucił ramionami. – Drogi tam nie ma, bo przecież przez wrogie państwo musiałaby prowadzić. No ale skoro wygrywamy, to poszedłem przez las i nie myliłem się. Szybko dotarłem do rzeki i zgodnie z przewidywaniami trafiłem na flisaków, którzy już się zwołali i bale zaczęli spławiać.

– Wzięli cię?

– Okazało się, że znałem retmana kierującego spływem. A ponieważ na tratwie każde ręce potrzebne, to wzięli. No i jeść dawali.

Rand zerknął na mapę, żeby zobaczyć, dokąd można dotrzeć, płynąc rzeką Mi.

– A potem jak? – zapytał.

– Ekspresem Imperialnym.

– Za tragarza?

– Tak jest.

Tomaszewski zerknął na kolegę, nie rozumiejąc, lecz ten machnął ręką, że to nieistotne. Najważniejsze, że mieli do dyspozycji informatora z samego Kong, i to takiego, który przybył stamtąd naprawdę szybko, jak na tutejsze warunki. I o to właśnie im chodziło.

– No to świetnie. Opisz dokładnie, co się dzieje teraz w Kong.

Nauczyciel drgnął, nieprzygotowany na zmianę tematu. Hm. Poza tym słyszał, że ludzie zza gór mieli sposób, żeby porozumiewać się ze sobą tak po prostu, przez powietrze, i to podobno na wielkie odległości. Czyżby coś zawiodło w tym sposobie komunikacji?

Tomaszewski nie wprowadzał nauczyciela w tajniki operacji wywiadowczych. Nie mógł posłużyć się radiostacją i połączyć z dowódcą doradców wojskowych, bo każda depesza lądowała na biurku generała Kawalca. Nie można było po raz drugi liczyć na cud, jakim była interwencja agentki Randa w dowództwie wojsk lądowych, jak to miało miejsce podczas przekazywania wiadomości od Shen.

– Kiedy odchodziłem z Kong, wojna miała się już ku końcowi – podjął nauczyciel. – Do garnizonu przybyło tysiące jeńców.

– I gdzie ich trzymają? – zapytał Rand. – W lesie?

– Nie. Wszystko było przygotowane. Nawet jedzenie im kupili.

– Za co?

– Nie wiem. Ale mówią, że ci doradcy weszli z chłopami w jakiś układ. Że w zamian za dostawy dostaną na wiosnę coś do nowych upraw. Słyszałem, że się chłopie strasznie cieszyli.

Tomaszewski zerknął na Randa znacząco. Wolał nie wnikać, co wojska lądowe zaproponowały rolnikom. Ale najtaniej by im wyszło, gdyby to były nawozy azotowe. Do tego jakaś specyficzna odmiana pszenicy i za rok będą mieli swój prywatny, maleńki spichlerzyk na końcu świata.

– I co ci jeńcy robią? – indagował dalej Rand.

– Drogę remontują.

Tomaszewski postanowił się włączyć.

– W jakim sensie remontują? Poprawiają nawierzchnię?

– Poszerzają.

– Na jakim odcinku?

– Na krótkim dość. A ja na tym to się zupełnie nie znam.

– Dobrze. – Tomaszewski sięgnął do swojej torby po notes i ołówek. Wyrwał jedną z kartek i położył przed nauczycielem. – W takim razie poprosimy o rysunek. Tak mniej więcej chociaż. Dla orientacji.

– Umieć rysować bardzo dobrze. – Mężczyzna poczuł się urażony. – Ma być z topografią miejsca? W skali?

Tomaszewski z szacunkiem skłonił przed nim głowę.

– Jak rozumiem, wokół garnizonu panuje bałagan i rozgardiasz? – Rand powrócił do rozmowy.

– Tak. A i to jest delikatne określenie. – Nauczyciel pewnie ujął ołówek w dłoń i zaczął szybko coś szkicować. – Wozy kupców tłoczą się na remontowanej drodze. Przepuszcza się ich falami. W miasteczku chaos. Spekulanci i wszyscy, co się na wojnie bogacą, zajęli wszystkie kwatery. Śnieg zasypuje biedotę. Uciekinierzy mieszają się z dezertkami, bandytami i tymi, co chcą się po prostu stamtąd wydostać. Lud ciągnie na wieś, ale tam zrabować nie ma czego. Zamorscy doradcy kordonami kazali chronić każdą wieś, bo sami kontrybucje biorą i nie pozwalają chłopów więcej krzywdzić. Kto żyw, to gdzieś zmierza. A to uciec, a to pod opiekę świątyni, a to garnizonu, bo tam, choć jeść nie dają, to jednak też przy wojsku nikt nie ośmiela się grabić ani mordować. Chaos, panie. Ale też i po raz pierwszy czuć moc wojska przez zamorskich doradców w ryzach utrzymanego. Jest organizacja przy tym, co imperialne, jest posłuch w miejscach, które mają w pieczy, są nawet głodowe, bo głodowe, ale racje, które za prace przy koszarach można dostać.

– Jakże to prace?

– Pomieszczenia dla wojska remontują, żeby jak nowe były. Szpital budują, jakieś rampy i magazyny.

Rand i Tomaszewski znowu wymienili się spojrzeniami.

– Wysłałem tam kuriera Imperialnego Ekspresu z wiadomością dla Shen – zmienił temat Rand. – Ma szansę ją odnaleźć?

Nauczyciel skrzywił się i na chwilę przestał rysować. W zamyśleniu uniósł wzrok wprost na obracające się pod sufitem śmigła.

– No, Imperialny Ekspres swoją dobrą sławę ma. Nie donosiciele to ani chłopcy na posyłki dla bogaczy i władnych. To fakt. Ludzie mu nie powinni robić wbrew. Ale tam to naprawdę... – nie wiedział, jak ubrać swoje myśli w słowa. – Listy gończe za Shen wiszą wszędzie. A lud ją poważa. Słyszałem, że niektórzy nawet modlą się do niej.

Rand się uśmiechnął. Sam był pod wrażeniem skuteczności własnej służby rozpuszczającej plotki i tworzącej legendy. Cień zdarzeń o wyczynach Shen, o tym, co powinna symbolizować, dotarł nawet na tak strasznie zabitą dechami prowincję i sprawiał, że wywieszane publicznie listy odnosiły odwrotny skutek do zamierzonego. Majstersztyk! Prawdę powiedziawszy, był z siebie dumny.

Tomaszewski jednak nie podzielał jego uczuć. Wiedział chyba, jak łatwo stworzony mit może się wymknąć spod kontroli.

– Ludzie ciągną do Shen. – Nauczyciel powrócił do rysowania. – Podobno ona tworzy oddziały, które sprawią, że imperium runie. Że wszyscy będą mogli przyzwoicie żyć. Że będzie jedzenie, praca dla wszystkich.

– I ktoś w to wierzy? – zapytał Rand.

– Myślę, że tak. Mówią, że do jej armii dołączają tysiące ludzi. Ale wiadomo. Plotka wraz z odległością od źródła rośnie w siłę.

– A mój kurier? Ma szansę do niej dotrzeć?

– Myślę, że ma. Jeśli inteligentny się trafił.

– Dlaczego inteligentny?

Przesłuchiwany wzruszył ramionami.

– Tam trochę dar obserwacji trzeba mieć. Wzbudzić u ludzi zaufanie. Patrzyć, gdzie idą, co mówią, co robią. Ja bym trafił.

Rand westchnął cicho i zerknął na Tomaszewskiego. Ten wyglądał na usatysfakcjonowanego. Nie mogli oczywiście wprowadzić nauczyciela w sprawę, ale mniej więcej dał im jakieś pojęcie o tym, co się dzieje w Kong.

A sprawa była pilna. Shen przysłała wiadomość, że chce się spotkać jak najszybciej. Ma bardzo ważne rzeczy do przekazania. Z uprzejmości wojsk lądowych (ani przy łączności, ani przy tankowaniu) nie mogli korzystać z powodu dziwnej aktywności generała Kawalca. Pozostawał rajd przy użyciu wiatrakowców. Lecz cel znajdował się poza zasięgiem. Potrzebne

było międzylądowanie. Powiedzmy, ruszają w drogę trzy wiatrakowce. Lądują. Dwa pozostają na miejscu, a trzeci, zatankowany z zapasu pozostałych dwóch, leci dalej. Załatwia sprawę, wraca do lądowiska pośredniego, jest znowu tankowany i wszystkie trzy mogą wracać. Zważywszy na warunki, to organizacyjny wyczyn. Powiedzmy, że lądowisko pośrednie załatwią służby Randa. A w okolicy Kong? Tam można byłoby liczyć jedynie na pomoc psów, które dupami szczekają, ale te mogą okazać się niezbyt skłonne do współpracy. Pozostawała sama Shen. Z tym że o warunkach, jakie musi zapewnić załodze wiatrakowca, miejscu i terminie musi zostać zawiadomiona. I stąd misja kuriera.

Teoretycznie można by całą sprawę załatwić przy użyciu Imperialnego Ekspresu. Lecz po pierwsze nic nie zastąpi rozmowy na żywo, a po drugie powierzać tajne sprawy cywilnej organizacji przy zainteresowaniu imperialnych specsłużb z jednej strony, a wywiadu wojsk lądowych z drugiej byłoby czystym szaleństwem. Pozostawała więc wyprawa w ciemno, licząc na to, że kurierowi się jednak uda.

– I jak tam nasz rysunek?

Nauczyciel przestał przygryzać język, co robił w bardzo zabawny sposób.

– Już skończyłem. – Podał zabazgraną kartkę Tomaszewskiemu.

– I co? – Rand usiłował zerknąć koledze przez ramię.

– Nieźle. Wojska lądowe szykują wielką operację w tamtym rejonie. I to już niebawem.

– I tego się dowiedziałeś na podstawie szkicu remontu drogi?

– Tak. – Tomaszewski podał mu kartkę. – Z tym że to nie jest droga – powiedział. – To lotnisko!



## Rozdział 8



**K**urier Imperialnego Ekspresu był człowiekiem niezwykle odpornym i wytrzymałym. W dodatku okazał się inteligentny. Do tej roboty po prostu nie bierze się byle kogo. To nie jest zwykła praca za pieniądze. To służba, misja, poświęcenie. I jeśli tylko jest się naprawdę dobrym i gotowym, by dać z siebie wszystko, ma się poczucie przynależności do absolutnej elity, do samej śmietanki najlepszych w ścisłej czołówce społeczeństwa.

I taki był imperialny kurier brnący przez ośnieżony las. Za Górami Bogów takich jak on nazywano listonoszami. Ale mniejsza o nazwę, można przyjąć i taką. Tu więc, w tym konkretnym przypadku, zwykły listonosz dokonał czegoś, co nie udawało się służbom specjalnym cesarstwa. Odnalazł drogę do siedzib partyzantów.

Oczywiście pomagał mu nimb jego służby i fakt, że on w przeciwieństwie do wszystkich rozpytujących agentów nie budził niechęci u ludzi. Jemu pomagano. Jemu pokazywano drogę, nie wstydzono się z nim rozmawiać. Niemniej to był naprawdę wyczyn świata. Oficjalny przedstawiciel imperialnej służby dostarczył pocztę przywódcy partyzantów. Pokaz solidności i apolityczności firmy, którego należy zazdrościć po wsze czasy.

– Stój! – Spod ośnieżonych gałęzi wychynęły zniecka dwie lufy.

Kurier zatrzymał się natychmiast. Muł na wodzy stanął również, choć pewnie z innych przyczyn, zadowolony z chwili odpoczynku.



– Ty kto?

– Kurier Imperialnego Ekspresu. Mam list do dowódcy.

Bardziej nie mógł zaskoczyć strażników. Potrafiliby być może dopuścić myśl, że się poczta po prostu zgubiła w lesie, ale nie że przynosi im listy. Wartownicy milczeli dłuższą chwilę, a potem zaczęli chichotać. Dopiero teraz rozpoznał, że głosy należały do kobiet.

– Dowódcę ci przyprowadzić? Czekać no, najpierw muszę spytać panią cesarz o pozwolenie.

Kurier czekał cierpliwie. W przeciwieństwie do muła, który zaczął szarpać uzdą. Ktoś z ukrytej wartowni musiał chyba ruszyć w kierunku obozu. Wyraźnie słyszał kroki, choć nikt nie pojawiał się w zasięgu wzroku. Gałęzie były tak pokryte śniegiem, że na ziemię paradoksalnie upadło go bardzo niewiele. Za to biały dach nad nimi sprawiał, że wokół zrobiło się prawie mroczno. Dla niewprawnego oka dostrzeżenie czegokolwiek na większą odległość było bardzo trudne.

– Ty! – dobiegł go po jakimś czasie głos spod śnieżnego okapu. – Lepiej se usiądź. Czekamy aż do zmiany warty.

Nie pytał, kiedy będzie zmiana. Prawdę powiedziawszy, przyjął tę wiadomość z ulgą. Maszerował bez przerwy od brzasku i był już bardzo zmęczony. Miał ochotę coś zjeść, ale rozumiał, że pod lufami obcych wart lepiej nie grzebać na próżno w jukach. Usiadł więc tuż pod mordą muła, tak by ciepło zwierzęcia ogrzewało go choć trochę.

Czekali kilkanaście modlitw, jednak nie aż do zmiany warty. Najwyraźniej wieść o przybyciu kuriera nawet tu wywołała pewne zdziwienie. Na ścieżce pojawiły się dwie postaci zbliżające się od strony obozu. Kurier mimo zmęczenia wstał zadziwiająco lekko. Prowadziła kobieta, niska, szczupła, o pociągłej twarzy, ubrana w dziwną kurtkę w zielono-brązowe ciapki. Za nią szedł starszy chyba mężczyzna z dolną częścią twarzy obwiązaną szalikiem.

– Jestem Nanti – powiedziała kobieta, kiedy podeszli bliżej. – Czego tu szukasz?

– Szukam Shen – odparł kurier. – Mam dla niej pilną wiadomość.

– Shen. – Nanti uśmiechnęła się kpiąco. – I w związku z tym chciałbyś sprawdzić, czy nie ma jej w obozie, tak? A przy okazji sobie popatrzeć?

Wzruszył ramionami.

– List zazwyczaj oddaję do rąk własnych. Ale tym razem nie dano mi takiego przymusu. Zważywszy na warunki misji, mogę go przekazać osobie, co do której będę przekonany, że odda pismo do właściwych rąk.

Tamta pozostawała z kpiącym wyrazem twarzy. Niby od niechcenia rozchyliła szeroko poły polskiej wojskowej kurtki. Ale nie po to, żeby pokazać zagraniczne odznaki. Celem prezentacji był raczej ogromny czarny pistolet tkwiący spokojnie w kaburze pod pachą. Nie widział jeszcze takiej broni. Ale domyślał się, że pochodzi z gór. Podobno takie coś wystrzeliwuje tyle kul, jedną za drugą, ile razy przyciśnie się spust. Nie zamierzał sprawdzać.

– Kto jest nadawcą? – zapytał mężczyzna z zasłoniętą twarzą.

– Rand.

Kobieta i mężczyzna wymienili się spojrzeniami.

– Dobrze. Możesz dać nam list.

Kurier zaprzeczył ruchem głowy.

– Przesyłkę mogę oddać komu innemu niż Shen. Ale to nie znaczy, że byle komu na drodze.

– Hardy jesteś – mruknęła Nanti. – I to będąc w naszych rękach.

Kurier wskazał swoją torbę pocztową.

– Przesyłka jest w standardowym pojemniku na ważne imperialne listy. Wystarczy, że uderzę pięścią i nikt już nigdy jej nie przeczyta. A ja sam nie wiem, co zawiera list.

Mężczyzna z przykrytą szalikiem twarzą przytaknął.

– Słyszałem o tym. Mają tam pojemniki z kwasem – mruknął.

– Słuchaj, Kadir – powiedziała Nanti. – Zamiast gadać, wymyśl, jak go przekonać, żeby nam dał. Shen przecież... – zawiesiła głos. – Wiadomo.

Człowiek nazwany Kadirem tylko westchnął. Jego towarzyszka właśnie zdradziła nie tylko jego imię, ale także fakt, że Shen nie ma w obozie.

– On pewnie sam wie, jak się przekonać, czy jesteśmy właściwymi osobami. Zgadza się?

Kurier potwierdził skinieniem.

– Sięgnę teraz do torby po listę pytań kontrolnych – powiedział. – Wasze imiona się zgadzają. Jeszcze tylko identyfikacja, czy jesteście tymi, za których się podajecie.

– Sięgaj.

Pytań nie było wiele. Były proste, jasne, ale tak skonstruowane, że tylko oni osobiście mogli znać na nie odpowiedzi.

– No to w porządku. Stwierdzam, że sierżant Nanti i rusznikarz Kadir to wy.

– Miło mi, psiamać. – Kadir uklonił się dwornie. – Dzięki, że rozwiązałeś moje wątpliwości co do własnej tożsamości.

– On tak zawsze – wyjaśniła Nanti. – Bardzo lubi filozofować.

Kurier nie wnikał. Ze specjalnego pojemnika ostrożnie wyjął naczynie z kwasem. Potem delikatnie rozwinął owiniętą wokół niego kopertę. Podał ją Kadirowi.

– Pokwitować?

– Nie. Imperialny Ekspres to zaufanie każdego do każdego w służbie.

– Podziwiać tylko. Zostaniesz na noc? Ogrzejesz się, zjesz coś ciepłego.

Kurier spojrzał na niego szczerze zdziwiony.

– No skąd. Przecież muszę wracać i zameldować, że przesyłka dostarczona. Obowiązek. – Zaczął zawracać swojego muła. Po chwili zatrzymał się. – A poza tym nie chcę wiedzieć, co w obozie. W razie gdyby ktoś mnie jednak dopadł i siłą chciał wydrzeć.

Nanti i Kadir spojrzeli po sobie. Z pewnym podziwem.



Siwecki biegł za Tomaszewskim, który szybkim krokiem zmierzał w stronę lotniska.

– Stary, no nie bądź wredną wszą! – wołał stale. – Weź mnie na tę akcję, skoro cię proszę.

– Ale to nie jest żadna akcja!

– Jak nie, jak tak? Wyprawa wiatrakowców w nieznane nad obcym terytorium.

– W jakie nieznane? A na miejscu mamy po prostu dowiedzieć się, czego chce Shen, dać jej kilka drobiazgów i jazda z powrotem. Nie będzie żadnej akcji. Najlepiej, żeby nikt w ogóle nie wiedział, że tam byliśmy.

– No bądź człowiekiem i weź mnie ze sobą. Ja tu ocipieję, łożąc wino z Tatarami na okrągło!

– To nie pij.

– O, myślisz, że to takie łatwe, kiedy zapraszają? Od alkoholizmu mnie uchronisz, jeśli weźmiesz ze sobą.

– Naprawdę nie mogę!

– Dlaczego?

Tomaszewski zatrzymał się i odwrócił do przyjaciela przodem.

– Ile ważysz?

– Osiemdziesiąt pięć kilogramów – odparł Siwecki zaskoczony pytaniem.

– Jeśli cię wezmę na pokład, to będę musiał zabrać osiemdziesiąt pięć litrów paliwa mniej! A dodatkowo spalanie mi wzrośnie przez dźwiganie twojego szacownego ciężaru. Nie da rady! Koniec i kropka.

Tomaszewski ruszył w kierunku prawie już ukończonych hangarów. Tuż przed nimi stały zaparkowane w cieniu trzy wiatrakowce. Dwa wielkie, transportowe, i jeden bardzo mały, szybki, zwrotny, idealny do lądowania w przygodnym terenie.

Siwecki usiłował dotrzymać mu kroku, argumentując bez przerwy:

– Na pokładzie przyda wam się lekarz.

– Nie będzie żadnego wypadku.

– A jeśli będzie?

– A kto mi zagwarantuje, że w tym wypadku akurat ty nie zginiesz jako pierwszy i okaże się, że wieźliśmy cię niepotrzebnie?

Na ten argument lekarz nie mógł już znaleźć żadnej kontry.

– Prowadzę badania naukowe – zaatakował z drugiej flanki. – Ta wyprawa to unikatowa możliwość zebrania śluzu z gardła.

– Czego? – Tomaszewskiego zaryło w miejscu.

– Śluzu z gardeł miejscowych. Oni tam mają początek zimy, najlepszy okres do badań.

– Jakie ty badania prowadzisz, do cholery? – Ruszyli znowu w stronę hangarów.

– Po prostu wariuję z nudów. Badam wirusy tutejszej grypy. Pamiętasz, jak choroba zaatakowała nas na okręcie podwodnym? Kai była przerażona, sądząc, że wszyscy umrzemy, a ona zostanie sama pod wodą, w metalowej skorupie.

– Pamiętam. I co to ma do rzeczy?

– Chcę zbadać, dlaczego grypa jest tutaj uważana za śmiertelną zarazę. Wszędzie wożę ze sobą hodowle wirusów i kiedy tylko mogę, dodaję nowe.

A teraz mam możliwość pobrania śluzu od ludzi, którzy mają właśnie początek zimy!

Tomaszewski zatrzymał się przy najmniejszym z wiatrakowców. Popatrzył Siweckiemu prosto w oczy.

– Osiemdziesiąt pięć kilogramów – powiedział sucho. – Wykluczone.

Zza maszyny wyłonił się Rand, który tu czekał.

– O co się kłóćcie?

– O zbyteczny balast – powiedział Siwecki z przekąsem.

– No to czeka cię nowa kłótnia – Rand zwrócił się do Tomaszewskiego.

– O co?

– Bo ja nie lecę!

Komandor osłupiał.

– Dlaczego? Przecież wszystko już ustalone.

– Dopiero dzisiaj zobaczyłem to coś z bliska. – Rand wskazał zwiadowczy wiatrakowiec. – Ja do tego nie wsiądę, nie ma mowy!

– Ale przecież... – Tomaszewskiemu na moment odebrało mowę. – Przecież o wszystkim cię uprzedzałem. Rozmawialiśmy o każdym szczególe.

– Nie powiedziałeś mi, że to cały czas ryczy!

– Co ryczy? Silnik?

– I to tak przez cały dzień trzeba tego słuchać?

– W jeden dzień nie obrócimy. Przez dwa.

– To ja do tego nie wsiądę! I jeszcze pilot mi powiedział przez tłumacza... – Rand wskazał mężczyznę w mundurze piechoty morskiej, który stał opodal. – Powiedział... Wszystko mi powiedział.

– Co konkretnie?

– Mówił, że mnie zapozna z procedurą awaryjną.

Tomaszewski odwrócił się do pilota i postukał palcem we własne czoło.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

– Powiedział, że w razie awarii, gdy się zacznie kabina palić na przykład i człowieka zacznie przysmażać, to żeby nie wyskakiwać jak ze zwykłego samolotu na zewnątrz. Bo wiatrakowiec może szybko opadać i zanim się człowiek roztrzaska o ziemię, to najpierw wirnik go poszatkuje na kawałeczki.

Tomaszewski rozłożył ręce pod adresem pilota i już nie palcem, ale całą dłonią uderzył się w czoło.

– A jeśli mu się uda odstrzelić łopaty śmigła, to kazał mi wyskoczyć po prostu. I powiedział, że jeśli po skoku wpadnę do wody, to żebym się niczym nie martwił, bo kamizelka ratunkowa napełni się sama i wybije mi zęby. A potem wystrzeli mnie do góry, na powierzchnię, gdzie już opadnie czasza spadochronu, która mnie powoli udusi, bo w kamizelce się spod niej nie wydostanę.

Tomaszewski zaczął kląć. Pilot domyślił się, o czym rozmawiają, i umknął do hangaru. Nie chciał na samym początku podpadać komandorowi, ale po prostu musiał być w zgodzie z regulaminem i poinformować pasażera o procedurach awaryjnych.

Po minie Randa widać było, że traktuje to śmiertelnie poważnie i pod żadnym pozorem nie zgodzi się na lot.

– Bez ciebie to się nie uda – usiłował jeszcze tłumaczyć Tomaszewski. – Co zrobimy w punktach międzylądowań? Przecież obstawiają je twoi ludzie.

– Są uprzedzeni przecież. Wiedzą o latających maszynach. A mnie też nigdy nie widzieli osobiście, więc po prostu wykonają swoje zadania.

– Ale... – na ostatnią uwagę rzeczywiście Tomaszewski nie mógł już znaleźć kontrargumentów.

– Ale – podjął za to Siwecki – z osiemdziesięciu pięciu kilogramów nadbagażu robi nam się – oceniał wzrokiem, ile może ważyć Rand – jakieś dwadzieścia różnicy między nami. A te dwadzieścia kilogramów weźmiesz na pokład, spełniając po prostu prośbę przyjaciela!

Tomaszewski spojrzał na lekarza lekko już ogłupiały. Znowu nie miał kontrargumentów.

– Tylko mi nie zabieraj jakichś zarazków grypy ze sobą.

– Stąd nie będę taskał. Zabiorę stamtąd w drodze powrotnej.

– Jeszcze nie powiedziałem, że lecisz.

– Bo to niewłaściwa forma – odciął się Siwecki. – Właściwa jest liczba mnoga. Lecimy! Lecimy!

Pobiegł do hangaru, pokrzykując na obsługę.

– Kombinezon dla mnie!

Tomaszewski spojrzał na Randa jakby w oczekiwaniu pomocy. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to ostatni człowiek, który może mu w tej sytuacji w czymkolwiek pomóc. Rozejrzał się, ale piloci i załogi wiatrakowców przezornie się pochowali. W końcu machnął ręką.

– No i szlag z wami! Lecimy!

Poszedł po swój sprzęt i zaczął się przebierać. Miejscowi robotnicy, którzy kręcili się wokół, z wielkim zdziwieniem patrzyli, jak ktoś w tak upalny dzień wkłada na siebie skórzane spodnie na szelkach, skózaną kurtkę podbitą białym barankiem, ciepłe buty i hełm, a potem na domiar wszystkiego obwiązuje szyję ciepłym białym szalikiem.

Obsługa lotniska zaczęła holować dwa ciężkie, wypełnione paliwem wiatrakowce na stanowiska startowe. Mały, zwiadowczy mógł jak koliber wystartować prawie z miejsca, gdzie stał.

– Czy coś przekazać Shen od ciebie prywatnie? – zapytał Randa, dopinając ostatnie paski ciężkiego oporządzenia.

Ten zafascynowany, że ktoś może sam z siebie popełniać samobójstwo, wsiadając do jednej z tych okropnych maszyn, zaprzeczył ruchem głowy.

– I nie musisz mnie usprawiedliwiać, dlaczego nie przyleciałem – powiedział. – Gdy Shen cię zobaczy lądującego w tym okropieństwie, sama zrozumie.



Najgorzej było przyzwyczać się do noszenia butów na wysokim obcasie. W dodatku cienkim na końcu jak szpilka. Kto takie coś wymyślił? Cały czas trzeba było uważać, żeby nie wykręcić kostki, nie potknąć się, utrzymać równowagę na nierównej nawierzchni i najważniejsze, nie włożyć tej okropnej szpilki w jakąś dziurę i nie utknąć bezradnie. No trudno, mus to mus, trzeba się było nauczyć w tym chodzić, kręcąc zabawnie tyłkiem przy każdym kroku. I tak to lepsze niż choćby koturny używane na cesarskim dworze.



Agentka Randa w polskiej bazie właściwie lubiła kobiece ubrania przywożone dla niej z za gór. Szczególnie pończochy. Cieniutkie, przezroczyste, udawały lśniąca mgiełkę na nogach. A najbardziej genialnym wynalazkiem na świecie był stanik, dający nieprawdopodobną wręcz wygodę. No i sprawiał, że wszystko tkwiło na swoim miejscu, sterczało odpowiednio, wyglądało ponętnie. Były też rzeczy nie wiadomo do czego służące, jak na przykład majtki. Zaraza jedna wie po co oni to noszą. Najwyraźniej po prostu mężczyźni podniecała chwila, kiedy ściągali je kobietom.

Dziewczyna przejrzała się w lustrze. Świetnie! Tylko przylizane włosy wyglądały dziwnie, ale mężczyźni z bazy lubili tę fryzurę. Dzięki temu jeszcze bardziej przypominała im Polkę.

– Kasia, Kasia, Kasia – powiedziała na głos w ramach ćwiczeń.

Była doświadczona w pracy wywiadowczej. A jednak raz, zapytana zniechęta, o włos nie podała swojego prawdziwego imienia. Szlag! Zapomnieć je, zapomnieć! Była teraz Kasią. To imię nosiła przecież pozostawiona za górami dziewczyna jej obecnego chłopaka. A ona tutaj łagodziła nostalgię i była bardziej polska niż wszystkie te nieliczne prawdziwe Polki w bazie. Była lekarstwem na tęsknotę dla odseparowanych od rodzin mężczyźni. Dawała im ciepło, którego nie potrafiły oferować profesjonalne kurwy, wyćwiczone wyłącznie w manewrach łóżkowych. Kasia nie sprzedawała dupy. Sprzedawała ciepłe marzenia.

Słyszając kroki na korytarzu, rozluźniła się lekko. Przybrała na krześle niedbałą pozę. Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

– Cześć, Kasiuśko!

– Cześć, kochanie. – Uniosła głowę, przybierając na twarzy najbardziej promienny z uśmiechów. – Oj, jak dobrze, że jesteś. Stęskniłam się już za tobą.

„Ż”, „ę”, „ś”... Bogowie, jakie to trudne do poprawnego wymówienia. A jednak potrafiła. Wstała lekko i wzięła mężczyznę w ramiona. Delikatnie i niewinnie pocałowała w usta.

– Ależ ty masz spięte mięśnie. – Głaskała go po karku. – Jureczku, ty musisz być piekielnie zmęczony.

– No. Aż mi wszystko zeszywniało.

– Wszystko?

Zaczął się śmiać.

– Ty świntucho. Inaczej byś gadała, jakbyś musiała od świtu siedzieć przy kluczu radiostacji.

– O Boże... – Najłatwiej popełnić błąd, stosując odruchowo liczbę mnogą. Na to specjalnie uważała. – Chodź, musimy cię zrelaksować.

Rozpinając kurtkę munduru chorążego łączności, ciągnęła go jednocześnie w stronę łóżka. Posadziła go delikatnie na brzegu, a sama, zrzucając pantofle, siadła głębiej, tak że obejmowała jego biodra kolanami. Spódnica zawinęła się do góry, ukazując tasiemki pasa do pończoch. Wiedziała, że tych zza gór najbardziej bierze akurat ten fragment bielizny.

– A ty jak się bawiłaś? – zapytał chłopak.

– Och, trochę się nudziłam. A potem spotkałam koleżankę z moich okolic. Sprząta tutaj.

– A twoje okolice to jakie?

– Och, bardzo daleko i bardzo zimno. – Masowała kochankowi mięśnie na karku posuwistymi, pewnymi ruchami. – Nie chciałbyś tam być.

– A u nas ja też urodziłem się niedaleko gór. Wolę rześkie powietrze od tego stojącego upału tutaj.

– A to może by ci się spodobało. U mnie są i góry, i zimne powietrze, i śnieg.

– A wiesz, że tęsknię też za śniegiem?

Uśmiechnęła się, dotykając jego pleców całym tułowiem. Poluźniła mu węzeł krawata i ostrożnie zaczęła ściągać przez głowę.

– I co ta twoja koleżanka? – zapytał.

– Nic. Martwi się o rodzinę.

– Dlaczego?

– Oj, w naszych stronach wojna. Mówią, że się kończy, ale mówią też, że zaraz będzie następna.

– Czy te okolice to nie przypadkiem otoczenie Kong?

– Oj, chyba nie, nie wiem. – Zmarszczyła brwi i pocałowała chłopaka w szyję. – Zaraz. A może i Kong? Ale to chyba nazwa garnizonu, a nie miasteczka. Bo ludzie tej nazwy chyba nie używają.

– Pewnie to to samo. – Jureczek nie wnikał. – Tylko jedną wojnę prowadzi teraz imperium. Z Królestwem Shah.

– A, to tam! – Podskoczyła. – Tak, to ta okolica!

Byle nie przesadzić z grą aktorską. Kasia powróciła do masowania pleców. Jedną ręką. Drugą rozpiniała chłopakowi guziki koszuli.

– Na miejscu rodziny twojej koleżanki spieprzałbym stamtąd jak najszybciej się da.

Jak każdy mężczyzna musiał się pochwalić swoją wiedzą, przenikliwością, a w domyśle władzą i wagą.

– Ojej, dlaczego spieprzać?

– Bo tam się szykuje większa ofensywa. Wiem, bo nadawałem dane o przepustowości ewentualnego mostu powietrznego do Kong. Zwykła przepustowość dzienna to czterdzieści ton. Wyobrażasz sobie? Czterdzieści ton zaopatrzenia dziennie! Samymi samolotami. Ale to nie koniec. W razie potrzeby można zwiększyć przepustowość dziesięć razy.

– Co?

– Dziesięć razy. To czterysta ton zaopatrzenia dziennie.

– Boże! Co tam się będzie działo?

– Nie wiem. Ale wyobraź sobie tę kwatermistrzowską potęgę. Przecież tam nie ma polskich wojsk, paliwożernych, amunicjożernych, wymagających codziennie milionów dóbr wszelakich. Układ na to nie pozwala. Tam są tylko wasze wojska.

Kasia ściągnęła z Jureczka koszulę. Delikatnie drapała go w plecy. Potem nachyliła się w stronę stolika, nalała do szklanek trochę wódki. A właściwie to do jednej. Drugą tylko dopełniła, bo zawczasu była tam przygotowana woda.

– Napijmy się. – Podała chłopakowi naczynie. – Jesteś taki spięty.

– Straszny dyżur. Non stop stukalem.

– Czuję, węzeł na każdym stężonym mięśniu. – Stuknęła w jego szklankę. Wypili oboje do dna. – Zaraz ci rozbiję te sploty.

– Nie chcesz popitki?

– Nie, dziękuję. A powiedz mi, kiedy zacznie się ta operacja? Bo skoro mam uprzedzić rodzinę koleżanki...

– Infrastruktura mostu powietrznego będzie gotowa za dziesięć dni. Jedenastego może wszystko ruszyć pełną parą.

– A samoloty transportowe przylecą zza gór?

– A skąd. Już są i czekają spokojnie na lotnisku w bazie w Sait. No ale mówimy o gotowości. Sama operacja to po mojemu nie zacznie się wcześniej niż za czternaście dni, a nie później niż za dwadzieścia.

– Skąd wiesz? – usiłowała włożyć w swój głos jak najwięcej podziwu.

– Kumpluję się z takim zaopatrzeniowcem, Kubą. A wiesz, zaopatrzeniowiec jak zegarmistrz. Musi z góry wiedzieć, kiedy i jaki towar ma gdzie trafić, z dokładnością co do sekundy.

– Nalać ci jeszcze?

– Tak, poproszę.

Znowu nachyliła się nad stolikiem.

– Ja sobie naleję od razu z wodą. Poprzednie było dla mnie za mocne. – Kasia nalała sobie samej wody, zręcznie zasłaniając się przed chłopakiem własnymi plecami. Po chwili podała mu szklankę. – Na zdrowie! – Stuknęli się lekko.

– Więc jeśli chcesz ostrzec rodzinę koleżanki, to mówię ci: ostatnia chwila.

– Mhm. No chodź, chodź, zdejmij spodnie, bo cię pasek gniecie.

Sprawnie ułożyła Jureczka na łóżku i zajęła się paskiem.

– A ten Kuba to też tęskni za domem?

– Za domem, za swoją Alinką.

– Opowiadał ci o Alince?

– No pewnie.

– To jak to jest? – Zaczęła ściągać z niego spodnie. – Wy, mężczyźni, to tak sobie wszystko opowiadacie o swoich kobietach?

– No pewnie. Wszystko.

– To o mnie też opowiadasz?

Dał się złapać. Kładąc się na nim, zamknęła mu usta pocałunkiem. Potem zaczęli się śmiać. Chorąży był słodki. Wypełnienie zadań służbowych graniczyło właściwie z przyjemnością. Pięknie, uroczo i bez problemów.

Kasia wymknęła się z łóżka dopiero nad ranem. W nocnej koszuli przebiegła cichutko przez tonący w ciemnościach korytarz. W pomieszczeniu dla sprzątaczek czekała na nią koleżanka. Obie wyszły na zewnątrz i ukryły się w niszy pod oknem.

– Tu masz wszystkie zebrane materiały. – Kasia podała sprzątacze zwiniętą kartkę. – Przekaż szybko. Pilne.

– Rozumiem. Coś jeszcze?

– Tak, szybko potrzebuję wsparcia.

– Spokojnie. Mamy przygotowanych sporo dziewczyn.

- Ale tym razem chodzi o konkretną.  
Kasia podała sprzątacze drugą kartkę.
- Tu masz wymagania: wzrost, wagę mniej więcej, kolor włosów, kolor oczu, opisaną sylwetkę. Musicie dobrać babę idealnie do tego opisu.
- Zaraza jasna! Trudno będzie tak na szybko. Dupę się dobierze, ale co z jej polskim?
- To mniej ważne. Byleby tylko nie mówiła w tej okropnej gwarze arkapolskiej. To w ustach kobiety odstręcza ich mężczyzn. Najlepiej niech udaje, że w ogóle nie rozumie po polsku. Mowa ciała wystarczy.
- Dobierzemy. I skierujemy bezpośrednio pod twoje rozkazy.
- Dobra, to jeszcze jedno i spadam.
- Tak?
- Musicie tej dziewczynie dobrać jakieś tutejsze imię. Ale takie, żeby fonetycznie bardzo przypominało polskie Alinka.
- Jak?
- Alinka.



Zwiadowczy wiatrakowiec do lądowania potrzebował dosłownie kilkunastu metrów wyrównanej powierzchni. Jeszcze mniej na start. Przygotowanie lotniska dla tego typu maszyny było więc łatwe i ograniczało się do znajomości kilku podstawowych zasad ułatwiających pilotowi orientację. Shen miała instrukcję dostarczoną przez kuriera Imperialnego Ekspresu. Doskonale rozumiała też znaczenie świateł naprowadzających oraz rękawa, który pokazywał kierunek i siłę wiatru. W papierach nie napisano jednak nic na temat nawierzchni. Owszem. Ma być płaska i pozbawiona przeszkód, to jasne. Ale z czego ją zrobić? Dziewczyny, przynajmniej te wykształcone, czyli Nuk i Sharri, uznały, że skoro dla autora instrukcji coś jest tak oczywiste, że nie warto o tym nawet wspominać, to rozwiązanie musi być banalnie proste. Jakie? Najpewniej maszyna może lądować wprost na śniegu. Ubijały go więc pracownicy i wyrównywały od samego rana. Okazało się, że niepotrzebnie.

Kiedy mały wiatrakowiec ukazał się na niebie, jeden rzut oka pozwalał stwierdzić, że do podwozia ma przymocowane narty. Mógł więc lądować

praktycznie w każdym terenie. Maszyna zwiadowcza jednak za pierwszym razem przeleciała nad dziewczynami, nie wykonując żadnego manewru. Przestraszone myślały nawet, że pilot ich po prostu nie zauważył. Ale nie. Wiatrakowiec zawrócił i wykonał pełny krąg rozpoznawczy, znalazł najbardziej dogodny kierunek podejścia i zaczął się zniżać. Tuż przed przyziemieniem maszyna zadarła nos, żeby w pełni wykorzystać potencjał nart, zgrabnie dotknęła powierzchni ziemi i po kilkunastu krokach dosłownie zatrzymała się wprost przed zdumionymi dziewczynami.

– Perfekcyjne lotnisko. – Szklane drzwi kabiny otworzyły się, ukazując sylwetkę Tomaszewskiego. – Lepiej nie mogłyście tego przygotować.

Za nim na zewnątrz gramolił się Siwecki. Tego też dziewczyny znały. Tylko twarz pilota nie mówiła im niczego.

– Niepotrzebnie odśnieżałyście cały plac – powiedział lekarz. – To podwozie pozwala nawet na lądowanie w puchu. Żeby tylko korzeni nie było.

Utyłana w śniegu Nuk, zmęczona po połowie dnia ubijania na twardo, postanowiła się zemścić.

– Wasza instrukcja mówi, że należy przeprowadzić identyfikację przybyszów – powiedziała.

– Nie przejmuj się tym. Przesłaliśmy ponadstandardową instrukcję dla partyzantów, którą się zrzuca oddziałom leśnym. Nie było czasu jej zmodyfikować.

– A jednak. – Nuk wyjęła z kieszeni plik kartek. – Proszę okazać legitymację służbową.

Siwecki zaczął kłąć, a Tomaszewski się roześmiał.

– Legitymacja – powtórzyła Nuk.

– Słusznie, słusznie, było nie kpić z ich roboty. – Tomaszewski uniósł wyciągnięty do góry kciuk.

W końcu lekarz znalazł dokumenty i podał je dziewczynie. Nuk zaczęła porównywać papiery.

– Niestety, legitymacja jest niezgodna ze wzorem – stwierdziła, machając przesłaną instrukcją. – Nic się nie zgadza.

– Jak to się nie zgadza?! – Siwecki zbliżył głowę. – No jak to? Przecież idealnie takie same!

– A wcale nie. Na wzorze mam napisane: „kapitan Jan Kowalski”, a na twojej legitymacji: „porucznik Leszek Siwecki”. No i co się zgadza? Nic

się nie zgadza, do jasnej zarazy!

– No chyba kpisz ze mnie. To zdjęcie w instrukcji to przecież tylko wzór! I z nim masz porównać moje papiery.

– No właśnie porównuję i się nie zgadza. Zamiast „Jan Kowalski” u ciebie jest „Leszek Siwecki”!

Lekarz o mało nie dostał apopleksji. A Nuk położyła dłoń na kolbie rewolweru.

– Normalnie się podszywasz! Padnij! Albo...

– No już, już – Shen zgasiła zapał koleżanki. – Daj spokój z tymi garnizonowymi sztuczkami.

– A ja bym go tam w śniegu wytarzała – mruknęła Sharri.

– Zaczniemy więc od prezentów. – Tomaszewski, chcąc załagodzić atmosferę, otworzył niewielki luk bagażowy maszyny. – Mamy dla was trochę czekolady. – Wyjął sporą paczkę. – Ale pomóżcie mi z innymi. – Wskazał kartonowe pudła.

– A co to jest?

Sharri, podniecona czekoladą, pierwsza rzuciła się do pomocy.

– Lekarstwa, witaminy i najpotrzebniejsze środki. Dołączyliśmy też parę pomocnych podręczników.

– Podręczników?

– Instrukcji dla partyzantów.

Dziewczyna dalej nie rozumiała, więc zaczęła wyjaśniać.

– One mówią, jaka jest taktyka działań w lesie, jak rozśrodkowywać oddziały, jak je dyslokować, jak zdobywać niezbędne środki, jaka jest optymalna wielkość obozu dla jednego oddziału, żeby łatwo było zapewniać zaopatrzenie. To po prostu kurs nowoczesnej partyzantki.

Sharri zmarszczyła brwi.

– No zaraz, przecież wy macie duże, zorganizowane państwo. I tworzycie podręczniki dla tych, którzy są przeciwko zorganizowanemu państwu?

– Słusznie myślisz. Ale w dziedzinie partyzantki akurat mamy wielkie doświadczenia i długie tradycje. Szkoda po prostu, żeby ta wiedza wraz z upływem czasu zaniknęła.

– Rozumiem. – Niedoszła kapłanka skinęła głową. – Czyli są to przede wszystkim zapiski praktyków.

– Otóż to.

Kiedy dziewczyny przносиły kartony do swoich zaimprovizowanych sań, Tomaszewski podszedł do Shen.

– Rand prosił, żeby przekazać jego przeprosiny, że nie przybył osobiście...

Nie dane mu było dokończyć. Dziewczyna popatrzyła na wiatrakowiec, nad którego silnikiem unosił się słup gorącego, drgającego powietrza.

– Domyślam się. On nie z tych o odwadze lwa.

Uśmiechnęli się do siebie.

– Chodźcie. – Odwróciła się. – Mamy tu zaimprovizowane obozowisko. Napijecie się czegoś ciepłego.

Zaprowadziła ich między drzewa, gdzie w osłoniętym faszyną zagłębieniu terenu tliło się małe ognisko. Nie było specjalnych wygod. Ale nie przylecieli na długo, a pilot pokazał im, jak się siada na własnych spadochronach. Shen zaczęła nalewać do kubków parujący napój z osmalonego garnka.

Tomaszewski wyjął z kieszeni brezentową kopertę. Podał Shen złożoną we czworo kartkę.

– To odręczny list od Randa – wyjaśnił. – Napisał go tuż przed naszym odlotem.

Shen zerknęła na pismo.

– Ale kulfony – mruknęła. – Ręka mu się trzęsa?

– Ze strachu – powiedział Siwecki.

– Ktoś trzymał mu lufę przy głowie?

– Absolutnie. Po prostu pilot wyjaśnił mu, co się może stać z pasażerami podczas lotu tą maszyną. – Machnął w kierunku miejsca lądowania wiatrakowca. – Przy czym pilot nie zrobił tego złośliwie. Regulamin nakazuje wyjaśnić wszystkim procedury bezpieczeństwa.

– Aha. I Rand po wysłuchaniu po prostu zdecydował się nie lecieć?

– Tak.

Shen podała pismo Nuk.

– Możesz przeczytać?

Sierzant pochyliła się nad kartką. Tomaszewski westchnął ciężko.

– Tam jest napisane, że ja reprezentuję Randa. Wszystko, co chciałabyś mu przekazać, możesz powiedzieć mnie.

Nuk przytaknęła na potwierdzenie. A Shen uśmiechnęła się radośnie.



– Mam dług wobec was dwóch – powiedziała, patrząc na polskich oficerów. – Dzięki wam nauczyłam się, że można pomóc komuś nawet trochę wbrew swoim interesom.

Tomaszewski usiłował obrócić uwagę w żart.

– Wbrew czy nie wbrew, pamiętaj, że mafia zawsze chce potem przysługi za przysługę.

– Być może. W każdym razie po raz pierwszy w życiu zobaczyłam, że można komuś pomóc bezinteresownie. Nie dlatego, że ten ktoś jest bratem, krewnym czy choćby krajanem. Dzięki wam zobaczyłam, że można pomóc obcemu, jak człowiek człowiekowi, i tylko dlatego.

– No... uważaj z tą bezinteresownością.

– Może. Niemniej zrozumiałam, że można być częścią wielkiej maszyny wojennej, a jednocześnie mieć własne zdanie. Do tej pory sądziłam, że to niemożliwe.

Siwecki spróbował napoju z parującego kubka i wykrzywił się nagle.

– Co to jest?

– Wywar z brzozy kory – wyjaśniła Nuk.

Lekarz skinął głową.

– Bardzo zdrowe, bardzo – mruknął, ciągle skrzywiony. – Pozwólcie jednak, że zostanę przy tradycyjnej aspirynie.

Tomaszewski wyjął z przepastnej kieszeni lotniczej kurtki sporą piersiówkę.

– Pozwólcie, że dodam trochę polepszacza smaku.

Dolał każdemu z siedzących sporą porcję brązowego płynu. Potem podniósł swój kubek wyżej.

– Za spotkanie. – Wychylił zawartość jednym haustem, usiłując nie analizować smaku brzozy kory. – A skoro już jesteśmy przy temacie... – Odkasznął kilka razy i otarł usta. – Dlaczego to spotkanie było aż tak pilne?

– Wiecie zapewne, że wasi pobratymcy z Kong planują jakąś większą akcję? – zapytała Shen.

– Wiemy, owszem.

– Coś mi mówi, że bardzo się spieszą.

– A czy ty wiesz dlaczego?

Shen uśmiechnęła się tajemniczo.

– Spędziłyśmy dużo czasu w klasztorze z wielką zakonną biblioteką. Zachorowałam i nie byłam w stanie zwlec się z łóżka.

– Ale już wszystko w porządku? – zainteresował się Siwecki.

Dziewczyna potwierdziła ruchem głowy.

– W porządku, chociaż szkoda, że cię nie było w pobliżu.

Uśmiechnęli się do siebie.

– Na szczęście bibliotekarka zna się na ziołach i leczeniu ludzi – podjęła Shen po chwili. – Ale nie o tym chciałam mówić.

– Biblioteka Zakonu? – podrzucił Tomaszewski. – Tutaj?

– Właśnie. Twoje myśli kierują się we właściwą stronę.

– Nie rozumiem.

– No to po kolei. – Shen westchnęła, rozkładając ręce. – Siedzialiśmy w tej zapomnianej bibliotece naprawdę długo. A ta kobieta zna się na swoim fachu. Odpowiedziała na wszystkie nasze pytania. Wiele dodała od siebie.

– Na temat historii Zakonu czy co?

– Owszem. I dzięki temu wiem, że chłopaki z Kong śpieszą się ze swoją wyprawą, bo chcą osiągnąć cel przed jakąś ściśle określoną datą.

– Jaką datą?

– Tego nie wiem. Myślę, że sami od swoich lepiej się tego dowiedziecie.

– A jaki cel?

– Tego również nie wiem... – zawiesiła głos. – Za dobrze.

Tomaszewski wyjął z kieszeni papierośnicę. No szlag! Była pusta. Siwecki na szczęście podsunął mu wymiętą paczkę papierosów. Chwilę później podał ogień.

– Moment. – Tomaszewski zaciągnął się głęboko. Jak zwykle na mrozie papieros nie smakował, tylko drażnił. – Mówimy przecież o działaniach polskiej armii.

– Imperialnej armii – przerwała mu Shen. – Imperialnej armii – powtórzyła. – Z polskimi doradcami jedynie.

– I co oni wymyślili?

– Chcą, jak mówię, osiągnąć jakiś cel w Banxi przed ściśle określoną datą. Stąd decydują się na akcję, która jest wielką prowizorką. Ale... jak mówię, jaka to data, wam będzie łatwiej sprawdzić. A jeśli wasi wywiadowcy zawiodą, to możesz spytać astronomów, czy coś ciekawego nie stanie się na niebie niebawem. Albo zapytaj Kai, czy nie nastąpi jakiś ważny dla czarowników dzień.

Tomaszewski skrzywił usta.

– Mogłem się domyślić. Znowu czary.

– Takie czary, że twoje światłe wojsko, jaśnie oświeceni polscy oficerowie ruszą na akcję w wyjątkowo trudnym terenie, i to dysponując zaledwie siłami, które u dowódcy mojego korpusu w Sait wzbudziłyby jedynie salwę śmiechu.

To już były słowa, które rzeczywiście zabrzmiały poważnie.

– Czy oni...?

– Tak. – Shen skinęła głową. – Oni chcą wejść do Wielkiego Lasu siłami raptem pułku. Uzbrojonego w naszą broń.

Siwecki kręcił głową w podziw. Tomaszewski nie mógł czegoś zrozumieć.

– Co ich gna aż tak? – zapytał.

Shen wzruszyła ramionami.

– Powróćmy do początku opowieści. Dowiedziałyśmy się, co robił Zakon w tych okolicach. Tysiąc lat temu.

– Co robił?

– Szkolił ludzi, którzy mieli przedostać się przez Góry Bogów na drugą stronę.

Obaj, Tomaszewski i Siwecki, jak na komendę prychnęli śmiechem.

– Dziewczyno, ty nie wiesz, o czym mówisz! – Tomaszewski odrzucił ledwie co napoczętego papierosa. – Po naszej stronie podejmowano setki, jeśli nie tysiące wypraw, żeby przedostać się przez Góry Pierścienia. Tysiące ludzi próbowało tego dokonać. Wyszkolonych, doskonale ubranych, dysponujących nowoczesnym sprzętem wspinaczkowym. I nikomu się nie udało. Tam nie ma tlenu!

Shen uśmiechnęła się słodko.

– Tyle że od waszej strony przedostać się przez góry usiłowali normalni ludzie.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli normalnych ludzi, którzy chcieliby dokonać wiekopomnych czynów, a potem wrócić do domu, stać się obiektem podziwu, obiektem westchnień pięknych dziewczyn, kimś, komu wręcza się nagrody i buduje pomniki. Ale za życia!

– A tutaj nie?

– Tu nie. Od tej strony wspinali się zakonnicy, dla których poświęcenie życia dla sprawy to nie wybór. To obowiązek!

– Nie...

– Tak. Stracić życie tylko po to, żeby następny wspinacz wiedział troszeczkę więcej, to dla nich jedyna możliwa droga. Nie honor, nie zaszczyt, nie źródło sławy ani ciekawość odkrywcy, tylko psi obowiązek pchał ich ku rychłej śmierci. Mieliście takich ideowców po swojej stronie gór?

– Nie. Ale mieliśmy ludzi doświadczonych, dysponujących najnowszą techniką, porządnymi ubraniami, mapami wykonanymi na podstawie zdjęć, materiałami i wyposażeniem, o którym ci tutaj mogli tylko marzyć.

– Ciekawe... – Dziewczyna śmiała się cicho. – A czy każdej waszej wyprawie towarzyszyło również co najmniej trzech czarowników?

Tomaszewski zachnął się tak, że mało nie spadł z własnego spadochronu, na którym siedział. Technika i czary. Jak to porównać? Jak porównać ideowych męczenników, pchanych przez obowiązek śmiertelnego poświęcenia, z pragmatykami, którzy chcieli coś odkryć, a potem pokazać ludzkości zdjęcia, chwalić się dokonaniem i zażywać sławy?

– Tam nie ma tlenu – powtórzył.

– Czarownica, którą zabiła Kai, stała przecież w chmurach trującego gazu – zripostowała Shen. – I co? Dopiero druga czarownica załatwiła ją serią z automatu.

Długo siedzieli w milczeniu. Ktoś dorzucił suszu do ognia. Trzask zapalających się gałązek przywodził na myśl bardziej scenerię jakiejś radosnej wycieczki niż miejsce ponurych rozmyślań nad historią świata.

– Czy sugerujesz, że któraś z prób przebycia gór mogła być udana? – Tomaszewski nareszcie zdecydował się na najważniejsze pytanie.

Shen wyjęła z płóciennej torby grubą skórzaną obwolutę zawierającą plik papierów.

– Mam dowód na to, że przynajmniej jedna z wypraw była udana.

– Zakonnicy przeszli przez góry?

– Przeszli.

Siwecki poruszył się niespokojnie.

– Ale to było tysiąc lat temu – powiedział.

– Owszem. Z dokumentów jednak wynika, że prawdopodobnie udało się to wielu zakonnym wyprawom.

– Tysiąc lat temu – upewniał się Siwecki.  
– Tak, tysiąc. Przy czym nikt potem już nie uzupełniał materiałów w bibliotece, więc nie wiem, co mogło się dzieć dalej. Zakon oficjalnie rozbiła cesarzowa Achaja.

Tomaszewski potrząsnął głową.

– No zaraz. A jaki był ich cel przełazenia przez góry? – zapytał.

– Wybacz. Materiałów na ten temat nie ma w bibliotece. Nie wiem, czy zakonnicy przewidywali, że klasztorna biblioteka stanie się kiedyś publiczna, ale najbardziej tajnych materiałów tam nie ma. Nie znamy więc celu zakonnych wypraw ani nie wiemy, co ma się stać w Banxi o określonej dacie.

– No dobrze. Skoro mamy jedynie ułamki informacji, to zastosujemy jedną z metod pracy wywiadowczej.

– Jaką? – tym razem nie zrozumiała Shen.

– Spróbujmy poskładać w całość te fragmenty mozaiki, którymi dysponujemy. Na przykład: czy wiemy, ilu ludzi było w każdej grupie, która miała przedostać się na tamtą stronę?

– Dwóch, trzech. Prawdopodobnie jeden był tylko zwiadowcą, który miał się poświęcić w pierwszej kolejności w razie jakichś problemów.

– Czy coś wiemy o ich wyposażeniu?

– Tak. Każdy miał pas z zaszytymi diamentami.

– O cholera... – Siwecki potarł brodę. – Z tego, co mówisz, wynika, że większości wypraw się nie udawało. I te trupy ciągle tam tkwią.

– Masz rację. W górach są miejsca będące istnymi kopalniami diamentów.

Na twarzy Nuk pojawił się smętny wyraz. Chyba wyobraziła sobie te wszystkie pasy ściskające do dziś nietknięte dzięki mrozom ciała właścicieli. No szlag! Trochę za wysoko.

– No to świetnie – powiedział Tomaszewski. – Z tego wynika, że zamierzali przetrwać po naszej stronie dłuższy czas. I pewnie podjąć jakąś działalność.

– Owszem. Choć nikt nie ma zielonego pojęcia co do dalszych losów członków wypraw, już za Górami Bogów.

– A ten dowód na powodzenie jednej z wypraw?

– Ktoś wrócił. Jeden z nich przedostał się przez góry dwa razy.

– Zostawił jakieś notatki?

Shen potrząsnęła głową.

– Albo nie zostawił, albo ci, którzy znaleźli jego ciało, pozostawili ich treść do własnej wiadomości.

– No ale co nas to obchodzi? – Siwecki zerknął na Tomaszewskiego. – To było tysiąc lat temu. Kto przetrwa tyle czasu? Jaka organizacja może...

Tomaszewski przerwał mu w pół słowa.

– To byli zakonnicy, a nie zwykli ludzie – stwierdził. – Jesteś pewny, że nie zorganizowali jakiejś loży masońskiej? Stowarzyszenia? Kościoła wręcz?

– Masz rację – powiedziała Shen. – W tych papierach jest sporo o tym, że wyjątkowo pieczołowicie przygotowywano hasła, jakie mieli stosować zakonnicy po tamtej stronie gór. O sposobach komunikacji, o tym, jak poszczególne osoby miały się odnajdować w obcej cywilizacji, jak wzajemnie się szukać.

– I masz te instrukcje?

Uśmiechnęła się smutno.

– No skąd. Przecież w bibliotece nie zostawili.



Wieża kontrolna zbita z grubych bali, choć w niczym nie przypominała eleganckich betonowych konstrukcji na normalnych lotniskach, tu, w Kong, doskonale spełniała swoje zadanie. Miała kilka poziomów, od najwyższego, przeznaczonego dla kontrolerów lotów i dyżurnego pasa startowego, przez niższe, łączności i meteo, aż do dyspozytorów zlokalizowanych obok magazynów, którzy mogli z wysokości gołym okiem ogarnąć całość zgromadzonych wokół zapasów.

A jednak nie wieża sama w sobie ani nawet zabezpieczone płotami z drutu kolczastego stopy dobrze sprawiały, że wokół gromadziły się tłumy mieszkańców Kong. Ich celem był znajdujący się niedaleko ogromny dół, wykopany na samym skraju lasu. Kiedy już przeszedł im strach przed latającymi maszynami, które warcząc i dymiąc okrutnie, pojawiały się na niebie, zaciekawieni ludzie zaczęli podchodzić coraz bliżej. Okazało się, że istnieje jakaś koincydencja, zależność pomiędzy wieżą kontrolną, latającymi straszliwymi maszynami a tajemniczym dołem. W nim bowiem

po każdym rytuale migania światłami na wieży zakończonym przyziemieniem ryczącego potwora w dole pojawiały się dziwne rzeczy. Nie, nie, bynajmniej nie w sposób cudowny. Udało się zaobserwować, że wrzucają je tam Polacy. I to wcale nie ukradkiem. Całkiem jawnie, w środku dnia. Niemniej zależność była oczywista. Światła na wieży, lądowanie i nowe przedmioty w dole.

A potem nastąpił przełom. Wartę w okolicy pełniła bardzo kumata pani kapral. Nie dość, że była inteligentna, sprytna i bardzo szybko nauczyła się wielu zwrotów w języku polskim, to jeszcze była zjawiskowo ładna. Tak bardzo, że zainteresował się nią sam sierżant Kowalski, lokalny bożek, jeśli chodzi o znaczenie wśród żołnierzy garnizonu. Wiele razy widziano, jak sierżant żartował z panią kapral, prowadził ją pod rękę do kantyny, razem szli na krótsze czy dłuższe spacerunki po okolicy i takie tam różne.

A pani kapral była przecież „nasza”, więc po pewnym czasie ktoś z miejscowych odważył się ją zaczepić. Obiecała zapytać wyższe szarże i dowiedzieć się, dlaczego Polacy wrzucają te wszystkie przedmioty do dziwnego dołu. Zapytany tego samego dnia sierżant Kowalski zaczął się śmiać:

– Przecież to śmietnik! – rechotał. – Tam się wyrzuca po prostu niepotrzebne rzeczy.

Kapral nie za bardzo chciała uwierzyć.

– Zwykły śmietnik? – Patrzyła podejrzliwie. – I niby co? Każdy może sobie tam przyjść i zabrać, co chce? Skoro śmietnik?

– No pewnie, że może. I to z pocałowaniem ręki, bo obsługa wieży narzeka, że dół wykopano za blisko i czasem im śmierdzi.

– I na pewno każdy może wziąć sobie wszystko, co tam leży?

– Każdy może! No ale przecież tam nie ma nic cennego.

Kapral patrzyła na niego z niedowierzaniem. Postanowił więc wyjaśnić.

– Po co komu na przykład metalowa beczka? Skoro ją ktoś wyrzucił, znaczy, że nieszczelna. Ale nawet po uszczelnieniu do niczego się nie nada. Zapachu benzyny praktycznie nie da się usunąć. Nie można tam trzymać potem ani wody, ani wina.

Kapral nie wnikała, co można, a czego nie. Po prostu przekazała ludziom wiadomość, że mogą brać, co chcą, a warty ich nie ruszą. Jakimś cudem uniknęła stratowania, kiedy lud zrozumiał, co się do niego mówi, a chwilę potem rzucił się zabierać niezmiernie bogactwa.

Nieszczelna beczka po benzynie jest bezużyteczna. Co za bezsens! To bezcenne źródło wysokogatunkowego, równo rozklepanego i wyprofilowanego metalu. A reszta? Te wszystkie puszki po konserwach, dziurawe kanistry, wiadra, rozwalone skrzynki, zwoje drutu, przetarte pasy transmisyjne, pęknięte gumowe uszczelki, popsute narzędzia, worki, butelki, opakowania i cała masa niemożliwego do nazwania dobra. Tajemniczy do tej pory dół okazał się nie żadnym tam śmietnikiem przecież, tylko legendarną Złotą Krainą, o której tyle mówią stare legendy. Już nie skrajne ubóstwo, ale wręcz bogactwo zapukało do drzwi domów w Kong.

Ku wielkiej uciechu polskich żołnierzy śmierdzący dół został wyczyszczony do gołej ziemi. A miejscowa ludność zaczęła błogosławić bliskość obcej bazy i lotniska. Ponieważ od początku zauważono koincydencję pomiędzy mruganiem świateł na wieży, lądowaniem ryczących maszyn i napełnianiem dołu, pojawiła się specjalna profesja – obserwatorów tego, co robią Polacy z obsługi, i wnioski z ich czynności, czy będzie dziś dostawa, czy też nie. Gorzej. Ponieważ cały ten proces kojarzył się już ludziom z szybkim bogaceniem, zauważono również osoby, które wręcz modliły się na kolanach do wieży kontrolnej o pomyślność własną i wszelkie dobra. Nowy kult zaczynał się szybko szerzyć, ponieważ w przeciwieństwie do wszelkich innych za gorące modły dawał namacalną nagrodę jeszcze na tym świecie.

Dziś jednak ludzie sami usunęli się w cień. Zabrano także wszystkich modlących się. Dzień był bowiem niezwykle. Główna droga prowadząca do garnizonu była zajęta przez przechadzających się oficerów. Pułkownik Thien i major Baranowski ignorowali świętą snującą się z tyłu. Zdawali się na coś czekać. Krążyli tuż przy głównej wartowni pogrążeni w rozmowie. Nikt nie chciał zakłócać ich spokoju. Żołnierze usuwali z okolicy nawet psy, żeby szczekanie nie rozpraszało dyskutantów.

– Mam nadzieję, że zdoła pan to jakoś wytłumaczyć. – Pułkownik Thien miała wrażenie, że coś jej umyka. Że w całym procesie decyzyjnym ktoś usiłował ją jakby pomijać. Oczywiście to ona wydawała rozkazy i słuchano wyłącznie jej, ale... jakiś nieuchwytny nastrój potęgował podejrzenie, że coś wymusza rozwój wypadków, tym samym wymuszając na niej wydawanie odpowiednich rozkazów. Niekoniecznie już służących wyłącznie dobru garnizonu w Kong. Podziwiała oczywiście nowy sposób



myślenia i dowodzenia obcych, który pozwolił uporać się z groźnym dotychczas przeciwnikiem, ale teraz miała wyjątkowy argument, że coś jest planowane zupełnie nie po jej myśli. – Zamierza pan rozpocząć nową wojnę, panie majorze.

Żująca gumę tłumaczka miała niesamowity talent. Często zaczynała mówić, jeszcze zanim rozmówca zakończył swoją kwestię, tak jakby przewidywała zakończenie zdania. Jeśli tylko zdoła opanować nawyk tego okropnego żucia, to czekała ją zawrotna kariera na najlepszych dworach imperium.

– Nie rozpoczynam żadnej nowej wojny – odparł Baranowski. – Armia Shah umyka po prostu w inną stronę, niż przewidywaliśmy.

– Nie ma już armii Shah, panie majorze. Rozgromiliśmy ją.

– Myślę, że nie docenia pani przeciwnika, pani pułkownik. A co zrobimy, jeśli ich oddziały przegrupują się nagle i uderzą na nas z najmniej spodziewanego kierunku?

– Jak się przegrupują odcięci od zaopatrzenia? W lesie, w krzakach, tak o, po prostu?

– To ciągle nie są pobite resztki.

– Ależ są! – przerwała mu gwałtownie. – Nie ma żadnych szans na to, żeby wykazali się jeszcze jakąkolwiek inicjatywą.

– Wprost przeciwnie. Wycofują się w stronę Banxi...

– Uciekają przed siebie. – Pułkownik miała wrażenie, że jej własne oddziały spychają pobitego przeciwnika w tamtą właśnie stronę, uniemożliwiając ucieczkę wprost do swojej ojczyzny. Tu również węszyła jakiś perfidny plan obcych doradców. – A żeby rozpocząć wojnę na nowym terytorium, musimy mieć zgodę samej cesarzowej!

– To jest stara wojna, którą już prowadzimy. Terytorium nie ma tu nic do rzeczy. Idziemy tam, gdzie ucieka przeciwnik.

– Do Banxi!

– Banxi jest niczyje.

– No to zaraz się pan dowie, co to znaczy wkroczyć do Wielkiego Lasu. Szybko się pan przekona, że jednak jest on czyjś, a ten ktoś nie lubi niespodziewanych gości. I dowie się pan też, dlaczego imperium straciło cały korpus w Wielkim Lesie w Sait.

Baranowski zatrzymał się na chwilę i spojrzał kobiecie prosto w oczy. Pułkownik Thien chciała wyglądać na surową i kostyczną. Miała krótko

ostrzyżone włosy i żadnych ozdób. Nawet jej regulaminowa chusta na szyi pochodziła z ogólnowojskowych magazynów, a nie jak u innych oficerów od najlepszych krawców, którzy wykonywali je z importowanych tkanin. Jej twarz jednak zachowała wiele śladów dawnej urody i gdyby nie wiecznie zaciśnięte usta, można byłoby nawet określić ją mianem „bardzo sympatyczna”.

– Pani pułkownik – major skłonił lekko głowę – korpus poległ z wielu przyczyn. Główną upatruję jednak w tym, że był źle dowodzony.

– Bo zabito większość oficerów i podoficerów.

– To, że dali się zabić, nazywam właśnie złym dowodzeniem.

– No ciekawe, co pan powie sam, będąc w Wielkim Lesie. Może wam i łatwo dowodzić, dysponując waszą cudowną bronią. Tu będzie pan jednak miał do dyspozycji jedynie naszą broń. Taką samą, jaką dysponowały żołnierze korpusu!

Baranowski wzruszył ramionami. Zauważył, że tłumaczka zrezygnowała z oryginalnej formy: „będziecie mieli do dyspozycji, panie” na rzecz: „będzie pan miał do dyspozycji”. Nie bardzo wiedział, czy tak już zaczęła mówić sama pułkownik, czy raczej był to styl dziewczyny uwiedzionej nową modą. Przypuszczał, że bardziej to drugie.

– Korpus wkroczył do Lasu bez rozpoznania, bez żadnego wsparcia i przygotowany do wojny na bezleśnych równinach. Proszę pamiętać, że nie karabin jest najważniejszą bronią żołnierza, tylko jego morale.

– Ciekawe, jak pan to wytłumaczy żołnierzom, kiedy już zaczną świszczeć zabójcze strzały?

– Pani pułkownik – Baranowski usiłował nie przejść na ton protekcyjny wobec sojuszniczego dowódcy, w dodatku wyższego stopniem – po naszej stronie gór mieliśmy analogiczną sytuację. Wiele lat temu Amerykanie dysponowali bardzo podobną bronią, jaką wy macie do dyspozycji. A Indianie byli tak samo dobrymi łucznikami jak te dzikusy tutaj. Lasy były również nieprzebyte. I co? Dzisiaj Amerykanie dalej mają się dobrze, a lasów już nie ma tak wielkich jak poprzednio. Indian zresztą też.

– A ci Indianie widzieli po ciemku? – zripostowała Thien.

– Nie. Jest to jedyna różnica na naszą niekorzyść, którą trzeba zniwelować. I tyle.

Znowu ruszyli w stronę przeciwną niż ta, gdzie leżała wartownia. Świta towarzysząca powolnej przechadzce utrzymywała bezpieczny dystans.

– Jedyne różnica? – powtórzyła jak echo Thien. – A ich gazy duszące?

– Gazami bojowymi tośmy się zajmowali w dolinie Sait. – Baranowski urwał nagle, żeby nie wyszło, że kpi. – W tamtejszej bazie przeprowadzamy wiele eksperymentów i badań dotyczących dzikusów. Wiemy o nich nieporównanie więcej od pani generał, która dowodziła feralnym korpusem.

– O ich białawym gazie też?

– Owszem. Proszę pani, to w ogóle jest jakieś nieporozumienie. Myśmy też studiowali kroniki z czasów Achai, które mówią o cudownych właściwościach tego białawego oparu. Ale te opisy to nie fakty. To histeria!

– Histerią nazwie pan duszących się i płaczących żołnierzy?

– Dusić się można i od nadmiaru dymu z ogniska.

– Płakać też?

– Pani pułkownik. To zwykłe zioła, lekkie narkotyki. I jak każdy taki środek, działają na człowieka w sposób zależny od nastroju, w jakim ten się znajduje. Jeśli jest pani zagubiona w ciemnościach, przerażona, rozedrgana, to te środki wpędzą panią w depresję, histerię właśnie, płacz i panikę. Jeśli jednak będzie pani w dobrym nastroju, pewna siebie, zdobywca, to wtedy ten dym może wywołać u pani nawet euforię. – Baranowski westchnął lekko. – I tu wracamy do pojęcia podstawowego, od którego zaczęliśmy. Czyli do morale!

– I jest pan pewny morale moich ludzi?

– Proszę pani. Oni są teraz w zupełnie innej kondycji, niż byli w chwili naszego przybycia.

– Owszem – przyznała mu częściowo rację. – Nie ma dezercji, odmrożeń ani samobójstw. Ale...

– Ale – wpadł jej w słowo – teraz są najedzeni, jest im ciepło i mają za sobą wygraną wojnę, gdzie nie ponieśli jakichś tam większych strat. To zupełnie inni ludzie niż przedtem.

– Na pewno? Pan ich chyba nie zna, majorze.

– Przeciwnie. Nie ma już zezwierżenia, a jest wzorowa dyscyplina. Wojsko jest ostrzelane, zgrane i wyćwiczone. Dziewczyny mają swoje łupy, znają swoje prawa i poznały już smak zwycięstwa. Czują się zadbane i są pewne siebie. To dobre wojsko i poszedłbym z nimi może jeszcze nie do

piekła diabły gonić, ale na pewno w białawe opary, i ręczę, że mi się żadna nie popłacze.

Thien uśmiechnęła się wbrew sobie.

– Jednak ciągle zamiast korpusu mamy tylko pułk.

– Ależ my ich chcemy zwyciężyć, a nie zdeptać, droga pani.

Był uroczy! Thien zaczęła się już śmiać głośno. No, musiała przyznać, faktem jest, że obcy oficer potrafił wzmacniać morale. Przynajmniej u niej.

– No dobrze... – westchnęła. – Mam jednak nadzieję, że słyszał pan również o umiejętnościach ich czarowników, o urokach, klątwach, niemożności zaśnięcia w Lesie i wielu tym podobnych sprawach. To miejsce przeklęte!

– Jada! – dalszą dyskusję przerwał okrzyk od strony oficerskiej świty. – Jada!

Spoza drzew na zakręcie drogi ukazały się dwa ogromne wozy ciągnięte przez szóstkę koni każdy. Przypominały furgony, jakimi transportuje się więźniów. Bez okien, jedynie z wąskimi otworami wentylacyjnymi u góry. Widok przywodził trochę na myśl czyjś pogrzeb. Wozy były pomalowane na czarno, dobrano konie wyłącznie maści karej, a i woźniców ubrano na ciemno.

– Boi się pani czarów, uroków i klątw? – mruknął Baranowski. – Hm, zobaczymy, co nam przysłał sztab generalny armii imperium.

Wozy podjechały prawie pod same drzwi wartowni. Z pierwszego wysiadło trzech starszych mężczyzn. Każdy z nich miał opaskę czarownika w misji oraz insygnia mistrza. Ci zaczęli się witać z oficerami garnizonu. Z drugiego wozu wysiadło kilkunastu młodzieńców w jednolitych czarnych płaszczach. Oni również mieli na czołach opaski czarowników w misji. Z nikim się jednak nie witali. Wyciągali z wozu okute metalem skrzynie i kolejno zanosili na wartownię.



Gabinet głównodowodzącego flotą ekspedycyjną, admirała Ossendowskiego, wielkością przypominał salę gry w kasynie. I także było wyposażenie, przynajmniej częściowo. Pod wewnętrzną ścianą stał bowiem stół bilardowy ze stojakiem zawierającym komplet kijów, a przy drzwiach

wisiała tarcza do lotek. Pomieszczenie mogłoby służyć nawet jako sala sportowa, ponieważ wielki blat do studiowania map po zabraniu papierów i zamontowaniu siatki mógłby służyć jako stół do tenisa stołowego. Wymiary gabinetu nie brały się jednak ani z ambicji sportowych, ani hazardowych właściciela. Ossendowski podczas rozmowy lubił po prostu chodzić, a nie wypadało, żeby wielki admirał odbijał się od ściany do ściany, więc wymontowano kilka przepierzeń, robiąc w ten sposób, jak nazywali to złośliwi, „wybieg dla wściekłego tygrysa”.

Teraz jednak głównodowodzący zatrzymał się tuż przed stojącymi przed nim oficerami: Wentzlem i Tomaszewskim.

– Joachim, ja ciebie bardzo proszę, zejźdź na ziemię. Przestań unosić się gdzieś wysoko w przestworzach, bo mi cię wiatr wywieje i co ja zrobię bez szefa wywiadu?

– Posłuchaj mnie przez chwilę...

– Nie, to ty mnie posłuchaj – przerwał mu Ossendowski. – Doskonale rozumiem, że powszechnie uważa się nas za właścicieli folwarku. Że niby marynarka wojenna jest traktowana przez admirałów jak ich prywatne gospodarstwo. Ale wiesz przecież, że tak nie jest.

– Ja proszę tylko...

– Tylko o lotniskowiec wraz z krążownikiem – wpadł mu w słowo Ossendowski. – Oraz towarzyszącą im flotą ochronno-zaopatrzeniową. Dobre sobie! Joachim, przecież wiesz, że to nie są moje prywatne jachty. Ja ci nie mogę ich dać, mówiąc ot tak, po prostu: „Masz, przyjacielu, te dwa okręty, popływaj sobie i sprawdź, który szybszy. Krążownik czy lotniskowiec”. Prawda?

Admirał przeniósł wzrok na komandora.

– Prawda, Krzysiu?

Oczywiście Tomaszewski nie był z głównodowodzącym na ty. Admirał jednak uważał się za ojca wszystkich podległych mu marynarzy i dlatego sam często stosował bezpośrednią formę. Wymagając jednak służbowej w kierunku odwrotnym.

– No po prostu twój wujek chce sobie prywatnie sprawdzić, co jest szybsze, chyba. Krążownik czy lotniskowiec, prawda? Powiedz mu, co o tym myślisz.

– Myślę, że lotniskowiec będzie szybszy, panie admirale! – wyszczał Tomaszewski.

Wentzel parsknął śmiechem. Nawet Ossendowski skinął głową z uznaniem.

– Masz refleks, chłopcze. No masz – przyznał. – Ale posłuchajcie mnie, panowie. Abstrahując od faktu, że taki rozkaz byłby istnym curiosum w historii marynarki, to ja go po prostu nie mogę wydać.

– Dlaczego?

– Już wyjaśniam dlaczego. Ponieważ będę musiał złożyć raport do sztabu marynarki. A tam będę musiał wyjaśnić cel tej operacji. Będę musiał powiedzieć, po co wysyłam tak znaczne siły w nieznanym kierunku. Mógłby ktoś z was mi to wyjaśnić?

Tomaszewski wyprężył się służbowo.

– Planujemy wysadzić na brzeg dwie kompanie Tatarów. Ta operacja była zresztą planowana od dawna.

– Tak, ale nie przy użyciu aż takich środków pomocniczych. Lotniskowiec do wsparcia kompanii? Kto to słyszał?

– Oczywiście, ale sytuacja się zmieniła. Piechota morska wesprze desant, za osłonę mając dwie wspomniane jednostki. Także za źródło zaopatrzenia.

– Czekaj, Krzysiek – wpadł mu w słowo Wentzel. – Trochę źle to tłumaczysz.

– Bo tego nie da się dobrze wytłumaczyć – powiedział Ossendowski. – To idiotyzm.

– Nie do końca. To po prostu rozpaczliwa próba ratowania sytuacji. W papierach, które ci przekazałem, jest zdobyta przez wywiad Randa dokładna data rozpoczęcia operacji zaczepnej w Banxi przez wojska lądowe. Jest tak bliska, że nie uda się już zorganizować desantu klasycznymi metodami. Jedyne, co możemy zrobić w tej chwili, żeby zdążyć przed nimi, to właśnie wysłać skleconą naprędce, ale przepotężną grupę.

– Ale po co? Na miłość boską, po co?

– Cel geograficzny jest nam oczywiście w przybliżeniu znany – powiedział Tomaszewski. – To główna świątynia dzikusów w Wielkim Lesie. Ale tak naprawdę to będzie...

– Co?

– Rozpoznanie bojem.

Admirał głównodowodzący załamał rękę.

– Rozpoznanie bojem – szepnął. – Słynne rosyjskie rozpoznanie bojem. Najbardziej skuteczna metoda rozpoznania pola bitwy, jaką wynaleziono w całej historii świata.

– Sam widzisz – mruknął Wentzel.

– Najskuteczniejsza, ale i najbardziej kosztowna. Tylko Rosjanie, kiedy tracą pięć dywizji, mogą powiedzieć: „A pal to lichy! Wyślemy następne pięć, bo u nas naroda mnogo!”. A mnie za takie coś rozstrzelają!

– Wprost przeciwnie, panie admirale – odważył się wtrącić Tomaszewski. – Porucznik Siwecki mi opowiadał, że chirurdzy bardzo często, jeśli nie wiedzą, co dolega choremu, decydują się na operację zwiadowczą. Dopiero gdy zobaczą, co w środku, i ustalą przyczynę choroby, to w zależności od sytuacji decydują o jakimś konkretnym działaniu.

Ossendowski zrobił krok w stronę komandora.

– Tak, chłopcze. Masz trochę racji, bo i ja widzę wiele podobieństw tych dwóch sytuacji – westchnął. – Ale widzę też pewną różnicę. Wydaje mi się, że w historii medycyny stosunkowo niewielu chirurgów zostało zabitych przez pacjenta przy stole operacyjnym. Nieprawdaż?

– Toteż potrzebujemy lotniskowca i ciężkiego krążownika, żeby zaaplikować przeciwnikowi od razu silną narkozę, panie admirale.

Ta odpowiedź była prawie bezczelna. Ossendowski przeniósł wzrok na Wentzla.

– Ja wiem, że to twój najlepszy człowiek, ale więcej mi go nie przyprowadzaj – warknął. – Bo mnie wkurza!

Wentzel uśmiechnął się szeroko.

– Bo ma odpowiedź na każde pytanie? Tak, istotnie. To boli.

Za dobrze się znali, żeby kontrargumentować. Ossendowski machnął ręką i ruszył w jedną ze swoich słynnych przechadzek po gabinecie.

– Sam wydałem rozkaz, żeby nie wozić wojska okrętami wojennymi. Są za bardzo paliwożerne, a do czasu uruchomienia wydobywania na Złych Ziemiach i choćby prowizorycznej rafinerii, ja po prostu nie mam tyle paliwa. A wy chcecie dwa smoki, które je chłopcą tysiącami ton!

– No tak, oczywiście. Ale marynarze nie mogą przecież siedzieć na okrętach bezczynnie. Sam wiesz, czym to grozi.

– I co proponujesz?

– I tak, i tak trzeba im zorganizować ćwiczenia. A w Banxi jak znalazł. Będą mieli ćwiczenia z ostrym strzelaniem.

– A jeśli w trakcie ćwiczeń stracę Tatarów i piechotę morską, to co powiem w sztabie? Że ćwiczyli zbyt intensywnie?

Ossendowski znajdował się właśnie w najbardziej oddalonym punkcie swojego marszu i było go słyszeć jedynie z trudem. Na szczęście po chwili dotarł do ściany, zawrócił i ruszył z powrotem w ich kierunku.

– Panie admirale – podjął znowu Tomaszewski – zdobyliśmy dowody na to, że Zakon przed tysiącem lat wysyłał ludzi, żeby przedostali się przez Góry Pierścienia. Wiemy, że co najmniej kilka wypraw było udanych.

– Ty posłuchaj sam siebie, chłopcze – przerwał mu głównodowodzący. – Czy powiedziałaś: „przed tysiącem lat”, czy tylko mi się zdawało? Co?

– Powiedziałem, ale to nie znaczy, że oni nie przetrwali...

– W muzeach?

Wentzel syknął cicho. Cholera, punkt dla Ossendowskiego.

– Zleciliśmy już naszym ludziom śledztwo w tej sprawie.

– A ja tam nie wierzę w żadne masonerie, które trwają ze swoim posłaniem przez tysiąc lat. Żadna z naszych własnych masonerii tyle nie przetrwała. A te, co są, to obiekty kpin tylko.

– Zakon miał bardziej oddanych ludzi.

– Nie. – Admirał przerwał mu niecierpliwym gestem. – Mam racjonalny umysł. Żyję w racjonalnym świecie, którego reguły podlegają zasadom naukowym. Gdzie istnieje związek pomiędzy przyczyną i skutkiem. I dlatego nie uwierzę w masonów niosących swoje przesłanie przez tysiąc lat. A wiesz dlaczego, chłopcze?

Admirał zatrzymał się przy Tomaszewskim i położył mu rękę na ramieniu.

– Wiesz dlaczego? – powtórzył.

Najwyraźniej nie oczekiwał odpowiedzi, bo po sekundzie zaczął mówić dalej.

– Ano to szalenie proste. Załóżmy, że ci zakonnicy istotnie pokonali niezdojane góry i osiedlili się wśród nas przed tysiącem lat. Załóżmy, że przekazywali swoje mroczne przesłanie swoim potomkom, pokolenie po pokoleniu. A tak nawiasem mówiąc, wiesz, ile pokoleń przypada na tysiąc lat?



Tomaszewski nie wiedział, ale głównodowodzący nadal nie oczekiwał odpowiedzi, ponieważ sam podjął znowu:

– Jeśli bowiem żyli wśród nas tak długo, to ich córki i synowie, ich wnuki i prawnuki, i cała reszta doznawali dobrodziejstw nauki, techniki i edukacji współczesnej i sami stali się ludźmi racjonalnymi. Ha, ha, ha... Przez tysiąc lat indoktrynacji pragmatycznego podejścia do świata sami stali się racjonalistami, którzy nie wierzą w czarnoksiężskie moce, zjawy, duchy i boskie przekazy! Ot co!

Admirał znowu ruszył w swoją przechadzkę po wybiegu, a Wentzel skrzywił się lekko. Argument był trudny do przebiccia. Stary przyk był cholernie inteligentny, wygadany i miał wszystko dobrze poukładane w głowie. No, w końcu co się dziwić. Dowódcą floty ekspedycyjnej nie mianowano przecież głupka. Jak mu więc powiedzieć, że tym razem sprawa wyjątkowo wymyka się racjonalnym regułom?

Tomaszewski nie ustawał w wysiłkach.

– Mamy informacje ze sztabu generała Kawalca. Jego działania trudno naprawdę nazwać działaniem dla dobra Rzeczypospolitej. Ciekawe, po co potrzebne mu jest uderzenie na Banxi?

– Jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś od Kawalca, to do niego zadzwońcie i spytajcie. Ja tak zrobiłem. I oto, co mi odpowiedział...

Wentzel i Tomaszewski wymienili się spojrzeniami.

– Kawalec twierdzi, że to nie jego decyzja. Nasi doradcy w Kong uznali, że trzeba spacyfikować resztki oddziałów Shah, które wycofują się w tamtym kierunku.

– To przecież styl tłumaczenia tajnych operacji dla prasy. I w celu pościgu za resztkami oddziałów wroga generał Kawalec wybudował tam sobie lotnisko? Kto mu dał na to pieniądze?

– A nikt. Budował typową dla wojsk lądowych metodą poszerzania istniejącej drogi, aż uzyska się pas startowy. Zamiast maszyn miał nadmiar robotników, bo użył w tym celu nadwyżkę jeńców wojennych. A za ich wyżywienie i tak musiało zapłacić cesarstwo. Gdzie widzisz problem, chłopcze?

– Po co im akcja na Banxi, panie admirale?

– Przecież mówię: to doraźne działanie.

– Z lotniskiem w tle? Po co?

Wentzel uznał, że pora się włączyć.

– Panowie, wybaczcie, ale wasza wymiana zdań staje się coraz bardziej chaotyczna.

Głównodowodzący zatrzymał się w połowie swojej wędrówki. Przez chwilę myślał nad czymś, potem zawrócił i podszedł do nich.

– Masz rację, Joachimie – powiedział, patrząc na przyjaciela. – W ten sposób do niczego nie dojdziemy – westchnął. – No ale winien wam jestem jakieś podsumowanie.

– Będę ci wdzięczny.

– Wybacz, stary, nie mogę dać ci lotniskowca. Oczywiście staremu kumpłowi nie mogę też odmówić, więc wyślę do sztabu zapotrzebowanie na ćwiczenia, które miałyby się odbyć na arktycznym akwenu. Jednak sam wiesz, jaka będzie odpowiedź. Odmowna.

Wentzel skinął głową. Ossendowski natomiast zwrócił się do Tomaszewskiego.

– Tobie też jestem winny wyjaśnienie, Krzysiu – powiedział i popadł w zamyślenie. – Otóż długi czas uważałem, że oberwujek Wentzel ustawił cię na stanowisku z powodów rodzinnych. Że to taki nepotyzm po prostu. – Admirał podniósł wzrok. – Myliłem się.

Tomaszewski nie wiedział, co powiedzieć.

– Widzisz, Krzysiu, okazałeś się jednym z najlepszych jego ludzi. Gdyby nie ty i Rosenblum, inaczej byśmy stali podczas tej olbrzymiej operacji na obcych wodach. A ja lubię wiedzieć o wszystkich ruchach przeciwnika, lubię wiedzieć, co w trawie piszczy, lubię też wiedzieć, co mnie czeka i co może mnie spotkać. A ty dostarczasz mi takich informacji. Twoja akcja porozumienia się i współpracy z jedną z imperialnych służb wywiadowczych za jakieś pięćdziesiąt lat będzie opisywana w każdym z podręczników wywiadu. Posłuchaj mnie, Krzysiu, uważnie. Jesteś na najlepszej drodze do stopnia kontradmirała. Zdziwiony? Kontradmirał w twoim wieku? To niesłychane, prawda? Ale musisz pamiętać o jednym, chłopcze. Nie spieprz tego! Nie spierdol sobie kariery przez wiarę w gusła! Bo sztab generalny nigdy w czary nie uwierzy! Pamiętaj! – Ossendowski odetchnął głębiej. – Dokonałeś niesamowitych rzeczy, Krzysiu. Przed tobą świetlana droga awansu. Znaczenia.

– Będę o tym pamiętał, panie admirale.

Ossendowski podniósł wzrok.

– Zadam ci jedno pytanie, chłopcze. Czy wiesz, czym potrząsa komandor?

– Nie wiem.

– Własnym kordem, kiedy maszeruje w galowym mundurze – wyjaśnił głównodowodzący. – A wiesz, czym potrząsa admirał?

– Również nie wiem.

– Marynarką wojenną Rzeczypospolitej! – Ossendowski prawie krzyknął. – I do tego masz dążyć, a nie do biurka z papierami w archiwum floty, gdzie zaprowadzą cię czary!

– Tak jest!

Ossendowski powoli uspokajał oddech. Potem omiół swoich gości spojrzeniem.

– Panowie.

Wyprężyli się służbiście.

– Panie admirale.

Wyszli na korytarz bez dalszych pożegnań. Oddali salut adiutantowi i ruszyli dalej w milczeniu. Wentzel odezwał się dopiero po kilkudziesięciu krokach, kiedy nikt nie mógł ich słyszeć.

– No i co? – mruknął. – Okazało się, że siedzimy w trójkę z Rosenblumem w jednej łodzi. I nie jest to bynajmniej szalupa.

– Myślisz, że to robota Kawalca?

– Nie. Nie sądzę. Ten plan był zbyt awaryjny, zbyt naprędce sklecony, żeby mógł się udać. I rzeczywiście, sztab się nie zgodzi na lotniskowiec.

– Mamy się pogodzić, że kicaje nas wyprzedzą?

– Na to wychodzi. A my lecimy starym planem, transportując tam Tatarów metodami niskonakładowymi. – Wentzel uśmiechnął się kpiąco.

– Przecież zajęte tam pozamiatają. Przyjdziemy na pogorzelsko.

– Może tak, może nie.

Tomaszewski nie mógł się pogodzić z filozoficznym podejściem wuja do tej sprawy.

– Co w takim razie robimy?

Wentzel spojrzął na niego z uśmiechem.

– Przed chwilą admirał nazwał cię jednym z najlepszych moich ludzi, i to dwukrotnie. Udowodnij, że miał rację, i pozwól, że odwrócę pytanie: co teraz robimy, Krzysiu?

Na szczęście Tomaszewski miał plan B. Naprawdę długo się zastanawiał nad możliwymi wariantami, zanim poszli na spotkanie w dowództwie.

– Robimy tak: zaraz kupię największy bukiet kwiatów i pójde w konkury do pani Wyszynskiej. A konkretnie, na rozmowę łagodzącą nasze napięte stosunki.

– Niezłe.

– W trakcie flirtowania tak się rozognię winem i cudowną obecnością pani inżynier, że przypadkowo zdradzę jej naszą wiedzę o zakonnikach, którzy być może przeniknęli do naszych struktur.

Wentzel zatrzymał się w pół kroku.

– Dobrze, dobre, dobre! – Podniósł wskazujący palec. – Podoba mi się to!

– No bo tak: skoro ona była w stanie spowodować wysłanie na miejsce statku badawczego „Gradient”, doprowadziła do jego utraty i nikt w dalszym ciągu nie ma o to pretensji, a przeciwnie, wszyscy zamiatają sprawę pod dywan, to może...

– Wysłać tam i lotniskowiec!

– Muszę ją wkurzyć i zasugerować, że oprócz jej mafii istnieje być może jakaś inna mafia, która chce jej zrobić wbrew.

– No tak, nie ma nic bardziej frustrującego od konkurencji. Jednak nawet jeśli ma odpowiednie wpływy, będzie chciała pojechać tam z tobą.

– A czy to źle? – Tomaszewski przygryzł wargę. – Ona wie więcej niż my obaj na temat Banxi, jak sądzę.

Wentzel skinął głową.

– No to do boju, chłopcze. I nie kłopotz się o najpiękniejszy bukiet. Koszt kwiatów bierze na siebie marynarka wojenna.



## Rozdział 9



Sierżant szef musiał być lekko podpity, bo serdeczny uśmiech na jego twarzy wyglądał na naprawdę szczery. Lewandowski nie należał co prawda do ponuraków, ale dzisiaj promieniująca od niego serdeczność i radość życia wskazywały, że ilości alkoholu, które w siebie wlał, były niemałe.

– Chen, Chen, Chen, jak ja ciebie lubię. Ty nawet nie masz pojęcia.

Ogromny, zwalisty Polak wziął w ramiona swojego wspólnika. Z boku wyglądało to trochę tak, jakby goryl objął dziecko.

– Dzień dobry, panie sierżancie szefie. – Handlarz kawą z drugiego obiegu dobrze już podszkolił się w języku polskim. – Ja również bardzo się cieszę.

– Ach, kochany, powiedz ty mi: gdybym chciał zmienić obywatelstwo i kupić sobie tu jakiś pałac, to przyjęliby mnie?

Chen o mało nie parsknął śmiechem. Jedyne dzięki stalowej woli zdołał się powstrzymać. Co za pytanie? Z takim majątkiem? Z otwartymi ramionami na kolana by padali.

– Gdyby tu kupić pałac, to od przyszłego roku zamiast mówić: „panie sierżancie szefie”, musiałbym mówić: „panie sierżancie książę”.

Odpowiedź bardzo spodobała się Lewandowskiemu. Najwyraźniej po głowie chodziły mu jakieś plany wyprania pieniędzy i uniknięcia płacenia podatków w Rzeczypospolitej. Zadowolony, chwiejnym krokiem prowadził Chena do pustego o tej porze baru. Głęboką noc za oknami rozświetlały

jedynie elektryczne światła bazy i ledwie widoczne ogniska tych, którzy przybywali z daleka, żeby zobaczyć to zimne światło, i obserwowali je ze szczytów wzgórz.

– Czego się napijesz?

Chen unikał alkoholu. Dobrze wiedział, że w tym fachu upicie się bywa śmiertelnie zgubne. Poprosił o wodę. Lewandowski natomiast był u siebie. Też nalał sobie wody do szklanki, ale tylko do popicia tego, co miał w kieliszku.

– No to powiedz, jak nam idą interesy? – zagaił.

– Interesy idą świetnie, panie sierżancie szefie. A teraz, kiedy doszedł handel mosiądzem z łusek, które pan sierżant szef każe przekazywać ze strzelnicy, gdzie wojsko ćwiczy, to właściwie można powiedzieć, że się taplamy w rzece.

– Jakiej rzece?

– Złota.

– Aha... – Lewandowski wypił duszkiem zawartość sporego kieliszka. Czuł, że powinien trochę zmniejszyć tempo. Zaraz przestanie rozumieć najprostsze rzeczy. – A co z naszymi sprawami? Dowiedziałeś się tego, o co prosiłem?

– Tak. – Chen skinął głową. – Mam odpowiedź na wszystkie pytania, które mi pan sierżant szef zadał na ostatnim spotkaniu.

– No to wal.

Chen wyjął z przewieszanej przez pierś torby ciasno zwinięte papiery. Szybko rozplątał sznurek, którym były związane.

– Zacznę od spraw najważniejszych.

– Powiedz, co o nas wie marynarka wojenna?

– No właśnie o tym. – Chen podniósł niepewny wzrok. – Wiedzą o akcji wojsk lądowych!

– Co?!

– Znają dokładny termin rozpoczęcia akcji, zakres użytych środków. – Czytał powoli średnio zrozumiałe dla siebie słowa. – Ilość zaopatrzenia, które armia będzie dostarczać oddziałom w Banxi, drogę przerzutu, a nawet dzienny ciężar poszczególnych transportów. Być może nie wiedzą jeszcze, że Rada Czarowników bierze w tym udział. Ale to tylko kwestia czasu, żeby ta informacja do nich dotarła.

– O Boże! – Lewandowski wyjął z kieszeni spodni wielką kraciastą chustkę i otarł gromadzący się na czole pot.

– To bardzo źle? – zapytał zaniepokojony Chen.

– Źle, owszem – przytaknął Lewandowski. – Ale źle dla wojsk lądowych i ich ciemnych interesów. Dla nas dobrze, bo kiedy dostarczymy te informacje, człowiek, który trzyma nad nami parasol ochronny, zrozumie, że jesteśmy dla niego bezcenni. Dla nas więc dobrze.

– Rozumiem. – Handlarz kawą odetchnął z ulgą. – To, o co ścierają się wielkie siły na górze, jest dla nas bez znaczenia.

– Bez. Bylebyśmy byli absolutnie niezbędni jednej ze stron. To wystarczy.

– To dobrze, bo mam gorsze wieści.

Sierzant westchnął ciężko. Jakby wbrew sobie i wbrew temu, co postanowił, sięgnął po butelkę o charakterystycznym kształcie i znowu napełnił swój kieliszek.

– Co takiego?

– Oni wiedzą o wszystkim od kogoś z tej bazy.

– Ktoś ma za długi język?

– Gorzej. Wydaje mi się, że przeniknęli tu nasi.

– Jacy nasi?

– Jakaś służba informacyjna imperium. Wiedzą nawet czasem o tym, co się pojawia na biurku samego pana generała Kawalca.

Lewandowskiego zapowietrzyło. Potem podniósł swój kieliszek, wychylił jednym haustem i popił wodą. Chwilę później napełnił naczynie jeszcze raz.

– To bardzo cenna informacja, Chen. Postarałeś się.

Handlarz kawą uśmiechnął się szeroko.

– Ja wiem nawet, kto się z kim dogadał.

– No kto?

– Myślę, że pan komandor Tomaszewski nie jest człowiekiem, który szpiegowałby swoich. Dogadał się z panem Randem. Wszystkie moje podejrzenia są tu zapisane. – Chen uderzył dłonią w leżące przed nim papiery.

Lewandowski cmoknął cicho.

– Szkoda, że tylko podejrzenia.



– Zapisane fakty są dowodami. Każdy, kto umie myśleć, je zauważy. – Chen zawiesił głos, a potem dodał: – Poruszanie się w kręgu osób związanych z panem komandorem Tomaszewskim przypomina wkładanie głowy w otwartą paszczę morskiego potwora!

– Nie przesadzaj.

– Dla niego zagazowanie portu czy rozstrzelanie z armaty całej wioski przy Banxi to pestka. Wyszyńska strzela do wszystkiego, co jej się nie podoba. I zwąchali się z Randem, który potrafi bez zmrżenia oka zamordować niewinnego nawigatora, żeby umieścić na jachcie swojego szpiega. A jego ochroniarka potrafi zmasakrować sama oddział płatnych morderców.

– Mówisz, że Tomaszewski i Rand to szajka zbójów? To może i dobrze, bo tacy ludzie zawsze popełnią jakiś błąd. – Lewandowski ziewnął szeroko. – W każdym razie nas to na szczęście nie dotyczy. A co z drugim zadaniem, które ci zleciłem?

Chen miał inne zdanie na temat tego, co kogo nie dotyczy, ale nie śmiał oponować. Dzięki sierżantowi, choć w niezwykle ryzykowny sposób, gromadził własną fortunę, z którą niedługo mało kto będzie mógł się równać.

– Drugie zadanie w porównaniu z pierwszym było łatwe i proste w wykonaniu. Wiem wszystko o tym, co się dzieje z dwiema kompaniami tatarskiego zwiadu.

– Tatarzy gadatliwi przy panienkach lekkich obyczajów?

Chen zaczął się śmiać.

– To żołnierze, a nie politycy, szpiegzy czy inni krętacze. Mówią wszystko, o co ich spytać.

Lewandowski również się uśmiechnął.

– Ot, dusza u nich prosta, ale duch bojowy wielki. Masz rację.

– Otóż te dwie kompanie zostały skierowane na ćwiczenia w technikach zwiadowczych. Ponieważ w pobliżu Negger Bank lasów nie ma, zatem zupełnie oficjalnie wynajęto dla nich koszary przy lesie pod Alme Tai. Budynki dla nich opróżniono, a garnizon strzeże teraz dostępu do lasu.

– Wszystko dotąd jasne.

– Na miejscu Tatarzy dostali nowe mundury. Zamiast maskujących, w których byli niewidoczni, dostali białe i świecą w nich jak wasze latarnie.

– Mundury zimowe... Oż, kurwa mać! No to wiadomo już, gdzie ich skierują.

– Zabrano im starą broń i dostali nową. Karabiny szturmowe. Takie z łukowym czymś...

Lewandowski przerwał mu ruchem ręki.

– Wiem, co to jest karabin szturmowy. Może strzelać seriami i pojedynczo. Coś między pistoletem maszynowym a karabinem. A nabój pośredni jest bardzo mocny, ale lekki, bo chodzi o to, żeby żołnierz mógł zabrać do ataku dużo amunicji.

Chen nie za bardzo rozumiał. Na wojsku się nie znał.

– Tatarzy z nowej broni jednak bardzo niezadowoleni.

– Czemu?

– Kazali im nosić do niej takie coś, żeby móc celować w nocy. Bardzo ciężkie.

– Noktowizory?! O kurwa jebana mać! No to już wiadomo, z kim będą walczyć! – Sierżant wypił następny kieliszek i znowu sobie nalał. – No... mają noktowizory. Dzikusy, które widzą w nocnych ciemnościach, właśnie straciły swoją przewagę.

– No nie wiem. Tatarzy bardzo narzekają. Mówią, że... – Chen zerknął do swoich notatek – że pułdo do zasilania to, cytuję, „z dziesięć kilo”. A to coś do celowania, co trzeba doczepić do karabinu, to „prawie jeszcze dziewięć”. Niewygodne. I kable się pałętają.

– Eksperymentalny sprzęt. Ciężki jak cholera. No ale przecież nie każdy żołnierz musi być tak wyposażony.

Chen studiował swoje papiery. Nie wszystko rozumiał, a chciał przekazać jak najbardziej dokładnie.

– Tatarzy mówią, że „straszna lipa”. Kiedy się to włączy, lampy nie świecą, a tylko głośno... brzęczą, buczą, bzykają... nie wiem, jak powiedzieć.

Lewandowski roześmiał się głośno.

– Nie wysilaj się, wiem, o co chodzi. No, lampy elektronowe mają to do siebie, że powarkują, kiedy są podłączone do prądu.

– No! I to właśnie zdrazca w nocy stanowisko strzelca. Żołnierz, gdy włączy celowanie po ciemku, zaczyna buczeć.

Sierżant pokiwał głową.

– Z tym że w przypadku walki z przeciwnikiem, który nie jest regularną armią, nie wiadomo, czy to wada, czy zaleta – mruknął zamyślony nagle, bo coś sobie wyobraził. – Mniejsza z tym – ocknął się po chwili. – Przyniosłeś bezcenne informacje. Jutro przekażę je wyżej.

– Jutro?

– Ano tak. – Lewandowski zerknął na zegarek. – Bo dzisiaj postanowiłem się upić.

Zwalisty sierżant wstał i poklepał Chena po ramieniu.

– A ty wracaj do domu i idź spać! Dobrze się spisałeś.

– Ale... Trochę się boję. Interesowałem się sprawami Randa, a nim interesują się służby specjalne. I teraz nie wiem, czy służby nie zainteresują się mną.

Lewandowski chwiał się lekko na nogach, kiedy zabierał butelkę z baru.

– Śpij spokojnie, albowiem nad twoim bezpieczeństwem czuwam ja! – O mało się nie przewrócił, mówiąc te słowa. – Jesteś moją własnością i wszyscy wiedzą, że jesteś mi potrzebny. A nade mną czuwa taki facet, że mu służby nie podskoczą! A przynajmniej nie tak wysoko, żeby ciebie dosięgnąć!

Lewandowski z trudem oderwał się od szynkwasu i machając w powietrzu butelką dla zachowania równowagi, powiedział dobitnie:

– Idź do domu, przyjacielu, i zaśnij spokojnie. rp czuwa nad tobą. Nie da swoich pokrzywdzić.



Wyszyńska nie mieszkała za drutami hałaśliwej bazy. Jak wielu oficerów i cywilnych ważniaków wybrała równie dobrze chronioną, luksusową dzielnicę bogatych kupców i dworskich oficjeli. Były tu czyste, często patrolowane ulice, dość spore domki o wypielęgnowanych fasadach, dużo ogrodów, parków i strumyków. A poza tym osiedlających się tu Polaków witano serdecznie i z otwartymi ramionami. W dzisiejszych czasach to przecież oni stawali się źródłem nowych mód i obyczajów, a zawsze opłacało się być blisko źródła. Przybyszom z kolei poza przepięknym i spokojnym otoczeniem imponowała łatwo dostępna miejscowa służba, pojętna, przydatna, wyszkolona. Sklepów tu nie było, wszystko, co

potrzebne, przynosili odpowiedni ludzie. I w ogóle dbali, myli, sprząтали, masowali, dogadzali i życzenia odgadywali. Im też zresztą pasowali obcy. U Polaków zarobki były wyższe, a traktowanie lepsze, jedyna trudność to nauczenie się języka. Przybysze wprowadzali tu nawet takie przedziwne zwyczaje jak dni wolne dla służby albo, co dziwiło wszystkich niezmiernie, odpowiadali na pozdrowienia służących, i to wcale nie zdawkowo. Wszystko to przypominało wręcz sielankę, a na pewno czuło się wokół wypoczynkowy, wakacyjny nastrój.

Tomaszewski natknął się na Wyszyńską, gdy wracała z kortu. Była rozgrzana i spocona, miała na sobie ultrakrótką spódniczkę i obcisłą białą koszulkę, w dłoni trzymała ciężką rakietę tenisową.

– O, jak miło z pana strony! – Uśmiechnęła się na jego widok. – Te kwiaty to dla mnie?

– Tak, pani inżynier. – Zasalutował wolną dłonią do czapki tropikalnego munduru. – Stanowią wsparcie techniczne mojej misji bojowej.

– A cóż to za misja? – Roześmiała się, ale też i w jej spojrzeniu można było dostrzec zaciekawienie.

– Powiem krótko, szczerze i po wojskowemu. Przyszedłem panią przeprosić za moje zachowanie przy różnych okazjach i uzyskać wybaczenie. A w drugiej fazie chcę wybaczyć pani.

Potrząsnęła głową.

– Co za urocza bezczelność.

W głosie Wyszyńskiej nie było jednak ani cienia dezaprobaty. Przeciwnie. O ile mógł wyczuć, jej zainteresowanie się wzmogło.

Podał kobiecie wspaniały bukiet, nad którym na zlecenie marynarki wojennej pracowały najlepsze i najdroższe artystki kwiatowe w Negger Bank. Niemałe wydatki się opłaciły. Wyszyńska przyjęła bukiet. Świetnie. Wstępny ostrzał z ciężkich dział unieruchomił wrogi pancernik.

– Odniosłem również wrażenie, że chyba za długo pozostajemy na pan-pani. Czas zakopać topór wojenny.

Spojrzała na Tomaszewskiego uważnie.

– Proszę. – Odruchowo wskazała mu drzwi do domu. Żeby przeszedł pierwszy. No niby naturalne, gest, jaki gospodarz wykonuje wobec gościa.

Tomaszewski zeszywniał. Nie mógł sobie wyobrazić żadnej sytuacji, która zmusiłaby go do przejścia przez drzwi przed kobietą! Jego wychowanie czegoś takiego po prostu nie dopuszczało. Dopiero w tej

chwili tak bardzo i z całą mocą zdał sobie sprawę, że ona pochodzi z innej cywilizacji. Trudno kontrolować wszystkie odruchy, one zawsze zdradzą. Sam nie mógł ukryć zdziwienia. Co oni tam? Traktowali mężczyzn i kobiety tak samo?

Wyszyńska po sekundzie odkryła swój błąd. Zupełnie się nim nie przejęła i weszła pierwsza.

– Nei! – zawołała. – Weź ode mnie kwiaty i znajdź jakiś odpowiedni wazon!

– Tak jest, jaśnie pani. – Młoda służąca, która wybiegła z wewnętrznego korytarza, dygnęła z gracją.

– I każ tej drugiej przygotować prysznic, a kucharz niech przygotuje zimne zakąski.

– Tak, jaśnie pani. Czy przygotować też wino?

– Mhm, poproszę.

Służąca drgnęła, ciągle nie mogąc się przyzwyczaić. Do służących wcześniej nie mówiło się „poproszę”. Przejęła bukiet i pobiegła do swoich obowiązków.

– Proszę się rozgościć. – Wyszyńska odłożyła raketę na specjalny stojak przy wejściu na taras.

– Jest tu już kort? Kazała pani wybudować?

– O! – Rozłożyła ręce. – Niejeden. Ale to nie moja zasługa.

– Niech zgadnę. Miejscowi budują na wzór?

– Tak. Wystarczy dać przykład. – Pani inżynier wyjęła ze skrzyni pod ścianą ogromny ręcznik i zaczęła przecierać twarz. – Bywanie teraz na rautach z raketami tenisowymi jest jak najbardziej dobrze widziane, a wszystkie księżniczki od dawna już mają spódniczki, które ledwie co zakrywają pośladki.

– To akurat nazwałbym dobroczynnym wpływem Rzeczypospolitej.

– A owszem. Ale i tak nic nie przebije wielkiej księżnej Liu i jej roweru.

– Słucham?

– Dobrze pan usłyszał. Roweru.

– Nie mogę uwierzyć, że wzięliśmy coś takiego na wyprawę przez góry.

– Bo nie wzięliśmy. To prywatna własność jakiegoś kaprała, który ukrył go sobie w ładowni. No i kaprał pewnego dnia pojechał na rowerze do miasta. Do bazy wrócił już wozem zaprzężonym w konie. Co prawda wozem pełnym złota, ale bez roweru.

– Jak rozumiem, księżna Liu...?

– Tak. Musiałam uczyć ją jeździć, a niezguła okropna. Niemniej została pierwszą cyklistką na tej półkuli. Krawiec uszył jej obcisłe szorty do jazdy i teraz wszyscy mężczyźni się za nią oglądają, a kobiety zazdroszczą. – Wyszyńska wytarła sobie kark i odrzuciła ręcznik. – Ot, taka to i cywilizacja – westchnęła. – Byle czym zabawisz.

Tomaszewski uśmiechnął się zakłopotany, bo nie wiedział, co powiedzieć. Miał trochę inne zdanie o tutejszej cywilizacji.

– A skąd miejscowi biorą rakiety i piłki do tenisa? – zapytał, żeby zmienić temat.

– Sami robią. Rakiety równie dobre jak nasze. Jeśli nawet nie lepsze. Poradzili sobie nawet z odpowiednio miękkimi piłkami. Jestem pod wrażeniem. Tylko trwały żółty kolor im nie wychodzi.

Nei wróciła z bukietem już pięknie ułożonym w wielkim wazonie. Dziewczyna miała do tego talent. W najmniejszym stopniu nie zepsuła skomplikowanej kompozycji mistrzyń kwiatowych z zielonego targu. Dwie inne młode służące przyniosły tacę z zakąskami, dwa puchary i wino.

– Prysznic gotowy – powiedziała Nei.

– Świetnie. Zaraz będę.

Kiedy służące zniknęły, Wyszyńska sama napełniła puchary. Jeden z nich podała Tomaszewskiemu.

– No, miejmy to za sobą.

Uśmiechnął się. Słyszał już bardziej przyjazne zachęty do wypicia bruderszaftu. Stuknęli się kielichami, wypili i pocałowali, a właściwie musnęli lekko ustami policzki.

– Krzysiek!

Wyszyńska bąknęła coś cicho i zaczęła przeproszać, że jeszcze nie wzięła prysznicza.

– A nie powiesz mi, jak masz na imię? – indagował Tomaszewski.

Wyszyńska zacisnęła wargi. Na chwilę odwróciła wzrok.

– No jak? – napierał.

Coś napęczniało jej na skroniach.

– Jadwiga.

– Piękne imię.

– Nie umiesz kłamać.

– Dlaczego?

– Jadwiga, Jadzia... „Kopnij się, Jadźka, po gorzołe i kiełbachę”. Jak wiejska służąca.

– Bez przesady – zachnął się. – To imię nosiły polskie królowe!

– Dawno i nieprawda. Wolę swoją ksywę, której używają bliżsi znajomi.

– Jaka?

– Cholernica.

Zaczął się śmiać na cały głos. Chyba lody zostały przełamane. Wzorowa akcja, panie oficerze.

– O, jak pasuje! – nie mógł się powstrzymać.

– Prawda? Od tej chwili możesz się tak do mnie zwracać. A jeśli choć raz powiesz „Jadźka”, to... – Pogroziła mu pięścią.

Śmiał się cały czas. Ale i nie miał pojęcia, o co Wyszynskiej chodzi. Jadwiga to przecież imię ulubione obecnie przez największe polskie artystki. Malarki, poetki, aktorki.

– Nei! – zawołała Wyszynska, nie mogąc znieść radości Tomaszewskiego. – Idę się myć. Dotrzymaj towarzystwa panu komandorowi!

Młoda służąca błyskawicznie pojawiła się w drzwiach.

– Tak jest, jaśnie pani.

– I pilnuj, żeby czegoś nie zwędził, kiedy mnie nie będzie.

Nei była perfekcyjnie wyszkolona. Całą sobą umiejętnie dawała znać, że wie, iż to tylko żart. Kiedy jej pani zniknęła za drzwiami, podeszła do Tomaszewskiego ze srebrną papierośnicą w dłoni.

– Czy zechce pan zapalić, panie komandorze? – Dygnęła przed nim, unosząc dłoń.

– Z przyjemnością. – Wziął papierosa, a ona przypaliła mu od benzynowej zapalniczki. – Dziękuję.

Dziewczę wzięło głębszy oddech. Bardzo powoli przyzwyczajając się do myśli, że na świecie może istnieć ktoś, kto może za coś podziękować służącemu. Dziwna kultura obcych.

– Czy pan komandor zechce spocząć?

– Dziękuję, postoję chwilę. – Tomaszewski zaciągnął się głęboko. – Dawno tu pracujesz? – zapytał.

– Tak, panie komandorze. Odkąd moja pani wynajęła ten dom.

– Masz świetny polski akcent. Musisz być bardzo zdolna.

– Dziękuję, jaśnie panie. – Nei zgięła się w ukłonie.

Jak strasznie trudno przyzwyczać się do myśli, że pan traktuje służbę jak człowieka. Co prawda została wyszkolona do służby w najlepszych domach, a nie byle gdzie, ale nikt jej o tym nie uprzedził. Od dawna więc, od samego początku, nie mogła wyjść ze zdziwienia i pogodzić się z myślą, że przybysze traktują ją jak równą sobie, tyle że pracującą na niższym stanowisku.

Wyszyńska nie należała do kobiet, które spędzają pod prysznicem połowę swojego życia. Tomaszewski nie zdążył wypalić całego papierosa, kiedy pojawiła się znowu w salonie. Zerknął na nią i poczuł, jak przyspiesza mu puls. Była ubrana jak miejscowe kobiety. Miała na sobie krótką tunikę do połowy ud i nic więcej. Podrygujące swobodnie z każdym krokiem piersi udowadniały, że z całą pewnością nie włożyła nic pod spód.

– Cóż cię tak zszokowało, Krzysiek? – spytała, zadowolona z wywołanego efektu. – Oni przejmują nasze zwyczaje, a my ich.

Usiadła przed lustrem, a Nei zaczęła rozczesywać jej włosy.

– Przyznasz przecież, że miejscowy strój jest lepszy na tę pogodę. A poza tym, nosząc go, kobieta nareszcie czuje się wolna. Może pozbyć się tych wszystkich staników, gorsetów, pasów do pończoch i majtek, które tylko krępują ruchy i ocierają skórę.

Aha. Majtek też nie włożyła. A powiedziała to, żeby nie miał żadnych wątpliwości w tym względzie. Przełknął ślinę, nie wiedząc, jak skomentować.

– Sam włożyłbyś męską tunikę – ciągnęła Wyszyńska niezrażona. – Mundur, nawet w wersji tropikalnej, to i tak średniowieczna zbroja w porównaniu z lekkością tego, co tu noszą mężczyźni.

Tomaszewski wolał jednak nie wyobrazić sobie siebie w „sukience”. A swoją drogą, ciekawe, gdzie wtedy włożyłby służbowy pistolet.

Nei błyskawicznie upinała włosy swojej pani sterczącymi na wszystkie strony szpikulcami. W kilku miejscach fryzury umieściła grudki pachnideł, które pod wpływem ciepła będą się rozpuszczać, rozsiewając eleganckie zapachy i jednocześnie chłodząc skórę karku i skroni. Sprawna Nei ustawiła kilka prostych blend z cienkiego papieru, kierując więcej światła na twarz Wyszyńskiej, i zajęła się nakładaniem makijażu.

– Z kim grałaś w tenisa? – zmienił temat Tomaszewski. – Tak z ciekawości tylko.



– Z porucznik Idri. Co prawda nie mieszka w pobliżu, bo jej na to nie stać, ale dostarcza mi mnóstwo różnych informacji. – Wyszyńska zerknęła na jego odbicie w lustrze przed sobą. – A tobie, Krzysiek, jak zwykle nic nie umknie.

– Nie pytałem służbowo – mruknął. – Skoro już jesteśmy przy temacie, to wiesz oczywiście o planowanej akcji wojsk lądowych w Kong? Idri nie wspomniała?

Chyba trafił. Wyszyńska, choć zachowała kamienną twarz, zaczęła bębnić palcami o krawędź zydła.

– Coś tam obito mi się o uszy.

Nie mógł złowić jej wzroku. Nei, która błyskawicznie i po mistrzowsku nakładała makijaż, co chwila delikatnie, ale stanowczo przekręcała głowę swojej pani na różne strony.

Tomaszewski zdusił niedopałek we wspianiale rzeźbionej popielniczce. Ciekawe, że miejscowi rzemieślnicy zdążyli już wyprodukować nawet coś takiego. Cekał cierpliwie, aż służąca upora się z malowaniem twarzy. Kiedy Nei skończyła i założyła Wyszyńskiej wspianiały naszyjnik, zaatakował frontalnie.

– Mój zawód polega na kolekcjonowaniu informacji. Nawet drobiazgów – powiedział. – I łączeniu takich, które z pozoru są nie do połączenia.

– O? A z czym chcesz połączyć aktywność naszej armii w Kong?

– Potrafię korzystać z najróżniejszych źródeł informacji. Nawet tych ukrytych w bibliotekach zapomnianych przed tysiącem lat.

Wykazała cień zainteresowania. Lecz to nie było to, czego się spodziewał.

– I co znalazłeś? – zapytała. – Przepraszam, co znaleźli twoi informatorzy? – poprawiła się po chwili.

– Wiesz, że Zakon miał własny ośrodek szkoleniowy dla alpinistów. No nie... Nazwa jest nieadekwatna.

– „Dla taterników” też nie zabrzmiało dobrze – zakpiła.

– Dla wspinaczy wysokogórskich – wybrnął. – Przed tysiącem lat wysyłali wyprawy, które wyposażone w klejnoty do realizacji zadań po drugiej stronie usiłowały przejść przez Góry Pierścienia.

Zachichotała.

– A na jakiej wysokości, tak średnio licząc, te wyprawy umierały z braku powietrza? – Bawiła się w najlepsze. – Naszym, po właściwej stronie gór,

nigdy to się nie udało, mimo że dysponowali butlami ze sprężonym tlenem.

– Butle nasi mieli – potwierdził. – Czarowników już nie.

– Co?

– Mam dowód co do jednej udanej wyprawy. Ale przypuszczalnie co najmniej kilkunastu wyprawom zakonnym udało się przejść na drugą stronę.

Wyszyńska zrozumiała, że Tomaszewski mówi poważnie. Z boku wyglądało to tak, jakby nagle straciła możliwość oddychania. Siedziała w idealnym bezruchu, czerwieniejąc coraz bardziej pod starannym makijażem.

– Chryste... – szepnęła po chwili z takim trudem, jakby musiała pokonać coś, co blokowało jej gardło. – To... To się naprawdę dzieje...

Tomaszewski patrzył z pewnym podziwem, jak kobieta usiłuje się pozbierać. Zajęło jej to kilka sekund.

– Nei! – krzyknęła. – Natychmiast stąd wyjdź!

– Tak jest, jaśnie pani!

– Czekał – odwołała dziewczynę już z korytarza. – Zabierz wszystkich służących z zasięgu słuchu! Najlepiej zaprowadź wszystkich do ogrodu. Ustaw tak, żebym widziała z okna. Natychmiast!

– Tak, jaśnie pani!

Przerażona Nei runęła do swoich zadań i po chwili usłyszeli, jak krzyczy na resztę służby.

– Wynocha! Wynocha! Wszyscy do ogrodu! Jaśnie pani kazała!

Wyszyńska powoli odwróciła się na zydłu.

– Mówisz poważnie? – zapytała. – Jesteś pewien?

– Tak.

– O kurwa mać! – Gwałtownie opuściła głowę, wlepiając wzrok w swoje bose stopy.

Tomaszewski drgnął nieprzygotowany, że kobieta z wyższych sfer może kłać w ten sposób. A jednak był pod wrażeniem tego, jak szybko zdołała się opanować.

– Powiedz mi jedną rzecz, Krzysiek. – Powoli się wyprostowała. Jej oczy nie były już rozbiegane. W miarę spokojnie patrzyła mu prosto w twarz. – Dlaczego przyszedłeś z tą wiadomością właśnie do mnie?

Uśmiechnął się.

– Jedziemy na jednym wózku, Cholernico. – Spojrzał na nią tym razem z pewną dozą pobłażania pomieszanego z triumfem. – Wiedziałem, że tylko ty mi uwierzysz.

Po bardzo długiej chwili skinęła głową.

– A ja wiedziałam, że jesteś najinteligentniejszym oficerem w tej zasranej flocie.

– Bóg zapłać za dobre słowo – zakpił lekko.

Tomaszewski zrozumiał, że osiągnął pierwszy cel. Teraz trzeba udowodnić, że jego działania są profesjonalne i na ten poziom zawodowej współpracy chce wciągnąć Wyszyńską.

Wstała i podeszła do stolika z przekąskami. Nie umknęły mu dwie rzeczy. Zerknęła w stronę ogrodu, żeby sprawdzić, czy na pewno wszyscy służący czekają poza zasięgiem słuchu. A drugą rzeczą, która rzucała mu się w oczy podczas tej krótkiej obserwacji, były jej podrygujące przy każdym kroku piersi.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała, napełniając kielichy winem. – To bardzo ważne.

– Wiem o tym. – Wytrzymał jej spojrzenie. – Dlatego do ciebie przyszedłem.

Upiła kilka łyków wina. Czuł, że jest bliski drugiego celu. Że właśnie Wyszyńska zaczyna w nim widzieć naprawdę poważnego partnera do gry.

– Czy byłbyś skłonny przekazać mi kopie tych materiałów? – zapytała.

Rozłożył ręce w geście, który mógł oznaczać wszystko: i „Dostaniesz, co zechcesz, piękna”, i „Za darmo mam dać? Zwariowałaś?”.

Do Wyszyńskiej dotarło to drugie znaczenie.

– Co za to chcesz?

Był przygotowany na to pytanie.

– Mam dwie opcje. Po pierwsze chciałbym wiedzieć o wszystkim, czego dowiedzą się twoi przyjaciele na podstawie przekazanych im materiałów.

– Masz jak w banku.

– No zaraz. – Uśmiechnął się lekko. – To, czy dostanę wyniki waszego śledztwa, będzie zależało od twojej dobrej woli. A wolałbym się nie uzależniać od kaprysu, w sytuacji kiedy ja daję ci konkret.

Była bardzo pragmatyczna.

– Słucham więc konkretnego żądania: co chcesz w zamian?

Zdejmij szybko tunikę i połóż się na sofie. Na szczęście nie powiedział tego głośno. No! Strzał w dziesiątkę. Właśnie uznała, że jest tak liczącym się partnerem, że trzeba zacząć negocjować. Drugi cel osiągnięty.

– Czego chcesz? – zapytał retorycznie. – Pozwól, że sparafrazuję znaną sztukę.

– Wal.

– Jeśli nie chcesz mojej zguby, lotniskowiec daj mi, luby.

Parsknęła jak koń.

– Zwariowałaś!

Wyjął z kieszeni notes, napisał kilka cyfr, wyrwał kartkę i podał Wyszyńskiej w wyciągniętej ręce.

– Dokładnie tego dnia wzmocniony pułk z Kong oraz polscy doradcy wyruszą do matecznika Wielkiego Lasu w Banxi.

Wzięła od niego kartkę. Zerknęła i spojrzała na Tomaszewskiego pytająco.

– Otóż na wyprawę pojedzie ktoś jeszcze.

– Kto?

– Kilkunastu czarowników delegowanych przez radę.

Wyszyńska oniemiała. Pierwszy raz widział ją tak bezradną. Pierwszy raz widział, jak trzęsie jej się ręka, i to tak, że czerwone kropelki wina opadają na kamienną posadzkę.

– Chryste Panie!... – wyszeptała. – Zakonnicy przetrwali po tamtej stronie gór... Przeniknęli do sztabu wojsk lądowych, a już tutaj dogadali się z Radą Czarowników...

Długo stała nieruchomo, a potem wrzasnęła ze wszystkich sił:

– Kurwa mać!

Rzuciła swoim pucharem o ścianę. Kryształ pękł, rozsypując się w fontannie niezliczonych drobinek. Wino chlusnęło na białą ścianę, zostawiając wielką czerwoną plamę. Tomaszewski stał jak posąg, zszokowany takim zachowaniem kobiety. Wyszyńska ukryła twarz w dłoniach. Zaniepokojona hałasem Nei odważyła się podejść do okna, żeby sprawdzić, czy nie jest potrzebna jakaś pomoc.

– Jaśnie pani...

– Won!

Wyszyńska opuściła ręce. Jej głos, którym odprowadziła służącą, nie był wcale histeryczny. Był stanowczy. Kobieta jakimś cudem zdołała się

opanować.

– Jestem pod wrażeniem twoich dokonań – powiedziała spokojnie do Tomaszewskiego i tym autentycznym opanowaniem zaskoczyła go jeszcze bardziej niż krzykiem i przekleństwami. – Bestio wredna, udało ci się sprawić, że gramy w tej kwestii w jednej drużynie! Jeśli cię bawią takie przedstawienia, mogę uklęknąć przed tobą i wyrazić najgłębsze uznanie dla twojego opanowania arkanów perfidnej gry.

Uśmiechnął się z uznaniem dla pragmatyzmu Wyszyńskiej. Oczywiście, że miał ochotę, żeby uklęknęła. Powiedział jednak tylko:

– Ciesz się, że w tej sprawie gramy razem.

– Jaki jest twój plan?

– Widzisz... – Tomaszewski podszedł do niezabryzganej ściany, umoczył palec w swoim winie i zaczął rysować. Nie przejmował się tym, co zostawi, bo ściana była już i tak brudna, a z bohomazów, które zamierzał stworzyć tylko dla orientacji, nikt się nie domyśli, co narysował. – To jest Wielki Las w Banxi. Tu mamy wybrzeże, a tu najprawdopodobniej ich wielką świątynię. Nikt tak naprawdę nie wie, jak to wygląda w rzeczywistości, ale tak przypuszczamy na podstawie zwiadu lotniczego.

– A wojska lądowe nie mają lepszych informacji?

– Skąd miałyby mieć? Opierają się na tych samych materiałach co my.

– A czarownicy? Miejscowa ludność?

Zerknął na nią z ukosa.

– Stamtąd raczej nikt nie wraca. Przynajmniej do tej pory nikt nie wrócił. Chłopcy od generała Kawalca chcą posuwać się tędy. – Narysował palcem najkrótszą linię łączącą Kong ze świątynią. – Teren trudny, dróg nie ma, więc wzmocnili pułk trzema kompaniami saperów.

– I będą budować drogę?

– Raczej przecierać trakt. Ale im się nie spieszy. Mają lotnisko, zaopatrzenie mogą sobie zrzucać. Nie mam pojęcia, czy będą umacniać trakt, jednak wszystko wskazuje, że nie planują operacji na całą zimę. Najprawdopodobniej chcą dojść do świątyni, zrobić tam coś i wrócić.

– Jasny szlag – powtarzała Wyszyńska, lecz już bez zdenerwowania. Raczej ze skupieniem i trochę zamyślona. – Jasny szlag.

– To ciężka i długa droga. – Tomaszewski wskazał swój plan na ścianie. – Możemy ich wyprzedzić.

– Jak?

– Wysadzając desant na plaży. O, w tym miejscu. – Chlapnął winem. – Stąd mamy do świątyni marne kilkadziesiąt kilometrów. Będziemy w stanie wykonać błyskawiczny rajd.

– A po co ci lotniskowiec?

– Mogę tam mieć dwie kompanie Tatarów i piechotę morską. Tylko te oddziały potrafią posuwać się w lesie, bez dróg i baz. Ale w związku z tym zaopatrzenia będziemy mieć tylko tyle, ile udźwigną żołnierze. Jedna większa bitwa i jesteśmy bez amunicji. Więc muszę mieć zrzuć.

– Jak rozumiem, przewidziałeś ewentualne możliwości skorzystania z ich lotniska albo użycie wodnosamolotów?

– Mhm. Na latające łodzie za daleko. A powiedz mi, ile ty sama znalazłabyś możliwości, żeby sparaliżować moje działania na twoim lotnisku?

– Masz rację.

Wyszyńska znowu zamyśliła się głęboko. Podeszła do okna, szepcząc:

– Drogi sztabie generalny. Jestem grzeczną dziewczynką, myłam ręczki przed obiadem i ząbki przed snem. A w nagrodę chciałabym... lotniskowiec. – Otrząsnęła się nagle. – Nie. Tak im raczej nie napiszę.

Odwróciła się nagle i oparła o framugę.

– Nie wiem, co zdołam załatwić, ale stanę na głowie, żeby nasza wyprawa doszła do skutku.

– Nasza?

– No przecież zgadzam się jechać z tobą – zakpiła. – I niniejszym dziękuję za zaproszenie.

Mógł tylko rozłożyć ręce. Ale nieszczególnie szczerze. Nie bardzo sobie wyobrażał tatarski rajd bez niej. Postanowił zmienić temat.

– Naprawdę uważasz, że fakt zabrania czarowników wraz z siłami, które ruszą z Kong, ma takie znaczenie?

– Ma! – odpowiedziała bez wahania. – Słuchaj, ty mi dzisiaj powiedziałeś o rzeczach, które mają fundamentalne znaczenie dla sprawy.

– Jakiej sprawy?

Zaskoczył ją.

– Naszej – odpowiedziała oczywiście, choć dopiero po upływie dobrej sekundy. – Jak widać, Zakon nie jest ani pokonany, ani bezbronny. Więcej, oni już wtedy zabezpieczyli się perfidnie przed połączeniem dwóch światów. Po prostu zawczasu umieścili w tym drugim świecie swoich ludzi.

Z zapasem tworzenia fortuny przez długie lata i mozolnego zdobywania wpływów w tamtej cywilizacji. Czyż można im odmówić miana geniuszy?

Hm. Dokładnie tak samo postąpił człowiek, który nie tak dawno pojawił się w Warszawie również z teczką wypchaną złotem i diamentami. Kupił sobie firmę „Kocyan i wspólnicy”. Tchnął w nią nowe technologiczne życie, został miliarderem i teraz upycha swoich ludzi, gdzie chce i kiedy chce. Czyżby kalka rozwiązania, na które wpadł Zakon ponad tysiąc lat temu? Sądząc po zachowaniu Wyszyńskiej, niekoniecznie. Po prostu w danej sytuacji to mogło być jedyne racjonalne rozwiązanie. I obie strony wpadły na nie niezależnie.

Nie mógł jednak powiedzieć jej o swoich przemyśleniach wprost. Jeszcze nie.

– Wierzysz w czary? – zapytał.

– Wierzę – odparła szybko. – Choć większości rzeczy, które są określane tymi słowami, osobiście bym tak nie nazwała.

– Ale tak w ogóle...? To są?

– Są.

Nie mógł się pogodzić z tym, co usłyszał. A może inaczej. Nie mógł uwierzyć, że te słowa wypowiedziała kobieta, którą uważał za wzór racjonalnego myślenia i skrajnego pragmatyka. Zauważyła to i uśmiechnęła się.

– Tu, w tym świecie, napotkaliśmy coś, czego racjonalnie wyjaśnić się nie da – powiedziała. – Owszem, większość sztuczek to kuglarstwo i znajomość psychologii. Część można wyjaśnić efektem działania technologii „Bogów”, której nie rozumiemy, bo jesteśmy zbyt prymitywni. Ale część... – zawahała się. – Część wywraca nasz światopogląd do góry nogami.

– W kwestii?

– Przewidywania przyszłości? – powiedziała to tak, że zabrzmiało jak pytanie.

Wzruszył ramionami.

– Chyba nie za daleko zajdziemy, roztrząsając te sprawy.

– Właśnie. A pytając o czarowników, miałeś pewnie coś konkretnego na myśli.

– Owszem – przytaknął. – Miałem na myśli los, który spotkał załogę „Gradienta”.

Sposepniała.

– Jak widać, chłopcy z Kong również traktują to zagrożenie jako realne. Mają swoich czarowników. A my?

– Otóż to. Kai sobie nie poradzi.

– Mhm... – Wyszyńska zacisnęła wargi, myśląc nad czymś intensywnie.

– Dobra, stojąc tu i myśląc, niczego nie załatwimy. Podzielmy się zadaniami. Ja biorę na siebie flotę desantową, ty postaraj się znaleźć jakieś zabezpieczenie przed tym, co spotkało tamtych z „Gradienta”. Grasz w tenisa?

– Jasne.

– To dobrze. Nie pokazujmy się za często razem prywatnie. Kiedy będziemy chcieli coś sobie nawzajem przekazać, spotykamy się na korcie tutaj, gdzie złoję ci skórę.

– Ha! – Aż klasnął w dłonie. – Dziecko... Okaże się, kto komu. Byłem w tenisie mistrzem wydziału na mojej uczelni.

– W gębie jesteś mocny. – Przytaknęła ruchem głowy. – Zobaczymy przy siatce.

Odwróciła się do okna i krzyknęła:

– Nei! Nei, chodź tutaj! – Zerknęła na Tomaszewskiego. – Podwiesz mnie do radiostacji?

– Jasne. Ale... wiesz, kto może słuchać?

Wzruszyła ramionami.

– Moich szyfrów nie złamią. Za ciency na to – powiedziała pogardliwie. – A nie ma chwili do stracenia, skoro czas tak goni.

– Tak chcesz jechać do miasta i bazy? – Wskazał jej tunikę i to, że nie miała niczego pod spodem.

– Miejscowe kobiety tak chodzą.

– Ale nie Polki.

– A tam! – Machnęła ręką lekceważąco. – To zobaczą pierwszą.

Kiedy młoda służąca wpadła do pomieszczenia, Wyszyńska szybko zaczęła wydawać jej rozkazy.

– Ściągnij tu zaraz jakiś powóz. I załatw wizytę malarza.

– Jakiego malarza? – dała się zaskoczyć dziewczyna.

– Pokojowego. – Wyszyńska wskazała poplamioną ścianę. – Dyskusja z panem komandorem miała ostry przebieg i zostawiliśmy po sobie straszny chlew.





– Ognie na wodzie! – Dziewczyna z karabinem o mało nie potknęła się o ledwie wystający spod śniegu korzeń i nie wyrznęła głową o pień drzewa. Zdołała jednak złapać równowagę. – Widziano w nocy ognie na wodzie!

Shen podniosła się znad ogniska.

– Jesteś pewna?

– Tak! Wartownicy na drzewach widzieli je bardzo dokładnie.

– Co to znaczy? – Kadir zerknął na Shen z zaciekawionym.

– Podwodny okręt czai się w pobliżu.

Rusznikarz odłożył studiowany właśnie z wielkim zainteresowaniem podręcznik dowodzenia oddziałem partyzantki, który dziewczyny dostały od Tomaszewskiego. Zadziwiająca lektura. Kadir, jako człowiek wybitnie wykształcony, doskonale znał historię imperium. I właśnie doczytał się, dlaczego pierwsza wojna partyzancka zakończyła się klęską buntowników. Abstrahując od braku ideologii (ze zdziwieniem poznał teorię, że nie wystarczy porwać lud hasłem: „Im jest dobrze, a nam źle, więc atakujemy”), dowiedział się jeszcze o najważniejszej rzeczy. Poznał odpowiedź na pytanie, co powinna zrobić partyzantka, żeby wygrać. Szokująca odpowiedź brzmiała: najlepiej nic. Regularna armia bowiem przegrywa, jeśli nie wygrywa. A partyzantka przeciwnie: wygrywa, jeśli nie przegrywa. Najlepiej więc nie doprowadzać do sytuacji, w której ktoś okaże się przegranym, a ktoś wygranym. To oznaczało brak jakichkolwiek większych bitew. Leśnym ludziom wystarczy po prostu, że przeżyją, że zaznaczą swoją obecność, a armia ponosząca ogromne koszty i podejmująca gigantyczne wysiłki, nie odnosząc żadnego sukcesu, z dnia na dzień zaczyna słabnąć. Gorzej, samo zmanifestowanie istnienia ruchu partyzanckiego sprawi, że ochotnicy zaczną napływać coraz większymi falami. Podręcznik mówił, jak ich zaopatrzyć, jak wyszkolić, jak nauczyć dyscypliny i, najważniejsze, wpoić cel. Partyzantka rośnie więc w siłę sama z siebie. Zyskując tym większe poparcie miejscowej ludności, im większa jest jej legenda. Armia z kolei ignorować partyzantów w lesie nie może. Sabotaż idzie wtedy pełną parą, a mosty i fabryki zaczynają płonąć. Rabuje się oddziały zaopatrzeniowe i magazyny, likwiduje posterunki. No to regularne oddziały trzeba wyprowadzić w pole. A tu z kolei nie mają w co

bić. Przed nimi nie ma przeciwnika. Morale spada do zera, frustracja przeciwnie, rośnie niepomiarnie. Całość zamienia się w koszmary dla dowódców kontredans bezsensownych, wyczerpujących marszów w pogoni za cieniem i wysysających siły akcji, które nie przynoszą żadnych wyników, co tylko potęguje nastrój beznadziei.

Kadir już wiedział. Poprzednia wojna partyzancka zakończyła się straszliwą klęską, bowiem podnieceni swoją przewagą nad armią typu polowego dowódcy rozzuchwalili się zbyt. Wydawali bitwy, a potem zorganizowali ofensywę. No i regularna armia pokazała im miażdżącą przewagę ślepej dyscypliny nad najlepiej nawet strzelającym ochotniczym motłochem. Błąd! I to srodze okupiony. A trzeba było jątrzyć, dźgać zaostrzonym patykiem, demoralizować i czekać, aż żołnierze sami wystąpią przeciwko swoim dowódcom. Trzeba było czekać na sprzyjające okoliczności i rewolucję.

Rusznikarz otrząsnął się z ponurych rozmyślań.

– Zgaduję, że okręt podwodny ma na pokładzie zapasy i amunicję? – powiedział.

Shen przytaknęła.

– Ma amunicję do twojej broni, części zapasowe i wiele różnych cudów.

– Ale nam nie da.

– Nie da. Dostaniemy, gdy będziemy potrzebni.

Kadir westchnął, trąc brodę. A Shen położyła mu rękę na ramieniu i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Uprzedzę twoje pytanie – powiedziała.

– A jakie chciałem zadać? – zapytał.

– Byłbyś wdzięczny za odpowiedź na pytanie, jak ja się czuję. Jak się czuje marionetka poruszana przez wielką dłoń u góry sznurkami, które są przywiązane do jej nóg i rąk.

Skinął głową.

– No właśnie. Jak się czuje?

– Hm. Nigdy nie mogłam odgadnąć, dlaczego żadna z drewnianych laleczek nie wpadła na pomysł, żeby samej chwycić za przywiązane do niej sznurki i pociągać za nie, poruszając przy tym wielką dłońią na górze.

Kadir zaczął się śmiać.

– Co zamierzasz zrobić?

– Tak jak mówi ten podręcznik. – Wskazała książkę, którą czytał przed chwilą. – Najlepiej nic.

– Genialne! A konkretnie, jak to „nic” będzie wyglądało?

– Amunicję dostanę, kiedy będę im potrzebna. Więc chcę sprawić, żeby sami wymyślili, do czego będę im potrzebna. – Wyciągnęła rękę przed siebie i zatoczyła koło, wskazując ludzi skupionych nad ogniskami rozpalonymi wokół. – Ci ludzie marionetkami już nie są. Jeśli dostaną to, czego potrzebują, zrobią, co zechcą.

– Zrobią, co zechcesz – poprawił ją Kadir.

Zdała sobie sprawę, że uwielbia tego mężczyznę. Uwielbia jego spokój, przenikliwość i trzeźwość przemyśleń, a jednocześnie jego wariactwo, porywczosć i to, że był zapaleńcem, który dawał się porywać najśmielszym ideom.

– Może – powiedziała.

– Zwróć jednak uwagę, że Rzeczpospolita nie chce się wdawać w jakikolwiek konflikt ze swoim imperialnym sojusznikiem. Za dużo zyskuje na współpracy.

– Rzeczpospolita jako całość może i nie chce. Ale jej wściekłe psy już sobie skoczyły wzajemnie do gardeł. Już się szarpią, jak na marynarke i piechotę przystało!

– Nie znasz przyczyny – ostrzegł ją subtelnie. – A chcesz wepchnąć palce pomiędzy framugę a drzwi.

– Być może. Ale większą będę miała szansę na zainteresowanie, gdy zbliżę się do źródła konfliktu.

– Do Kong i Banxi?

– Tak, a jednocześnie zdobędę tu kawałek wybrzeża i łodzie. Żeby w razie czego przewieźć wszystko za jednym razem, a nie wozić pontonami do brzegu po jednej skrzyni.

Shen mrugnęła do Kadira, krzywiąc się zabawnie. Odpowiedział gestem w rodzaju: „Za dużo tego, jak na moją głowę”.

– Nuk! Nuk! – zawołała dziewczyna. – No gdzie się podziewa ta moja okropna siostra?

– Ostatnio widziałem ją przy kuchni.

Shen skinęła głową. Ruszyła od razu pędem, bo nie lubiła, kiedy sprawy musiały czekać. Wyrobiła w sobie nawyk starego dowódcy: jeśli wpadasz na jakiś pomysł, natychmiast zarządzaj jego realizację. Zrób to, zanim

opadną cię wątpliwości, zanim zaczniesz mnożyć w głowie problemy. Pomysł, decyzja i realizacja to jedność, a nie trzy różne rzeczy! Jeśli nie będziesz działać odpowiednio szybko, to sam się sparalizujesz własnym wahaniem.

– Nuk!

Pędziła grzbietem niewielkiego pagórka w stronę zagajnika, gdzie wśród drzew umieścili kuchnię. Kolejna rada z polskiego podręcznika: nie rozdawać żywności, żeby każdy sobie przyrządził na własnym ognisku. To rodzi niepotrzebne podejrzania, jedni gotują lepiej, drudzy gorzej, jedni są bardziej zaradni, inni mniej, a taka sytuacja zaraz spowoduje niesnaski i spadek morale. Każdy członek oddziału ma dostać odgórnie taki sam, znormalizowany posiłek.

– Nuk!

– No jestem, siostrze. Czemu się wydzierasz?

Z prowizorycznego szałasów wyszła Nuk. To, co dostała od kucharza i co teraz stanowiło zawartość jej miski, najwyraźniej nie przypadło sierżant do gustu. Klęła w duchu na rozkaz, który kazał karmić dowódców tak samo jak żołnierzy.

– Zgłosisz się na ochotnika do armii!

– Jakiej?! – Nuk dosłownie zatkało.

– Imperialnej.

Patrzyły na siebie bez zrozumienia.

– No przecież już raz się zgłosiłam i zostałam sierżantem.

– Ale do sił specjalnych. Teraz się zgłosisz do piechoty.

Nuk zrobiła gest, jakby chciała rzucić w siostrę zawartością swojej miski. Do piechoty?! Ona? Na szeregowca? Chwile dzieliły roślą dziewczynę od rzucenia się na tę mniejszą i rozszarpania gołymi rękami.

– No spokojnie. – Shen skrzywiła się, machając ręką. – Przecież krzywdy nie dam ci zrobić.

– No to co pieprzysz na głodno?

– Spokojnie, spokojnie. – Shen objęła sierżant ramieniem i zaczęła ją prowadzić na szczyt wzgórza, tam, gdzie nie było ludzi. – Pójdiesz do Kong. Tam teraz armia będzie szukała miejscowych przewodników. No to się przedstawisz jako myśliwy, który dobrze zna obrzeże lasu.

Nuk stanęła i załamała ręce.

– Dziecko, dupa ci się z głową pomyliła, wiesz o tym? Ja myśliwy?

– A co jest nie tak? Strzelasz doskonale, w jakiegoś tam jelenia przecież trafisz, jakby przyszło co do czego.

– Ty w ogóle ocipiałaś! Zastrzelić jelenia to jedno, ale jak mi każą ściągnąć z niego skórę i wyflaczyć, to się zrzygam normalnie!

Tym razem Shen stanęła jak oniemiała.

– Ty? Ty się zrzygasz? Przecież sama widziałam, jak ludzi skalpujesz i nosisz ich włosy przy sobie. To ja się o mało nie zrzygałam z obrzydzenia, kiedy kazałaś mi się opiekować swoją spódniczką ze skalpów.

– Oj, wielkie mi coś! Co innego wrogów skalpować i se spódniczkę zrobić z włosów, bo wtedy wszyscy patrzą na ciebie, no wiesz... – Nuk przybrała pozę królowej. – A co innego gołymi rękami w zwierzęcych flakach grzebać. Od tego rzeźnik jest!

– Nie no, kurwa, ja już nic nie rozumiem!

– A czego tu nie rozumieć? Brzydzę się takich rzeczy.

– A nie brzydzisz się wbić komuś bagnetu w brzuch i pokręcić?

– Nie.

Masz babo placek. Shen nie miała pojęcia, co dalej.

– To co zrobimy? – zapytała szczerze, patrząc na siostrę z głupią miną.

Tym rozbroiła Nuk momentalnie. Sierżant zaczęła się rozglądać, jakby szukała u kogoś pomocy. Potem cmoknęła i ze skwaszoną miną powiedziała:

– Nie no, jakoś... może się przedstawię jako myśliwy, ale powiem, że... Że no, ten... że się brzydzę oprawiania zwierząt i już.

Shen zaczęła się śmiać.

– Dobra. Mów im, co chcesz, w każdym razie zwiadowców będą potrzebowali do usrania. Zostań jednym z nich.

– Mam zostać szpiegiem?

– Tak.

– A jak będę ci przekazywać wiadomości?

– I tu jest najtrudniejsza rzecz. Musisz zwerbować kilka szeregowych z zaopatrzenia do współpracy.

– Jak? Myślisz, że się zgodzą?

Shen znowu objęła Nuk ramieniem. Ze szczytu wzgórza widok był idealny, Shen ręką zatoczyła pół koła, wskazując liczne sylwetki siedzące przy ogniskach.

– A ci wszyscy ludzie to skąd się tu wzięli?

– Bo im źle było.

– A w wojsku, w zwykłej piechocie, jest dobrze?

– No nie. Też do dupy.

– No właśnie. A ty dasz im nadzieję. Poczęstujesz ich tą samą gadką, którą Sharri codziennie częstuje naszych. Dasz radę, inteligentna jesteś. I kilka bab, które mają już naprawdę dość, przejdzie na twoją stronę.

Siostra mogła mieć rację. To piechota, a nie siły specjalne, zawsze traktowane wyjątkowo i zawsze lepiej niż reszta. A w dodatku tutaj co drugi nie był donosicielem, jak w jednostkach elitarnych. Oddziały partyzanckie już obrastały legendą, ich filozofia również. Mogła więc istotnie coś zdziałać w obcych szeregach.

– I co mam zrobić, gdy już się tam znajdę? – zapytała trzeźwo.

– Chciałabym, żebyś jako jedyny żołnierz imperium po raz drugi weszła wśród potwory do Wielkiego Lasu. Już je znasz. Dasz sobie radę z...

Shen nie dokończyła, bo Nuk rzuciła miskę na śnieg i zaczęła ją dusić.

– Czyś ty ocipiała?!

– Zostaw! Zostaw mnie, proszę! Jesteś większa i to nie jest uczciwa walka!

– Uczciwe to będzie, jak ci flaki wyrwę!

– Przecież się brzydzisz flaków! Zostaw mnie, proszę.

Nuk przestała potrząsać siostrą. I nawet opuściła rękę. Wyraz jej twarzy jednak nie wskazywał, żeby cokolwiek zostało wybaczone albo odpuszczone.

– Przecież to Polacy wysyłają nasze wojsko – gorączkowo usiłowała tłumaczyć Shen. – A to pragmatycy. Nie posłają naszych na śmierć, na zgubę, nie dlatego, że są jacyś szczególnie sentymentalni, ale dlatego, że im się to po prostu nie opłaca. Straty po naszej stronie po prostu im się nie kalkulują w księgowości.

– Ale ja już, kurwa, w Wielkim Lesie byłam! – warknęła Nuk. – I wiem, o co tam chodzi! W przeciwieństwie do Polaków ja wiem, co to są potwory.

– Oj, bo ci przypomnę, że w przeciwieństwie do ciebie Polacy sobie z potworami poradzili!

– Z tego, co mówił Tomaszewski, nasz pułk pójdzie do boju bez napalmu i bez zapasów zatrutego powietrza.

– Ale tak naprawdę pod obcym dowództwem. I już się nie bój. Coś tam sobie pewnie trzymają w zanadrzu, jeśliby wypadki przybrały zły obrót.

Z boku wyglądało, jakby Nuk straciła całą energię. Nie zwracała uwagi na Shen, która tłumaczyła, że przecież własnej siostry nie wysyłałaby na zgubę. I że jest jedynym godnym zaufania człowiekiem, który mógłby doprowadzić taką misję do szczęśliwego finału. W końcu, ciągle skrzywiona, machnęła ręką.

– A jak niby mam udawać przewodnika, skoro terenu nie znam?

– Dostaniesz zdjęcia lotnicze i mapy. Wykuj wszystko na blachę, bo przecież nie będziesz mogła ich ze sobą zabrać.

– Shen... – Nuk położyła siostrze ręce na ramionach. – Co ty zamierzasz zrobić?

– Być tam, gdzie się coś dzieje.

– Dwóch mocarzy nie z tego świata zetrze się ze sobą. Dwie niezmierzone potęgi ruszą na siebie, a ty chcesz stanąć dokładnie pośrodku. Zetną ci głowę jak gigantyczne nożyce.

– Co do dwóch potęg masz rację. Ale to nie nożyce. To waga – odpowiedziała Shen. – A ja chcę być jej jęczyzkiem.



Kai warunki pogodowe nie przeszkadzały w żadnej mierze. Mimo fali upałów, które nawiedziły Negger Bank, zawsze miała na sobie wyjściowy mundur marynarki wojennej (i to nie tropikalny, tylko smolistoczarny, ze srebrnymi naszywkami), czapkę przekrzywioną zawadiacko na bok tak, żeby było spod niej widać opaskę mistrza magii. Mimo gorąca lubiła chodzić wszędzie pieszo. Sprawiał jej radość szacunek ludzi, który okazywali, i fakt, że rozstępowano się przed nią w tłumnych miejscach. To był prawdziwy smak życia. A do tego jakaś nieprawdopodobna satysfakcja, że wszystko, co osiągnęła, zawdzięcza wyłącznie sobie. Była młoda, piękna, nietykalna, władna, bogata. Była też świadoma tego, że kiedy tylko ktoś śmiał podnieść na nią rękę w wiosce pod Banxi, to Rzeczpospolita wściekła się i rąbnęła pięścią w stół, a wrogowie zostali upokorzeni. Wszystko to sprawiało, że zaczynała gardzić ludźmi, którzy są biedni i nie potrafią dojść do niczego, zbyt głupi, żeby zapewnić sobie byt. Powoli zaczynała też nie rozumieć tego, że komuś się źle wiedzie. Z własnej winy przecież! – usprawiedliwiała się w myślach. Zbyt durny, zbyt leniwy, zbyt

ograniczony i w ogóle porażony bezradnością, którą sam w sobie wyhodował. Ona była inna.

Pewna siebie przepychała się przez tłum na nabrzeżu. Dziś jednak wyjątkowo nie włożyła munduru, wołała, żeby nikt jej nie rozpoznał. Miała na sobie wschodni strój, wielki zawój kolorowej tkaniny pozwalający ukryć nie tylko twarz, ale też kanciasty kształt pistoletu maszynowego, który wzięła ze sobą tak na wszelki wypadek.

Trzeba przyznać, że Rand miał talent do wynajdywania sobie miejsc na ukrycie własnego sztabu. Brzeg w miejscu, gdzie droga dochodziła do rzeki, był wyraźnie wyższy, a koryto węższe. W związku z tym nurt siłą rzeczy był tu prawie rwący, a na pewno dużo silniejszy niż w innych okolicach Negger Bank. Zacumowana przy nabrzeżu barka wydawała się więc idealnym miejscem na kryjówkę. Gdyby cokolwiek zagrażało lokatorom, wystarczyło przecież odciąć cumy. Cały sztab popłynie wtedy z prądem, i to dość szybko. Nie sposób dogonić, poruszając się brzegiem, bo każdy skrawek przestrzeni zajmowały domy biedoty, między którymi przejścia były tak wąskie, że trzeba by się z trudem przeciskać. A barka była sterowalna. Mogła przybić przy przeciwległym brzegu albo przy tym samym, ale dużo niżej. Pasażerowie mogli się też na cokolwiek przesiąść, liczba łodzi krążących wokół była ogromna, wystarczyło na nie gwizdnąć. Naprawdę ideał.

Ponury strażnik o sękatych ramionach również był jedynie przykrywką. Wszyscy zwracali uwagę tylko na niego. A w sprawach, kto może wejść, a kto nie, decydujący głos należał do starszej kobiety ukrytej pod wzorzystym baldachimem z ciężkimi zasłonami, chroniącym od palących promieni słońca. Siedząc w spokoju i na boku, miała dużo czasu, żeby prawidłowo ocenić przybysza czy ewentualnego natręta.

W przypadku Kai nie miała wątpliwości. Wystarczył jeden gest i wielki strażnik odprowadził czarownicę do zacienionego pomieszczenia na rufie.

– Cześć, Rand. – Stała przy drzwiach, chcąc dać czas oczom, by przywykły do półmroku.

– Ciii... – Rand podniósł się zza stołu zawalonego papierami. Kciukiem wskazał śpiącą w hamaku Aie. Pokazał, żeby nie budzić.

– Co jej jest?

– Nic. To chyba po tych lekarstwach od naszych przyjaciół. Bardzo dużo śpi, pije mnóstwo wody i ciągle się poci.



– Może od upału?

Rand zaprzeczył ruchem głowy.

– Był u niej miejscowy medyk. Mówił, że to bardzo dobrze, że dziewczyna wypaca chorobę. Mówił, że lekarstwa, które dostała, pewnie są bardzo silne. On jeszcze nie widział nigdy takich efektów.

– Biedna.

– No nie taka biedna. Ma tu wszystko, a jeśli kuracja się powiedzie, to... No jak to nazwać? Spełnienie marzeń?

Kai skinęła głową. Przysiadła na plecionym krześle i odsunęła papiery na bok. Kilka spadło na ziemię, no ale musiała przecież gdzieś położyć swój pistolet maszynowy. Bardzo jej już ciążył w tym dusznym, stojącym powietrzu.

Rand podał dziewczynie kubek wody.

– Doskwiera ciepełko, prawda? – Uśmiechnął się. – Bogowie, dawno już nie było takich upałów.

– No. – Wychyliła zawartość kubka kilkoma łykami. – A ja tu przeciwnie. Przyszłam porozmawiać o sprawach, które dzieją się w mroźnych i zaśnieżonych krainach.

– Dzieją się czy będą się dziać? – wykazał się reflekssem.

– Masz rację. Raczej będą.

– No to jesteśmy w domu. – Skrzywił się lekko, patrząc na kłębowisko papierów, które przez nią wylądowało na podłodze. – Wszyscy nad tym siedzą. My i nasi wrogowie.

– Jacy wrogowie?

– Siły specjalne, Rada Czarowników, wojska lądowe, a raczej to, co się za nimi kryje. Wszyscy patrzą na mapy i usiłują odgadnąć, co zrobi ten drugi. Jeśli chodzi o fakty, wszyscy wiedzą właściwie wszystko, a udają, że nikt nic nie wie.

– Jak to wszyscy wiedzą wszystko?

– Myślę, że agenci różnego autoramentu wręcz zderzają się w korytarzach pałacu i polskiej bazy. Przepychają, wrzeszczą na siebie, handlują ze sobą.

– Ale dowcipne – skrzywiła się Kai.

– No co? Przecież nie da się ukryć tatarskich ćwiczeń ze sprzętem do walki w lesie. Nie można też ukryć budowy lotniska. A takie akcje zagęszczają populację szpiegów w okolicy i w związku z tym każdy

dowiaduje się o nowych faktach. Na przykład o tym, że czarownicy postanowili poprzeć wojska lądowe i delegowali specjalną grupę. Przyjechali do Kong, wioząc ze sobą wielkie skrzynie niby to w ukryciu. – Wzruszył ramionami. – No i co? Wszyscy wiedzą.

– A wiedzą też, co jest w tych skrzyniach?

– Ja nie wiem. A ty się domyślasz?

– Myślę, że wota Zakonu. Te stare, oryginalne.

– Tak?

– Widziałam, co miał ze sobą czarownik, który mnie zaatakował w wiosce pod lasem. To nie były zwykłe wota czarnoksiężskie.

– Masz je? Możemy zbadać?

Czarownica zaczęła się śmiać.

– Byłam nieprzytomna. A znając Polaków i ich wiarę w czary, to pewnie jakiś żołnierz potraktował ten stojak kopniakiem i wszystko tam może leżeć do dziś.

– Mhm. A Tomaszewski pytał cię pewnie o jakąś datę. Coś mu podszeptała Shen o szczególnym dniu, istotnym dla wyprawy pułku z Kong.

– Tak.

– Znasz tę datę?

– Owszem, to...

– Nie mów! – przerwał jej nagle. – Napisz! – Podsunął jakiś świstek i pióro. – Wątpię, żeby tu ktoś słuchał, ale wiesz, u strzeżonego i Bogowie stoją na warcie.

– Słusznie. – Napisała kilka cyfr. – Znam wszystkie szczególne daty w kalendarzu czarowników. I ta jest najbliższa. Ponoć dotyczy koniunkcji planet, choć śmiem w to wątpić.

– Dlaczego?

– Wiele razy zwróciłam uwagę, że w szkole na pustyni podaje nam się różne fałszywe daty. Jakby chcieli coś ukryć nawet przed własnymi uczniami. A jeśli ktoś był sprytny i porównał różne dni z cywilnym kalendarzem, szybko mógł się zorientować, że coś tu nie gra.

Rand zerknął na kartkę.

– Jesteśmy blisko.

– Mhm – przytaknęła. – Wszyscy będą się spieszyć. A powiedz mi... – zawiesiła głos na moment. – Czy masz choć cień podejrzenia, co takiego

znajduje się w Wielkim Lesie na płaskowyżu Banxi?

– Cień mam.

Rand sięgnął po kubek Kai, a drugą ręką po dzbanek z winem. Powstrzymała go ruchem dłoni. Pić alkohol w taki skwar? I o tej porze, kiedy słońce na szczycie nieba? Tylko idiota może się na to decydować. Nalał jej wody.

– Widzisz, Krzysiek dał mi kopie dokumentów, które Shen zrabowała w archiwum w bazie Lai Ho Park. Niestety, wszystkie papiery są szyfrowane. Pochodzą z różnych epok, więc i szyfry są różne. Głowią się nad nimi i polscy deszyfranci, i nasi. I wszystkich ich krew zalewa. Mają dwa papiery dotyczące prawdopodobnie tej samej sprawy, oba szyfrowane według innych systemów i zęby w kamień. A przy tym okropnie mało materiału porównawczego.

– No, Shen w końcu rabowała pod ogniem i dość dużą presją raczej. Nie miała głowy, żeby zachować segregację papierów jak w archiwum.

– Tak, tak, tak, z kopa pakować do worka, ile się zmieści, i już. A teraz usiłuj odgadnąć, co jest co.

Kai pokręciła głową.

– A w dodatku wszystko we fragmentach – utyskiwał. – No beznadzieja po prostu.

– A co wiesz konkretnie? – zapytała rzeczowo.

Machnął ręką.

– W Lesie prawdopodobnie jest miejsce, które pozwala na łączność między światami.

– Jakimi światami?

Rozłożył ramiona w geście: „Pytaj mnie dalej, a ja będę udawał, że wiem”.

– Nie mam pojęcia – mruknął. – Ale pomyśl sama. Bardzo tam chcą dotrzeć i Zakon, i „dziwni ludzie” w szeregach Polaków, którzy tak bardzo fascynują Tomaszewskiego, prawda? Może więc chodzi o połączenie naszego świata i świata Ziemców?

Drgnęła.

– Zauważ jedną rzecz. Ci dziwni ludzie z Polski wiedzą sporo o, jak mawia Krzysiek, stratosferycznym księciu Osiatyńskim. Wiedzieli, zanim przybyli na naszą półkulę, prawda?

Skinęła głową.

– Oni od zawsze szukali czegoś konkretnego. Nigdy na ślepo. Najpierw w dolinie Sait, potem w Syrinx, teraz na płaskowyżu Banxi.

– Tak – potwierdziła. – W Sait byli strasznie zainteresowani Wielkim Lasem i świątynią potworów. Do czasu, kiedy zobaczyli dowód, że księżę Osiatyński był tam przed nimi. Wtedy natychmiast, i to zupełnie, stracili zainteresowanie.

– Właśnie. A teraz chcą znaleźć coś w Banxi. W miejscu, gdzie Osiatyński już był. Tam udał się na ostatnią wyprawę, z której już do swojej kwatery w Syrinx nie wrócił. Nie dziwne?

– Owszem. Dziwne.

– A nie odnosisz teraz wrażenia, że oni już księcia Osiatyńskiego spotkali?

Kai podskoczyła na wyplatany krześle, jakby ją wąż ugryzł.

– Gdzie?!

– No nie tutaj przecież. On z ostatniej wyprawy nie wrócił.

Myśli gwałtownie kłębiły się w głowie czarownicy. Oddychała ciężko jak po długim biegu po zalanej słońcem, rozpalonej ulicy. Serce jej przyspieszyło nagle. Musiała się uspokoić czarodziejskimi sztuczkami.

– Gdyby widzieli się z Osiatyńskim, toby nie szukali niczego w Sait – powiedziała po chwili już spokojniejsza.

– A nie pamiętasz, jak Wyszyńska mówiła, że księżę był co prawda wielkim odkrywcą, ale geografem nędznym? Niczego nie dało się zrozumieć z jego bazgrołów. Oni więc szukali Wielkiego Lasu, tylko takiego, gdzie księcia wcześniej nie było.

– Widziałam jego notatki.

– No właśnie. Pismo można jeszcze odcyfrować, ale rysunki? Sam też widziałem, jak Tomaszewski, w końcu marynarz, czyli ktoś, kto ma nawigację i kartografię w małym palcu, obracał te bazgroły nawet do góry nogami, sądząc, że być może tak uda mu się coś zrozumieć.

– No może i masz rację – westchnęła. – Bardzo dziwne.

– Być może więc wszyscy ścigają się do tego samego celu.

– Tomaszewski jeszcze o tym nie wie.

– Bo nie dostał ostatniego raportu naszych deszyfrantów. Zresztą ma teraz na głowie co innego.

Spojrzała na Randa smutno. Zrozumiał znaczenie tego spojrzenia. Westchnął i przysunął się do Kai razem ze swoim zydlem. Pochylił się tak,

żeby mogli patrzeć sobie z bliska w oczy.

– Co? Moja rada, żeby usiąść na brzegu rzeki i czekać, aż ciała nieprzyjaciół spłyną z nurtem, nie sprawdziła się? – We właściwy sobie sposób odgadł prawdziwy cel wizyty dziewczyny. Rozmowa o bieżących problemach była tylko przykrywką. Tak naprawdę przecież chodziło o rozwój tego, co łączyło młodą czarownicę i Tomaszewskiego. Rand znał kobiety i potrafił wczuć się w ich dusze.

– Nie sprawdziła.

– Mmm... myślałem co prawda o dłuższej perspektywie czasowej, wtedy zawsze się sprawdza.

– Ale ja nie mam czasu.

– Domyślam się – westchnął. – Co się stało?

Szarpnęła się na wiklinowym krześle.

– Ach... Po ostatniej wizycie u niej wrócił jak odurzony.

– Rozumiem.

– Nie no. Nie sądzę, żeby coś zabrnęło za daleko, ale...

Wykonał uspokajający gest, a potem położył dłoń na ramieniu Kai.

– Poważna sprawa – mruknął. – A o czym rozmawiali?

– Krzysiek potrzebuje floty desantowej i wsparcia. Obiecała mu pomóc. Skinął głową.

– Widzisz, on jest facetem konkretnym. Nie chcę za bardzo upraszczać, ale myślę, że on lubi kobiety zdecydowane, energiczne, potrafiące postawić na swoim. Dlatego poszedł do Wyszyńskiej.

– Ale nie lekceważ stanu, w jakim wrócił. Niezależnie od tematu rozmowy.

– A ty nie dramatyzuj od razu.

– Ona nie dość, że go fascynuje, to jeszcze, dam sobie rękę uciąć, realnie mu pomoże w bardzo ważnej kwestii!

– To ty też mu pomóż. Będzie jeden do jednego.

– W czym mam pomóc?

Uspokajająco głaskał Kai po ramieniu. Zastanawiał się długo.

– Posłuchaj mnie – powiedział wreszcie. – Nie stawaj do otwartej walki z Wyszyńską, bo to kobieta doświadczona. Wiele wie o mężczyznach, zna sposoby i sztuczki. Wiele też przeżyła, a jeszcze więcej ją życie nauczyło. Nie konkurujecie ze sobą, bo ona na razie nie wie, że w ogóle jest jakaś konkurencja. Nie ma pojęcia, że trwają zawody. I to jest twój atut.

– Ty znowu, żeby czekać i nic nie robić.

– Bo to najlepsze wyjście, chociaż wiem, że nie wytrzymasz. Jednak jeśli zaczniesz się bić, parafrazując, to tu już proste przeciwstawienie nie wystarczy. Do tej pory jej doświadczeniu, jej wytrawności przeciwstawiałaś swoją młodość, świeżość i siłę pierwszej dojrzałości. A ona nie wie, że ci zależy, i niech się nie dowie, bo wtedy, jak to kobiety lubią, może zechcieć zabawić się twoim kosztem.

– To jak ją zniszczyć?

– Jeśli zaczniesz walczyć otwarcie, Wyszyńska wygra! Ona jest zbyt doświadczonym wojownikiem. Przepraszam, że mówię ci brutalną prawdę.

Kai o mało się nie rozpląkała.

– Więc co mam robić?

– Krzysiek jest dość typowym mężczyzną, jeśli chodzi o sprawy uczuć. A taki klasyczny typ to zasadniczo chciałby dostać to, co jest trudne do zdobycia, coś, czego inni nie mają. No i teraz zastanów się, co przy jego wyglądzie, aparycji, elokwencji i pozycji jest ciężkie do zdobycia u kobiet?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Chyba wszystkie mógłby zdobyć.

– O właśnie. To dlaczego fascynuje go właśnie Wyszyńska, kobieta, która nie może z tobą konkurować ani wiekiem, ani urodą?

– Bo jest władna? Stanowcza? Doświadczona? – pytała samą siebie i po chwili sobie odpowiedziała: – Nie!

– Nie – potwierdził Rand.

– No nie wiem. Bo ma w sobie „to coś”?

– Pozwól, że ja nazwę tę cechę. Ma w sobie sporo mężczyzny. Prawda?

Kai patrzyła na Randa jak oniemiała.

– No ma – przyznała po chwili. – Strzela bez wahania i... Ale ja też strzelałam nieźle. Kto zabił czarownicę potworów?

– Nie myśl tak prosto. I znowu nazwę kluczową cechę – powiedział. – Chodzi o zaradność.

Z Kai uszło powietrze.

– Nie jestem zaradna?

Powiedziała to z tak rozbijającą zmartwioną miną, że Rand, choć usiłował panować nad twarzą, uśmiechnął się.

– Nie traktuj wszystkiego tak prosto. Ja używam prostych słów, bo chcę, żebyś zrozumiała. Ale nie mówię o prostych sprawach.

– Teraz rozumiem.

– No to spróbuj odnaleźć w sobie jakiś męski pierwiastek. Spróbuj odnaleźć w sobie troszeczkę chłopca.

Dał jej do myślenia. Dziewczyna siedziała skupiona, rozważając coś intensywnie. Nagle śpiąca w hamaku Aie poruszyła się niespokojnie.

– Aleś zapętlili banalną rzecz – usłyszeli chrypienie.

Czarownica podskoczyła na krześle.

– Aie! Ty mówisz!

Dziewczyna w hamaku z trudem odwróciła głowę.

– Nie dość, że mówię – wychrypiała – to jeszcze słyszałam waszą rozmowę.

Kai zerwała się na nogi, ale Rand był szybszy. Podszedł do chorej z namoczoną w wodzie szmatką i zaczął wycierać spoconą twarz.

– Dobrze się czujesz?

– Ujdzie.

Podał Aie szklankę wody. Zmienił mokrą szmatkę na świeżą i zrobił z niej kompres na czoło. Nie uszło uwagi Kai, że Rand opiekuje się swoją ochroniarką lepiej niż niańka.

– Słuchaj, czarownico, bo nie mogę mówić długo. Jeszcze ciągle boli. – Chrypienie Aie trudno było zrozumieć. Kai musiała się bardzo skupić.

– Tak?

– Kiedy mężczyzna tłumaczy, to zawsze tak skomplikuje, że zapomnisz swojego imienia. A sprawa jest prosta.

– Wiesz, co powinnam zrobić?

– Tak. Rozwiąż sama największy problem Tomaszewskiego... – Aie zanosła się kaszlem.

Rand nalał wody do kubka, dodał trochę miodu i zaczął intensywnie mieszać. Potem podał kubek chorej.

– Ma rację – powiedział. – A on ma w tej chwili problem z tym, co dzieje się w Banxi. Ciągle nie wie, co spowodowało zagładę załogi „Gradienta”.

– I ja mam wiedzieć?

– Widzisz, Zakon doprowadził do tego, że w wyprawie wojsk lądowych znalazło się kilkunastu czarowników. Nie sądzę, żebyś miała porównywalną z nimi siłę, a z czymś takim przyjdzie się ci zmierzyć. Musisz więc mieć sojuszników.

Nie mogła zebrać myśli.

– Dairin?

– Daj spokój, Dairin to jest nikt. Zwykła czarownica korpusu, która nie potrafiła uchronić wojska w Sait. Ale masz rację. Oprócz niej nikt cię nie poprze. Rada Czarowników jest wściekła za upokorzenie, twoja szkoła również nie pała miłością za obowiązkową podróż, jaką im zafundowałaś. Nie bardzo widzę rozwiązanie tej kwestii.

– Sama przecież nie stanę przeciwko czemuś, do czego pokonania tamci potrzebują aż kilkunastu fachowców.

– Ano nie – potwierdził Rand. – I nie bardzo widzę, skąd mogłabyś pozyskać sojuszników.

– Jesteś głupi! – wycharczała Aie.

– Stanowczo wolałem cię głuchoniemą. Wtedy na tabliczce miałaś zawsze napisane: „Szefie, jesteś genialny!”.

– Bo nie słyszałam, co mówisz.

– No i widzisz. To się nazywa wdzięczność za to, co dla niej zrobiłem. – Rand wbrew słowom z czułością znowu zaczął wycierać leżącą twarz.

– Oboje jesteście głupi – wycharczała Aie, przenosząc wzrok na Kai. – Ty nie masz sojuszników? Ty? – Zrezygnowana machnęła ręką. – Przecież znasz jednego z największych czarowników wszech czasów!

– Wyklętego? Mereditha? – Kai zapowietrzyło na moment. – Przecież on nie żyje.

– Aj tam! Przypomnij sobie, co sama opowiadałaś.

– O tym, że jeśli będę go potrzebowała, to on chętnie udzieli mi rady? Ale... Ale jak...?

– Wymyśl – ucięła Aie i wyczerpana opadła na poduszkę.





## Rozdział 10



**I**co? Mówisz, że znasz drogę przez Las?  
– Znam, pani! Znam, ja już wśród potwory chodził.

Tłumaczka Duon na chwilę przestała żuć nieodłączną gumę. Zerknęła z boku na majora Baranowskiego.

– To jakiś kłusownik po prostu – powiedziała po polsku, żeby nie zrozumiała jej pułkownik Thien. – Nie wygląda mi na takiego, co widział dzikusów. – Stosowała też polską terminologię. Nie „potwory”, tylko „dzikusy” na określenie istot zamieszkałych Wielki Las. – Pewnie ma już jakiś wyrok i go ścigają. A do nas chce się cwaniak przyłączyć, myśląc, że go uchronimy przed sądem.

– Możesz mieć rację. Nie wygląda zachęcająco – ocenił kandydata na przewodnika Baranowski. – Chodźmy dalej.

Cała trójka zrobiła kilka kroków w stronę następnego kandydata. A właściwie kandydatki.

– Jak masz na imię? – zapytał major.

– Nuk. – Rosła dziewczyna podniosła się z pieńka, na którym siedziała. W przeciwieństwie do poprzednika miała inteligentny wyraz twarzy. I oczy, w których można było utonąć. Musiała się podobać mężczyznom.

– Jak długo jesteś przewodniczką?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Nie starała się być usłużna jak wszyscy przepytani dotąd ani nie zamierzała schlebiać pytającym.

– Właściwie takiego zawodu to nie ma – rzuciła z pewną dozą lekceważenia. – Ale owszem, czasem zdarza mi się prowadzić kupców przez chaszczę.

– Pewnie po to, żeby ich potem obrabować – dodała Duon od siebie znowu po polsku. – Niech pan popatrzy, jaki ma karabin.

– Co to za spluwa? – zapytał Baranowski. – Na dzika czy na niedźwiedzia?

– Powstrzyma jedno i drugie. – Nuk uniosła swoją dwururkę z krótką lufą. – Ale to strzelba, a nie karabin. I generalnie ma powstrzymać człowieka, gdyby mu przyszło do głowy mnie napaść.

– To obrzyn?

Dziewczyna przytaknęła.

– Nabity siekańcami.

– No to tylko na bliskie odległości.

– Lubię patrzeć przeciwnikowi w oczy. Od strzelania na dalekie dystanse jest armia albo myśliwi.

Baranowski zerknął na pułkownik Thien. Ta tylko wzruszyła ramionami. Pierwszy raz w życiu widziała, żeby regularna armia wynajmowała cywilnych przewodników. No ale Polacy się upierali, żeby skorzystać z amerykańskich doświadczeń z okresu wojen z Indianami. Trudno. Nie chciała się kłócić, choć miała już dość tych cudzoziemskich pomysłów. Żeby jednak okazać chociaż cień uczestnictwa w tym nudnym i jałowym przepytывaniu, sama zadała pytanie:

– A wiesz może, któredy przemytnicy przechodzą przez góry?

– Wiem, pani pułkownik. To jest bardzo wysoko położona przełęcz. Zwana Aleją Trupów. Albo Aleją Nieumarłych. – Nuk mogła wyrecytować wszystko, czego dowiedziała się od Brethe i jej znajomych przestępców w zakonnej bibliotece. – Czasem słońce przygrzeje na tyle, żeby odmrozić śnieg z oczu nieżywych wspinaczy. A kryształki lodu sprawiają, że wędrowcom wydaje się, że trupy wodzą za nimi wzrokiem.

Duon przełknęła ślinę. Nagły strach, który ją ogarnął, sprawił, że nie skomentowała. Thien przeciwnie.

– To przemytniczka! – powiedziała. – O tym mało kto wie.

Baranowski uśmiechnął się lekko.

– Pani pułkownik – powiedział – wszystko zależy, kto ją będzie oceniał.

– Nie rozumiem.

– Pesymista czy optymista.

– Dalej nie rozumiem.

– Otóż pesymista powie tak: to przestępca, do więzienia ją trzeba oddać. A optymista użyje słów: to człowiek, który potrafi odróżnić dobry szlak od złego, sprytny, mający oczy w du... w tyłku, za przeproszeniem. Doskonały materiał na przewodnika.

– Jak pan chce, majorze. – Thien machnęła ręką. Ta drobna kwestia nie obchodziła jej zupełnie. Nie miała pojęcia, dlaczego Polacy uważają, że jest tak ważna.

Baranowski wyciągnął rękę ponad obozem, który pułk rozbił przy obrzeżu Wielkiego Lasu.

– Jak myślisz? Co jest za tymi wzgórzami?

Nuk spojrzała mu prosto w oczy.

– Tam jest rzeka – odparła. – Kręta i dość głęboka, ale możliwa do sforsowania przez żołnierzy w kilku miejscach. Nawet w zimie.

– No szlag! Ona ma rację!

Baranowski spojrzał na dziewczynę z uznaniem. Nie mógł wiedzieć oczywiście, że Nuk korzystała z tych samych zdjęć lotniczych co on, żeby zapamiętać rzeźbę terenu.

– Ona rzeczywiście była w Wielkim Lesie.

– No właśnie – mruknęła Thien. – A po co tam lazałaś?

Nuk bez mrugnięcia okiem przesunęła na brzuch swoją podróżną torbę. Grzebała w niej chwilę, a potem wyciągnęła złotą monetę, którą pokazała na otwartej dłoni. Polakowi to nic nie mówiło. Ale pułkownik i tłumaczka potrząsały głowami w zdumieniu.

– Moneta bita przez Cesarstwo Luan. Najmniej tysiąc lat temu!

– A, wszystko jasne – Baranowski pojął to po swojemu. – A żeby i dla ciebie wszystko było jasne. – Przeniósł wzrok na Nuk. – Z góry ci powiem, że idąc z nami, będziesz mogła rabować na swoje konto.

Dziewczyna uśmiechnęła się radośnie, a Thien skrzywiła z niesmakiem.

– Dobrze, przyjmuję cię na przewodnika. Żołd pewnie ci się spodoba, ale widzę – major zerknął jeszcze raz na monetę – że masz swoje prywatne cele. Na szczęście zgodne z naszymi, więc się dogadamy.

Nuk popełniła błąd. Odruchowo wyprostowała się i rzuciła dziarskie:

– Tak jest!

Pułkownik od razu to wychwycił.

– W wojsku już byłaś? Gdzie? W jakiej jednostce?

Nuk usiłowała przybrać cwaniacki wyraz twarzy, uśmiechając się szeroko.

– A kto tu mówi o naszej armii, pani pułkownik?

Na szczęście Baranowski roześmiał się na głos.

– Dziewczyna mi się podoba. Bierzemy. – Dłonią dotknął jej dwururki. – Nie strach ci iść do lasu tylko z tym?

– Mam jeszcze nóż i bagnet.

Kłamała. W specjalnej kaburze z profilowanej skóry przymocowanej na plecach miała jeszcze polski półautomatyczny pistolet z kompletem magazynków, ale on nie musiał o tym wiedzieć. Tym bardziej że broń była praktycznie niewykrywalna, nawet przy pobieżnej kontroli polegającej na oklepaniu.

– No dobra. A skoroś w wojsku taka obeznana i dzikusy znasz, to co byś nam poradziła przed jutrzejszym wymarszem do Lasu?

Nie wahała się. Nuk naprawdę była już w Wielkim Lesie.

– Radziłabym, żeby podoficerowie zdjęli swoje odznaki i insygnia. A oficerowie przebrali się w mundury zwykłych żołnierzy, bez dystynkcji. Radziłabym też, żeby pan, panie majorze, rozkazał, żeby od tej pory nikt nie stawał na baczność, nie salutował i nie składał meldunków. Wszyscy są na ty i porozumiewają się cicho, mówiąc zwykłym językiem.

Baranowski aż gwizdnął pełen podziwu. Potrząsał głową i poklepał Nuk po ramieniu.

– Nie wszystko nam się uda zrealizować z tych pomysłów. Ale doceniam zdrowy rozsądek, bo i my mamy podobne przemyślenia. – Uśmiechnął się do dziewczyny. – No i podziwiam twoją odwagę, że mówisz to wszystko przy oficerach.

– Bo po raz pierwszy w życiu widzę żołnierzy dobrze ubranych na tę wyprawę, zaopatrzonych i przygotowanych. Tu, z nimi, warto się postarać. Bo w tym układzie cień szansy na powodzenie jest.

Wyraźnie jej uwagi zainteresowały Baranowskiego.

– A nie boisz się, że imperium w leśnych walkach straciło cały korpus, a my mamy tylko wzmocniony pułk? – zapytał, naprawdę zaciekawiony jej oceną.

– Korpus jest tak wielki i ciężki, że sterować nim nie sposób. Może tylko leżeć przed siebie, do przodu. A jego zadaniem jest, gdy już dojdzie do

walnej bitwy, nakrycie wroga czapkami. Jeśli tej bitwy nie ma, to korpus może się sam zdeptać w tłoku. A pułk jak pojedynczy, normalny człowiek. Może podejmować decyzje w zależności od sytuacji, może pójść w lewo, w prawo, cofnąć się albo uderzyć. U pojedynczego człowieka rozsądek decyduje, a nie to, gdzie tłum go prowadzi.

Baranowski powoli skinął głową.

– Podoba mi się to, co mówisz. I to, że strachu w tobie nie widzę. Teraz dołącz do innych przewodników, ale podczas przebijania traktu trzymaj się blisko mnie.

– Tak jest.



Pułkownik Selim Michałowicz mieszkał w pałacyku tuż przy dzielnicy biedoty. Podobno mieszkał tam z jakąś wysoko urodzoną damą, ale jego staroświeckie poczucie honoru nie pozwalało mu o tym mówić. Sama kobieta również nigdy nie pokazywała się nielicznym gościom pułkownika. Podobno była damą dworu i nie wypadało jej mieszkać z cudzoziemcem bez ślubu. Ale kto by tam słuchał plotek.

Sam pałacyk był bardzo stary i nie do końca zadbany. Miał jednak jeden nowoczesny, jak na tutejsze warunki, element. Kryształowe szyby w oknach od strony podłej dzielnicy. Tomaszewski szybko się domyślił dlaczego. Budynek graniczył z niewielkim podwórkiem, na którym rosło kilka prawie zasuszonych palm i na którym dzieci nędzarzy wrzeszczały bez ustanku, bawiąc się jakimiś śmieciami. Drugim powodem wstawienia szyb był smród bijący z domowych kuchni, na których gotowano wszystko, tylko nie produkty pierwszej świeżości. Natomiast okna z drugiej strony wychodziły na przepiękną zatokę, gdzie do licznych pomostów cumowały kolorowe łodzie co bogatszych przedsiębiorców rybackich i małe statki przewożące ludzi. Na taras ocieniony wieloma gatunkami berberysów docierała nawet morska bryza.

Tomaszewski, który umówił się tu z Wyszyńską i chciał wydać dyspozycje dotyczące tatarskich oddziałów ćwiczących na leśnym poligonie, zastał jednak pułkownika w wyjątkowo złym humorze.

– Co się stało? – zapytał, zdziwiony widokiem przygnębionego mężczyzny siedzącego w głębokim ni to fotelu, ni leżaku. – Coś ze zdrowiem, nie daj Boże?

Michałowicz smętnie zaprzeczył ruchem głowy.

– Wstyd, panie komandorze. Wielki wstyd.

– Co się stało?

Tatarski pułkownik wskazał Tomaszewskiemu miejsce do siedzenia i podręczny stolik z poczęstunkiem. Służących nie było. Zdaje się, że wszyscy w pokoju obok, ciągnąc liny, napędzali wielkie śmigło obracające się pod sufitem. Jego ramiona miały coś jakby żagle z muślinu i pewnie ich zadaniem było dostarczenie odrobiny chłodu do rozgrzanego pomieszczenia. Jednak przy obecnej fali upałów panujących w Negger Bank urządzenie nie dawało sobie rady.

– Widzisz pan, panie komandorze – zaczął Michałowicz z silnym wschodnim akcentem. – Na głupoty mnie się zebrało.

– Jakie głupoty?

– Ano szermierki mi się zachciało. – Wskazał swoją szablę wiszącą razem z wojskowym pasem na specjalnym stojaku. – Na miasto poszedłem, bo tam jest szkoła fechtunku, w której ponoć szermierzy natchnionych uczą.

– Wiele czytałem o szermierzach natchnionych. – Tomaszewski pochylił głowę. – Jeśli wierzyć legendom, byli niezwyciężeni.

– Tak i ja słyszałem. No to wchodzę tam do tej szkoły, przedstawiam się grzecznie, cygarami częstuję i mówię: „Podstawcie mi jednego mistrza. Zmierzymy się. I ciekawość, który z nas wygra”.

– No? No? – Tomaszewskiego zaciekawiła opowieść starego tatarskiego rębajły. – Dwie różne techniki walki, różna broń... Rzeczywiście ciekawe. I co wyszło?

– Wstyd wyszedł, panie komandorze. Wstyd tylko!

– On wygrał?

Michałowicz skrzywił się, jakby rozgryzł właśnie coś bardzo kwaśnego.

– Oni najpierw mówili, że nie, nie wypada gościa płatać. Że to niebezpieczne. No to im mówię, że nieustraszeni. Na prawdziwej wojnie już szablą robiłem i wprawiony jestem. No to kiwali głowami i chcieli, żeby im broń pokazać i powiedzieć, jak zrobiona. E, co mi tam? Wyjąłem szablę i opowiadam, że w hucie zrobiona, z porządnej stali narzędziowej,

na zimno kuta z wielką siłą, bo to przecież wszystko maszyny robią, nie ludzie.

– Zdziwili się?

– Patrzyli z pogardą. I pokazali mi swój miecz. On ma miliony warstw, z których jest skuwany.

– Miliony?

– Też nie wierzyłem, ale mi obliczyli, że to przez składanie blachy na pół się odbywa, to postęp geometryczny jest i łatwo milion warstw uzyskać. No a potem skuwanie, ostrzenie, jakieś rdzenie twarde i miękkie, jakaś woda specjalna o jednej tylko porze dnia lana do hartowania jest potrzebna. A ostre toto jak brzytwa.

– O cholera.

– Nieee... przejmować się nie ma czym, że ostre. Co oni? Golić się tym zamierzają czy walczyć?

Tomaszewski rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu.

– I co? Doszło do walki?

Selim Michałowicz skrzywił się znowu. Tym razem jakby go co najmniej kobra ugryzła.

– Wstyd, panie komandorze.

– No ale podstawili kogoś do pojedynku?

– Ano dali jednego. I nawet stanął w pozycji, skrzyżowaliśmy broń... Ale wstyd!

– Co zaszło?! – Ekscytacja Tomaszewskiego sięgnęła zenitu.

– No i rąbnęliśmy się. Każdy wziął zamach do pierwszego ciosu, wyprowadził, ostrza się skrzyżowały, wałąc w siebie wzajemnie, i... I...

– I co?

– I mu to jego ostrze uciąłem. Przy samej rękojeści. Normalnie odpadło, a on został z kikutem miecza w dłoni. No i tak staliśmy, i patrzyliśmy na siebie zszokowani, bo niby co robić. Swoich technik fechtunku nie zmierzaliśmy, bo teraz jak, skoro on bez broni?

Tomaszewski zaczął się śmiać. A pułkownik ciągnął skruszony:

– Ale wstyd. Normalnie jakbym im tam napluł na sam środek, pod buty. Przychodzi taki, chwali się, mistrza chce do popróbowania, a macha cudowną szablą i taką kosztowną broń przeciwnikowi niszczy. Cham normalnie. Człowiek bez honoru!

– Nie no, proszę nie przesadzać, panie pułkowniku.



– A bo pan tego nie rozumie, panie komandorze. Pan z marynarki wojennej, szablą pan nigdy nie robił. A szabla to taka broń, którą trochę na chama trzeba przycinać, siły trochę włożyć. Ona do rozwalania łbów, ucinania obu rąk na lejcach, do płatania tułowia.

– Naprawdę przeciął pan klingę złożoną z miliona warstw?

– No przeciąłem. Przeciąłem. Wstyd, nie?

Tomaszewski nie mógł opanować śmiechu. Ukrył twarz w dłoniach.

– No bo to szabla jest, a nie jakieś wyostrzone coś do golenia mordy zarośniętej!

Dalsze wywody Tataru przerwało wejście Wyszyńskiej. Miejscowa tunika najwyraźniej przypadła jej do gustu, szczególnie podczas tych upałów.

– Cześć, chłopaki – rzuciła od wejścia. – Przerrywam wam dobrą zabawę?

– Nie. Pan pułkownik opowiadał właśnie, jak cudem nie doszło do rzeźni.

– Aj tam... lepiej nie wspominać.

Mężczyźni podnieśli się, ale Wyszyńska nie chciała oficjalnych powitań ani żadnego rytualnego całowania. Za gorąco, żeby się dotykać spoconymi częściami ciała. Zajęła miejsce tuż pod muślinowym urządzeniem do chłodzenia obracającym się pod sufitem. Szybko jednak zrozumiała, że pożytek z niego niewielki. Odmówiła też czegokolwiek do picia, twierdząc, że wszystko, co się teraz przełknie, po sekundzie i tak znajdzie się na zewnątrz.

– A jak tam nasze sprawy, Cholernico? – zagaił Tomaszewski.

– Źle, choć nie do końca, Krzysiu. Ogólnie mówiąc jednak: kiszka.

– Poddajemy się przed startem?

Zaprzeczyła energicznie.

– Nigdy. Ale... lotniskowiec jednak to dla mnie trochę za dużo.

– Nie dadzą nam w ogóle czy nie dadzą na naszych zasadach?

– Nie dadzą w ogóle. Za duża zabawka. To już nawet nie sztab generalny. Ruchy lotniskowców musi zaakceptować sam prezydent, a to ponad moje siły. A poza tym ta machina jest zbyt nieruchawa. Nawet gdyby próbować jakichś nacisków czy nie do końca jawnych działań, to i tak będzie wszystko trwało całe wieki.

– Których nie mamy – mruknął Tomaszewski. – A wojska lądowe właśnie wkroczyły do Lasu.

– Powoli będą iść – wtrącił Michałowicz. – Trakt muszą rąbać, stacje zakładać.

– Powoli nie powoli. My, jeśli nie ruszymy teraz, musimy zapomnieć o jakimkolwiek wyścigu.

– Co fakt, to fakt.

Wyszyńska klasnęła w ręce, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Mamy krążownik – powiedziała. – Może płynąć niby to na ćwiczenia.

Michałowicz gwizdnął cicho.

– To niewiele rozwiązuje – powiedział. – Nie będziemy mieli wsparcia lotniczego, nie będzie zrzutów z powietrza. A Tatarów i piechoty morskiej jakieś trzy kompanie. No to, rzekłbym, misja samobójcza.

– Na pewno? – Wyszyńska chciała mieć jasność. – Żołnierze nie poniosą zaopatrzenia na plecach?

– Za wybaczeniem, pani inżynier, to nie muły – powiedział pułkownik. – Sama bateria do noktowizora waży dziesięć kilogramów. Sprzęt, który trzeba zamocować do karabinu, też koło dziesięciu. To teraz niech pani doliczy ciężar amunicji na być może kilka dni walk, ciężar żywności i całej masy wyposażenia, bo tu panią upał zwodzi, a tam jest mroźna zima. Nierealne, proszę pani.

– To tylko jakieś pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeża!

– Ale w trudnym terenie. Nie wiemy, co napotkamy. Nie wiemy, z kim i jak długo będziemy się szarpać. Żołnierz to nie muł. Mając pięćdziesiąt kilogramów na plecach, nie będzie walczył skutecznie.

– Jeśli chodzi o zaopatrzenie, żywność możemy rabować w obcych osadach. Już Tatarzy wiedzą, jak to się robi.

– Amunicję też pani zrabuje?

– Ale...

– A wie pani chociaż, gdzie te osady?

– Wezmę ten wykrywacz podczerwieni, który wypróbowałam na wiatrakowcu w Sait.

– I będzie go pani sama niosła? Da pani radę targać samą baterię do niego?

Tomaszewski uniósł ręce, chcąc ich uciszyć.

– Przestańcie, drodzy państwo. To nie jest nierealne.

Michałowicz tylko prychnął.

– Owszem, nierealne – powiedział. – Ona nie uniesie baterii.

Tomaszewski uśmiechnął się, widząc minę Wyszyńskiej.

– Spokojnie. Co prawda nie będziemy mieli wsparcia lotniczego, ale będziemy mieli artyleryjskie.

– A kto dostrzeli na pół setki kilometrów?

– Krążownik może realnie trafiać na trzydzieści kilometrów w głąb lądu. To daje nam osłonę na trzy piąte drogi.

– Ech, im dalej strzelają, tym bardziej pudłują.

– Wprost przeciwnie. Ja już strzelałem z armaty z okrętu podwodnego. A tu będziemy mieli osiem dział najpotężniejszego kalibru i artylerzystów, którzy w przeciwieństwie do podwodniaków byli szkoleni w trafianiu celów na lądzie. Będą mieli lotniczą korektę ognia.

– Skąd?

– Widział pan te pokłady startowe na krążowniku?

– Gdzie?

– Na wieżach artylerii głównej.

Michałowicz wzruszył ramionami.

– Myślałem, że to osłony od słońca. Żeby im pancerza w tropikach nie nagrzewało.

– Mogą z nich startować małe wodnosamoloty obserwacyjne. Krążownik ma cztery takie.

– Ale zaopatrzenia nam nie zrzucą.

– Samolot jest dwuosobowy: pilot i obserwator artyleryjski. Jeśli polecą jeden, to jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów będzie mógł zrzucić.

– Tyle co nic!

– Wyłącznie amunicja. Wiem, że mało. Ale mało to więcej niż zero.

– A żywność mamy rabować? W nierozpoznanym terenie to fikcja.

– Wiem. Dlatego weźmiemy ze sobą kilka koni. Poniosą baterię pani inżynier, a w razie potrzeby posłużą za kolację.

– Fuj! – Wyszyńska otrząsnęła się z obrzydzeniem. – Chcecie jeść konia?!

– Dla Tatarów nie pierwszyna – odparł pułkownik. – Dobra. – Skinął głową po chwili namysłu. – Może być.

Mężczyźni zmierzyl się wzrokiem, a potem podali sobie dłonie.

– To znaczy jedziemy? – upewniała się Wyszyńska.

– Tak. Jedziemy – odparł Tomaszewski i przeniósł wzrok na Tatara. – Jak ćwiczenia?

– Ech, szkoda gadać. – Michałowicz musiał przypomnieć sobie coś niezbyt przyjemnego. – Żołnierze narzekają, że lampy w tym nowym sprzęcie głośno brzęczą. Widać niewiele, a jak wszystko się nagrzej, to w ogóle nic nie widać.

– To od upału – wtrąciła się Wyszyńska. – W zimnym otoczeniu wszystko będzie w porządku.

– Miejmy nadzieję, pani inżynier. No i jeszcze ten ciężar. – Pułkownik zerknął na komandora. – Ile możemy wziąć tych koni?

– Niewiele. Koni pontonami nie przewieziemy na brzeg. A nie wiem, ile mamy łodzi desantowych. To w ogóle będzie dość rozpaczliwa akcja, bo konie będzie trzeba umieścić w łodzi za pomocą dźwigu.

– Domyślam się.

– Panowie – Wyszyńska okazywała duże zniecierpliwienie – skoro startujemy, to nie traćmy czasu. Czy wiemy, jak się zabezpieczyć przed wypadkami, które miały miejsce na „Gradiencie”? Przed tą dziwną bezsennością i psychozami?

– Musisz zapytać Siweckiego. Bez przerwy coś tam robią z Kai.

– No dobrze. To ja w takim razie powiem panu, jaki sprzęt chcę zabrać.

– Przysunęła się bliżej Michałowicza. – I obliczę, ile to mniej więcej będzie ważyć.

Pułkownik podał jej swój notes i pióro. Tomaszewski wstał, żeby zapalić papierosa. Rozprostowując plecy, podszedł do okna.

Silne odbłaski słońca lśniły w kryształowych szybach. Na dole półnagie dzieci nędzarzy bawiły się w cieniu rachitycznych palm. Zerknął na Wyszyńską w bardzo seksownej tunice, która omawiała z tatarskim pułkownikiem szczegóły akcji z udziałem krążownika gdzieś daleko, na nieodkrytych jeszcze lądach. Przecież o czymś takim marzył w dzieciństwie. Kiedy był małym chłopcem, to właśnie podniecało go najbardziej w lekturach młodzieżowych. Dalekie lądy, białe plamy na mapach, piękne kobiety i groźni tubylcy. Wyprawy dzielnych odkrywców, najlepiej w wykonaniu korpusu ekspedycyjnego, którego lądowanie jest osłaniane przez potężne działa krążownika. No i co? Wszystko się spełniło. Tylko dlaczego w tamtych snach nie było nigdy okrutnego brzemienia

odpowiedzialności? Dlaczego we własnym oddziale nigdy nie pojawiał się wróg, którego prawdziwy cel działań trzeba było dopiero odkryć?

Ech, mają rację ci, którzy twierdzą, że wszystkie marzenia się spełniają. Tyle tylko, że zawsze perfidnie.



Nie było co liczyć na zaskoczenie potworów. Przecież pułk obozował przez całą noc tuż pod ścianą Wielkiego Lasu. Tylko dureń mógł sądzić, że wróg śpi i niczego nie zauważył.

Nuk, zagłębiając się między drzewa na szpicy, właściwie nie czuła strachu. Owszem, przyspieszał jej oddech i czuła coś jakby zimno po wewnętrznej stronie dłoni. Pociły się? A szlag z tym! Ona jako jedyna spośród dziewczyn wokół była już w Wielkim Lesie i zmierzyła się z potworami. Wiedziała, co potrafią i czego można się spodziewać. Ale wtedy wchodziła między pierwsze drzewa, mając z przodu połowę korpusu, a z tyłu drugą. Wtedy ta masa wojska nie pomogła. Na co więc liczyli Polacy, zmuszając do tej akcji siły niewiele większe niż pojedynczy pułk? Miała nadzieję, że obcy doradcy nie przeliczą się w swoich rachubach.

Morale koleżanek, wysokie na samym początku, teraz w miarę wchodzenia głębiej i głębiej zaczynało maleć. Legendy dotyczące potworów tutaj, na miejscu, stawały się coraz bardziej realne, a opowieści o zagładzie całego korpusu tu nabierały zupełnie innego znaczenia niż przy ławie w karczmie. Dziewczyny rozglądały się trwożliwie. Atmosfera stawała się gęsta, potęgował ją jeszcze panujący wokół półmrok. Okazało się, że Las był tak gęsty, iż większość śniegu osiadała w koronach drzew, tworząc coś w rodzaju dość grubego dachu. Mało śniegu opadło wprost na ziemię, co z jednej strony sprawiało, że nie było zasp i dało się poruszać w miarę łatwo. Z drugiej strony jednak światło dnia przebijało się ledwo, ledwo i nawet o tak wczesnej porze każdy miał wrażenie, że zaraz zacznie się noc.

Trzy kompanie saperów sprawnie czyściły przestrzeń przed wkraczającymi w głąb oddziałami, budując coś w rodzaju traktu. Nie drogi oczywiście, którą mogłyby się poruszać ciężkie wozy lub polskie ciężarówki. Nic z tych rzeczy. Niemniej trakt pozwalał na zapewnienie

transportu za pomocą konwojów złożonych z jucznych zwierząt albo wielokołowych pojazdów opancerzonych. Szlak budowany był szybko. Saperzy omijali wszelkie trudniejsze miejsca, decydując się raczej na łagodne zakręty niż postój z powodu konieczności wycięcia grupy szczególnie grubych drzew. Nuk dziwiła się, że operacja może przebiegać tak sprawnie. Tempo pochodu wcale nie było małe. Widocznie zagraniczni doradcy mieli doświadczenie i w tym zakresie. Teraz pozostawało tylko czekać, kiedy potwory zaatakują. Nie ją jedną męczyły przecucia.

– Zwiadowca, do mnie!

Zdążyła już poznać porucznika Jasiaka. Podczas zbierania wojsk do wymarszu wydawał jej się pragmatyczny i pozbierany. Ale jaki jest naprawdę, okaże się dopiero w boju.

– Na rozkaz. – Podeszła do chudego, wysokiego mężczyzny.

– Jak sądzisz? – zapytał, rozglądając się. – Dzikusy nas obserwują?

– Z całą, niezachwianą pewnością – odparła z uśmiechem.

– A po twojemu... ilu ich może być?

Odwieczny dylemat. Z takim samym zmagala się Achaja tysiąc lat temu. Jakie siły potwory mogły zgromadzić wokół w tak krótkim czasie? Przecież nie przemierzają kniei zwartymi oddziałami. Potrzebują trochę czasu, żeby się zwołać. Prawdopodobnie nie mieli też szans pobiec do swoich wiosek czy osad po uzupełnienia. Tylu ich, ilu zdołano skrzyknąć z okolicy. A czym się dzicy zajmowali w Lesie, łąząc sobie tu i tam? Pewnie polowaniem. Więc ilu wojowników lub myśliwych zdołali zebrać i zgromadzić w ciągu doby?

– To będzie prawdziwy cud, jeśli mają setkę ludzi. A po mojemu znacznie mniej.

Jasiak skinął głową.

– Takie są i moje podejrzenia. Zaatakują?

– Na pewno. Tak robią od tysięcy lat.

– Tak łatwo rzucą się na przeważające siły, zamiast czekać na posiłki?

– Tak robią od tysięcy lat – powtórzyła. – Oni nie czekają. Achaja miała jeden batalion przy sobie i dwa w odwodzie. Siły więc porównywalne z naszymi. A straciła praktycznie cały batalion w ciągu kilku modlitw. Pozostałe dwa mało ucierpiały, bo stały poza Lasem.

Żującą gumę tłumaczka zerkała na Nuk z podejrzliwością. Zwykły przewodnik, a wyraża się jak człowiek wykształcony. No i z nienagannym

akcentem przywodzącym na myśl sfery trochę lepsze niż zwykły żołdak. Na szczęście nie podzieliła się swoimi podejrzeniami z porucznikiem.

– W Sait dzikusy przyjęły inną taktykę.

– Ostrzeliwali kolumny z pobocza drogi. No ale tam była droga, a tu jej nie ma.

– Hm, fakt. W takim razie ja bym zaszedł nas od tyłu, odcinając od granicy Lasu, i uderzył... – Jasiak palnął się w czoło. – Co ja pieprzę. Przecież to dzikusy. Nie rzuca się w setkę.

– Przeciwnie – zripostowała Nuk. – Właśnie dlatego, że to wojownicy, a nie żołnierze, uderzą szybko. Żeby się wykazać przed innymi, a nie po to, żeby realizować jakiś taktyczny plan.

– A to to tak. Masz rację.

Myślał rozsądnie. Nuk odeszła na swoje stanowisko trochę uspokojona. Usiłowała się trzymać w miarę blisko wielokołowego, opancerzonego pojazdu dowództwa, który posuwał się trochę z tyłu. Dobre miejsce, jeśli zacznie się ostrzał. A ona miała dobre alibi. Sam Baranowski kazał jej trzymać się blisko, jak dojdzie do walki.

Saperzy pracowali bardzo sprawnie. Wycinali co mniejsze drzewa, karczowali krzaki, tworzony przez nich trakt był doskonale widoczny. Odcinał się ostrą bielą od mrocznego otoczenia. Śnieg, który opadał z drzew, idealnie wskazywał drogę ucieczki w razie czego. Nuk zganiła się w myślach. Rozglądała się uważnie, ale nie sposób było cokolwiek dojrzeć. Ciemność po jednej i drugiej stronie tworzonyj drogi poprzez kontrast wydawała się jeszcze bardziej nieprzenikniona. Gorzej niż w Sait. Wzruszyła ramionami. I znowu przyszło wspomnienie – tam zewsząd otaczała ją chmara wojska, tu nie. Tam mimo makabrycznej przewagi liczebnej się nie udało. A tu?

Posuwali się bardzo szybko. Saperzy omijali po prostu co większe przeszkody. Oddziały osłonowe ciągle nie napotykały żadnego oporu. W śniegu nie znaleziono nawet śladów potworów. Może nie wiedzą o wojsku, które wkroczyło na ich teren? He, wszyscy chcieliby, żeby tak było.

W południe, już głęboko w Lesie, zatrzymali się na postój połączony z posiłkiem. Nie zdążono nawet rozstawić wart, kiedy gdzieś z przodu rozległ się pojedynczy karabinowy wystrzał.

– Atakują z lewej! – krzyknął ktoś z oddziałów osłonowych.

– Ostrzał z prawej! – zaraportowała sierżant saperów.

Zaczął się! – jedna myśl przebiegła przez wszystkie żołnierskie głowy, przytłaczającą większość z nich napełniając panicznym strachem. Mityczne potwory! Potrafią zgładzić cały korpus! Strach niektórych napełnił paralizem, innych przeciwnie. Wielu żołnierzy zaczęło strzelać chaotycznie we wszystkie strony.

– Stać! – Baranowski wyskoczył z opancerzonego pojazdu. – Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień!

Znał podstawowe komendy w języku, który rozumiały żołnierze. Tuż za nim wyskoczyła tłumaczka, szamocząc się z kamizelką kuloodporną i stalowym hełmem. Okazała się warta wielkich sum, które płacono jej za pracę. Ewidentnie nie była tchórzem.

– Nie strzelać! – Baranowski krzyczał co prawda, ale opanowanym, pewnym głosem. Ani śladu paniki, a nawet ekscytacji. – Żołnierze! Kryć się za plecakami!

Musiała upłynąć dłuższa chwila, zanim wojsko zaczęło wprowadzać rozkazy w życie. Dziewczyny na szczęście miały to przećwiczone. Kryły się za swoimi nowymi, piętrowymi plecakami w pozycji bojowej, czyli z lufą karabinu w kierunku potencjalnego celu, ale bez wystawiania się, bez prób obserwacji terenu ani wyglądania, żeby sprawdzić, co się dzieje. Nuk obserwowała te poczynania z pewnym podziwem. W zasięgu jej wzroku tylko dwie dziewczyny zostały trafione strzałami, żadna z nich śmiertelnie. Okrzyki bólu powodowały poruszenie wśród koleżanek, nawet strach, jednak mimo wszystko nie panikę. Wyglądało to trochę inaczej niż podczas działań w Sait.

– Żołnierze, kryć się za plecakami! Oni ich tymi drewnkami nie przestrelają! Nie marnować amunicji.

Baranowski chodził za szeregami tkwiących w ukryciu żołnierzy w bardzo sprytny sposób. Udając, że się rozgląda, stawiał bardzo nieregularne kroki w zmiennym, przypadkowym rytmie. Dwa do przodu, stop, jeden do przodu, dwa w tył, w lewo, do przodu, stop, w prawo. Cwaniak! – pomyślała Nuk, obserwując majora z pewną dozą podziwu. Pieprzony cwaniak. Strzała z łuku to nie karabinowa kula, leci powoli. A tak poruszającego się celu jak on trafić nie sposób. Natomiast na żołnierzach jego zachowanie i wyprostowana postawa robiły kolosalne wrażenie.

– Spokój! Spokój! Przecież nic się nie dzieje!



Strzały świszczały w powietrzu, ale rzeczywiście, żołnierzom ukrytym za plecakami ciężko było coś zrobić. Cudzoziemski doradca tak szybko uspokajał szeregi, że nawet pułkownik Thien odważyła się wyjść z opancerzonego wnętrza. Stała teraz przytulona do blaszanej burty i z niepokojem obserwowała wszystko wokół.

– Żołnierze, przecież nic się nie dzieje! – Baranowski kontynuował swój marsz tuż za rzędami skulonych za osłoną żołnierzy. – Oni nic nie mogą wam zrobić!

Strzały przelatywały z różną intensywnością. Jednak ktoś tak doświadczony w boju jak Nuk czuł, że jest ich znacznie mniej niż na początku. Do wrogów chyba również docierał fakt, że major ma rację. Skuteczność ostrzału była prawie żadna. A żołnierze przekonywały się, że jeśli zachowają spokój, to pod osłoną plecaków nic im nie będzie.

Baranowski wrócił powoli do stanowiska dowodzenia.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

– I jak pani ocenia sytuację, pani pułkownik? – zapytał.  
Thien drgnęła, nieprzygotowana na takie pytanie.  
– Ja... – odchrząknęła, zbierając myśli. – Eee... myślę, że zaczekają do nocy i wtedy zaczną się szturmy.  
– Nie sądzę.  
– W nocy będą mieli jeszcze większą przewagę.  
– A mają przewagę? – Major uśmiechnął się kpiąco. – Przecież teraz też nie widzimy przeciwnika. Noc nic nie zmienia.  
– No właśnie. Nie widzimy, a oni mogą nas tu trzymać w nieskończoność.  
– Z całym szacunkiem, myślę, że jest pani w błędzie. – Baranowski lekko skłonił głowę i podszedł do Nuk.  
– Zrobisz mi płytki zwiad w którąkolwiek ze stron?  
– Jasne! – Dziewczyna podniosła się natychmiast. Czuła, jak coś gorącego rozlewa jej się wewnątrz ciała. To straszne, mroczne poczucie. Ponury, ale i piękny zew.  
– Chcę tylko rozpoznać natężenie ostrzału. Weź ludzi i spróbujcie wniknąć w głąb na jakieś dwadzieścia kroków, potem natychmiast w tył.  
– Tak jest!  
– I nie życzę sobie żadnych strat. Bez popisów i zdobywania łupów. Jeszcze nie czas!  
– Tak jest!  
– Jasiak! – Baranowski odwrócił głowę.  
– Na rozkaz! – zameldował się porucznik.  
– Weź jakiś pluton i osłaniaj panią. – Major wskazał Nuk z uśmiechem. – Nie chcę, żeby jej się coś stało.  
– Zrozumiałem. – Porucznik też się uśmiechnął.  
– No to do boju!  
Nuk podniosła swój nowy plecak, który dostała z kwatermistrzostwa. Rzeczywiście mógł służyć za doskonałą osłonę. Nawet w biegu. Z dwururką w drugiej ręce podeszła do reszty zwiadowców.  
– Słuchajcie, robimy płytki zwiad w tamtą stronę. Nie rozpoznajemy terenu, tylko wroga. Zrozumiałyście?  
– Jak głęboko?  
– Nie więcej niż dwadzieścia kroków. – Podniosła rękę i wskazała cel. – O, do tamtych drzew biegiem, a potem bez zatrzymania od razu z

powrotem. Zrozumiano?

Odpowiedziały jej ponure skinięcia głów. Zwiadowcy nie byli od rozpoznania bojem. Jednak z drugiej strony zadanie wyglądało na banalne. Bez problemu podprowadziła swoich ludzi na pierwszą linię. Trochę dłużej Jasiakowi zajęło ustawienie wybranego plutonu na pozycjach strzeleckich.

– Gotowe? – Nuk rozejrzała się. – Pod osłoną plecaków dwadzieścia kroków i zwrot! Zrozumiano!

– Tiaaa... Tak.

– No to... biegiem!

Ruszyła do przodu, czując, że od razu, już przy pierwszym kroku, w jej trzymany z przodu plecak wbija się strzała. Nie zwolniła jednak. I dobrze. Świst przelatujących pocisków nie był zbyt intensywny. Strzelcy usiłowali celować precyzyjnie, odkładając poprawki.

Nuk nie zdążyła się zdyszeć na dwudziestu krokach. Uderzyła ciałem w pień drzewa, zrobiła zwrot, przerzucając plecak do tyłu, i ruszyła z powrotem. Spacererek! Pluton Jasiaka dawał właśnie ogień osłonowy, strzelając salwami, drużyna za drużyną. Nikt w zaroślach nie odważył się wychylić głowy.

– No i jak? – Baranowski czekał na raport.

– Określiłabym ich ostrzał jako mało intensywny. – Rozglądała się, patrząc na swoich ludzi. – Zresztą widać. Straty zero.

– No i bardzo dobrze. Spróbujcie to samo na czele kolumny.

– Tak jest!

Tu jednak zrobił się mały problem. Żołnierze musiały na stojąco nabić swoje karabiny i trzeba je było wycofać w bardziej bezpieczne, osłonięte miejsce. W tym czasie major wyrwał strzałę, która tkwiła w plecaku Nuk. Zaczął ją bardzo dokładnie oglądać.

Żołnierzy udało się ustawić w szyku osłonowym dopiero po dłuższej chwili. Jeśli ktoś miał obawy, że potwory, widząc te manewry, w nowym miejscu ustawiły się lepiej i były bardziej przygotowane, to szybko okazały się one bezpodstawne. Przez całe dwadzieścia kroków biegu nie wypuszczono żadnej strzały. A w drodze powrotnej dzięki plutonowi osłony potwory nie miały już szans.

– Zero ostrzału, panie majorze – zaraportowała Nuk.

Baranowski skinął głową. Ruszyli z powrotem do wozu sztabowego.

– Co o tym myślisz?

– Tak jakby potwory chciały pokazać, że na tym kierunku nie strzelają. Czyli w domyśle droga naprzód wolna.

Oficer uśmiechnął się z aprobatą.

– I ja mam takie wrażenie.

Nuk szła za nim przez środek pozycji bojowej utworzonej przez żołnierzy kryjących się za plecami i nie mogła opanować szoku. Znajdowali się wśród drzew Wielkiego Lasu i nikt ich nie atakował. Dobrze, rozumiała oczywiście, że ostrzelał ich jedynie zwiad, garstka wojowników, którą udało się zebrać w ciągu więcej niż doby, ale w niczym ta akcja nie przypominała tego, co pamiętała z Sait. Nie umiała różnicy wyrazić słowami. Tu wyraźny był brak... brak... no jak to powiedzieć? Brak dławiącego poczucia przygniecenia przez obce siły. Nie, to złe określenie. Potrząsała głową, rozglądając się. Coś naprawdę nieuchwytnego sprawiało, że wszystko wyglądało inaczej.

– Jak przedstawia się sytuacja, panie majorze? – Thien na widok zbliżającej się dwójki odkleiła się od blaszanej burty pojazdu.

– Hm... – Baranowski najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. – Zatrzymaliśmy się, żeby żołnierze mogli coś zjeść, i myślę, że nie należy rezygnować z tego planu.

– A wróg?

– Zostaliśmy lekko ostrzelani. Straty po naszej stronie są praktycznie żadne, widziałem tylko kilku rannych.

Tym razem Thien nie mogła czegoś zrozumieć.

– No ale jakie są według pana zamiary wrogich sił?

Baranowski podszedł do niezdeptanej połaci śniegu. Ostrzem zdobywczej strzały zaczął rysować na ziemi plan sytuacyjny.

– To jest nasza pozycja, rozciągnięty owal. Główny ostrzał dostaliśmy stąd, stąd i stąd. – Szybko zaznaczał odpowiednie punkty. – Co oznacza, że nieprzyjaciel podzielił swoje siły na trzy grupy usiłujące naprzykrzać się głównie od strony naszej ariergardy.

– Strzelają do tyłu, żeby nas odciąć od drogi powrotnej.

– Całkowicie się z panią zgadzam. Poza drobną korektą: nie odciąć, ale nastraszyć bardziej. Oni nie są w stanie przeciwdziałać ruchowi naszych sił na jakimkolwiek kierunku operacyjnym.

– Jest pan pewien?

– Tak, chcą wywołać panikę. Pewnie to wynika z ich poprzednich doświadczeń. Ale z nami nie pójdzie im tak łatwo jak dotąd.

Thien nie podzielała optymizmu swojego zagranicznego doradcy.

– Sprawdzał pan gęstość ognia? Tfu! Ostrzału?

– Owszem, i wynik potwierdza moje poprzednie przemyślenia. – Major ostrzem strzały dorysował dwa kierunki na śnieżnym planie. – Tu strzelali, a na tym kierunku nikt się nami nie interesował. Oni najwyraźniej sugerują nam stronę świata, gdzie powinniśmy dalej maszerować.

– W głąb Lasu! Chcą nas wciągnąć w pułapkę!

Baranowski uśmiechnął się radośnie.

– Myślę, że ich plan jest dużo prostszy i bardziej prozaiczny.

– Jaki?

– Myślę, że po prostu chcą, żebyśmy szybko opuścili to miejsce, w którym się teraz znajdujemy.

Thien dosłownie zatkało. Prawdę powiedziawszy, Nuk również. O co mu chodzi? Potwory chcą, żeby wojsko ruszyło tyłki z zajmowanej obecnie pozycji? Tak po prostu i już? I niby po co im to? Wolą strzelać do żołnierzy w marszu, jak to było w Sait? No zaraz, zaraz. Przecież zaatakowali wojsko rozkładające się do posiłku, a nie oddziały w marszu. Czegoś tu nie można było zrozumieć.

– A pan chce, żeby żołnierze tak po prostu zostali na miejscu i zjedli należny im posiłek?

– Tak.

– Przecież zaatakują nas wtedy, kiedy nie będziemy przygotowani.

Baranowski podniósł do oczu strzałę, którą ciągle trzymał w ręku. Znowu przyjrzał jej się dokładnie.

– Pani pułkownik, przed wyprawą tutaj długo rozmawiałem z doktorem Bronowskim. To człowiek, który w naszej bazie w Sait przeprowadza różne doświadczenia, poznaje dzikusów, ich kulturę, obyczaje i sposoby walki. Zdobył naprawdę wielką wiedzę na temat dzikich istot z Wielkich Lasów.

– Co pan zamierza przez to powiedzieć?

– Najpierw zadam pani pytanie. Ile takich strzał ma w swoim kołczanie człowiek, który przemierza knieje?

– A skąd mam wiedzieć? – Pułkownik obruszyła się wyraźnie.

– A ja wiem. Przeciętnie pięć, sześć w każdym kołczanie.

Thien wzruszyła ramionami.

– Tak mało?

– A po co im więcej? To myśliwi przecież, a każda strzała jest dla nich wiele warta. Po pierwsze strzały w kołczanie na plecach wystają ponad głowę strzelca. Kiedy ten, tropiąc zwierzynę, przedziera się przez krzaki, strzały łatwo mogą się złamać. Po co ryzykować uszkodzenie większej liczby? A po drugie myśliwi mogą upolować tylko tyle zwierzyny, ile będą w stanie potem zanieść do osady przy użyciu jedynie własnych rąk. Ile więc zwierząt mogą upolować podczas jednej wyprawy? Pięć, sześć strzał w zupełności wystarczy.

– Do czego pan zmierza?

– Zakładam, zaokrąglając w górę, że zaatakowało nas jakichś stu wojowników. Powinni więc mieć ze sobą około sześciuset strzał maksimum. Czyż nie?

– A jeśli tak, to co?

– Niech pani oszacuje liczbę strzał, które leżą dookoła, pani pułkownik.

Thien rozejrzała się. Strzał rzeczywiście było bardzo dużo. Policzyć co do sztuki oczywiście nie sposób. Ale... mogło być ich i sześćset.

– Oni już po prostu nie mają z czego do nas strzelać, pani pułkownik – powiedział sucho Baranowski.

Thien przygryzła wargi. Dlaczego nikomu w imperium takie rozumowanie nie przyszło do głowy? Teraz zrozumiała. Ci pieprzeni obcy to nawet nie jakaś tam wyrefinowana technika. To zupełnie inny sposób myślenia. Fakt, przyczyna, skutek. I w odwrotnej kolejności. Wszystko musi pasować.

– I proszę się przyjrzeć dokładnie – kontynuował major. – Kamienny grot musi być częścią szczególnie cenną. Jego wykonanie musiało zająć wojownikowi wiele dni. A sposób jego mocowania? To jakieś łyka czy coś w tym guście.

– I co z tego?

– Rzecz dość wrażliwa na wilgoć. A w związku ze zwałami śniegu dookoła myślę, że przechowywanie większej liczby strzał, nawet w wiosce, mija się z celem. Ulegają powolnej samodegradacji. Myślę, że wykonuje się je na bieżąco, odzyskując za każdym razem choćby grot.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Że nie mają dużego zapasu amunicji nawet w swoich osadach. I w związku z tym ta wojna nie rozstrzygnie się stwierdzeniem, kto lepiej

walczy: wojownik czy żołnierz. Rozstrzygnie ją fakt, kto potrafi dostarczyć na front więcej amunicji i zapewnić ciągłość dostaw. Nasi kwatermistrzowie z potężnym zapleczem czy żony wojowników.

Nuk parsknęła śmiechem. Chichotała długo, nie mogąc się opanować, choć było to niegrzeczne. Ale Baranowski przedstawiał każdą sprawę w tak nowym świetle i w tak kuriozalnym ujęciu, że nie mieściło się to w jej głowie.

– Ale w Sait... – usiłowała oponować pułkownik.

– W Sait wojsko maszerowało, a oni zbierali swoje strzały. A w bitwie ostrzałem prowokowali panikę, a potem dochodziło do starć wręcz. To samo chcą zrobić i tutaj. Najwyraźniej pragną, żebyśmy już sobie stąd poszli, żeby mogli wybierać swoją amunicję, którą potem nas zaatakują raz jeszcze.

Thien potrząsała głową.

– I dlatego pan chce, żebyśmy zostali?

– Nie. Zostajemy, bo żołnierze muszą coś zjeść. Jest zimno, a oni są zmęczeni. I tylko tyle.

Zapadła cisza. Pułkownik musiała sobie poukładać w głowie różne sprawy. Spojrzała na swojego doradcę dopiero po dłuższej chwili. Baranowski zaatakował znowu.

– Wie pani, dlaczego ich siły są takie skuteczne? Lekkie, reagujące elastycznie na zmianę sytuacji, niezależne od jakichkolwiek baz?

– Tak. Nie muszą niczego dźwigać, bo strzały są amunicją wielokrotnego użytku.

Major zaczął się śmiać.

– Ta już nie! – Złamał strzałę w dłoniach. – Ta już nie jest!

Odwrócił się i ruszył na środek pozycji zajmowanej przez skulone za plecakami dziewczyny. Tłumaczka w hełmie i kamizelce kuloodpornej biegła za nim.

– Żołnierze! – wrzasnął, stając na środku. – Słuchajcie mnie uważnie!

Na szczęście tłumaczka miała równie donośny głos co on.

– Przeciwnik chce, żebyśmy już sobie stąd poszli. Chce wybierać swoją amunicję, żeby móc jej użyć jeszcze raz przeciwko nam. Ale my na to nie pozwolimy. Każdy żołnierz ma wybierać strzały wokół siebie i wszystkie połamać!



Dziewczyny za plecami usiłowały się nie wychylać. Rozkaz był spełniany raczej niemrawo. Baranowskiemu to nie przeszkadzało. Jeszcze nie skończył mówić.

– Żołnierze. Częścią każdej strzały jest grot. Szalenie trudno go wykonać i trwa to bardzo długo. A ja... – zawiesił głos – za każdy dostarczony mi grot na wieczornym biwaku... – znowu pauza dla wzmożenia napięcia – będę płacił złotem!

Dziewczyny odwracały głowy, żeby zobaczyć, czy nie żartuje.

– Powtarzam! Za każdy grot, który mi przyniesiecie na wieczornym biwaku, zapłacę złotem!

Żołnierze porzucały swoje plecaki. Runęły do przodu w zaciekłym ataku, byleby tylko dopaść jak najwięcej strzał przed koleżankami.



W mesie na krążowniku tłum marynarzy przepychał się do lady, gdzie serwowano posiłki. Kilku spoconych kuchcików w białych czapach na głowach i fartuchach szufłowało chochlami, napełniając poszczególne talerze. Szum wentylatorów ledwie przebijał się nad gwar i pokrzykiwania członków drugiej wachty. Dla nich to był koniec roboty na dzisiaj. Kiedy orp „Poznań” zszedł z redy portu w Negger Bank i ruszył w rejs na zimne wody, zdali swoje obowiązki. A ponieważ wacht nie zmienia się podczas manewrów, opóźnienie było spore i dlatego specjalnie dla nich połączono obiad z kolacją i usiłowano wydać naraz, pomijając system zmianowy. Tłok więc panował niemiłosierny.

– Nie mam pojęcia, dlaczego uparłaś się, żebyśmy jedli właśnie tutaj? – irytował się Siwecki, z trudem przepychając się między rozgorączkowanymi ludźmi.

– Koniecznie chciałam zobaczyć, jak żyją zwykli marynarze – odparła Kai.

– Akurat dzisiaj?

– No dzisiaj. – Uśmiechnęła się, robiąc specjalnie dla niego bardzo kobiecą minę. – Wiesz, jak baba się uprze, to nie ma na nią żadnej siły.

– To akurat wiem – westchnął.

Z jedzeniem w mesie dla marynarzy był zresztą straszny problem. Morski obyczaj panujący na pokładach okrętów rp stanowił jasno, że jest rzeczą absolutnie nie do pomyślenia, żeby oficer jadł ze zwykłymi marynarzami. Nikt z kadry dowódczej nie miał nawet prawa pojawić się tutaj w mundurze. No chyba że w sprawie przeprowadzenia inspekcji, ale wtedy musiał to zrobić oficjalnie, stawiając wszystkich na baczność. Ale Kai się uparła i pozostała odporna na jakiegokolwiek argumenty, jak osioł przed wstąpieniem na ścieżkę, która mu nie pasuje. Nie i nie. W końcu lekarz razem z Tomaszewskim załatwili jakoś przynajmniej to, że podoficerowie dyżurni przymkną oko na to, co się stanie, pod warunkiem, że dwójka „turystów” założy nierzucające się w oczy drelichy bez wojskowych stopni na pagonach. „Nierzucające się w oczy”. Dobrze sobie! Kai była tu jedyną kobietą i gapili się na nią wszyscy. Naprawdę niecodzienne zjawisko.

– Tędy – zakomenderował Siwecki, torując jej drogę do lady. – Usiłuj nie zatykać nosa. A przynajmniej nie demonstracyjnie.

Nie miał racji. Kai stwierdziła, że przy ladzie z pojemnikami na jedzenie jest co prawda strasznie gorąco i wszyscy wokół są spoceni, ale zapachy dochodzące od strony kambuza wcale nie należą do nieprzyjemnych.

– O! Ja poproszę to tutaj! – Wskazywała potrawy palcem, podsuwając kuchcikowi tacę.

– Pieczeń w sosie?

– Tak. I to tutaj!

– Fasolkę?

– Mhm. I to jeszcze.

– Sałata? A ziemniaki?

– A? No tak. Też poproszę. – Potrząsnęła głową. – Jakoś mi umknęło, bo za często ich się nie spotyka.

Kuchcik spojrzał na nią zdziwiony, ale nie skomentował. Taca obciążona naczyniami robiła się ciężka. Na szczęście można ją było przesuwac po wprasowanych w ladę metalowych paskach. Kai wzięła jeszcze kubek z kompotem i jakiś galaretowaty czerwony deser. Zatrzymała się w poszukiwaniu wolnych miejsc. Kilku marynarzy przy najbliższych stolikach zauważyło ten gest i wskazało dziewczynie krzesła tuż przy nich. Nie, nie, nie o to chodziło.

Ruszyła, przepychając się ostrożnie, żeby nie wywalić na nikogo zawartości swojej tacy. Odpowiednie miejsce znalazła dopiero po dłuższej chwili – mały, trzyosobowy stolik tuż pod ścianą. Był wolny. Co prawda w jego kierunku zmierzał właśnie jakiś grubas z przeładowaną tacą, ale na jej widok zwolnił jednak, przepuścił kobietę i dał za wygraną. Siwecki dotarł do stolika dużo, dużo później.

– Ale się guzdrzesz. – Spojrzała na niego z wyraźnym wyrzutem.

– Wiesz co? – sapnął, stawiając swoją tacę na niewielkim blacie. – Ciebie to może jakiś marynarz przepuści. Mnie żaden.

Uśmiechnęła się słodko.

– Oj, widocznie nie bywałeś na tłocznych dworskich przyjęciach.

– A jest jakiś sposób na przejście z tacą, skoro dokoła taki tłum?

– Taca niczym nie różni się od kielicha z winem, który płami wszystko równie łatwo jak jedzenie. W tłoku wystarczy nieść niebezpieczną zawartość na wyciągniętej ręce, daleko przed sobą. Wtedy każdy wie, że jeśli cię uderzy, to tobie się nic nie stanie. A obłany będzie tylko on.

Siwecki zaczął się śmiać. Potem otarł pot z czoła i rozejrzał się.

– I jak? Zadowolona?

– Owszem. Koniecznie chciałam zobaczyć tę mesę.

– I tłum mężczyzn? – westchnął. – Twoje zachcianki są coraz bardziej dziwaczne.

– Co masz na myśli?

– Najpierw chciałaś obejrzeć moje laboratorium i pół dnia musiałem ci tłumaczyć wszystkie szczegóły, a teraz to. Mesa marynarska w szczycie wydawania posiłków dla wachty, która miała przedłużoną służbę. Aż dziw, że nas nie zjedli, kiedy przechodziliśmy.

– Oj, kobiece zachcianki są trudne do przewidzenia. – Kai zabrała się do swojej porcji. Po pierwszym kęsie pieczeni stwierdziła, że mogłaby tu służyć jako żołnierz. Nie było może wykwintu jak w strefie oficerskiej, ale mięso naprawdę dało się zjeść. Dobrze, że marynarka wojenna nie ogłasza zaciągu wśród miejscowej ludności. Tłum ludzi, który natychmiast po ogłoszeniu wsiadłby na pokład, mógłby zatopić nawet i okręt z żelaza. – Bo wiesz, kobiety z reguły tak nie do końca wiedzą, czego akurat chcą w danej chwili.

– Cóż za samokrytyka. – Spojrzał na nią rozbawiony. – Jestem pod wrażeniem twojej szczerości.

– Czasem nawet i czarownica bywa szczerą.  
– No ale powiedz mi... – Siwecki bez entuzjazmu zabrał się do swojej porcji. – I co? Zadowolona jesteś, że zobaczyłaś marynarską mesę w działaniu?

Energicznie potwierdziła.

– Bardzo. Powiedz mi jeszcze: Tatarzy płyną na innej jednostce?

– Tak. Razem z piechotą morską i końmi zaokrętowano ich na statek transportowy. Krążownik nie za bardzo nadaje się do transportu ludzi. Nie w tym celu go zbudowano.

– A ja mam wrażenie, że zbudowano go, żeby oficerowie mieli odpowiednio wielkie kwatery, a tłuszcza razem z końmi płynie czymś mniej reprezentacyjnym i z dala, żeby nie śmierdziało.

Zaczął się śmiać, choć jakoś tak nieszczerze.

– Już wolałem, gdy mnie wypytujesz o grypę.

Wolała mu nie zdradzać, że oba tematy, zarówno grypa, jak i przepełniona mesa, to w zasadzie ta sama sprawa. Na szczęście Siwecki nie domyślał się, o co dziewczyna tak naprawdę wypytuje.

– Po prostu zrobiło na mnie wrażenie, że masz w jakichś fiolkach nawet ten rodzaj grypy, który zaatakował was na samym początku, na orp „Dragon”.

– Od tego przecież zaczęły się moje badania. Nie co dzień przeżywa się atak grypy na okręcie podwodnym, który tak długo nie zawijał do żadnego portu. Sądzę, że to ty nas zaraziłaś.

– Może i ja.

Skinął głową.

– Z drugiej strony ty też za długo nie zawitałaś do żadnego portu.

Ciekawe. Siwecki najwyraźniej nie przyjmował do wiadomości, że organizm czarownicy działa trochę inaczej niż u innych ludzi. No ale dobrze. Przynajmniej nie będzie podejrzana.

– Powiedz, czy jest możliwe, żeby zaraza rozwinęła się na jakimś okręcie tak, żeby sparaliżować jego działania?

Zaprzeczył gestem.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Podobno dzuma potrafiła sprawić, że znajdowano zagłowce bez załogi. Ale myślę, że to raczej fantazja literacka. Grypa nie sparaliżuje żadnego okrętu. Po pierwsze nie wszyscy

zachorują, a po drugie, nawet będąc chorym, można mimo wszystko sprawować podstawowe obowiązki.

– Ale spowoduje duży kłopot?

– Nie. – Siwecki wzruszył ramionami. – A spowodowała na orp „Dragon”? Nie, nie ma siły. Nie ma takiej możliwości.

– Aha... – Zagryzła wargi. – Czyli co? Paru marynarzy zachoruje, paru położy się do łóżek, a wielu będzie chodzić, smarkając i kaszląc.

– Katar nie jest charakterystycznym objawem grypy, choć może występować.

– A jak się ludzie zarażają? Trzeba dodać zarazki do wspólnego kotła z zupą?

Zaczął się śmiać, ale nie dostrzegł pewnego skojarzenia, które powinno prowokować pytanie. Siedzieli przecież w zatłoczonej mesie. Kocioł z zupą dla wszystkich znajdował się za przepierzeniem w kambuzie.

– Jeśli wrzucisz wirusy do kotła, to się zagotują i zginą. Białko generalnie ścina się w temperaturze sześćdziesięciu stopni. Każdy więc będzie mógł spokojnie tę zupę zjeść.

– No to jak?

– Różnie, przez dotyk i niemycie rąk. Wirus może przeżyć na klamce do drzwi, a nawet na banknocie. Choć generalnie najczęstszą przyczyną jest zarażenie kropelkowe.

– Czyli jakie?

– Wystarczy, że chory kichnie, i już wszyscy dookoła zainhalują zarazki.

– No bez przesady. Jeśli kichnę tutaj, to zarażę co najwyżej ciebie.

Siwecki odstawił talerz z jedzeniem, które ledwie co napoczął. Podniósł kubek z kompotem i stuknął w jej kubek. Uśmiechnęła się, podnosząc toast. W pomieszczeniu było gorąco, więc wypili cały od razu. Kompot był nawet dobry, tyle że strasznie słodki.

– Kai, dziecko ty moje piękne. Stwierdzony przez naukę zasięg kichnięcia to czterdzieści dwa metry. I taki jest promień rażenia w zamkniętym pomieszczeniu.

Zamarła, patrząc z podziwem. Czterdzieści dwa kroki?! Świetnie!

– I jak długo to trwa?

– Co?

– No jak długo od takiego kichnięcia drugi człowiek zaczyna być chory?

– Pytanie bardzo nieprecyzyjne, ale odpowiem domyślnie. Od zarażenia do wystąpienia pierwszych objawów upływa od jednego do sześciu dni. Najczęściej dwa, trzy dni. Przy czym chory może zarażać innych jeszcze przed wystąpieniem pełnych objawów.

– A gdyby się coś zaczęło, to ty też zachorujesz?

Zaczął się śmiać, o mało nie wywracając talerza z kisiem.

– Nie. Skoro prowadzę takie badania, to się wstępnie zaszczepiłem.

– A Krzysiek?

– Za dużo przebywa ze mną. Jego też zaszczepiłem. Jedynie ty się opierałaś, pamiętasz?

– Mnie nic nie grozi.

– Tak, tak – przeszedł na drażniący, protekcyjny ton. – Wiem, czarownice na nic nie chorują.

– Owszem, chorują, ale nie na to, co masz na myśli – ucięła. – Bądź taki dobry i przynieś mi jeszcze jeden kompot. Strasznie tu gorąco.

– Jasne.

Siwecki wstał i wziął oba kubki. Po chwili przepychał się już przez gęsty tłum w kierunku lady, gdzie dwoili się i troili pomocnicy kuka.

Kai ostrożnie wyjęła z kieszeni drelichu małą fiolkę, którą ukradła lekarzowi z laboratorium. Przyglądała się żółtawej, mętnej zawieszynie wewnątrz. Potrząsnęła naczynkiem, a potem się rozejrzała. Zasięg rażenia tej broni wynosił aż czterdzieści dwa metry! Świetnie! To dawało grubo ponad stu ludzi!

Dyskretnie wyjęła szklany korek z uszczelką, a potem, zasłaniając twarz dłonią, wlała do ust zawartość fiolki. Nie przełykała jeszcze. Zaczęła dokładnie przepłukiwać jamę ustną i gardło. Spodziewała się nie wiadomo czego, a tymczasem zawieszina miała po prostu smak bulionu. Udając, że coś podnosi, schyliła się, przekrzywiając głowę tak, żeby trochę płynu nalało jej się do nosa. A potem zwinęła serwetkę i zaczęła delikatnie pocierać górną wargę. Jako czarownicy nie było jej trudno wywołać u siebie odpowiednich odruchów.

Kichnęła tak głośno, że najbliższej siedzący marynarze zaczęli się odwracać zdziwieni.

– Na zdrowie!

– Ale strzał! Na zdrowie!

– Dziękuję – ledwie odpowiedziała, czując, jak znowu marszczy jej się nos, a w oczach zbierają łzy.

Odwróciła głowę, żeby wziąć na celownik drugą połowę sali. Kichnęła chyba jeszcze głośniej niż poprzednio. Marynarze wokół byli bardzo rozbawieni.

– Głośniej niż nasz bosman! – rozległy się komentarze. – Na zdrowie!

– Nic się pani nie stało? Może chusteczkę?

Sprawdziła twarz dłonią. Wcale się nie osmarkała.

– No i po co nam artyleria okrętowa? – padały docinki. – Tabakę wystarczy rozdać i ustawić nas przy burcie!

– Ale huk... Na zdrowie!

Kai rozglądała się zadowolona. Czterdzieści dwa metry zasięgu, jakieś sto dwadzieścia, sto pięćdziesiąt ofiar. Ale fajnie! Jaka jazda! Ci ludzie zza Gór Bogów to potrafią naprawdę wymyślić ekstra zabawki!



Shen siedziała przytulona do Kadira. Owinęli się grubym kocem i było im na tyle ciepło, że mogliby nawet zapomnieć o zimie, gdyby nie biała para, która wydostawała się z ust przy każdym oddechu.

– No to dochodzimy do punktu bez powrotu – powiedziała cicho.

– Masz na myśli ten podręcznik? – Wskazał książkę o partyzantce, która pieczołowicie owinięta w brezent leżała przy ognisku.

– Tak. Oni to określili „wyjściem na przestrzeń operacyjną”. Kiedy zaczniemy nasze działania, nie będzie już można wrócić do spokojnych pieleszy.

Kadir przytulił ją mocniej.

– Chcesz zacząć wojnę podjazdową, nie mając prawie amunicji? Bez części zamiennych do broni?

– Chcę zmusić Polaków, żeby mi to grzecznie sami dostarczyli.

Rusznikarz cmoknął cicho.

– To dość... – w jego głosie czuć było wahanie. – Dość mocarni gracze. Nieprawdaż?

– Ach, i myślisz, że mnie zmiażdżą?

– Raczej zadcpczą jak mrówkę, która przypadkiem weszła pod but wędrowcowi. Bo w to, że specjalnie będą ganiać po krzakach w lesie, żeby pozabijać poszczególne mrówki, jakoś nie wierzę.

– Ale jeśli mrówka wejdzie do oka...

Uspokoił ją i przerwał wywód, kładąc dłoń na jej ustach.

– Rozmawiajmy o faktach. Wyszliśmy na przestrzeń operacyjną i co?

– I teraz musimy pokazać, że w każdej chwili możemy odizolować lotnisko od reszty świata.

– Chcesz walczyć z Polakami?

– A po co? Gdy udowodnię, że mogę wojskom lądowym zrobić kuku, to ci z marynarki dadzą, czego będę chciała. A w garnizonie w Kong teraz prawie nikogo nie ma.

Kadir tylko westchnął.

– Powrócę więc do przykładów. Teraz przypominasz ubogiego hazardzistę. Wchodzisz do kasyna, gdzie dwóch magnatów rozgrywa partię o niewyobrażalną fortunę, a ty podchodzisz do stołu, rzucasz sakiewkę, w której masz pięć brązowych, i mówisz: „Wchodzę do gry!”.

Powiedział to tak zabawnym tonem, że Shen zaczęła się śmiać. Pocałowała go w ucho, a potem ugryzła.

– Oj, Kadir, Kadir, jesteś po prostu fantastyczny.

– Czyż nie? – Spojrzał na nią i też zaczął się śmiać.

Pocałowała go w usta. Chyba właśnie ten człowiek był tym właściwym. Chyba właśnie wybrała ciepło, które on oferował.

– Wiesz, wtedy w bibliotece zakonnej w górach przeżyłam coś niesamowitego.

– Koleżanki mówiły mi, że strasznie chorowałam.

– To była choroba i nie choroba. Koszmary, gorączkowe wizje i oczyszczenie. Wiesz, ja wypociłam to wszystko. Wszystko, co mnie męczyło. I koszmary z dzieciństwa, i koszmary z Sait, więzienia, tej tułaczki wśród szamoczącej się biedy. Razem z lepkiem potem pozbyłam się i tego, co mówiła Sharri, i tego, co opowiadał chłopak z tobołkiem, który nawiedzał mnie we śnie. Już tego we mnie nie ma.

– A kto jest?

Spojrzała na niego i szepnęła:

– Ja wiem, że to głupio, kiedy kobieta mówi pierwsza. Ale jest we mnie ktoś, kto cię kocha, ty stary, głupi wariacie. Kto kocha cię za wizje, za



pasję, za tego wiecznego chłopca, którym pozostałeś mimo upływu lat. Wiesz? Ukułam sobie własne przysłowie. „Na słońce można się porwać z motyką albo z Kadirem. Polecam to drugie, bo wypraktykowałam”.

Mężczyzna u jej boku rozmarzył się tak po prostu. Patrzył gdzieś przed siebie i sądząc po wyrazie twarzy, przez głowę przebiegały mu bardzo kojące myśli.

– A co, jeśli...?

Tym razem ona położyła mu dłoń na ustach.

– Nie ma jeśli, Kadir. Ja po prostu zrozumiałam, że nie zmienię całego świata i nie zrobię nikomu lepiej, bo jestem za głupia. Bo nie potrafię. Ale mogę zadbać o własne szczęście. Do tego jestem wystarczająco mądra. A skoro tak, to mogę pokazać innym, żeby również zaczęli o siebie dbać, a nie poddawali się bezmyślnie wszystkiemu, co ich doświadcza. Tylko tyle. Chcę powiedzieć reszcie ludzi: ocknijcie się sami, zamiast narzekać pusto!

Z uwagą patrzył jej w oczy.

– O Bogowie moi wszyscy razem wzięci i święci! „Niech każdy sam za siebie odpowiada”. Shen, ty po prostu chcesz zrobić republikę!

– No chcę! – warknęła zawadiacko.

Kadir potrząsał głową.

– Za długo słuchałaś tych bzdur, które wygaduje Sharri. Nie przyszło ci do głowy, że niedoszła kapłanka może dość słabo jednak znać życie? Że nienawiść do Bogów nie wystarczy, żeby budować? Że nie ma takiej siły na świecie, która pozwoli ci zachwiać imperium?

– Ale ja wcale nie chcę się rzucać na całe imperium. Zrozum. Kiedy już ci wielcy, możni tego świata, zaczną bez opamiętania okładać się po pyskach, to sprytny szaraczek może pozbierać okruchy złota, które wypadną im z sakiewek podczas szamotaniny.

– I ty myślisz...

– Pani! – przerwał im okrzyk nadbiegającej wartowniczkii. – Pani Shen!

– Tutaj!

Zdyszana dziewczyna podbiegła do nich. Usiłowała nawet stanąć na baczność, ale widząc uspokajający gest Kadira, rozluźniła się i podała im ciasno zwinięty papier.

– Wieści!

– Jakie?

– Są na papierze. Ja tylko przyniosłam.

Rusznikarz skrzywił się zabawnie.

– Widać, żeś podekscytowana jak młódka na pierwszej randce. Jakie plotki przysły z wieściami?

Dziewczyna odetchnęła głęboko.

– Były migające światła na morzu. Nanti kazała biec kurierom tutaj jak najszybciej.

– I co jeszcze?

– Bitwa była między tymi z Kong a potworami w Lesie! Podobno korpus pomszczony! Zabito tysiące potworów, a garnizon pali ich wsie!

Shen rozwinęła nareszcie raport i przebiegła oczami dwa teksty.

– No idź już, idź. Rozpuść plotki wśród koleżanek, bo się tu zsikasz z niecierpliwości.

– Tak jest!

Kadir patrzył za odbiegającą wartowniczką.

– No i co tam? – zapytał, kiedy dziewczyna oddaliła się poza zasięg głosu.

– Pierwszy raport od Nuk.

Uderzył dłońmi o własne kolana. Lubił Nuk, cenił jej inteligencję i spryt, lecz uważał, że dziewczyna jest zbyt narwana. No i znowu musiał przyznać rację Shen. Ta lepiej oceniła siostrę. W tak krótkim czasie przygadać kogoś z konwojów zaopatrzeniowych i przekonać go, żeby dostarczał raporty? To wymagało naprawdę dużego talentu.

– I co pisze?

– Imperialny pułk rzeczywiście na pierwszym postoju został zaatakowany przez potwory w sile prawdopodobnie kompanii.

– I co?

– Nie uwierzysz. Panika nie wybuchła, atak odparty praktycznie bez strat. Zupełnie jakby nie nasze wojsko walczyło.

– A błyski światła na morzu?

– To z okrętu podwodnego. – Shen zwinęła papier na powrót i włożyła do swojej torby. – Marynarka wojenna rp płynie w tym kierunku i będzie lądować w Banxi.

Kadir sposepniał natychmiast. „A kiedy dwóch mocarzy zacznie się bez opamiętania okładać po pyskach, wszystko, co żyje, może być zdeptane” – on miał inną wersję powiedzenia użytego wcześniej przez Shen.

- No tak – westchnął ciężko. – Wojska lądowe wyrąbują korytarz przez Las, marynarka zaraz wyląduje na brzegu niedaleko celu, a my...
- A my osiągnęliśmy naszą przestrzeń operacyjną – dokończyła za niego Shen.
- Co mówi ten podręcznik o naszej sytuacji?
- Osiągnąwszy przestrzeń operacyjną, należy rozwinąć siły.
- No właśnie, tak jak mówiłem. – Kadir smętnie potrząsnął głową. – Droga bez powrotu. Bez amunicji, bez zaopatrzenia, a stąd już się nie cofniemy.



Pułk zajął pozycje nad brzegiem. Forsowanie rzeki miało nastąpić jutro. Dziś było już za późno, nie dałoby się zakończyć operacji za dnia, a to wystawiałoby żołnierzy na niepotrzebny hazard. Natomiast na obozowisko teren nadawał się świetnie. Z jednej strony flankowany przez rzekę, z boku przez urwisko, dawał możliwość skoncentrowania obrony tylko na dwóch potencjalnych kierunkach. Punkt był też idealny na budowę stacji, która miałaby stanowić miejsce noclegu dla konwojów z zaopatrzeniem oraz ochronę samej przeprawy. Czasu było sporo. Żołnierzy zagoniono więc do budowy prowizorycznych umocnień.

Wyżsi oficerowie postanowili ten czas wykorzystać na wypoczynek (przecież z nadzorem prac ciesielskich dadzą sobie radę niskie szarże), więc tłumaczka Duon miała czas wolny. Podeszła do Nuk, która jako przewodnik też była bezrobotna, i zaproponowała:

- Pójdiesz ze mną nad rzekę?

Nuk podniosła się ociężale. Niby nie była zmęczona. W przeciwieństwie do saperów nie musiała niczego karczować po drodze. Ale miała wrażenie, że wleczenie się noga za nogą jest bardziej upierdliwe niż szybki marsz.

- Chcesz mi coś pokazać? – zapytała.
- Nie. Chcę o coś spytać.

Ruszyły w stronę rzeki. Żująca nieodłączną gumę Duon wyglądała jak zjawa z innego świata. Miała na sobie kamizelkę kuloodporną i stalowy hełm z rozpiętym paskiem, którego końcówki podrygiwały po obu stronach głowy przy każdym kroku. Ponieważ przez chmury przebijało od czasu do

czasu słońce, założyła przeciwsłoneczne okulary, ale nie czarne – barwa szkła wpadała raczej w granat. Nie miała na sobie spodni. Spod kożuska bez rękawów wystawała stylowa, pasująca kolorem do reszty sukienka. A nogi w ciepłych rajtuzach nikły w przepięknych butach podbitych futerkiem. Połączenie wytrawnego weterana z takim ciasteczkiem do schrupania po prostu.

– Powiedz mi, czy można zatruć wodę w rzece? – zapytała tłumaczka, kiedy znalazły się w ustronnym miejscu na brzegu. – Na przykład wrzucając o tam – wskazała ręką kierunek – martwe żmije do wody?

Nuk o mało nie parsknęła śmiechem.

– Na pewno nie.

– To w ogóle niemożliwe?

– Wiesz co? Gdzieś tam w myśliwskich opowieściach zdarzają się historie, że tropiciel napił się wody ze strumienia, a potem chorował przez kilka dni i o mało nie umarł. A powodem była zdechła żmija, która leżała w wodzie gdzieś wyżej. Ale po pierwsze tu chodzi tylko o opowieści myśliwych, a oni to, wiesz... potrafią opowiadać, jak to w zeszłym roku zabili słonia wielkości cesarskiego pałacu i ponoć mają na to świadków. A po drugie obecności ciała żmii nikt nie stwierdził. No i chodziło tylko o strumień.

– A rzeki się nie da?

Nuk wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, ile martwych żmij mogłoby podziałać. – Machnęła ręką. – Bzdury plotę. Nie wiem, czy żmije w ogóle zadziałają.

– To znaczy, że stacja będzie pod tym względem bezpieczna.

Teraz Nuk zaczęła się już śmiać.

– Wiesz, słyszałam, jeśli chodzi o zatruwanie, że pewien strateg w przeszłości kazał bombardować oblężone miasto poćwiartowanymi zwłokami. Tyle że zaraza wtedy panowała. No i od tych upiornych pocisków zaraziły się psy, które zaraziły ludzi. I rzeczywiście po pewnym czasie nie było już komu bronić miasta. Z tym tylko, że również nie było już kim atakować. Więc zwycięstwo nazwałabym raczej zwycięstwem moralnym.

Duon również zaczęła się śmiać.

– Strasznie wygadana jesteś, jak na zwykłego leśnego tropiciela.

Nuk mrugnęła porozumiewawczo.

– No dobra. Jesteśmy tu same, nikt nas nie podsłuchuje. Zapytaj, o co naprawdę chcesz zapytać.

Tłumaczka spojrzała na Nuk z uwagą.

– To nie jest tak, że wszyscy ignorują fakt, że tropiciel, człowiek głuszy, jest ewidentnie osobą wykształconą, elokwentną i znającą się na wojskowej robocie jak weteran wielu kampanii. Wiec nie pitoł mi, żeś leśny głupek. Wiem, kim jesteś.

Nuk stęzała.

– Niby kim?

Duon przerwała żucie gumy.

– Tak drogą eliminacji po prostu doszłam do tego, że jesteś agentem partyzantów Shen, droga moja. – Spojrzała triumfująco. – Co? Dreszcze masz? Spokojnie, nie jestem czarownicą.

– To akurat widzę.

– Po prostu widziałam, jak agitujesz dwie szeregowy z wracającego konwoju. Nie słyszałam twoich słów, ale widziałam ich miny. Na mur usłyszały brednie, że lud musi powstać, a one, biedne, muszą przyłożyć ręce do sprawy.

Widząc minę Nuk, tłumaczka zaczęła chichotać.

– Nie obawiaj się – powiedziała po chwili. – Nie wypłyną z tego żadne negatywne konsekwencje dla ciebie.

– Wierzyć ci?

– Jak chcesz. Na razie o tobie wiem tylko ja. Speckurwy są za głupie i zbyt zadufane, żeby cokolwiek zauważyć. A Polacy mają w dupie, czym ty jesteś agentem. Ich ukochanej rp i tak żadna siła stąd nie zagrozi. A ty przydać im się możesz.

Nuk poczuła zimny pot na plecach. Nie sądziła, że tak łatwo ją rozgryźć. No ale fakt. Jak się tak zastanowić na spokojnie, to przecież mogła wyczytać z twarzy Baranowskiego, że zauważył coś już podczas pierwszej rozmowy. I rzeczywiście miał w dupie, komu służy, a wziął ją z ciekawości. Kurwa jasna!

– O jakich speckurwach tutaj mówisz? – usiłowała być racjonalna.

– No co ty, głupia? A przez kogo jest aranżowana ta wyprawa?

– Przez speckurwy?

– A co? Przez Polaków? A po chuj im się po krzakach tutaj ganiać? – Duon dowiodła, że wyrażenia języka ogólnowojskowego nie są jej obce. –

Zwęszyli interes, bo ich wróg wykazuje zainteresowanie tym miejscem.

– Jesteś pewna?

– Nie jestem po prostu głupia. A kto nam dał kilkunastu czarowników do jednego pułku, żeby nas strzegli? Słyszałaś kiedykolwiek o czymś takim? Speckurwy i Rada Czarowników zawsze razem, rąsja w rąsję od tysiąca lat przeciw. Ale gównu mnie obchodzą ich sprawy. Mam swoją.

Nuk zrozumiała, że denuncjacja ze strony tłumaczki chwilowo jej nie grozi. Odetchnęła głęboko i nabrała pewności siebie.

– Słuchaj, skoro mamy rozmawiać, to może wypłuj to coś, bo jak cały czas ruszasz szczęką, to strasznie mnie to wkurwia!

– Jasne. – Duon odwróciła głowę i plunęła tak umiejętnie, że guma z jej ust poszybowała wielkim łukiem i wylądowała prawie na środku nurtu. Wyjęła za to zza opaski hełmu paczkę papierosów, jednego włożyła do ust i pstryknęła metalowym wieczkiem benzynowej zapalniczki. Po chwili zaciągnęła się śmierdzącym dymem łapczywie, aż do pępka.

– Nie przesadzasz? – wymknęło się Nuk.

Tłumaczka potrząsnęła głową tak, że zwisające luźno po obu stronach hełmu paski uderzyły ją w policzki, a przeciwsłoneczne okulary zsunęły się lekko na nosie.

– Po prostu ze swoim wyglądem muszę być bardziej polska niż prawdziwe Polki – wyznała.

Rzeczywiście. Dziewczyna niskiego wzrostu miała kruczoczarne, silnie kręcone włosy, czarne oczy i bardzo ciemną karnację. Dramatycznie różniła się urodą od nielicznych Polek, które można było zobaczyć w bazie. Tamte były wysokie, generalnie miały brązowe lub jasne włosy, jasne oczy i nieprawdopodobnie białą skórę.

– No dobra. – Nuk skrzywiła się, widząc, jak Duon wypuszcza dym przez dziurki w nosie. – Co chcesz mi powiedzieć?

– Widziałam, jak namawiasz te dziewczyny z konwoju. Domyślam się, o czym rozmawiałyście. I domyślam się też, jak trudny to dla ciebie sposób komunikacji. Jest niepewny, zawodny, nie można na nim polegać, a poza tym przekazanie czegokolwiek trwa w nieskończoność i angażuje za wielu pośredników.

– Masz rację – stwierdziła sucho Nuk.

– Mogę ci pomóc w szybszej komunikacji.

– W zamian za co?

– Ooo!... Masz właściwe podejście. Kupieckie!

– Mój ojciec był bogatym spekulantem.

Duon z radością uderzyła wierzchem dłoni w drugą dłoń.

– No to nie mogłam lepiej trafić. Bo mój ojciec jest bardzo bogatym kupcem i ja też przeszłam odpowiednią szkołę w domu. Dogadamy się.

Nuk zmrużyła oczy. Córka bogatego kupca? I ojciec wystawił jej życie na taki hazard jak tutaj? Albo łągała, albo w tym wszystkim chodziło o coś niezwykle ważnego.

– Dogadamy się w jakiej sprawie? – zapytała.

– To dłuższa opowieść. – Tłumaczka zaciągnęła się znowu, ale teraz dym wypuszczała już ustami. – Otóż kiedy przyплыnęli do nas Polacy, to chyba kupcy zorientowali się pierwsi, o co chodzi.

Nuk zaskoczona potrząsnęła głową.

– A o co chodzi?

– No o pieniądze, ale teraz to już nie o garstkę brązowych, tylko o góry złotych. Gildia przemyślała wszystko, przeanalizowała każdy fakt i zrozumiała kilka podstawowych rzeczy.

– Mówisz o tej słynnej gildii kupców, co to nie za bardzo wiadomo, czy naprawdę istnieje, czy jest tylko wymysłem malkontentów i nieudaczników, którzy do zgrai najbogatszych kołesiów się nie załapali?

– Dokładnie o tej. I nie lekceważ jej siły.

– Nie lekceważę. Z powodu paru dupereli w ustawie o cłach na handel korzeniami o mało nie rozpierdoliliście całego Negger Bank!

Duon zaczęła się śmiać.

– Nie przesadzaj. – Odkaslnęła lekko, kiedy zachłysnęła się dymem. – Gdybyśmy chcieli, tobyśmy rozpierdolili.

– Ojoj.

– A ta twoja Shen to nie wyrosła przypadkiem przy okazji naszych zamieszek choćby? Spróbujmy bez uprzedzeń nazwać pewne sprawy po imieniu. Wiesz, jechałam tu z Polakami i przez całą drogę oglądałam na każdym rozstaju jej portret wraz z ceną za usługę dostarczenia towaru. Czyż nie tak powinna wyglądać wzorowa reklama naszej skuteczności?

Nuk odpowiedziała uśmiechem. Duon swoją bezpośredniością budziła sympatię. Ponieważ jednak sympatia rzadko bierze się sama z siebie, Nuk zrozumiała też, że należy być bardzo ostrożnym przy kimś obdarzonym tak wielkim darem zjednywania sobie ludzi.

– No dobra. No to zacznij bez uprzedzeń nazywać sprawy po imieniu.  
– Kiedy przybyli Polacy, kupcy od razu zobaczyli w tym znak od Bogów! Oto istoty wyższe zsyłają w nasze ręce zupełnie niewyobrażalne góry złota. To znak.

– Ale bez egzaltacji, proszę.

– Mówiąc krótko, kupcy zrozumieli, że zbliża się koniec świata.

Nuk skinęła głową.

– To akurat jestem w stanie zrozumieć. Następuje koniec świata, ale interesy muszą iść dalej.

– Ano właśnie. Błyskawicznie stały się jasne dwie rzeczy. Po pierwsze obecność rp tutaj to niewyczerpane dochody. Po drugie opłaca się tylko ograniczona ich obecność. Jeśli zacznie się normalny handel, powszechny dostęp, jeśli będą to mogli robić wszyscy, gildia nie osiągnie niebotycznych zysków.

– Rozumiem. – Nuk naprawdę była pojętna i wiele się dowiedziała od ojca w dzieciństwie o mechanizmach spekulacji. – Dopóki Polaków jest mało, to my ich hołubimy, chronimy, dostarczamy wszystko pod nos. Jak spowszednieją, to gildia rozpuści się w morzu małych interesików dla wszystkich.

Duon ukłoniła jej się z powagą.

– To wielka przyjemność rozmawiać z kimś, kto rozumie mentalność kupca i komu niczego nie trzeba powtarzać dwa razy.

– Olej przyjemność i przejdź do rzeczy. Zaraz tu ktoś podejdzie i skończy się możliwość rozmowy.

– Fakt. No to skracając. Bardzo nas, kupców, cieszą polskie interesy na ciepłym wybrzeżu, a także Złe Ziemie, olej skalny i dwie drogi, z czego jedna z żelaza. A budujcie sobie z naszą pomocą i błogosławieństwem. Bogaćcie się, jako i my się bogacimy. Tu jednak, w lesie Banxi, polskie interesy zdają się zgodne z interesami speckurew. A to już bardzo źle, bo chodzi o sprawy ostateczne.

– O koniec świata? – podpowiedziała Nuk.

– Właśnie.

– Mówisz poważnie?

– Tak. Ja wiem dzięki znajomościom z ludźmi z Organizacji Randa nawet o tym, co się stało w Syrinx. Jak mistrz Zakonu najpierw strzelał do



Polaków, a kiedy taki jeden komandor wziął go na muszkę, powiedział: „To ja jestem twoim prawdziwym sojusznikiem”. Znamienne, prawda?

– I o co tu chodzi?

– O to, że speckurwom ludzie zza gór w ogóle nie przeszkadzają. One chcą walczyć z mitycznymi Ziemcami i, jak chcą legendy, mogą to właśnie robić ramię w ramię z Cichymi Braćmi. Ale nam, kupcom, nie zależy na powodzeniu ich misji. Wszystko się uspokoi i znormalizuje, nastąpią zwykłe stosunki i bagienko normalności. A dla interesów najlepszy jest stan zagrożenia.

– Fakt. I doskonale cię rozumiem. Dla gildii fajnie jest, jak wojna trwa. Gdy się zakończy, to będzie do dupy.

Duon z rozbrajającą szczerością przytaknęła.

– Góry złota rozplyną się dla wszystkich. Czyli tak naprawdę nikt nie odniesie korzyści.

To, co mówi Duon, brzmi przekonująco, przyznała Nuk w myślach. Na pewno nie powiedziała wszystkiego. Ale cóż to byłaby za gra bez jakichś niewiadomych. Sama też nie wspomniała nawet o wyprawie marynarki osłanianej przez olbrzymi krążownik. Każdy swoje najważniejsze karty zachował dla siebie.

– No to fajnie – odezwała się na głos. – Powiedz jeszcze, jaka jest twoja rola w tej sprawie?

Tłumaczka rozłożyła ręce.

– Pochodzę z naprawdę bardzo bogatej rodziny kupieckiej. Rodzice nie żałowali na wykształcenie.

– Widać, słyszać i czuć – skomentowała krótko Nuk.

– Okazało się, że mam wiele talentów. Więc kiedy przybiły do nas żelazne okręty, to razem z grupą wyselekcjonowanych dzieci z innych rodzin od razu zostałam skierowana do obcych na naukę. Wyszło, że mam zdolności do języków. Nauczyłam się nie tylko doskonale mówić po polsku, znam też francuski i łacinę. A w miarę dogadam się też po angielsku, niemiecku i rosyjsku. Tyle zdołali mnie nauczyć ludzie w bazie.

– Niech zgadnę. Nauczyłaś się czegoś jeszcze?

Duon uśmiechnęła się radośnie.

– Mój talent nie dotyczy wyłącznie języków ludzkich. Potrafię obsłużyć maszynę, która rozmawia kropkami i kreskami, umiem też „porozmawiać” z krokomierzem. A to są dopiero skomplikowane urządzenia.

Nuk zrozumiała to po swojemu.

– No to już teraz rozumiem twoją propozycję. Potrafisz obsłużyć radiostację.

– Tak. A aparaty na tych wozach działają bezgłośnie, kiedy podłączysz słuchawki. W nocy mogę nadawać i słuchać, kogo będę chciała.

– Shen nie ma radiostacji.

– Mają ją ci od „świateł na morzu”. Chyba że się mylę i to tylko legendy.

– Nie mylisz się.

Nuk cały czas analizowała to, co powiedziała Duon. Niby wszystko grało. Jednak czy na pewno ojciec wysłałby córkę na tak ryzykowną wyprawę tylko dla interesów? A może przesadza? Przecież Shen też wysłała ją, własną siostrę, na ryzykowną misję. A propozycja przekazywania wiadomości natychmiast do partyzantów była bardzo kusząca. Ceną był fakt, że inni będą znać treść tych wiadomości. Chociaż to nie musi być złe.

– Co chcesz osiągnąć? – zapytała jeszcze.

– Chyba nie do końca chcę, żeby ta wyprawa zakończyła się sukcesem. Jeśli to ma być wbrew speckurwom, wtedy ci pomogę.

– A skąd będziesz wiedziała, przeciwko komu toczy się gra?

– Dowiem się z treści przekazywanych raportów.

No tak, to miało sens. Dziewczyny długo mierzyły się wzrokiem.

– Dobrze – powiedziała wreszcie Nuk, wyciągając rękę. – Umowa zawarta.

Duon przybiła jak chłop na targu kończący negocjacje w sprawie kupna konia. Dobrze, że w dłoń nie popluła.

Obie uśmiechnęły się do siebie.



## Rozdział 11



**M**am wrażenie, że ta historia kończy się w miejscu, w którym się zaczęła – powiedział Tomaszewski, obserwując z pokładu krążownika ogromne białe słupy unoszące się nad siną powierzchnią wzburzonego morza. Zdawały się sięgać nieba, ponieważ ich wierzchołki łączyły się z podstawą białawych obłoków.

– Co to za chmury dokładnie? – Kai szczerzej otuliła się połami futrzanej kurtki. Wiało okrutnie.

– Tak dokładnie to nie wiemy. Ale masz rację, to rodzaj chmur.

– A czemu nigdzie indziej takich nie ma?

Tomaszewski wzruszył ramionami.

– Widziałem zdjęcia nisko leżących rolek stratusa na powierzchni morza. Pokazywali nam to w Akademii Marynarki Wojennej jako rzadko spotykane dziwadło. Ale czegoś takiego jak tutaj... – zawiesił głos, nie wiedząc, jak określić słowami to, co widzi. – Tyle wiemy, że to skupiska kondensatów substancji w postaci pary. A skoro mają postać gigantycznych słupów, to można by je określić jako niezwykle cumulonimbusy. Ale nie. W środku zaobserwowano ruch wirowy jak w trąbie powietrznej. Tylko że wieje tam niezwykle słabo, można spokojnie przepłynąć przez środek tego zjawiska i nic się nie dzieje. A nawet powierzchnia morza jest w tym miejscu spokojna.

Oboje obserwowali niezwykle zjawisko. Ogromne białe słupy z leniwie obracających się chmur. Niektóre słupy były idealnie pionowe i

nieruchome, inne, pochylone w którąś ze stron, przesuwały się powoli, każdy w innym kierunku. Od powierzchni morza do podstawy chmur przypominały upiorną ruchomą kolumnadę podpierającą niespokojne niebo.

– A co masz na myśli, mówiąc, że tu zaczęła się historia?

– Tu mniej więcej pierwszy raz zobaczyliśmy to zjawisko. Z pokładu „Dragona”, kiedy przypłynęliśmy zobaczyć, co się stało z załogą „Gradienta”.

– To tak. Ale to był początek czego?

– Historii z Banxi i Lasem, który znajduje się na tym płaskowyżu.

– E, pierwszy raz o Banxi dowiedzieliśmy się już w Syrinx.

Tomaszewski uśmiechnął się tylko i objął czarownicę ramieniem. Było coraz zimniej, a rosnąca fala sprawiała wiele kłopotów Tatarom, usiłującym wypakować sprzęt i ludzi do łodzi desantowych ze statku, który podpłynął najbliżej brzegu.

– Oj, tam chyba nie jest wesoło – mruknęła Kai.

– Chyba nie – potwierdził.

Piechota morska, która lądowała rano i zajęła na brzegu przyczółek, nie miała takich trudności. Pogoda była wtedy lepsza, a poza tym żołnierze posiadali odpowiedni trening – wielokrotnie ćwiczyli każdy element operacji lądowania na obcym brzegu. A Tatarzy może kiedyś mieli takie szkolenie. Może raz, dawno, na jakimś poligonie, w innych warunkach... Nie dość tego, oni musieli jeszcze zapakować do łodzi desantowych konie. Szlag!

– A kiedy my ruszymy na brzeg? – zapytała Kai.

– Jako ostatni. Ale jeśli to wszystko będzie się tak niemożebnie ciągnąć, to być może ruszymy dopiero jutro.

– O...

– Co? Zdziwiona?

– Nie. Chętnie bym się jeszcze przespała ostatni raz w normalnym łóżku, a nie w śpiworze na śniegu.

– Nie w łóżku, tylko na koi – poprawił ją odruchowo. – Co? Kłopoty ze snem?

– Ja nie miałam – odburknęła. – Ale jakim cudem ty zasnęłaś?

– Poprosiłem Siweckiego o brom.

– Ach! – Czarownica rozpromieniła się momentalnie. – To dlatego tak cię głowa napieprza, jesteś ospały, wściekły i nie w humorze?

Najpierw się zachnął, a potem spojrzął na Kai, poważniejąc.

– To aż tak widać?

– Moim oczom nie umknęło.

Tomaszewski ponuro spojrzął na statek transportowy, do którego przybiły metalowe łodzie. No ładnie. Jeśli oni tam, na pokładzie, mieli podobne objawy co on, to teraz, niewyspani, rozdrażnieni, popełniali błąd przy błędzie podczas wyładunku. Co się dziwić, że to trwa i trwa, a końca nie widać. Ciekawe, kiedy wszyscy zaczną strzelać do siebie nawzajem jak załoga „Gradienta”?

– A ta mikstura Siweckiego? Nie działa?

– Na mnie nie – odparł. – Przynajmniej nie zadziałała wczoraj. No to dzisiejszej nocy wziąłem brom. Nie mogę się ślaniać na nogach i jednocześnie dowodzić ludźmi.

– Bogowie! – szepnęła Kai. – Żebyśmy tylko nie skończyli jak ci ze statku badawczego.

– Oni nie mieli ze sobą czarownicy.

– Oj, nie przesadzaj. Nigdy dotąd nie czułam czegoś takiego, co czuję tutaj. Nie sądzę, żebym ci się za bardzo przydała. – Kai klasnęła kilka razy w ręce, chcąc rozgrzać dłonie. – Ale mam dla ciebie pewną dziwną propozycję...

Przerwało im nadejście Mielczarka. Akurat zawiąło mu zza pleców i tak oto poznali sposób, w jaki bosman poradził sobie z brakiem snu. Zamiast bromu przyjął dawkę wódki, i to sporą, sądząc po stężeniu zapachu. Oba sposoby były jednak fatalne, jeśli chodzi o syndrom dnia następnego.

– Panie komandorze, melduje się...

Tomaszewski gestem powstrzymał meldunek.

– Wszystko gotowe? – zapytał. – Chodzi mi przede wszystkim o sprzęt inżynierów.

– Tak jest. Urządzenia popakowane w skrzynie czekają na pokładzie. Ale przechodziłem obok kabiny radia i nie wygląda na to, żeby łodzie desantowe przypłynęły po nas w najbliższym czasie.

– No, no? Jak tam ploteczki?

– Z wyładunkiem ze statku fatalnie. Tatarzy ledwie sobie radzą.

– A konkretnie?

– Dwa konie już utonęły, panie komandorze. Dwa następne zwiadowcy sami zastrzelili, kiedy te połamały sobie nogi.

– Świetnie po prostu... Ile mamy koni w zapasie?  
– Nie mamy, panie komandorze. Każdy padły zmniejsza nasze możliwości transportu.

Kai zainteresowała się tą wymianą zdań.

– A dlaczego nie zabraliśmy więcej koni? – zapytała.

– Nie było skąd ich wziąć, pani kapitan. – Bosman wyprężył się słuźbiście. – Oni tu perszeronów nie mają.

– A jakichś innych nie mogliśmy zabrać?

Mielczarek rozłożył ręce.

– Ja z marynarki wojennej, a nie od ułanów, pani kapitan. Ja się na koniach nie znam, to nie wiem, co odpowiedzieć.

– No dobrze – wtrącił się Tomaszewski. – A jak reszta ekipy? Nie chorują?

Miał na myśli niespodziewaną i fatalną w skutkach epidemię grypy, która wybuchła na krążowniku. Choroba rozwinęła się nagle i zbierała obfite żniwo na każdej wachcie.

– Widziałem porucznika Siweckiego, jak się pakował. Nic mu nie jest.

– On szczepiony. A reszta?

– Widziałem jeszcze inżyniera Załuskiego. Też nie wyglądał na chorego. A i ja sam zdrow, panie komandorze. Nic mi nie jest.

Mielczarek poprawił na sobie ciężące mu wyposażenie. Kiedy dotknął ładownic, w głowie Tomaszewskiego pojawiło się pytanie: Ciekawe, czy wszystkie pociski do peemu pociął piłką na krzyż?

– A jak tam samopoczucie Siweckiego? – spytał jednak na głos.

– Oj, kiepskie, panie komandorze. Sprawiał wrażenie, że ledwie widzi na oczy. Podczas krótkiej rozmowy, chodząc po własnej kabinie, potknął się ze dwa razy.

– No ładnie. Lekarz, który nie może sobie poradzić z własną bezsennością.

– To nie jest tylko bezsenność – zaproponowała Kai. – To jeszcze przygnębienie, poczucie beznadziei, porażająca melancholia.

– Którą my zwiemy depresją – dokończył za nią Tomaszewski.

Fatalnie wróżyło to misji, i to na samym początku. W najtrudniejszym momencie, kiedy trzeba było zejść do łodzi na wzburzonym morzu, umieścić tam precyzyjne urządzenia tak, żeby nic im się nie stało. Cholerny świat. Podczas poprzedniej bytności w tych okolicach niewiele odczuwali,

ukryci w głębinach na pokładzie okrętu podwodnego. Teraz jednak każdy zaczynał odczuwać choć cząstkę tego, czego doświadczyła załoga „Gradienta” i co doprowadziło do ich tragedii. Tomaszewski miał tylko nadzieję, że to samo nie spotka załogi orp „Poznań”, który miał stanowić dla nich wsparcie. Liczył jednak na to, że na pokładzie nie ma cywilów, tylko marynarze floty wojennej wdrożeni do dyscypliny i ścisłego wykonywania rozkazów. A poza tym regulamin i konkretne procedury nie pozwalały na jakiegokolwiek deliberacje. Pytanie tylko, czy regulamin to odpowiednia broń, by dać odpór szaleństwu?

Odwrócił się do czarownicy.

– Coś mówiłaś, kiedy przerwało ci przybycie bosmana? Że masz dla mnie dziwną propozycję.

Kai skinęła głową. Potem spojrzała mu prosto w oczy.

– Każ przeszukać okręt.

Przez chwilę myślał, że się przesłyszał.

– Przepraszam... Co?

– Każ przeszukać okręt – powtórzyła.

No niestety. Był to z jej strony akt desperacji. Wtedy na pustyni w szkole Danoine czuła drgnienie wszechświata tuż przed pojawieniem się ciała Wyklętego. Czuła też wstrząs na okręcie podwodnym. Tutaj była przytłoczona złowieszczą aurą nieznanymi sił, które ogarniały porażającym bezwładem. Jako czarownica ledwie radziła sobie z bezsennością, ze złym wpływem uporczywych, przygnębiających myśli. Przytłoczona nie umiała czuć tak jak wcześniej. Nie wiedziała, czy Wyklęty pojawił się znowu, co usiłowała sprawić, wywołując epidemię grypy, a co było im tak bardzo potrzebne, jeśli misja miała mieć szansę na powodzenie.

– Każ przeszukać okręt – powiedziała po raz trzeci.

– Ale po co?

– Być może na pokładzie jest ktoś obcy.

– Dziewczyno, jesteśmy na pełnym morzu. W jaki sposób...?

– A dlaczego ludzie z „Gradienta” rzucali granaty pod własną łódź? – weszła mu w słowo. – A dlaczego strzelali do własnej sterówki?

– Ale...

– A pamiętasz czarownika Mereditha na „Dragonie”?

Tomaszewski zachłusnął się własnym oddechem. Długo potrząsał głową.



– Nie jestem dowódcą krążownika. Muszę pójść do niego i poprosić. Muszę przedstawić jakieś argumenty. I co mu powiem? Że mojej dziewczynie coś się przywidziało?

„Mojej dziewczynie”. To zabrzmiało cudownie. I nie umknęło Kai. Nie umknęło. Usiłowała zachować kamienny wyraz twarzy.

– Powiedz mu, że obawiasz się powtórzenia historii z „Gradienta”. Powołaj się na wagę tej misji. Wymyśl coś albo postrasż go wujkiem. Wszystko jedno, co zrobisz, ale zrób to teraz!

Z Tomaszewskiego uszło powietrze. I po co z nią dyskutować. Znał upór dziewczyny. Znał też jej możliwości jako czarownicy. Jeśli coś czuła, to nie należało tego lekceważyć.

– No dobra, zaczekaj na mnie w mesie oficerskiej.

Ułożył dłonie tak, jakby trzymał w nich niewidzialny pistolet maszynowy.

– Jak się odbezpiecza i przeładowuje wujka? – Ręką zrobił gest, jakby odciągał suwadło zamka i zwalniał bezpiecznik broni. – No. Mam nadzieję, że wystrzeli.

Kiedy odszedł w kierunku mostka, Kai odesłała Mielczarka, żeby mógł jeszcze odpocząć. Zdaje się, że kac męczył go równie mocno jak przedziwna aura.

Sama poszła w kierunku kwater dla cywili. Nie pamiętała dokładnie, ale w sukurs przyszedł jej regulamin kładący opisać szczegółowo wszystkie drzwi kajut zajmowanych przez osoby spoza załogi okrętu. Dość szybko znalazła sypialnię Wyszyńskiej. Zapukała lekko.

– Czego? – zza przepierzenia rozległ się umęczony głos kobiety.

– Uuu... Nieźle.

Dziwne.

Wyszyńska przecież nie była człowiekiem. Żadne czary, żadne złowieszcze aury nie powinny na nią działać. Nie potrzebowała też ani bromu, ani alkoholu. Co więc się stało?

– To ja, Kai. Mogę wejść?

– Chodź.

Czarownica energicznie otworzyła drzwi. Jeden rzut oka na koję i stan kobiety, która ją zajmowała, powiedział jej wszystko.

– O Bogowie! Grypa. – Tego nie przewidziała.

No jasny szlag. Wyszyńskiej czary się nie imały, ale rozłożyła ją grypa. I to do imentu.

– Słuchaj... – wyszeptała chora spod kołdry. – Możesz mi zrobić coś ciepłego do picia?

– Jasne.

– Nie. Zimnego. Przepraszam. Albo nie. Ciepłego jednak.

– Może przyśle tu Leszka?

– Żeby mnie utopił w aspirynie? Mam swoje tabletki.

Wyszyńska otarła spoconą twarz rogiem prześcieradła. Widać, że telepała nią wysoka gorączka. Ledwie ogniskowała wzrok.

– No to chyba nici z wyprawy? – Kai spojrzała na nią taksująco.

– Niedoczekanie wasze. Muszę jechać i zaraz poczuję się lepiej.

– Nie sądzę.

Kai zajęła się robieniem herbaty na małym elektrycznym czajniczku. Cudowne urządzenie. Woda zamieniła się we wrzątek, zanim dziewczyna zdążyła przygotować szklankę i papierową torebkę z liśćmi.

– Najlepiej jednak wezwać Siweckiego – powiedziała, zalewając herbatę. – Cukru?

– On nie ma nowoczesnych środków przeciwwirusowych. Jeśli mi coś włoi poza aspiryną, to dostanę omamów albo reakcji lękowych. Nie... Daj mi jakiś inhibitor neuraminidazy.

– Co?

– Nie pamiętam nazwy leku. Przeczytaj skład substancji czynnych na każdym pudełku.

Wyszyńska wskazała Kai szafkę, gdzie trzymała swoją prywatną apteczkę. Podziękowała za cukier, mówiąc, że w ogóle nie używa tego syfu, jak się elegancko wyraziła.

– I co dalej? – zapytała równie elegancko Kai.

– Ani mi się waż im mówić, w jakim jestem stanie.

– Sami nie zauważą? – Czarownica roześmiała się nagle, widząc pełnię bezradności u konkurentki.

– Przez parę godzin i tak nie ruszymy. A potem mi przejdzie. Przejdzie.

Kai ustawiła herbatę i pudełeczko z lekami, które znalazła na podręcznym stoliku. Sama przysiadła na brzegu koi i wytarła twarz chorej mokrą szmatką. Nawet zrobiło jej się żal Wyszyńskiej. A właściwie to trudno nazwać uczucia, które ją ogarnęły. Było tam i współczucie dla

cierpiącej kobiety, i perfidna radość z widoku bezbronnej, upokorzonej konkurentki znajdującej się całkowicie w jej mocy. O szlag... Ile się w człowieku naraz zmieści. Jednocześnie miała ochotę przytulić Wyszyńską i pogłaskać albo, zamiennie, pieprznąć ją w nos pięścią z całej siły. I wszystko to naraz.

– Może coś przyniosę – zaproponowała.

– Nie.

– To zawołam stewarda. Każę mu przynieść trochę bulionu z kuchni.

– Tylko nic nie wspominaj Tomaszewskiemu.

– Nie powiem.

Kai z dzikim uśmiechem radości wyszła na korytarz. Tam o mało nie stratował jej biegnący od strony mesy Mielczarek.

– Gdzie pani była, pani kapitan?! – zawołał. – Pan komandor kazał panią sprowadzić na pokład amunicyjny!

– Znaleźli kogoś? – Ruszyła za nim szybkim krokiem.

– Od razu, jak zaczęli szukać, znaleźli jednego. Tyle że martwy.

– No to prowadź!

Zaczęli bieć, by zwolnić dopiero przy schodni prowadzącej na amunicyjny. Stopnie były zbyt wąskie na dwie osoby, przystosowane do zjeżdżania na poręczach. Mielczarek skoczył pierwszy i momentalnie znalazł się na dole. Kai zawahała się. Nie mogła się zdecydować na skok i jazdę po poręczach, a te schody, przeznaczone do błyskawicznego dostarczenia pełnych usług amunicyjnych podajników, zupełnie nie nadawały się do schodzenia. Można było po nich wejść powoli, ale nigdy schodzić.

– Tyłem, pani kapitan! – krzyknął z dołu Mielczarek. – Niech pani spróbuje tyłem!

Kai odwróciła się posłusznie, o mało nie spadając. Teraz jednak mogła, choć z trudem, odnaleźć stopami kolejne ze skośnych stopni. Kiedy znalazła się na wysokości półtora metra, zniecierpliwiony bosman po prostu zdjął ją własnoręcznie i postawił na ziemi.

– Tędy. – Wskazał jej kierunek, ruszając biegiem.

Grupę marynarzy skupionych wokół Tomaszewskiego było już widać, jak stali pochyleni nad pasem amunicyjnym. Kai, dobiegając, zdążyła się jednak zdyszeć.

– Znaleźliście?

Tomaszewski odsunął dwóch roślących marynarzy zasłaniających widok. Trzeci z nich reanimował właśnie mężczyznę w podartym płaszczu, który leżał na podłodze. Oddech i seria ucisków serca skrzyżowanymi dłońmi. I jeszcze raz. Kai nachyliła się lekko. Tak! To był Meredith.

– Ten sam człowiek, co na „Dragonie”. – Tomaszewski potrząsał głową.  
– To jest ten sam człowiek.

– Bo o niego chodziło. – Czarownica nachyliła się jeszcze raz, usiłując dać znak marynarzowi, który prowadził akcję reanimacyjną. Nie reagował, więc zwróciła się do komandora: – Niech on się odsunie.

– To nie okręt podwodny – mruknął Tomaszewski. – Wezwałem oczywiście sanitariuszy, ale tutaj to oni mają do przebiegnięcia ogromny dystans, zanim przybędą ze sprzętem.

– Dam sobie radę sama.

– Kai!

– Odsuń go, proszę! Zaufaj mi, tak jak zaufałeś w przypadku przeszukania okrętu.

Tomaszewski westchnął ciężko. Człowieka w stanie śmierci klinicznej łatwo zamienić w roślinę. Mózg potrzebuje tlenu i bez masażu serca szybko nadchodzi moment, kiedy nawet defibrylator nie pomoże. Przez chwilę zastanawiał się, czy ufa czarownicy aż tak i czy może popełnić tak kardynalne odstępstwo od procedury. Potem chwycił zdyszanego marynarza za ramię i odsunął na bok.

Kai postąpiła o krok. Ledwie zerknęła na twarz czarownika leżącego przed nią. Szybko zakryła ją dłonią. Drugą dotknęła własnych ust i wypowiedziała słowo. Chciało umknąć jak zwykle, wymykało się spomiędzy palców, szarpało, wyrywało, a ona opanowywała je powoli. Powoli, ale z łatwością. Czar skonstruowany był w taki sposób, żeby mógł go użyć byle kto, nawet wiejski znachor. Powołanie do życia Wyklętego, jeśli całe zamierzenie miało mieć sens, musiało być bardzo łatwe. I było.

Meredith otworzył oczy i wciągnął z sykiem powietrze do płuc. Marynarze zrobili krok w tył. Kai uśmiechnęła się radośnie.

– Jak się czujesz, mistrzu?

Tamten przez krótką chwilę wodził wokół nieprzytomnym wzrokiem. Potem zdołał go zogniskować na twarzy młodej czarownicy.

– Ach, to ty, Muszko? – Uśmiechnął się ledwie zauważalnie. – To ty mnie ściągnęłaś?

– Tak, mistrzu. – Skinęła głową. – Jak się czujesz? – powtórzyła.

Meredith skrzywił się wyraźnie.

– Cóż, był czas przywyknąć do tego niezbyt przyjemnego stanu – wystękał. – Zaraz mi przejdzie. Tylko... – Z trudem przełknął ślinę. – Tylko tym razem mam jeszcze wrażenie, jakby mnie ktoś kopał z całej siły prosto w mostek.

Kai zerknęła z wyrzutem na marynarza, który prowadził reanimację. Ale nic nie powiedziała.

– Sanitariusze! – krzyknął ktoś z tyłu. – Sanitariusze biegną!

– Chyba już niepotrzebnie – mruknął Tomaszewski.

– Niech mu opatrzą mały palec u lewej ręki. Jest świeżo ucięty.

Spojrzał na Kai ze zdziwieniem.

– Jak to świeżo? Miał taką ranę już na pokładzie orp „Dragon”. I została opatrzona.

Wzruszyła ramionami.

– Ta rana powstała prawie tysiąc lat temu. Ale naprawdę nie podejmuję się w tej chwili wytłumaczyć ci, jak działa zaklęcie kroczące.

Tomaszewski przeniósł wzrok na sanitariuszy.

– Przenieście rannego do lazaretu. – Zawiesił głos na chwilę, a po namyśle dodał: – Lekarz nie musi przeprowadzać kompletu badań. Dajcie coś na wzmocnienie i opatrzenie ranę.

– Ależ, panie komandorze...?

– To był rozkaz! – wydarł się na nich Mielczarek.

– Przyjąłem!

Obaj wyprężyli się w postawie na baczność, Tomaszewski nie zwracał już na nich uwagi. Wziął Kai pod rękę i odprowadził poza zasięg słuchu marynarzy.

– To ty go sprowadziłaś? – spytał tonem będącym mieszaniną złości i wielkiego zainteresowania.

Czarownica miała ochotę wybuchnąć śmiechem.

– Tak, ja – odparła jednak spokojnie. – I co? Czy nareszcie masz prawdziwy, namacalny dowód na istnienie czarów?

Nie odpowiedział. Domyślił się czegoś jeszcze.

– Ta grypa to ty?

Bezradnie rozłożyła ręce.

– Dobra, nieistotne. – Potrafił być pragmatyczny. – Po co ci ten starzec?

– To jeden z największych czarowników w historii. Wojska lądowe mają kilkunastu współczesnych mistrzów, zakonne wota w skrzyniach i wszystko, co potrzeba, żeby chronić swój pułk przed wpływem tych strasznych czarów. My za to będziemy mieli tylko jednego samotnego czarownika. Ale nie byle kogo. To sam Meredith. Wyklęty!

Tomaszewski nie mógł zrozumieć.

– Posłuchaj, co ty chcesz z nim zrobić? Przecież dopiero co wyrwano go ze śmierci klinicznej! Chcesz targać nieporadnego staruszka po najgorszych wertepach, jakie można sobie wyobrazić. To ekstremalnie trudny teren nawet dla komandosów. A on kofnie pierwszego dnia.

– Nie znasz Mereditha – powiedziała spokojnie. – Nie znasz jego możliwości.

– No ale chyba nie uważasz, że zaraz, za godzinę czy dwie zapakuję obłożnie chorego starca do łodzi desantowej, a później każę go nieść?

Uśmiechnęła się słodko i rozbajająco.

– Ty nie masz jednego problemu z tym desantem – powiedziała pogodnie. – Ty masz dwa problemy.

– Co? – dał się zaskoczyć.

– Wyszyńska też jest obłożnie chora. Takiej grypy jak u niej dawno nie widziałam.

– O kur!... – Tomaszewski zacisnął szczęki. Przymknął oczy i usiłował odetchnąć głęboko.

– Zostawimy ją? – spytała z nadzieją w głosie.

– Jasny szlag!

Kai odchrząknęła.

– Zostawimy ją na krążowniku? – ponownie nieśmiało poddała myśl.

– No i wszystko będzie na nic! – Szarpnął się, jakby chciał przyłożyć pięścią w ścianę. W ostatniej chwili powstrzymał się przed rozwaleniem sobie dłoni. – Tylko ona wie, co takiego jest w świątyni.

– Ja z Meredithem u boku pewnie też bym się dowiedziała na miejscu.

– Pewnie albo nie pewnie – powiedział z powątpiewaniem. – A to jest operacja wojskowa.

Splótł palce dłoni i rozprostował je tak, że było słychać trzask stawów. Nie należał jednak do ludzi, którzy wahają się przed podjęciem natychmiastowej decyzji.

– Bosman, do mnie! – krzyknął po chwili.

Mielczarek podbiegł błyskawicznie.

– Na rozkaz! – wrzasnął, widząc po twarzy dowódcy, że sytuacja staje się dramatyczna.

– Biegnij do radia i każ w moim imieniu, żeby Tatarzy przestali się spieszyć z wyładunkiem. Mają czas aż do zapadnięcia zmroku.

– Prawie cały dzień?

– Tak. Nie chcę, żebyśmy stracili choćby jednego konia więcej.

– Tak jest!

– Przekaż przez radio, że piechota morska ma umocnić przyczółek brzegowy. Cała grupa będzie tam nocować.

– Tak jest! Ale... – Mielczarek tak dobrze znał Tomaszewskiego, że mógł sobie pozwolić na wyrażenie własnego zdania. – W ten sposób mamy cały dzień w plecy!

Obaj wyobrazili sobie, jakie postępy w tym czasie zrobią wojska lądowe. Operacja wojskowa właśnie zamieniała się w wyścig. I to wyścig naprawdę szybkich samochodów na ostatniej prostej.

– Trudno. Niech umocnią przyczółek i przyjmą Tatarów. My lądujemy jutro.

– Przyjąłem!

– Czekaj. – Tomaszewski powstrzymał bosmana, który już ruszał, żeby wykonać rozkazy. – Sprowadź do kabiny Wyszyńskiej porucznika Siweckiego z całą chemią, jaką ma.

– Tak jest!

Kai położyła Tomaszewskiemu rękę na ramieniu.

– Myślę, że Wyszyńskiej ja bym pomogła lepiej niż Leszek – powiedziała.

Był brutalnie szczery.

– Myślę, że twojej kuracji Cholernica mogłaby nie przeżyć.



Rozkaz postoju wydano na długo przed zmierzchem, tak by saperzy zdążyli umocnić biwak przed nastaniem nocy. Potem czekał ich błogi wypoczynek, bo aktywne warty miały być trzymane przez zwykłych żołnierzy. Teraz więc saperzy nie żałowali wysiłku, ścinając okoliczne drzewa. Drewna i

faszyny używano oczywiście do budowy prowizorycznych kryjówek i umocnień. Ale lepszy efekt powstrzymujący dawał osypany z gałęzi śnieg. To był doskonały przykład wykorzystania panujących wokół warunków dla własnych potrzeb. Jak w każdym gęstym lesie bardzo mało śniegu docierało na ziemię. Większość osiadała na gałęziach. Po ścięciu drzew w pasie tworzącym wolne przedpole obozu ta warstwa opadała więc gwałtownie, tworząc śnieżną barierę, w której napastnik grzął po pas. Ot, zagwozdka. Co miał zatem zrobić, znajdując się bez osłony w terenie, po którym biec nie sposób? Sam widok ochronnego pasa zdecydowanie podnosił morale żołnierzy imperium.

Polacy na mocy obowiązującej umowy międzypaństwowej nie mogli dostarczać imperialnej armii nowoczesnego uzbrojenia. Ale przecież umowa nie dotyczyła elementów wyposażenia, których traktowania układ nie precyzował. Choćby taki proch czarny do karabinów. Ten produkowany w bazie w Negger Bank był sto razy bardziej pewny, spalał się równomiernie i w dodatku okazał się sto razy tańszy. Podobnie z granatami. Moździerze były stare, imperialne. Ale proch do granatów i lonty były już importowane, co momentalnie sprawiło, że każdy z wystrzelonych granatów, inaczej niż dotąd, eksplodował w przewidzianej chwili. Do tego rakiety sygnalizacyjne i oświetlające, reflektory magnezjowe, lampki, małe piecyki olejowe, żywność i cała masa innych dóbr dostarczanych w oszałamiających ilościach były zgodne z obowiązującym układem. Hm... A może inaczej. Nie były z nim niezgodne. A patrząc na dosłownie istne góry rac oświetlających wyładowywanych z wozów przy osłoniętych stanowiskach wartowniczych, pomoc ta stawała się wszystkim unaoczniona.

– Panie majorze! – Nuk podeszła do polskiego doradcy i jego tłumaczki. Oficer najwyraźniej ją lubił, bo chętnie odpowiadał na różne pytania i zawsze znajdował chwilę, żeby porozmawiać. – Czy sądzi pan, że potwory zaatakują akurat dzisiaj?

– Ja nie sądzę, ja liczę, stosując wiedzę i zasady matematyki – odparł odruchowo, ale zaraz się zreflektował. – A co takiego zauważyłaś? Dlaczego myślisz, że spodziewam się ataku akurat tej nocy?

Nuk rozłożyła ręce z uśmiechem.

– Nie wiem. Tak coś mi się zdaje – wskazała palcem kartki z instrukcją polową trzymane w dłoni przez tłumaczkę – że zamierza pan przypomnieć



żołnierzom regulamin przed snem.

Zaczął się śmiać.

– Bystra jesteś. A ja bardzo cenię ludzi, którzy mają w głowach rozum zamiast kapusty.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Czy mogłabym zatem...

Nie dał jej dokończyć pytania.

– Już ci wyjaśniam. Po prostu policzyłem sobie w myślach, na jaki dystans myśliwi mogą odchodzić od wioski, żeby transport mięsa im się jeszcze opłacał. Jak daleko po pierwszej potyczce wracali do swoich osad po nowe strzały i zapasy. Ile może im zająć skrzyknięcie kolegów. Marsz z powrotem i tak dalej. I wyszło mi mniej więcej, że zaatakują większymi siłami albo dzisiaj w nocy, albo jutro.

– A nie przyszło panu do głowy, że pierwszy nie za bardzo udany atak ich trochę otrzeźwił? Albo czegoś nauczył?

– Nie. To, moim zdaniem, prymitywny wróg. Po mojemu są po prostu wściekli i żądni zemsty. Więc bardziej prawdopodobne jest, że zaatakują dziś w nocy.

To by znaczyło, że biegli, żeby paść w objęcia pułku. Nuk też robiła podobne obliczenia. Duon rozdawała tymczasem instrukcję bojową wszystkim oficerom, przekazując rozkaz, żeby odczytać treść przed frontem kompanii. Saperzy kończyli budować prowizoryczne osłony bojowe, a żołnierze uporali się właśnie z rozbijaniem malutkich, dwuosobowych namiotów powstających z połączenia dwóch peleryn. Każdy znał swoje zadanie, każdy wiedział, co ma robić, i wiedział jak. Ćwiczenia i praktyka bojowa w utarczkach z Shah zrobiły swoje. Nie było żadnych oznak bałaganu.

Tu, w pobliżu wozów dowództwa, Baranowski postanowił zapoznać żołnierzy z instrukcją osobiście. I to nie przed frontem. Nie kazał nikomu stać na baczność, kiedy mówił, po prostu przechadzał się między żołnierzami, a tłumaczka mówiła donośnym głosem.

– Żołnierze, wiem, że się powtarzam. Wiem, że wy z kolei doskonale wiecie, co chcę wam przekazać. Słyszałyście to wiele razy, a ja upierdliwie będę wam to powtarzał raz za razem, choć wiem, że jesteście zmęczone.

Dziewczyny już go znały. Nikt nie przerywał pracy, słysząc za plecami kroki doradcy, wszystkie jednak kolejny raz słuchały uważnie. Nuk

zazdrościła takiej postawy. To było coś nie do wykonania dotąd w szeregach armii imperium.

– Pamiętajcie! Absolutnie zakazuję wychylania głowy zza osłony po to, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nie reagujcie na każdy trzask, nie nasłuchujcie szelestów, nie patrzcie, czy ktoś się nie skrada! Od tego są wartownicy czuwający w głębi obozu, za pierwszą linią. Śpijcie spokojnie, wiedząc, że w razie czego obudzimy was z właściwym wyprzedzeniem.

Musiał przerwać na moment, bo Duon zadyszała się od tłumaczenia gromkim głosem.

– Mam w ogóle pewien problem – podjął po chwili – jak wam wytłumaczyć, która z namiotu ma wyjść pierwsza. Jeśli powiem, że ta, która śpi z lewej, to sobie pomylicie prawą z lewą i zrobicie w wejściu zator. Jeśli powiem, że pierwsza wychodzi ta brzydsza, to się zaczniecie przepuszczać przodem i żadna nie wyjdzie aż do rana! W związku z tym ustalmy: pierwsza wychodzi niższa! I absolutnie zabraniam opuszczania namiotu we dwie naraz.

Ani nikogo nie obraził, ani nie rozśmieszył. A Nuk czuła, że zwracając się do ludzi w ten sposób, Baranowski po prostu buduje morale. Co bowiem spotka żołnierza obudzonego alarmem? No przecież nie śmierć, boby o tym wspomniał. Zacznie się przepychanka, która z dwóch dziewczyn ma wyjść pierwsza. Niewiadoma została więc trochę oswojona.

– Pamiętajcie, śpicie w butach i ubraniach. Podczas alarmu żeby żadna nie zabierała ze sobą pachnideł ani pudrów, tylko karabin! I dobrze by było, żeby drugi pluton też o tym pamiętał! Cieniem do oczu wroga nie powstrzymacie!

Dziewczyny nie miały oczywiście żadnych kosmetyków. Ale dzięki słowom oficera naprawdę robiło się jakby ciepiej.

– Przypominam, że kiedy znajdziecie się na pozycjach bojowych, to nie strzelać. Zakazuję strzelać! Obojętnie, czy widzicie jakiś cel, czy nie widzicie, to nie strzelacie. Strzał można oddać z odległości pięciu kroków, mierząc w brzuch! Pamiętajcie, że oni, biegnąc przez śnieg, nie będą mogli do was strzelać z łuku. A wy mierzycie spokojnie z podparcia.

Duon, żeby być dobrze słyszana, przyłożyła do ust zwinięte dłonie.

– I bardzo proszę, żeby nie wrzeszczeć w okopach, a już na pewno nie pisać! Po ostatnim waszym wyczynie z powodu tych pisków ogłuchłem na prawe ucho! Czy drugi pluton mnie słyszy?!

Żołnierze powoli kończyli pracę przy rozbijaniu obozu. Saperzy uwinęli się z umocnieniami. Wszystkich czekała jeszcze ciepła kolacja oraz spora porcja rozcieńczonego wina z korzeniami. Morale było dobre.

Baranowski wraz z tłumaczką przechadzał się między ludźmi.

– Przypominam o zakazie walki wręcz. Jeśli strzelicie do wroga z odległości pięciu kroków, to nie nakładajcie na lufy bagnetów. Nie ładujcie w zagrożeniu. Macie chwycić karabin za lufę i pełznąć w kierunku drugiej linii, gdzie pod osłoną koleżanek nabijecie karabin ponownie. Wbijcie sobie to do głów! Zabraniam walki wręcz, macie się natychmiast wycofać na drugą linię. Ale nie biegnąc i wrzeszcząc: „Koleżanki, nie strzelajcie, to ja!”, jak to się niektórym szeregowym zdarzało. Macie czołgać się w stronę drugiej linii. Umożliwicie w ten sposób koleżankom strzelanie do wroga nad wami!

Kucharze również skończyli swoją robotę i byli gotowi do wydawania porcji. Teraz czekali przy swoich kuchniach. Nikt bowiem nie ośmielał się przerywać zagranicznemu doradcy.

– Kiedy dostaniecie rozkaz powrotu na pierwszą linię, musicie pamiętać, żeby każde napotkane ciało martwego wroga przebić bagnetem. Powtarzam: nie dziabnąć, nie ukłuć, tylko wbić cały bagnet! Wiemy, że oni doskonale potrafią udawać umarłych. I nie przejmujcie się, jeśli wam się potem nie uda bagnetu wyjąć. Mamy zapas. Każdemu, kto straci, rozdamy nowe bagnety bez żadnych konsekwencji służbowych.

Major być może mówiłby jeszcze, ale jego tłumaczka zaczęła tracić głos od krzyków na mrozie.

– No. To teraz zjedzcie coś, wypijcie za zdrowie pani pułkownik i życzę dobrej nocy!

Ludzie ruszyli w stronę czekających kucharzy. Nie było żadnych komentarzy, żadnych nerwowych uwag ani rozglądania się z troską malującą się na twarzy. Każdy robił to, co było przewidziane w planie dnia. Po wykonaniu czynności obozowych teraz każdemu należał się czas wolny, odpoczynek i polepszenie nastroju za pomocą wina. Każdy znał swoje obowiązki, ale znał i swoje prawa.

Nuk sączyła swoją porcję przydzielonego wina i nie mogła otrząsnąć się ze wspomnień. Jak to wszystko wyglądało inaczej, kiedy z imperialnym korpusem wkraczała do Lasu w Sait. Pamiętała ten bałagan, strach, uczucie zagubienia i pozostawienia żołnierzy samym sobie. A tu? Jeśli nie

potraficie wyciągnąć bagnetu z trupa, to damy wam drugi. To taki nowy zwyczaj, wprowadzony zamiast rozstrzelania przed frontem kompanii. Hm. Nie mogła zapomnieć nocy spędzonych wprost na drodze, kiedy spała oparta o Shen, wartowników, którzy ze strachu i rozłąki popełniali samobójstwa, obawy przed wejściem między drzewa i ten wieczny chaos, burdel, zabieganie szarż. Tam każdy czuł się opuszczony, pozostawiony sobie, wydany na pastwę potworów i regulaminu, nie mając samemu pojęcia, co jest gorsze. Stan ducha żołnierzy w Sait można określić jako zgroza. Stan ducha tych tutaj bliższy był słowu: wojenna rutyna.

No ale pierwsze prawdziwe starcie pokaże, jak jest naprawdę.

– Co tak siedzisz z ponurą miną?

Nuk zerwała się natychmiast i wyprostowała sprężyste. Baranowski naprawdę ją lubił. Razem z Duon podeszli ot, tak po prostu, żeby sobie pogadać. W klasycznej imperialnej armii rzecz nie do pomyślenia.

– Ach, szkoda gadać, panie majorze. Wspomnienia i takie tam.

– Ale wspomnienia nie z rodzinnego domu, prawda? – Był cholernie domyślny. – Pamięć o dzikusach cię prześladowuje?

Potwierdziła ruchem głowy.

– Tak, tak, jesteśmy w samym środku – powiedział. – I nikt nie wie, co się stanie.

– Żołnierzom kazał pan spać, panie majorze.

– A co mają robić? Dygotać z nerwów? Stąd to wino z korzeniami. – Wskazał wzrokiem jej manierkę. – A i ty lepiej się prześpij.

– A pan?

Cmoknął cicho.

– Dzisiaj się nie kładę. – Wyjął z kieszeni małą buteleczkę z jakimiś pastylkami i potrząsnął lekko. – Nie lubię spać przed egzaminem.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Sama też zamierzała czuwać. Baranowski jednak odgadł jej intencje.

– Śpij, śpij. Jeśli chcesz, każę warcie obudzić cię przed atakiem.

Wyjął korek z buteleczki i wytrząsnął na dłoń małą pastylkę.

– Weź, to benzedryna. Kiedy cię obudzą na godzinę przed atakiem, to zażyj i od razu będziesz jak młody bóg.

– Zna pan godzinę ataku, panie majorze? – zapytała, chowając lekarstwo do swojej torby.

– Oczywiście, że nie. Jednak pewne zasady są niezmiennie w całej ogólnie rozumianej wojskowości. Mówiąc o ataku w nocy, ma się generalnie na myśli...

– Atak nad ranem? – weszła mu w słowo.

– Owszem. Po trzeciej, bliżej czwartej, albo i później. Wtedy sen jest głęboki.

Skinęła głową. Zgadzała się z tą opinią całkowicie. Lecz raczej nie w odniesieniu do potworów. Pamiętała z Sait, że akcja w ich wykonaniu trwała całą noc, a atak nastąpił tuż po zmierzchu. No ale tam były inne warunki, poszarpany korpus był raczej czymś, co należało dobić, a nie zastanawiać się nad taktyką pierwszego uderzenia.

– Ma pan rację, panie majorze. Lepiej się przespać, a w odpowiedniej chwili łyknąć ten obudzacz.

Duon potwierdziła energicznym ruchem głowy. Z kieszeni kamizelki wyjęła swoją butelkę z lekarstwem i pokazała, że też ma. A doradca niech sobie nie śpi, jeśli taka jego wola.

Nuk wolała się nie oddalać od wozów dowództwa. Co prawda tu było najjaśniej, ale to przecież nie przeszkoda. Zaczęła szukać jakiegoś w miarę spokojnego miejsca. Ciemność gęstniała szybko. Wartownicy z pierwszej zmiany zaczęli wystrzeliwać rakiety oświetleniowe. Każda wybuchała gdzieś w górze, a potem opadała powoli, kołysząc się na małym spadochronie i zalewając okolice upiornym, drgającym światłem. I tak będzie przez całą noc. Każdy widział góry pocisków oświetleniowych przy punktach wartowniczych.

Nuk znalazła przytulną, osłoniętą przed wiatrem nieckę tuż przy rozgrzanej kuchni. Dziękowała Bogom, że nauczyła się spać z kocem na głowie. Światło z rac nie powinno jej przeszkadzać.

Obudziło ją energiczne szarpnięcie za ramię. O mało nie zastrzeliła Duon, która pochylała się nad nią. Długo potrząsała głową, nie mogąc oprzytomnieć. Nie mogła też uwierzyć, że przed spodziewaną bitwą zasnęła tak głęboko. I nagle przypomniała sobie o dwóch rzeczach. Po pierwsze towarzyszący sztabowi czarownicy byli przecież także po to, żeby zdjąć z nich klątwę bezsenności, a dzisiejszej nocy może po prostu trochę przesadzili. Po drugie, jeśli chce być w pełni przytomna, musi wziąć pastylkę. Na szczęście tłumaczka musiała myśleć o tym samym, bo podała Nuk manierkę z wodą do popicia drobinki.

Nuk sprawdziła swoją strzelbę i pistolet na plecach.

– Czy coś się dzieje? – zapytała szeptem.

– Na razie nic. Chodź, dowództwo jest przy baterii moździerzy.

Ruszyły w stronę wozów dowództwa, pochylając głowy. Dziewczyny obsługujące moździerze były już obudzone i tkwiły na swoich stanowiskach. Swoją drogą, to lepsze rozwiązanie niż klasyczne armaty, które tachał ze sobą korpus. Działo ma co prawda tę przewagę, że można strzelać z niego na wprost. Powstrzymywać fale piechoty i kawalerii. Ale jeśli w lesie nie przewidzi się kierunku, skąd wróg będzie atakował, to zmiana linii ognia jest prawie beznadziejna, bo trzeba manewrować od razu całą baterią. Nie da się armat odwrócić o ćwiartkę kąta pełnego, bo jedno stanowisko zacznie strzelać w plecy drugiego. Co innego moździerze. One zawsze strzelały nad głowami własnych żołnierzy i jakakolwiek zmiana linii ognia mogła być elastyczna. Można było zmieniać kierunek strzału nawet pojedynczego stanowiska.

Nuk w każdym razie doceniała stopy amunicji przygotowane w okopie. Pamiętała opowieść Shen, która wzięła na wypad dla osłony lekkie działka i po trzech strzałach skończyły im się kartacze.

Baranowski siedział w punkcie dowodzenia z pułkownik Thien. Nie rozmawiali z braku tłumacza. Zresztą oficerowie imperialnej armii zdawali się podsypiać. Na Nuk i Duon działała już benzedryna. Obie czuły nieprawdopodobny wręcz przypływ radosnej energii i optymizmu. Zająły miejsce przy punkcie obserwacyjnym, ale ciągle nic się nie działo. Jedyne pluton dyżurny, usiłując zachować maksymalną ciszę, dawał zmianę swoim poprzednikom. Obu dziewczynom czas zaczął się dłużyć. Dzięki temu, co połąkły, były tak naładowane energią, że najchętniej zgłosiłyby się na ochotnika na wypad w celu pacyfikacji obcej osady. I to po nocy, w nierozpoznanym terenie. Obie też zerwały się na równe nogi, kiedy sierżant Kowalski zawołał:

– Są! Podchodzą dokładnie na dwunastej! – Opuścił nocną lornetkę i specjalnie dla oficerów imperium wskazał kierunek ręką. – Nadchodzą!

– Cichy alarm! – Baranowski również poderwał się błyskawicznie. Miejscowi oficerowie usiłowali otrzeźwieć.

Na szczęście podoficerowie odpowiedzialni za warty nie przysnęli nawet na chwilę. Ruszyli pędem w stronę swoich oddziałów. Zewsząd rozległy się niezbyt natrętne gwizdki i nawoływania.

– Budzić się! Budzić się! Wychodzić z namiotów, ale spokojnie. To cichy alarm!

Kilkanaście rakiet oświetleniowych poszybowało nad atakujące oddziały. Kiedy rozbłysły w górze, można było dokładnie zobaczyć chmary potworów posuwające się w stronę pierwszych linii obozu. Tak jak przewidzieli oficerowie kierujący saperami – w śniegu po pas nie dało się biec. Trzeba było brnąć, nawet mając na nogach śnieżne rakiety. A opadające na spadochronach magnezjowe ładunki błyskawicznie zniwelowały efekt zaskoczenia spowodowany faktem, że jedna strona widzi w ciemnościach, a druga nie. Czasu było dużo.

– Przygotować moździerze – krzyknął Baranowski. – Dajcie jedną salwę na przedpole.

– Dlaczego nie ostrzelali nas najpierw z łuków? – zapytała Thien.

– Z tej odległości? Zza przedpola? – Major wzruszył ramionami. – Musieliby strzelać na oślep w namioty, z bardzo niską skutecznością.

– Ale zaskoczyliby nas.

– Czym? Raczej by nas ostrzegli.

Thien podniosła do oczu nocną lornetkę, którą dostała od Polaków.

– No a tak co chcą osiągnąć? – zapytała.

– Myślę, że sami nie wiedzą. Choć niewątpliwie myślą, chcąc się przystosować do zmiennej sytuacji. Ewidentnie nie są to dzikie hordy biegnące jedynie na oślep przed siebie.

– Myślą? – powtórzyła Thien z powątpiewaniem.

– Tak. – Baranowski nie miał złudzeń. – Z tym że chyba po raz pierwszy mają do czynienia z doskonale zaopatrzonym, zdyscyplinowanym i wyszkolonym oddziałem. I mają poważny problem. – Major uśmiechnął się nagle. – Mają dokładnie taki sam problem, jaki mieli Indianie z Amerykanami.

Od strony baterii moździerzy rozległ się odgłos stłumionych eksplozji. Przedpole było celem dużym, łatwym i szerokim. Wszystkie granaty poszybowały w dobrym kierunku. Niestety, wszystkie też wbiły się głęboko w śnieg i dopiero tam eksplodowały. Wywołało to co prawda ogromne, malownicze gejzery śniegu wyglądające niezwykle dramatycznie w świetle opadających flar, ale większych strat wśród atakujących oddziałów raczej nie spowodowało.

– Skrócić lonty! – rozkazał Baranowski.

Imperialni żołnierze zajmowali właśnie swoje stanowiska na dwóch liniach obrony. Pluton dyżurny od dawna był na swoim miejscu. Rozkaz otwarcia ognia jednak nie padł.

– Strzelać dopiero z kilku kroków! – darła się Duon. – Strzelać z odległości kilku kroków!

Jak na razie jedynym poważnym przeciwnikiem dla atakujących był kopny śnieg. Powoli docierali do okopów pierwszej linii, w których czekali już żołnierze z wycelowaną bronią. Po chwili rozległy się pierwsze strzały. Jednocześnie znowu odezwały się moździerze, i to z lepszym skutkiem. Tym razem granaty rozrywały się nad głowami atakujących. Ale nad tymi, którzy biegli w dalszych rzędach. Żaden artylerzysta, szczególnie z baterii moździerzy, nie lubił strzelać zbyt blisko własnych linii. Żołnierze z pierwszego okopu oddawali po jednym strzale i zgodnie z rozkazem błyskawicznie wycofywali się na drugą linię. Mimo rzezi we własnych szeregach napastnikom udało się wpaść za umocnienia pierwszej linii. Na szczęście już puste. Wielu, wykorzystując impet, ruszyło dalej, ale błyskawicznie zostali powstrzymani przez ostrzał z drugiej linii. W tym czasie ci z pierwszej ładowali swoje karabiny, a Baranowski wydał rozkaz otwarcia ognia do własnych pozycji.

Najbardziej wysunięte pozycje zostały namierzone precyzyjnie jako cel jeszcze za dnia. Nie było więc możliwości zepsucia czegokolwiek ani popełnienia pomyłki. Artylerzyści spokojnie ustawiali lufy moździerzy zgodnie z zapisanymi wcześniej ustawieniami, na odpowiednią długość zostały także przycięte lonty. Po pierwszej salwie granaty rozrywały się tam, gdzie miały – większość nad okopami pierwszej linii. Druga salwa była jeszcze bardziej miążdżąca. Kilka granatów wpadło wprost do okopów, gdzie eksplodowało. Takiego ognia nikt nie wytrzyma, szczególnie bez możliwości ruszenia dalej, bo druga linia miała już podwójną obsadę gotową do strzału.

To, co zostało z atakujących, zaczęło się wycofywać.

– Łatwo poszło. – Nuk podskoczyła do Baranowskiego, chcąc mu zameldować.

– Za łatwo – odparł. – Nieprawdaż?

– Prawdaż! – potwierdziła. – Proszę zerknąć, co się dzieje na lewym skrzydle, panie majorze.



Rzeczywiście. Na stanowiska obronne pułku kładł się skoncentrowany biały kałun. Jakby gęsta mgła. Słynny duszący dym potworów.

– Leć tam i zorientuj się w sytuacji! – Baranowski najwyraźniej nie dowierzał meldunkom imperialnych oficerów. Wolał oprzeć się na ocenie sytuacji swojego wywiadowcy.

Nuk runęła pędem we wskazanym kierunku. Czuła, jak w jej żyłach rozlewa się coś gorącego. Znowu czuła zew. Znowu to coś, co sprawiło, że wstąpiła do wojska na ochotnika, odezwało się ze zdwojoną siłą. Ale tym razem to coś zostało wzmocnione małą bladozieloną pastylką.

Nuk wpadła na pole kolejnej potyczki dokładnie w chwili, kiedy żołnierze imperium zaczęli uciekać. Kaszląc i krztusząc się, wykonywali właśnie mało zborny odwrót.

– Stać! Stać! – wrzeszczała w biegu.

Jednocześnie usiłowała zorientować się w sytuacji. Potwory najwyraźniej potrafiły jakoś ukierunkować swój biały dym i skoncentrować go w jednym miejscu. Jak i w czym przenieśli ukradkiem swoje źródła ognia? A szlag z nimi! Przekradli się, kiedy dowództwo było zaangażowane w odparcie ataku, którego jedynym zadaniem było odwrócenie uwagi. Była pod wrażeniem poświęcenia, dzięki któremu wodzowie potworów dali imperialnej armii dosłownie wybić wielką liczbę ludzi tylko po to, żeby udał się atak zasadniczy w innym miejscu. No i nasuwał się jeszcze jeden wniosek. To nie dzikie hordy podniecające się wrzaskiem do ataku. Napastnicy byli precyzyjnie dowodzeni, i to przez kogoś równie inteligentnego, co bezwzględne.

– Stać! – krzyczała, wyłapując pojedynczych żołnierzy. – Stać, tchórze!

Chwyciła za ramię jakąś kaprał.

– Zastrzelę za dezercję!

Dziewczyna szarpnęła się oszołomiona.

– Ale...

Nuk uderzyła ją w twarz otwartą dłonią.

– Ci, co atakują, również wdychają ten dym! – wrzasnęła. – Oni też kaszlą i łzawią!

Jej słowa, o dziwo, zaczęły docierać do oszołomionych żołnierzy, którzy zatrzymywali się. Oni też wdychają ten dym... No przecież!

– To się da wytrzymać! – Nuk dawała z siebie wszystko. – Wracać, świnię! Wracać, tchórze! To się da wytrzymać.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Coraz więcej żołnierzy zdawało się rozumieć, że napastnicy również podlegają działaniu mlecznych oparów. Jedyłą ich przewagą jest to, że są o tym uprzedzeni. Nuk czuła natomiast, jak zawarty w dymie narkotyk zaczyna na nią działać. Do tego zew krwi i krążące w żyłach substancje z zielonkawej pastylki. Ale jazda! Poczwała się jak pijana. Ale odlot! Nie mogła się już opanować. Kiedy z białawych kłębow wyłoniły się sylwetki pięciu napastników, Nuk bez namysłu runęła na nich sama. Nie strzelała w biegu. Pierwszemu potworowi przyłożyła lufę do brzucha i pociągnęła za spust. Grubo cięte siekańce dosłownie go rozsadziły. Następnemu z drugiej rury strzeliła w twarz z odległości łokcia mniej więcej. Nie czekała, aż pozostali otrząsną się obryzgni krwią i mózgiem. Przerzuciła strzelbę do chwytu obiema rękami za lufę i ciągnąc całym ciałem z biodra, walnęła kolbą trzeciego w głowę. Runął na swojego towarzysza. Dwie dziewczyny spośród żołnierzy zbierających się wokół kaprała wystrzeliło naraz do ostatniego. Nuk wbiła nóż w ciało przygniecione trupem kolegi. Ale jazda! Chciało jej się wyc ze szczęścia. Nie bacząc, że szokuje swoich ludzi, zaczęła skalpować trupy.

– Ty! – Wskazała kapral zakrwawioną dłonią. – Przejmujesz dowodzenie tym odcinkiem!

Zza białej kurtyny dochodził odgłos stłumionych strzałów. Znak, że druga część pułku również zwiera szeregi na nowym froncie.

– Ty! – Nuk wycelowwała palec w dziewczynę, która miała mundur z naszywkami kompanii saperów. – Ty w tył! Zbieraj uciekinierów i dosyłaj kapralowi! Jeśli ktoś się będzie opierał, zabijaj na miejscu z mojego rozkazu!

Nuk nie miała nawet munduru. Ale jej akcja przed chwilą i fakt, że z taką wprawą skalpuje wrogów, sprawiały, że nikt nie śmiał się przeciwstawić. Jej rozkazy, łzawiąc i kaszląc, wykonywano natychmiast. Kiedy wstała, mocując swoją krwawą zdobycz przy pasie, kilka dziewczyn stanęło na baczność.

– Stwórz linię obrony tutaj. – Wskazała kapral odpowiednie miejsca. – Na razie napastnicy walczą po tamtej stronie tych kłębow dymu. Ale bądź pewna, że niedługo przyjdą i tutaj.

– Mam zostać sama?

– Dowództwo zaraz podeśle posiłki. A ciebie zluzuje oficer. Do tej pory jednak ty dowodzisz! Jeśli ktoś nie wykona twojego rozkazu, rozstrzelaj

natychmiast z mojego rozkazu. Rozumiesz?!

– Tak jest!

– No, dziewczyny. – Nuk zrobiła kilka kroków do tyłu. – Zajmujcie pozycje i pamiętajcie o jednym: nie strzelajcie. Na litość wszystkich Bogów, nie strzelajcie pod żadnym pozorem!

Przez chwilę delektowała się wyrazem zdziwienia na twarzach zebranych.

– Pamiętajcie, że każdy strzał oddany w tamtą stronę może zabić którąś z waszych koleżanek. Wystrzelacie się wzajemnie. Strzelać pozwalam tylko wtedy, kiedy wylot lufy waszego karabinu znajdzie się o pół kroku od wroga!

Na twarzach kilku żołnierzy odbił się cień uśmiechu.

– Dziewczyny, mam dla was propozycję. Gdy potwory w końcu tutaj przyjdą, to proponuję, żebyście ich zabiły, i nie zajmujcie sobie nimi dalej waszych pięknych głów.

Nuk nie czekała na reakcję. Widząc, że żołnierze zaczynają zajmować prowizoryczne stanowiska obronne, runęła biegiem w kierunku sztabu. Widziała po drodze, jak linie po stronie poprzedniego, odpartego ataku zwijają się powoli, zajmując pozycje prostopadłe do poprzednich, żeby móc dać odpór zagrożeniu z innej strony. Dopadła Baranowskiego, kiedy ten ustalał coś z pułkownik Thien.

– Panie majorze, melduję powrót z rozpoznania...

– Nie próżnowałaś – przerwał jej, patrząc na krwawe pamiątki przy pasie.

Zaskoczył ją.

– Nie wydaje się pan wstrząśnięty, panie majorze – powiedziała niespodziewanie dla samej siebie.

– Widziałem takie rzeczy u Tatarów. – Uśmiechnął się. – Zdążyłem przywyknąć.

Oddała mu uśmiech. Potem opowiedziała o sytuacji na pierwszej linii i o tym, jakie rozkazy wydała.

– Doskonale. – Skinął głową. – Szkoda, że nie jesteś w moim wojsku, bo zrobiłbym cię porucznikiem. A ta kapral... Jej oddział wytrzyma choć trochę?

– Do pierwszej salwy.

– Rozumiem.

Odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy dotyczące wysłania posiłków. Pułkownik Thien stała obok i najwyraźniej nie przeszkadzało jej to, że rządzi obcy oficer, i to niższy rangą. Na jej twarzy malowała się raczej ulga, że nie na nią spadnie odpowiedzialność za to, co się tu dzieje.

Natomiast zastanawiający był fakt, że Baranowski nie przejął się w ogóle, że obrona pułku została dosłownie przepołowiona na dwie części. Najwyraźniej nie widział w tym zarzewia klęski. Na szczęście ta kwestia wyjaśniła się już po chwili. To nic, że pułk został podzielony na dwa oddzielone od siebie oddziały. Nuk zapomniała o tym, że Polacy mają w swoich wozach łączność radiową. Baranowski dalej mógł dowodzić całością i koordynować działania.

– Połączcie mnie z Jasiakiem – krzyknął w stronę kabiny radia.

Łącznościowiec natychmiast podał majorowi słuchawkę na długim kablu.

– Poruczniku, co tam się u was dzieje?

W skupieniu słuchał przydługiej wypowiedzi o sytuacji w odciętej części pułku.

– Rozumiem. Jeśli sytuację określa pan jako constans, to w czym problem? Dlaczego nie każe pan atakować? – Baranowski urwał nagle i trochę skonfundowany zerknął na pułkownik Thien. – Dlaczego nie zasugeruje pan imperialnym oficerom ataku w moją stronę w celu odcięcia tych sił, które wdarły się w środek naszych linii?

Znowu słuchał w skupieniu wyjaśnień. Potem skinął głową.

– Dobrze – powiedział. – Zajmę się tym problemem, a pan niech przygotuje atak. Proszę podać dokładne współrzędne dla moździerzy.

Baranowski oddał słuchawkę oficerowi artylerii i zwrócił się do Thien.

– Jesteśmy w stanie znowu scalić pułk – powiedział uspokajająco. – Napastnicy natomiast nie mogą sforsować zasieków dzielących stanowiska obronne na sektory.

– To dlaczego tamci nie atakują? Przecież mają więcej piechoty niż my tutaj do osłony artylerii.

– Jasiak niepokoi się posiłkami, które dzikusy gromadzą pod drzewami. Prawdopodobnie chcą zaatakować z jeszcze jednej strony.

Major wskazał ręką kierunek możliwego ataku. Thien przyłożyła do oczu nocną lornetkę i spojrzała we wskazaną stronę. Krajobraz dookoła przypominał, jak mówili Polacy skupieni wokół wozu dowodzenia, widok

noworoczny. Wystrzeliwane masowo rakiety oświetleniowe zamieniły noc w dzień, ale sztuczny, drgający i nieprawdziwy, z kładącymi się ruchomymi i zwielokrotnionymi cieniami drzew. Większość rakiet nie docierała na ziemię. Monstrualne śnieżne czapy na drzewach za przedpołem ich nie przepuszczały. Magnezja osiadała na białych gałęziach i drzewa zaczęły przypominać gigantyczne choinki. Do tego dym napastników udający mgłę i te z rakiet, które wbiły się w śnieg i teraz podświetlały go od dołu. Dosłownie bajkowy świat. Cudowny! Gęsty dym nie przepuszczał za dobrze wycia walczących przy zasiekach. Z oddali mogło to od biedy przypominać występy dużego chóru.

– I co zrobimy? – Thien zauważyła licznych wojowników skupiających się pod drzewami.

– Jasiak podał dokładne namiary dowódcy artylerii – powiedział Baranowski. – Trochę ich tam schłodzimy.

– Pociski z moździerzy nie przebiją się przez śnieg na gałęziach.

– I o to chodzi. – Major odwrócił się do stanowisk artylerii i krzyknął głośno: – Dobrzy ludzie! Dajcie na wskazane namiary dużo ognia!

Moździerze były już wycelowane, lonty miały odpowiednią długość. Jednocześnie huk z wielu luf wstrząsnął okolicą. Niektóre z pocisków miały znaczniki smugowe i można było obserwować ich lot. Najpierw coraz wolniejsze wznoszenie się, powolne odpadanie od prostej do łuku, minięcie szczytu trajektorii i coraz szybsze opadanie. Ładunki granatów odpaliły wysoko nad głowami gromadzących się do ataku wrogów. Mniej więcej na wysokości gałęzi drzew, z których momentalnie na głowy dzikusów spadły dziesiątki ton śniegu.

– No i chyba schłodziliśmy ich zapal bojowy – mruknął Baranowski.

Thien nie mogła się oderwać od okularów lornetki.

– Chyba tak – powiedziała. – Nie wygrzebią się spod tego śniegu.

Major przejął słuchawkę na długim kablu z rąk łącznościowca.

– Jasiak? Jesteś tam?

Chyba nawet nie słuchał odpowiedzi.

– Flankę masz już zabezpieczoną. Atakuj i kończ sprawę szybko! Może mi się jeszcze uda zdrzemnąć przed świtem.



Podporucznik Igor Michałowski był chyba jedynym Polakiem, którego nigdy, dosłownie ani razu, nie dopadła nostalgia. Wszyscy jakoś tam, mniej lub bardziej, tęsknili za ojczyzną, za bliskimi, za miejscami, które znali i pamiętali z dzieciństwa. Przymusowa z powodu tajemnicy i chwilowo bezterminowa rozłąka była czymś, z czym ludzie bardzo różnie sobie radzili. Czasami sobie nie radzili. Podobno powstał nawet jakiś ośrodek odosobnienia (nie nazywajmy tego więzieniem) na jednej z małych wysp, gdzie przetrzymywano nielicznych na szczęście dezertersów, którzy usiłowali się przeszmygłować z powrotem do Polski. A Michałowski po prostu nie miał sobie z czym radzić, bo nic smutnego go nie dopadało. Uważał się za człowieka wybranego, którego Bóg w swojej niezmierzonej dobroci i łaskawości umieścił za życia w samym środku rajy.

Owszem, w Polsce los wobec podporucznika wcale nie był zły. Skończył przecież studia, stał się człowiekiem kulturalnym i wykształconym, ukończył szkołę wojskową i... Był pilotem, a nie przyjęto go do myśliwców. I to nie z powodów zdrowotnych, wzrok miał dobry, zmysł równowagi też, tylko komisja się czepiała. Podobno nie potrafił „rozgrać” rąk i nóg, posługiwać się nimi niezależnie, tak jak to potrafią na przykład perkusiści. No i żegnajcie, ordery za męstwo, które oczami wyobraźni widział już na swojej piersi, żegnaj, sławo, żegnajcie, błyskawiczne awanse i admiracja kobiet.

Groziły mu bombowce. Służba nudna jak flaki z olejem, jednostajna, monotonna, tylko i wyłącznie na terenie kraju. Powolne awanse wynikające wyłącznie z wysługi lat. Żadnych wzlotów (ale też, jeśli nie piłyby zanadto – żadnych upadków). Przechodząc na emeryturę, zostałby majorem. No, w najlepszym razie podpułkownikiem, żeby mieć większe świadczenia socjalne. Ale na co mu podpułkownik na emeryturze? W lotnictwie myśliwskim zdarzali się generałowie w wieku czterdziestu pięciu lat nawet! Poszedł więc do wojskowego lotnictwa transportowego. No niech tam, przynajmniej zwiedzi sobie świat.

I tu nagle dobry Bóg przypomniał sobie o nim i nie dał zgnieć w ponizeniu. Wezwali go po nocy, kazali podpisać bardzo restrykcyjny papier o zachowaniu tajemnicy i zapytali, czy chce lecieć na misję bardzo daleko stąd. Nie będzie możliwości kontaktu z bliskimi nie wiadomo jak długo. No a niby za kim miał tęsknić? Rodzice dawno umarli i dzięki pieniądзом ze sprzedaży ich majątku skończył studia, rodzeństwa nie miał, na żonę był

jeszcze za młody. Powiedzieli, że nie wiedzą, kiedy będzie mógł wrócić. No i dobrze. On nawet w jednostce, gdzie dostał przydział, nie zdążył poznać nikogo lepiej. Kazali wypełnić sążniste formularze. Wypełnił od ręki, a kiedy dowiedział się, że misja jest totalnie tajna, to chciał wyciągnąć z wdzięczności całe kolegium oficerskie. Oficerowie jednak wzdragali się przed całowaniem. Odesłali go do domu, żeby zamknął wszystkie swoje sprawy bankowe i cywilne. Następnej nocy nieoznakowany samochód zabrał Michałowskiego z koszar i zawiózł do malutkiego portu, skąd mały frachtowiec bez żadnej pompy i ceremonii pożegnalnej zabrał go w nieznane.

Już na pokładzie, wśród nowych kolegów takich samych jak on, dowiedział się, że służby szukały właśnie ściśle określonych ludzi – samotnych i niezakorzenionych. Idealnie więc pasował do wzorca. Na pokładzie trochę chorował od tego kołysania. Tajna misja na razie była nudna i uciążliwa, na statku żadnych luksusów i zero rozrywek. Doszło do tego, że z nudów nawet grali w szachy. Nie do pomyślenia w innych warunkach. A potem...

Okazało się, że rp ma własny przesmyk w Górach Pierścienia. A mały frachtowiec zawiózł ich właśnie w sam środek rajy na ziemi!

Po pierwsze tu nie było myśliwców, bo nie miałyby z kim walczyć. Na wstępie więc pozbawiono ich konkurencji. Po drugie miejscowe kobiety były piękne i chętne, by przeżywać przygody, a on był nieprawdopodobną atrakcją. Kiedy wysiadał z kabiny swojego samolotu, miejscowe laski piszczwały z zachwytu jak w Polsce na widok znanego aktora! Lgnęły do niego, to one szukały kontaktu, to one wymyślały, jak go poderwać. Nie wiedział, jak wieczorami dziękować Bogu za taką wspaniałomyślność. Nie miał pojęcia, czym zasłużył na umieszczenie w rajy za życia.

Był jednak człowiekiem wykształconym i kulturalnym. Gardził więc okropnym arkapolskim żargonem, nie chciał też pętać się tłumaczem. Nie zamierzał również posługiwać się językiem migowym ani naśladować niektórych kolegów, którym odbiło na punkcie „kolonialnego zachowania” i wymagali, żeby zgadywano, czego chcą. Nie, nie. Michałowski sumiennie i szybko uczył się miejscowego języka, a lekcje brał u najlepszych mistrzów w imperialnej bibliotece. Szybko więc zaczął być zapraszany na salony najwyższych notabli. Zaczął prowadzić życie towarzyskie na naprawdę wysokim poziomie miejscowych elit. A liczba wspaniałych,



przepięknych i wyrafinowanych kobiet, które pragnęły z nim zawrzeć zdecydowanie bliższą znajomość, przechodziła wszelkie ludzkie pojęcie. Był wśród śmietanki Negger Bank bardzo egzotyczną atrakcją. W Polsce w najśmielszych snach nigdy nie marzył o takim powodzeniu. Raj!

Nawet teraz, w Kong, kiedy okazało się, że w jego wielkim samolocie wysiadła instalacja hydrauliczna, zarządził otoczenie swoim optymizmem. Zadziwił głównego mechanika, który powiedział mu: „Panie poruczniku, ma pan strasznego pecha i utknie w tej dziurze na wiele dni. Po części zamiennie muszę posłać aż do bazy w Sait!”. Niezrażony Michałowski odparł pogodnie: „A dlaczego od razu pecha? Co tu? Dziewczyn nie ma?”.

Oczywiście, że miał rację. Były!

Już pierwszego dnia poznał Niki. Zgrabną, wesołą i inteligentną dziewczynę, której urody mogło zazdrościć wiele kobiet z wyższych sfer. A w dodatku Niki była zapatrzona w swojego „podniebnego wędrowca” i wzdychała co chwila, mówiąc, jakie ma szczęście. Czegóż więcej trzeba? W łóżku okazała się gibka i pełna inwencji.

Teraz szli właśnie wiejską, zaśnieżoną drogą w stronę budynku ciemniejącego pod lasem. Szli to trochę za dużo powiedziane. Niki ciągnęła podpitego oficera, który zwieszał się na niej całym swoim przeważającym ciężarem. Dziewczyna jednak była twarda. Z trudem, bo z trudem, ale dawała radę jako holownik.

– To mówisz, że w tej karczynie czeka na nas aż pięć twoich koleżanek?

– Michałowski podniósł głowę z ramienia dziewczyny i zmierzył niepozorną chałupę krytycznym wzrokiem.

– Nie mogłam im odmówić. Kiedy tylko pochwaliłam się, że znam pogromcę przestworzy, który zmusza do posłuszeństwa żelaznego ptaka...

– To zechciały same mnie poznać? – dokończył za nią.

– Tak. Marzą o tym.

– I one też są agentkami wywiadu tak dobrymi w łóżku jak ty?

Niki potknęła się i o mało nie wpadli razem do zasy przy drodze.

– Nie jestem żadnym agentem!

– E tam. – Michałowski machnął lekceważąco ręką. – Żebyś ty wiedziała, jakie śliczne agentki starają się o noc ze mną w Negger Bank. Uch! I w ogóle... jakie fajne jest u was życie.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

– Bo widzisz, co ja bym w Polsce robił? Szary pilot jednostki transportowej ze swoją porucznikowską pensyjką. A tu? Znam świetnie wasz język, służę na najbardziej nowoczesnych maszynach, jakie zdarzyło wam się widzieć. Jestem idealnym celem dla wszystkich wywiadów i służb informacyjnych, które nie szczędzą wdzięków swych agentek, prezentów, pieniędzy, blichtru i uznania, bylebym tylko był zadowolony. A ja im mówię o wszystkim, co chcą wiedzieć.

Twarz Niki stężała. Zauważył to.

– Tak jak i ty mi wszystko mówisz, co chcę wiedzieć – zakpił.

– Nieprawda!

– To, że jestem podпиты, nie oznacza, że mi inteligencji ubyło – powiedział. – Jesteś agentem partyzantów.

– Nie!

– Oj tam, skrzywiłaś się ewidentnie, kiedy powiedziałem, że opowiadam obcym o tajemnicach mojego kraju. Znak, że nie pracujesz za pieniądze. A tylko partyzantów nie stać na pensje, więc szukają ideowców. Którzy za darmo zrobią, co trzeba, dla Sprawy!

Niki zatrzymała się, myśląc o czymś intensywnie. Potem jednak ujęła go silniej i zaczęła znowu prowadzić w stronę chaty pod lasem.

– Widzisz – Michałowski kontynuował niezrażony – tobie się zdaje, że jeśli ktoś mówi o tajemnicach, to jest zdrajcą.

– A nie jest?

– Musisz wziąć pod uwagę dzielące nas różnice. Oboje wiemy, że imperium nie rzuci się na rp z wielu oczywistych powodów. Jakie więc tajemnice chciałoby mieć? Może chciałoby wybudować sobie krążownik? To proszę! Chętnie dostarczę wszystkie plany za sowitą opłatą! Myślę nawet, że naczelne dowództwo samo sprzeda wam projekt techniczny nawet za pół ceny, w promocji – kpił dalej. – Ale, niestety... – Zachłysnął się zimnym powietrzem i przez chwilę kaszlał. – Niestety, zanim wy wybudujecie sobie krążownik, my już będziemy mieli okręty latające. Których plany też od razu możemy wam sprzedać po okazyjnej cenie. Tyle tylko, że zanim wy je odtworzycie, to my już będziemy mieli okręty kosmiczne!

Zaczął się śmiać tak gwałtownie, że upadł nagle i Niki z wielkim trudem musiała go podnosić, a potem otrzepywać jego wspaniałą lotniczą kurtkę z

baranka i długi biały szalik. Właśnie dochodzili do dużej chaty pod lasem, która była celem ich marszu.

– A życie twoich braci? – zapytała.

– Że je narażam? Nigdy. Imperium się nie rzuci, jak mówiłem. Ani nikt prywatnie. Szczególnie po ostatnim pokazie, kiedy jakiś czarownik usiłował się zamachnąć na oficera marynarki. Potem na pokaz upokorzono całą Radę Czarowników, a facet, który podniósł rękę, od dawna gryzie piach.

– Wspomniani partyzanci nie muszą mieć celów zgodnych z imperium, prawda? – usiłowała być złośliwa, ale źle trafiła.

Michałowski uśmiechnął się do niej ciepło.

– Nie muszą – przyznał. – Za to są na krótkiej smyczy marynarki wojennej!

Zaczął śmiać się głośno, z całej siły nacisnął klamkę, otworzył drzwi i wszedł do mrocznego wnętrza karczmy.

– Dzień dobry!

Choć na pewno jego głośne słowa musiały docierać do nielicznych gości już wcześniej, to jednak swoim wejściem udało mu się wywołać spore poruszenie. Najbardziej na dwojgu. Starszym, prawie łysym mężczyźnie siedzącym za szeroką ławą i na siedzącej naprzeciwko niego młodej kobiecie. Michałowski przyjrzał jej się uważnie. Skądś ją znał! Ładna twarz sprawiała trochę łobuzerskie wrażenie. Należała do osoby, która jest pewna siebie, a jednocześnie pełna dystansu do siebie. Wesoła, dowcipna, sprytna, inteligentna, a jednocześnie trochę ciapowata, zawsze wymagająca drugiej osoby, która udzieli jej wsparcia. I tyle można odczytać z twarzy? Michałowski, choć bardzo młody, był naprawdę inteligentnym facetem.

– My się znamy, proszę pani? – zapytał.

Wstała powoli. Wyjęła z kieszeni kartkę papieru, rozłożyła i podniosła. To był list gończy. Michałowski rozpromienił się natychmiast.

– O rany! – Podszedł bliżej trochę chwiejnym krokiem. – Pani Shen! – wykrzyknął radośnie. – To dla mnie zaszczyt móc panią poznać, pani gangster!

Shen odpowiedziała uśmiechem. Chciała, aby był kpiący, ale nie wyszło, bo obcy mężczyzna był naprawdę i szczerzy, i ujmujący. Rozbroił ją momentalnie.

– Witaj, panie. – Ukłoniła się na tyle dwornie, na ile potrafiła.

Pilot zaczął gorączkowo szukać czegoś w kieszeni swojej skórzanej kurtki. Przez chwilę myślała, że chodzi mu o pistolet, ale oczywiście nie. Wyjął niewielkie metalowe pudełko.

– Czy ktoś mógłby zrobić nam zdjęcie? – zapytał, wodząc wzrokiem po gościach karczmy. – Inaczej nikt mi nie uwierzy, że rozmawiałem z samą Shen!

No tak, mógł się spodziewać. To nie byli goście, tylko partyzanci. Nie chcieli robić zdjęć ani w ogóle tykać nieznaną maszyną. Ale czuł, że zdobył ich sympatię. Po pierwsze mówił w miejscowym języku ze staraniem i w miarę prawidłowym akcentem. A po drugie był obcym, ważnym oficerem, a uważał spotkanie z ich dowódcą za zaszczyt.

– Naprawdę jestem aż tak znana? – zdziwiła się Shen.

– No przecież wisi pani na każdym płocie! – Podporucznik zreflektował się nagle. – O, przepraszam za mój niedołączny język. – Ukłonił się przepaszająco. – Chciałem powiedzieć, że pani podobizna jest wywieszona w każdym publicznym miejscu, a to oznacza, że wrogowie bardzo się boją i w ten sposób wyrażają wielki szacunek.

– Ja się podejmę. – Łysy mężczyzna podniósł się i wyszedł zza ławy. – Jestem Kadir i trochę się znam na różnych urządzeniach.

– Świetnie. Ja wszystko nastawię, proszę tylko zwolnić migawkę. O, tym tutaj. – Michałowski pokazał, co i jak, a potem objął Shen i uśmiechnął się szeroko do obiektywu. – A może pani pokazać list gończy do zdjęcia?

Kadir z zagryzionymi wargami trzasnął spustem aparatu.

– A teraz uśmiechnijmy się do siebie! – Michałowski był najwyraźniej zachwycony, wymyślał coraz to nowe koncepcje. Szybko pokazał rusznikarzowi, jak się przekręca film. – Jeśli ten pan nic nie schrzani, to nasze zdjęcia znajdą się w przyszłości we wszystkich podręcznikach historii!

– Dlaczego? – dała się zaskoczyć Shen.

– Jeśli pani wygra, to będą wtedy jedyne zdjęcia przywódcy rewolucji za młodu, przed walką. Jedyne na świecie! A osoba, która na fotografii stoi obok, siłą rzeczy też wejdzie do podręczników – powiedział szczerze, o co mu chodzi, i dodał rozbrajająco: – Dla mnie to jedyna okazja.

Shen machnęła ręką lekceważąco. Nie wierzyła w te bzdury. Ale z pewnym zdziwieniem zauważyła, że nagle sama z siebie zaczęła pozować i

ładnie się ustawiać do zdjęć. Nawet Kadir to zauważył i uśmiechnął się dyskretnie.

Kiedy gospodarz podał wino, zakończyli sesję. Rozsiedli się przy ławie, jedynie Niki nie bardzo wiedziała, co zrobić. Czy dalej ma grać zakochaną w obcym panienkę, czy po rozgryzieniu jej prawdziwej roli może już nie udawać. Z opresji wybawił ją sam Michałowski:

– Mam nadzieję, że pięć koleżanek agentek dalej czeka jako nagroda za dyskusję tutaj?

– Czekają, czekają – skrzywiła się Shen. – Ale dobrze, że od razu przechodzimy do rzeczy i nie trzeba będzie wyciągać słowa po słowie w trakcie pieszczot w łóżku.

– Taki był wasz plan? – Michałowski przechylił głowę na bok, przygryzając wargi w udawanym namyśle. – W każdej chwili możemy do niego wrócić.

Kadir parsknął śmiechem. Shen zrobiła minę zgorzzonej zakonnicy, a Niki przestraszyła się wyraźnie.

– No dobra. – Michałowski spoważniał naraz. – Co chcecie wiedzieć?

– Sprawa nie wymaga zdradzania żadnych tajemnic. Chciałabym poznać tylko opinię.

– A konkretnie?

Shen zmierzyła go wzrokiem. Taksacja musiała wypaść dobrze. Facet, poza tym, że budził sympatię, wyglądał naprawdę na kogoś, kto jest przyjaźnie nastawiony. Powiedziała więc wprost:

– Jak zareaguje Rzeczpospolita na fakt, że w razie czego odetniemy jej siły w Banxi od bazy w Kong?

Michałowski patrzył na nią z niedowierzaniem, a potem parsknął śmiechem.

– I o to wam chodzi?! – nie mógł uwierzyć. – Chcecie wiedzieć, jak zareaguje Rzeczpospolita, kiedy tu się zacznie ruchawka?

Shen przytaknęła.

Podporucznik śmiał się coraz głośniej.

– Odpowiedź więc brzmi: w ogóle nie zareaguje! – Z ukontentowaniem patrzył na zdziwienie, które pojawiło się na twarzach słuchaczy. – rp nie zareaguje w ogóle! Palcem w bucie nie ruszy!

Shen potrząsnęła głową.

– Dlaczego? W waszym dowództwie rozgryziono knowania czarowników?

Nie dał jej dokończyć.

– Ty przejrzyj na oczy, kobieto. – Załamał rękę. Potem przeniósł wzrok na Niki. – Niech pięć koleżanek już się szykuje. Rozmowa tutaj nie zajmie dużo czasu.

– Dlaczego? – powtarzała zaaferowana Shen. Reakcja rozmówcy zadziwiła ją.

– Rzeczpospolita nie zareaguje na cokolwiek, co tu może zająć, z bardzo prostego powodu – wyjaśniał cierpliwie. – Ponieważ zainteresować się nie ma czym ani kim.

Zapadła cisza. Michałowski nalał sobie wina do glinianego kubka i zaczął pić małymi łykami. Otarł brodę, kiedy skończył. Po oficersku, chusteczką, a nie rękawem. Z zadowoleniem obserwował szok malujący się na twarzach ludzi w karczmie.

Potem westchnął cicho i zaczął przedziwny monolog.

– Geniuszem był facet, który wymyślił, żeby przysłać tu krążownik. Ten okręt nie ma z kim walczyć na tej półkuli. Jest za kosztowny, żeby go utrzymywać, zbyt kłopotliwy w obsłudze, wymagający wiele sił i środków. Okręt jest przestarzały i zbyt ciężki, w Polsce służy do szkolenia młodych marynarzy, bo do niczego innego się nie nadaje. Ale tutaj? Stworzył obraz mocarstwowej rp. Wystarczy zerknąć na redę. A tam okręt z żelaza, wielki jak stalowa góra, z działami, które mogą obrócić w perzynę każde miasto. Wystarczy „pufff” ze wszystkich luf i na brzegu nie ma co zbierać! I taką Polskę widzicie. Przecież to mocarz nad mocarze, siła, której nikt się nie przeciwstawi. A owszem. Siłą, jak na wasze warunki, rp niewątpliwie jest. Ale nikt nie zdaje sobie sprawy z ograniczeń, które ją pętają.

– Jakich ograniczeń? – odważyła się przerwać Shen.

– A nie przyszło nikomu do głowy, pani gangster, że krążownikiem do lasu nie wpłyniesz? Sprawy nie załatwisz?

– Chyba macie też inne zabawki? Sama widziałam skutki działania napalmu i gazu.

– Owszem. Mamy też Dużego Jasia. Czymś w końcu przepaliliśmy Góry Pierścienia. I odpowiedź brzmi: tak, możemy spopielić waszą cywilizację w całości. Tak, owszem, możemy. Tylko, do jasnej cholery, po co?! Co nam da popiół? Jak z niego korzystać i czerpać zyski?

– Nie rozumiem.

– No to spróbuj zrozumieć, pani gangster. W tej chwili priorytetem dla sztabu jest zachowanie w tajemnicy istnienia przesmyku przez góry po naszej stronie. Każdy wie, że tajemnicy w nieskończoność utrzymywać się nie da. A każdy człowiek przysłany z Polski tutaj naraża całą akcję na coraz większe ryzyko, że się wyda. Każda rodzina, której członek wyjeżdża służbowo nie wiadomo gdzie i listów nie przysyła, budzi coraz większe podejrzenia. Nasze społeczeństwo nie jest takie jak wasze. Zaraz ktoś zacznie pytać, gdzie znikają ludzie. Gdzie podziewają się okręty. Tego się nie uda długo utrzymać fikcją jakichś tajnych misji.

– Zwykli ludzie mogą u was zmusić władcę do tego, żeby się tłumaczył?!

– Nawet nie podejrzewasz, jak szybko i jak skutecznie.

Shen nie mieściło się to w głowie. Widziała przecież żołnierzy zza gór. Wiedziała, jakie mają prawa, jak się z nimi trzeba liczyć i jak się zachowują. Ale żeby tak po prostu ludzie mieli prawo pytać, a władca musiał odpowiadać? O kurwa...

– I co to znaczy?

– Że nie mamy ludzi! Jak myślisz, dlaczego ty posłała do Lasu wasz pułk? Najpierw szkoląc go, wywołując wojenkę z Shah, żeby się baby ostrzelały? Nie lepiej byłoby tu przysłać sto czołgów, zbudować drogę i załatwić sprawę w Lesie definitywnie? Odpowiedź brzmi: Nie, bo nie mamy stu czołgów ani obsługi do nich.

– Ale sama widziałam...

– Co widziałas? – wpadł jej w słowo. – Na przykład niszczyciel a-210? Wspaniała nazwa wypisana na burcie literami jak woły. I... sugerująca, że mamy tu gdzieś pozostałe dwieście dziewięć niszczycieli minimum. Otóż uwierz mi, nie mamy. Nie wiem, ile tu pływa, ale wiem, że zakazano w ogóle misji transportowych w wykonaniu okrętów wojennych, bo żrą za dużo paliwa. Paliwa, którego nie mamy.

– Polska to kolos, którego brak paliwa nie powstrzyma.

– Być może. I jasne, że możemy przysłać tu prawie dowolną ilość wyposażonego wojska prosto z terytorium Polski. Tyle tylko, że momentalnie szlag trafi jakiegokolwiek tajemnice. A po drugie będzie to trwać Bóg wie ile. A po trzecie po co? Skoro potęgę Rzeczypospolitej tutaj buduje imperium.

– Co? – dała się zaskoczyć.

– No jak można tego nie widzieć? – Michałowski nie mógł uwierzyć, że ktoś może być tak ślepy. – Kto buduje drogi na Złe Ziemie? Wasi inżynierowie i robotnicy. Kto ochrania budowę? Wasza armia. No owszem, na samych Złych Ziemiach potrzebowaliśmy trochę niezależnego od nikogo wojska polskiego. Jednak skąd wziąć żołnierzy? No... łatwo kupić waszych weteranów i wyposażyć w naszą broń. A skąd wziąć oficerów? No przecież wasi są pod ręką. Trzeba ich tylko nauczyć innych regulaminów. Ale gotowe kadry już są.

Nachylił się nad ławą i powiedział, patrząc Shen w oczy:

– Siłę Rzeczypospolitej tutaj buduje imperium!

Shen westchnęła ciężko. A Michałowski postanowił ją dobić.

– Wiesz, kto dowodzi lotniskiem wojsk lądowych w Kong?

Kiedy zaprzeczyła, rzucił:

– Oficer w stopniu porucznika. – Znowu uśmiechnął się słodko. – Mamy takie braki kadrowe, że całym lotniskiem dowodzi młody porucznik. Bo w całym imperium nie było żadnego waszego oficera, który zna się na kontroli lotów!

Shen zerknęła na Kadira. Ten rozłożył ręce.

– To wszystko, o czym mówi nam pan oficer, rzeczywiście ma sens – szepnął. – I istotnie, kiedy tu się zacznie, to Rzeczpospolita nie ryknie głosem lwa i nie przyśle miażdżących sił.

Michałowski ponownie napełnił swój kubek z winem. Widać było, że trzeźwiał jednak w trakcie rozmowy. Najwyraźniej temat rozgrzewał go bardziej niż alkohol. Shen wyczuwała coś jeszcze. To zdjęcie razem, ta konkretna rozmowa. On najwyraźniej czuł sympatię do niej. Nie, nie do niej. Do rewolucji, odgadła.

– Skoro to zrozumieliście, to postarajcie się pojąć jeszcze jedną zasadę. My jesteśmy ludźmi bardzo pragmatycznymi. I zawsze uważamy, że walkę osiągnie się mniej niż za pomocą negocjacji.

Shen nie rozumiała, do czego zmierza. Natomiast po błysku w oczach Kadira można było mniemać, że on pojął myśl w lot. No przecież to jasne! I jakie proste! Przecież jakiś tam zagubiony na krańcach świata poruczniczyna, przytłoczony nadmiarem obowiązków, nie będzie chciał z nikim walczyć! Nie każe uruchomić karabinów maszynowych, które skoszą atakujących powstańców. Trzeba tylko do niego pójść i pogadać.



Przedstawić racje, dać gwarancje. A z tego wszystkiego, co dawał do zrozumienia Michałowski, oni chyba czuli sympatię do wszelkiej maści powstańców i tych, którzy walczą o wolność.

– A pana nie interesuje, kto będzie górą? – zapytał.

– W sensie?

– Marynarka wojenna czy siły lądowe?

Michałowski wzruszył ramionami.

– Ja z lotnictwa. Co mnie obchodzą ich wewnętrzne rozgrywki?

I wszystko jasne.

– No to napijmy się. – Shen podniosła swój kubek i polskim zwyczajem lekko stuknęła w kubek porucznika. – Żeby pańskie zdjęcie znalazło się w podręcznikach!

– Niech żyje rewolucja – odpowiedział na jej toast.

Wypili do dna.

– A tak nawiasem mówiąc – podjął po chwili – to sytuacja zapowiada się bardzo ciekawie.

– Czemu? – zainteresował się Kadir.

– Do pułku w Kong przyjechało kilkunastu czarowników. Wszyscy poszli z pułkiem na wyprawę do Wielkiego Lasu. Oprócz jednego.

– Po co go zostawili?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł porucznik. – W każdym razie byłem świadkiem, jak mu powiedziano, że marynarka wojenna ląduje w Banxi.

– I co?

– Nieźle. Zerknął na mapę, studiował coś długo, szepcząc jakieś modlitwy czy co tam, i powiedział: „Tamtędy nie przejdą!”.



## Rozdział 12



**P**ułkownik tatarski Selim Michałowicz, ubrany w mundur szeregowca zwiadu pokryty zimowym kamuflażem w biało–szare plamy, wyglądał bardzo kanciasto. Oczywiście mimo swojego wieku miał na sobie całe wyposażenie, jakie musiał dźwigać zwykły żołnierz. Przy jego kondycji dawał sobie radę, jeśli chodzi o wysiłek fizyczny. A widząc, jaki mir wzbudza jego strój wśród Tatarów, można było mu tylko zazdrościć. Proszę, zdawały się mówić ich oczy, pułkownik, a nie wynosi się. Nasz, swój wśród swoich.

Tomaszewski przeciwnie. Miał na sobie połowy zimowy mundur piechoty morskiej – idealnie, aż lśniący biały. Elegancki, z futrzanym wykończeniem kaptura. Nawet jego rękawiczki jaśniały nieskazitelną bielą.

Obaj panowie wyjaśnili sobie poprzedniego wieczoru przy butelce wódki zawilóści dowodzenia kombinowaną jednostką. Wzajemne stosunki postanowili oprzeć na linii Krzysiek – Selim, a nie pan komandor – pan pułkownik. I w związku z tym, skoro jest to operacja marynarki wojennej, dowodził nią będzie Tomaszewski, bez obawy, że ktokolwiek za plecami będzie podkopywał jego autorytet. No, niestety, czasy się zmieniały i nawet w wojsku należało wykorzystać trochę polityki.

Kai, która również załapała się na te „ustalenia dowódcze”, podczas których przeszła z pułkownikiem na ty, co jej strasznie imponowało, podeszła do nich czymś wyraźnie zaaferowana.

– Bogowie, widziałam wasze konie! Nie sądziłam, że takie zwierzę może w ogóle istnieć.

– Ano, dał dobry los nie zastrzelić wczoraj już żadnego więcej – powiedział Michałowicz. – Dzięki temu, że wyładunek mógł trwać cały dzień, już żaden nogi nie złamał.

– Ale ich wielkość... – Czarownica nie mogła wyjść z podziwu. – To prawdziwe bestie!

– To perszerony. – Pułkownik zaciągał po wschodniemu. – Tu, po waszej stronie gór, nie ma takich.

– Tak – zgodził się Tomaszewski. – Są sztucznie wyhodowane. Służą na przykład do zrywki drzew na stromych wyrębach. Tam, gdzie traktor nie da rady.

– Oj, tak. – Michałowicz uśmiechnął się na samą myśl o tych niesamowitych zwierzętach. – Niestety, są tak ciężkie, że podczas wodowania w przypadkowych warunkach dwa wczoraj utonęły, a dwa sami zastrzeliliśmy, kiedy się połamały.

– No i jeszcze jedna rzecz – dodał Tomaszewski. – Przytłaczająca większość ładunku, który dźwigają, to żarcie dla siebie.

– Co?

– To, co słyszałaś. – Uśmiechnął się radośnie. – Trawą takiego byka nie nakarmisz, choćby tu nawet i była trawa.

Kai nie zadała pytania: „W takim razie po co wam w ogóle te konie?”. Sama wiedziała aż za dobrze. Niosły trochę amunicji. No i... Poczwała dreszcze. Siły ekspedycyjne prawie nie miały zapasów żywności. Lekkie opóźnienie i to właśnie konie posłużą za żywność. Wzdrygnęła się na myśl, że miałyby jeść konia. Ciekawe, czy w ogóle potrafi się do tego zmusić? Z drugiej strony słyszała, że w przypadkach wszelkich obrzydzeń w takich sytuacjach porządny głód sam załatwia sprawę. A poza tym konie były przewidziane do ewentualnego transportu rannych oraz do przewiezienia dwóch największych problemów, jeśli chodzi o transport, które miała na głowie wyprawa.

Pierwszy i zdecydowanie mniejszy kłopot stanowił czarownik Meredith. Po reanimacji zbyt słaby jeszcze, by samodzielnie ponosić trudy wędrówki w ciężkim terenie. Poza tym uparł się, że i tak nie będzie nigdzie łązić, jak czegoś od niego chcą, to mają go zawieźć. Jeden perszeron miał więc już swój ładunek. Z czarownikiem jednak dało się współpracować. Co prawda

oświadczył, że żadnego ciepłego munduru nie będzie na siebie wkładał, zażądał czarnego płaszcza. Na szczęście z czarnymi płaszczami akurat marynarka wojenna nie miała żadnych problemów. Meredith dostał egzemplarz bardzo ciepły, elegancki, należący do któregoś z wyższych oficerów krążownika. Czarownik po ostrzyżeniu i ogoleniu wyglądał w nim bardzo wykwintnie. Pełnię obrazu dżentelmena burzyła jedynie czarna czapka dokerska, która mu się spodobała i którą uparł się nosić.

Drugi problem okazał się zdecydowanie gorszy. Siwecki wyraźnie powiedział, że transportowanie w zimie pacjenta cierpiącego na grypę to prosta droga do zapalenia płuc. A w konsekwencji w polowych warunkach prowadząca do zgonu. Wyszyńska jednak uparła się, że bez niej wyprawa nie ma sensu. Na próby wyjaśnienia, czym to najpewniej się skończy, prychała pogardliwie. Jej brak bojaźni przed śmiercią wzbudzał nawet pewien rodzaj szacunku wśród otoczenia. Jedynie Tomaszewski nie dał się zwieść. On wiedział, że cokolwiek stanie się z ciałem Wyszyńskiej, ona sama będzie żyć dalej. Gdzieś... Absolutnym priorytetem było więc dla niej wyłącznie wykonanie swojego zadania. A on sam też musiał rozwiązać tę tajemnicę i dla niego również wyprawa do świątyni dzikich bez pani inżynier była pozbawiona sensu. Dlatego też stał się jedynym orędownikiem jej udziału w zbrojnym rajdzie na przekór wszystkim wokół. W końcu przekonał opornych jednym argumentem. Powiedział, że skoro Wyszyńska jest na tyle władna, żeby załatwić do wsparcia wyprawy ciężki krążownik, to przecież wystarczy jej jeden radiogram, żeby wszyscy oficerowie, którzy chcą dalej dyskutować, momentalnie potracili swoje stopnie. Podziałało. Pani inżynier, pod szczególną opieką Siweckiego, owinięta w kilka koców znalazła się na brzegu.

– Zwiadowcy są już na górze? – Kai wskazała wysoki klif uniemożliwiający w miejscu lądowania wejście między drzewa na górze.

– Jasne, że są. – Selim skinął głową. – Kilkaset metrów stąd znaleźli nawet łagodne podejście. Będzie można łatwo wejść na górę razem z końmi.

– A co by się stało, gdyby takiego przejścia nie znaleźli?

Tomaszewski wzruszył ramionami.

– Po prostu trzeba by było wysadzić część klifu.

– A po co marnować trotyl nadaremno? – Michałowicz był najwyraźniej innego zdania. – Wystarczyłoby poprosić krążownik, żeby nam pomógł.

– Jak niby?

– Ano niechby wystrzelił dwa razy w to samo miejsce. I od razu zrobi się w klifie przejście łagodne i wielkie jak amfiteatr.

Kai potrząsnęła głową w niemym podziwieniu. Nigdy nie widziała efektu strzału z wielkiego okrętu wojennego. Ale po słowach Tatara poczuła się trochę lepiej, kiedy wyobraziła sobie pierwsze trzydzieści kilometrów przedzierania się w głąb lasu. W razie czego przecież zawsze będą mogli poprosić krążownik o pomoc i kazać mu zrobić amfiteatr w dowolnym miejscu. Bardzo krzepiąca myśl.

Tomaszewski rozłożył mapy wykonane na podstawie zdjęć lotniczych.

– No to co, Selim, prowadź pierwszą grupę.

– Nie ma sprawy. – Pułkownik również nachylił się nad mapą. – Tak jak się umówiliśmy. Tędy?

– Tędy. – Tomaszewski wskazał palcem trasę na górze.

Stary Tatar westchnął ciężko.

– Martwią mnie tylko te białe plamki. O, tutaj.

– To zamrożone jeziora przecież.

– Taa... – Dla tak doświadczonego zwiadowcy określenie „zamrożone jeziora” nie było w ogóle precyzyjne. – Tylko i wyłącznie na podstawie zdjęć lotniczych porządnej mapy nie zrobisz – powiedział z troską w głosie.



– Chodź, chodź. – Duon podbiegła do Nuk, która kończyła właśnie swoją przydziałową porcję ze wspólnego kotła. – Chodź. Dokończysz później.

– Co się stało?

– Będzie jakaś strasznie ważna rozmowa między polskim dowódcą a najstarszym z czarowników. Chciałabym, żebyś słyszała.

– Rozmowa o czym?

– Nie wiem. – Tłumaczka szarpaniem za ramię zmusiła Nuk, żeby ta wstała i odłożyła menażkę. – Jakies kłótnie są w dowództwie. Chcę, żebyś to usłyszała i co trzeba przekazała swoim.

Duon najwyraźniej traktowała łączącą je cichą umowę bardzo poważnie. Kupcy, których interesy reprezentowała, chyba naprawdę nie chcieli żadnych rozstrzygnięć na korzyść tej ekspedycji.

– A o czym rozmawiają? – Nuk dała się ciągnąć w stronę sztabu.

– Jeszcze o niczym. Beze mnie przecież nie zaczną.

No tak. Nie dało się odmówić tłumaczce podstawowej logiki. Nuk jednak ciągle miała wątpliwości.

– A jako kto ja tam będę występować? – spytała. – Tak o, po prostu, usiądę do stołu z nimi, żeby rozmawiać?

– No coś ty? Tuż obok ich namiotu zniesiono różne przedmioty, które dziewczyny zebrały wśród trupów napastników. A ty jako zwiadowca powinnaś je przejrzeć. No, że niby może znajdziesz jakieś rzeczy, które dostarczą ci informacji, naprowadzą na jakiś ślad czy cokolwiek.

– Dobra. Już kumam.

– No. To idź teraz przodem tak, żebyś była tam przede mną. Nie powinniśmy się pokazać razem, jedna z drugą.

– Jasne. Dam radę.

Nuk wysforowała się naprzód i szybko dotarła do namiotu dowództwa. Miał podwiniętą jedną ze ścian tak, żeby dym z najwyraźniej zepsutego piecyka wydostawał się na zewnątrz. W środku poza Baranowskim i pułkownik Thien rzeczywiście siedział najstarszy z czarowników, którzy dołączyli do ich wyprawy wojennej. Miał pobrużdżoną twarz i siwą, krótką brodę, którą skubał, siedząc z półprzymkniętymi oczami. Nikt się nie odzywał jak dotąd.

Nuk podeszła do stosu przedmiotów zebranych wśród poległych potworów. Sporo tego było. Udając nagle zainteresowanie, przykucnęła obok i ze zmarszczonym czołem zaczęła grzebać wśród wojennych pamiątek. Wokół kręciło się wielu żołnierzy i nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Chwilę później przyszła Duon.

– No i gdzieś ty była? – Baranowski rozłożył ręce. – Jak potrzeba, to nigdy nie można cię znaleźć.

– To trzeba mnie nie karmić konserwami! – odcięła się tłumaczka natychmiast. – Gdzie byłam? Tak? Mam powiedzieć gdzie przy wszystkich? I mam powiedzieć, co dokładnie robi z moim żołądkiem to mielone mięso?

– Żołnierze bardzo sobie chwalą.

– Ale ja nie jadłam dotąd brukwi, nie piłam wody z kałuży! Ja nie jestem żołnierzem!

– Oj, no... – Baranowski przechodził stopniowo na ton ugody. – Otworzę ci puszkę z owocami.

– Za późno! – Duon nie dawała sobie dmuchać w kaszę. Udając obrażoną, usiadła na krzeselku zrobionym z płótna naciągniętego na metalowy szkielet. – Żołnierze może i dotknęli samych Bogów za pięty, skoro po raz pierwszy w historii karmi się ich mięsem z przyprawami. Ale mnie od tych przypraw mdli! I gorzej jeszcze się dzieje – pomstowała w najlepsze. – Ja jestem córką kupca! U mnie w domu na obiad je się świeże produkty, które służy tego dnia na targu kupili prosto od chłopca!

– No dobrze, dobrze. – Baranowski gestami usiłował powstrzymać potok jej wymowy. – Wszyscy już wiemy, że bardzo cierpisz.

– Kto to widział, żeby mięso mielić i do blaszanych pudełek chować? To świniom i żołnierzom można na stół podawać, a nie córce kupca! Psiakrew! – Duon bluzgała po polsku i tylko dlatego Thien ani czarownik nie włączali się do dyskusji i nie musieli sobie wyobrażać świni, której podaje się posiłek do stołu.

– Dostyc. – Baranowskiemu w końcu udało się opanować sytuację. – Przystąpmy do wyjaśnienia tej sprawy. – Przeniósł wzrok na milczącego czarownika. – W czym mogę panu pomóc?

Stary, siwy mężczyzna powoli podniósł głowę.

– Musimy wyruszyć natychmiast – powiedział sucho.

Major ledwie widocznie wzruszył ramionami.

– Nic nas do tego nie zmusza.

– Zmusza charakter naszej misji.

– Nic o tym nie wiem. Ale widzę dwa rozwiązania naszego problemu różnicy zdań. Właśnie stoczyliśmy nocną bitwę. – Baranowski wstał z krzesła i podszedł do swoich bagaży. Przez chwilę szukał czegoś w największej torbie. Zaraz potem rzucił na metalowy stół niewielką książeczkę w miękkiej oprawie. – To jest regulamin polowy wojska polskiego. – Zajął na powrót swoje miejsce i kontynuował: – Mówi on wyraźnie, prosto, jasno i precyzyjnie: po bitwie ranni muszą zostać zabezpieczeni. Należy im udzielić pomocy medycznej i zadbać o transport na zaplecze.

– Ale my musimy ruszać natychmiast.

– Dlaczego?



Czarownik opuścił głowę dla namysłu, błyskawicznie wykorzystał to Baranowski.

– Proszę się nie trudzić nad wymyślaniem odpowiedzi. Bo ja pana z góry zapewniam, że dzisiaj nie ruszymy dalej. Ten regulamin sprawia, że moim obowiązkiem jest opatrzyć rannych i zapewnić im odpowiednie warunki. A ja ich na śniegu pod drzewem nie zostawię. W obecnej sytuacji jedynym wyjściem jest zbudowanie tutaj prowizorycznej stancy, opatrzenie jej wojskiem i zostawienie rannych pod opieką do czasu, kiedy zabierze ich wracający konwój zaopatrzeniowy. I w związku z tym wyruszymy dopiero jutro.

– Z niechęcią przypominam, panie, że nie ty tutaj dowodzisz. To ciągle jest jednostka armii imperium. – Czarownik zerknął na pułkownik Thien, która poruszyła się niespokojnie.

– Owszem – zgodził się Baranowski. – Proszę zatem o skłonienie pani pułkownik, żeby wydała rozkaz, że rezygnuje z mojego doradztwa. Natychmiast razem z resztą Polaków wskakuję do pojazdów opancerzonych i zawracamy. W Kong wsiadam do samolotu i lecę do Negger Bank, a jutro już składam meldunek mojemu dowódcy. A wy zostajecie tutaj bez naszego zaopatrzenia, a być może także bez waszego, bo nie wiem, czy jesteście w stanie coś tu sobie dosłać.

Baranowski wydawał się wyraźnie wkurzony, jednak Nuk chyba znała go już trochę. Ewidentnie udawał zdenerwowanie. Dobrze wiedział, że nikt nie zrezygnuje z polskiego wsparcia, bo jeśli ono się skończy, to pułk skończy również. Dokładnie tak jak korpus ekspedycyjny w Wielkim Lesie doliny Sait.

– Przecież rannych można zostawić pod strażą. Niech czekają na przybycie konwoju.

– I zaprosić dzikusów w ten sposób, żeby najbliższej nocy dokonali zemsty, mordując bezbronnych?

– Zostaną strażę – powtórzył czarownik.

– Cały pułk ze wsparciem moździerzy ledwie się obronił, a ty chcesz zostawić garstkę dziewczyn samotnie na mrozie?! Na żer czy dla odwrócenia uwagi od twojej misji? – Baranowski teraz naprawdę się rozżłościł. – Zostaną. Ale w porządnej stancy. Ruszamy dalej dopiero jutro!

Jakby na potwierdzenie jego słów lekki wietrzyk przyniósł ze sobą odgłos siekier i pił od strony lasu. A także stukanie saperskich młotów.

– Nie rozumiesz powagi sytuacji, panie. – Czarownik pozostawał spokojny.

– Liczę w takim razie, że mnie pan oświeci.

– Moje zadanie jest tajne.

Baranowski uspokoił się nagle.

– Ma pan więc dwa wyjścia – powiedział z uśmiechem. – Albo mnie pan wprowadzi i wyjaśni, co aż tak ważnego skłania pana do ryzykowania życia ludzi. Albo zachowa pan tajemnicę dalej, ale w tym wypadku podporządkuje się pan moim rozkazom bez szemrania!

– Przypominam po raz drugi, że nie ty tu dowodzisz, panie. – Czarownik przez cały czas usiłował zachować idealny, posągowy spokój. W przeciwieństwie do Baranowskiego, który ryknął:

– Mam wsiąść do swojego pojazdu i wrócić?! Jak jesteś taki mądry, to zadecyduj sam, ważniaku! Czy mam teraz wsiąść do pojazdu opancerzonego? Pojutrze będę w Negger Bank, a za trzy dni rozkaz o oddzieleniu twojej głowy od ciała opuści cesarski pałac! Wiesz, że się tam nie patyczkują? Nie wspominając, że cała ta misja pójdzie się paść po prostu.

Jakaś zadawniona złość musiała istnieć między kupcami a czarownikami. Może chodziło o to, że ci pierwsi uważali tych drugich za panoszących się darmozjadów? A może o coś innego? Trudno zgadnąć. W każdym razie nic nie mogło sprawić większej przyjemności tłumaczce. Duon przekładała słowa majora, szczególnie kwestię o oddzielaniu głowy od ciała, z dziką satysfakcją, patrząc prosto w oczy czarownika.

Pułkownik Thien, jak zeszywniała podczas początku tej wymiany zdań, tak i pozostała. Wydawało się to śmieszne dla patrzącego z boku, lecz dowódca pułku najwyraźniej bała się zabrać głos w spornej kwestii. Należała do starej cywilizacji, gdzie Rada Czarowników była czymś niedosiężnym, dysponującym władzą nie z tego świata. Duon przeciwnie. Co chwila zerknęła na Baranowskiego, demonstrując swój bezczelny wyraz twarzy, jakby chciała go podniecić: „Dołóż mu! Dołóż mu jeszcze!”.

Stary człowiek jednak panował nad sobą.

– Panie – zdawał się ignorować, że przeciwnik w dyskusji raz mówi do niego per pan, a raz na ty, w zależności od stopnia zdenerwowania. –

Musimy dotrzeć do świątyni Wielkiego Lasu przed określonym terminem.

- Mniej więcej mam to wyszczególnione w rozkazie.
- Lecz tu chodzi o konkretny dzień, a nie mniej więcej.
- Pan wie lepiej, co mieli na myśli moi dowódcy, wydając rozkaz?
- Zapewniam, że nie. Jednak wiem, jaki jest prawdziwy cel naszej misji.
- No to słucham.

Starzec z opaską mistrza tym razem się nie wahał.

– W świątyni jest magiczny ołtarz. W zależności od rodzaju próśb zanoszonych do Bogów przykrywa się go coraz to innym całunem. Był kiedyś jednak całun szczególny. Jeden jedyny, absolutnie wyjątkowy. Przykrycie ołtarza właśnie nim otwierało drogę złu. Ale był wykorzystywany przez Bogów w im tylko wiadomych celach. I mędrcom sprzed tysięcy lat przerazili się tej mocy. Wiedzieli, że człowiek nie będzie umiał nad nią zapanować. Całunu nie sposób było zniszczyć. Nie miał się go ani ogień, ani żelazo, ani kwas. Mędrcom jednak udało się go podzielić na małe części. Każdą z nich ukryli w samych matecznikach magii Bogów. Każdy fragment w sercu innego Wielkiego Lasu.

Baranowskiemu musiało coś zaświtać, bo zmarszczył brwi. Najwyraźniej wywiad sił lądowych poinformował go o zainteresowaniach marynarki wojennej.

– I wszystko byłoby dobrze, porządek rzeczy zostałyby zachowany – kontynuował stary mistrz. – My pilnowaliśmy układu, a motto naszego cechu to: „Czarownik jest po to, by utrzymywać porządek rzeczy”. Powtarza się to wszystkim adeptom od pierwszych chwil. Ale, niestety...

– Przyleciał stratosferyczny księżę? – domyślił się Baranowski. Najwyraźniej musiał dokładnie studiować wszystkie raporty.

Czarownik przytaknął.

– Podniebny Podróżnik w swoich badaniach zainteresował się starym całunem. Składał mozaikę element po elemencie. Analizował legendy, rozmawiał z kapłanami, szukał po bibliotekach. I nawet częściowo odkrył prawdę. Sam jeden podjął niezwykle ryzykowną wyprawę aż tutaj. Do Wielkiego Lasu na płaskowyżu Banxi. I dowiedział się prawdy o ołtarzu.

Baranowski wzruszył ramionami.

– Sam jeden – mruknął. – Podziwiam gościa, widząc, jakie kłopoty mamy, wkraczając tu siłami pułku.

– Sam jeden – potwierdził mistrz. – Ale on nigdy niczego nie robił siłą. Miał ze sobą totemy Lasu w Sait, który również odwiedził. On przyszedł w przyjaźni. Jako gość.

– Tym bardziej go podziwiam.

– Tak, to był naprawdę wielki człowiek. – Starzec pochylił głowę z szacunkiem. – Szkoda, że poświęcił swe życie, by służyć złu.

Thien drgnęła, nieprzygotowana na taki obrót sprawy. Duon uśmiechnęła się cynicznie. Baranowski po raz chyba pierwszy zerknął na swojego rozmówcę z zaciekawieniem.

– Podniebny Podróżnik odnalazł część całunu, która znajdowała się tutaj. W świątyni w tym Lesie. I położył ją na ołtarzu.

– A zło przedostało się do naszego świata? – spytał Baranowski z powagą.

Wszyscy wzięli to za dobrą monetę. Tylko Duon wiedziała, że major po prostu kpi, i z trudem powstrzymała się, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Dwa światy zostały połączone. Dwa światy, które nie miały połączyć się teraz.

– Mówisz o Górach Pierścienia? I Rzeczypospolitej, która przybyła tu na okrętach z żelaza?

– Nie. – Starzec zaprzeczył ruchem głowy.

– Hm. To coś nowego.

– Również nie. To historia starsza niż świat. Historia stworzenia.

– Czego nie rozumiem? – zapytał Baranowski, teraz po prostu zaciekawiony.

– My i wy zostaliśmy stworzeni przez Bogów. W akcie moralnym, powstaliśmy z ładu, przemyśleń i filozofii. Zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Bogów. Niestety, Seph, syn najstarszego ze Stwórców, miał inny plan. Nie potrafił sam powołać do życia innej rasy, więc umieścił potomstwo swoich chorych przemyśleń gdzieś daleko, w ukrytym świecie. Obdarzył rozumem zwierzęta. Ich inteligencja wykluła się w drodze ewolucji. Nie zna więc pojęcia ładu, nie ma odniesień do miłości, sprzyjania, do żadnych ludzkich cech. Amoralna i zwierzęca w swej naturze, powstała podczas rzeźni na polu bitwy, gdzie wszyscy zjadali wszystkich. Nie zna zatem pojęcia litości. Zasady niezmiennego trwania są dla niej wstrętne! Zabić, żreć, mieć coraz więcej! To jedyne reguły, które obowiązują w ich świecie. Zabić, żreć, mieć. Żadnych innych celów nie

mają. Niestety, mają za to błyskotliwą inteligencję, wytrenowaną w radzeniu sobie na polu bitwy.

– I Osiatyński co?

– Był tu w czasie wielkiej koniunkcji. My też musimy.

– I co się stanie po tej określonej dacie?

– Nikt tego nie wie. Wiemy, że podniebny księżę odbył swoją wizytę w okresie koniunkcji. I stało się wtedy coś strasznego. Czarownicy więc muszą tam dotrzeć na czas. Na powtórny koniunkcję.

Baranowski wzruszył ramionami. Rozejrzał się, jakby szukając poparcia wśród obecnych. Jedyne jednak sprzyjającym spojrzeniem, które napotkał, był wzrok jego tłumaczki, Duon.

– Czy ja dobrze zrozumiałem? – Major miał minę jak po zjedzeniu kilku cytryn. – Z powodu jakichś legend i guseł chce pan zostawić rannych żołnierzy na mrozie pod osłoną zestrachanych wartowników, których patrol wroga wykończy pierwszej nocy? Czy ja śnię?

– To sprawa więcej niż wagi państwowej. Tu chodzi o nasz świat!

– Człowieku, czy ty w ogóle masz pojęcie, co się stanie z morale pułku, kiedy dziewczyny zobaczą, że ranne koleżanki zostawiamy ot tak – pstryknął palcami – pod drzewem, na zatracenie?

– Taki jest los żołnierza od tysięcy lat! Poświęcić się dla imperium!

– I ty mówisz o amoralnych zwierzętach z rozumem? A kim sam jesteś?

– To cesarska wola! – czarownik dał się jednak sprowokować. – I proszę się jej podporządkować, panie oficerze!

Baranowski, wściekły nagle, uderzył pięścią w stół. A konkretnie, w leżącą na nim niewielką książeczkę w miękkiej oprawie.

– Na szczęście mnie obowiązuje regulamin połowy wojska polskiego, a nie spis, kurwa, guseł! A regulamin nie pozwala zostawić rannych! – Major zorientował się, że przeklął, i zerknął na Duon. – Przetłumacz oczywiście bez słowa „kurwa”.

– Tak jest! – Córka kupca uśmiechnęła się promiennie i zwróciła jaśniejącą radością twarz wprost do starca: – Pan major raczył powiedzieć: „Wypierdalaj, skurwysynu!”.



Meredith był zachwycony. Perszeron, którego dosiadał, był absolutnie największym i najsilniejszym koniem, jakiego zdarzyło mu się kiedykolwiek widzieć. A do tego koń okazał się wzorem spokoju. Nie szarpał, nie szarżował, nawet nie biegł. Widać było, że nie jest złośliwy. To nie koń, lecz istny cud świata! Meredith miał wrażenie, że pod jego wątlym ciężarem zwierzę w ogóle się nie męczy. No tak, ale zważywszy, że zostało wyhodowane do zrywki drzew i ciągnięcia wielkich armat, to trudno się dziwić.

Wyszyńska przeciwnie. Gorączka nie pozwalała jej siedzieć normalnie. Trzęsącą się i spoconą musiano umieścić na grzbiecie w specjalnie dla niej zbitej konstrukcji z drągów. Każdy kołyszący krok zwierzęcia zdawał się powoli wytrząsać z niej życie. Siwecki niewiele mógł pomóc. Naćpał ją tylko czymś do tego stopnia, że była praktycznie nieprzytomna.

Kai za to czuła się doskonale. Meredith zablokował niszczący wpływ niekończącej się bezsenności i Tatarzy wraz z piechotą morską posuwali się naprzód żwawo. Odległość od celu malała z każdą godziną, co wszystkich napawało optymizmem. Mimo szczupłych sił nikt dzikusów się nie bał. Już pierwszej nocy na brzegu okazało się bowiem, że na zimnie prymitywne noktowizory nie przegrzewają się i działają całkiem przyzwoicie.

– Panie komandorze! Panie komandorze!

Biegący od czoła Tatar zatrzymał się i zasalutował służbiście.

– Melduję, że czołówki napotkały głęboki parów ciągnący się poprzecznie do kierunku marszu.

Tomaszewski przyłożył kompas do mapy, błyskawicznie ją orientując. Oczywiście na kolorowej płachcie żadnego parowu nie było. Cholerne zdjęcia lotnicze. Nie są cudowne. Nie można po prostu sfotografować czegoś, co jest ukryte pod pokrytymi śniegiem gałęziami.

– Nie da się go sforsować?

– Ludzie może by i przeszli, ale zwierzęta za żadne skarby, panie komandorze. Chyba żeby kładkę zbudować.

Nieglupi pomysł. Tomaszewski miał raporty od Nuk umieszczonej w wyprawie wojsk lądowych. Ta cwaniara nawet znalazła jakiś sposób, żeby poprzez stację na okręcie podwodnym informować go o postępach tamtych przez radio. Wiedział więc, że mają opóźnienie.

– No dobra. Na razie wyślijcie patrole w obie strony. Może uda się ten parów obejść.

– Tak jest! – Zwiadowca znowu zasalutował sprężysto i ruszył w drogę powrotną.

– Co? Przeszkoda jakaś? – Z boku podszedł Selim Michałowicz.

– No niestety. Wysłałem patrole, jednak obawiam się, że jeśli będzie więcej takich przeszkód, to załapiemy straszną zwłokę.

– E tam. – Pułkownik tatarski tylko machnął ręką. – Ja to się bardziej boję tych jezior pod śniegiem.

– Czego się bać? Przecież zamarznęte.

Michałowicz parsknął śmiechem. W geście przyjaźni otoczył Kai ramieniem i zaczął tłumaczyć.

– Widzisz, panienko, ci Polacy mają osobliwą amnezję. Takie same jeziora i u nas napotykali i niczego się nie nauczyli.

– Jak to? Jak to u was? – Dziewczyna spojrzała na starego wojaka z wielkim zainteresowaniem.

– No bo widzisz, panienko. Wyobraź sobie polski oddział, który idzie przez las, żeby pacyfikować tatarską wieś.

Kai wybałuszyła oczy bez słowa.

– A polska piechota to ciężka jak skaranie boskie. Taki żołnierz ma na sobie wszystko. I karabin, i amunicję, i żarcie, zaopatrzenie, i całą masę najbardziej w jego mniemaniu potrzebnych kłopotów. To ciężki jest i po pas w śniegu grzęźnie. A w lesie dziury, wądoły i gęste krzaki. Polskim paniskom niewygodnie się przedzierać. No to jak widzą wolną przestrzeń przed sobą, to na nią wyłażą. Licząc na swoją makabryczną przewagę ognia. Oni nawet łopaty ze sobą dźwigają i okopać się mogą na pustym stepie, nic im nie zrobisz. A jak zobaczą zamarznęte jezioro, to najlepiej przez środek im iść. Do pacyfikacji będą mieć bliżej. I nikt ich cichcem nie podejździe, bo dookoła wszystko widać i mogą każdego ustrzelić.

– To wy naprawdę walczyliście ze sobą? – zapytała Kai zafascynowana opowieścią.

– Od setek lat. – Pułkownik ucieszył się, że ma tak wdzięcznego słuchacza. – Polak i Tatar to dwóch odwiecznych wrogów. Od zarania.

– A co z tym jeziorem?

– No właśnie. Polacy samym środkiem, liczą, że mróz tęgi, ale nie widzą, w mieście chowani piechociarze, że lód pod śniegiem grubym. Nie na amen związał. Co z tego, że zimno, kiedy im się na samym środku pod nogami rozkruszył i załamał? I kapać się w zimie zaczęli.

– O Bogowie.

– No i tak właśnie. Oni mieszcuchy. Jak łód na rzece, to se na łyżwach po prostu jeździli w tych swoich wielkich miastach. Mamusie im nie powiedziały przy ciepłych kominkach, że się na pokryte śniegiem jezioro nie wchodzi. No a jak już się weszło, to się człowiek skąpie, a nam pozostawało tylko z brzegu do nich strzelać. – Tatar rozłożył ręce. – Pływając, z karabinu odpowiedzieć się nie da. I na nic od razu ta cała ich przewaga ognia nad naszymi strzałami.

– I naprawdę tak strasznie ze sobą walczyliście? – Kai przeniosła wzrok na Tomaszewskiego.

– Oj tam. Napadały nas dzikusy, dwory paliły, kobiety gwałciły, a ludzi w jasyr brały. Tośmy ich gonili.

– Pacyfikując wsie?

– Te parę namiotów to zaraz wsią bym nie nazwał. – Tomaszewski skrzywił się lekko. – Ale faktycznie, według ówczesnych źródeł paliły się łatwo.

– Ty nas od dzikusów, Krzysiek, nie przezywaj. – Michałowicz uśmiechnął się radośnie. – Moja cywilizacja starsza od twojej że ho, ho! Kiedy myśmy rządili na stepach, to Polacy jeszcze korzonków jadalnych po lasach szukali!

– A później się ta wasza cywilizacja rozwinęła że ho, ho! – Tomaszewski parodiował Michałowicza. – Do samego końca żeście z nami walczyli jak Indianie! A żyli w namiotach.

– O? Jeden z drugim se w Polsce kościół wymurował czy ratusz i już sądzi, że to kultura. Otóż murowany kościół albo ratusz też dawaliśmy radę spalić.

Kai przenosiła wzrok od jednego do drugiego.

– Bogowie... Co się tam u was wyrabiało – szepnęła. – No a co sprawiło, że teraz jesteście razem? Polacy wygrali?

– A gdzie tam! – zaperzył się nagle Michałowicz. – Oni z nami? Wygrali?! Nigdy w życiu stopa Polaka nie deptała naszego matecznika. No chyba że Polak był prowadzony na sznurku.

– Więc co się stało?

Tomaszewski popatrzył kpiąco, a pułkownik tatarski skrzywił się tylko, odchrząknął i splunął na bok.

– Nie mogli nas zwyciężyć, to, cwane juchy, przekupili.



Nie mogła uwierzyć.

– Pieniędzmi?

– A żeby jeszcze pieneźdzmi – westchnął. – Ani grosza nie wydali.

– No to jak? – Czarownica nie mogła opanować ciekawości.

Tatar smętnie pokiwał głową.

– Pokazali nam, jak mają u siebie. Jak żyją. Pokazali, co to jest złota wolność. Co to jest być samemu sobie panem. I obiecali, że u nich będziemy wolnymi ludźmi, a nasi wodzowie zostaną szlachcicami. No i przed moimi przodkami pojawił się wybór. Być dalej rabami, niewolnikami chanatu, których można wysłać na śmierć ot tak – pstryknął palcami – czy też wybrać złotą wolność i to, że każdy decyduje o sobie.

Kai zaczęła się śmiać.

– No to wybór rzeczywiście nie był trudny – powiedziała.

– Moi przodkowie okazali się jednak pragmatykami. – Tatar niechętnie skinął głową. – Zachowali się racjonalnie i dlatego ja mam jeszcze tradycyjne imię. Ale nazwisko już polskie.

Przerwał im powrót zwiadowców i zabawna konsternacja: komu mają zasalutować pierwszemu, swojemu dowódcy czy komandorowi marynarki. Tomaszewski na szczęście wybawił ich z opresji, dając znak, żeby pominęli oddawanie honorów. Podsunął im mapę.

– I jak?

Starszy z Tatarów pokazał palcem.

– W kierunku wschodnim doszliśmy aż tutaj. Jest coraz gorzej i coraz bardziej stromo. Na zachodzie trochę lepiej. Ale weszliśmy na wzgórze, skąd jest szersza perspektywa, i ten parów zdaje się nie kończyć.

– Rozumiem.

– I co teraz? Usiłujemy obejść? – spytał pułkownik.

– W ten sposób z pięćdziesięciu kilometrów do celu zrobi się pięćset.

– No właśnie. A budowa kładki zajmie cholernie dużo czasu.

Tomaszewski zsunął kaptur i podrapał się po głowie. Patrzył ciągle na mapę, jakby ta miała nagle ukazać mu swoje magiczne właściwości i ujawnić, jakie jeszcze niespodzianki kryją się pod ośnieżonymi gałęziami drzew.

– Wiesz od szpiega Shen, że wojska lądowe też mają opóźnienie. Budujmy więc kładkę. I tak nas nie wyprzedzą.

– Dobra. Ale kto ci, Krzysiu, zagwarantuje, że dalej nie będzie już innych parowów?

– Przemyślałem to. – Tomaszewski podniósł głowę znad nieprzydatnej mapy. – Nakażę jutro zrzuty z powietrza. Niech samoloty obserwacyjne krążownika dostarczą nam trotyl i odtąd brzegi dalszych parowów będziemy wysadzać, wyrównując przejście.

Michałowicz cmoknął tylko.

– Kolejne kilogramy do taskania na plecach – mruknął. – Kolejne opóźnienia w planie marszruty.

– Jeśli tych parowów będzie więcej, to zmieniamy kurs. – Tomaszewski uderzył dłonią w białe plamki na mapie, zaznaczone dokładnie, bo w tych miejscach było z powietrza dość dobrze widać. – I pójdziemy przez zamrożone jeziora.

Michałowicz powoli i spokojnie położył Tomaszewskiemu rękę na ramieniu i spojrzał prosto w oczy.

– Ty się niczego, Polaku, nie nauczyłeś z własnej historii – powiedział cicho.

– Nie przeginaj, Selim. Jest mróz, wszystko ścięte na beton! Nic mnie nie obchodzi legendy o waszych bitewnych przewagach, które opowiadają przy kominkach tatarskie kobiety swoim wnukom.

– No cóż. Ja tam zahartowany, pływam w lodowatej wodzie każdej zimy, więc nie utonę – powiedział Tatar. – Ale co z wami? – Uśmiechnął się kpiąco. – No dobra... – Zdjął rękę z ramienia Tomaszewskiego i machnął dłonią. – Idę przypilnować budowę tej kładki.

Kiedy odszedł, Kai odezwała się do Tomaszewskiego:

– Naprawdę się nie boisz tych jezior, Krzysiek?

Uśmiechnął się.

– Wiesz, po latach i w legendach każda wygrana kiedyś potyczka urasta do rangi walnej bitwy narodów, w której zmasakrowało się przeciwnika do cna. A Tatarzy mają zdolność do koloryzowania swoich opowieści.

Odpowiedziała uśmiechem.

– A rzeczywiście są takim dobrym wojskiem?

– Znakomitym. W pewnych kwestiach niezastąpionym.

– W kwestiach zwiadu? – dopytywała.

– To też – mruknął. – Ale są i inne dziedziny, w których okazują się niezbędni.

Nie chciał się rozwodzić nad sztabowych określeniem oddziałów tatarskich, które brzmiało wprp. Można to przetłumaczyć jako Wściekłe Psy Rzeczypospolitej, ale nie trzeba. Sam enigmatyczny skrót wystarczy. W różnych konfliktach często występują sytuacje, kiedy trzeba się zachować stanowczo i wyjątkowo brutalnie. A rp bardzo by nie chciała ubrudzić swoich śnieżnobiałych rękawiczek. I wtedy niezmiennie ktoś w sztabie rzuca pytanie: „Co zrobimy?”. Niezmiennie też pada odpowiedź: „Zastosujmy wprp”. Zawsze potem można oficjalnie powiedzieć: „Jakie znowu zbrodnie? To przecież nie my”. No oczywiście śledztwa później toczą się latami. Lecz przecież Selim wyraźnie powiedział o złotej wolności. Każdą winę trzeba przecież udowodnić, trzeba mieć świadków. A Tatar na Tatara nie doniesie. Polscy oficerowie natomiast przypadkiem byli wtedy odwróceny i nikt niczego nie widział. No i klops ze śledztwem.

– Rozmawiałaś z Meredithem? – zmienił temat. – Jak znosi podróż?

– Znakomicie. Mówił mi, że po wszystkim chce od was dostać tego konia, na którym jedzie.

– Nie ma sprawy. A Wyszyńska? Jak oceniasz jej kondycję?

Kai spoważniała nagle.

– Widzisz... Z nią jest coś dziwnego.

– Co takiego? – zainteresował się żywo Tomaszewski.

– Siwecki siedzi przy niej w nocy, bo naprawdę nie jest dobrze. Ja też nie mogę spać.

– Ty?

Wyjaśniła mu, że nie chodzi o wpływ tajemniczych sił, który wykończył całą załogę „Gradienta”, a przynajmniej był jednym z ważniejszych czynników. To, że mają Mereditha, zgodnie z przewidywaniami Kai zneutralizowało ten wpływ. Ponad tysięcletni czarownik radził sobie dobrze ze źródłem tego zjawiska. Sam jeden. Co było niezłym wynikiem, zważywszy, że siły lądowe potrzebowały do osiągnięcia tego samego efektu aż kilkunastu czarowników z wielkimi skrzyniami zawierającymi wota. Bezsensowność Kai wynikała z czegoś innego. Tu, w Wielkim Lesie, jej wrażliwość ulegała wyostreniu. Podobnie jak w Sait, gdzie mogła poczuć swoją koleżankę sprzed setek lat i dowiedzieć się czegoś o jej działalności. Słyszała wokół szeptu ludzi, którzy od dawna nie żyli, przemawiały do niej drzewa, parowy i wąwozy. Czuła, tak, to dobre określenie: czuła echa

przeszłych zdarzeń. I dlatego też wolała spędzić noc, rozmawiając z Siweckim, niż męcząc się sama w namiocie.

– I co zauważyłaś u Wyszyńskiej? – zapytał.

– Coś ją dręczy w malignie spowodowanej gorączką.

– To chyba trudno się dziwić?

– I tak, i nie. Kiedy nasz doktor usnął, przysłuchiwałam się uważnie temu, co mówi. No... mówi to zbyt górnolotne określenie.

Popatrzył na czarownicę uważnie.

– I co wyłowiłaś z pojedynczych słów i pojękiwań? – zakpił delikatnie.

– Ona powtarza ciągle słowa: „dzieci moro”, „wyspa”.

– „Moro”?

– Z dziwnym akcentem.

– Więc może Moreau?

Kai wzruszyła ramionami. Język francuski był dla niej rzeczą obcą.

– A mówi ci to coś?

Tomaszewski zaprzeczył ruchem głowy.

– Nic. A jesteś pewna, że dobrze słyszałaś? Człowiek w malignie nie mówi wyraźnie.

– Jestem pewna. Dzieci Moreau. Wyspa. Ekipa. Ludzie nas zabijają. Doktor. Głosy, głosy...

Tomaszewski wyjął z kieszeni swoją papierośnicę. Obracał ją w palcach zamysłony. Potem zapalił papierosa.

– I to wszystko?

Kai zrozumiała, że to, co opowiedziała, szczególnie w świetle dnia, nie brzmi ani przekonująco, ani konkretnie. Przez chwilę zastanawiała się, co zrobić.

Nareszcie wpadła na pomysł.

– Może chodźmy do Mereditha. On ci lepiej wyjaśni, o co chodzi z tymi głosami.

– Dobra.

Tomaszewski zaciągnął się głęboko, czując nieprzyjemne ukłucia w płucach. Papieros jak zwykle nie smakował mu na mrozie. Brnąc w płytkim śniegu pod drzewami, ruszyli w stronę stanowisk, które dowódca kolumny marszowej przewidział dla cywilów.

– Wiesz co? – powiedziała Kai nagle. – Czuję, że dzisiejszej nocy zdarzy się coś niezwykłego.

Spojrzał na nią z nutkami wesołości w oczach.

– Wiesz co? – sparodiował ją mimowolnie. – Nie jesteś osamotniona w tym odczuciu.

Czarownica zrozumiała nagle i zaczęła się śmiać. No tak. Wylądowali szczupłym oddziałem w samym sercu wrogiego terytorium. Wyjątkowo zajadłym wobec obcych przeciwnikom beczelnie podsunęli pod nos łątki i tłusty kąsek, w sam raz do nabicia na rożen. Nic więc dziwnego, że każdy spodziewał się jakiejś ostrej akcji ze strony niegościnnych gospodarzy. I to jak najbardziej niezwyklej.

Machnęła ręką. Na szczęście widzieli już Mereditha gładzącego swojego konia. To wyglądało na prawdziwą miłość. Bardzo stary człowiek używał zgrzebła delikatnie i ostrożnie, a wierzchowiec przyjmował te zabiegi z filozoficznym spokojem. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że czarownik spotkał chyba pierwszą bliską istotę po tylu latach samotności.

– Mistrzu?

Meredith odwrócił głowę. Swoją czapkę dokerską zamienił na taką z daszkiem, również czarną. Słońce prawie nie przebijało się przez chmury, ale śnieg wokół powodował drażniący spojówki rozproszony blask. Dlatego czarownik miał dodatkowo na oczach ciemne okulary o szklach idealnie okrągłych, jak dwie monety wykonane ze smoły.

– Czego chcesz, Muszko?

– Mistrzu, ja do ciebie jak zwykle i zawsze. O pomoc prosić.

Starzec uśmiechnął się, widząc jej pokorę, mimo że przecież sama miała czoło ozdobione opaską mistrza. I bez znaczenia było, że rzecz została załatwiona różnymi naciskami, a nie jej kunsztem. Jeśli ktoś potrafi załatwić sobie coś takiego choćby i intrygami, to i tak tytuł mu się należy. Bo to jest właśnie kunszt, choć niekoniecznie czarnoksięski.

– O co chodzi tym razem?

– Nie potrafię wyjaśnić Krzyškowi tego, że słyszę głosy wśród tych drzew.

Meredith odrzucił zgrzebło do swojego plecaka, który wisiał na pobliskiej gałęzi.

– I nie wyjaśnisz nigdy – powiedział spokojnie. – To pojęcia niedosiężne dla kogoś, kto wychował się w tak bardzo innej kulturze. Dla pana komandora czary już zawsze będą miały posmak kuglarstwa. – Starzec skrzywił się lekko. – Po części i słusznie zresztą – dodał jakby wbrew

sobie. – Jednak samo pojęcie istoty magii dla całego jego społeczeństwa pozostanie pustym słowem, kojarzącym się z oszustwem, jeszcze przez paręset lat, zanim trafi do słownika pospólstwa jako pojęcie potoczne oznaczające ludową mądrość.

– Setki lat?

– Albo więcej. Zresztą a czy u nas jest inaczej? Dla gminu magia to coś w rodzaju cudotwórstwa. A odpowiedz mi szczerze, Muszko, czy jako czarownica jesteś w stanie sprawić cud?

– No przecież, że nie!

– No właśnie. Ale musisz pogodzić się zarówno z faktem, że gmin nigdy cię nie zrozumie, jak i z tym, że nigdy nie przeniknie się kultura nasza i pana komandora. Nigdy tak do końca. Chyba że któraś zje którąś. Wchłonie.

– I nie ma innej drogi?

– Nie ma. Dla nas magia jest istotą, podstawą i prapoczątkiem wszystkiego. Dla kultury pana komandora jest kłamstwem i zabobonem. On podstawy swej kultury w racji widzi. W racji – powtórzył. – W racjonalizmie.

– No ale ja już widziałem czary w działaniu – włączył się do rozmowy Tomaszewski. – Widziałem na własne oczy, jak działają czary.

– To niech się pan zdecyduje, panie komandorze – odpowiedział mu uprzejmie czarownik. – Widział pan tylko czy jest pan w stanie udowodnić ich istnienie? Bo tego wszak racjonalizm wymaga.

– A to takie istotne, panie mistrzu?

Meredith uśmiechnął się, słysząc ostatnie określenie.

– A ja widziałem kiedyś rzecz osobliwą, też na własne oczy – powiedział. – Otóż byłem naocznym świadkiem, jak zwykły kuglarz, człowiek zarabiający na życie pokazywaniem sztuczek na targu, uleczył pewną kobietę z prawdziwej, ciężkiej choroby. Przysięgnę na wszystko, że nie użył przy tym żadnej magii. Bo nie umiał. Zresztą stałem tuż obok, wiedziałbym, co się dzieje. A on uleczył chorą kobietę, po prostu wmawiając jej, że to potrafi. I sztuczki pokazując. On ją zwyczajnie oszukał, dar wymowy miał i przekonywania. No i wykorzystał to, wmawiając śmiertelnie chorej kobiecie, że jest zdrowa, i ona rzeczywiście wyzdrowiała. Uwierzyła mu i sama poradziła sobie z chorobą.

– Też znam takie przypadki.

– No to sam pan widzi. Ale czy to dowodzi, że każdy kuglarz na targu jest lepszym lekarzem niż pan doktor Siwecki?

– No...

– Za przeproszeniem pana komandora. – Meredith uśmiechnął się trochę kpiąco. – Jakby mnie ktoś postrzelił w brzuch na przykład, to jednak będę prosił o pomoc pana Siweckiego, a nie targowego kuglarza. Choć pan Siwecki daru wymowy ani przekonywania nie posiada.

Tomaszewski uklonił się głęboko w uznaniu elokwencji interlokutora.

– W takim razie, mając na uwadze to, że nie możemy się w żaden istotny sposób porozumieć międzykulturowo, zechce pan, mistrzu, przybliżyć pojęcie „głosów” życzliwie nastawionemu słuchaczowi?

Tym razem skłonił się Meredith.

– Oczywiście. Nie wdając się jednak w istotę zjawiska.

– Rozumiem.

– Otóż głosy, o których mówiła Kai, to jakby psychiczne ślady po obecności, czy bardziej może po działalności czarowników idących tędy wiele lat temu.

– Kiedy konkretnie?

– Nie wiem. Przed wiekami.

– I można się z czegoś takiego dowiedzieć...?

Tomaszewski zawiesił głos, nie bardzo wiedząc nawet, jak sformułować pytanie. Meredith rozłożył ręce w geście bezradności, jakby chciał podkreślić, że przecież o niemożności porozumienia się w tej kwestii dopiero co rozmawiali.

– Czegoś można się dowiedzieć – powiedział po chwili. – Wiem, że szli bardzo dobrze zaopatrzeni, w konkretnym celu. Tak jak my, do świątyni potworów. Warto powiedzieć, że taka wyprawa to ewenement. Praktycznie nigdy w całych dziejach nie udawało się zgromadzić aż takiej liczby czarowników do realizacji jednego zadania.

– To była wyprawa zakonna?

– I tak, i nie. Zakon już wtedy oficjalnie nie istniał.

– A mimo to udało się zgromadzić czarowników... – Tomaszewski znowu nie dokończył.

– Właśnie to jest najciekawsze. Nie mieli ze sobą zbrojnych.

– Jak to? Nie bali się dzikusów?

– Takiej sile magii nikt się nie przeciwstawi. Nie byli nastawieni na szereg krwawych potyczek jak wszyscy, którzy wkraczali do Wielkiego Lasu od czasów Achai, po wielki korpus czy choćby nasz oddział.

– I nikt im się nie przeciwstawiał?

– Owszem, ale za przeciwników mieli czarowników z Lasu, którzy musieli ustąpić przed taką przewagą.

Tomaszewski miał ochotę zapalić papierosa, ale dopiero teraz spostrzegł, że ciągle trzyma w ręku poprzedniego, który zgasł zapomniany w toku dyskusji. Wyjął z kieszeni zapalniczkę i choć to mało eleganckie, przypalił go jeszcze raz.

– Niech zgadnę, co było celem ich wyprawy – powiedział, wydmuchując kłąb dymu pomieszany z parą oddechu. – Pomnik cesarzowej Achai?

Meredith pogłaskał swoją siwą brodę.

– Też tak myślałem na początku. Tym bardziej że wszystkie tropy związane z pomnikiem prowadzą tutaj. Ale nie. Z tym jest związane coś bardzo dziwnego.

– Jaki był ich cel?

Meredith przez chwilę wyglądał jak ktoś, kto otrząsnął się nagle z głębokiego namysłu.

– Ołtarz dziękczynny. Chcieli go zniszczyć.

Tomaszewski i Kai wymienili się spojrzeniami.

– Dostałem meldunek od szpiega Shen, że celem czarowników, którzy towarzyszą wyprawie wojsk lądowych, również jest ołtarz. To ten?

– Tak. Z małą poprawką. To siły lądowe towarzyszą ekspedycji czarowników. Tym razem wyprawa do świątyni ma się udać. A cel ciągle ten sam co przed wiekami.

Tomaszewski zaciągnął się ostatni raz i odrzucił papierosa.

– A dlaczego się wtedy nie udało?

Meredith skrzywił się lekko.

– Szli dokładnie tędy. Najkrótszą drogą do świątyni ze swojego statku, który przybił do wybrzeża. Jak wy to mówicie? Pięćdziesiąt kilometrów, dwa dni marszu. Tyle co spluć dla zdrowego człowieka, prawda?

– Ano, panie mistrzu. Święta racja.

– No i dowiedzieli się tego, co wy zaczynacie poznawać. Teren jest nie do przejścia. Drogę przecina parów za parowem. Każdy o stromych ścianach, nie do sforsowania dla jucznych zwierząt. Obejść się nie da w



jakimś realnym czasie. Co zatem mogli zrobić? Obejść cały płaskowyż od południa, tamtędy, gdzie jeszcze zimniej i jeszcze bardziej niesprzyjające warunki.

– A przez zamrożone jeziora?

– W macecznik potworów? Przypomnę, że nie mieli zbrojnych i nie przewidywali walki.

– Czemu nie przeszli, obchodząc płaskowyż od południa? – Tomaszewski chciał zerknąć na swoją mapę, ale przypomniał sobie, że terenów położonych tak daleko w stronę bieguna mapa nie obejmowała.

– Tam napotkali się znacznie różniącą się od potworów, które znali. Tam było coś, co ich zaskoczyło i nie pozwoliło posunąć się dalej.

– Zawrócili?

– W te pędy. Dotarli do swojego statku i odpłynęli natychmiast. Wyobraża pan sobie, panie komandorze? Najsilniejsza ekspedycja czarowników, jaką udało się zebrać w historii, ucieka przed czymś w popłochu? Do dziś są przekonani, że tędy nikt nie przejdzie.

Tomaszewski skinął głową.

– No i dziś próbują jeszcze raz z innej strony.

– Tak. Tym razem pod osłoną pułku imperium wyszkolonego przez polskich doradców i z polskim zaopatrzeniem. – Meredith podniósł głowę. – I tym razem może im się udać.

Przerwały im dochodzące z tyłu okrzyki.

– Krzysiek! Krzysiek!

– Selim? Tu jestem! – Tomaszewski zaczął machać ręką.

Pułkownik tatarski, wyraźnie czymś poruszony, biegł w ich kierunku.

– Co się stało?

Michałowicz, dysząc parą, zatrzymał się nareszcie. Krótco uspokajał oddech.

– Do dupy zupełnie! – powiedział szczerze i aż syknął, zerkając na Kai.

– O, przepraszam panienkę uniżenie.

– Nie poczułam się urażona. – Ujęta jego zachowaniem czarownica nie miała pojęcia, czy powinna dygnąć jak panna z dobrego domu, mając na sobie mundur piechoty morskiej z wyposażeniem. – Proszę nie mieć sobie za złe.

– Co się stało? – dopytywał Tomaszewski.

– Kiedy przerzuciliśmy szkielet kładki, wysłałem zwiadowców na drugą stronę. No i za tym parowem jest zaraz następny!

Tomaszewski przytaknął.

– A za nim jeszcze jeden i jeszcze.

– Skąd wiesz? – Michałowicza zatkało.

– Właśnie się dowiedziałem. – Tomaszewski zerknął na Mereditha. – Nasi poprzednicy, którzy usiłowali sforsować ten teren paręset lat temu, uznali go za nieprzebyte. Niemożliwy do przejścia w realnym czasie i za pomocą realnych środków.

– No to pięknie. – Tatar uderzył dłonią w drugą dłoń. – Utknęliśmy!

– No.

Michałowicz zmierzył Polaka wzrokiem.

– Pozostaje droga przez te twoje ukochane, cholernie niebezpieczne jeziora.

– Tak. Z tym że to droga prosto do matecznika dzikich. Natomiast obejście płaskowyżu od południa powoduje napotkanie czegoś, czego przestraszyli się nawet najwięksi czarownicy na tym świecie.

Meredith skrzywił się lekko. Ale nie włączył się do dyskusji.

– A obejście od północy? – zapytał Tatar.

– Prosto w objęcia imperialnego pułku i pana majora Baranowskiego? Już on wymyśli, jak nam utrudnić dalszą drogę.

– Nam nie da rady!

– Sklinczujemy się. I nie da rady ani on, ani my. A tu jest cholernie mało czasu.

– No fakt.

Dłuższą chwilę stali w milczeniu.

– I co postanowiłeś? – zapytał w końcu pułkownik. – Jesteśmy w pułapce.

– Idziemy przez jeziora.

– Kur... – Michałowicz urwał znowu, zerkając na Kai. – Ty się naprawdę niczego nie nauczyłeś, durny Polaku!

– Nie nauczyłem się – przyznał Tomaszewski.

– A co będzie, jeśli za pasem tych jezior natkniemy się na kolejne parowy? Jeden za drugim?

Tomaszewski uśmiechnął się szeroko.

– Liczę na pomoc z zewnątrz – powiedział.

- Jaką pomoc?! Marynarki czy lotnictwa?
- Nie. Liczę na pomoc dzikusów.



– Szybciej, szybciej. – Duon chwyciła Nuk za rękę i zaczęła ciągnąć w stronę lasu. – No chodź!

– Po co do lasu? – Nuk w ostatniej chwili chwyciła swoją dwururkę nabitą siekańcami. – Jakiś potwór nas ustrzeli same!

– A tu jest za dużo ludzi.

Tłumaczka o mało nie zgubiła swojego hełmu, który jak zwykle nie był zapięty. Być może dziewczyna sądziła, że dwa paski z metalowymi sprzączkami, które majtały jej się na wysokości szczęki, dodają uroku? Zaraza jedna wie.

Biegły, trzymając się za ręce jak dwie pokłócone siostry, bo jedna ciągnęła, a druga się opierała, dopóki nie zatrzymał ich donośny okrzyk:

– Stać! Kto idzie?!

Dwie wartowniczkę wyskoczyły z krzaków i teraz mierzyły do nich z karabinów.

– Czyście poszalały?! – rozdarła się Duon. – Przecież macie sprawdzać tych, co idą od strony lasu, a nie od obozowiska!

– Spokojnie. – Nuk włączyła się natychmiast, usiłując złagodzić sytuację. W przeciwieństwie do tłumaczki służyła przecież w wojsku i wiedziała, co może zrobić wkurwiony wartownik z czystej złośliwości. – Sikać idziemy po prostu.

– Gdzie sikać? Toż latryna na środku obozu wykopana.

– I to nazywasz latrynę, koleżanko? – Była sierżant usiłowała załatwić sprawę polubownie. Jednocześnie ścisnęła Duon mocno za ramię, żeby ta nie wyskoczyła z niczym opryskliwym. – Czasu nie ma, więc łopatami ledwie śnieg wzruszyli. Osłony żadnej nie ma. A tuż obok ci doradcy, no przecież sami faceci się kręcą. I co? I mamy tak z gołą dupą na widoku? Bądźżeż człowiekiem, koleżanko.

– Rozkaz był, że tylko w latrynie się wolno załatwiać. Do lasu mam nie puszczać!

– Oj... – Nuk skrzywiła się i machnęła ręką. – No można po rozkazowemu – sięgnęła do własnej torby po manierkę – ale można i po ludzku. Po matczynemu, kolezanki. A nastawcie jakieś naczynie.

– Manierki mamy pełne.

– Ale ja was nie wodą częstuję, boście dziewczyny, a nie klacze.

Potrafiła być przekonująca. No i znała się na rzeczy. Jedna z wartowniczek szybko wylała swoją wodę, a Nuk przelała jej klarowny płyn z własnej manierki. Charakterystyczny ostry zapach powiedział od razu, że faktycznie nie potraktowała ich jak klaczy.

– My tylko na siku – powiedziała jeszcze, tak tylko już dla uspokojenia sumień, i pociągnęła Duon w las.

Pobiegly w stronę gęstszego skupiska drzew. Trochę zadyszane stanęły dopiero pod osłoną szerokich pni.

– Mam nadzieję, że nie ustrzeli nas jakiś patrol potworów – powiedziała Nuk. – Jesteśmy w idealnym miejscu, skąd można obserwować obóz.

– Nie ustrzeli – odparła Duon. – Potwory mają teraz co innego do roboty.

– Marynarka wojenna wylądowała na brzegu?

– Tak. Wysadzili desant, który posuwa się w głąb Lasu. Do celu mają krótszą drogę niż my.

– I co na to dowództwo?

– Czarownicy przyjęli to obojętnie. Twierdzą, że tamtędy nie da się przejść. Ale to bez znaczenia.

Duon powoli uspokajała oddech. Sądząc z triumfalnego wyrazu twarzy, miała do powiedzenia coś naprawdę ważnego.

– Co? – Nuk potrząsnęła głową. – Co wiesz?

– Znam plany operacyjne naszego dowództwa. I wiem, że nastąpił idealny moment, żeby je pokrzyżować.

– O, ja cię pieprzę – wyrwało się Nuk. – I byłabyś chętna przekazać to do Shen?

– A po co ci to mówię? – rzuciła Duon i po chwili odpowiedziała sama sobie: – Właśnie po to. Tyle tylko, że raport musi pochodzić od ciebie. Do nocy masz czas, żeby go napisać.

– Dam radę. – Była sierżant stłumiła w sobie wszelkie nutki podejrzliwości co do szczyrych intencji tamtej. Mgła wojny. Kto ją przeniknie, kto jaśniej spojrzy na sytuację i właściwie ją oceni, ten wygra. Tu jednak nie było wyjścia. Mogła tylko zaufać na ślepo albo nie robić nic.

Przekazanie wiadomości, korzystając ze zwerbowanych żołnierzy konwojów, było zbyt czasochłonne.

Duon była tak przejęta, że nawet wypluła swoją nieodłączną gumę do żucia. Z celnością plucia miała pewien problem, na szczęście Nuk wykazała się refleksem i zdołała się uchylić.

– Znam plany operacyjne Baranowskiego. Każdy szczegół! – wypaliła.

– O kurwa mać!

– Tylko posłuchaj. Jego plan jest taki. Pułk dociera do punktu odległego od świątyni potworów o pół dnia drogi. Tam budujemy fort. Nie żadną stanicę, tylko porządną, obronną, dobrze zaopatrzoną bazę. I z niej pułk będzie mógł elastycznie reagować na wszystko, co będzie się działo na jego przestrzeni operacyjnej. Będzie mógł wysyłać w tę przestrzeń pojedyncze kompanie, całe bataliony, a nawet, w ostateczności, ruszyć całą siłą. Zawsze mając za plecami odwody i bezpieczne schronienie. Majstersztyk, jeśli Baranowski nie będzie musiał się nigdzie spieszyć. Operacja przeciwko świątyni, czy to pojedynczy rajd, czy większe przegrupowanie, zabezpieczona jak nigdy dotąd podczas wojen z potworami.

– O Bogowie, plan naprawdę zajebisty.

– Baranowski zawsze powtarzał, że Indian nie zniszczyły amerykańskie karabiny. Zniszczyła ich sieć placówek z zaopatrzeniem, łączność i kolej żelazna.

– Kolei to on tu nie ma.

– W razie ostateczności ma most powietrzny. A odległości nie są tu niezmierzone.

Nuk zamyśliła się.

– No fakt. Sieć fortów, osad i miasteczek z zaopatrzeniem daje wojsku taką cechę jak wytrwałość. Nieważne, ile bitew wygrasz, tylko ile przegrasz. Ważne jest, że będziesz walczył przez cały czas, nieskończenie długo, nie potrzebując wytchnienia. A tego wróg mający oparcie wyłącznie w dzikich ostępach już nie potrafi.

– Ano tak. – Duon potwierdziła skinieniem głowy. – Nieważne, czy się jest najwspanialszym wojownikiem, czy zwykłą ciurą. Jeśli ciura się uprze i nie ustąpi, bo ma zaplecze, to nie ma na niego żadnej ludzkiej siły. I dlatego nastąpił teraz moment jedyny w swoim rodzaju.

– Jaki?

– Baranowski do realizacji swojego planu będzie potrzebował mnóstwo zaopatrzenia. Z Kong wyruszy więc olbrzymi konwój. Bez straszliwego pośpiechu, bo oni wiedzą, że marynarka utknęła tuż za pasem nabrzeżnych wydm.

– No. – Nuk zrozumiała w lot. – A gdybyśmy powstrzymali ten konwój, to Baranowski musiałby improwizować. A na to może nie być gotowy.

– Właśnie tak. Shen musi uderzyć teraz. I plany czarowników idą się paść na łakę. Marynarka dostaje drugą szansę, a Shen może stać się jęczyzkiem u wagi.

Nuk przygryzła wargi.

– W sumie nic pewnego. Oba oddziały, ten z wybrzeża i ten idący lądem, mogą wpaść do świątyni jednocześnie.

Duon uśmiechnęła się szeroko.

– No to wtedy jednak zobaczymy, kto wojownik, a kto ciura. – Zaczęła się śmiać w głos. – Jedno decydujące starcie. Ale... dla Shen to będzie bez różnicy. Prawda?

Nuk przestała się wahać. Błyskawicznie podjęła decyzję.

– Dobra. To lecę napisać raport, a ty go w nocy prześlij.

Duon powstrzymała ją gestem.

– Zaczekaj. Ja naprawdę muszę sikać, a nie chce mi się wypinać tyłka tam na środku.

– A wiesz... – Nuk zatrzymała się w pół kroku. – Ja chyba też.



Kolumna posuwała się wzdłuż ogromnego parowu, by wyjść na teren, gdzie znajdowały się małe, pokryte lodem jeziora. Tatarzy z przodu nie sygnalizowali żadnego niebezpieczeństwa. Bez problemu udało się dotrzeć do mniej pofałdowanych miejsc, gdzie żadne już rozpadliny nie spowalniały marszu. Małe jeziora nie stanowiły problemu. Łatwo było je obejść lub, z niewielkim ryzykiem, przekroczyć po osi. Tempo pochodu wzrosło natychmiast. Niestety, nie trwało to długo. Tatarzy zatrzymali marsz i pospiesznie umocnili pozycje.

– Co się stało? – Tomaszewski rozglądał się wokół.

Porucznik piechoty morskiej nie miał zielonego pojęcia. Razem z Kai ruszyli więc w stronę czoła kolumny.

– Cholera, zostawić komuś dowodzenie czołówką i zaraz masz! Niespodziewany postój.

Tomaszewski był wściekły. W nocy otrzymał raporty od Shen, w tym wszystko, czego dowiedziała się Nuk. Baranowski mimo lekkiego opóźnienia miał nad nimi przewagę. Jeśli zdoła zrealizować swój plan, polegający na stworzeniu osłoniętej i zaopatrzonej przestrzeni operacyjnej dla swojego pułku, to teren wokół świątyni dzikich będzie jego. A to oznaczało koniec wszelkich planów dotyczących zdobycia strategicznych informacji, na które Tomaszewski liczył. Nie mieli ani chwili do zmarnotrawienia.

Tak jak można było przypuszczać, pułkownik Michałowicz zatrzymał zwiadowców na brzegu tym razem już nie malutkiego, ale olbrzymiego jeziora, które zagradzało drogę.

– No i czemu tak stoimy, Selim? – krzyknął Tomaszewski. – Czekamy na hurysy z wodą i rodzinami, które Allah przyśle ze swojego rajy?

– Nie kpij, nie kpij, Krzysiek. Jezioro. – Tatar wskazał palcem idealnie białą płaszczyznę przed nimi, jakby miało to cokolwiek wyjaśnić.

– No przecież zamrożnięte. To prawdopodobnie zresztą wieczna zmarzlina!

– A skąd wiesz, Krzysiek? Byłeś tutaj w lecie? Ktokolwiek z naszych był?

– Nie przesadzaj, jest środek zimy!

– Ja słyszałem w rodzinnych przekazach, jak się polska piechota zapadała na środkach takich jezior jak to. A niemieccy zakonnicy? A Francuzi? Szli pod lód zawsze we właściwym momencie: tuż przed osiągnięciem celu.

– Przeginasz.

Na brzegu gromadziło się coraz więcej wojska. Ci z tyłu napierali po prostu na tkwiącą w miejscu czołówkę.

– Tak? A jeżeli jezioro zasilane jest przez jakiś ciepły strumień? Skąd wiesz, że nie?

– A ty skąd wiesz, że tak?

– Nie chcę puszczać ludzi na ryzyko, że im spod lodu jakiś gejzer wytryśnie i obleje wrzątkiem jak w Ameryce.

– Zaraz wrzący gejzer.

– Nie wiesz, jaka jest grubość lodu, Krzysiek. A na szybko nie ma jak zbadać, bo wszystko pod śniegiem, który dodatkowo ogrzewa.

Wśród ludzi stojących wokół dowódców zaczynało się kumulować napięcie. Obcy las gdzieś poza krańcami znanego świata, potwory czające się w pobliżu, żadnego wsparcia znikąd i teraz jeszcze to. Tomaszewski wiedział, że musi coś zrobić, zanim nastroje staną się dramatyczne.

– Szlag by was wszystkich!

Podbiegł do poganiaczy i szarpnął za uzdę pierwszego perszerona z brzegu. Koń był obarczony zwisającymi po bokach kanciastymi skrzyniami z amunicją. Trochę ułatwiło to wspinaczkę na grzbiet, bo siodła ze strzemionami przecież nie było.

– No. – Tomaszewski, kiedy z trudem usiadł na grzbiecie, przełożył uzdę przez łeb zwierzęcia. – Większego ciężaru już na stanie oddziału nie ma!

Szarpnął mocno i uderzył konia piętami. Perszeron na szczęście był idealnie ułożony, choć oczywiście dźwiganie jeźdźców nie było jego podstawową umiejętnością. Bez wahania wkroczył na pokryty śniegiem lód i śmiało ruszył naprzód.

Na brzegu zapadła cisza. Żołnierze dwóch różnych formacji bez słowa patrzyli na wyczyny swojego dowódcy. Jego wezwania, by ruszyć za nim, pozostawały bez echa. Kai rozglądała się, usiłując wyczytać cokolwiek z twarzy otaczających ją ludzi. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się jakiś tatarski wachmistrz.

– O kurwa! Ludzie, widzicie to, co ja?!

– No kurwa, marynarz na koniu! – Ktoś zaczął się śmiać. – Zaraz zacznie wołać „wišta” albo „hetta”, albo coś.

– Nie będzie wołał „wišta”, tylko robi zwrot na bakburtę!

Więcej osób zarechotało.

– Niech mu ktoś powie, że zamiast „cała naprzód” tu się krzyczy „wio”!

Po sekundzie śmiali się już wszyscy.

– Panie wachmistrz, to pan już teraz bosman będzie, nie?

– To nowa jednostka bojowa marynarki wojennej. Jazda morska! Kiedy dotrą do wody, to się przesiadają na delfiny i szabelką wroga po łbie!

– Ty się nie śmieję, bo zaraz marynarzoułanów z nas zrobiją.

– Niech ktoś, kurwa, zatrzyma mu tego konia, bo zaraz dowódcę poniesie do świątyni dzikusów samego jednego!



Tomaszewski, który oddalił się już nieco, dał znak „za mną”. Piechota morska ruszyła do przodu od razu. Tatarzy długo się uspokajali. Potem zaczęli zerkać na swojego dowódcę. Michałowicz skrzywił się, wzruszając ramionami.

– No nic, rebiata, nie będzie Polak pluł nam w twarz. Idziemy!

Wskazał kierunek i zwiadowcy zaczęli wkraczać na lód.

– Tylko szeroko, wachlarzem, z dala jeden od drugiego!

Wachmistrze, czy może po nowemu: bosmani, szybko formowali odpowiednie linie. Tomaszewski swoją akcją może i nie zyskał szczególnego szacunku, ale z całą pewnością napięcie kumulujące się wcześniej zniknęło bezpowrotnie. Oddział posuwał się naprzód raczej w wesołym nastroju, co miało kojący wpływ na morale.

Kai pędziła do przodu, chcąc dogonić Krzyśka. Na szczęście okazało się to bardzo proste. Jego wielki perszeron zatrzymał się obok konia, który dźwigał Wyszyńską. Tomaszewski z wielkim trudem zeskoczył z grzbietu wierzchowca i rzucił uzdę poganiaczowi.

– Przytomna? – Wskazał głową pasażerkę.

Tatar, który trzymał jej pojazd za uzdę, nie miał jednak pojęcia co do stanu świadomości pani inżynier.

– Trzeba by odwinąć ją trochę i zobaczyć samemu, panie komandorze – powiedział.

– Niczego nie odwijajcie – rozległ się stłumiony głos. – Jeszcze żyję.

Oślonięty wieloma kocami, bezkształtny tłumok przymocowany do specjalnej konstrukcji na boku perszerona zaczął się poruszać. Kai podeszła bliżej, usiłując pomóc. Po chwili szarpania udało jej się nawet odsłonić spory fragment spoczonej twarzy Wyszyńskiej.

– Boże, która godzina?

Czarownica osuszała jej czoło swoją chustą.

– Spałam?

Kolejne pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Skoro już odzyskałaś przytomność, to potrzebuję twojej pomocy – powiedział Tomaszewski. – Mam raporty od szpiega Shen. Nie nastrajają optymizmem.

– Baranowski będzie w świątyni przed nami?

– Jeśli dostanie zaopatrzenie z Kong, to tak.

Wyszyńska ledwie mogła zogniskować wzrok.

– I co proponujesz?  
– Trzeba uruchomić oddziały Shen.  
– I w czym problem?  
– To nie ma być pierdnięcie i mały bałagan za plecami. Chcę, żeby w ogóle odcięła Baranowskiego od Kong.

Wyszyńska zrozumiała po chwili. To by oznaczało, że orp „Dragon” ma podpłynąć w pobliże brzegu i wydać partyzantom zapasy amunicji i części zamiennych do ich broni. Cała ta akcja niebezpiecznie zbliżała ją do oficjalnego udziału w konflikcie i opowiedzenia się po którejś ze stron. A na to zgody nie było. Zapasy na „Dragonie” przeznaczone były dla sytuacji naprawdę awaryjnej.

– To by sprawiło, że Shen stałaby się języczkiem u wagi. Tak jak sama tego bardzo chciała.

– Owszem. Ale to będzie nasz języczek.

– Masz do niej zaufanie?

– Nie – odpowiedź Tomaszewskiego była szybka i zdecydowana. – Jak do każdego rewolucjonisty, nie mam za grosz. Ale bez naszej amunicji będzie sobie mogła tylko czekać i warczeć przez jakiś jeszcze czas.

Wyszyńska westchnęła głęboko i rozkaszała się nagle. Kai usiłowała przytrzymać jej głowę.

– Wiem, co myślisz. – Inżynier chrypiała okropnie. – Skoro załatwiłam ci krążownik, to załatwię i wsparcie dla Shen. Ale to prawie niewykonalne.

– Jeśli czarownicy Baranowskiego pierwsi dostaną się do ołtarza, to nie będzie co zbierać.

Trafił w czuły punkt.

– Dobra. Inaczej rzeczywiście to wszystko nie ma sensu. Połączę się przez radio wieczorem.

– Teraz! – przycisnął ją brutalnie. – Wieczorem możesz majaczyć w gorączce. Wieczorem dzikusy nie zostawią nas w spokoju i będą grandzić po nocy. Teraz!

Słabo skinęła głową.

– Wezwij radiotelegrafistę.

– Na jednej nodze. – Tomaszewski uśmiechnął się smutno. Martwił go stan Wyszyńskiej. Nie jest dobrze, jeśli człowieka martwi stan zdrowia jego wroga. Podniósł rękę, żeby wezwać najbliższego podoficera i wydać rozkazy. Potem podszedł do Kai.

– A ty? – zagadnął. – Coś taka smutna?

Czarownica wzruszyła ramionami.

– Wspominałeś o potworach i dzisiejszej nocy. Oni rzeczywiście dalej już nas w spokoju nie wpuszczą.

– Mhm. I co z tego?

– Wiesz, tak jakoś opadły mnie wspomnienia. Przypomniała mi się Achaja, która wkroczyła do Wielkiego Lasu na czele trzech batalionów. Nie udało się. Przypomniało mi się cesarstwo, które wkroczyło na czele wielkiego korpusu ekspedycyjnego. Nie udało się. I myślę o naszych... trzech kompaniach zaledwie.

– Nie przejmuj się. – Objął dziewczynę ramieniem, ale nie wiedziała, czy mówi poważnie, czy żartuje. – Ani wojskiem Achai, ani cesarskim nie dowodziłem ja! Jadąc wierzchem na perszeronie.



## Rozdział 13



Tłum ludzi, który nad ranem zgromadził się przy wzgórzach nad morzem, został podzielony na oddziały w zależności od stopnia wyszkolenia i przydatności bojowej. Większość, niestety, trafiła do „jednostek transportowych”, które zajmowały się teraz przenoszeniem skrzyń z amunicją z łodzi, które podpływały do brzegu. Skąd łodzie biorą skrzynki, nie mógł wiedzieć nikt. Za wiosłami siedzieli najbardziej zaufani partyzanci, weterani z Negger Bank. Tylko oni mogli zbliżyć się do orp „Dragon” na morzu i wiedzieli, kto jest dostawcą zaopatrzenia. Ludzie na brzegu nie mogli nawet wspiąć się na stoki wzgórz. Zresztą gdyby się to komuś udało, mógłby zobaczyć jedynie dalekie światła pozycyjne.

Noc miała się ku końcowi, a wraz z nią przeładunek. Nanti sprawnie dzieliła skrzynki. Część z nich na wozy, które miały wrócić do lasu i zostać ukryte w partyzanckich bazach. Część bezpośrednio do dwóch grup bojowych, które miały wziąć w udział w akcji tego dnia. Wszystko było zaplanowane i przećwiczone wcześniej, na sucho, i teraz każdy znał swoje miejsce. Ktoś, kto przechodziłby drogą obok, mógłby nawet sądzić, że to kupcy sobie coś po ciemku pakują, przemyt jakiś albo coś. Mało komu pewnie przyszłoby do głowy, że to perfekcyjnie przećwiczona operacja wojskowa.

Shen nie miała właściwie nic do roboty. Stała na szczycie jednego ze wzgórz i pogrążała się w myślach. Z powodu ciemności nie mogła nawet obserwować, czy wszystko idzie dobrze. W zasadzie powinna się cieszyć.

Wszystko zorganizowała wcześniej tak, że nikt od niej niczego nie chciał, każdy sam wiedział, co robić. Ot, ideał dowodzenia. Kadir, który nadbiegł z dołu, wyrwał Shen z zadumania.

– Wygląda na to, że kończymy – powiedział, uspokajając oddech. – Zaraz możemy się zwijać.

– Dużo tego załadowaliście?

– Oj! – Uniósł ręce w geście odżegnywania. – Wystarczy na długą kampanię. A jaka jakość!

– Co?

Pokazał dziewczynie trzymane w dłoni dwa naboje. Jeden, który on sam swego czasu wyprodukował w wojskowych warsztatach, a jeden polski.

– Popatrz tylko. Jakie wykończenie, jaka precyzja. A powtarzalność w każdym szczególe, w najmniejszym drobiazgu każdego detalu, po prostu budzi we mnie bezmiar zazdrości. A w dodatku oni tego przecież nie wyprodukowali w swoich fabrykach amunicji, tylko tutaj. W prowizorycznych dla nich warunkach.

Przysunęła się do niego, położyła ręce na jego ramionach i lekko pocałowała w czoło.

– Kadir, mój ty wspaniały, kochany mężczyzno. Przy wszystkich ciepłych myślach, które kieruję w twoją stronę, przy całym sprzyjaniu i radosnych uczuciach mam tylko jedną prośbę. Nie każ mi się zajmować szczegółami technicznymi. Ja i tak niczego nie zrozumiem.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, trochę zmieszany. Przerwała im Sharri, wołając, że wszystko już zakończone. Pora ruszać.

Spojrzeli na siebie.

– No to... – Kadir zawahał się nagle.

– Pora ruszać – Shen powtórzyła za Sharri. – No – westchnęła. – W tej walce przynajmniej będziemy dobrze wyposażeni.

Kadir skrzywił się lekko.

– Pamiętaj, że jeśli powinie nam się noga, Polska wyprze się nas w jednej chwili.

– Jestem tego świadoma, przyjacielu. I może tak jest lepiej. – Ruszyła do drogi u podnóża wzgórz, pociągając go za sobą. – Liczymy jedynie na siebie. Mamy tylko jedną szansę. W razie czego do nikogo pretensji. Sytuacja jasna i niezagmatwana.

– Podziwiam cię – szepnął, kiedy znaleźli się już blisko ludzi na dole.

– Nie ma czego podziwiać. Wahania były przedtem, przy wyborze drogi. Teraz nadszedł czas pojedynku, albo my, albo oni. Ręka już nie drży. Ma tylko wykonać zadanie.

Wokół nic nie wskazywało, że dzisiaj ma nastąpić rozstrzygające starcie. Ludzie spokojnie krzatali się wśród obciążonych skrzynkami wozów. Nanti idealnie kierowała ruchem. Te wozy, które miały wracać do lasu, ruszały przodem, te, na których jechała amunicja dla oddziałów bojowych, zostały z tyłu.

– No i jak tam? – zagadnęła swoją sierżant Shen.

– Kończę. Możemy ruszać.

– A nie lepiej zaczekać, aż się to wszystko rozładuje? – Kadir wskazał ruch na drodze.

– Świt już. Lepiej ruszyć teraz, póki wszyscy po drodze będą zaspani i nieprzygotowani.

Nie odpowiedział. On sam wolałby nakazać atak dopiero następnego dnia. Ale dobrze wiedział, że byłby to dzień stracony na niepotrzebnych nerwach. A poza tym Tomaszewskiemu najwyraźniej grunt palił się pod nogami. Tam, w Wielkim Lesie, wyścig też najwyraźniej zbliżał się już do fazy końcowej. A poza tym przekaz był jasny. Warunkiem otrzymania wsparcia w postaci amunicji i części był natychmiastowy atak i zablokowanie Kong. Nie było z czym dyskutować.

– Gdzie Sharri?

– Jestem, jestem! – Niedoszła kapłanka biegła, wymijając ludzi. – Możemy ruszać. Wszystko gotowe.

– No to...? – Kadir niepewnie się rozejrzył.

– W drogę! – Shen klasnęła w dłonie i wskazała kierunek.

Ludzie sprawnie tasowali się na drodze. Oddział bojowy był bowiem bardzo szczupły. Wzmocniona kompania, ci sami, którzy przeżyli bitwę pod Lai Ho Park. Reszta partyzantów, jako tako przeszkolonych, nie miała broni. Mieli więc posuwać się z tyłu, w dużym oddaleniu, utrzymując łączność z dowództwem wyłącznie przez kurierów.

Shen zerknęła na jaśniejące już lekko chmury. Nie wyglądały groźnie. Dzisiaj nie powinien padać śnieg. Czekał ich więc niezbyt daleki, szybki marsz. W planie, z powodu wozów, na których transportowano karabiny Kadira, nie brano pod uwagę elementu zaskoczenia. Kolumna mogła więc przemaszerować wprost przez miasteczko Kong. Tym razem nie

zaskoczenie właśnie, nie manewr, lecz brutalna siła ognia miała zdecydować o wyniku starcia. Ponieważ tym razem po raz pierwszy i amunicji, i niezawodnych elementów wyposażenia mieli w bród – prosto z polskich magazynów.

Idącą na czele kolumny Shen dogoniła Sharri.

– Odkryłam interesującą historię – powiedziała, rozglądając się po towarzyszących im ludziach. – Tak się zastanawiałam, czy ci nie powiezieć tego na osobności, ale... po dłuższym namyśle postanowiłam, że powiem ci przy wszystkich.

– Co takiego?

– Mamy szpiega w naszych szeregach!

– No coś ty?! – Shen o mało nie przewróciła się z wrażenia na jakimś wykrocie.

– Nie, spokojnie. – Sharri przytrzymała koleżankę, chwytając ją za ramię. – On się na ciebie nie rzuci, naszych wrogów nie ostrzeże.

– Skąd wiesz?

– A widzisz, długo myślałam. – Sharri uśmiechnęła się łobuzersko. – Od Nuk dowiedziałam się, że pułk z Kong idący przez Las wie wszystko o tym, gdzie jest desant marynarki wojennej. Co do kroku.

– Skąd wie, skoro my o tym nie mamy pojęcia?

– Proste jak drut. Od szpiega, który jest wśród nas. Skup się, Shen, czy nie zginęło ci coś ostatnio?

Dziewczyna dłuższą chwilę obmacywała sobie kieszenie. Była kapłanka pomogła koleżance, rozchylając jej szalik pod szyją.

– Mój amulet! – Shen sprawdzała jeszcze kurtkę, czy przypadkiem się gdzieś nie obsunął. – Ktoś mi ukradł amulet!

– No właśnie. Ten, który zrobiła Kai, ten, który jest z nią związany.

– Ale po co komuś...?

– Proste. W Wielkim Lesie czary zwiększają swoją moc. Amulet też, tak jak kiedyś w dolinie Sait, pamiętasz? Wtedy pomógł nam odgadnąć miejsce, gdzie jest Kai.

– Pamiętam.

– Teraz też do tego służy. W rękach doświadczonego czarownika powie, gdzie jest Kai, co do jednego łokcia. No i w ten sposób wiedzą, gdzie jest Tomaszewski, mimo że marynarka wojskom lądowym zupełnie się nie spowiada.



– Teraz rozumiem, dlaczego szpieg mi go ukradł. – Shen ciągle macała się po szyi. – Ale skąd wiesz, że ten sam szpieg nie ostrzeże garnizonu w Kong, że na niego idziemy?

– A po co? – Sharri wzruszyła ramionami. I widząc efekt, jaki jej lekceważenie zrobiło na słuchających, zaczęła się śmiać. – Przecież to szpieg czarowników. Po co im ostrzegać garnizon? Życie ludzi nie ma dla nich znaczenia. W pułku, który idzie poprzez Las, to Baranowski jest tym, kto opóźnia marsz. Kto usiłuje zadbać o rannych, zabezpieczyć żołnierzy, budując fort. Dla czarowników to coś w świątyni jest tak ważne, że zdecydowali się na podróż w jedną stronę. Chcą to zniszczyć i już. Los żołnierzy nie ma dla nich żadnego znaczenia. Dlatego im jest nawet na rękę, że Baranowski fortu nie zbuduje i będzie musiał improwizować, goniąc resztkami. Będzie szybciej. A że wszyscy zginą jak zwykle? No kogo to obchodzi? Kogo obchodziła zagłada korpusu w Sait? Tak więc szpieg, który jest wśród nas, na ciebie się nie zamachnie. To prosty wykonawca poleceń i obojętny obserwator życia mrówek. Czyli nas.

– To straszne, co pani mówi, pani kapral. – Jakaś dziewczyna, podoficer z uwolnionych w Negger Bank dezertersów, nie mogła się pozbyć wojskowego żargonu. – To niegodziwe!

– Teraz dopiero to widzisz? – roześmiała się Sharri. – A tyle wieczorów strawiłam, żeby władować wam do zakutych łbów, że władcy mają nas w dupie! I my idziemy właśnie to zmienić. Idziemy walczyć.

– O co idziemy walczyć? – spytała któraś z mniej rozgarniętych dziewczyn w pobliżu.

– O to, żeby nikt nie miał cię w dupie! I dzisiaj właśnie zaczniemy wielkie dzieło! – Sharri w trakcie przemowy zdawała się łapać wiatr w żagle. – Tam jest nasz cel! – Wskazała pobliskie, śpiące jeszcze miasteczko. – Dziś Kong! Jutro Negger Bank! A pojutrze stolica!

– No już, już, daj sobie spokój. – Shen usiłowała chwycić niedoszłą kapłankę za ramię. – Zadyszysz się.

Sharri wyrwała się, jeszcze podnosząc głos, a ludzie, o dziwo, właśnie tego krzyku chcieli słuchać.

– Nikogo już nie będzie dręczył głód! Pod wodzą naszej najukochańszej Shen, bohatera naszego, z ludu jak i my, pójdziemy deptać świątynie! Idziemy palić pałace! Zmiażdżyć zło tego świata!

Odpowiedziały jej bojowe okrzyki. Żołnierze podniecali się wzajemnie wrzaskiem, a Sharri wykorzystywała to, umiejętnie wzmagając napięcie. Wiele sztuczek kapłańskich poznała. Ktoś, kto od młodości był szkolony w świątyni, dobrze wiedział, jak pociągnąć za sobą lud, choćby i w stronę przeciwną do zakładanej. Kapłani na własne nieszczęście zrobili z dziewczyny fachowca. Jedynie ze świadomością im się nie udało. W każdym razie, wkraczając na wąskie uliczki Kong, tłum wył i kipiał entuzjazmem.

Pobudzeni ze snu ludzie otwierali okna, żeby zobaczyć, co się dzieje. Po chwili błyskawicznie jednak cofali głowy, zatraskiwali okiennice. Jakiś miejscowy notabl, czarownik niskiej rangi, sądząc po płaszczu, doradca Rady Miejskiej, wyszedł przed drzwi zaniepokojony hałasem. Jedna z dziewczyn, podoficer, wyszarpnęła z kabury swój rewolwer.

– Koniec twojej władzy, krwio pijco! – wrzeszczała, strzelając do niego z biodra. Raz po razie naciskała spust i odciągała kurek, uderzając w niego drugą dłonią. Po czterech strzałach nachyliła się nad martwym ciałem. – Ludzie mówią: dość!

Poblady Kadir przysunął usta do ucha Shen.

– Czy mogę zakląć w twojej obecności? – zapytał.

– Nie krępuj się.

– O kurwa mać! Cośmy za siłę wypuścili z samego dna piekieł?

Shen spojrzała na niego niezbyt przytomnie. Kiedy zobaczył jej oczy pozbawione wyrazu, zrozumiał niestosowność tego, co powiedział. No tak. Ktoś zastrzelił niewinnego człowieka. Jak to się ma do całego korpusu, który wysłano na pewną śmierć? W majestacie prawa? Jak to się ma do losów samej Shen, która poświęciła wszystko, żeby wykonać rozkaz, zaryzykowała własne życie, a wszystko, co ją za to spotkało, to jedno z najcięższych więzień i piętno zdrajcy? Kadir zrozumiał jedno. Skończył się czas prostych rozwiązań. Trzeba zapomnieć o czasach, kiedy łatwo było powiedzieć: ten ma rację, a tamten jej nie ma. Trzeba się przygotować na sytuacje, w których obie strony będą miały rację. Albo, co gorsza, obie nie będą jej miały. I jak sądzić w przypadku, kiedy trzeba stwierdzić: obie strony mają rację, będąc jednocześnie jej pozbawione? A przecież gdzieś opowiedzieć się trzeba. To koniec jednoznacznych stwierdzeń, zwykłych rozwiązań, łatwego rozumienia spraw. Pewne było tylko jedno. Spirala wściekłości będzie rozpędzac się szybko.

Oddział sprawnie posuwał się dalej w stronę leżących pod miasteczkiem koszar. Ogromne założenie wojskowe było tworem cesarstwa, ale... Luan. Przed wiekami z jakichś przyczyn ten punkt uznano za strategiczny, a garnizon przypominał małą armię. Teraz jednak obecnego cesarstwa nie stać było na utrzymanie nawet dziesiątej części dawnej potęgi. Stacjonował tu jedynie pułk i budynki, które zajmował, były jeszcze w jakim takim stanie. Reszta popadała w ruinę. Podobnie działo się z umocnieniami. Po pierwsze nie było dostatecznej liczby wojska, żeby obsadzić cały obręb murów; po drugie te konstrukcje remontowano ostatnio wieleset lat temu. W większości stały się już ruiną i bardziej nadawały się na osłonę dla atakujących niż jakkolwiek realną dla nich przeszkodę. Identycznie wyglądała sprawa wartowni. Niegdyś stanowiła dobrze wyposażony barbakan. Teraz intendentura kazała wybudować w tym miejscu sporą drewnianą chatę z lichych desek, żeby zapewnić strażom osłonę od wiatru i śniegu.

– Stój! Kto idzie?!

Dwie wartowniczkę złożyły się nawet i wycelowały ze swoich karabinów w zbliżający się tłum. Trzecia położyła rękę na sznurze sygnałówki i powtórzyła głośniej:

– Stój! Kto idzie?!

– To wolność zmierza ku wam wielkimi krokami! – zakpiła Shen. – Opuśćcie broń i przyłączcie się do nas!

– Ty! – Wartownicze najwyraźniej nie było do śmiechu. – A ja mam za plecami, w tym budynku, całą kompanię wartowniczą!

– A ja mam za plecami sześć karabinów Kadira!

Wartowniczkę wymieniały się nerwowymi spojrzzeniami.

– Hej, wy tam! Stać! – krzyknęła ta przy sygnałówce.

Shen razem z ludźmi nie zwołała nawet kroku. Szybko przekroczyła linię wartowniczą. Dwie dziewczyny przy bramie wystrzeliły jednocześnie, a trzecia szarpnęła za sznur. Dzwon był sprawny. Jego bicie zaczęło stawiać na nogi to wszystko w koszarach, co w nich zostało po wymaszerowaniu pułku. Kule jednak zaświstały jedynie wysoko nad głowami nadchodzących. Dziewczyny na warcie przy pierwszym posterunku nie były głupie. Nie chciały nikogo zabić, ani nawet zranić, bo były świadome faktu, że tłum je ogarnie, zanim zdążą wycofać się na wartownię. Wolały nie doświadczyć zemsty, tylko kulturalnie i bez bicia pójść w niewolę.

– No, nie wygłupiajcie się – krzyknęła do nich Shen. Doceniła ich pragmatyzm i zdrowy rozsądek. Nawet broni nie kazała odbierać.

Jej żołnierze zdejmowali z wozów sześć karabinów Kadira i ustawiali na prowizorycznych stanowiskach bojowych. Nikt im nie przeszkadzał, od strony wartowni nie padł żaden strzał.

Shen powoli wyszła przed szereg.

– Hej, ty! – zawołała pod adresem dowódcy warty. – Dni imperium są policzone.

Lekki powiew wiatru poruszył gałęziami pozbawionych liści drzew.

– Nie będzie więcej ucisku, nie będzie głodu, wszyscy ludzie będą mogli żyć tak, jak będą chcieli. Niniejszym delegalizuję cesarstwo na tym terenie!

– Oj, dziękuję, że się Wasza Cesarska Mość osobiście pofatygowała, żeby mi to powiedzieć – oficer dowodząca wartą wykazała się poczuciem humoru. – Ale nie wypada przecież, żeby cesarzowa gdzieś tam w zimnych chaszczach się ukrywała. Tu, do nas, zapraszamy, z podniesionymi rękami, żebyśmy właściwej osobie ukłonić się mogli!

– Ty nie bądź taka dowcipna – ucięła Shen. – Zaraz każę otworzyć ogień i po dwóch modlitwach zmienisz zdanie. Sama przyjdiesz tutaj, i to nie z rękami do góry, ale na kolanach!

– Już ćwiczę krok marszowy na kolanach! Możesz być pewna.

Shen czuła, że dalsze przerzucanie się słowami sensu nie ma.

– No dobra, sama chciałaś. Ale inteligentna jesteś i wolę, żebyś przeżyła. Chcę potem dalej rozmawiać z tobą, a nie z twoim zastępcą. Więc prośbę mam.

– Jaka?

– Połóż się płasko na ziemi i każ swoim ludziom zrobić to samo. Niech nikt nie zginie.

Shen cofnęła się i zerknęła na Nanti. Koleżanka gestem pokazała, że są gotowi. Zobaczywszy skinienie głowy dowódcy, podniosła rękę do góry: „gotowość”. Amunicyjni przygotowali ładunki. Palec Nanti zatoczył w powietrzu kilka kółek. Korbowi uruchomili swoje mechanizmy. Lufy sześciu karabinów Kadira zaczęły się obracać.

– Ognia!

Sześciu celowniczych szarpnęło za spusty. Kartaczownice nie miały szybkostrzelności karabinów maszynowych. Wyróżniał je w związku z tym charakterystyczny miarowy odgłos, przypominało to jakby mielenie skał.

Powoli, skutecznie, jednostajnie. W przeciwieństwie do cekaemów każdy strzał był wychwytywalny przez ludzkie ucho. Każdy słyszany osobno. Ale przy sześciu stanowiskach ogniowych czynnych naraz? Leżącym na podłodze w wartowni dziewczynom wydawało się, że nastąpił właśnie monotonnie grzechoczący koniec świata. Na ich głowy sypało się coś ze ścian i sufitu. Pociski wielkiego kalibru rozwalaly okiennice, zamieniały deski w małe drzazgi, rozbijały dźwignice. Strop nagle osunął się z trzaskiem o kilka łokci. Ludzie na podłodze kulili się, usiłując zasłonić rękami głowy. Jeszcze dwa słupy osłabione dziurami i runął duży fragment sufitu, wypełniając całe pomieszczenie pyłem. Metalowe naczynia, które stały na półkach, latały wokół, brzęcząc i z całą siłą bijąc w różne przeszkody. Woda lała się z licznych dziur w beczkach na wodę. Dziewczyny na podłodze w wartowni piszczaly, tuląc się do siebie. Dach spadł chwilę potem.

Shen gestem wstrzymała ostrzał. Przyłożyła do ust zwinięte dłonie.

– Hej, ty! Poddajecie się?

– Taaaak!!!

– No to wyłażcie!

Coś szamotało się w rumowisku przed nimi. Ktoś usiłował wydostać się na zewnątrz.

To nie były elitarne siły specjalne jak w Lai Ho Park. To nie była nawet zahartowana w bojach piechota. To były dziewczyny z oddziałów przysyłanych w zastępstwie, kiedy miejscowy pułk ruszył na wojnę w Lesie. Całe ich życie to jakieś mniej lub bardziej prowincjonalne garnizony.

– Nie strzelajcie! – krzyzczały, z trudem gramoląc się na zewnątrz. – Dziewczyny, no kurna, nie strzelajcie do nas, co?

– Gdzie wasze karabiny? – darła się na nie Shen.

– A po co? Przecież do niewoli idziemy.

– Ja ci dam do niewoli, sikso głupia! Przyłączacie się do nas, żeby walczyć dalej.

– O co?

– O wolność ludu!

– Aha... O Bogowie, czy ktoś widział mój karabin?

Shen nie chciała czekać, aż tamte się zbiorą. To nie było wojsko, które mogłoby się czemukolwiek przeciwstawić. Podeszła do umorusanej porucznik.

– Ilu jest żołnierzy na terenie koszar? Tylko naprawdę, bo stan etatowy znam.

– Tak naprawdę to ze dwie kompanie. W porywach trzy. Ale nie jako jednolita, zorganizowana siła. To żołnierze z różnych oddziałów, przydzielone do różnych zadań.

– Mhm. A ilu jest Polaków?

– Nie wiem. Na lotnisku i w porcie są. Ale ilu, to nie wiem. Niedużo.

– Ilu jest na terenie koszar?

– Pojęcia nie mam. – Porucznik rozłożyła ręce. – Ze dwóch, trzech.

Shen skinęła głową.

– To mi wystarczy.

Skinęła na Sharri.

– Zabierz ludzi i maszeruj na arsenał. Ja pokażę Nanti stanowiska dla karabinów wewnątrz.

Okazało się zresztą, że z karabinami Kadira był teraz wielki kłopot. Wozy przez ruiny wartowni przejechać nie mogły. Każdą więc metalową bestię należało przenosić przez stosy potrzaskanych desek. Do tego skrzynki z amunicją i oprzyrządowanie. Trwało to i trwało. Na szczęście od strony koszar nikt nie kontratakował. Sharri poszła przodem, ale jej celem był przecież tylko arsenał.

Nanti i Shen uwijały się jak w ukropie. Lecz prawdziwą linię obrony po drugiej stronie wąskiego przejścia udało się stworzyć dopiero po długim czasie. A ruszyć w szyku w stronę arsenału jeszcze później. Na szczęście Sharri radziła sobie dobrze. Jak dotąd nie padł ani jeden strzał.

– Nie wygłupiajcie się! – krzychała niedoszła kapłanka. – Na jakiego grzyba ginąć tutaj, i to jeszcze akurat dzisiaj?

Na to obrońcy nie mieli żadnego argumentu. Usiłowali tłumaczyć, że jeśli wyjdą bez walki, to ich dowództwo każe rozstrzelać.

– Ty myśl logicznie, durna! – strofowała swoją rozmówczynię Sharri. – Jeśli wygramy, to nie zostaniecie rozstrzelane, tylko nagrodzone. A jeśli oni wygrają, to przecież i tak zginiecie, bo wycofując się, nie zostawimy im takiego kąska jak arsenał pozwalający na długie walki w okolicy. Spalimy was na odchodnym. A ty se pomyśl, głupia cipo, jak ci będzie w płonącym budynku, kiedy siedzisz wśród beczek z prochem.

I znowu negocjatorka wewnątrz została przyparta do muru. Znowu argument nie do zbiccia. No tak. Co miało chronić arsenał przed

podpaleniem? Wartownia rozbita, a na ruinach murów wojska nie było. Co miało chronić magazyny przed pożarem? A zanim dojdzie odsiecz, każdy głupi zdąży ich podpalić.

– No a skąd mam wiedzieć, że nas nie zabijecie, jak wyjdziemy?

– Oj, przestań. – Sharri uspokoiła się, widząc, że negocjacje zmierzają we właściwym kierunku. – Są tu wasze koleżanki, które do nas dołączyły. Nawet karabiny mają swoje.

Dwie wartowniczkę wysunęły się przed szereg, prezentując przed dziewczynami z arsenału swoją broń.

– No ciekawe? A naboje w tych karabinach macie, koleżanki?

– Mamy – odparła jedna z nich. – Możemy strzelić w powietrze.

– A tam. Huk robić to z samego prochu można. A czy kule macie w lufach?

– No pewnie. Widzisz tę studnię i wiadro na cembrowinie? – Dziewczyna z kompanii wartowniczej wskazała cel odległy o jakieś pięćdziesiąt kroków. – Zestrzelimy to wiadro i będziesz miała dowód.

Obie ustawiły się powoli i odwiodły kurki. Obie mierzyły długo i spokojnie, tak jak je nauczono. A potem nacisnęły na spusty.

Kiedy rozwiął się dym, okazało się jednak, że wiadro na cembrowinie stoi, jak stało.

– A wiedziałam, że wam kule zabrali! – wydarła się obrończyni arsenału.

– Obie kłamiecie, bo was trzymają na muszce.

– Nie! – krzyknęła oburzona posądzeniem o kłamstwo wartowniczkę. – Kule miałyśmy! Ale... – zapowietrzyła się na chwilę. – Ale nie trafiłyśmy w cel.

– Obie?

– No obie, no obie, i co?

Była tak szczerą, a niski poziom wyszkolenia strzeleckiego tak powszechny, że dziewczyna z arsenału najwyraźniej tym razem uwierzyła. Chyba nawet ten dopiero eksperyment przekonał ją, że tam, na zewnątrz, naprawdę nikt nikogo do niczego nie zmusza. Z wnętrza budynku dobiegły jakieś stłumione głosy, najwyraźniej kłótni. Zwolenniczki pragmatycznego podejścia do życia musiały zwyciężyć nad idealistkami, bo po chwili rozległ się okrzyk:

– No dobra! Wychodzimy!

– Cieszę się. – Sharri rzeczywiście o mało nie zaczęła podskakiwać z radości. Jej teorie sprawdzały się w praktyce. „Nie walczyć. Rozkładać moralnie”.

– Wychodzimy! Nie strzelajcie!

Nikt nie zamierzał strzelać. To nie miała być bratobójcza wojna. Jeszcze nie teraz.

– Gdy wejdziecie do środka – Shen podeszła do Sharri – nie pozwól grabić czegokolwiek. Pamiętaj, żeby nikt nie brał niczego na własną rękę. To ty musisz decydować, komu z partyzantów dać broń.

– Rozumiem. A przechodzimy dalej? Do portu i na lotnisko?

Shen zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie damy rady przed zmierzchem. Będę szczęśliwa, jeśli uda się dzisiaj zająć całe koszary.

– A myślisz, że Polacy nie będą interweniować w trakcie walki?

– Myślę, że nie ruszą palcem w dupie. To po pierwsze. A po drugie mam nadzieję, że nie będzie żadnej walki. Niech się koleżanki – wskazała palcem tych żołnierzy garnizonu, którzy już przyłączyli się do partyzantów – nawołują wzajemnie. Niech przekonują wrzaskiem jedna drugą. Nawet jeśli miałyby to trwać i całą noc.



Podczas pogadank taktycznych dla żołnierzy na krążowniku Tomaszewski często porównywał dwa rodzaje wojsk, które zetrą się ze sobą na brzegu. Miał bogatą literaturę tematu dostarczoną przez doktora Bronowskiego, który przeprowadzał eksperymenty na dzikusach w bazie w Sait. Miał też wypisy na temat potworów ze wszystkich źródeł historycznych, które zgromadziły imperialne biblioteki. W przeciwieństwie do wielu poprzedników Tatarzy i piechota morska nie szli w ciemno. Tomaszewski w jasny, prosty i klarowny sposób wyjaśniał wszystko, co dotyczyło taktyki walki.

Zwykle zaczynał od porównania broni obu stron. Namawiał, żeby nie lekceważyć łuków. Najlepsze z nich miały zasięg aż dwustu pięćdziesięciu metrów. Karabin szturmowy oczywiście miał o wiele więcej, ale tak naprawdę podczas wojny strzelało się z niego nie dalej niż na trzysta



metrów. Lecz to wszystko tylko teoria, ponieważ podczas prawdziwej walki w lesie w nocy każdy rodzaj broni podlegał jeszcze większym ograniczeniom. Dwieście pięćdziesiąt metrów zasięgu łuk miał na bezleśnej równinie, przy strzelaniu metodą „mniej więcej” w dużą kupę ścieśnionego wojska i strzała musiała lecieć po paraboli. Kiedy przeszkadzały korony drzew, zasięg łuku kurczył się do jakichś pięćdziesięciu, sześćdziesięciu metrów przy strzelaniu na wprost. Zasięg karabinu niby pozostawał ten sam, dalej trzysta metrów, ale tylko teoretycznie. Ograniczał go do siedemdziesięciu zaledwie zasięg widzenia noktowizora. Oczywiście, jeśli niebo było bezchmurne, światło gwiazd pozwalało widzieć dużo dalej. A jeśli niebo pokrywały chmury, to zawsze można było je od spodu oświetlić byle czym i znowu zapewnić karabinowi dużą przewagę zasięgu. Ale nie to było najważniejsze.

Chłopcy, którzy mieli współczesną broń palną, mogli leżeć ukryci bezpiecznie pod śniegiem i gałęziami. Łucznik natomiast musiał przed oddaniem strzału wyjść z ukrycia i dłuższą chwilę pozostawać na widoku.

Na każdej pogadance dla poszczególnych oddziałów Tomaszewski długo rozwodził się nad plusami i minusami poszczególnych rozwiązań. Zawsze jednak kończył swój wykład tym samym wezwaniem: „Nie rozstrzygniemy tematu dzisiaj. Niech jednak każdy z was zada sobie pytanie, co chciałby mieć w rękę, jeśli dojdzie do nocnej bitwy. Łuk? Czy karabin szturmowy?”. Niezmiennie odpowiadał mu wybuch śmiechu, a potem gromkie brawa rozbawionych żołnierzy.

Teraz jednak, kiedy wszyscy tkwili na zaimprovizowanych stanowiskach głęboko w lesie, podczas zamrożonej czernią nocy, ten problem wcale nie wydawał się już taki śmieszny. Chmury ustąpiły miejsca jasno świecącym gwiazdom, mróz za to przybrał na sile, każdy ruch, każdy oddech wbijał się w płuca setkami boleśnie kłujących igiełek. Rac oświetleniowych nie strzelano. Maszerujący na własnych nogach oddział nie mógł zwiększyć dźwiganych bagaży o zapasy rakiet tak jak pułk, który regularnie dostawał zaopatrzenie.

Cisza i ciemność nie wpływały kojąco na świadomość tych, którzy zmuszeni byli czuwać tej nocy. Dowództwo na nocleg wybrało teren pokryty małymi jeziorkami, na których brzegach rosły rzadkie drzewa. Nie tworzyły gęstwiny, lecz pozwalały na znalezienie schronienia. Ale i tak

większość żołnierzy wybierała nocleg na łodzi, bez klaustrofobicznych koron drzew nad głowami. Nic nie przerywało ciszy.

– Nie uważasz, że to dziwne? – zapytała Kai Tomaszewskiego, kiedy ten męczył się z wykrywaczem podcierwieni, którego obsługę powierzyła im chora Wyszyńska.

– Co dziwne?

Wykrywacz przypominał ogromną kamerę filmową ustawioną na ciężkim statywie i podłączoną do wielkiego akumulatora. Istnej zmory, jeśli chodzi o transport. Istnej zakały, jeśli chodzi o wykrywanie czegokolwiek w nocy.

– Ta cisza – powiedziała czarownica. – Żadnej sowy ani puchacza, ani nic.

– Puchacz to jest właśnie sowa – powiedział stojący tuż obok Siwecki. – A przynajmniej tak mi się wydaje.

– Ja tam się nie znam. – Tomaszewski z najwyższym trudem walczył z topornym sprzętem. – A co do ciszy, to wyzbądźcie się złudzeń. Na pewno zaatakują dzisiejszej nocy.

– I co? – dopytywała Kai. – Myślisz, że to ich wojownicy wypłoszyli zwierzęta?

– Być może. A ty nie mogłabyś stwierdzić tego swoją czarnoksięską sztuką?

– Nie mogłaby – odezwał się nagle Meredith, który wyłonił się niespodziewanie z ciemności. Najwyraźniej albo nie mógł spać, albo też uważał, że bez sensu jest kładzenie się w obliczu spodziewanej bitwy. – Wiem, wiem, wysłanie czarownika na zwiady to sam miód i każdemu się zdaje, że to rozwiązanie idealne. Ale trzeba pamiętać, że tamci też dysponują czarownikami, rozwiązanie więc niezmiernie kosztowne. Łatwo stracić ważną figurę na planszy już na początku.

– A dzicy, którzy zaatakowali bazę w Sait, właśnie użyli swojej czarownicy. I to podobno najlepszej.

Meredith uśmiechnął się kpiąco.

– Zaryzykowali. No i jak się skończyło? – zapytał retorycznie. Na pewno znał historię tej bitwy. Przecież Kai z całą pewnością nie omieszkała mu się pochwalić swoim wkładem w zwycięstwo. – Skończyło się tak, że oni nie mają swojej najlepszej czarownicy, a wy w dalszym ciągu macie bazę w Sait.

– No to do czego służą czarownicy w wojsku? – zapytał Tomaszewski trochę zbyt obcesowo.

Kai jednak uprzedziła odpowiedź Mereditha.

– Do tego samego, do czego służą wasze samoloty myśliwskie. Czyli zasadniczo do niczego poza niszczeniem innych samolotów.

– Chyba rozumiem. Czarownicy w armii są po to, żeby pacyfikować czarowników wroga?

– Generalnie. – Meredith zbliżył twarz do twarzy Tomaszewskiego, tak by móc w ciemnościach spojrzeć mu w oczy. – Ale mam silne przeczucie, że już niebawem przekona się pan także o innej ich roli.

– Ja bardzo przepraszam – przerwał im Siwecki, skupiony nad mżącym ekranem wykrywacza ciepła. – Doceniam ciekawą dyskusję, ale... tu coś błyska.

Rzeczywiście, niewyraźne plamki, które pojawiły się na ekranie, zdawały się to łączyć, to rozdzielać, zmieniając natężenie blasku.

– Co to jest?

– Mnie się pytasz?

– No szlag! – Tomaszewski patrzył na ekran ogłupiałym wzrokiem. Wyszyńska co prawda udzieliła mu wszelkich instrukcji, ale przecież urządzenie w działaniu w nocy widział po raz pierwszy. – Budzić ją! – podjął błyskawiczną decyzję.

Dwóm Tatarom czuwającym obok nie trzeba było tłumaczyć, kogo mają wyrwać ze śpiwora. Obaj skoczyli natychmiast w ciemność.

– Budzić całą resztę, która śpi. W idealnej ciszy. Niech nikt nie krzyczy ani nie nawołuje.

– Tak jest! – porucznik piechoty morskiej potwierdził szeptem przyjęcie rozkazu.

– Zaczęło się? – spytała Kai trochę bardziej drżącym głosem, niżby chciała.

– Nie mam zielonego pojęcia – mruknął Tomaszewski. – Może to jakaś awaria sprzętu. – Zerknął na migające bezsensownie plamki.

Żołnierze wokół usiłowali nie hałasować. Tatarom wychodziło to znakomicie. Trochę gorzej piechocie morskiej. Tu coś szcęknęło, tam rozległ się głośny szelest. Jednak stanowiska bojowe udało się zająć w zupełnych ciemnościach bez większych hałasów. Dużo głośniejsza okazała się Wyszyńska. Prowadzona przez dwóch zwiadowców, opatulona w ciepłe

koce, pomstowała pod nosem. Na szczęście słabym głosem. Na krzyki nie miała siły.

– No co wy wyrabiacie? – jęknęła na widok dowódców skupionych przy aparacie przypominającym monstrualną kamerę.

– Chcę wiedzieć, czy to jest atak? – Tomaszewski wskazał palcem plamki na ekranie.

– No przecież cię uczyłam obsługi!

– Chcę wiedzieć, czy oni nas atakują? – powtórzył pytanie spokojnie.

– No chyba tak. – Wyszyńska zbliżyła twarz do ekranu. – W każdym razie na pewno to są ludzie.

– No to świetnie. Jaka odległość?

Wyszyńska odpowiedziała pytaniem:

– Gdzie wyznaczyłeś godzinę dwunastą?

Pokazał jej, wyciągając ramię.

– Zatem są prawie na osi.

Przez chwilę majstrowała pokrętłami aparatu. Prawdopodobnie chciała uzyskać lepszą ostrość, ale to jej się nie udało.

– No to są na jedenastej, dwieście metrów stąd – zawyrokowała. – Z dość dużym błędem.

Tomaszewski szturchnął łokciem porucznika piechoty morskiej.

– Cel o dwieście metrów na jedenastej. Przygotować noktowizory. Nie włączać, nie strzelać. Podaj dalej!

Cicha komenda podawana z ust do ust zaczęła krążyć między ludźmi na stanowiskach bojowych.

– Zbliżają się? – Tomaszewski przysunął się do Wyszyńskiej.

– Phu! – Z trudem stłumiła kaszel. – To nie laboratorium, a ten sprzęt to nie suwmiarka. W każdym razie nie pędzą w naszą stronę.

– A ilu ich jest?

– Też chciałabym wiedzieć.

– Szlag jasny! – warknął Tomaszewski. – Bardzo ci dziękuję za niezwykle precyzyjne dane.

Meredith nachylił się nad chorą kobietą.

– Niech się pani nie przejmuje. Oficerowie narzekają na czarowników tak samo jak na inżynierów. Cokolwiek byśmy zrobili, im zawsze za mało.

Wyszyńska podniosła głowę i uśmiechnęła się do Mereditha z sympatią.

– Nareszcie jakaś grupa zawodowa, która nas rozumie. A te żołdaki i od was, i od nas zawsze chcą po prostu cudu!

– Święte słowa, pani inżynier. Święte słowa. Oni zawsze chcą, żebyśmy dokonali cudu.

Wyszyńska pokiwała głową i zajęła się pokrętłami przy skomplikowanym urządzeniu.

– Są o jakieś sto pięćdziesiąt metrów stąd – powiedziała po chwili.

– Ilu?

– Nie wiem. Większa grupa.

Prymitywny, lampowy termowizor w jej rękach dawał z siebie wszystko. Po chwili nawet stojący z boku zaczęli odróżniać na ekranie mniejsze grupki. Cele co chwila znikwały, pozostawiając za sobą coś jakby cień poświaty.

– Co oni robią?

– Kryją się za drzewami. Pierwsi z nich są o jakieś sto metrów.

Tomaszewski odwrócił głowę.

– Cel o sto metrów od perymetru. Przygotować się. Podaj dalej.

– Sto metrów i mniej – powiedziała Wyszyńska.

– Włączyć sprzęt – Tomaszewski wydał kolejny rozkaz. – Można strzelać, widząc cel. Podaj dalej.



Dowódca oddziału szturmowego podniósł rękę, w której trzymał łuk. Wojownicy wokół zrozumieli ten gest. Ławą naprzód! Nieregularna linia ludzi Lasu ruszyła do przodu, usiłując zachować maksymalną ciszę. Dobrze widzieli sylwetki intruzów skulonych w prowizorycznych kryjówkach. Obcy zaraz się dowiedzą, jaka kara czeka tych, którzy ośmielili się naruszyć świętość kniei. Jeszcze chwila i tamci doświadczą okrutnej śmierci. We wszystkich głowach pojawiła się ta sama myśl: „Zabić!”.

Dowódca obserwował linie wroga z niesłabnącą uwagą. Ci tutaj różnili się od wszystkich innych intruzów, którzy od tysięcy lat odważali się naruszyć spokój matecznika Bogów. Nikt przed nimi na przykład nie siedział po ciemku, czekając na atak. Obce wojska zawsze paliły wielkie ognie, naiwnie sądząc, że to uchroni żołnierzy przed rychłą zgoną. A ci

tutaj nie dość, że tkwili w ciemnościach, to jeszcze siedzieli nieruchomo, nie krzycząc, nie nawołując się, nie dodając sobie otuchy, w ciemnościach.

Wódz znowu podniósł rękę. Poszarpana linia wojowników zatrzymała się, patrząc uważnie w oczekiwaniu na następną komendę. Przewidując ją, niektórzy sięgnęli do kołczanów.

– Bzzzzz... – skądś dobiegł ich niespodziewany, drażniący dźwięk.

Pierwszy raz napotkali coś takiego.

– Bzzzzz... – rozległo się z drugiej strony linii wroga.

– Bzzzzz...

Co to jest?!

– Bzzzzz...

Wojownicy rozglądali się bezradnie. Wódz wiedział, że nie może wybić ludzi z rytmu ataku, sięgnął do swojego kołczanu.

Chlast! – coś uderzyło w wojownika tuż obok wodza. Ten, patrząc zdziwiony na wielką ranę klatki piersiowej, poleciał do tyłu dokładnie w chwili, kiedy pozostali usłyszeli huk wystrzału. A gdzie błysk? A gdzie dym z lufy? Chlast! Chlast! Dwóch następnych wojowników runęło na ziemię w konwulsjach. Jak oni mogą strzelać tak celnie w nocy?

Wódz nałożył strzałę na cięciwę i napiął łuk.

– Bzzzzz...

Chlast!

Upadając do tyłu, nie słyszał już niczego.



– Odpowiadają ogniem? – Tomaszewski usiłował zobaczyć cokolwiek w noktowizorze karabinu szturmowego. – Tfu! – Zdał sobie sprawę, że tamci nie mają broni palnej, więc o żadnym ogniu nie może być mowy. – Czy jest ostrzał z ich strony?

Prymitywny noktowizor nie był w stanie przekazać obrazu ewentualnych lecących strzał.

– A skąd to wiedzieć po ciemku? – zapytała Kai.

– Straty meldować! – Tomaszewski wrzasnął na porucznika piechoty morskiej.

Ten usiłował dowiedzieć się czegoś od łączników.

– Strat brak! – odkrzyknął po chwili. Na końcu języka miał też słowo „chyba”, ale wiedział z całą pewnością, że w trosce o własną karierę nie powinien go wypowiedzieć.

– Ilu rannych?!

– Strat nie meldowano!

Kai usiłowała przycisnąć się jak najmocniej do okutanej w koce Wyszyńskiej. Próbowała zrozumieć coś z chaotycznych ruchów płamek na okrągłym monitorze.

– I tak to wygląda? – zapytała z głupia frant. – Rozstrzeliwujemy ich po prostu z dalekich, bezpiecznych pozycji?

– Nie mów hop. – Tomaszewski otarł usta, na których gromadził się szron. – Wiele przegranych bitew zaczynało się od sukcesu.

Czarownica rozejrzała się niepewnie. Z tego, co mogła zauważyć, to piechota i Tatarzy leżeli spokojnie na swoich stanowiskach, strzelając niespiesznie i dokładnie wybierając swoje cele. Bitwa wyglądała jak niemrawe ćwiczenia na strzelnicy. Przypominało to sytuację, w której zamiast tarcz za cel służą żywi ludzie. Nikt nie atakował bezpośrednio polskich pozycji. Jeśli szturmujący strzelali z łuków, to nie sposób było dostrzec lecących pocisków. Spokój i opanowanie – te dwa słowa najlepiej opisywały to, co działo się na polu bitwy.

– Zabijemy ich wszystkich? – znowu zapytała Kai.

– Ponosi cię, a pamiętaj, że to nie debile. Zmieniaj taktykę.

Rzeczywiście po kilku minutach strzelanina zaczęła z każdą chwilą słabnąć. Żołnierze mieli przecież rozkaz prowadzić ogień tylko w sytuacji, jeśli widzą dobrze cel. Wniosek więc, że tamci się wycofywali.

– Co teraz będzie? – Kai poruszyła się niespokojnie. – Gonimy ich? Co teraz będzie?

– Fajerwerki, muzyka i napisy końcowe – zakpił Tomaszewski, a Wyszyńska zaczęła się śmiać.

Kiedy strzały umilkły, siedzieli dalej w ciszy, usiłując usłyszeć cokolwiek. Niestety, od huku wystrzałów w uszach dzwoniło. Z trudem tylko można było zrozumieć niewybredne uwagi dobiegające z pozycji Tatarów.

– Mustafa, zabiłeś kogoś?

– Chuj wie. Po czym to poznać?

Wyszyńska poruszyła się niespokojnie.

– Coś zamazuje obraz termowizyjny – powiedziała zdziwiona.

Tomaszewski zerknął na ekran.

– No ciekawe. Z tego wniosek, że ten dym jest ciepły.

– Co?

– Poruczniku – Tomaszewski odwrócił głowę – proszę kazać ludziom wkładać maski. Mamy miejscowy atak gazowy.

Nie było już potrzeby zachowywania ciszy. Po chwili rozległy się gwizdki oficerów, a żołnierze zaczęli nakładać maski. Po doświadczeniach z walk w Sait przerobiono wojskowe modele, bo były za ciężkie, a odporność na prawdziwe gazy bojowe niepotrzebna. Nowe maski bardziej przypominały więc zwykłe ustniki z osłoną na nos i dwoma małymi pochłaniaczami na bokach niż to, co stosowała zwykła piechota. Nie zasłaniały oczu ani uszu, kojarzyły się z maskami stosowanymi przez rolników przy szkodliwych opryskach.

Niektórzy żołnierze nie wkładali ich w ogóle. Słynny biały dym dzikusów był przecież rodzajem ziołowego narkotyku, a ten działa na organizm ludzki w zależności od nastroju, w jakim człowiek się znajduje. Szczególnie Tatarzy rezygnowali z tych zabezpieczeń. I już po chwili rozległy się nawoływania:

– Ibrahim! Czujesz coś?

– Do mnie jeszcze nie doleciało!

– Mustafa, ciebie już całkiem zasłoniło tym białym.

– Inhaluję, Hasan, inhaluję.

Widoczność była coraz bardziej ograniczona. Właściwie po dłuższej chwili mleczny opar stawał się nieprzenikniony dla oczu. Żołnierze wyłączali noktowizory, bo ich brzęczenie pozwalało zbyt łatwo zlokalizować pozycje.

– Spokojnie. – Głos Tomaszewskiego był zniekształcony przez ustnik maski. – Oni co prawda widzą w ciemności, ale w dymie nic nie widzą, tak jak my. Wszyscy spokojnie! Oni też w białym dymie nic nie widzą!

Teraz dopiero docenił, jak bardzo przydawały się wyniki doświadczeń doktora Bronowskiego z bazy w Sait. Oczy kota i noktowizory działały na w jakimś tam sensie podobnej zasadzie. W ciemnościach się przydawały, w gęstym dymie już nie. Ślepy jedno i drugie. Jedynym urządzeniem, któremu dym niezbyt przeszkadzał, był termowizor. Trochę gorzej, ale działał nadal.



– Zbierają się w większą grupę jakieś sto metrów stąd – raportowała Wyszyńska na podstawie tego, co widziała na okrągłym ekranie. – Ruszają w naszą stronę.

– Nie pytam już ilu – westchnął Tomaszewski, wiedząc, że wskazania w tych warunkach są mniej dokładne niż poprzednio. – A czy idą zwartą grupą?

– Tak. Najwyraźniej... – pani inżynier zawiesiła głos.

– Najwyraźniej co?

– Zamierzają się z nami rozprawić za pomocą krótkich mieczy i noży.

– A jakiś namiar?

– Są mniej więcej na godzinie drugiej. Odległość, też mniej więcej, siedemdziesiąt metrów.

Nawet nie trzeba było przegrupowywać oddziałów. Atak, choć wyrafinowany, jeśli chodzi o zastosowane środki, nadciągał z podobnego kierunku, co poprzedni. Jego oś przesunięto po amatorsku o dziewięćdziesiąt stopni, co w przypadku linii obronnej nie miało wielkiego znaczenia. Żołnierze nie musieli opuszczać swoich dotychczasowych stanowisk.

– Sześćdziesiąt metrów i bliżej! – zaraportowała Wyszyńska.

– Uwaga, karabiny maszynowe! – krzyknął Tomaszewski. – Cel na godzinie drugiej, odległość pięćdziesiąt metrów. Ognia!

Trzy ciężkie karabiny maszynowe i dziewięć erkaemów zaczęło strzelać seriami bez kontaktu wzrokowego z przeciwnikiem, prowadząc ogień według wskazań, na wysokości tułowia mniej więcej. Najgorzej, że atakujący też nie widzieli się nawzajem. Słyszeli oczywiście świst kul, odgłosy, kiedy te uderzały w cel, ale nie mieli pojęcia, ilu kolegów zostało wyeliminowanych z szaleńczego biegu na oślep. Ci, którzy przeżyli, biegli do samego końca.

– Dwadzieścia metrów! – krzyknęła zszokowana Wyszyńska.

– Całość seriami ognia! – wrzasnął Tomaszewski, popierając swój rozkaz długim gwizdem.

Żołnierze przełączyli swoje karabiny na strzelanie seriami. Trzy kompanie, około trzystu ludzi, zaczęły strzelać przed siebie kilka tysięcy pocisków. To właśnie było to, co dowódcy nazywają ścianą ognia. Zaporą śmierci. Nikt nie widział wroga. Nie wiadomo, czy z ataku zostało

cokolwiek żywego. Wyszyńska, czując na sobie pytający wzrok Tomaszewskiego, bezradnie rozłożyła ręce i potrząsnęła głową.

Kiedy żołnierze przestali strzelać i błyskawicznie zmieniali magazynki, nikt nie wyłonił się z białawych oparów przed nimi. Niektórzy z ludzi na stanowiskach bojowych składali się ponownie do strzału, inni przeciwnie, wyjmowali bagnety i saperki, szykując się do walki wręcz. W dalszym ciągu nie było widać dosłownie niczego.

– Co to było? – zapytała Kai.

– Nie wiem.

– Co oni tam robią? Czają się na nas tuż obok?

– Nie wiem – powtórzył Tomaszewski.

– A może czołgają się powoli, bo chcą nas obejść od tyłu?

Tomaszewski dotknął ramienia Wyszyńskiej skupionej przy swoim aparacie. Ta podniosła głowę dopiero po dłuższej chwili.

– Nie – powiedziała sucho. – Nie czołgają się.

– Bogowie! – wyrwało się Kai. Przełknęła ślinę. – I oni leżą tuż obok? Wszyscy martwi?

Nikt jej nie odpowiedział. Odpowiedzi nie mógł też udzielić mżący nieprzyjemnie ekran lampowego termowizora. Żołnierze zachowywali absolutną ciszę i nasłuchiwali w skupieniu, usiłując wyłowić jakikolwiek hałas od strony przeciwnika. Cisza zdawała się absolutna. Dopiero po dłuższej chwili skupienia uwagi dało się odróżnić od tła wywołanego przez wiatr lekkie jak tchnienie, ciche skrzypnięcia gałęzi. Biały dym rozwiewał się powoli. Nie sprawiało to, że można było dostrzec cokolwiek. Opar ustępował miejsca ciemności. Teraz jednak można było znowu użyć noktowizorów.

Tomaszewski przyłożył swój do oka, krótko lustrując teren wokół.

– Mogę zerknąć? – spytała Kai.

– Lepiej nie.

Już chciała odciąć się ostro jakąś złośliwą uwagą, albo przynajmniej się nadąsać, kiedy rozległ się okrzyk:

– Słyszę jakieś stukanie!

– Skąd? – Tomaszewski poderwał się na równe nogi, wyciągając z uchwytu raketnicę.

– Spod spodu...

Odpowiedź była tak niespodziewana, że zamarł, nie bardzo wiedząc, co robić. Raketę odpalił ktoś ze stanowiska dowodzenia Tatarów, jakieś sześćdziesiąt metrów dalej. Pewnie z rozkazu Selima Michałowicza. Żołnierze szybko zabezpieczali klapkami okulary noktowizorów.

Ognisty pocisk poszybował szybko do góry, by wybuchnąć nagle u szczytu trajektorii i zalać okolicę nawałą ostrego, zimnego światła. Wszyscy odruchowo zmrużyli oczy. Kai patrzyła nieprzytomnie na pole usłane ciałami przed linią własnych wojsk. Znowu przełknęła ślinę, usiłując powstrzymać odruch wymiotny. Nagle ona też usłyszała coś jakby stukanie. Przeniosła wzrok na powierzchnię jeziora.

Wrzasnęła, kiedy tafla rozprysła się nagle w kilkunastu miejscach, umożliwiając wojownikom z Lasu wydobyć się spod niej na zewnątrz.

– To niemożliwe! – wyrwało się Tomaszewskiemu.

Nie tylko on był w szoku.

– Człowiek tego nie wytrzyma! – porucznik piechoty morskiej mówił coś bez składu. – A powietrze? Nie... w tej wodzie jest za zimno. Człowiek tego nie wytrzyma.

– To niemożliwe! – powtarzał Tomaszewski. Po sekundzie zebrał się w sobie. Przypomniawszy sobie akcję na morzu załogi „Gradienta”. – Granaty!

Tuż obok znowu rozprysnął się lód. Ktoś z tyłu wystrzelił następną raketę. Kolejni wojownicy wydostawali się na zamarznąłą powierzchnię jeziora. Nieliczni żołnierze zaczęli strzelać. Tafla jednak rozprysła się także za ich plecami.

– Nie strzelać! – wrzeszczał Tomaszewski. – Nie strzelać do siebie nawzajem!

Lód rozbijano od spodu w wielu miejscach. Żołnierze rzeczywiście nie powinni używać swojej broni. Strzelanie w migotliwym świetle rac na bliskie dystanse nie mogło skończyć się dobrze.

– Żołnierze! Gromadzić się wokół swoich dowódców! Gromadzić się wokół dowódców!

Tomaszewski czuł, że zdziera sobie gardło. Ktoś za jego plecami znowu wystrzelił raketę. Szlag! Nie mieli zapasu, żeby walić z nich całą noc! Bitwa, która zaczynała rozgrywać się wokół, zaczęła też od razu przypominać zwykłą bijatykę. Tu jednak nie można było użyć przewagi technicznej. Starcie rozprzęgło się natychmiast na serie pojedynków, w których rozstrzygano indywidualnie, co lepsze: noże i krótkie miecze czy

bagnety i naostrzone saperki. I o to właśnie przeciwnikowi chodziło! Szybko zrozumiał, że frontalne ataki na kaemy to zbiorowe samobójstwo. Ale w jaki sposób pod lodem...? Nie było czasu rozstrzygać.

Biała tafla rozprysła się tuż obok stanowiska termografu. Idealnym refleksem wykazała się chora, owinięta w koce Wyszyńska. Wyszarpnęła granat z paska stojącego obok porucznika, wyrwała zębami zawleczkę i wrzuciła karbowane metalowe jajo pod lód. Kiedy głucha eksplozja, zdawało się, szarpnęła całym jeziorkiem, Tomaszewski podskoczył do przerębli i wstrzelił raketę oświetleniową pod wodę. Kiedy wybuchła, zimne światło magnezyj rozbłysło pod powierzchnią, a wszystkie otwory wykonane przez napastników w lodzie rozjaśniły się upiorną poświatą.

– Granaty! Wrzucać tam granaty!

Kilka podwodnych eksplozji powstrzymało dopływ atakujących. Gorzej działo się tuż obok komandora. Tatar, wołany przez kolegów Mustafa, nachylił się nad otworem, trzymając pozbawiony zawleczki granat. Jakiś dzikus wyprysnął spod wody i wbił mu nóż w gardło. A potem pociągnął żołnierza pod lód. Porucznik chciał podskoczyć na pomoc, ale Tomaszewski powstrzymał go ruchem ręki. Kiedy Mustafa umierał, rozluźnił dłoń, a podwodna eksplozja zabiła wszystkich, którzy podpływali do niego.

– W tył! – wydał komendę stojącym wokół ludziom. – Wszyscy w tył! Za mną!

Dwóch żołnierzy chwyciło Wyszyńską, dwóch innych zajęło się aparaturą. Tomaszewski wystrzelił swoją przedostatnią raketę. Wycofując się, obserwował pole bitwy. Jasna dupa! Przeciwnik osiągnął dokładnie to, co chciał. Walka wręcz w ciemnościach! Na szczęście granaty powstrzymały dopływ posiłków.

– Stać! Żołnierze wokół mnie!

W jednej chwili przypomniał sobie wszystkie wnioski z badań doktora Bronowskiego z bazy w Sait. Żołnierze zza gór byli od wojowników z Lasu lepiej odżywieni, i to od pokoleń. Lepiej leczeni. Wychowani na witaminach i wysokoenergetycznych potrawach. Górowali więc masą ciała, siłą i wytrzymałością. Byli po prostu więksi i ciężsi. A poza tym, co podejrzewał Bronowski, wychowani w innej kulturze, byli też bardziej bezczelni.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

- Uformować szyk! Idziemy ławą.
- Jaką broń przygotować? – spytał ktoś z boku.
- A byliście kiedyś na wiejskich zabawach w remizie?

Odpowiedział mu pomruk zrozumienia.

– I widzieliście, kto w takiej rozpierzusze wygrywa? – Tomaszewski zadał pytanie i sam zaraz odpowiedział: – Ten, kto rzuci do bójki zorganizowaną siłę. Ta wieś wygra, która skrzyknie swoich i rzuci wszystkich naraz!

- Tak... Tak jest! – rozlegały się głosy.
- No to idziemy dać im wpierdol. Wszyscy za mną!
- Najebać skurwysynom! – dołączył się jakiś sierżant. – Wszyscy ławą! Ktoś zadbał, żeby wystrzelić resztki oświetleniowych rakiet.

Wkurwieni ludzie ruszyli ławą na pole bitwy. Krok za krokiem, coraz szybciej, aż wbili się w walczących niczym fala oceanicznego przypływu. Noże, bagnety, łopatki, kastety poszły w ruch – remizy mogły tylko zazdrościć.

Rozpaleni walką dzicy nie mieli dwóch atutów. Przewagi w sile i bezczelności oraz dyscypliny. Żołnierze zza gór dysponowali większymi zapasami energii. Nie byli aż tak ruchliwi i gibcy jak miejscowi, ale ich ciosy łamały kości. Kopnięcie w goleń wojskowym buciorem skręcało łydkę pod jakimś zupełnie nieprawdopodobnym kątem. Uderzenie saperką na ukos roztrzaskiwało żebra. No i dyscyplina. Nigdy samemu w największy ścisk. Zawsze z kolegami. Nigdy samemu! Zawsze w kilku! Pojedynczy bohaterowie przeciwko tej taktyce mieli niewielkie szanse.

Bijatyka w chwiejnym świetle nielicznych rac przybierała coraz bardziej bezładny charakter. To znaczy bezładny po stronie dzikusów. Piechota morska i Tatarzy zbijali się w małe grupki, by atakować pojedyncze cele lub pomagać kolegom w opresji. Ktoś łapał wojownika od tyłu, ktoś łamał mu nogi, kto inny dobijał. Dyscyplina i współpraca, a nie bohaterskie popisy, które w zamyśle miały zostać zapamiętane i długo jeszcze opowiadane przy ogniskach w puszczy.

Nie trzeba było czekać długo na przełamanie. Najpierw nieliczni wojownicy, rozumiejąc, co się dzieje, zaczęli wyrwać się z zamykającego się koła zagłady. Potem usiłowali uciekać po kilku. Nacisk z ich strony osłabł nagle i bijatyka momentalnie zamieniła się w rzeź. Tu nie było litości, zmiłowania ani w ogóle jakichkolwiek uczuć. Tylko eliminacja. Bez

żadnych konsekwencji, bo rakiety kończyły się właśnie i ciemność zapanowała nad polem bitwy, czy teraz już raczej pobożowiskiem. W tych warunkach nikt nikomu nie przypisze winy za jakiegokolwiek czyny, które zostały tu popełnione. I choć nie padł ani jeden strzał, to po kilku minutach nie żył już ani jeden wojownik.

Kai wymiotowała gwałtownie. To, co zobaczyła w świetle latarek zapalanych przez żołnierzy, nie przypominało niczego, co mogła widzieć choćby w walkach o bazę w Sait. Tam jednak używano głównie broni palnej i strzelano z małej, ale pewnej jednak odległości. A tutaj... Nie mogła zapalić swojej latarki i spojrzeć pod nogi. Na szczęście Meredith stał tuż obok i objął czarownicę ramieniem.

Tomaszewski razem z porucznikiem piechoty ruszyli na obchód i ogląd stanu wojsk. Byli bardziej odporni niż czarownica, a jednak oni także woleli nie kierować światła swoich latarek za bardzo w dół. Dzięki temu jednak trudniej omijało się poszatkowane zwłoki. Pułkownika Michałowicza znaleźli dopiero po dłuższej chwili, kiedy porządkował prowizoryczną obronę na tafli jeziora.

– Selim? – zawołał Tomaszewski. – Jak u ciebie ze stratami?

Tatar podniósł głowę. Cholerne latarki. Nie wypadało świecić drugiemu w oczy, ale w ten sposób nie widać było wyrazu twarzy. Tylko oczy lśniły jasno.

– Ujdzie.

– A jak ludzie?

– Ludzie jak ludzie. Spokojnie.

Co za durna rozmowa. Nie mogąc odczytać nastroju Tatar, nie można było odgadnąć, czy mówi poważnie, kpi, ma wyrzuty wobec dowódcy, czy też wszystko jest w porządku i po prostu nie ma o co pytać.

– A jakie masz straty?

– Zabitych kilku, jeszcze liczą. Paru rannych.

Tomaszewski wiedział, że Tatarzy inaczej liczą poszkodowanych w starciu. Słowo „ranny” oznaczało tylko i wyłącznie ciężko rannego, takiego, który nie mógł dalej iść sam. Jakies tam durne urazy rąk, nóg czy nawet głowy nie były liczone do chwili, aż taki żołnierz nie zemdleje w marszu albo nie zrobi czegoś gorszego.

Jakby na potwierdzenie ponurych myśli Tomaszewskiego, gdzieś za ich plecami rozległ się pojedynczy strzał z pistoletu.

– Co to było?! – poderwał się porucznik.

Tomaszewski znał zwyczaje zwiadowców. Westchnął głęboko.

– Ciężko ranny żołnierz zastrzelił się, żeby nie być ciężarem dla oddziału. Albo koledzy mu pomogli na jego prośbę.

– Kto mu dał pistolet?!

Komandor położył mu rękę na ramieniu.

– Kto mu dał? – prychnął pogardliwie. – A może sam miał? A może po prostu znalazł gdzieś tu w krzakach?

Porucznik nie mógł się otrząsnąć.

– Trzeba przepytac...

– Przestań – przerwał mu Tomaszewski. – Pytać nie ma po co, bo Tatarzy nie powiedzą. A na śmieszność tylko narazić się można.

Gdzieś z boku ktoś znowu wystrzelił z broni krótkiej. Potem, trochę dalej, jeszcze raz. No i cóż. Tatarzy po bitwie załatwiali swoje sprawy. Na swój sposób.

– Parszywe jeziorka. – Znowu Tomaszewski nie mógł rozpoznać, czy Selim kpi, narzeka, czy ma pretensje, że weszli na lód wbrew jego obawom. A może tylko stwierdzał fakt.

– Wydaje się niemożliwe, żeby ktokolwiek przeżył w wodzie o tej temperaturze.

– Bo to jest niemożliwe.

– No to skąd się wzięli? Dlaczego nie słyszeliśmy, jak rąbią przeręble na brzegu, wskakują do nich i...

– Bo nie rąbali przerębli – powiedział Michałowicz. – Te jeziorka muszą być połączone podwodnymi korytarzami. I tam musi być ciepły prąd.

– A powietrze? Jak długo można przebywać pod wodą, żeby pokonywać jakieś podziemne korytarze?

Tatar wzruszył ramionami.

– Mają kutasy jakiś swój sposób.

Potem wziął Tomaszewskiego pod ramię i odprowadził kilka kroków poza zasięg słuchu ludzi wokół.

– Krzysiek, ja wiem, że jeszcze nie teraz, że jeszcze nie jesteś pozbierany. Ale spróbuj gdzieś się zaszyć na chwilę, przemyśleć wszystko i wydać konkretne rozkazy.

– Wiem.

Michałowicz sam oświetlił sobie twarz, podnosząc wzrok na przyjaciela.



– Sytuacja nie jest, kurwa, dobra. Musisz wydać szybko rozkazy i chwycić moich za pysk, bo się rozpręgna.

– Jestem tego świadomy. Ale dzięki.

Tatar skinął głową i puścił ramię komandora. Odwrócił się i odszedł do swoich ludzi. Tomaszewski ruszył w stronę przeciwną. Zatrzymał się jeszcze przy dwóch żołnierzach z ciekawością obserwujących jedną z dziur w lodzie. Obaj raczyli się jakimś płynem, a sądząc z niewielkich raczej łyków, które przyjmowali, nie była to chyba woda.

– Panowie – powiedział cicho, żeby ich nie spłoszyć – no nie wstyd wam?

Tatarzy nawet nie usiłowali ukryć manierki.

– A czego? Przecież po bitwie jest!

– Ja nie o tym – mruknął. – Tylko... wy pijecie, weselicie się, a kolega Mustafa gdzieś tuż obok pływa sobie smutny pod lodem.

O tak! To był dla nich argument.

– No to za Mustafę... – Jeden podniósł manierkę.

– Co ty robisz?! – Tomaszewski sprawnie zabrał mu naczynie i sam wzniosł je w toaście. – Zdrowie nieboszczyka chcesz pić? Za pamięć Mustafy się napijmy!

Wziął spory łyk i o mało go nie zatkało. To był spirytus. Wyteżył siłę woli, żeby niczego po sobie nie pokazać. Tatarzy kiwali głowami. Cała akcja wyraźnie im się podobała. Świadczyła zresztą, że dowódca darzy żołnierzy szacunkiem. Swój. A skoro tak, to szacunkiem mu odpowiadali.

– A o kobiecie zapominacie?

Wszyscy trzej odwrócili się gwałtownie, zaskoczeni. To Wyszyńska, ciągle zawinięta w koce, chwiejnym krokiem szła do nich, świecąc sobie latarką.

– Typowi faceci – pomstowała. – Pójść i się napić z kumplami. A baba niech siedzi na dupie i gary pucuje.

Tak zaskoczyła Tatarów, że nie wiedzieli, co powiedzieć. Tomaszewski podał jej manierkę.

– Ależ prosimy, prosimy.

Wyszyńska podniosła naczynie do ust. Bez wahania przyjęła sporą dawkę i bez żadnych negatywnych objawów oddała manierkę właścicielom, budząc ich niekłamany podziw. Potem jednak zachwiała się i musiała oprzeć na Tomaszewskim. Korzystając z sytuacji, szepnęła mu do ucha:

– Wymyśl coś, bo leżymy. Utknęliśmy w terenie, gdzie parów za parowem dzieli nas od świątyni, a z drugiej strony jeziora, gdzie w każdej chwili coś nas może zaatakować spod lodu. Nie ma drogi, kończy się amunicja, a jeśli oddamy inicjatywę, to dzicy przy następnej bitwie coś na nas wymyślą.



Shen była w doskonałym nastroju. W koszarach nie doszło do strzelaniny. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, że nie wierzyła Sharri ani nie ufała jej planom. Tak jakby irracjonalnie nie sądziła, że żołnierz może się dogadać z żołnierzem, a koleżanka z koleżanką. Było to dla niej bliskie bardziej mirażom niż sytuacji rzeczywistej, podświadomie wiedziała, że i tak czeka ich urządzenie jatki własnym siostrom, krwawe zdobywanie budynku za budynkiem w morderczym ogniu karabinów Kadira, z granatami na długich tyczkach wrzucanymi do każdego okna, jak to miało miejsce w Lai Ho Park.

A tu nic. Wojska w koszarach było mało, nawet nie szkieletowa obsada, oficerów jeszcze mniej, i to niskiej rangi. Kiedy Sharri wyszła na otwartą przestrzeń, żeby porozmawiać, zwerbowane wcześniej przez Nuk dziewczyny wewnątrz koszar usiłowały wyłapać oficerów. Kilka udało się zamknąć we własnych pomieszczeniach pod strażą, reszta uciekła sama, zanim ktokolwiek zorientował się, co jest grane. Tymczasem Sharri przekonywała dziewczyny z koszar o bezsensie walki, idiotyzmie ponoszenia niepotrzebnych ofiar. Była otoczona przez te żołnierki, które miały bronić wartowni. Zachęcała je, żeby dyskutowały z koleżankami, pokazywały, jak jest naprawdę, podchodziły coraz bliżej. W końcu pod wodzą Sharri wartowniczeki i partyzanci zupełnie pokojowo zaczęli mieszać się z niedoszłymi obrońcami koszar.

W tym momencie Shen zrozumiała, że dawne czasy się skończyły. Właśnie odchodzą w niepamięć. Żołnierze z koszar wcale zresztą nie przeszły na stronę partyzantów, a przynajmniej nie wszystkie. Te, które zostały w budynkach, utworzyły własną radę żołnierską, która, bardzo przejęta swoją rolą, rozpoczęła niekończące się dyskusje, co należy zrobić, żeby wszystkim ludziom było dobrze. Nie przeszkadzano im, a nawet

oddano własnych oficerów pod straż, niech same decydują, co z nimi zrobić. Nie było sensu tracić na nie czasu: zapasy z arsenału zostały rozdysponowane, a magazyny zajęte i pod strażą partyzantów.

Wstawał właśnie dzień i należało ruszyć w stronę najważniejszego celu w tej akcji. Lotnisko nie było położone daleko, jednak maszerującym w jego stronę oddziałom wydawało się, że znajduje się za oceanem. W każdej głowie krążyły niespokojne myśli: Jak zachowają się Polacy? Czy można z nimi rozmawiać, czy też zaczną strzelać, od chwili kiedy zobaczą cel?

Na pewno byli już uprzedzeni. Kilku podoficerów przebywało przecież na terenie koszar w momencie nadejścia oddziałów Shen. Z całą oczywistością nie uciekali przed siebie na oślep, tylko do swoich.

Sytuacja stała się jasna po dotarciu do celu. Oczywiście, że byli przygotowani do obrony. Wszystkie zabudowania wokół lotniska ziały pustką. Cała więc obsługa, według szacunków mogło to być nawet czterdziestu ludzi, umocniła się w wieży kontrolnej, w jedynym obiekcie, który idealnie panował nad okolicą. No! Można było sobie darować mrzonki o tym, że da się ich przestraszyć czymkolwiek. Teraz się już nie da. Mogli dysponować trzema, czterema cekaemami, mieli mnóstwo amunicji, zarcie w tych swoich wiecznie świeżych konserwach i tylko pytanie, jak stali z wodą? No ale jest zima, śniegu wokół do zezrania. Zresztą zanim im się wyczerpie to, co przygotowali sobie w kanistrach, zawsze mogli wykopać studnię.

Shen wzruszyła ramionami. Teoretyczne rozważania. Mieli radio! I w związku z tym mieli wszystko, czym dysponowało lotnictwo: zaopatrzenie, rzuty, osłonę bombowców, gaz bojowy, a nawet desant. Ciekawe tylko, kurwa, czy złoty prysznic z kompletem młodych masażystek też im zrzucą na żądanie?

Shen prychnęła ze złością na własny tok myślenia i zatrzymała oddziały o jakieś dwieście metrów od wieży kontrolnej. Dalej poszła sama. Nie spodziewała się, że ktoś do niej strzeli. Doskonale wiedziała, że to nie ten typ ludzi. W wieży zabarykadowali się pierdoleni pragmatycy. Nie będą strzelać do pojedynczego człowieka, bo im szkoda jednego naboju.

Zatrzymała się jakieś pięćdziesiąt kroków od wieży. Gestami dała im znać, że chce rozmawiać, żeby ktoś do niej wyszedł. Na szczęście byli pojętni i ciekawi tego, co się dzieje. Już po chwili wyszedł do niej młody człowiek w mundurze lotnictwa. Przyglądała mu się bacznie, kiedy się

zbliżał. Porucznik, młody, o zaciętym wyrazie twarzy, wyglądał na służbistę. Niedobrze. Chociaż... Kto wie?

Uśmiechnęła się, kiedy jej zaszalutował.

– Porucznik Krzysztof Jabłoński – przedstawił się i pokazał legitymację służbową. Naprawdę służbista! O szlag jasny! – Jestem dowódcą obrony lotniska.

– Jakiej obrony? – zakpiła. – Ktoś was atakuje?

Polak zrozumiał, że się wygłupił. Zacisnął usta. A ona kpiła sobie w najlepsze. Skoro pokazał jej legitymację, to ona pokazała mu list gończy. Rysunek na liście był prawie równie dobry jak jego zdjęcie w urzędowych papierach.

– Dowódca lotniska – poprawił się. – Słyszeliśmy o tym, co się stało na wartowni garnizonu. I wiemy też, że macie kartaczone. Pragnę poinformować panią, że w żaden jednak sposób ta broń nie ma się do naszych cekaemów.

– A mamy zamiar się nawzajem ostrzeliwać? – Obdarzyła go promiennym uśmiechem słodkiej idiotki. – I prośbę mam. Ja się ciężko uczę po polsku. Proszę używać prostych słów, bo inaczej rozumiem tylko piąte przez dziesiąte.

Przekrzywiła głowę na bok i znowu posłała mu słodziutki uśmiech. No i rozbroiła go! Nie jak oficer oficera obcej armii. Tylko jak kobieta mężczyznę.

– Czym mogę pani służyć?

– Chcę poinformować pana, że znajduje się pan na terytorium Republiki Kong. Oczywiście nie mamy nic przeciwko polskiej bazie na naszym terytorium, ale musimy się porozumieć w kwestii opłat za dzierżawę gruntu.

– Mamy wam płacić za lotnisko?! – Jabłoński zdębiał.

– Do negocjacji dojdzie na wyższym szczeblu, i na razie nie chodzi nam o jakieś wygórowane kwoty. Na początek chcielibyśmy dostać te legendarne kartofle.

– Co?

– No te bulwy, co podobno z pola jednego gospodarstwa można całą wieś wyżywić. A z pól całej wsi można wyżywić całe miasto.

Dopiero teraz zrozumiał, że to nie dowcip. Trochę głodnych ludzi w okolicy już zdążył zauważyć. Nie umknęło jego uwadze także zachowanie

miejscowych przy dole służącym za śmietnik bazy.

– A tego to dostaniecie do oporu. – Machnął lekceważąco ręką. – Zaraz... Jaka Republika Kong? – nagle skojarzył. – Przecież jestem na ziemiach imperium, naszego sojusznika.

– Już nie. I nie ma co się uśmiechać pod nosem. W okolicy nie ma żadnych imperialnych sił. Ten garnizon, który teraz ugania się po Lesie, był jedynym wojskiem dla całej prowincji.

– A nie przyszło pani do głowy, że pani cesarz poprosi o pomoc swojego sojusznika i załatwi przewiezienie tu swoich oddziałów samolotami?

Shen uśmiechnęła się znowu promiennie.

– A gdzie wylądują? – Patrzyła na niego filuternie.

– Tutaj? – Wskazał pas startowy.

– A jeśli wykopię w poprzek pasa głęboki rów, to gdzie wylądują?

Spoważniał.

– Ożeż ty... Moje karabiny maszynowe zmiotą wszystkich kopaczy z tego pasa w ciągu kilkadziesiąt sekund!

– W nocy też? – Znowu go zaskoczyła. – No dobrze. A co zrobicie, jeśli każę moim ludziom kopać z punktu, który nie jest widoczny z wieży, i pracować tak, żeby niczyja głowa nawet na chwilę nie wystawała z rowu? Przekopimy całe lotnisko zygzakami. I co wtedy?

– Nasi żołnierze mogą nawet skakać na spadochronach!

– Wasi może i tak, choć coś mi mówi, że tylko nieliczni. Ale już widzę, jak wspomniana armia imperium tu skacze. Żeby im tylko kiecnek na głowy nie zawiąło!

Jabłoński wyraźnie się zdenerwował.

– Czy mogłaby mi pani wyjaśnić, czego właściwie pani chce?

– No właśnie nie chcę robić tego, o czym przed chwilą mówiłam. Nie chcę walczyć, zepsuć tu wszystkiego i czekać potem na wsparcie żelaznych okrętów, które może przyplyną, a może nie przyplyną.

Porucznik skinął głową. To akurat rozumiał.

– Sama pani przyznała, że współdziała z marynarką wojenną.

Spojrzała powłóczyście.

– Wygląda pan na bywalca, panie poruczniku. Więc sam pan wie, że w każdym tańcu przychodzi czas na zmianę partnera.

– To propozycja?

– Nie. Opis sytuacji. Z punktu widzenia atrakcyjnej dziewczyny, która może mieć w tańcu nawet i dwóch partnerów. I to tak, żeby obaj byli zadowoleni.

Zerknął na nią badawczo.

– No to słucham?

– Panie poruczniku, to sprawy polityczne. Niech wojsko przyśle jakiegoś polityka, a ja wydeleguję bardzo mądrego człowieka od nas. Nie będziemy przecież zmieniać historii świata tu, stojąc na śniegu, przy śmietniku. – Wskazała palcem dół, gdzie wyrzucano odpady z bazy.

Jabłoński skinął głową.

– Ma pani rację. – Cmoknął cicho. – A ten konwój dla Baranowskiego? Ma szansę wyruszyć?

– Obawiam się, że został zrabowany. Moi ludzie byli głodni. – Zawiesiła głos. – Ale... – podjęła po chwili – nie widzę żadnych przeszkód, żeby przepuścić następne.

Jabłoński chciał coś powiedzieć, zamarł jednak, widząc tłum wynurzający się pomiędzy zabudowań. Na ile mógł dostrzec, to byli chłopci i mieszkańcy miasteczka. Wszyscy uzbrojeni w drągi, widły, kłonicę, a co biedniejsi choćby w sztachety z płotu. Zbliżyli się rześko, najwyraźniej pełni bojowego zapału.

– Złamała pani honorową umowę dotyczącą tej rozmowy – powiedział Jabłoński.

– To nie są moi ludzie. – Shen była równie zaskoczona co on. – Nie wiem, czego chcą.

– To co? – Porucznik ocenił odległość, jaka dzieliła go od wieży kontrolnej. – Uciekamy?

– Jakoś tak głupio, żebyśmy zwiewali. Może niczego od nas nie chcą?

Jabłoński zmełł przekleństwo.

– No i wymyśliła sobie pani republikę, rewolucję, a teraz pani zobaczy, do czego jest zdolny niekontrolowany lud!

Shen sama była w strachu. Zarówno porucznik, jak i ona mogli kazać swoim ludziom strzelać do tłumu, tylko co z tego? Sytuacja wyglądała na patową. A tłum zbliżał się szybko, nie dając czasu na rozmyślenia.

– Wara! Wara! – wrzasnął idący na czele barczysty chłop w rozchełstanym baranim kozuchu. – Nie damy!

– Niech mi pani tłumaczy, co on krzyczy, dobrze?

– Jasne.

Chłop, kiedy znalazł się bliżej, zatrzymał pochód jednym machnięciem ręki. Podniósł do góry swoje widły, co sprawiło, że pozostali również unieśli broń. Wyglądało to bardzo groźnie.

– Nie damy zniszczyć Świętej Wieży! – ryknął samozwańczy przywódca.

– Jakiej?! – Jabłoński nie chciał uwierzyć w tłumaczenie. – Jakiej?

– Nie dadzą zniszczyć wieży kontrolnej – doprecyzowała Shen. – To raczej pańscy sojusznicy, poruczniku.

– Nie damy zniszczyć Świętej Wieży, która mruga błogosławionymi światłami! Nie damy zbezczęścić Cudownego Dołu Obfitości! – Chłop wskazał na lotniskowy śmietnik. – Wara!

Chłopi potwierdzali jego słowa, potrząsając głowami. Niektórzy, głównie stare kobiety, porzucali swoją broń i padali na kolana, żeby modlić się do wieży kontrolnej, z której okien osłupiali polscy cekaemiści patrzyli na nich przez lornetki.

– Ja cię pieprzę... – wyrwało się oszołomionemu Jabłońskiemu.

– Chciałbyś – szepnęła Shen rezolutnie.



Sytuacja zdawała się beznadziejna. Sanitariusze kończyli opatrywać tych, którzy odnieśli rany w nocnej bitwie, oddział szykował się na przyjęcie zrzutów, których miały dokonać samoloty z krążownika. Ale co mogły im dostarczyć cztery małe, leciutkie maszyny zwiadowcze? Głównie amunicję. A oni nie mieli już prawie wszystkiego. Skończyły się rakiety oświetleniowe, amunicja zaspokoiłaby potrzeby być może małej potyczki, a na śniadanie zjedli resztki konserw, które dotąd dźwigali na własnych plecach. Dopiero w takich warunkach ludzie zdawali sobie sprawę, ile zapasów zużywa dobowo nawet tak mały oddział jak ich, złożony z trzech zaledwie kompanii.

W dodatku byli na obcym terenie, oddzieleni od celu wyprawy szeregiem głębokich parowów, nie do sforsowania przez konie, a także skutecznie wycieńczających fizycznie ludzi, gdyby ci zdecydowali się na forsowanie ich w poprzek, jeden po drugim. Z drugiej strony pozostawały

jeziora, na których powierzchni w każdej chwili mogły powstać przeręble wypływające obcych wojowników w samym środku własnych linii. Dowódcy sztabowi opracowujący teorię wojen nazywali takie położenie dwoma słowami: martwy punkt.

Selim Michałowicz podszedł do Tomaszewskiego, który czekał przy radiostacji na komunikat.

– Słuchaj, Krzysiek...

Tomaszewski powstrzymał Tatara ruchem ręki, pokazując palcem na słuchawki, które miał na uszach.

– Kiepska łączność – wyjaśniła szeptem stojąca obok Kai. – Z trudem można rozróżnić poszczególne słowa.

– Ach... – Michałowicz odruchowo ściszył głos. – Ja nic pilnego nie mam. Chciałem mu tylko powiedzieć, że z moich obliczeń wynika...

Kai wzięła gadatliwego Tatara pod rękę i odprowadziła kilka kroków.

– Co wynika?

– Te nędzne zrzuty, które zamówiliśmy, mogą nam starczyć raptem na dobę. Zakładając, że nie będzie jakiejś wielkiej walki, pochłaniającej wszystkie siły i środki. Nie ma szans, żebyśmy doszli do świątyni przed Baranowskim.

Czarownica skinęła smętnie głową.

– Nie dojdziemy w tym terenie – powtórzył. – Teraz każdy już to widzi wyraźnie. A te maleńkie zrzuty nie wystarczą.

– To dobrze. Bo ich nie będzie – powiedziała Kai.

– Co? – Tatar osłupiał. – Co ty mówisz, panienko?

– Słyszałam, jak odwoływał samoloty. – Wskazała palcem Tomaszewskiego przy radiostacji.

– Coś takiego? A on co? Zwariował?

– Ma inny plan – usłyszeli głos Meredith.

Oboje drgnęli zaskoczeni. Stary czarownik potrafił podejść z tyłu idealnie bezszelestnie, choć przecież tak jak wszyscy musiał iść po śniegu, a nie unosił się nad nim. Na Selimie dodatkowo robiła niesamowite wrażenie jego polszczyzna. Meredith mówił tak, jakby urodził się na Mazowszu, uczęszczał do najbardziej elitarnego gimnazjum, a potem ukończył najdroższy uniwersytet w Warszawie. Jedynie Kai nie dziwiło to w najmniejszym stopniu. Ona już widziała, czym różni się zwykłe zaklęcie od tego w wykonaniu mistrza, perfekcjonisty.



- Rozmawiał z panem, panie czarowniku? – zapytał Michałowicz.  
Meredith uśmiechnął się, słysząc tę skomplikowaną figurę retoryczną.
- Nie. Ale zadał kilka pytań dotyczących obecności potworów w Lesie.  
– I potrafił pan udzielić mu odpowiedzi?  
– Poniekąd. Wypytywałem, czy czuję czyjąś obecność. Odpowiedziałem, że tak. Po bitwie potwory są bardzo osłabione. I w związku z tym łatwiej je poczuć.
- A są gdzieś tutaj? – zapytała Kai.  
– Są. Z tamtej strony. – Meredith ręką wskazał kierunek. – Zwiadowcy i małe oddziały mające nam uprzykrzyć życie za dnia.  
– Tak jak to robili z korpusem w dolinie Sait?  
– Gorzej. Będą bardziej przemyślni, bo do tych żołnierzy po dzisiejszej nocy mają już wielki szacunek. Wiedzą już, że muszą się poświęcać. I będą ginąć jeden po drugim, byle tylko zabić kogoś z naszych.
- No to pat jeszcze większy, niż był... – Kai urwała w pół zdania, widząc Tomaszewskiego, który zbliżał się do nich z radiotelegrafistą dźwigającym na plecach wielkie pudło.
- I jak twoje plany? – zapytał Michałowicz. – Znalazłeś wyjście z sytuacji bez wyjścia?  
Tomaszewski uśmiechnął się tajemniczo.  
– Chyba tak. Niech żołnierze przygotowują się do drogi.  
– I gdzie idziemy? – Dowódca Tatarów nie musiał swoim wydawać rozkazów. Wystarczył jeden gest zauważony przez najbliższego podoficera. Reszta zaczęła działać się sama.
- Przecież to żywe istoty, a nie duchy. I nie da się płynąć pod lodem kilometrami. Musieli zostawić jakieś ślady na śniegu, prawda?  
– A tak, zostawili – zgodził się natychmiast Tatar. – Moi zwiadowcy nawet widzieli te ślady na pierwszym rozpoznaniu rankiem. Tyle tylko, że...  
– Michałowicz zawiesił głos.  
– Że co?  
– Te ślady prowadzą najprawdopodobniej do ich osady. W kierunku zupełnie innym niż nasz cel.  
– No i właśnie o to chodzi. To świetnie, że nas zaprowadzą do ich osady.  
– Przecież to zupełnie inny kierunek!  
– No to co? W osadzie są starcy, niedołężni, chorzy i drobne dzieci. A każdy z nich pewnie do świątyni chodzi w jakieś ich święta, prawda? I co?

Niedołączni starcy przedzierają się przez parowy? No przecież musi być dla nich jakaś normalna droga.

Tok rozumowania Tomaszewskiego poraził Michałowicza.

– No fakt. Musi! – Przygryzł wargi, myśląc nad czymś intensywnie. Potem rzucił: – I sądzisz, że oni ci zdradzą, gdzie jest ta droga? Tak po prostu ci powiedzą?

– Owszem. Jeśli pytanie zostanie zadane im przez twoich ludzi, specjalistów od przesłuchań.

– Aha? A potem prasa znowu będzie szczebrać o naszym okrucieństwie i że torturujemy jeńców.

– A widzisz tu jakiegoś dziennikarza? Ja do prasy nie doniosę. Wyszyńska z całą pewnością również nie. A reszcie zakazę pisania pamiętników pod groźbą sądu polowego. Będziecie mogli tam robić, co chcecie.

– Aha – Tatar znowu przytaknął, tym razem zgodliwie. – No to inna mowa jest. I rzeczywiście szybko się dowiemy, co i jak.

Zasalutował z uśmiechem i odszedł do swoich ludzi. Kai westchnęła ciężko.

– Nie boisz się iść do osady potworów? Przecież po drodze będzie zasadzka co dziesięć kroków.

– Nie będzie. – Tomaszewski skinął na radiotelegrafistę. – Nie będziemy szli po omacku. Ostrzelamy każdą z ich ewentualnych pozycji.

– Przecież prawie nie mamy amunicji!

– Na krążowniku mają amunicji w bród – odparł, podnosząc do ust mikrofon na długim, zwiniętym węzowato kablu.

Usłyszeli cichy jeszcze, powoli narastający warkot.

– Cześć, zające – rozległo się w głośniku radiostacji.

– Cześć, wróbelku. – Tomaszewski najwyraźniej znał oficera artyleryjskiego marynarki, który miał kierować ogniem okrętu.

Warkot narastał coraz bardziej. Chwilę później nad szczytami drzew ukazał się samolot. A właściwie samolocik, mały, dwuosobowy górnopłat z przesadnie przeszkloną kabiną. Nie był uzbrojony, no chyba żeby liczyć pistolety i noże, które miała ze sobą załoga. Jedyłą prawdziwą bronią na pokładzie była radiostacja. Piekło na ziemię sprowadzało się bowiem głosem.

– No jak tam? Mogę wam wysłać markery?

– A ślij, ślij. Żeby ci tylko skrzydeł nie urwało.

– Dobra, dobra. – W głośniku na moment zapadła cisza. – Poszły!

Nikt z obecnych w Lesie nie mógł słyszeć huku dział krążownika. Okręt był odległy o wiele kilometrów. Gorzej, że w ogóle nic się nie działo.

– Lecą? – spytał Tomaszewski.

– Tak, są już w drodze. W sumie niedaleko mają, to i zaraz będą.

– Nie uciekasz?

– Markery mi niegroźne. Lecą bez poświstu i fali uderzeniowej.

No fakt. A trafienie pociskiem w tak mały cel jak samolot naprowadzania zakrawało na cud. Nikt też nie przygotowywał się do eksplozji. Żołnierze kończyli zwijać prowizoryczny obóz. Rannych segregowano na tych, którzy mogli iść, oraz tych, których wsadzano na konie. Nad grobami zmarłych koledzy dzielili między siebie ich amunicję.

Dwie następujące po sobie eksplozje były dalekie i słabe. Ich wyraźniejszym efektem były bardziej dwa słupy czerwonego dymu, które wyrosły w miejscach trafień.

– No, zajaczki, określcie swoją pozycję według znaków – rozległo się w głośniku radiostacji.

Tomaszewski wyjął złożoną mapę, na której miał już wstępne koordynaty. Oddał mikrofon radiotelegraficznie, by móc wykreślić ich dokładne położenie. Szybko dyktował ciągi liczb. Na końcu podał położenie celu.

– Dobrze, mam już wszystko – dobiegł ich raport z samolotu. – Mogę zesłać na tę ziemię trochę ognia.

– To co cię wstrzymuje?

„Wróbelek” roześmiał się cicho. W pokładowej radiostacji musiało nastąpić jakieś przebicie, bo usłyszeli, jak naprowadzający melduje dowódcy okrętowej artylerii:

– Widzę cel, widzę nasz oddział na ziemi. Zielone światło dla ognia.

– Przyjąłem, zielone światło. Puszczam cztery.

– Przyjąłem cztery. – Głos nagle stał się bardziej wyraźny: – Zające, lecą do was cztery pociski. Krążownik właśnie wystrzelił.

– A celowali przynajmniej? Przydałaby się nam jakaś boska opieka.

– W rzeczy samej – z głośnika padło potwierdzenie. – Ja w każdym razie zwiewam.

Mały samolot na nieboskłonie wykonał gwałtowny wywrót i przyspieszając z wyciem silnika, zniknął gdzieś za koronami drzew. Tomaszewski wyjął marynarski gwizdek i wydał komendę: „Ostrzał artyleryjski, kryj się!”. Żołnierze niespiesznie szukali schronienia. Wiedzieli przecież, w jakiej odległości od nich znajduje się krążownik, a z poligonowego doświadczenia pamiętali, że ciężkie pociski nie duchy. W cudowny sposób się tu nie znajdują, swoje przelecieć muszą.

– Gdzie one spadną? – Kai rozglądała się trochę niepewnie.

– Tam. – Tomaszewski wskazał stok łagodnego wzgórza odległy o kilkaset metrów.

– K... kryjemy się?

Spojrzał na nią z odcieniem niedowierzania.

– To przecież działa marynarki wojennej! Nie będą siać po wszystkim dookoła jak te z wojsk lądowych.

Zrozumiała, że ma zostać i dawać przykład, tak jak on. Zacisnęła zęby, żeby nie szczękały głośno, i zamknęła oczy. Na szczęście Meredith tuż obok również nie zamierzał ani kucać, ani nawet się schylić. To trochę dodawało otuchy.

Cztery wybuchy w odległości mniejszej niż kilometr przypominały trzęsienie ziemi. Kai otworzyła oczy. Miała wrażenie, że Meredith albo jakimś cudem spowolnił czas, albo przyspieszył postrzeganie. Wydawało jej się, że widzi dokładnie, co tam się dzieje. Pierwsza eksplozja wyrzuciła wysoko w powietrze kilka drzew. Druga sprawiła, że te drzewa zaczęły się błyskawicznie obracać wokół własnych osi, trzecia zamieniła je w celulozową mączkę, a czwarta podpaliła, tworząc w powietrzu wielką ognistą kulę. Czarownica potrząsnęła głową. Czas wrócił na normalne tory. Czy to jej się tylko zdawało, czy widziała coś rzeczywiście? Gejzery wyrzuconej w niebo ziemi właśnie opadały. O ile dobrze widziała, z pozycji zajmowanych przez zwiadowców z Lasu nie pozostało nic.

– Ruszać! Ruszać! – Tomaszewski znowu musiał użyć gwizdka, żeby wszyscy mogli go słyszeć. – Formować szpicę!

Pierwsza kompania Tatarów ruszyła przodem. Za nimi kompania piechoty morskiej osłaniająca tabory, czyli głównie konie z rannymi oraz resztkami zaopatrzenia. Z tyłu osłonę stanowiła druga kompania Tatarów. Tomaszewski narzucał ostre tempo.

– Wróbel! Wróbel!

Obciążony ciężką radiostacją żołnierz z trudem dotrzymywał kroku dowódcy.

– Wróbel na stanowisku! – Mały samolot ponownie ukazał się nad koronami drzew. – Jak było, chłopaki?

– Niezłe skupienie – odparł Tomaszewski. – W sumie ujdzie.

– Jakies dalsze życzenia?

– Dawaj mi salwę za salwą mniej więcej na kilometr przed nami.

– Krzysiek, zamierzasz rozstrzelać cały ten kraj? Nie śmiem pytać, czym ci zawinił.

– I dobrze, że nie pytasz. Oczyść mi drogę. Muszę się poruszać bardzo szybko.

– No to nasadźcie mocno czapki na głowy, chłopaki. Żeby wam nie zdmuchnęło, jak będę robił drogę do piekieł! – Suchy trzask w głośniku powiedział im, że oficer naprowadzania rozłączył się, ale dzięki przebicciu usłyszeli, jak stłumionym głosem łączy się z krążownikiem.

– Rybka! Rybka! Odezwij się.

– Rybka na miejscu.

– Jeszcze cztery dla naszych zajęczków, a potem sekwencyjnie korytarz przed nimi.

– Zrozumiałem. Melduj o widoczności celu i widoczności oddziału na ziemi.

– Przyjąłem, podaję koordynaty dla zajęczków.

Meredith nachylił się do Kai.

– Czemu oni używają zdrobnień, kiedy mówią o zabijaniu ludzi? – zapytał. – Rybka, wróbelek, zajęczki? To maszyny śmierci przecież.

Młoda czarownica nie umiała mu wyjaśnić. Musiała zaimprovizować.

– Bo to śmieszniej brzmi: „Uciekajcie stąd, bo wam zaraz rybka dopieprzy”.

Nie mógł odpowiedzieć, bo zasapał się, usiłując dotrzymać kroku żołnierzom. No cóż, nie można było Meredith nazwać nawet „starszym panem”, bo to określenie chyba nieadekwatne dla kogoś liczącego sobie ponad tysiąc wiosen. Musiał się zatrzymać, a Kai pomogła mu wsiąść, a właściwie wdrapać się na wielkiego perszerona. Koń nie sprawiał problemów. Ledwie drgnął, kiedy poczuli pod stopami nowe trzęsienie ziemi, a po chwili usłyszeli kolejne cztery eksplozje.

Piekielny korytarz trasowany kolejnymi salwami nie pozostawiał przed nimi niczego żywego. A jeśli nawet, to ci wojownicy, którzy znaleźli się niedaleko pola ostrzału, nie stanowili zagrożenia, bo sami potrzebowali pomocy. Tempo marszu gwałtownie wzrosło. Po trzeciej salwie Tomaszewski zarządził marszobieg. Żołnierze piechoty morskiej, szkoleni według amerykańskich wzorców, zaczęli śpiewać:

*Wojsko polskie maszeruje, uciekajcie, wszystkie chuje.*

Najpierw pół zwrotki intonował prowadzący podoficer, potem za nim powtarzała reszta oddziału.

*Polski samolot po niebie leci, chowaj się choć w kupie śmieci.*

Nie wszystkim podobały się te amerykańskie zwyczaje. Tatarzy obok zaczęli krzyczeć:

– Ej tam, skończyć te barowe przyśpiewki dla skacowanych piechociarzy!

*Polski czołg jedzie przez pole, lepiej, kurwa, idź w niewolę.*

– No skończcie to, debile! Dość tych szowinistycznych, nacjonalistycznych przyśpiewek.

– To sami coś zaśpiewajcie, dzikusy! – odcinali się żołnierze z piechoty morskiej.

– My mamy tylko poetyckie piosenki o tęsknocie, które się śpiewa przy ognisku. To kultura, a nie wasze amerykańskie porykiwania.

– Dość! – przerwał coraz bardziej chaotyczną wymianę zdań Tomaszewski. Potem podniósł do ust mikrofon: – Wróbelek? Masz na pokładzie jakiś gramofon?

W głośniku rozległ się śmiech oficera naprowadzającego.

– Nie mam. Ale poproszę krążownik, żeby puścili coś na wolnym kanale.

– Będę wdzięczny. Tylko dajcie coś miłego dla ucha, bo mi się tu ludzie powyrzynają z powodu różnic w gustach muzycznych.

– Nie ma sprawy. Nie ma sprawy.

Bum, bum, bum, bum! Kolejne cztery eksplozje kilometr przed nimi wywołały nowe trzęsienie ziemi. Tempo marszu mogło być powodem do zadowolenia. Oddział posuwał się naprzód naprawdę szybko. Oddziały dzikusów przed nimi albo zostały zmasakrowane, albo były zbyt zszokowane na jakąkolwiek reakcję. Nikt nie strzelał, nikt nie krył się w zasadzkach. Gdyby nie trudne warunki „drogowe”, można byłoby to

nazwać szybkim spacerem po deptaku w modnym uzdrowisku. Ale trudne warunki nie były przeszkodą – oddział został tak dobrany, żeby bez trudu je pokonywać.

*Usycham z tęsknoty za tobą...* – z głośnika dobiegły ich tony najnowszego szlagieru przysłanego na płycie gramofonowej z Polski.

– Daj głośniej! – krzyknął Tomaszewski do radiotelegrafisty.

Obserwował, jak ze szpicy Michałowicz sygnalizuje mu gestami.

– Tempo bardzo dobre. Dacie radę tak dłużej?

– Damy radę. Przygotujcie się do pacyfikacji wsi.

Kolejne cztery eksplozje targnęły krajobrazem. Wydawało się, że przed nimi kroczy jakiś niewidzialny olbrzym, każdym stąpnięciem niszczący wszystko, co znalazło się na jego drodze.

*A miłość panuje nad światem...* – charczał głośnik radiostacji.

Bum, bum, bum, bum – wybuchy ciężkich pocisków robiły za akompaniament perkusji.

*I kocham cię, miła, nad życie...*

Bum, bum, bum, bum.





## Rozdział 14



Nuk nie mogła podejść za blisko sztabu, żeby nie wyglądało to podejrzanie. Na szczęście Duon w porę ją zauważyła. Dość bezczelnie przerwała tłumaczenie rozmowy pomiędzy majorem Baranowskim a pułkownik Thien i podeszła do zwiadowcy.

– Dzięki, że jesteś! To naprawdę da się naprawić?

Zdjęła swoją kurtkę i pokazała niewielkie rozdarcie pod pachą.

– No pewnie. Zaraz ci to zrobię.

Nuk wzięła kurtkę i usiadła tuż obok. Duon w tym czasie tłumaczyła się oficerom.

– Najmocniej przepraszam, że przerwałam tak w pół słowa, ale kurtka mi się rozdarła i strasznie marzłam. A przecież nie chcecie chyba państwo, żebym się teraz rozchorowała.

– Oczywiście, że nie. – Baranowski nawet nie spojrzął na swojego zwiadowcę, który kucnął niedaleko, w zasięgu głosu.

– Bo ona mówiła, że potrafi zszyć tak gruby materiał, jaki jest w tej kurtce. A ja nie umiem.

Nuk akurat też nie potrafiła. Brezent trzymała w rękach po raz pierwszy w życiu. Ale nie przewidywała żadnych specjalnych trudności. Szycie jak szycie, a grubość materiału to tylko kwestia siły w palcach, a te Nuk miała silne.

– No właśnie – terkotała Duon, nie dając nikomu dojść do głosu. – A tak mi wiało przez dziurę pod pachą, że na mur bym się jutro rozchorowała.

– Zapewniam, że kwestia pani zdrowia jest dla nas rzeczą największej wagi – Baranowski z trudem przerwał tok jej wymowy. – Czy jednak możemy już wrócić do rozmowy?

– Tak. – Tłumaczka skinęła głową, lecz miała minę świadcząca o tym, że temat dziury w kurtce nie został jeszcze wyczerpany.

Baranowski tylko westchnął.

– To drobne zajście, zdaje się, przerwało pani myśl – zwrócił się do Thien.

Pułkownik przytaknęła z uśmiechem. Zaraz jednak spoważniała na powrót.

– Dalszy marsz w stronę świątyni jest pozbawiony sensu – powiedziała stanowczo. – Z wojskowego punktu widzenia, oczywiście.

– Dlaczego? – zapytał najstarszy z czarowników, który również brał udział w naradzie. – Żołnierze muszą się poświęcić. Tu chodzi o dobro cesarstwa. O istnienie całego znanego nam świata. Ludzie muszą zrozumieć, że z ich strony to tylko drobna ofiara, którą muszą ponieść dla celu większego niż oni sami.

– O? Pojawiło się odwołanie do wartości wyższych – zauważył zgryźliwie Baranowski. – Do wartości takich, jak państwo, a nawet porządek świata.

– Czyż żołnierz nie powinien być człowiekiem świadomym?

– Ciekawe, czemu wcześniej was ta świadomość zupełnie nie interesowała. Zanim tu przybyliśmy, żołnierze stanowili bydlęto pędzone do walki bez mała batem. Żarli brukiew i pili wodę z kałuży. Nawet przeciwnik nie był potrzebny, główne straty to odmrozenia, dezercje i samobójstwa na samotnych wartach.

– Jestem w stanie pogodzić się z faktem, że mnie nie lubicie, panie. – Siwy czarownik pochylił głowę.

Baranowski musiał się wkurzyć, bo nie dał mu dokończyć.

– Nie lubię? To jest mało powiedziane! – Odchylił się na składanym aluminiowym krzeselku, które zaskrzypiało pod jego ciężarem. Żołnierze kończyli budowę stancy, ale wewnątrz nie było jeszcze warunków na prowadzenie rozmów. Narada odbywała się pod namiotem z uniesioną jedną ze ścian. – Wymaga pan od żołnierzy świadomej ofiary, nie poświęcając dotąd ani chwili, żeby zrobić z nich świadomych obywateli. I

ja panu powiem, co się stanie, jeśli oni teraz staną się świadomymi obywatelami, którzy sami wykuwają swój los.

– Co?

– Wybuchnie rewolucja! Dokładnie taka sama jak ta za naszymi plecami i przez którą znaleźliśmy się w obecnej sytuacji.

– To prowokacja.

– Nie. Ja panu wyjaśnię, co tam zaszło. Po prostu ludzie Shen stali się świadomymi obywatelami i wzięli swój los we własne ręce! I przez tę nową świadomość teraz ani jeden gram zaopatrzenia do nas nie dotrze.

To była już jawna kpina, lecz czarownik zachował spokój. Zwrócił się do pułkownik Thien jako nominalnego dowódcy pułku.

– Czy mogłabyś mi, pani, wyjaśnić sytuację z wojskowego punktu widzenia?

– Ależ oczywiście. – Pułkownik wyjęła z torby mapę i rozłożyła na stole.

– Na podstawie meldunków radiostacji z lotniska dowiedzieliśmy się, że prowincja Kong wraz z miastem o tej nazwie i garnizonem znalazła się pod okupacją partyzantów. Samo lotnisko znajduje się jeszcze w polskich rękach, jednak operacje na szeroką skalę nie są w tej chwili możliwe, bo sporą część pasa startowego zajmuje jakaś sekta religijna.

– Jaka znowu sekta?

– Wyznawcy Świętej Wieży.

– Pierwsze słyszę.

– Kult cargo – wtrącił się Baranowski. – To nie jest żadna nowość. Na naszej półkuli Amerykanie już mieli z tym do czynienia. Przy lotniskach jest zawsze dużo wyrzucanych dóbr, a prymitywni tubylcy łączą to z siłami nadprzyrodzonymi, które im sprzyjają.

Thien pokiwała głową. A potem pokazała czarownikowi na mapie, gdzie jest lotnisko i Kong.

– Jesteśmy więc odcięci od zaopatrzenia – powiedziała. – W dającym się przewidzieć okresie nie będzie już więcej konwojów z żywnością i amunicją.

– I co to oznacza?

– Że mamy zapasy na jedną bitwę, jeśli chodzi o amunicję. Z żywnością, która jest w naszych rękach, przetrwamy natomiast kilka dni. Stąd jedyny wniosek: chcąc przeżyć, musimy natychmiast wracać do Kong. Inaczej zginieemy.

– Przecież jesteśmy o dzień drogi od świątyni! Możemy jutro uderzyć i odnieść sukces!

– Owszem. Jutro możemy odnieść sukces. A pojutrze stać się wygłodniałą, bezbronną cywilbandą, którą potwory zjedzą na śniadanie.

– Ale wypełnimy naszą misję!

– Czyli popełnimy zbiorowe samobójstwo? W imię czego?

– Utrzymania porządku świata.

– To niech pan idzie i wytłumaczy to żołnierzom! – krzyknął Baranowski. – Że mają ginąć za brukiew i wodę z kałuży! Bo to dla nich jest dotychczasowy porządek świata.

– Ja nie żołnierzom chcę to wytłumaczyć, ale oficerom. – Czarownik po raz pierwszy stracił opanowanie.

– Aha! Znaczący nas można przekonywać, a bydlę po staremu batem do walki? Mam cię dość! – Baranowski uderzył pięścią w stół. – Nie poprowadzę żołnierzy na śmierć.

Czarownik przeniósł wzrok na Thien.

– Was obowiązują cesarskie rozkazy, pani – powiedział sucho.

Pułkownik opuściła głowę. Nie miała najmniejszego pojęcia, co powinna zrobić. Iść dalej? I stracić cały pułk? No tak, tego można się było po cesarstwie spodziewać. W Sait przecież poświęciło cały korpus. Co tam głupi pułk z Kong? Tyle co splunąć. A rozkaz cesarzowej był naprawdę jednoznaczny: doprowadzić czarowników do świątyni w Banxi.

No i koniec pieśni. Gorączkowo usiłowała zyskać na czasie. Spojrzała na majora.

– Czy mogłabym zapoznać się z najnowszymi doniesieniami wywiadu?

– Oczywiście. – Baranowski pstryknął palcami w powietrzu. Chorąży pojawił się natychmiast. – Przynieś najnowsze raporty.

– Tak jest!

Każdy wiedział, że marynarka i wojska lądowe podglądają się wzajemnie. Rano nad ich głowami przeleciał mały samolot obserwacyjny z krążownika, a w pobliżu wybrzeża kręciły się samoloty zwiadowcze armii. Różne formacje obwącowały się nawzajem jak zwykle.

– Interesują panią postępy Tomaszewskiego? – Baranowski uśmiechnął się do pułkownik. – Nie wyprzedzi pani w żaden sposób.

– Jest pan pewien?

– A zastanawiała się pani kiedyś, co marynarka wojenna może wiedzieć o działaniach na lądzie? To nasza domena, nie ich.

– Jednak wylądowali w Banxi.

– Tak, tak. Ale całym problemem marynarki jest to, że oni tylko potrafią wysadzić desant. A komandosi mają szybko zabić kogoś na brzegu, podpalić coś albo wysadzić i natychmiast precz, z powrotem na okręty. A najlepiej jeśli w tym czasie dużo pancerników w pobliżu straszy wroga hukami dział. I tyle ich wiedzy, ha, ha, ha...

– Nie byłabym taka pewna.

Thien chciała powiedzieć coś jeszcze, przerwało jej nadejście chorążego z raportem. Baranowski szybko przebiegł oczami kilka linijek tekstu, a potem nachylił się nad mapą.

– No jasny szlag – wycedził.

– Co się stało? – Pułkownik również nachyliła się nad stołem.

– Tomaszewski zmienił kierunek marszu. Krążownik salwami wybija mu korytarz pomiędzy parowami. – Palec majora wędrował wzdłuż krętych linii. – I nie napotykając żadnego oporu, posuwa się o, tędy.

– I co tu jest?

– Nie wiem. Ale wydaje mi się, że on zmierza do jakiejś osady. Cholera jasna! Że też na to nie wpadłem!

– Na co?

– Przecież ludzie z osady muszą jakoś chodzić do świątyni! Nie pokonując za każdym razem głębokich parowów.

– O Bogowie! To oczywiste.

– Ciekawe, w jakiej odległości od świątyni są położone ich osady?

Zasepiony czarownik postanowił włączyć się do dyskusji.

– To akurat wiem. Nie więcej niż dzień drogi, bo sygnały przekazują sobie za pomocą dymu.

Baranowski uderzył pięścią w swoją drugą dłoń. Nagle zerwał się i zaczął krążyć po namiocie nerwowo, od ściany do ściany.

– Pierdolona marynarka wojenna! Tomaszewski dziś w nocy znajdzie się dzień drogi od świątyni. Sukinsyn będzie tam przede mną!

Czarownik nagle dostrzegł swoją szansę. Może był i fanatykiem, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że bez polskich dowódców... tfu! doradców, Thien sobie nie poradzi. Spojrzał na Baranowskiego z nową nadzieją.

– Ale sobie wymyślił! – Major nie mógł się uspokoić. – I ci durni marynarze będą u celu przed moim wojskiem.

– Panie majorze... – Pułkownik również była zdziwiona reakcją oficera, który niezmiernie rzadko tracił opanowanie.

Nie dał jej dokończyć zdania, doskakując do mapy.

– Atakujemy jutro o świcie! – krzyknął. – Jeden forsowny marsz, jeden dzień i jesteśmy w świątyni przed nimi!

– Sam pan mówił przed chwilą, że to zagłada pułku.

– No to co, że mówiłem? Zmieniłem zdanie!

– Nie zdołamy już powrócić do Kong.

– A ja ani myślę wracać! Skoro Tomaszewski wpadł na nowy pomysł, to ja też wpadłem. Tu zniszczymy cały nasz ciężki sprzęt.

Czarownik odetchnął z widoczną ulgą. Jego zadanie miało więc szansę na realizację. Pułkownik przeciwnie. Jakby opadła z sił.

– Co zrobimy po osiągnięciu świątyni? – zapytała.

– Nie będziemy wycofywać się do Kong. Pójdziemy w stronę wybrzeża. Śladami Tomaszewskiego! – wykrzyknął Baranowski triumfalnie. – A pewnie i w jego towarzystwie.

– Na wybrzeże? A po co?

– Pod osłonę dział tej maszyny piekielnej, nazywanej orp „Poznań”!

Spojrzała na niego zdumiona.

– To przecież marynarka wojenna. A chyba się nie lubicie?

– Bez przesady. To przecież to samo wojsko polskie. Jeśli zażądam pomocy, dowódca krążownika będzie musiał mi jej udzielić. I będzie musiał wziąć na okręty pani ludzi.

– Ja rozumiem, będziemy w świątyni pierwsi, przed nimi. Ale w razie bitwy wycofywać się będziemy bez amunicji.

– To bez znaczenia, zasięg dział krążownika to kilkadziesiąt kilometrów.

– A jeśli potwory zaatakują nas na brzegu? Podczas okrętowania?

Baranowski podniósł głowę i uśmiechnął się już zupełnie spokojnie.

– Proszę mi wierzyć, że nie ma takiej siły na brzegu, która byłaby w stanie oprzeć się ostrzałowi z orp „Poznań”.



– Halo, zające! – rozległ się okrzyk w głośniku. – Widzę coś, co może być osadą dzikich.

– Gdzie jesteś? – Tomaszewski podniósł głowę, ale samolotu naprowadzania nie było widać.

– Krążę w odległości kilometra na południe od ostatniego namiaru.

– Zrozumiałem, wróbelku. Wstrzymaj ogień krążownika.

– Przyjąłem. Wstrzymuję ogień.

Skądś z boku podbiegł Selim Michałowicz. Jego mundur szeregowca w zimowe barwy ochronne był w tak nieskazitelnym stanie, jakby pułkownik nie odbył właśnie forsownego marszu ani nie brał udziału w nocnej bitwie. Jak on to robił? Nie było czasu ani pytać, ani rozstrzygać.

– I co? – Tatar wziął do ręki mapę Tomaszewskiego. – Doszliśmy?

– Wszystko na to wskazuje.

– No to nie ma czasu na gadanie. Trzeba lecieć naprzód, żeby tamci nie zdążyli się zebrać.

– Święta racja.

– Jakie rozkazy?

Tomaszewski pochylił się nad mapą.

– Niech krążownik przeniesie ogień za osadę i nagoni tych, co uciekają z powrotem między chałupy.

Michałowicz skinął głową. Słusznie. Lepiej ich mieć na „ubitej ziemi” wśród zabudowań niż w chaszczach, planujących zemstę z ukrycia.

– Ty weźmiesz dwie kompanie Tatarów i otoczysz osadę od zachodu. Ja ruszam z piechotą morską na wprost. Jak mnie zatrzymają, ty uderzasz z boku.

– Rozumiem.

– Tylko nie pójdz za daleko w okrążaniu. Żebyśmy potem nie strzelali do siebie. Dwie osie potencjalnych ataków obu oddziałów muszą być pod kątem prostym.

– Jasne. Ruszamy?

– Tak.

– Rozkaz! – Tatar zasalutował lekko i ruszył biegiem do swoich ludzi. Mimo że praktycznie nie było szans, żeby dzikusy rozumiały język polski, dla pewności, starym zresztą zwyczajem, wydawał komendy gwizdem tatarskiej piszczałki i gestami.

Tomaszewski skupił się nad mapą. Po dłuższej chwili mógł już określić koordynaty ostrzału. Przekazał mapę radiotelegrafiście i podszedł do Kai.

– No i jak?

– Ujdzie – wysapała. Była zmęczona forsownym marszem. Sądziła, że młoda, zdrowa dziewczyna jest w stanie dotrzymać kroku wyćwiczonym na poligonach żołnierzom. Myliła się. Kilka razy potrzebowała odpoczynku i prosiła Mereditha o podwiezienie. Na szczęście gigantyczny wierzchowiec odnosił się do dodatkowego ciężaru obojętnie.

– A czujesz coś dziwnego od strony osady?

Tomaszewski najwyraźniej nauczył się już ufać czarom i magii. Choć trochę. Ale Kai musiała go, niestety, rozczarować.

– W tej chwili czuję tylko, jak pękają pęcherze na moich stopach. Pieprzone wojskowe buciory!

– Przestań się mazać. Skup się.

– Jak ja się pokażę w Negger Bank na balu w sandałkach? Mam zmasakrowane stopy.

– Do Negger Bank daleko na szczęście. Zdaży się wygoić.

Meredith, który mimo postoju nie zsiadał ze swojego perszerona, ponieważ miał później problem z wdrapaniem się na górę, zaczął się śmiać. Niezbyt często okazywał się pomocny w działaniach taktycznych, a na konkretne pytania lubił udzielać niezwykle enigmatycznych, poetyckich odpowiedzi, teraz jednak uznał, że należy się włączyć.

– Proszę się nie przejmować, panie komandorze. Przeciwnik jest w szoku. Jego ludzie poszli w rozsypkę, są przerażeni i nie potrafią odnaleźć się w sytuacji.

– Nie będą się bronić?

Czarownik machnął ręką.

– Bronić się będą – powiedział to jednak lekceważąco, ze skrzywieniem ust. – Ale po raz pierwszy w historii ktoś zaatakuje ich osadę za dnia. A może inaczej: po raz pierwszy ktoś w ogóle zaatakuje ich osadę. Nie wiedzą, co robić. Na taką sytuację planów nie mają.

Tomaszewski skinął głową. Czarownik miał rację. Sam przestudiował oczywiście wszystkie dostępne raporty z dawnych kampanii w Lesie. Wynikało z nich, że dzikusy faktycznie nie przewidywały w ogóle takich działań jak obrona. Ich strategię można było określić jako niszczenie sił wroga w skrajnie niekorzystnym dla niego terenie i warunkach. Zawsze



narzucano jeden z trzech wariantów taktycznych. Albo uporczywe nękanie podczas marszu, jak w Sait, albo dzielenie oddziałów wroga i wciąganie w pułapkę, albo walna bitwa, zawsze z zaskoczenia i przeważającymi siłami. A tu? Wróg po raz pierwszy stoi u bram.

Tomaszewski nie miał ani czasu, ani potrzeby, żeby się długo zastanawiać. Tym bardziej że z daleka wiatr przyniósł właśnie gromowe echa eksplozji pocisków z krążownika.

– Żołnierze! – krzyknął, podnosząc broń nad głowę. – Zaraz nastąpi szturm!

Wszyscy, którzy korzystając z krótkiego postoju, usiedli, żeby odpocząć, zaczęli podnosić się z ziemi.

– Nie będziemy wykonywać żadnego manewru. Po prostu idziemy do ataku. Jeśli napotkamy na zbyt silny opór, wiążemy siły wroga w obronie, a Tatarzy uderzą z boku. Pamiętajcie, żeby nie strzelać za bardzo w prawo od osi ataku! Tam może być sojusznik!

Podoficerowie zbierali ludzi wokół siebie. Oficerowie formowali plutony.

Tomaszewski wyszedł na czoło.

– Do ataku! – krzyknął. – Ławą!

Ponad setka ludzi ruszyła przed siebie z karabinami szturmowymi trzymanymi na razie na wysokości bioder. Kai podskoczyła do przodu, żeby znaleźć się na pierwszej linii, ale ból otartych stóp powstrzymał ją skutecznie. Znowu znalazła się przy wierzchołku Mereditha, a ten znowu wyciągnął do niej dłoń.

– Chodź, Muszko. – Uśmiechnął się przyjaźnie. – Nam, czarownikom, zgiełk bitwy nie przystoi. Od tego są żołdacy.

Rozbroił ją tym „my, czarownicy” wypowiedzianym z niezachwianą pewnością i wyjątkowo dobitnie. No cóż, jak się ma tyle lat i takie doświadczenie, to się wie, jak postępować z kobietami. Szczególnie młodymi i niedoświadczonymi. Z trudem, ale i z wielką ulgą wdrapała się na grzbiet perszerona. Jak zwykle nie zareagował. Nawet nie spojrzał do tyłu. Fakt, nie ważyła zbyt wiele, a imię Muszka, którym określał ją starzec, pasowało do Kai.

Czarownik tak powodował koniem, że zawsze znajdowali się jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt kroków od ławy idących do ataku żołnierzy. Na razie nie napotykali żadnego oporu. Linia, a właściwie zygzak rozciągał się

coraz bardziej, w miarę jak drzewa rosły rzadziej. Ubezpieczenie trzymało się kilka kroków z tyłu, a odwód przy „taborach”, będąc jednocześnie ich osłoną. Ryzykowne ustawienie. Ale w chaszczach i za mijanymi drzewami nie krył się nikt. Nikt też ze strony przeciwnika jak dotąd nie realizował żadnego manewru i nie pojawiał się z tyłu.

Meredith zauważył, że Kai rozgląda się niespokojnie na wszystkie strony.

– Nie sądzę, żeby tu stało się coś, co nas zaskoczy. Chyba po raz pierwszy to potwory są zaskoczone i przerażone w takim stopniu.

– Nie mogą się zebrać?

– To wszystko dzieje się po raz pierwszy.

Kai westchnęła trochę uspokożona. Nie stanie się więc nic. Poza zwykłą porcją mordów, cierpień, poza zniszczeniem i podpaleniami. Przypomniała sobie dyskusję z czarownikiem, kiedy przez dłuższą chwilę jechali razem. Tu nikt z nikim nawet nie usiłował porozmawiać. Przedstawić swoich racji, powiedzieć o potrzebach. Nikt nikomu nie dał szansy. Wszystko odbywało się na zasadzie: wchodzimy i od razu wojna totalna, do śmierci ostatniego. Oczywiście byli na cudzym terytorium. Tu gospodarz miał rację, nawet jeśli nie życzył sobie czyjejkolwiek obecności. Choć nie do końca tak. Imperium było jednak bliskim sąsiadem. A nie sposób dziś już udawać, że sąsiada nie ma i że nie dostrzega się jego potrzeb. A tu? Nikt z nikim nie usiłował się porozumieć. Po prostu wchodzimy i zobaczymy, kto kogo zabije. Bez żadnej trzeciej opcji. Wzruszyła ramionami. Pamiętała, jak zakończyła się jej poprzednia dyskusja. Meredith powiedziała: „Achaja dogadała się z potworami. Jedna jedyna w historii. I jak to się skończyło? No właśnie. Tamtego Wielkiego Lasu już nie ma. Achaja z Biafrą i Chorymi Ludźmi spalili go dokumentnie, a zdarzenia, które wtedy miały miejsce, konsekwencjami sięgają do dziś”.

Gdzieś między drzewami pojawiły się pierwsze zabudowania. A właściwie nie między. One były w drzewach. Kai nie umiała odnaleźć właściwego określenia. To nie były domy budowane od podstaw z drewna. Ktoś, i to bardzo dawno temu, odpowiednio giął gałęzie drzew, tak że tworzyły razem skomplikowany szkielet chałupy. Te... domy, czy jak to określić, nie znajdowały się tylko na ziemi. Ściany z formowanych kiedyś tam gałęzi znajdowały się i wyżej. Na wysokości pierwszego piętra,

drugiego i nawet jeszcze dalej. W otworach niektórych widać było poblask ognia. Nikt jednak się nie pokazywał. Nikt nie strzelał.

– Szybciej! Szybciej! – krzyczał Tomaszewski. – Do ataku!

Żołnierze parli ławą, rozdzielając się jedynie wtedy, kiedy musieli wyminąć jakieś obudowane drzewo z obu stron. Oficerowie dbali jednak o zachowanie szyku. Naprzód! Nikt już nie trzymał broni na wysokości bioder. Ludzie posuwali się do przodu z karabinami w pozycji „do strzału”, celując podczas marszu w różnych kierunkach. Skąd uderzą? Wszyscy byli gotowi do natychmiastowego przeciwdziałania, które w tym przypadku oznaczało błyskawiczny atak z marszu na wykryte pozycje wroga.

Wierzcholec Mereditha sam wybierał dla siebie najdogodniejszą drogę. Raz przysuwał się do linii żołnierzy, raz odstawał. Kai znowu zaczęła się nerwowo rozglądać. Czarownik przytulił ją lekko.

– Nie wiem, czego się spodziewali? – szepnął jej do ucha. – Chyba miasta wielkości stolicy!

Miał rację. Z głośnika radiostacji dobiegł ich okrzyk Selima:

– Krzysiek! Krzysiek, co ty robisz?!

Tomaszewski doskoczył do radiotelegrafisty.

– O co chodzi?

– Krzysiek, ty właśnie przemaszerowałeś środkiem przez całą wieś i teraz z niej wychodzisz!

Tomaszewski rozejrzał się trochę nieprzytomnie. Domów wokół rzeczywiście już prawie nie było. Znajdowali się na obrzeżach, ale po drugiej stronie. Atakujący oddział po prostu przespacerował się przez niebronioną przestrzeń i za wsią zgłupiał.

– Stać! Stać!

Nie tego się spodziewali. Żołnierze patrzyli po sobie. Niektórzy zaczęli się rozchodzić, chcąc zajrzeć do środka tych dziwnych domów. Impet ataku i zapamiętanie były takie, że nikt nie zwrócił nawet uwagi, czy w ogóle ktoś był w osadzie. Podobnie myślał Michałowicz, ukryty na bocznej pozycji. Nie wiedział, co myśleć, sam ogłupiał widokiem Polaków, którzy po prostu przemaszerowali przed lufami jego oddziału.

– Krzysiek? – zgłosił się przez radio. – Czy tam w ogóle ktoś jest?

– Nie wiem. No jest. Ktoś mi mignął z boku.

– Sprawdź może, co?

Żołnierze zaczęli się niespokojnie kręcić. Kilku z nich się rozbiegło. Szybko okazało się, że w tych chałupach nie ma nawet drzwi, żeby je wywalić. Na szczęście nie mieli granatów, by dla sprawdzenia sytuacji wrzucać do środka. Po kilku chwilach jeden z piechociarzy przyprowadził, ciągnąc za włosy, jakiegoś dwunasto-, trzynastoletniego wyrostka. Chłopak miał zawiniętą starannie i opatrzoną ranę na lewym boku. Mogła to być rana postrzałowa, raczej powierzchowna.

– Co u nich? – wyrwało się Tomaszewskiemu. – Dzieci tu walczą?

– A skąd mają wziąć ludzi? – powiedział Meredith z wysokości swojego siodła. – Tu walczą dzieci, kobiety i starcy. To nie aglomeracja, gdzie ma się do wyboru samych młodych, zdrowych, którzy zaciągają się na ochotnika.

Dzieciak nie wyrwał się ani nie krzyczał. Starał się nie złapać kontaktu wzrokowego z którymkolwiek ze stojących wokół. Żołnierz, który go trzymał, zaraportował obojętnie.

– Chałupy całe w śniegu, panie komandorze. Będzie trudno je podpalić.

Tomaszewski rozglądał się niepewnie. Trochę ogłupiał. Nikt się nie spodziewał, że wieś w ogóle nie będzie broniona. Wojskowy instynkt podpowiadał mu jedynie znane wzorce: to pułapka, zasadzka! Nie mógł pogodzić się z myślą, że może tej wioski nie miał już po prostu kto bronić. Żołnierze prowadzili do niego kolejne „znaleziska”. Dwie staruszki, które chyba nie za bardzo rozumiały, co się dzieje. Wodziły nieprzytomnym spojrzeniem po otoczeniu, nie mogąc skupić wzroku na czymś konkretnym. Po chwili zobaczyli nareszcie młodego mężczyznę. Dwóch żołnierzy ciągnęło go za ramiona. Tubylec był ranny w nogę i w brzuch. Przytomny, starannie opatrzony. Tak jak chłopak, usiłował nie łapać kontaktu wzrokowego z przeciwnikiem.

Tuż nad ich głowami przeleciał samolot naprowadzania.

– No co tam, zające? – rozległo się w radiu. – Zameldujcie coś, bo ciekawiśmy.

Tomaszewski przejął mikrofon.

– Czy widzisz z góry jakiś ruch wokół wsi?

– Stary, ja nie widzę niczego przez te śnieżne czapy na drzewach.

– Dobrze, pozostań na nasłuchu. – Tomaszewski zaczął wywoływać Michałowicza: – Selim, a może ty coś widzisz?

– W lornetce widzę ciebie i twoich ludzi.

– A coś jeszcze? Coś się rusza we wsi?  
– Z kilku tych... chat, czy jak im tam, chyba unosi się dym. Wąskie strużki.

– Rozumiem. – Tomaszewski nerwowo potarł brodę. – No to atakuj!

– Ale co?!

– Przeciwnika! Ktoś tam musi być.

W głosie Tatarów słychać było wyraźnie cień rozbawienia.

– Dobrze. No to zaczynam czesać, a ty mnie ubezpieczaj.

– Zrozumiałem. Wykonać!

Oficerowie ustawiali żołnierzy piechoty morskiej na pozycjach, z których można byłoby w razie czego udzielić jakiegoś realnego wsparcia. Wszyscy obserwowali linie Tatarów, które wyłaniały się zza drzew w idealnym porządku. Tamci zaraz jednak zmienili szyk, dzieląc się na małe, dobrze ubezpieczone grupy pacyfikacyjne. Widać było, że dla tych oddziałów to nie pierwszozna. Zaczęło się wymiatanie. Grupy szturmowe sprawdzały każdy dom, każde pomieszczenie i wszystko, co znajduje się w pobliżu. Tuż nad ich głowami, na tyle, na ile pozwalały korony drzew, śmigał samolot naprowadzania.

Mimo że Tatarzy posuwali się wolniej niż piechociarze Tomaszewskiego przy pierwszym ataku, wymiatanie również zakończyło się szybko.

– Kilkanaście osób – zameldował Michałowicz przez radio. – Głównie ranni. Tych najciężej rozwalonych zostawiliśmy w chałupach.

– Zrozumiałem. Czy można kogoś... – Tomaszewski zawiesił głos.

– Przesłuchać? – domyślił się Michałowicz. – Ależ tak. Moi ludzie bardzo grzecznie już pytają ich o drogę do świątyni.

Oficerowie piechoty morskiej usiłowali nie słyszeć wrzasków bólu dochodzących gdzieś ze środka wsi. Żołnierze przeciwnie. Żarty i docinki podawano szeptem od jednego do drugiego. Chyba wszyscy tutaj mieli doświadczenie z wojen na Kresach.

– Gdzie oni mogą być? – To miało być pytanie retoryczne, ale Tomaszewski wcisnął odruchowo przycisk nadawania i Michałowicz odpowiedział.

– A mnie skąd wiedzieć? Może poszli powstrzymać Baranowskiego? Albo skrzyknęto ich do obrony świątyni i są przed nami.

– I zaatakują, gdy wyjdziemy z zasięgu armat krążownika?

– Może. A może też ubiliśmy ich dużo i sami nie wiedzą, co robić?

Meredith zbliżył się do komandora, odpowiednio powodując koniem.

– Nie jestem w stanie tego stwierdzić z całą pewnością – powiedział – ale mieszkańcy tej wsi są gdzieś w pobliżu. Rozbici, przetrzebieni i po raz pierwszy zagubieni. Część na pewno poszła w stronę pułku z Kong, żeby dołączyć do sił, które z nim walczą. A reszta tutaj nie powinna sprawić kłopotu.

– Poza paroma samobójczymi atakami? – Tomaszewski przypomniał sobie, co działo się podczas nocnej bitwy na jeziorkach.

Czarownik skinął głową. A potem odwrócił się, widząc zbliżającą się dziwną postać.

Wyszyńskiej musiało się pogorszyć. Jakimś cudem zlaźła jednak ze swojego środka transportu i telepana przez gorączkę, na chwiejnych nogach szła w ich stronę. Oprócz puchowej kurtki owinięta była kocem, a na głowę założyła ogromną futrzaną czapkę.

– Czy ktoś mówił o Baranowskim?

– Powinnaś leżeć w łóżku – powiedział Tomaszewski i zaraz palnął się ręką w czoło. Musiał mieć naprawdę umysł zajęty czymś innym, skoro powiedział coś takiego. – Wybacz, rozkojarzony jestem.

– I dobrze. – Do typowych objawów grypy doszedł jeszcze straszny katar. Wyszyńska miała zupełnie zatkany nos. – Mówiłeś coś o Baranowskim?

– Tak. Pojawiła się hipoteza, że część tych tutaj poszła wesprzeć siły atakujące pułk z Kong.

– To bzdura. Przecież dzikusy nie będą atakować stancy, którą ostatnio budował. Czy są jakieś świeższe dane?

Tomaszewski wzruszył ramionami. Potem podniósł mikrofon do ust.

– Wróbelek, poproś rybkę o skrót biuletynu wywiadu. Same nowości.

– Robi się!

Lekki samolot zaryczał silnikiem tuż nad ich głowami, a potem przechylił się na skrzydło, by zacząć wznosić się po spirali.

– Co zamierzasz?

Wyszyńska ledwie stała, ciekło jej z nosa, lecz nie zwracała na to uwagi. Tomaszewski podsunął jej chusteczkę, kiedy jednak nie reagowała, sam wytarł jej nos, przynajmniej z wierzchu.

– Nic. Wystawiamy warty, nocujemy, rabujemy jedzenie, eee... to znaczy uzupełniamy zapasy prowiantu, a rano, jak Michałowicz zdobędzie

zeznania, ruszamy. Krótki rajd w stronę świątyni.

– Chcesz tu nocować?

– Kwatery gotowe. A wychodząc, sprzątać nie trzeba.

Podniosła dłoń do twarzy. Katar musiał jej cholernie przeszkadzać. Jedyne jednak, co osiągnęła, to rozmazała smarki na twarzy. Tomaszewski znowu musiał interweniować własną chusteczką.

– A jeśli mają jakieś kanały przekopane pod wsią? I zaatakują znieścacka?

Żachnął się. Nikt nie atakował wsi dzikusów od tysiącleci. Było wysoce nieprawdopodobne, żeby ot, tak sobie, na wszelki wypadek, kopali jakieś kanały. Z drugiej strony... Nagle przyszło zwątpienie. Przecież nikt nie mógł się spodziewać, że dzikusy potrafią pływać pod lodem. Na szczęście z obowiązku odpowiedzi zwolnił go raport oficera z samolotu.

– Mam brief nowości z krążownika.

– No to dawaj.

– Źródło: Shen. Opierając się na informacjach uzyskanych od zwiadowcy Nuk, pułk majora Baranowskiego dziś w nocy porzuci ciężki sprzęt i jutro rano podejmie marsz w stronę głównej świątyni Banxi.

– O kur!... – Tomaszewski z trudem powstrzymał przekleństwo. Po chwili wylało się z niego: – Sukinsyn!

Wyszyńska tylko kiwała głową.

– To co? Nocny marsz? – wysapała.

– Chcesz maszerować po nocy przez nieznaną teren poza zasięgiem dział krążownika?

– Baranowski jest bliżej celu niż my.

Gwałtownie rozprostował arkusz mapy. Miała rację! Podniósł mikrofon do ust.

– Selim! Jak długo ci zajmie przesłuchiwanie jeńców?

– A ja już dawno wiem, co chciałem wiedzieć. – Pogodny głos Tatara zdawał się ukojeniem dla duszy. – Ci tutaj to miętcy w nogach są.

– Doskonale. Poruczniku! – Gestem wezwał oficera piechoty morskiej. – Zabierać żywność. Weźcie, ile się da!

– Tak jest!

Tomaszewski znowu pochylił się nad mapą.

– Szlag jasny! Nawet jeśli dotrzemy tam szybciej, to sama świątynia zajmuje obszar wielu hektarów. – Tomaszewski spojrzął na Meredith. –

Czy czarownicy towarzyszący Baranowskiemu mogą znać jej układ?

Czarownik nie wahał się, udzielając szybkiej odpowiedzi.

– Nikt z nich tam nie był, ale mogą. Orientacyjnie mogą wiedzieć, gdzie jest to, czego szukają.

– No to nawet marsz w nocy niewiele nam da. Pogubimy się na tych hektarach.

Wyszyńska sięgnęła ręką pod otulający ją koc. Chwilę szamotała się z kieszenią kurtki, a potem podała złożoną kilkukrotnie kartkę papieru.

– Tu masz plan świątyni – wychrypiała. – A krzyżykiem oznaczono miejsce, które mamy osiągnąć.

Nikt niczego nie powiedział. Oboje długo patrzyli sobie w oczy. Głowę Tomaszewskiego zajmowała tylko jedna myśl. Skąd Wyszyńska miała plan świątyni? Jedyńm człowiekiem, który odwiedził to miejsce, był książę Osiatyński. A on przecież nie wrócił do swojej kapsuły w Syrinx na pustyni. Nie wrócił do żadnego cywilizowanego miejsca, żeby zostawić informacje. Skąd więc miała plan...?



– Niszczyć sprzęt! Niszczyć sprzęt!

Ten rozkaz wykrzykiwany przed świtem przez podoficerów właściwie nie dotyczył już nikogo. Pancernych pojazdów Polaków postanowiono nie niszczyć, bo i po co. Miejscowi i tak ich nie uruchomią bez benzyny, a broń pokładową pozbawiono zamków i rozkalibrowano tak, że stała się złomem. Zawartością kanistrów jeszcze głęboką nocą polano wszystkie konne wozy i podpalamo, tworząc gigantyczne pochodnie, które oświetlały plac, gdzie odbywała się selekcja – które elementy wyposażenia zabrać ze sobą, a które zniszczyć. Granatniki zniszczono tylko na tyle, na ile można w polowych warunkach. Pozbawione podstaw leżały po prostu w krzakach. Samych granatów można było użyć, rzucając nimi ręcznie, więc znalazły się w skrzyniach na końskich grzbietach. Konie dźwigały też różne inne rzeczy, jak choćby radiostacje i akumulatory, ale generalnie niosły przede wszystkim jedzenie dla siebie. Nikt nie zdecydował się zabić większości tu, na miejscu. Ale to jedynie przesunęło końską kwestię w czasie. Co zrobić z nimi w zimie? Można zabawić się w hipokrytę i puścić je wolno. Co



skończy się dla nich długim konaniem z głodu albo szybszym, za to bardziej bolesnym rozszarpaniem przez dzikie zwierzęta. Ot, prawidła wojny z innej epoki. Porzucany samochód przynajmniej niczego nie czuł i nie cierpiał.

Baranowski i Thien stali przy radiostacji. Niezawodna Duon oczywiście znalazła powód, żeby i Nuk pozostawała w zasięgu słuchu. Nikt nie czekał na jakiś specjalny komunikat o położeniu oddziału, który prowadził komandor Tomaszewski. W nocy samoloty zwiadowcze nie mogły działać. Nasłuch radiowy jednak był. A tamci, choć oszczędni w słowach i używający kryptonimów, to swojej łączności nie szyfrowali. Nie było przecież po co.

– Na jaki pan raport czeka, panie majorze? – spytała Thien.

– O której zamierza ruszyć. – Baranowski zerknął na swoją mapę. – Ma do pokonania większą odległość niż my. Powinniśmy więc zdążyć przed nim.

– To w czym problem?

– Dostałem z Negger Bank jego dossier. Tomaszewski jest najbardziej niekonwencjonalnie myślącym oficerem wywiadu marynarki.

– Przecież skrzydła mu nie urosną.

– Skrzydła nie. Ale diabelskie rogi na pewno.

Pułkownik skrzywiła się lekko.

– Aż tak go pan nie lubi?

Baranowski spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Nawet go nie znam. – Wzruszył ramionami. – Ale kiedy go pokonam, to proszę sobie wyobrazić, czym będę się mógł chwalić na każdym balu z okazji pułkowego święta.

Tym razem Thien nie zrozumiała.

– Na balu z okazji pułkowego święta? W sensie: wszystkie kobiety będą pańskie?

Zaczął się śmiać.

– To uproszczenie. Ale i uproszczenia zawierają ziarno prawdy.

– Bogowie... – wyszeptała. – Tu ludzie umierają, zabija się winnych i niewinnych, a wy to traktujecie jak zawody sportowe. Baranowski czy Tomaszewski? Który z was będzie chodził po sztabie otoczony większym nimbem?

– Owszem. Przyzna pani, że to pasjonujące. Obaj dysponujemy innymi oddziałami, stosujemy odmienną taktykę, działamy w różnych warunkach i te dwie siły muszą jednocześnie zrealizować identyczne zadanie. Tego się na żadnym poligonie nie da zorganizować w ramach gry wojennej. Pasjonujące!

– A ludzie?

– Przypominam, że nie ja wymyśliłem wojnę. Ani wojnę w ogóle, ani tę, w której bierzemy udział w szczególności. Natomiast co do moralności: ja swoich rannych w śniegu samych nie zostawiłem, do czego wy mnie namawialiście. To tyle o ludziach.

Thien przygryzła wargi. Nie chciała dyskutować jałowo przed decydującym starciem. A poza tym rozumiała już, że pewne systemy wartości są do siebie abolutnie nieprzystawalne. A obopólne niezrozumienie pomiędzy przedstawicielami różnych kultur jest już chyba na zawsze wpisane w miejsca, gdzie one się stykają.

– Panie majorze! – radiotelegrafista jak zwykle zwracał się do realnego dowódcy, łamiąc regulamin. Powinien meldować najpierw pani pułkownik.  
– Depesza!

– Daj. – Baranowski wziął papier i szybko przebiegł oczami kilka linijek tekstu.

– Hm? – Thien nie wypadało zadać pytania wprost, ale również była ciekawa.

– Sukinsyn! – wyrwało się Baranowskiemu. Momentalnie jednak opamiętał się i przeprosił panią pułkownik.

– Co się stało? – Thien nie takie rzeczy słyszała w koszarach.

– Ruszył w nocy!

– Na pewną śmierć?

– No właśnie nie. Zdaje się, że wykończył wszystkich dzikusów. Albo przynajmniej rozproszył, korzystając z efektu psychologicznego, jaki daje ogień z krążownika. Wyruszył w nocy i zachowywał ciszę radiową, żebyśmy się nie zorientowali. Teraz dopiero, o świcie, poprosił o samolot zwiadowczy.

– Tak czy siak, ma jeszcze dzień drogi, a jego żołnierze są zmęczeni.

– Właśnie. – Baranowski nachylił się nad mapą. – Właśnie! O, panie Tomaszewski... Nic jeszcze nie jest przesądzone. Nic nie jest jeszcze

rozstrzygnięte. A w zasięgu dział krążownika już nie jesteś. – Gwałtownie się poderwał. – Zbierać się! Wymarsz!

Thien z pewnym zdziwieniem obserwowała majora, jak podniecony biegnie przed formujące się szeregi, żeby przemówić do żołnierzy. Duon i Nuk ledwie dotrzymywały mu kroku. Bogowie! Jak ona nienawidziła Polaków! Zawsze mądrzejsi, wszechwiedzący, kpiący, uważający samych siebie za pępek świata. A teraz jeszcze te zawody sportowe! Czy jeden kogut, czy drugi wygra na placu? Niczego nie traktowali poważnie. Wszystko jak rzecz mało istotną, zawsze z góry. Oni nawet nie zamierzali się pozabijać wzajemnie. Tylko próżność sycić, który samiec lepszy przed samicami. Ach... Zdała sobie sprawę, że nawet nie tyle o Polaków tu chodzi, co o samców w ogóle. Thien chyba po prostu nienawidziła mężczyzn.

– Żołnierze! Jesteśmy na wyciągnięcie ręki od celu! – Baranowski podjął swoją przemowę. – I wyciągniemy tę rękę. Tyle tylko... – potrafił teatralnie zawiesić głos. – Że nie będzie to przyjazna dłoń, ale zaciśnięta do ciosu pięść!

W szeregach rozległy się pojedyncze pomruki.

– Zmieniamy taktykę, idziemy teraz szybko. Będziecie maszerować przez Las tyralierą, w czterech liniach. Podoficerowie wyjaśnią wam, co i jak. Jeśli pierwsza linia napotka przeciwnika, zatrzymuje się i strzela salwą. Potem ładuje broń. Druga linia wyprzedza pierwszą, strzela, ładuje broń. I tak samo trzecia i czwarta. Żołnierze! Nie bójcie się. Przy mnie za waszymi plecami zawsze będą odwody!

Pomruki w szeregach stawały się coraz wyraźniejsze. Nie oznaczały jednak niezgody.

– Żołnierze! Musicie pamiętać o jednym. Stąd powrotu już nie ma. Nasza droga do świątyni dzikich jest drogą w jedną stronę. Po wykonaniu ataku na nasz główny cel nie będziemy mieli zaopatrzenia, by móc wrócić do Kong. Ale jedzenie zrabujemy sobie w świątyni. Pamiętajcie więc. Błyskawiczne osiągnięcie celu jest naszą jedyną szansą. Dajcie z siebie wszystko, bo już tu nie wrócimy. Już nie możemy tu wrócić, bo oznaczałoby to dla nas zagładę. Nie będziemy szli tą drogą na powrót do Kong.

Coś musiało docierać do żołnierzy, bo niektóre kiwały głowami.

– Żołnierze, pamiętajcie: już nie wrócimy więcej tu. Dla nas albo cichy grób, albo pałace w Negger Bank! Dla nas zwycięstwo i pałace! Tu nie wrócimy, bo...

Uniósł rękę ze swoim karabinem.

– To droga tylko w jedną stronę.

Żołnierze, pewne siebie, pewne swojej siły, zaczęły wyć triumfalnie. Thien splunęła na śnieg.



Ścieżka prowadząca z osady dzikusów do głównej świątyni rzeczywiście istniała i okazała się całkiem dobrej jakości, jak na leśne warunki. Wiła się między parowami, łukami omijała wszelkie przeszkody zarówno z lewej, jak i prawej strony, niestety, miała jedną wadę. Była potwornie wąska. Wymuszało to skrajnie niekorzystny sposób maszerowania. Wojsko musiało się rozciągnąć, tworząc wąską kolumnę, niezwykle wrażliwą na ataki z boków i bez możliwości szybkiego, konkretnego wsparcia zaatakowanej części. Na szczęście wróg nie przejawiał żadnej aktywności. Żołnierze maszerowali sprawnie i szybko. Niestety, przez całą noc. Zmęczenie coraz bardziej dawało się we znaki.

– Dobra, krótki postój na śniadanie – zarządził w końcu Tomaszewski.

I klął w duchu. Rozciągnięta wąska kolumna potrzebowała czasu, żeby zareagować na rozkaz, który musiał dotrzeć do obu jej krańców. A to wszystko pożerało czas.

– Przerwa w pracy? – Pilot samolotu zwiadowczego z krążownika żałował, że nie mógł wylądować nigdzie w pobliżu. – Śniadanko, co?

– Nie dogryzaj. – Tomaszewski współczuł żołnierzowi, który musiał dźwigać radiostację. – Poleć lepiej i sprawdź, co słychać u Baranowskiego. Zerknij, czy mu czegoś nie brakuje albo co.

W głośniku rozległ się śmiech oficera naprowadzającego.

– Czyżbym w głosie czuł cień sarkazmu? Tacy jesteście zmęczeni?

– Odleć stąd nareszcie, cholero jedna!

Tomaszewski odrzucił mikrofon i zwałił się na śnieg obok Siweckiego. Lekarz, korzystając z chwili odpoczynku, otworzył swoją torbę lekarską i

zaczął napełniać małe strzykawki zawartością zatkanej woskowym korkiem fiołki.

– Co to jest? – zapytał przyjaciela. – Na wzmocnienie?

– Nie. – Siwecki wzruszył ramionami. – Tak mnie trochę natchnęła bitwa na zamrzniętym jeziorze. Do tego eksperymentu znaczy.

– A co to jest?

Lekarz nie odpowiadał wprost.

– Bo wiesz, ja nie jestem żadnym tam bokserem. Nigdy też nie brałem udziału w żadnych bijatykach.

– Znaczy generalnie chcesz powiedzieć, że w mordę nie umiesz dać. Tak?

– No mniej więcej.

Teraz dopiero Tomaszewski zrozumiał, jaki jest cel eksperymentu.

– I w tych strzykawkach przygotowałeś sobie środek paralizujący?

– A znasz jakiś, który działa szybko, poza kurarą? Ale kurary z reguły nie nosi się w torbach lekarskich.

– No to wstrzyknij przeciwnikowi cyjanek. – Tomaszewski zapalił papierosa i skrzywił się, bo jak zwykle na mrozie było to głównie marnowanie tytoniu. – Trup na miejscu.

– Cyjanku również nie mam. A poza tym w obu wypadkach mam wrażenie, że przeciwnik i tak zdąży mnie dziabnąć nożem.

– To co tam masz? Eter?

– Raczej mieszankę środków zwiotczających i kombinację paru narkotyków. Ciekawe, czy się sprawdzi? No ale przecież nawet jak mnie facet złapie za nadgarstki, to powinienem zdążyć mu to włożyć w rękę, nie?

Tomaszewski tylko machnął dłonią.

– Środki zwiotczające i narkotyki, mówisz? – skomentował, interpretując wszystko po swojemu. – Słowem, jak kogoś dziabniesz, to on się poczuje, jakby wypił pół litra wódki duszkiem?

– Tak. Mniej więcej.



Nuk zdyszana wróciła z płytkiego rozpoznania. Kłęb pary, który wydobywał się z jej ust przy każdym wydechu, zdawał się osiadać

skrzącymi kryształkami na jej włosach. Całe lśniły w promieniach bladego słońca.

– Czysto! – Zatrzymała się tuż przed stanowiskiem dowództwa.

Baranowski odwrócił oczy od Thien, z którą o czymś rozmawiał za pośrednictwem Duon.

– Melduję... – Nuk walczyła z oddechem. – Na perymetrze nie zanotowano żadnego ruchu. Cztery linie poruszają się sprawnie. Zwiad głęboki przed nimi jest praktycznie niemożliwy, bo posuwają się za szybko. Natomiast w kierunku na południowy wschód od osi marszu zauważyłam dużą polanę. Pustą.

– Świetnie. – Baranowski ruchem głowy przeprosił panią pułkownik za przerwanie rozmowy. – Kowalski! Do mnie!

Zwalisty sierżant znalazł się dopiero po dłuższej chwili.

– Na lewo od osi marszu napotkamy dużą polanę. Zatrzymamy się tam na posiłek.

– Tak jest!

– Część dziewczyn umieścisz bezpośrednio na polanie.

– Czy to nie zbyt ryzykowne? – wtrąciła się Thien. – Będą wystawione na cel dla łuczników jak na patelni.

Baranowski uśmiechnął się lekko.

– Proszę się nie martwić. Będą je osłaniały oddziały, które pozostaną w lesie. A dla nich mam specjalne zadanie.

– Jakie? – dała się zaskoczyć pułkownik.

– Proszę posłuchać dalej. – Baranowski znowu zwrócił się do Kowalskiego: – Każesz im nie siadać razem w skupiskach, tylko jeść swoje śniadanie byle gdzie. Jak popadnie. A kiedy usłyszą ryk silnika samolotu, wszystkie mają upaść na ziemię i leżeć nieruchomo.

– Znaczą komenda „lotnik, kryj się”?

– No nie. Po pierwsze nie ukryją się na polanie, a po drugie przecież marynarka nie będzie nas bombardować. Dziewczyny mają po prostu leżeć nieruchomo.

– Aha, a kiedy on podleci, to się zerwą i poprowadzą ogień przeciwlotniczy?

Baranowski westchnął ciężko.

– Do własnego samolotu? – zapytał z wyrzutem. – Nie! One na odgłos silnika mają po prostu upaść i leżeć tam, gdzie przedtem siedziały.

Nieruchomo! – Nowe westchnięcie. – Zrozumiałeś?

– Tak jest!



Tomaszewski naradzał się z Selimem Michałowiczem. Najwyraźniej szło o jakąś ważną kwestię, bo od dłuższej chwili nie mogli się ze sobą zgodzić. Kai wolała nie podchodzić tam i nie mieszać się do kłótni. Usiadła przy Siweckim i Meredicie, którzy wymieniali się anegdotami na temat zachowań kobiet w różnych sytuacjach. Obaj wyglądali na rozbawionych, obaj też nie byli zmęczeni. Okazało się, że lekarz miał doskonałą kondycję sportowca, a czarownik jechał konno i nie miał się czym zmęczyć. Chyba że poganianiem.

– O co oni się tak kłóca? – zapytała, wskazując na dowódców.

– Tatar mówi, że ludzie są zmęczeni po nocnym marszu. Jeśli mają iść dalej w dzień, to powinni solidniej odpocząć. A Krzysiu oczywiście parłby do przodu bez zatrzymania.

– Nie wiem, jak żołnierze, ale ja jestem skonana.

– No to rzuć na nich jakiś czar.

– Panie kolego... – Meredith spojrział na nowego znajomego z wyrzutem.

– Nie mówi się takich rzeczy czarownicom.

– Oj, przepraszam. Nie wiedziałem.

– Oby...

Nie zdążyli dowiedzieć się, co Kai chciała powiedzieć, bo rozmowę przerwał im nieprzyjemny dla uszu świst w głośniku radiostacji.

– Tu wróbelek, tu wróbelek, zające, słyszycie mnie?

Pilot musiał nadawać z dużego dystansu. Głos był ledwie zrozumiały, przerywały go całe serie trzasków. Tomaszewski i Michałowicz przerwali dyskusję. Podbiegli do radiotelegrafisty.

– Tak, słyszę cię dobrze!

– To ty, Krzysiek? Strasznie trzeszczy.

– U mnie odbiór jest do przyjęcia. Aha, tak, to ja.

– Przeleciałem właśnie nad oddziałami Baranowskiego. Wydaje się, że stoczyli jakąś dużą bitwę.

– Co widziałeś?

- Przelatywałem nad rozległą polaną. Widziałem w dole dziesiątki leżących na ziemi trupów. Jak po jakimś szturmie albo odwrocie.
- Co widziałeś? Powtórz.
- Powtarzam. Widziałem dziesiątki trupów leżących na ziemi. Widziałem ciała żołnierzy i rannych po jakiejś większej akcji.
- Zrozumiałem. Dziękuję.
- Tomaszewski podniósł głowę i zerknął na Michałowicza.
- Stoczyli jakąś bitwę. Szybko się nie pozbierają.
- Stary Tatar przytaknął energicznie.
- To dobrze. Zarządź dłuższy postój.
- Tak. W tej sytuacji to dobre wyjście.



To był naprawdę ciężki dzień. Jednak dziewczyny spisywały się doskonale. Zaatakowano je dwa razy. Choć właściwie trudno to było nazwać atakami. Być może jakiś lokalny watażka potworów postanowił uderzyć małymi siłami na własną rękę. Zagrożenie nigdy nie przybrało choćby tego rozmiaru, jaki miała pierwsza potyczka w Lesie. A plan Baranowskiego działał.

Jeśli ktoś atakował z boku, pierwsza linia zakręcała błyskawicznie na tyle, na ile pozwalał teren w danym miejscu, i strzelała salwą, powstrzymując zapaleńców, którzy marzyli o zbliżeniu się i walce wręcz. Druga linia jeszcze bardziej schładzała zapał bojowy wroga. A trzecia i czwarta powoli, z rozmysłem ruszała na pacyfikację terenu. Ani razu nie doszło do użycia ubezpieczenia i odwodu. Pułk radził sobie, a tempo marszu praktycznie nie spadało.

– Idziemy przed planem. – Baranowski triumfował, kreśląc postępy wojska ołówkiem na mapie. – Jesteśmy daleko przed!

– Warunki są doskonałe. – Thien trzeźwo oceniała teren, po którym przyszło im maszerować. Towarzyszący im czarownicy poza tym, że budzili powszechną niechęć, dobrze spisywali się w wyszukiwaniu optymalnej drogi. – No i opór przeciwnika trudno raczej nazwać skoordynowanym działaniem.



– Przypaliliśmy im tyłki razem z komandorem Tomaszewskim. Chyba się nie spodziewali koncentrycznego ataku z dwóch stron.

– I ogłupieli. – Pani pułkownik pociągnęła spory łyk ze swojej manierki.

Najbardziej męczyło ją nie to, że drobne potyczki może i nie zagrażały bezpieczeństwu pułku, ale przecież z każdym oddanym strzałem uszczuplały zapas amunicji, który żołnierze nieśli na plecach. Nie to, że kolejny, bardzo skromny posiłek będzie ich ostatnim, bo więcej zapasów nie mieli. Zaraza jasna! Jedzenie prawdopodobnie da radę zrabować w świątyni. Niestety, nie rozwiązywało to jej prywatnej sprawy. W świątyni nie będzie można zrabować ani jednego bukłaka z winem. A oficerskie zapasy alkoholu właśnie były na wyczerpaniu. Thien potrząsnęła swoją manierką. Ile łyków zostało? Trzy? Cztery? Coś nią wstrząsało. Miała mgliste wyobrażenie o sobie i stopniu jej związania się z winem, ale słyszała gdzieś, że jak człowiek pije dużo, codziennie od wielu, wielu lat, to po zaprzestaniu picia dopada go dziwna choroba. Podobno ciałem wstrząsają silne dreszcze, poty występują jak w najgorszej gorączce, słabość powala na ziemię, a umysł prześladowają dziwne stwory, których niby nie ma w rzeczywistości, a jednak trwogę przynoszą prawdziwą.

Thien nabrała powietrza głęboko do płuc i wypuściła powoli. W świątyni nie będzie ani kropli alkoholu. To wiedziała z całą, absolutną pewnością. Potwory nie piją.

Baranowski mimo hurraoptymizmu na zewnątrz też momentami poddawał się czarnym myślom. Wojsko posuwało się naprzód błyskawicznie. A on znał starą wojskową zasadę. Za szybki marsz lekkich oddziałów trzeba słono płacić. Żołnierz, który ma maszerować cały dzień, nie może dźwigać nic konkretnego. Owszem, dojdzie, gdy się go będzie odpowiednio motywować albo srogo poganiać. Ale z pustym brzuchem i pustym karabinem. Ryzyko straszne. Można by rzec nawet: ryzyko śmiertelne. W dodatku miejscowi oficerowie pękali, nie wytrzymując presji. A Thien wręcz ręce trzęsły się jak w febrze. I nikt nie miał pojęcia, czy to ze strachu, czy z powodu postępującej choroby alkoholowej. Wyglądała strasznie. Usiłował trzymać sztab w takim miejscu, żeby jej za bardzo ludziom nie pokazywać.

Zajęty swoimi myślami ledwie odwrócił głowę, kiedy podszedł do niego najstarszy z czarowników.

– Za pasmem tych łagodnych wzgórz zaczyna się teren świątynny – powiedział.

– Co? Już?

No, nareszcie jakaś dobra wiadomość. I z czasem więc, i z amunicją stali jeszcze jako tako. Prawie że nieźle.

– Z jednej strony nie ma się co cieszyć. Do samej świątyni jest jeszcze daleko.

– A co oznacza „teren świątynny”?

– Święte miejsce. Za tymi grzbietami zobaczymy pierwsze sągi drewna, pierwsze wota i drzewa zakazane. A to już jest dobra wiadomość.

– Dlaczego?

– Tam już nas nie zaatakują. Nie będą walczyć w miejscu należącym do Bogów. A poza tym tam będzie droga. Nie taka co prawda, jakie znacie, panie, z imperium. Nie brukowana równo. Ale droga, prawdziwa i ubita.

Baranowski nareszcie spojrzął na czarownika z żywym zainteresowaniem. Droga? I brak zagrożenia podczas marszu?

– To pewna wiadomość? – zapytał.

– Nie naraziłbym na niebezpieczeństwo oddziału, od którego zależą losy nie tylko imperium, ale całego znanego nam świata.

– No to niech tak będzie – szepnął Baranowski. Potem skinął na przybocznego. – Wołaj wszystkich oficerów. Trzeba się przygotować do zmiany szyku. Na ramię broń i formować kolumnę marszową.

Zadowolony wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Nigdy nie palił w marszu, więc krótka przerwa była doskonałą okazją, żeby puścić trochę dymu.

– No to świetnie – powiedział do siebie. – Teraz ruszymy jak samochód wyścigowy na ostatniej prostej.



Za szybki marsz trzeba drogo płacić. Ta stara wojskowa zasada prześladowała Tomaszewskiego. Atakowano ich kilka razy, lecz były to wyłącznie działania nękające. Małe oddziały usiłowały szarpać boki i za każdym razem zostawały szybko pacyfikowane przez żołnierzy posiadających broń maszynową. Nawet przy skrajnie niekorzystnym

układzie, jakim jest rozciągnięta, wąska kolumna, napadające w dzień dzikusy nie stanowiły żadnego realnego zagrożenia. Ale... amunicji mieli przecież tylko tyle, ile żołnierze dźwigali na własnych plecach.

– Musimy przyjąć zrzuty – przekonywał pułkownik Michałowicz. – Przynajmniej amunicję.

– Niestety. Jeśli zaczniemy szukać odpowiedniego terenu, czekać na samoloty, to w ogóle możemy zawrócić. Baranowski zrobił nas, jak chciał!

– Prawda, na pętałów wyszliśmy. – Wschodni akcent starego Tataro idealnie nadawał się do oddania głębokiej boleści, jaką obaj odczuwali, kiedy garnizonowy, „wielkowiejski” oficer z sił lądowych przechrzył doświadczony w polu, starego zwiadowcę. I to czym? Kazał wojsku udawać trupy na polanie i pilota zmylić. – Na pętałów.

– Nie będzie żadnych zrzutów. Dzięki dłuższemu odpoczynkowi wojsko jest w stanie gnać do świątyni. – Tomaszewski przyglądał się kreskom, które sam kreślił ołówkiem na mapie. – Już blisko. Zaraz dotrzemy do świętej ziemi!

– A do świątyni też dotrzemy, tyle że bez amunicji. I co dalej? Znowu kułakami po mordach ich bić będziemy?

– Selim, ja cię proszę, nie komplikuj prostej sprawy.

Tatar westchnął ciężko.

– Nerwy ci puszczają, Krzysiu. Nerwy ci puszczają. A nie wróży to dobrze.

– Jak trzeba będzie, to i pięściami po mordach!

– No a ciekawe, jak oni, nauczeni, nie podejną blisko, tylko z daleka strzałami z łuków razić będą, a? Co wtedy?

– Zaraz ziemia Bogów. Tam podobno nie zaatakują.

– Pan doktor, co bada zwyczajnie dzikusów w bazie Sait, to sobie teraz siedzi w fotelu przy kominku, z koniaczkiem w jednej ręce, a cygarem w drugiej. I duma sobie: „Ciekawe, czy miałem rację z tym azylem na ziemi Bogów, czy nie miałem. Ha! Zaraz się okaże. Adiutant mi raport dostarczy, czy ich tam wysiekli co do jednego, czy jednak nie!”.

– Ty nie bądź taki poeta, Selim. Dobrze?

– No toż tu wierszem nic nie było. A nam zrzuty amunicji trzeba przyjąć. Nie bacząc na czas.

Mały samolocik z krążownika śmignął im nad głowami. Tomaszewski zbliżył mikrofon do ust.

- No co tam? Jak konkurencja, wróbel?
- Weszli na teren świątyni. Do głównych zabudowań jeszcze trochę im zostało.
- O kur... – Mikrofon wypadł Tomaszewskiemu z ręki, przenosząc tylko pół słowa. Teraz dyndał na zwiniętym w sprężynkę kablu tuż nad ziemią. – Maszerujemy!
- Oj, Krzysiu... – Michałowicz pokręcił głową. – Jak stoczmy jeszcze jedną potyczkę po drodze, to na miejscu pozostanie ci już tylko okrzyk: „Baranowski u bram! Do boju na bagnety!”.



Żołnierze jeszcze nie padały z nóg, choć oznaki zmęczenia były coraz większe. Dziewczyny trzymały się dzielnie. Uskrzydlał je pewien bardzo sprytny rozkaz Baranowskiego. Otóż na ostatnim, krótkim postoju major kazał się wszystkim rozsiąść wokół podwyższenia, zmuszając Duon, która musiała krzyczeć do wszystkich na mrozie, prawie do zerwania strun głosowych. Ale przekaz musiał dotrzeć do wszystkich zebranych. Był bowiem bardzo ważny.

– Waleczni żołnierze! – Baranowski szeroko rozłożył ręce. – Zbliżamy się do świątyni, gdzie, jak wiecie z plotek, zgromadzono cenne wota, złoto i kosztowności. Przynajmniej tak było w świątyni w dolinie Sait. Nie ma więc sensu domniemywać, że tu będzie inaczej. Ale... – dramatycznie zawiesił głos. – W wojsku polskim różnie podchodzi się do kwestii rabowania.

W szeregach wokół rozległy się ciche, niezbyt przychylnie pomruki.

– Generalnie rabować nie można. W ogóle.

Pomruki przybrały na sile.

– Zabór cudzego mienia jest możliwy wyłącznie w razie konieczności wyższej. Jest obwarowany wieloma skomplikowanymi paragrafami w regulaminie polowym. Wieloma opcjami i zastrzeżeniami. A i tak, powiem wam szczerze, pod sąd za coś takiego trafić łatwo. A sąd bywa surowy w przypadku grabieży. Nie cacka się z podejrzanymi.

Złowroga cisza zapadła w szeregach. Dziewczyny z posępnymi minami zerkały jedna na drugą.

– Reasumując więc – kontynuował Baranowski – rabunek w wojsku polskim jest absolutnie zakazany! – Zrobił chwilę przerwy, umiejętnie czekając na kumulację wrogości u słuchaczy, i dodał znieca: – Na szczęście wy nie jesteście w wojsku polskim!

Nastąpiła długa chwila ciszy. Potem dziewczyny zrozumiały, co powiedział. Rozległ się głośny ryk śmiechu, po pewnym czasie zastępowany gromkimi brawami. Nawet roztelepana Thien była pod wrażeniem tego teatru. Ten pieprzony major miał niezłe poukładane pod dekiem. Potrafił zmusić wojsko z Kong do wszystkiego.

– No, dziewczyny, muszę przyznać jednak, że rozpuszczenie wojska na grabież było już przyczyną klęsk wielu wspaniałych oddziałów. W związku z tym my postąpimy za przykładem pewnego wielkiego wodza Francuzów. Rabować pójdzie... tfu! co ja mówię. Przecież to zostanie zapisane w kronice pułku. Eee... Na „zwiad powierzchniowy” pójdzie tylko połowa żołnierzy. Pozostała część pozostanie zorganizowana na wartach i w ubezpieczeniu. No ale koleżanki, które zostaną pod komendą, nie mogą być przecież poszkodowane. Dlatego zrobimy tak. Te, które będą uczestniczyć w „zwiadzie powierzchniowym”, oddadzą wszystkie znalezione dobra do wspólnego kotła. Pamiętajcie, że każda z biorących udział w zwiadzie zostanie przeszukana, i to przez własne koleżanki, te, które zostały na wartach. Więc nie radzę oszukiwać ani usiłować ukryć czegokolwiek. A potem zgromadzone dobra zostaną podzielone równo dla wszystkich.

Znowu rozległ się ryk entuzjazmu. Baranowski okazał się dobrym mówcą. Jego słowa trafiały do prostych ludzi. Były przekonujące.

– Tak jak mówiłem – ciągnął – rabunek jest zakazany w wojsku polskim. No ale wy w nim nie jesteście. Słuchajcie! W polskim wojsku nie jest też dozwolone gnanie żołnierzy bez wytchnienia, bez należytego odpoczynku i bez należnych porcji żywieniowych przez cały dzień. Jednak... wy nie jesteście w polskim wojsku! Pytam więc: czy zdobędziecie się na jeszcze jeden nieregulaminowy wysiłek i pójdziecie dalej bez wytchnienia? Teraz, zaraz, od razu?!

– Pójdziemy! Pójdziemy! – dziewczyny wrzeszczały jak opętane. – Wykonamy rozkaz!

Baranowski uciszał aplauz oszczędnymi gestami. Znał dobrze zasady krasomówstwa, które nakazywały między innymi to, żeby nie podnosić rąk wyżej bioder.

– Żołnierze! Z wami można zejść na samo dno piekieł! I jedynym moim zmartwieniem wtedy będzie to, żeby nie wdepnąć w gówno! Bo wszystkie demony zesrają się ze strachu na wasz widok!

Ryk entuzjazmu porwał wszystkich. Biedną Duon tak bolało gardło, że dawała dyskretne znaki, żeby zakończyć to przemówienie do wszystkich żołnierzy. Baranowski nie miał już nic do powiedzenia. Uśmiechał się cynicznie, mówiąc:

– Niech ktoś wyda rozkaz wymarszu.



Pięćdziesiąt kilometrów w linii prostej od krążownika to dla piechura dość dużo. Dla samolotu zwiadowczego to mniej więcej dziesięć, piętnaście minut lotu. Dlatego marynarka wysłała aż dwie maszyny, żeby pomogły w ostatnim etapie marszu. Brzęczące bardziej niż huczące silnikami lekkie samoloty przemykały tuż nad głowami piechurów, odskakując co chwila gdzieś w dal, żeby sprawdzić drogę, poszukać innych możliwości przejścia albo zobaczyć, co robi konkurencja. I tu wieści były najmniej przyjemne.

– Wróbel dwa, wróbel dwa. Są dosłownie kilka kroków od głównych zabudowań świątyni!

– No szlag! – Mikrofon w ręku Tomaszewskiego zaskrzypiał lekko. Chyba ścisnął go za mocno. – Nie mylisz się co do świątyni? To podobno przecież istny labirynt.

– Tu wróbel dwa. Nie myślę się.

Selim Michałowicz, który podbiegł z boku, tylko machnął ręką.

– Krzysiek, daj spokój. – Dyszał ciężko po biegu. – Zaklinanie rzeczywistości nic nie da.

– Ale...

– Żadne ale. Oni wygrali.

– Jeszcze nie doszli.

Stary Tatar powoli uspokajał oddech.

– Moi ludzie już napotkali ich warty. Dalej nie pójdziemy bezkonfliktowo.

Tomaszewski rzucił mikrofonem o ziemię. Na szczęście zwinięty w sprężynkę kabel nie pozwolił, żeby urządzenie roztrzaskało się na drobne

kawałki.

Przez chwilę komandor stał nieruchomo, potem odwrócił się, szukając w kieszeniach papierosów. Ludzie stojący wokół milczeli również. No i przegrali wyścig. Taki wysiłek, tyle ofiar i nic. Koniec. Klapa. Gówno.

Jedynie owinięta kocem Wyszyńska zdobyła się na jakiś ruch i podeszła do dowódcy.

– Jeśli czarownicy dojdą do ołtarza, który ci zaznaczyłam na planie, zniszczą go. I to może być koniec naszych planów na tej półkuli.

Tomaszewski spojrzał na nią niezbyt przytomnie. Z najwyższym trudem opanowywał złość. Potem zerknął najpierw na mapę, potem na odręczny plan świątyni, który dostał od Wyszyńskiej.

– Selim, idź, proszę, do Baranowskiego i wywączaj, co i jak.

– Znaczy co mam wywaczać? – Tatarski dowódca był człowiekiem prostolinijnym i należało mu jasno powiedzieć, co ma zrobić.

– Posłuchaj. Skoro tamten dotarł aż tutaj, i to przed nami, to musiał porzucić praktycznie całe wyposażenie. Wygląda więc pewnie jak my. Bez zaopatrzenia i amunicji. Do Kong tą samą trasą już nie wróci, zatem będzie musiał skorzystać z naszego transportu. A to oznacza, że tak czy siak na jakiś rodzaj współpracy musi pójść.

– Bardzo rozsądnie – powiedziała Wyszyńska. A kiedy Michałowicz odszedł spiesznie, dodała: – A my?

– Mamy do wyboru dwie drogi. Albo na chama, przez ich warty do przodu, albo lekko w bok i obejść ich z lewej.

Wyszyńska zmarszczyła brwi.

– A nie możemy po prostu zacząć do nich strzelać? – zapytała.



Baranowski był w doskonałym nastroju. Oglądał właśnie wejście do świątyni, przedziwny twór, częściowo wykuty w skale, częściowo wymurowany z jakiejś dziwnej cegły, sądząc po wyglądzie, wypalanej przed tysiącami lat. Niezwykła rzecz. Niebywała, skomplikowana w układzie budowla. Wokół dzicz, nietknięta przez cywilizację knieja, brak dróg, brak czegokolwiek i ni stąd, ni zowąd tak nieprawdopodobna budowla.

– Panie majorze?

Odwrócił się gwałtownie, słysząc słowa wypowiedziane z silnym wschodnim akcentem. Od razu wiedział, że starszy mężczyzna o skośnych oczach, w mundurze szeregowca zwiadu nie jest zwykłym żołnierzem. Zasalutował sprężysto.

– Panie pułkowniku! Jakże się cieszę, że pana widzę.

Michałowicz oddał salut.

– Mnie również miło.

Baranowski z radości aż klasnął w ręce.

– Wygrałem! – nie mógł się powstrzymać od triumfalnego okrzyku. – Komandor Tomaszewski jest mi winny butelkę dobrej wódki!

Stary Tatar nagle instynktownie zrozumiał tamtego. Rozluźnił się, czując ulgę. Choć jeszcze nie do końca wiedział, czy dobrze odgadł.

– Ależ mój przyjaciel Krzysztof na pewno nie będzie się uchylał. Myślę, że i pana, i pańskich ludzi czeka solidny poczęstunek w klubie waszego pułku.

– W naszym pułku?

Większej radości Tatar nie mógł mu sprawić.

– Przyjmą panowie zaproszenie na uroczystość w naszym pułku?

– Ależ oczywiście. To dla nas honor móc potwierdzić pańskie zwycięstwo przy przełożonych i kolegach, majorze.

– Świetnie! Już dziś każę ordynansowi zacząć czyścić galowy mundur!

Obaj zaczęli się śmiać. Michałowicz musiał jednak pilnie rozwikłać pewną kwestię.

– Czy będzie pan jeszcze dzisiaj atakował? – zapytał.

– Atakował? – zdziwił się szczerze Baranowski. – A po co?

– No... Imperium chyba miało jakiś cel, wysyłając tu pułk. Chyba nie chodziło im tylko o dojście do bramy.

– Nic mnie nie obchodzą imperialne cele. Jestem oficerem wojska polskiego i dbam o interesy RP, a nie imperium. – Baranowski mrugnął porozumiewawczo. – A pułku do realizacji swoich celów imperium już nie ma. Pozwoliłem dziewczynom grabić, więc cesarzowej pozostały jedynie warty. Gdyby oczywiście chciała wydawać jakieś rozkazy.

– Więc nie posunie się pan dalej?

– Swój cel osiągnąłem. A dalej poszła tylko wycieczka tych ich czarowników.



– Świetnie. Zatem jesteśmy umówieni na wódkę w klubie oficerskim pańskiego pułku.

Baranowski zdjął czapkę i szlacheckim obyczajem skłonił głowę. To był chyba najlepszy dzień w jego życiu.

– Jak miło jest spotkać człowieka honoru – powiedział.

Michałowicz również zdjął czapkę i odpowiedział ukłonem.



Radiotelegrafista podbiegł do Tomaszewskiego, trzymając mikrofon w wyciągniętej ręce.

– Dowódca zwiadu na linii! – zaraportował.

– No jak? – w głosie Tomaszewskiego dało się wyczuć napięcie. – Rozmawiałeś z nim?

– A owszem. – Michałowicz najwyraźniej był w dobrym humorze. Nie spieszył się. – Nie uwierzysz, jaki to fajny facet! Jesteś mu winny butelkę dobrej wódki.

– Postawię mu skrzynkę! No mów, czego się dowiedziałeś.

– Przecież mówię. Nie sądziłem, że to taki normalny gość. Nienadęty.

– A konkretnie?

– A konkretnie, to Baranowski nie posunie się już dalej. On chciał wygrać z tobą sportowy wyścig, a nie pomagać imperium w załatwianiu ich ciemnych interesów. Osiągnięcie głównej bramy przed tobą w zupełności go satysfakcjonuje. A imperium nie ma już pułku do dyspozycji.

Wyszyńska odetchnęła z ulgą. Tomaszewski zapytał:

– Co się stało z żołnierzami?

– Nic. Rozpuścił baby na grabież. Tam już nikogo nie ma. Nawet oficerów.

Teraz Tomaszewski również westchnął z ulgą. Uśmiechnął się szeroko. Trochę też ze wstydem. Najgorzej, kiedy człowiek wybuduje w swoim umyśle obraz drugiego człowieka. Kiedy zrobi z niego wroga we własnej wyobraźni. Przypisze mu szatańskie pobudki, perfidne cele, a tu nagle... Ten zajadły wróg okazuje się przyjacielem. Trochę wstyd za swoje głupie myśli.

– Dobra. – Odwrócił się do swoich ludzi. – Niech żołnierze obstawią wszystko, gdyby się komuś odwidziało i chciał nam przeszkadzać. Ale tym się zajmie Selim.

– A czarownicy? – wtrąciła się Kai. – Na pewno poszli, żeby zniszczyć ołtarz.

– Na pewno. Chociaż z rysunku pani inżynier wynika, że wewnątrz świątyni to istny labirynt. I dlatego ty weźmiesz do pomocy, kogo chcesz, i spróbujesz ich zatrzymać.

– Ja?

– Jesteś przecież czarownicą. Może wyczujesz, którędy idą, i ich zatrzymasz. Weź do pomocy, kogo chcesz, nawet Wyszyńską, bo ona się czarów nie boi.

– Ale...

– Bez ale! Wydałem pani rozkaz, pani kapitan!

– Tak jest!

Wyszyńska jednak nie dała się tak łatwo zbyć jak biedna Kai.

– A ty gdzie będziesz w tym czasie? – zapytała.

Pokazał jej miejsce na odręcznym planie świątyni.

– O, tutaj. Zamiast iść przez labirynt i ścigać się z nimi, wysadzę tę ścianę i znajdę się od razu przy ołtarzu.

Wyszyńska energicznie potrząsnęła głową.

– To dobry plan. Sprytny.

Odwróciła się do młodej czarownicy.

– Wybieraj ludzi. Lecimy.

Udało jej się natchnąć dziewczynę swoją energią. Wybór zresztą nasuwał się sam. Tomaszewski tymczasem ruszył w stronę żołnierzy piechoty morskiej.

– Mielczarek!

– Jestem! – Z boku wyrosła zwałista postać z peemem w rękach.

– Idziemy tylko we dwóch.

– Tak jest! – Ta informacja najwyraźniej spodobała się bosmanowi.

– Wywal graty z plecaka. Musimy zabrać materiały wybuchowe.

Wszystko, co jest.

– Tego jest bardzo dużo, panie komandorze.

– To świetnie. Bo my tego bardzo dużo potrzebujemy.



Kai prowadziła swój zaimprovizowany oddział bardzo pewnie. W przeciwieństwie do czarowników, którzy przybyli tu z kongijskim pułkiem i którzy mogli jedynie „czuć” cel, ona miała konkretne plany. Dokładnie narysowaną drogę prowadzącą wprost do ołtarza. A było gdzie się pogubić. Labirynt w żadnym wypadku nie przypominał tego, co pamiętała z wczesnej młodości. Dla niej dotąd labirynt oznaczał żywopłoty, którym pozwolono wyrosnąć ponad wzrost człowieka i przycięto później w idealnie równe ścieżki. Tam, błądząc między zielonymi ścianami, nie tyle usiłowało się odnaleźć drogę do wyjścia, co raczej zadzierzgnąć znajomości z tymi, którzy również znaleźli się „w opresji bez wyjścia” i bardzo chcieli pomóc młodym damom. Takie labirynty znajdowały się zawsze przed pałacami książąt i ważniejszych notabli, a młodzież z towarzystwa uwielbiała się w nich „gubić”.

Ten tutaj jednak wcale nie był zabawny i nie miał w sobie niczego pociągającego. Korytarze na wielu poziomach wiły się, przecinając ze sobą pod najdziwniejszymi kątami, ściany w ciemnościach znikwały nagle, ustępując miejsca kilkupiętrowym przepaściom, a niezastłonięte niczym doły tuż za prawie każdym zakrętem zmuszały do powolnego, bardzo ostrożnego posuwania się naprzód. Dla kogoś, kto oświetlałby sobie drogę kagankiem czy pochodnią, mogłaby to być pewnie droga zabójcza. Dla tych jednak, którzy mieli elektryczne latarki, była po prostu nużąca. Żadnych niemożliwych do przewidzenia niespodzianek nie napotkali.

Kai przyspieszyła, dopiero kiedy w oddali ukazało się światło. Po chwili dotarli do okrągłej sali z dużym otworem w sklepieniu. Stąd korytarze rozchodziły się w każdym kierunku i plan mówił, że wszyscy idący od głównej bramy do najstarszego ołtarza muszą przejść właśnie tędy.

– Dobra. – Kai zatrzymała się na środku sali. – Niech żołnierze pochowają się w wylotach korytarzy. Odtąd – pokazała ręką – dotąd.

– To ma jakieś magiczne znaczenie? – zapytał Siwecki.

– Nie. – Dziewczyna spojrzała na niego zdziwiona. – To wynika z faktu, że czarownicy przyjdą którymś z tych korytarzy. – Pokazała przeciwny kierunek. – A jeśli nasi będą tam, to wrogowie nie wychyną nagle zza pleców żołnierzy.

– Aha. – Lekarz czuł, że popada w jakieś aberracje. Teraz on z kolei miał przesadne wrażenie, że za wszystkim kryją się jakieś czary. Powoli rozmasował twarz. To wredne, puste otoczenie musiało wywierać na niego taki wpływ. Żadnych zdobień, żadnego rozrzeźbienia architektury, wszystko surowe, puste, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu poza posępnym przesłaniem, które kryło się gdzieś w mroku. Z mitów wynika, że to może być kolebka cywilizacji. Straszne. Surowość tych wnętrz przywodziła na myśl już nawet nie klasztorne cele, ale pomieszczenia laboratorium. Otrząsnął się odruchowo.

– Długo będziemy czekać?

Wyszyńska nie była w najlepszej formie. Ledwie otwierała zaropiałe oczy. Miała dreszcze i oddychała ciężko.

Kai spojrzała na panią inżynier z obojętnym wyrazem twarzy.

– Nie.



## Rozdział 15



Mielczarek zmienił końcówkę swojej łopaty saperskiej, zamieniając ją w krótki oskard. Chwycił narzędzie obiema rękami i z całej siły uderzył w mur. Potrzęsnał głową, kiedy odpryski uderzyły go w twarz.

– Uuu... Panie komandorze.

– Co?

– Te cegły łyżką można wybierać. Starutkie.

– No to dobrze. Łatwiej nam pójdzie.

Bosman zerknął na dwa plecaki wypełnione materiałami wybuchowymi. Wzruszył ramionami.

– Za dużośmy tego wzięli, panie komandorze.

– Spokojnie, spokojnie. W środku też mam dla nich zastosowanie.

Mielczarek nie protestował. Kuł metodycznie, szybko powiększając dziurę. Zresztą wiele nie potrzebował. Mały oskard już po chwili przebił się na przestrzał, powodując jedynie stek przekleństw, bo marynarz boleśnie zranił się przy tym w dłoń.

– Ręcznie byśmy się przebili na tyle, żeby przejść. – Bosman obrzucił mur pogardliwym spojrzeniem. Rozglądał się za jakimś spoiwem, które pomogłoby mu przytrzymać ładunki wybuchowe w dziurze. Nie było problemu z wyborem. Wokół przecież najwięcej było śniegu. Mielczarek utoczył kulę śnieżną z wetkniętymi w środek kostkami trotylu związanymi sznurkiem i wbił ją do dziury. Potem ostrożnie umieścił w tym detonator z krótkim lontem.

– Podpalać?

– Dawaj.

Kiedy z lontu buchnął snop iskier, zaczęli się wycofywać. Bomba nie była duża, więc i utrzymanie jakiegoś przesadnego dystansu nie było konieczne. Trotyl przecież sam z siebie nie zabijał. Jedyne, co im groziło, to oberwanie niewielkimi odłamkami muru. Ukryli się za grubymi drzewami w pobliżu. I nieświadomie popełnili ten sam błąd.

Pnie drzew może i stanowiły idealną ochronę przed odłamkami. Kiedy jednak ładunek eksplodował z hukiem, fala uderzeniowa wstrząsnęła drzewami, osypując mężczyzn całym śniegiem, który był zgromadzony na gałęziach. Śnieg to co prawda nie ołów, niczego nie zmiażdżył, niczego nie sprasował. Ale wygrzebanie się spod kilkuset kilogramów sypkiego świństwa sprawiło, że po kwadransie, po którym im się to dopiero udało, obaj byli zmęczeni, spoceni i wściekli na własną głupotę.

Niezły początek akcji. Dwóch komandosów marynarki zagrzebanych w zwykłym śniegu, który sami sobie na łeb zrzucili. Klnąc, oglądali wyrwę w ścianie. Wbrew oczekiwaniom nie osypała się cała. Wybuch zrobił jedynie wąskie przejście, przez które mógł co prawda swobodnie przejść pojedynczy człowiek, ale prawdopodobnie do środka nie wpadała odpowiednia ilość światła, żeby rozjaśnić wnętrze. Dopiero w środku mogli otrzepać się porządnie. W świetle latarek ujrzeli zarysy niewielkiej sali z wieloma niszami. Nad każdą z nich wisiało coś na kształt klatki. Nie za dużej. Takiej mniej więcej, żeby zmieścić człowieka.

– Ofiary tu składali, panie komandorze – szepnął Mielczarek.

Najwyraźniej ich myśli biegły podobnym tokiem.

– Z ludzi? – Tomaszewski podszedł do najbliższej niszy. – Opiekali ich czy co?

– A cholera ich wie, panie komandorze. Strasznie dużo nam tych materiałów wybuchowych zostało. Może wysadzimy to miejsce?

– Trotyl zaraz będzie nam potrzebny. Do konkretnej roboty.

Tomaszewski skupił się nad kopią planu świątyni, a bosman zajął się ich plecakami.

– Tędy. – Promień latarki wydobył z mroku wylot korytarza. – Nie jest to zbyt dokładny rysunek.

– Nie zgubimy się, panie komandorze. Tam ktoś krzyczy, może nasi.

Tomaszewski zatrzymał się, nasłuchując. Były dwie możliwości. Albo Mielczarek miał słuch absolutny, rzadko spotykany u ludzi, albo miał omamy.

– Zdaje ci się.

Ruszyli dalej, oświetlając sobie drogę reflektorami. Te marynarskie urządzenia miały tylko jedną wadę. Pożerały baterie błyskawicznie, i to całymi partiami naraz, jedną po drugiej. Kiedy jednak niosło się przy sobie zapas, można było filmy kręcić przy tym oświetleniu. Żadna pułapka, żadna niezabezpieczona niczym przepaść w miejscu, gdzie znikwały ściany, nie była zaskoczeniem. Widzieli wszystko zawczasu jak na laboratoryjnym stole.

Dalszy szybki marsz przerwał czyjś okrzyk, tym razem dość już wyraźny. Mielczarek jednak słyszał dobrze.

Tomaszewski przesunął sobie z pleców karabin szturmowy do pozycji bojowej. Z jedną dłonią zajętą trzymaniem reflektora nie była to wygodna pozycja. Dlatego też bosman wybrał pistolet maszynowy. Ruszył powoli przodem.

– Ostrożnie – szepnął Tomaszewski. – Może to pułapka.

– Jakby to była, za przeproszeniem pana komandora, pułapka, toby się tamten tak nie darł – odparł Mielczarek. – Pułapkę to się w ciszy robi. A nie ostrzega przed nią.

– No niby tak. Ale może to jakaś zmyłka?

– Jaka, panie komandorze? Jak zaczął wrzeszczeć, to pan komandor od razu powiedział, że to może pułapka. To gdyby była rzeczywiście, to tym samym by pana komandora ostrzegli przed nią. Prawda?

Nie sposób było odmówić racji przemyśleniom bosmana. Zresztą po kilkudziesięciu krokach dało się już rozróżnić słowa.

– Ratunku! Pomocy! Tu jestem!

– Ale się drze, jak stare gacie – Mielczarek nie mógł sobie darować kpiących uwag. – A co on krzyczy?

Bosman słabo znał miejscowy język. Na tyle, żeby mu to pomagało w wynajdowaniu stosownych rozrywek podczas przepustek w mieście. Najwyraźniej jednak ani w portowych knajpach, ani w burdelach nie używano takich słów, jakie teraz docierały do nich z coraz mniejszego dystansu.

– Pomocy wzywa – wyjaśnił Tomaszewski.



– A. To tak. Wybuch usłyszał, to w niego nadzieja wstąpiła. Ale skoro tak wyje bez ustanku, to znak, że strażników żadnych nie ma.

– Albą są, ale chcą, żebyśmy myśleli odwrotnie.

– Oj, panie komandorze. – Mielczarek machnął ręką, w której trzymał reflektor, wywołując tym niesamowitą grę świateł w załomach murów. – Pan to zawsze podejrzewa perfidię tam, gdzie jej nie ma. Świat jest prosty jak kilo gwoździ.

Tomaszewski nie do końca zgadzał się z tą opinią, ale nie za bardzo miał teraz ochotę na dyskusję. Mielczarek prowadził pewnie. Nie zatrzymał się ani razu, zanim doszli do dużej sali przedzielonej dokładnie na pół wielką kratą. Kiedyś pewnie po stronie, gdzie nie było wylotu żadnego korytarza, trzymano wielu więźniów. Sala mogła pomieścić dziesiątki ludzi. Teraz jednak, z dłońmi zaciśniętymi na metalowych prętach, stał tam tylko jeden człowiek. W sile wieku, w poszarpanym ubraniu, z opaską na głowie, którą przewiązano mu oczy. A raczej oczodoły, jak podejrzewał Tomaszewski, kiedy dostrzegł zaschniętą na policzkach krew.

– Podkute buty! – krzyczał więzień. – Słyszę podkute buty! To nasi!

– Już, już, spokojnie – odezwał się Tomaszewski. – Zaraz cię uwolnimy. Ślepiec poruszył się nerwowo, a potem z ulgą przytknął głowę do krat.

– Dziwny masz akcent, panie. Skąd jesteście?

– Z imperium. – Tomaszewski nie zamierzał go teraz wprowadzać we wszystkie szczegóły.

– Dzięki Bogom! Cesarscy mnie odnaleźli! Aż dziw, że dotarłem tak daleko. Dzięki Bogom!

– A ty skąd?

– Ja z innego kontynentu, panie. Jestem odkrywcą. Podróżnikiem.

– Żeglarz? Dopłynąłeś aż tutaj?

– Nie, panie. Odkryłem przejście południowo–zachodnie. Udowodniłem... – Ślepiec przełknął ślinę. – Udowodniłem, że w krainie wiecznego lodu istnieje lądowe przejście!

Tomaszewski podał mu manierkę z wodą. Uwięziony podróżnik pił łapczywie. Mielczarek w tym czasie mocował się z kratą za pomocą oskarda i bagnetu. Piłki do metalu najwyraźniej nie miał, a wysadzać kraty nie chciał.

– Przejście południowo–zachodnie? – Tomaszewski niezbyt interesował się geografią tych terenów, ale legendy o jakimś tajemniczym przejściu

słyszał. Lecz nie było ani dokładnych map, ani nawet orientacyjnych szkiców. Imperium nie interesowało się terenami wysuniętymi tak daleko na południe, a polskie mapy tych rejonów w ogóle nie zostały sporządzone.

– Tak, panie. Ono istnieje, choć w miejscu, którego pewnie nie chciałbyś odwiedzić, panie.

– Jesteś więc wielkim odkrywcą.

– Ano jestem, panie. I srodze się to na mnie zemściło.

– Co? Geografia?

Ślepiec potrząsnął głową.

– Nie jestem geografem, panie. Ja nie przejścia szukałem. To był tylko środek prowadzący do celu. Wykorzystałem go, bo nie stać mnie na kupno statku i wyekwipowanie załogi.

– Czego więc szukałeś?

– Pomnika cesarzowej Achai.

Tomaszewski westchnął głęboko. Chciał rzucić jakąś kpiącą uwagę w stylu: „To powinniśmy założyć jakiś klub poszukiwaczy”, lecz zrezygnował. Zapalił papierosa.

– I znalazłeś? – zapytał.

– Tak – padła zdecydowana odpowiedź. – I dlatego mnie oślepiłi. Żeby nawet gdybym im przypadkiem umknął, nie mógł nikomu pokazać drogi.

Tomaszewski zachnął się, wzruszając ramionami.

– Bez sensu. Czy nam powiesz, gdzie on jest, czy nie, i tak nie ma to znaczenia. Przecież rozbierzemy całą tę świątynię na pojedyncze cegły, jeśli nie znajdziemy od razu.

Ślepiec podniósł głowę.

– Pomnika tutaj nie ma, panie.

Krata zatrzeszczała i puściła pod naporem oskarda Mielczarka, zastosowanego jako dźwignia. Bosman nie tracił trotylu na żadne wybuchy, poradził sobie inaczej. Prawdziwa eksplozja natomiast miała miejsce w głowie Tomaszewskiego.

– Jak to nie ma? – zapytał bezwiednie. Cały umysł miał zaprzątnięty osobną kwestią. Wszystkie jego podejrzenia, teorie złożone ze strzępów informacji właśnie znajdowały potwierdzenie. To nie pomnik był celem wyprawy tutaj dla Wyszyńskiej. Ma w tym miejscu do załatwienia coś bardziej pilnego. Ale jak tłumaczyć fakt, że pomnika nie ma tu w ogóle? A zapiski Osiatyńskiego? A może źle je zrozumiał. Ciekawe.

– Oślepiłi mnie – powiedział podróżnik. – Ja już was nie zaprowadzę.

– Bzdura. Rzecz raz znalezioną można znaleźć po raz drugi. Podobno nawet łatwiej.

Mielczarek wyprowadził więźnia na drugą stronę kraty. Choć sam objuczony sprzętem, musiał go prowadzić, bo człowiek był skrajnie wycieńczony. Bosman wyjął z kieszeni dwie kostki cukru i podał na otwartej dłoni, jak koniowi.

– Pomnik jest przy przejściu południowo–zachodnim. – Uwolniony podróżnik mówił teraz niewyraźnie, bo zawzięcie chrupał cukier.

Tomaszewski spojrział na zegarek. Szlag, za dużo czasu tutaj zmitrężyli. Na szczęście sala, w której stał ołtarz, podstawowy cel Wyszyńskiej, była tuż–tuż. Być może tam właśnie miano złożyć nieszczęśnika, którego znaleźli, w ofierze.

– Ruszamy – powiedział. Nie miał pojęcia, czy czarownicy doszli już do stanowisk, które zajęła Kai. A z całą pewnością on musiał być przy ołtarzu wcześniej niż ktokolwiek inny. – A ty powiedz coś więcej na temat pomnika.

Niefortunny podróżnik szedł, trzymając się kurczowo ramienia Mielczarka.

– Macie szybki, pewny krok – powiedział. – A nie słyszę skwierczenia pochodni.

– Do rzeczy.

– Przy przejściu, które odkryłem, znajduje się Zaginione Miasto. Kończyły mi się zapasy, ale krążyłem po nim oniemiały z zachwytu. Chyba nie ludzką mocą to wszystko zostało stworzone.

– A pomnik? – Tomaszewski kierował opowieść mężczyzny na właściwe tory. Brakowało teraz czasu się rozpraszać. Zbyt wiele rzeczy miał na głowie. A poświata, którą dostrzegli przed sobą, zdawała się świadczyć, że właśnie powoli osiągnęli cel swojego marszu.

– Trafiłem do budowli tak wielkiej, że nie śniła się żadnemu architektowi. Według moich obliczeń pod centralną kopułą zmieściłoby się nawet dwieście tysięcy ludzi.

Tomaszewski aż gwizdnął. Gdzieś czytał o niemieckich teoretycznych eksperymentach budowlanych. Otóż obliczyli oni swego czasu, że w budynku o kubaturze pozwalającej na pomieszczenie stu osiemdziesięciu

tysięcy osób wytworzyłaby się własna atmosfera wraz z towarzyszącymi jej zjawiskami.

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedział do geografa amatora. – Gdyby zgromadzić taką liczbę ludzi w zamkniętej przestrzeni, to w budowlu wytworzyłby się odrębny mikroklimat. Para pochodząca z ich oddechów tworzyłaby chmury...

– Było, jak mówisz, panie. – Ślepiec przełknął resztkę cukru i mówił teraz wyraźniej. – Widziałem reliefy, widziałem mozaiki. Setki tysięcy ludzi, a nad nimi, pod kopułą, chmury, z których padał deszcz!

– Jesteśmy! – Mielczarek przerwał przydługi wywód, gasząc latarkę.

Szarość wokół pozwalała już poruszać się bez pomocy sztucznego światła. Po kilkunastu krokach znaleźli się w dość dużej sali. Jej sklepienie dziurawiły prostokątne, rozchodzące się promieniście szczeliny, przez które wpadały promienie słońca. Od razu wzbudziło to podejrzenia Mielczarka.

– Niech pan patrzy, panie komandorze. Dziury w suficie na przestrzał, całkiem spore, a śniegu na podłodze ani grama. Nawet nie jest mokra.

– Zwróciłem uwagę. Również na to, że z naszych ust nie wydobywają się kłęby pary.

– No szlag! No szlag...

Zrobili kilka kroków w stronę kształtu ciemniejszego na środku.

– To ten? – Bosman zerknął w bok, jakby komandor miał być wyrocznią w sprawie wszystkiego.

– A skąd mam wiedzieć? Pewnie ten.

Ołtarz na środku nie był zbyt okazały. Właściwie to w ogóle nie przypominał ołtarza. Bardziej jakiś prosty stół w karczmie, albo może nawet bardziej, z powodu prostopadłościennych podpór, wielkie biurko. Tak, właśnie biurko. I to do tego stopnia, że Tomaszewski wziął jeden ze stojących pod ścianą zydli z wysokim oparciem i przyciągnął na środek. Zasiadł na nim wygodnie i rozejrzał się. Na blacie brakowało rozrzuconych papierów, wyjął więc i rozłożył mapę. Obok położył kilka ołówków z mapnika. Potem przyjął bardziej wygodną pozycję i zabębnił palcami w blat.

– No fajne. – Zerknął na Mielczarka. – Nie?



Kai nagle straciła pewność siebie. Oczekiwanie na czarowników w okrągłej sali z wielkim otworem w dachu zdawało się wysysać ją z sił i pozbawiać silnej woli, jeśli taką kiedykolwiek miała. Nie, to nie był chyba ani wpływ budowli, w której się znalazła, ani zbliżającego się wroga. Ot tak, po prostu, za długo myślała o tym, co może się stać, i wybudowała sobie potwora we własnej głowie. A takie są najgorsze. Najgorsze, ponieważ nie istnieją naprawdę i w związku z tym żadne realne działanie nie może im zaszkodzić.

Trochę spanikowana zerknęła na Wyszyńską, która stała obok. Ta, zajęta swoim katarem, opuchniętym nosem i gorączką, która ciągle powodowała poty, nawet tego nie zauważyła. Kai przeniosła wzrok na Siweckiego. Ten przynajmniej stał spokojnie, z rękami w kieszeniach, sądząc po zmarszczonym czole, rozważał w myślach ważną kwestię z jakiejś absorbującej dziedziny.

Mentalnie była sama. I jak na złość stanęły jej przed oczami własne losy. Szkoła w Danoine, feralna wyprawa, strzelanina na morzu i wszystko, co stało się później. A teraz stała sama naprzeciw... No właśnie. Naprzeciw czego? Imperium? Rady Czarowników? Zakonu, który swoimi niewidzialnymi mackami objął już cały świat, po tej i po tamtej stronie gór?

Jeszcze raz zerknęła na Siweckiego. To fajny facet, ale w tej chwili nie mógł jej dać żadnego oparcia. Wyszyńska odpływała gdzieś w odległe rejony trawiącej ją gorączki, a Krzyśka nie było w pobliżu. Czy miała coś, na czym mogłaby się oprzeć? Ona, Muszka, jak nazywał ją Meredith. Zawieszona gdzieś pomiędzy ścierającymi się właśnie potężnymi siłami, gorączkowo szukała czegoś, na czym mogłaby się oprzeć.

I nagle, dokładnie w chwili, kiedy z wylotu jednego z korytarzy dobiegł ich odgłos zbliżających się kroków, usłyszała wołanie Shen. Nie, nie przez jakąś magiczną moc, choć siła czarów w tym miejscu rzeczywiście ulegała zwielokrotnieniu. Usłyszała wołanie gdzieś w środku swojej duszy i nagle zrozumiała, że ich losy są tak naprawdę identyczne. Jakby były jedną osobą. Choć zdarzenia wokół były różne, przejścia całkowicie odmienne, to jednak dylematy, przed którymi stanęły obie dziewczyny, były te same. Kai zrozumiała w tej samej chwili jeszcze jedno. Shen już wybrała. Zdecydowała się na szaleństwo.

Orszak kilkunastu czarowników pojawił się u wylotu tunelu. Kilku młodszych niosło zakonne wota na specjalnych stojakach. Wewnątrz

świątyni przestali się kryć. Kai powitała ich uśmiechem. Już była pewna siebie.

Najstarszy czarownik zatrzymał się kilka kroków od niej. Nie okazał nawet cienia zdumienia. Trudno się dziwić. Skoro magia Kai stawała się tu silniejsza, to jak otoczenie musiało działać na niego?

Oczekiwała, że powie coś szorstkiego albo pogardliwego, w rodzaju „precz”, „zejdź mi z drogi”, albo „pod ścianę i na kolana!”, i miała przygotowaną na to odpowiedź. Ale jak zwykle wybudowany przez nią samą potwór w głowie zwiódł ją, bo czarownik zapytał cicho:

– Dlaczego nie chcesz nas przepuścić?

I wybił ją tym z rytmu własnych myśli.

– Tak sobie stoję – odpowiedziała głupio i odruchowo. – Może ktoś mnie poderwie.

– Widzę na twoim czole opaskę mistrzyni – podjął. Widocznie miał wszystko lepiej przygotowane. – Chcę zapytać: czy pod tym obcym mundurem kryje się jeszcze serce, które należy do nas?

Mocny cios. I Kai znowu gdzieś w głębi duszy usłyszała cień okrzyku Shen. A czy ja, buntując się przeciwko porządkowi rzeczy, przeciwko własnemu państwu, przestałam być patriotką?

Czarownica uśmiechnęła się słodko.

– Nie wiem, jakie są poglądy serca, które kryje się pod tym mundurem, ale zapewniam, że jest wystarczająco mężne, żeby cię tu zatrzymać.

Zauważył zmianę w postawie dziewczyny i zmienił ton.

– I sprzymierzasz się z tym? – Wskazał palcem Wyszyńską, usiłując jednak na nią nie patrzeć. – Ze zwierzęciem? Współpracujesz z psem?

– A twojego obejścia, twojej szkoły po nocy nie strzegą aby psy? I co? Współpracujesz z nimi?

– To nie jest człowiek! Nie rozumiesz?

– Będziemy tutaj tak stali i przerzucali się pustymi słowami, czy może zdecydujesz się jednak wyjść na zewnątrz i odetchnąć świeżym powietrzem dla otrzeźwienia?

Czarownik najwyraźniej uznał, że w ten sposób niczego nie działa. Zapytał więc wprost:

– Jesteś czarownicą?

Przytaknęła.

– Nie muszę ci po raz tysięczny powtarzać, że czarownicy są po to, żeby utrzymać istniejący porządek rzeczy. Prawda? – Chyba nie oczekiwał odpowiedzi, bo ciągnął dalej: – W swojej szkole w Danoine słyszałaś i rano, i wieczorem, i przed każdym posiłkiem powtarzane przez cały czas credo. Studentki różnymi rzeczami mogły się zajmować, różne zajęcia zawałać, ale chłosty sprawiły, że każda obudzona choćby w środku nocy umiała wyrecytować historię świata jednym tchem. Skrót według kanonu czarowników.

– Do czego zmierzasz? – spytała.

Nachylił się do niej i spojrział Kai prosto w oczy.

– W twoim przypadku zabrakło chyba tej jednej chłosty. Utrwalającej wszystko w rozumie.

– I?

– I dlatego pozwolę sobie powtórzyć pewne wyjątki.

– Próżny trud. Wszystko pamiętam.

– Czyżby? Nalegam. – Uśmiechnął się smutno. – Przy okazji wyjaśnię ci, o co tutaj chodzi.

Kai zerknęła na Wyszyńską, ale ta niezbyt kontaktowała. Stała z przymkniętymi oczami i zdawała się nie słyszeć, co się wokół niej mówi. Ciekawe, czy to jakiś wybieg taktyczny, czy rzeczywiście aż tak źle się czuje. A może... Skoro mistrz czuje dla Wyszyńskiej wyłącznie pogardę, ona czuje pogardę dla mistrza? I nie chce się kłaść rozmową? Nie. Nie była zbyt przytomna.

– W takim razie słucham – powiedziała Kai.

– Kiedy Bogowie napotkali barierę, której pokonać nie sposób – zaczął od razu – zrozumieli, że muszą stworzyć coś, co dostanie drugą szansę. Stworzyli więc ludzi, zapłodnili nieskończoną liczbę światów w całym wszechświecie istotami zrodzonymi z magii i ładu, stworzonymi na obraz i podobieństwo Bogów. Syn najwyższego Boga, Bóg Zdrajca Seph, myślał inaczej. Po co powtarzać historię Bogów? – myślał. Trzeba stworzyć istoty inne, pozbawione ładu i moralności. I uruchomił proces, w wyniku którego powstałi Ziemia. Stwory, które powstały w wyniku ewolucji zwierząt. Bez duszy, nieznające magii, dążące nie do ładu, tylko do dominacji! Zewnętrznie nas przypominają, ale to tylko łudzące, powierzchowne podobieństwo.

– I Bogowie się ich przestraszyli – zakpiła Wyszyńska. A jednak słuchała!

Czarownik nie raczył jej odpowiedzieć.

– Nie sposób było znaleźć wylęgarnię Ziemców w całym wszechświecie. Bogom się to udało. I najstarszy Bóg wysłał tam swojego młodszego syna, Jezusa, żeby przyniósł światło nawet zwierzętom z szatańskiego miotu!

– A przy okazji zniszczył wielką cywilizację – dodała sarkastycznie Wyszyńska – i powstrzymał rozwój.

Czarownik znowu udawał, że niczego nie słyszał. Ton jego głosu stał się za to trochę egzaltowany.

– Zwierzęta jednak nie przyjęły nauki Jezusa. Nie chciały światła. Zabiły go.

– Zamęczyły – uściśliła Wyszyńska, znowu jednak nie powodując jakiegokolwiek, najmniejszej nawet reakcji. Jakby nikt jej nie słyszał.

– Bogowie w tym czasie już, jak wiesz, nie istnieli.

– W mocy Bogów jest jednak nie istnieć i robić coś jednocześnie – tym razem dokończyła za niego Kai. Wbrew pozorom pamiętała oczywiście wszystkie lekcje i każdy omawiany tam problem. To był kanon.

– Tak właśnie. Dlatego Jezus nie udał się do świata Ziemców cieleśnie. Posłał tam swoją duszę.

Kai skinęła głową. To też oczywiście pamiętała. Choć z trochę innych źródeł. Opowieść o Sephie była powszechnie znana. Historię Jezusa jednak osobliwie usiłowano pomijać.

– A to wszystko, o czym mówię, miało miejsce właśnie tu. – Stary mistrz podniósł ręce i zatoczył każdą z nich szeroki łuk. – W tej świątyni. To ołtarz, ku któremu zmierzamy, umożliwił Jezusowi wysłanie swojej jaźni, swojej woli i swojej duszy do innego świata! To z tego ołtarza korzystał Jezus.

– A ty chcesz go zniszczyć?

– On musi zostać zniszczony, bo działa w dwie strony! Podniebny księżę, niech będzie przeklęty, odgadł jego tajemnicę. I uruchomił go, przynajmniej częściowo. I teraz obce stwory, krwiożercze zwierzęta, przenikają do naszego świata. Jedno po drugim. Jedno po drugim!

Siwecki zachował się, jakby dopiero teraz coś zrozumiał. Rozejrzał się i przełknął ślinę.



– Musimy to przerwać – mówił czarownik. – Ołtarz i tak nie działa poprawnie, nie daje nad sobą panować. We wszystkim jest za dużo przypadku, za dużo rozrzutów, ale monstra już tu są. I zrobią wszystko, żeby ustabilizować działanie ołtarza albo uruchomić go ponownie, gdy ustanie po wielkiej koniunkcji. Monstra nie ustaną. A naszym zadaniem jest zniszczyć ołtarz na zawsze.

– No a z tymi potworami, które już są wśród nas, sobie, jak mniemam, poradzicie?

– Nie kpij, dziecko. Zbliża się czas rozstrzygnięć. I będziesz musiała podjąć decyzję, czy wypełnisz wolę Bogów.

Wyszyńska kichnęła głośno, a potem skrzywiła się perfidnie.

– On ci nie mówi wszystkiego, Kai. Nie daj się zwieść.

– Co masz na myśli? – zapytała czarownica.

– Skoro wszystko jest tak, jak on przedstawia, skoro to ma być wypełnienie woli Bogów, to dlaczego na straży ołtarza nie postawiono czarowników, tylko potwory, które my nazywamy dzikusami? Dlaczego elementy ołtarza zachowane są w matecznikach różnych Wielkich Lasów, a nie w szkołach czarnoksiężskich?

– No właśnie. – Kai przeniosła wzrok na mistrza. – Dlaczego?

– Nie słuchaj, co mówi zwierzę! Żadne szczekanie psa nie przybliży cię...

– Dobra, dobra, tylko bez egzaltacji – Kai przerwała mu bezczelnie. – Dlaczego?

– Czyżby Bogowie bali się waszej pychy? – docięła z boku Wyszyńska. – I nie powierzyli wam mocy ani potęgi, bo zwyczajnie wiedzieli, że ją wykorzystacie do własnych celów?

Najstarszy czarownik po chwili wahania skłonił się i odpowiedział z rozważą:

– Rzeczywiście Bogowie powołali dwie siły, które miały dbać o ich przesłanie. Nas oraz potwory z Lasu. Dwie siły, które nie pałają do siebie miłością. Dla równowagi.

Kai natchnięta bezczelnością Wyszyńskiej zaczynała powoli bawić się w najlepsze.

– Cóż za eufemizm: „dla równowagi”. Można powiedzieć prościej: Bogowie wiedzieli, że wam nie można ufać. Dlatego nie zagwarantowali

wam tu łatwego dojścia. Najwyraźniej nie chcieli, żebyście w ogóle się tu pojawiali.

Czarownik tracił cierpliwość.

– Powiedz, czarownico Kai, po czyjej stronie chcesz stać? Czy nic dla ciebie nie znaczy ustalony przez Bogów porządek?

– Nie wmówisz mi, że to ty jesteś przedstawicielem tego porządku! – Coś eksplodowało wewnątrz Kai. – Wybacz, ale nie zapomnę tego czarownika, który chciał mnie zabić w jakiejś zapadłej wiosce pod Banxi. Moi rzekomi bracia czarownicy użyli mnie jak drobnej karty w grze. A wiesz, kto się wtedy okazał moim jedynym przyjacielem? Wiesz kto? Polacy strzelali z okrętowej armaty, krok po kroku, coraz bliżej, chcąc zmusić wieśniaków do przełamania strachu przed wami. W obronie swojego człowieka nie wahali się użyć żadnych środków! Ale dupę!... Dupę uratowała mi ona! – Wskazała ekstremalnie zakatarzoną Wyszyńską.

Czarownik chciał coś powiedzieć, ale Kai nie pozwoliła mu na to. Szarpnęła na sobie oficerską kurtkę.

– Nazwałeś to obcym mundurem. On dla mnie nie jest obcy. Symbolizuje potęgę, dla której człowiek coś znaczy. A mówiąc prościej: symbolizuje przyjaciół, którzy ratują dziewczynę, jak jej strach tyłek ściśnie. A kiedy już uznają za swoją, to stoją za nią murem. Nie jak wy, którzy rozgnieciecie pod butem, jeśli tak wam wygodniej.

Czarownik stał z kamienną twarzą. Potem jednak przytaknął.

– Chyba już cię zrozumiałem – powiedział cicho. – Tak... tam, we wsi pod Banxi, ktoś popełnił gruby błąd.

– No widzisz. – Kai uśmiechnęła się bardzo smutno. – Nawet teraz nazywasz mnie „błędem”. Nawet nie babą, do której trzeba wyciągnąć rękę, jak się pogubiła. – Opuściła głowę na chwilę. – A oni wyciągnęli – westchnęła. – I pamiętaj o jednym. Ja nie robię tego z poczucia krzywdy jak Shen. Nie w imię odpowiedzialności społecznej jak ona. Nie wzruszona losem innych ludzi. Jeśli o mnie chodzi, to zawsze było mi dobrze. Robię to, żeby reguły gry były jasne dla wszystkich.

Spojrzał na nią uważnie.

– Co robisz? – zapytał.

– Właśnie nie przepuszczam was dalej.

Nie wyglądał na człowieka, który się przejął. Jakaś tam dziewczyna przed nim i paru zbrojnych nie było dla niego przeszkodą.

– Nie wiem, co mówisz, dziewczyno – powiedział cicho. – Ja reprezentuję moc większą, niż jesteś w stanie objąć swoim rozumkiem.

– A ja mam koleżankę, na którą wasze czary nie działają! Nawet jeśli mnie zablokujesz, nawet jeśli powstrzymasz moich żołnierzy, to pani inżynier szybciućko wypruje wam flaki. Widziałam ją w akcji.

– Jestem gotowy na śmierć – odparł czarownik spokojnie. – I jestem też w stanie zadać śmierć wszystkim, którzy są tu obecni. Jej też.

– Ale ona ma pistolet maszynowy.

– Rzuca się na nią wszyscy moi ludzie. Ilu zdąży zabić, zanim zginie? – Wzruszył ramionami. – Ja jestem gotowy na śmierć – powtórzył. – A ty, Kai? Jesteś gotowa?

Czarownica wzięła głębszy oddech.

– Najwyraźniej dążysz do pojedynku, zamiast po prostu odejść – stwierdziła. – Skoro tak chcesz, to niech tak będzie.

Zerknęła na twarz czarownika, żeby dostrzec jakąś reakcję, ale zawiodła się. Stał nieruchomy, z wystudiowanym, poważnym czy wręcz srogim wyrazem twarzy.

– Zanim zaczniemy się wzajemnie mordować, pozwól jednak, że opowiem ci krótką historię. Usłyszałam to od Shen, mojej koleżanki, która mnie strasznie lubi za pewien amulet, ale... mniejsza z tym. Shen urodziła się w małej wiosce rybackiej nad jeziorami. I kiedy zaczęła się interesować chłopakami, najbardziej spodobał jej się taki, który na każdej wiejskiej potańcówce lał wszystkich dookoła i z każdej bijatyki wychodził zwycięsko. Imponowało to Shen jak zaraza. I kiedyś, nie wnikiem, jakim sposobem, wyciągnęła od niego tajemnicę jego ciągłych zwycięstw.

– Hm? – mruknął czarownik Zakonu.

– To proste. On powiedział, że nieważne, jak się człowiek bije, nieważne sposoby ani tężyzna fizyczna.

– A co jest ważne?

– Najważniejsze jest to, czy się ma dobrych kumpli.

Kai zaczęła się śmiać i trochę zachwiała pewnością siebie czarownika, bo śmiech brzmiał bardzo autentycznie.

– A ty masz dobrych... kumpli? – zapytał.

Ciągle śmiejąc się, odwróciła głowę w stronę wylotu najbliższego tunelu.

– Mistrzu! – nawet nie podniosła głosu.

Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku. Dostrzegłszy, kto wyłania się z mroku, kilka osób wstrzymało oddech. Ktoś rozkaszał się ze zdenerwowania.

Meredith miał na sobie czarne, lśniące buty, czarny, wytworny płaszcz, którego poły ocierały się o wysokie cholewy, czarną czapkę z daszkiem i ciemne okulary o szklach okrągłych jak monety z dna piekieł. Jedyne kontrast stanowiła siwa broda, idealnie przystrzyżona przez okrętowego fryzjera. W wojskach lądowych pewnie nie znalazłby się fachowiec o takim kunszcie, ale w marynarce wojennej było wielu profesjonalistów, którzy mieli doświadczenie w ekskluzywnym przystrzyganiu kapitańskich bród.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Stary czarownik wyglądał dostojnie i groźnie. Poza tym czuć było, że ma klasę, której nigdy nie osiągnie przedstawiciel Zakonu. Miał wielkie doświadczenie. Tak jak mówiono kiedyś o Virionie, szermierzu natchnionym, grubym, pozbawionym refleksu pod koniec życia i słabym. Pewnie mogłoby go zabić nawet niemowlę z grzechotką... gdyby tylko przedtem zabiło tylu ludzi, ilu on. Doświadczenie było wartością niemierzalną.

– Znowu się spotykamy. – Meredith stanął przed orszakiem trzymającym wota.

– Znowu?

– Jednego takiego czarownika, znacznie lepszego od ciebie, już pokonałem na placu Zgody w Syrinx. Kiedy to było...? – Rozłożył ręce niczym aktor odgrywający sztukę. – Hm, jakieś tysiąc lat temu.

– Wtedy miałeś potężnych sojuszników – powiedział czarownik Zakonu.

– Teraz też mam. – Meredith zbliżył się do Wyszyńskiej. Ponieważ trzymała oburącz pistolet maszynowy, nie mogła wytrzeć nosa. Elegancki starszy pan wyjął z kieszeni własną chusteczkę i delikatnie oczyścił twarz kobiety.

– Już jawnie sprzymierzasz się ze zwierzęciem!

– Nie bądź chamem! – krzyknął ostro Meredith. – Co za brak wychowania. Ale jak chcesz. Ja was zablokuję, a ona wystrzela do nogi kilkoma seriami! Tak, pani inżynier?

Wyszyńska skrzywiła wargi w uśmiechu tak cynicznym, że pozazdrościłby jej tej umiejętności niejeden złoczyńca.

– Ależ oczywiście. Pańskie życzenie spełnię z najwyższą przyjemnością! Meredith zaczął się śmiać. A potem wskazał ręką Kai.

– I widzi pani tych wymuskanych oficerów. Zawsze, w każdym ze światów, jakikolwiek by był, taki oficer żąda od czarowników i inżynierów, żeby ci cuda mu sprawiali. Ale nie dość tego. Kiedy dochodzi do mokrej roboty, do zwyczajnego mordobicia, to też nie oni, własnymi rękami. Masakrę niech uczynią pospołu kto? Oczywiście: czarownik i inżynier! Bo w każdej armii oni są również od brudnej roboty.

Wyszyńska także się śmiała.

– Ma pan rację, panie czarowniku. Zawsze, w każdym ze światów, wymagają od nas albo czarów, albo cudów! Ewentualnie chcą, żebyśmy kogoś zabili.

Przedstawiciel Zakonu nie mógł wytrzymać tej wesołości.

– To, że ośmielasz się przeciwstawiać Bogom, mogę zrozumieć – powiedział. – Choć daleko zabrnąłeś w swoim zaprzaństwie. Ale to, że sprzymierzasz się ze zwierzętami...

– Won! – wrzasnął nagle wściekły Meredith.

Wyszyńska podchwyciła natychmiast.

– Lepiej uważajcie, bo on zaraz mną poszczuje.

Potem podniosła broń i wywaliła w powietrze długą serię. Na szczęście pomieszczenie nie miało sufitu i nikt nie oberwał rykoszetem. Ale huk sprawił, że wszyscy przygarbili się odruchowo.

Zakonnym nie trzeba było dwa razy powtarzać. Po prostu odwracali się jeden po drugim i usiłując zachować szyk, wychodzili z sali. Mistrz zrobił to ostatni. Usiłował nie podnosić głowy i nie patrzeć Meredithowi w oczy.



Wyszyńska i Kai mogły już iść do głównego ołtarza. Powinny zostać ze względu na stan pani inżynier, ale ta nie chciała słyszeć o jakiegokolwiek zwłóce. Objęła czarownicę za szyję obiema rękami i po części opierając się na dziewczynie, po części zwisając, dała się poprowadzić w kierunku sali, gdzie stał główny ołtarz.

Meredith wolał pozostać na miejscu. Miał dziwne przeczucie, że czarownicy mogą spróbować przedrzeć się tędy raz jeszcze. Podobnie myślał Siwecki, ale on zamiast wariantu biernego wybrał czynny. Postanowił ruszyć na zwiad. Nie chciał jednak używać latarki, ani tym bardziej silnego reflektora. Światło z daleka ostrzegałoby wrogów o jego nadejściu i na pewno zdołaliby się ukryć albo ustąpić. Pożyczył od jednego z żołnierzy noktowizor. Zdjął go z łoża karabinu, podłączył wszystkie kable i przełożył ciężki akumulator do własnego plecaka. Nie był to zestaw marzeń. Z całą pewnością. Niemniej pozwalał na poruszanie się w ciemności, unikając wszelkich pułapek i niespodzianek, samemu będąc niezauważonym. Zdradzał go co prawda dźwięk brzęczących lamp, ale miał nadzieję, że czarownicy, którzy przybyli tu z Baranowskim, nigdy nie słyszeli tego dźwięku. Będą ostrzeżeni, lecz w obcej, tajemniczej świątyni mogą nie skojarzyć tego dźwięku z wrogim żołnierzem.

Już po kilkudziesięciu krokach, kiedy wyszedł z zasięgu światła wpadającego przez otwór w sklepieniu sali, gdzie zbiegały się korytarze, okazało się, że korzystanie z noktowizora wcale nie jest takim ułatwieniem. Obraz w okularze poza tym, że był mały, spłaszczył potwornie widok. Wszystko było niewyraźne, jakby lekko drgające, oddane w przedziwnych, nienaturalnych odcieniach zieleni.

Niemniej Siwecki szedł dalej. Uczył się po prostu krok po kroku, jak korzystać z tej lampowej ultratechnologii. I wyraźnie zwątpił, kiedy o mało nie wpadł do przepaści, gdy nagle zniknęła boczna ściana. A z drugiej strony po dłuższej chwili dowiedział się, że co do przewidywań, jeśli chodzi o zachowanie przeciwnika, miał zupełną rację. Zauważył z daleka pochyłą lekko, skradającą się postać. Zgodnie z przewidywaniami tamten nie kojarzył brzęczenia lamp z obecnością drugiego człowieka – szedł dalej, nie spodziewając się pułapki.

Siwecki ukrył się za załomem muru i wyłączył noktowizor. Teraz musiał polegać wyłącznie na słuchu. Ale przynajmniej stał w miejscu. Tamten znalazł się w gorszej sytuacji, musiał się poruszać. Nie był doświadczonym zwiadowcą, nie był też dzikusem widzącym w ciemności. Miał niesamowity instynkt albo „magiczne czucie” co do tego, jak unikać pułapek. Przeciwnika jednak nie wyczuł.

Kiedy Siwecki ocenił dzielącą ich odległość na dwa, trzy metry, spokojnie zapalił reflektor i wyszedł z ukrycia. Tak jak się spodziewał, idący, całkiem zaskoczony, zasłaniał rękami oślepione elektrycznym światłem oczy. Nie był nawet przygotowany na jakiegokolwiek zaskoczenie. Siwecki rozpoznał jednego z młodych czarowników towarzyszących mistrzowi zakonnemu. Wysłali go na przeszeptki jak pionka, którego stratą nikt by się nie przejmował. A potencjalne korzyści mogły być duże: może Meredith opuścił swoje stanowisko – głupio byłoby nie sprawdzić.

– Mógłbym cię teraz zabić – powiedział Siwecki.

Chłopak opuścił ręce. Ciągłe niczego nie widział, oczy miał prawie zamknięte.

– Ale mam ochotę na pojedynek. Jak z filmów o Dzikim Zachodzie. Ty i ja naprzeciw siebie, na środku ulicy... – Siwecki nagle zdał sobie sprawę, że tamten pewnie nie rozumie po polsku. Przeszedł więc na język tubylców. W jego wykonaniu raczej bardzo kulawy. – Wiem, że wystarczy podnieść rękę, żeby rzucić czar. – Z kieszeni wyjął przygotowaną wcześniej strzykawkę i



zębami zdjął z igły osłonę. – Mnie też wystarczy. – Zrobił krok do przodu i stanął tak, żeby dzielił ich dystans nie większy niż długość ramienia. – No to co? Spróbujemy się? Kto szybszy?

Trudno było powiedzieć, czy młody adept magii zrozumiał, o co chodzi obcemu żołnierzowi. Chyba jednak tak, bo choć niczego nie powiedział, to wyraźnie stanął w pozycji, jakby się na coś przygotowywał.

– Żeby było uczciwie. Zaczynamy w momencie, kiedy odwrócę reflektor tak, żeby świecił na ścianę. Gotowy?

Tamten na pewno zrozumiał. Wyraźnie się spiął.

Siwecki opuścił rękę ze światłem, błyskawicznie podnosząc drugą. Wbił strzykawkę w młodego czarownika na wysokości obojczyka i gwałtownie nacisnął tłok. Ale chłopak był szybki. Zdążył podnieść rękę na wysokość ust i zdążył nawet wypowiedzieć słowo! Potem jednak patrzył już tylko zdziwiony na swoje bezwładne palce, które w żaden sposób nie mogły już słowa pochwycić. Środki zwiotczające i mieszanka narkotyków zadziałały błyskawicznie. Chłopak jakby oklapł.

Siwecki dmuchnął w wylot igły. Potem odrzucił strzykawkę. Upadła gdzieś w ciemności z brzękiem tłuczonego szkła.

– Szybki jestem – powiedział z dużym uznaniem dla własnego wyczynu.

Potem spojrzał na rozmywający się i coraz bardziej bezmyślny wyraz twarzy swojego przeciwnika.

– Idź mniej więcej tam. – Popchnął go we właściwym kierunku. – To droga na zewnątrz.

Odwrócił się i zadowolony z siebie ruszył w drogę powrotną. Po chwili jednak zatrzymał się jeszcze i krzyknął do niezbyt przytomnego chłopaka:

– Krzywdy sobie nie rób! Gdybyś nie mógł iść, to spróbuj na czworakach!



Wyszyńska słabła coraz bardziej. Widać było, że telepie nią gorączka. Kai chciała nakłonić kobietę do odpoczynku, ta jednak zaprzeczyła gwałtownie. Żadnego postoju. Musi wypełnić swoją misję przy ołtarzu, który chcieli zniszczyć czarownicy Zakonu. Szły więc dalej. Czarownica wkładając w to coraz więcej wysiłku, bowiem pani inżynier wcale nie należała do lekkich.

Na szczęście droga nie była strasznie długa. Z ulgą jednak powitały szarość zwiastującą doświetloną od góry salę. Jeszcze jeden wysiłek, jeszcze trochę sapania i nareszcie dotarły do celu. Na którego widok obie stanęły jak wryte!

Za ołtarzem na świątynnym zydlu siedział Tomaszewski. Miał przed sobą rozłożoną mapę, którą pilnie studiował. Ale nie to było dziwne. Obie nie mogły uwierzyć.

– Co... Co to jest? – Wyszyńska z trudem potrząsała głową.

Cała podstawa ołtarza obwiązana była kostkami trotylu. Kabel od zapalnika wił się po posadzce i zniknął gdzieś w ciemności korytarza, będąc zapewne pod pieczęcią zaufanego bosmana. Gdyby nawet jakimś cudem udało się zabić komandora, bosman odpali wtedy ładunek. Dla wszystkich stało się to zupełnie jasne.

Tomaszewski podniósł głowę, patrząc na kobiety badawczo. Wyszyńska sięgnęła po swoją broń, ale był szybszy. Oszczędnym ruchem odsunął mapę, ukazując leżący na blacie półautomatyczny pistolet z odciętym kurkiem i odsuniętym bezpiecznikiem. Nie dotykał go. Prawa dłoń spoczywała spokojnie na blacie tuż obok.

– Kai, bądź tak dobra i zabierz pani inżynier automat. I podsuń jej krzesło, bo wygląda na taką, która może zaraz zemdleć.

– Nie licz na to – wyszczała Wyszyńska.

Kai posłusznie odebrała jej pistolet maszynowy, a potem przysunęła świątynny zydel, żeby mogła usiąść.

– Przejdź pod ścianę, proszę. Jeśli będę musiał zastrzelić panią inżynier, nie chciałbym, żeby cię opryskała krew.

Czarownica odsunęła się oszołomiona. Nie za bardzo mogła sobie poradzić ze swoimi emocjami. Z jednej strony traktowała Wyszyńską jako wkurzającą konkurencję, z drugiej jako sojusznika i kogoś, kto uratował jej życie. Sama już nie wiedziała. A teraz jeszcze to.

– Jestem bardzo sumiennym oficerem wywiadu – powiedział Tomaszewski, wskazując ładunki wybuchowe przymocowane do ołtarza. – I nie lubię uczestniczyć w akcjach, których nie rozumiem.

Wyszyńska prychnęła jak wściekła kotka.

– Sumienny oficer... – powtórzyła. – A ja o tym przecież wiedziałam! I jak najgłupsza dupa na świecie po prostu cię zlekceważyłam. Bezdenna idiotka.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

– Dość tej samokrytyki. Ołtarz co prawda jest, ale ja nie ksiądz, a to nie wyznanie grzechów ani pokuta!

Spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy, a Kai z boku skrzywiło z zazdrości. Oni naprawdę się lubili! I to szczerze! I teraz pojawiało się pytanie, czy to już miłość, czy tylko zawodowy podziw. Szlag! Czarownica ścisnęła mocniej zabrany Wyszyńskiej pistolet. Krzysiek niepotrzebny. Ona sama zaraz zastrzeli tę babę!

– Kto to jest Moreau? – zapytał Tomaszewski.

Wyszyńska wzruszyła ramionami.

– Bohater powieści, która nigdy nie ukazała się w twoim świecie. Szalony naukowiec, który na swojej wyspie obdarzył zwierzęta rozumem. – Uśmiechnęła się. – Czyli zrobił to samo, co twoi Bogowie ze mną.

– Jesteś zwierzęciem?

– Tak.

Popatrzył na Wyszyńską uważnie, usiłując rozstrzygnąć, czy ona wierzy w to, co mówi, czy to po prostu rodzaj kobiecej egzaltacji. Wybawiła go z kłopotu.

– Wiesz, moje ciało, które pozostało na naszej Ziemi, trochę różni się od twojego.

– No, siłą rzeczy.

– Nie, nie chodzi o to, że ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą. Ja po prostu odziedziczyłam coś po swoich zwierzęcych przodkach.

– Może ogon? – zakpił.

– Trafiłeś – powiedziała Wyszyńska spokojnie. – Mam ogon w zaniku. Zwany kością ogonową. Ty nie masz czegoś takiego. Powstałeś ze stworzenia, magii, woli Bogów, na ich obraz i podobieństwo, a ja wylęłam się w ramach ewolucji zwierząt. I pochodzę od małpy.

– I w związku z tym magia na ciebie nie działa?

– Ano nie. Tak samo jak nie działa na psa.

– Rzeczywiście Seph was stworzył?

Lekko rozłożyła ręce w geście: „W co kto wierzy”.

– Znam tutejsze mity. A odkrywając przeszłość fakt po fakcie, dostrzega się znamiona czyjejś intencji.

– Jezus naprawdę właśnie stąd udał się w podróż na waszą Ziemię?

Wzruszyła ramionami.

– To urządzenie działa w sposób tak doskonały, że fizyczna obecność tutaj nie jest konieczna. Nie wiem więc, skąd powędrowała do nas jaźń Jezusa. Wiemy natomiast niezwykle dokładnie, bo na podstawie czterech źródeł, kiedy Jezus przybył na naszą planetę.

– Kiedy?

– Nie tak dawno. Opisano to dość dokładnie. Wtedy bowiem trzynastoletni syn niepiśmiennego stolarza zaczął ni stąd, ni zowąd nauczać mędrców w świątyni. Przyjmując poprawkę na niedokładność relacji, wtedy zaczął im zadawać pytania, które ich zszokowały.

– A kiedy opuścił waszą planetę?

– To też wiemy bardzo dokładnie. Zrobił to w chwili, kiedy nieszczęśnik umierający na krzyżu podniósł głowę i zawołał: „Boże, dlaczego mnie opuściłeś?”.

Tomaszewski zapalił papierosa. Ledwie jednak się zaciągnął.

– Dlaczego w moim świecie, mówię o rp za Górami Pierścienia, nie ma takich legend o Bogach, stworzeniu i wszystkim, jakie są tutaj?

– U nas też nie ma takich legend. – Wyszyńska uśmiechnęła się kpiąco. – A wy jesteście kopią naszego świata. Choć nie jesteście zwierzętami. Widzisz... Wy według planu Bogów mieliście zjednoczyć się z ludźmi stąd, którzy znają i magię, i prawdziwą historię wszechświata. I razem mieliście przeciwstawić się naszej potędze. Zniszczyć nas, Ziemiaków, po waszemu Ziemiaków, by chronić przed nami inne światy.

– Ale coś się nie udało w tym planie, prawda?

– Owszem. Nie wiem, czego spodziewali się po nas Bogowie, ale chyba tego, że przybędziemy tu kiedyś w grzmocie raketowych silników, lądując na gigantycznych słupach ognia, uzbrojeni po zęby. Kiedyś.

– A wy zrobiliście to szybciej? Dzięki temu ołtarzowi?

– Tak. Wykorzystaliśmy to samo urządzenie, z którego korzystał Jezus.

– W jaki sposób, skoro byliście na innej planecie?

– No nie bądź naiwny, Krzysiek. Uruchomił je Osiatyński.

Tomaszewski zaciągnął się głęboko. Tu właśnie była rzecz, którą nie do końca rozumiał. Przeczytał chyba wszystkie legendy i mity założycielskie, jakie były dostępne w bibliotece Negger Bank, zapoznał się ze wszystkimi raportami wywiadu, zeznaniami, opracowaniami, do jakich dotarł. No i sam przecież do wielu rzeczy w tej kwestii doszedł. Ale...

– Osiatyński nie przyjechał tu w ciemno, prawda? – powiedział.

Wyszyńska spojrzała mu prosto w oczy. Przysięgłby, że widzi w tym spojrzeniu cień podziwu.

– No, no... Ty naprawdę nie jesteś facetem, który da sobie dym puszczać w oczy. Wróg ci to mówi.

Uśmiechnął się do niej raz jeszcze.

– W każdym chyba opracowaniu, jakie znam, zrobiono z niego idiotę.

– Bo sam tak chciał. Pozował na stukniętego księcia, lekko zwariowanego arystokratę, który swój majątek zamierza przeznaczyć na eskalację szaleństwa. – Wyszyńska bardzo ostrożnie i powoli wyjęła z kieszeni wielką chustkę i zaczęła wycierać pot, który dosłownie zalewał jej twarz. – Arystokratą był – podjęła po chwili. – Bogaty był również. Ale nie można powiedzieć, że to idiota.

– Sam sobie winny. Ta opowieść, prawdziwa zresztą przecież, że wziął ze sobą na podniebną wyprawę białego konia...

– Sam widzisz, że pozował na durnia. A teraz myślimy logicznie. Kapsułę widziałeś, tak?

– Tak.

– Ile tam się zmieści koni?

– Co najmniej dwa. Na siłę trzy.

– No właśnie. A Osiatyński poleciał z kobietą przecież. Znasz gęstość zaludnienia i infrastrukturę po tej stronie gór. Więc umiesz odpowiedzieć na pytanie: co on zrobiłby tutaj bez koni?

– No... Nie dostałby się nawet z Syrinx.

– No właśnie. Bez koni nie dałby rady. Samochodu nie wziął, bo skąd brać benzynę. A to, że miał rumaka akurat białej maści, wykorzystał, żeby sprzedać dziennikarzom bajeczkę, w której jego celem jest zdobywanie nowego świata na białym wierzchołku. A ci napisali, co im podyktował.

– Jak rozumiem, określenie jego towarzyszkii podniebnej podróży jako medium również było wybiegiem na zrobienie z siebie wariata.

– Oj, Krzysiek... Dobrze się domyślasz. A przecież nikt o zdrowych zmysłach nie uwierzy, że człowiek, który tak skutecznie zorganizował wyprawę przez stratosferę, jest idiotą wierzącym w media i spirytyzm.

– No to czemu się kamuflował? Czegóż się bał?

– Raczej kogoś. A tu niewiele ci rozjaśnię poza tym, co sam wiesz.

Tomaszewski zobaczył, że papieros się dopala. Zaciągnął się jeszcze ostatni raz i zakiepował na najbliższej leżącej kostce trotylu.

– Z tego, co mówisz, wynika jednak, że Osiatyński wiedział, co tu spotka. Tak mniej więcej przynajmniej.

Wyszyńska niespokojnie patrzyła na nie do końca zgaszonego peta, który dymił z kostki materiału wybuchowego.

– Tak. Kobieta, z którą tu przyleciał, też była wyjątkowa.

– Po co im był kamuflaż akurat medium?

– Właśnie. Bo należała do pewnego stowarzyszenia. Ale nie kółka spirytystycznego starych bab, które po ciemku wywoływały ducha cesarza Francuzów przy okrągłym stoliku. Ona po prostu należała do pewnej sekty.

– Jakiej?

– Satanistycznej.

– A co ma piernik do wiatraka?

– Bóg Zdrajca Seph, starszy syn najwyższego Boga, ma też inne imię: Szatan. Być może to głupie skojarzenie, ale być może też nie chodzi o jakieś tam ekscesy. Może członkowie tej sekty dysponowali choć strzępkami wiedzy na temat prawdziwej historii świata.

– Niby w jaki sposób?

– Nie wiem. Ale oboje znamy fakt, że Zakonowi parę razy udało się sforsować Góry Pierścienia. A to jest kwestia, którą tak czy siak musisz potem rozstrzygnąć, żeby się nie dać zaskoczyć kolejną nagłą wyprawą czarowników, i to pod egidą polskiej armii, jak tutaj.

Odruchowo jej przytaknął. I zaklął w duchu. No ale Wyszyńska miała rację. Naprawdę wiele rzeczy pozostało do wyjaśnienia. A on miał bardziej palące kwestie, które musiał z niej wyciągnąć. Był przecież oficerem wywiadu i nikt nie zwolnił go z absolutnego priorytetu, jakim było bezpieczeństwo państwa. Legendy i mity można wyjaśniać później. Teraz konkret.

– W jaki sposób przenikacie do struktur bezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej? – to pytanie zadał groźnym tonem.

Żachnęła się. Wytarła pot zalewający oczy i uciekła ze spojrzeniem. Nawet nie ton głosu, ale forma pytania powiedziała jej, że robi się niebezpiecznie. Jeśli nie zadowolą przesłuchującego ją oficera, to jeśli Tomaszewski się uprze, za zdradę czy szpiegostwo grozi jej rozstrzelanie albo nawet stryczek. A jeśli Tomaszewski bardzo się uprze, to nawet teraz, tu, na miejscu.

– Nie przenikamy do żadnych struktur.

– Jak nie?! A kto ma taką władzę, że może wysłać krążownik z desantem w dowolne miejsce, nie podając nawet konkretnego powodu? Tego nawet Wentzel nie mógł załatwić. A ty? Jednym telefonem!

Usiłowała zażartować, ale był to humor raczej wisielczy.

– I zrób tu mężczyźnie przysługę.

Tomaszewski nawet się nie uśmiechnął.

– Jedziemy na tym samym wózku, Jadziu.

Dopiero teraz zrozumiała. No tak. Ona załatwiała, a on firmował. Jeśli tego ładnie nie uzasadnią, pluton egzekucyjny czekał ich oboje. Pewnie nawet pod ścianą nie pozwolą im trzymać się za ręce. Otrząsnęła się dopiero po chwili.

– Prosiłam, żebyś nie nazywał mnie Jadzią.

– Jak działa ten ołtarz? – indagował cały czas, napierając. Dość skuteczna metoda przesłuchań. Nieważny temat wiodący, pytania muszą padać jedno po drugim, dotyczyć różnych spraw i może przesłuchiwany sam się wysypie.

Wyszyńska westchnęła głęboko. A Tomaszewskiemu chyba po raz pierwszy zrobiło się jej żal.

– Nikt mi nie wytłumaczył zasady działania. Ale mogę snuć analogie. Założmy, że to komputer... krokomierz – poprawiła się. – A te skrawki materiału ze wzorkiem to program. Konkretnie, nośnik, na którym program jest zapisany. Ktoś kiedyś podzielił tę płachtę i poszczególne kawałki ukrył w różnych Wielkich Lasach. Bez nich krokomierz nie będzie działał dobrze. Ale to maszyna tak doskonała, że wystarczył jeden kawałek tkaniny, żeby ją przywrócić do życia. Kalekiego co prawda, ale jednak.

– Osiatyński tego dokonał?

– Tak, uruchomił maszynę, kładąc na niej jeden jedyny kawałek materiału, który znalazł tutaj. Nie miał już czasu ani możliwości, żeby wrócić do Syrinx po to, co znalazł wcześniej.

– I to urządzenie działa?

– Owszem. Choć w sposób bardzo dziwny. Przypadkowy, trudny do opanowania. I w dodatku prawdopodobnie wyłączy się w bardzo bliskim czasie.

– Kiedy?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba szybko, bo jego moc dramatycznie spada. Jest to powiązane prawdopodobnie z jakimiś koniunkcjami, ale błagam, nie pytaj, nie znam się na tym zupełnie.

– Twoim zadaniem było dostarczyć tu pozostałe skrawki tkaniny i...?

– I podtrzymać jego działanie przez uruchomienie pozostałych sekcji programu. Niestety, ciągle nie mamy wszystkich kawałków. Ale sądzimy, że tym razem będzie działał na tyle sprawnie i długo, że zdążymy skompletować resztę.

Tomaszewski wyjął z kieszeni kurtki swój notes. Otworzył go i zaczął studiować zapiski.

– Jak to było z Osiatyńskim? Zaczął pracować dla was?

– Jak to pracować dla nas? Dla jakich nas?

– Zwierząt z planety Ziemia. Tu, po tej stronie gór, zwanych Ziemcami, najgorszymi potworami, jakie można sobie wyobrazić. – Uśmiechnął się zimno. – A mówiąc poważnie: od kiedy Osiatyński zaczął pracować dla innej cywilizacji?

Wyszyńską zatkało. Z trudem przełknęła ślinę. Odpowiedziała dopiero po długim namyśle.

– Nie reprezentuję tu żadnej cywilizacji. I jeśli mam być szczerą, to raczej ja zostałam zwerbowana przez Osiatyńskiego. Nie osobiście, rzecz jasna. Ale przez jego organizację.

Teraz to ona zadziwiła Tomaszewskiego. Nagle poczuł, że pocą mu się ręce. Zapalił drugiego papierosa, ale nawet zaciąganie się z każdym prawie oddechem nie przynosiło żadnej ulgi. Przydałby się łyk koniaku. Niestety, najbliższe źródło było na krążowniku, jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd.

– Chcesz mi wmówić, że... – nie wiedział, jak to ująć. – Że realizujesz jego plan?

Skinęła głową. Westchnął. Zaciągnął się raz jeszcze i odrzucił papierosa na bok.

– No to mów.

– Osiatyński chyba chciał zrozumieć historię świata. Tę prawdziwą. Chciał dotrzeć do sedna. I... może dotknąć mocy Bogów? – powiedziała to jak pytanie. – Rozumował bardzo słusznie. Skoro wy tutaj jesteście pułapką stworzoną, żeby zabić Ziemców, to czego Bogowie się bali w nas? Żeby to sprawdzić, musiał się do nas udać. Kiedy dowiedział się o Jezusie, zrozumiał, że to wykonalne. Rozgryzł ten problem i uruchomił ołtarz.



– Był aż tak skłonny do poświęceń?

– A ty byś się nie poświęcił? Nie ma w tobie ducha odkrywcy?

No tak. Odkrycie nowych światów. Dotknięcie magii Bogów, a może uszczknięcie części ich mocy. Zdążył już, opierając się na różnych źródłach, dobrze poznać Osiatyńskiego. To nie był facet, który się wahał albo który nie potrafił ryzykować.

– Przybył na waszą planetę? – zapytał.

– Nie cieleśnie przecież. Zrobił to na tej samej zasadzie, dzięki której ja jestem tutaj. Fizycznie przecież mojego ciała tu nie ma. Zajmuję umysł jakiejś nieznanej mi dziewczyny.

– Zdążyłem zauważyć – mruknął Tomaszewski. – Naprawdę długo myślałem, dlaczego w ogóle was nie obchodzi śmierć waszych przyjaciół.

– Bo śmierć nie jest dla nich umieraniem. – Roześmiała się i zasmarkowała błyskawicznie. Musiała wyjąć drugą chustkę z kieszeni, żeby móc się wytrzeć. Pierwsza była mokra od potu. – Powinnam stać się trzy razy ostrożniejsza, kiedy zrozumiałam, że się domyśliłeś. Sądziłam jednak, jak głupia, że nikt ci nie uwierzy.

– I zasadniczo się nie myliłaś – powiedział. – Co było dalej?

– Osiatyński w naszym kraju przeżył pewien szok. Abstrahując od różnic w rozwoju techniki, z tym szybko się oswoił.

– Jaki więc szok?

– Po prostu nikt go nie słuchał. Jego rewelacje ogłaszane publicznie wywoływały taki sam skutek jak opowieści o ufo, starożytnych kosmitach, yeti, Atlantydzie i milionie innych wymysłów. Za to rozumiał jedną rzecz. My wyprzedzamy technicznie jego świat. Gdyby udało się przetransportować tutaj naszą wiedzę, to Polska za Górami Pierścienia szybko stałaby się mocarstwem. Więcej, mając do dyspozycji nasze możliwości i naszych fachowców, będzie można sięgnąć po wiedzę Bogów!

– To ciekawe. A jak chciał przetransportować waszą technikę tutaj, skoro ołtarz nie przenosi ani przedmiotów, ani nawet ludzi w formie fizycznej?

Spojrzała na niego jak na nierozgarniętego ucznia.

– Oj, Krzysiek. Wiedza mogła być przeniesiona w umysłach ludzi. Ja na przykład jestem inżynierem elektronikiem. Różnica między naszymi światami jest tak duża, że musiałam przysiąc na dupie i studiować stare, przedpotopowe plany komputerów lampowych, ponieważ innych tu się na razie nie da zrobić. Nie ma infrastruktury. No i z inżyniera zrobili ze mnie

historyka. Ale kiedy tu przybyłam, moja wiedza była więcej niż genialna. Ja po prostu z pamięci mogłam rysować od razu gotowe, działające układy. I wiedziałam, w jakim kierunku to zmierza. Oczywiście, że do pierwszej pracy zostałam przyjęta po znajomości. Ale kiedy zobaczyli, co potrafię, to wszyscy dyrektorowie wydziałów, właściciele fabryk chodzili przy mnie na kolanach! Rozumiesz? Na kolanach! W każdym biurze projektowym fabryki byłam bogiem. Ja znałam odpowiedź na każde pytanie i wiedziałam, co się stanie nawet za dziesięć lat, i to w każdej branży.

Tomaszewski tylko kręcił głową. Diabelski plan Osiatyńskiego oczywiście działał z bezwzględną logiką. Przecież ci cholerni agenci niczego nie kradli, nie interesowali się żadnymi tajemnicami. To oni byli źródłem tajemnic. I na czym złapać agentów obcej siatki? Jak sprawić, żeby nie przenikali na najwyższe stanowiska w gospodarce, a chwilę potem w polityce? Mogli wszystko. Mieli źródło finansowania bez dna. I nie było na nich żadnego haka. Oni przecież naprawdę nie kradli, nikogo nie zabili, nie mieli konszachtów z żadnym wywiadem na tej planecie. Czyste konta, grzeczni chłopcy i grzeczne dziewczynki. Dzieci szczęścia wręcz, tryskające wszelkimi talentami.

Wyszyńska musiała chyba podążać tropem jego myśli, bo powiedziała:

– Tak. Nie było jak nas ugryźć. – Spojrzała Tomaszewskiemu prosto w oczy. – Nie wiem, jakim cudem tobie się udało dotrzeć do prawdy. – Pokiwała głową. – Tak, tak, najbardziej sumienny oficer wywiadu. A ja, głupia dupa, cię zlekceważyłam. Sądziłam, że skoro facet mi się podoba, a ja robię na nim wrażenie, to owinę sobie ciebie wokół palca. Kurde! A to ty mnie owinąłeś. – Zerknęła w bok. – Razem z tą młodziutką czarownicą, zapatrzoną w ciebie jak w obraz.

Kai poruszyła się niespokojnie. Mając mętlik w głowie, wolała nie komentować.

Tomaszewski chciał powrócić na właściwe tory opowieści.

– Mówiłaś, że Osiatyńskiego nikt nie chciał słuchać. Jak więc stworzył potężną organizację, której, jak mówisz, i ty jesteś częścią?

Wyszyńska uśmiechnęła się ciepło.

– On bardzo dobrze zrozumiał mechanizmy działania Bogów. Skoro nie znalazł uznania ludzką metodą, w poważny sposób mówiąc o faktach, zastosował metodę boską. Zrezygnował z racjonalnych tłumaczeń i stworzył sektę. Poszedł „na wiarę”.

– Domyślam się, jaką sektę. I wystarczyło?

– Wiesz... on dysponował boskimi atrybutami. Za pomocą ołtarza mógł przecież posłać, kogo chciał, tutaj. To znaczy jego jaźń. Ale historia naprawdę nieczęsto tworzy takich ludzi jak on. Radził sobie i bez cudów.

– A potem przysłał tutaj kogoś, kogo nazywamy w wywiadzie człowiekiem zero.

– Tak. Pierwszy agent podjął zdeponowane przez Osiatyńskiego kamienie szlachetne. Spieniężył je w Warszawie i kupił podupadającą firmę farmaceutyczną „Kocyan i wspólnicy”. Tyle że człowiek zero był chemikiem. Miał w pamięci recepturę produkcji viagry i zarobił na niej miliardy. Mieliśmy z czego finansować start życiowy tutaj kolejnych agentów. Było na opłacanie polityków, a potem na promowanie własnych. Ale... – Spojrzała na komandora uważnie. – Firma „Kocyan i wspólnicy” dała rąk także takie cuda, jak penicylina, voltaren, sterydy i tysiące innych przepisów na radosną chemię, dzięki której doktor Siwecki stał się magiem wszech czasów.

Tomaszewski przytaknął. Skinął na Kai i za jej pośrednictwem przekazał Wyszyńskiej notes i ołówek.

– Napisz mi nazwiska wszystkich ludzi, w których wcielili się wasi agenci.

– Wszystkich to ja raczej nie znam.

– Napisz te, które znasz.

– No ale... chyba ich śledzicie. Tak mi się zdaje.

Uśmiechnął się bez radości.

– Owszem. A ja porównam sobie moją listę z twoją listą i dowiem się, gdzie mijasz się z prawdą. Albo w którym miejscu nie chcesz być ze mną szczerą.

Zakłęła.

– Oprawca! A jeśli coś się nie będzie zgadzać, to zaczniesz mnie torturować?!

– Ja? Po co? – Pogłaskał kostki trotylu przymocowane do podstawy ołtarza. – Jeśli nie chcesz dalej rozmawiać, to możemy sobie wszyscy stąd już iść. Na odchodnym tylko włożę sobie papierosa do ust i powiem Mielczarkowi: „Daj ognia!”. Ciekawe, jak mnie zrozumie?

Wyszyńska musiała się znać na materiałach wybuchowych i wiedziała, że ilość, którą dysponował, pozwalała mu na wysadzenie połowy tej budy.

Zagryzając zęby, otworzyła notes na przypadkowej stronie gdzieś w środku i zaczęła pisać. Ołtarz był dla niej zbyt cenny, żeby go na cokolwiek narażać. Stanowił jej być albo nie być.

– Co zamierzasz zrobić? – Zerknęła na ołtarz.

Musiała to być dla niej cholernie trudna sytuacja. Pewnie przypominała sobie wszystkie swoje wcześniejsze z nim wpadki. Ale nie. Nie mogła sądzić, że jest małostkowy. Chyba za dobrze jednak знаła Tomaszewskiego.

– To zależy, czy dalej będziesz ze mną szczerą – powiedział.

– A co jeszcze chcesz wiedzieć?

– Po co wam pomnik cesarzowej Achai?

Opuściła głowę i skupiła się na pisaniu. Najwyraźniej myślała nad czymś intensywnie. Podziwiał jej podzielność uwagi.

– Posłuchaj. – Kiedy wyprostowała się znad notesu, miała już wszystko poukładane. – Osiatyński dowiedział się, że wielkoksiażące rody w Troy były czymś w rodzaju specjalnej rasy. Elity wśród elit.

– W jakim sensie?

– Teraz użyję słów, których pewnie nie zrozumiesz. Ci ludzie mieli specjalny genotyp. Nawet się nie koligacili z nikim spoza swojej warstwy. Później stało się coś, co sprawiło, że zaprzestali tego zwyczaju, ich geny zaczęły się mieszać z innymi i powoli tracili swoją wyjątkowość. Nie wszyscy jednak. Od czasu do czasu następowała mutacja, która „oczyszczała” ich dna, przywracając zgodność ze wzorcem.

– Rzeczywiście nic nie rozumiem.

– Bo to nie jest proste, ja też nie do końca łapię. Otóż wiemy, kiedy taka mutacja ma miejsce. Jest sterowana z zewnątrz.

– Przez kogo?

– A zwróciłeś uwagę na fakt, że jeśli chodzi o strzeżenie tajemnic Bogów, to wszystko tutaj jest zabezpieczone podwójnie? Przez dzikusów na przykład i czarowników, dwie siły, które przecież nie pałają do siebie miłością.

– Tak.

– Podobnie było w przypadku wielkich rodów w Troy. Geny roztapiały się w kolejnych mieszankach ze zwykłymi ludźmi. Potrzebna była mutacja, ale w Troy jak na złość nie było żadnego Wielkiego Lasu. Przed wiekami królestwo odcięła od takiego matecznika Tyrania Symm, prowadząc zwycięską wojnę.

– I chyba się domyślam dalszego ciągu.

– Właśnie. Achaja podczas swoich podróży dotarła do Wielkiego Lasu na granicy Królestwa Arkach. A tam zrobiono z niej potwora. Czyli dokonano genetycznej mutacji, posługując się magią Bogów. Jej genotyp został więc oczyszczony i przywrócony do stanu zgodności ze wzorcem. To jedyny taki przypadek, który znamy. Absolutnie jedyny przypadek przemiany kogoś z wielkich rodów w Troy w potwora. Jest więc to jedyna „nowożytna” mutacja. No i, przyznasz, że to jest dość ważne, istnieje gdzieś grób Achai. Można do niego dotrzeć.

– A dlaczego te jej... geny są takie ważne?

– To klucz do magii Bogów. Oni, odchodząc, nie zostawili tej cywilizacji samej i bez wsparcia. Liczyli na to, że kiedy wiedza i świadomość ludzi tutaj osiągnie odpowiedni poziom, to badając te geny, dobiorą się do tajemnic Bogów, które przecież nie mogą być ujawnione zbyt wcześnie, kiedy ta kultura nie będzie jeszcze gotowa na ich przyjęcie.

– Ale, jak widzę, ciągle coś miesza w boskim dziele?

Przytaknęła, krzywiąc wargi.

– Seph też nie zostawił swoich bez wsparcia.

Teraz on uśmiechnął się i skinął głową.

– Waszym priorytetem był od początku ołtarz. Dlaczego poszukiwaliście pomnika?

– To jedno i to samo. Przecież obie rzeczy znajdują się w tej samej świątyni.

Tomaszewski najwyższym wysiłkiem woli opanował mięśnie twarzy. Nie uniknął jednak spojrzenia na skulonego pod ścianą oślepionego podróżnika. Wyszyńska najwyraźniej nie wiedziała, że pomnika cesarzowej Achai już od dawna nie ma w tej świątyni. No i dobrze. Nie zamierzał jej naprowadzać w najmniejszym stopniu.

Przeniósł wzrok na Wyszyńską.

– No to powiedz mi jeszcze: co powinienem teraz zrobić?

Wiedziała, że mówi poważnie. Rozumiała też doskonale dylemat, przed którym stoi Tomaszewski. A w głowie komandora kłębiły się myśli. Co powinien zrobić? Był teraz absolutnym panem sytuacji. I był świadomy, że ta chwila nigdy już się nie powtórzy. Decyzję musiał podjąć tu, teraz, absolutnie sam, bez niczyjej pomocy. A miał dwa wyjścia. Uchronić Rzeczpospolitą przed obcą indoktrynacją, ingerencją w politykę i

uzależnieniem od zwierząt zwanych Ziemcami. Mógł wysadzić ołtarz w powietrze. Nastąpi wtedy generalny koniec ich zakusów i tajemnych działań. Nie będą mogli pojawiać się na tej planecie. Ich kwestia zostanie rozstrzygnięta.

I drugie wyjście. Zostawić ołtarz tak, jak jest, i nie mieszać się w rozwój wypadków. Ale wtedy już będzie musiał zapomnieć o jakimkolwiek okiełznaniu przybyszów z innego świata. Przy ich pozycji, wpływach i pieniądzach nikt już im nic nie robi. To oni będą robić, co zechcą. Ale... Potrzebują Rzeczypospolitej do realizacji swoich zamierzeń. Więc dadzą jej broń, sprawią, że stanie się światowym mocarstwem, ba, już jest na ostatnim odcinku drogi do tego celu. Jeśli więc pozostawi ołtarz w spokoju, Rzeczpospolita zostanie światowym liderem, który narzuca innym swą wolę. Siłą jednak, pod obcą władzą. Obcą kontrolą. Jeśli wysadzi ołtarz, rp pozostanie też tym, czym jest. Średnim państwem o niewielkim znaczeniu. Przez chwilę jeszcze będzie miała atut w postaci Dużego Jasia. Przez parę, paręnaście lat, dopóki inne kraje nie zrównoważą faktu posiadania broni atomowej. Albo wcześniej nie zrzeszą się na zasadzie „wszyscy na jednego”.

Był całkowicie świadomy faktu, że jeśli nie podejmie żadnej decyzji, zamelduje o wszystkim Wentzłowi i zaczeka na reakcję dowództwa (które mu zresztą pewnie nie uwierzy), to nie będzie już miał żadnych szans. Wyszyńska zamelduje swoim, że przeciwnik wie wszystko, a tamci mają trochę większe wpływy niż sztab generalny.

Zaklął w duchu. Mógł też zastrzelić Wyszyńską. Wtedy jej pobratymcy nie dowiedzą się od razu. Ale to tylko przeniesienie decyzji o kilka dni i z sytuacji znanej do sytuacji niewiadomej. Nie, to głupi pomysł. Tym bardziej że gdyby zdecydował się na negocjacje, wolałyby je prowadzić właśnie z Wyszyńską. Po pierwsze już się znali i cenili wzajemnie. Wiedzieli, czego się po sobie spodziewać. A po drugie Wyszyńska wbrew pozorom była kobietą racjonalną.

Co ma zrobić?! Zniszczyć ołtarz? I sprawić, że rp pozostanie krajem pogrążonym w kryzysie gdzieś na peryferiach świata? Czy zostawić? rp stanie się potęgą. Kierowaną jednak decyzjami, które będzie podejmował kto inny.

– No i co mi pani radzi, pani inżynier? – zapytał. – Co mam zrobić?

Wyszyńska doskonale wiedziała o jego dylemacie. Była bardzo inteligentną kobietą.

– Skoro już wiesz, że jestem zwierzęciem, mogę dla ciebie zamerdać ogonem. – Poruszyła pupą na zydłu w prawo i w lewo. – Albo ładnie prosić. – Jak pies wystawiła do przodu obie ręce, z dłońmi ugiętymi w nadgarstkach jak do służenia, wystawiła język i zaczęła dyszeć. Znowu się zasmarowała i musiała wytrzeć nos.

– Nie rozmiękczaj mnie, Jadziu!

– No to ty coś zaproponuj. Ale nie wysadzaj ołtarza, proszę.

Potwornie potrzebował koniaku. Potrzebował czegoś, co choć na chwilę oderwie go od natrętnych myśli o konsekwencjach jego czynu, który będzie musiał być zaraz dokonany. W którą stronę ma iść? Wypuścił powietrze z płuc i wziął ponowny wdech. Postanowił zaryzykować.

– A co byś mi zaproponowała za to, że powiem ci, gdzie jest pomnik cesarzowej Achai? Ten naturalnej wielkości – dodał kpiąco.

– Jest tutaj – odparła. – Nawet jeśli nie na wierzchu, to przecież rozbierzemy tę świątynię na drobne kawałki i znajdziemy.

– Nie. – Zaprzeczył ruchem głowy. – Pomnika tu nie ma.

Zerknął na ślepcę skulonego pod ścianą. Do tej pory rozmawiał z Wyszyńską po polsku, bo tak było jej łatwiej. Teraz, żeby mógł go zrozumieć podróżnik, przeszedł na miejscowy język.

– Widziałeś pomnik cesarzowej Achai? – zapytał tamtego.

– Tak, panie.

– Tu go nie ma, prawda?

– Prawda.

Z satysfakcją obserwował, jak brwi Wyszyńskiej unoszą się ze zdziwienia. I znowu złapał to spojrzenie. Jakby... jakby pełne podziwu. Co teraz powinien zrobić?

Ślepy podróżnik zebrał się na odwagę.

– Panie... – Nie bardzo wiedział, w którym kierunku skierować głowę, żeby mówić wprost do Tomaszewskiego. – Panie, a kiedy rozmawiałeś długo, to mówiłeś w jakimś dziwnym języku. – Był wyraźnie zainteresowany. – Co to za język?

Kai zlitowała się nad nieszczęśnikiem i wyjaśniła:

– Oni rozmawiali po polsku. Są ludźmi, którzy przybyli tu na żelaznych okrętach. To Polacy i rozmawiali po polsku.

– Ach! – Ślepiec rozpromienił się nagle. – Ludzie z żelaznych okrętów! Teraz wiem. U nas też już są tacy.

Tomaszewski zerknął na niego zdziwiony.

– U was? Przecież ty przybyłeś z innego kontynentu.

– Jesteście i u nas, panie. Ja tylko nie wiedziałem, że się nazywacie Polacy. Ja nie znam waszego języka, ale – rzucił z dumą – nauczyłem się kilku zdań po polsku.

– Tak? To powiedz coś.

Podróżnik podniósł się, chyba po to tylko, żeby wyglądać bardziej dostojnie.

– No to powiem po polsku. – Przełknął ślinę, przygotowując krtań. – *Good mornig, sir. It is very nice to see you in good health today.*

Jakby bomba uderzyła i wybuchła na samym środku pomieszczenia. Gdyby piorun strzelił w każdego z zebranych tu ludzi, nie spowodowałby takiego szoku. Tomaszewski i Wyszyńska dosłownie skamienieli. Wydawało się, że zapomnieli nawet o oddychaniu. Sekundy wlokły się w absolutnej ciszy. Jedna po drugiej. Upiornie powoli.

A potem Wyszyńska zerwała się na równe nogi i zaczęła wyć, przyciskając zwinięte pięści do twarzy.

– Hurra! Ty nie masz już wyjścia! – krzyczała. – Ty nie masz już dwóch możliwości! – W amoku doskoczyła do ołtarza i wyszarpnęła zapalnik z kostki materiału wybuchowego. Wyszarpnęła swój bagnet i obcięła oba kable, sam zapalnik odrzucając gdzieś daleko. – Polska nie ma już monopolu na tę półkulę! Amerykanie albo Angole też już tu są! – Szarpała sznurki, którymi Mielczarek przymocował ładunki do ołtarza, przecinała je bagnetem, a te kostki trotylu, które upadły na podłogę, odkopywała nogą jak najdalej.

– Jak... – Tomaszewski nie mógł zebrać myśli. – Jak to możliwe?

– Nieważne, jak możliwe! – wrzeszczała szczęśliwa Wyszyńska, pozbywając się ostatnich ładunków. – Ty już nie masz wyboru! Musisz być ze mną, jeśli chcesz dobrze dla swojego kraju.

Odrzuciła niepotrzebny już bagnet, nie patrząc, gdzie polecą. Ze swojej torby wyjęła spory pakunek. Tomaszewski wiedział, co tam miała. Skrawki wzorzystej tkaniny, kolekcjonowane w różnych krainach i w różnych czasach. Drżącymi rękami układała je na powierzchni ołtarza, usiłując przypasować jeden do drugiego. Coś jej się udawało, bo na gładkiej dotąd



powierzchni ołtarza ukazał się jeszcze jeden skrawek, którego przedtem na pewno tam nie było. Ach, to ten, który położył tu Osiatyński. Powoli poszczególne części spajały się ze sobą. Robiły się sztywne i jednolite, bez żadnych zmarszczek. Jakby nigdy nie zostały podzielone. Kilku fragmentów jeszcze brakowało, ale widać było, że maszyna zaczyna działać. Cała tkanina bowiem w jednej chwili wtopiła się w powierzchnię ołtarza. Jego blat znowu stał się ciemny i jednolity jak przedtem.

– Działa! – krzyczała Wyszyńska w ekscytacji. – To działa!

Rękawem kurtki starła pot zalewający jej oczy.

– Kurde balans! Przez to wszystko chyba przeszła mi grypa!

Tomaszewski schylił się, podnosząc z podłogi swój notes. Cierpliwie przewracał kartki, ciekawy, jakie nazwiska pani inżynier zanotowała w pierwszej kolejności. Doszedł do pustych kartek i niczego nie było.

– Gdzie są te nazwiska, które zapisałaś?

Zerknęła na niego nieprzytomnie.

– Niczego nie zapisałam.

– Przecież widziałem, że coś skrobiesz.

– Udawałam. Tak naprawdę przeglądałam twoje notatki.

Co za jędrza przekłeta! Podszedł do niej, ale nie zdążył niczego powiedzieć.

– Kto tak krzyczał? – Do sali wpadł Siwecki z jakimś tatarskim zwiadowcą. – Co tu się stało?

– Nic, nic. Rozstrzygaliśmy z panią inżynier, jakie będą dalsze losy świata.

– I w tym celu musiałeś oblać ją wrzątkiem? – Siwecki wskazał czerwoną, mokruteńką twarz Wyszyńskiej. – Przecież ona zaraz zawału dostanie.

– Nic się nie stało – powiedziała uspokajająco. – Dzięki terapii doktora Tomaszewskiego wypociłam chyba tę grypę.

Tatar, korzystając z chwili ciszy, przekazał meldunek od Michałowicza. Warty wystawione, teren zabezpieczony, łączność z krążownikiem zaraz zostanie ustanowiona.

– No to świetnie. – Tomaszewski przyjrzał mu się z uwagą. – A czemu jesteś taki zmieszany?

Żołnierz nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć.

– Mmm... po drodze tutaj widziałem takiego młodego człowieka w czarnym płaszczu.

– I co?

– On przykładął rękę do śniegu i w tym miejscu zaczynały rosnać kwiaty.

Tomaszewski spojrział zdziwiony, ale Siwecki machnął lekceważąco ręką.

– A to nic nie jest – powiedział. – Też widziałem. Kręci się tu jakiś czarownik naćpany po dziurki w nosie.

Wyszyńska oparła się o ołtarz. A potem na nim usiadła. Nie wyglądała na zbyt przytomną.

– Działa. Działa... – szeptała do siebie.

Tomaszewski podszedł do niej i podał własną chustę, którą dotąd miał zawiązaną na szyi. Przyjęła z wdzięcznością, przykładając do rozpalonej twarzy.

– Lepiej?

Spojrzała na Tomaszewskiego niepewna, co ma na myśli. Stan jej zdrowia czy fakt, że jacyś Anglosasi wylądowali na tej półkuli, dramatycznie zmieniając wszystkie układy. Zresztą to mało powiedziane. Zmieniając dalsze losy świata – to byłoby lepsze określenie.

– Z obu powodów mi lepiej – powiedziała po chwili namysłu. – I mam jeszcze trzeci powód do radości.

– Jaki?

– Fakt, że jestem najbardziej skuteczną dupą w całej Galaktyce.

– To prawda, choć pomógł ci przypadek, że stanęło na twoim. Niemniej Osiatyński byłby z ciebie dumny. Szkoda, że sam nie mógł dożyć.

Uniosła brwi w wyrazie zdziwienia.

– A kto ci powiedział, że Osiatyński nie żyje?

Teraz z kolei on uniosł brwi.

– Ludzie nie żyją tak długo. Musiałby mieć lat...

Przerwała mu, z czułością klepiąc ołtarz, na którym siedziała.

– W tym sensie masz rację. Pewnie gdzieś w tej świątyni jest nawet jego grób. Bo to facet, który potrafił zdobyć szacunek nawet tych dzikusów.

– Ach, zapomniałem. Przecież przeniósł się na Ziemię.

– Tam też umarł. – Uśmiechnęła się łobuzersko. – To znaczy jego ciało. Ale to urządzenie – spojrzęła na ołtarz prawie z czułością – to nie jest taka

zwykła technologia, o jakiej ty czy ja możemy mieć pojęcie. To technologia Bogów.

– Więc?

Odpowiedziała mu tajemniczym uśmiechem.

– Odkąd tu jestem, czasami się zastanawiam, czy dzięki takim maszynom nie żyją wśród nas istoty, które narodziły się przed tysiącami lat.

Długo się zastanawiał, co powiedzieć. Potem zrezygnował z prób, zamyślony nad tym, co usłyszał. A jeszcze po chwili odwołano go, bo łącznościowcy umocowali na dachu odpowiednią antenę i bezpośrednia łączność z krążownikiem została ustanowiona. Dowództwo domagało się raportu o wynikach rajdu swojego desantu.

Korzystając z tego, że wokół pani inżynier nikogo nie było, podeszła do niej Kai.

– Musimy bardzo poważnie porozmawiać – wysyczała. – Ale nie o historii świata, Bogach ani istocie bytu.

Wyszyńska spojrzała na czarownicę z mieszaniną lekkiego strachu i podejrzliwości.

– Chcesz porozmawiać o sprawach męsko–damskich?

– Nie! O sprawach babsko–babskich! Między nami!

– Ale... Nie jestem w formie. Czy obędzie się bez drapania pazurami po twarzy i rwania włosów?

– To zależy od twoich odpowiedzi! – warknęła Kai.



Oddział partyzantów zatrzymał się na szczycie wzgórza. Ludzie nie byli jakoś szczególnie zmęczeni całym dniem. Teraz jednak dyszeli ciężko. Ostatnie paręset kroków biegli bowiem pod górę. Nie, nikt ich nie atakował. Nie było już żadnych posterunków, żadnych fortów ani faktorii do zdobycia. To pasmo wzgórz było już ostatnie.

– Tu kończy się prowincja Kong. – Kadir nie był zdyszany. Doszedł do tego miejsca wcześniej, razem ze zwiadem. – Dalej cesarstwo.

Shen popatrzyła na ośnieżone szczyty gór przed nią. Cesarstwo.

– Tak, tak – powiedział rusznikarz. – Tam jest największy mocarz tego świata, jeśli nie liczyć przybyszów zza gór. Wyobraź sobie to, co jest przed

nami. Te wszystkie pasma górskie, lasy, morza i oceany, olbrzymie połacie obszarów rolniczych i pustynie. Jeziora, rzeki i wielkie wodospady. Wsie, osady, miasteczka i olbrzymie aglomeracje, jak choćby stolica czy Negger Bank. Wyobraź sobie to całe mrowie ludzi, to nieprawdopodobne wręcz bogactwo, niewyobrażalne zasoby, armie, których żołnierzy nie sposób przeliczyć... To właśnie jest cesarstwo. – Kadir odchrząknął cicho. – Wrocie – dodał.

Jakby dla podkreślenia teatru odwrócił się i popatrzył na to, co chwilę wcześniej miał za plecami.

– A to jest zbuntowana prowincja Kong. Mała, zasypana śniegiem, uboga i w bogactwa, i w ludzi. Za to wolna.

– Do czasu, aż śniegi stopnieją i cesarzowa każe tu pozamiatać, chciałeś powiedzieć?

Rozłożył ręce w geście bezradności.

– To twoje słowa. – Kaszlnął, chcąc udramatyzować pauzę. – Jakże słuszne.

Wzruszyła ramionami.

– A nie przyszło ci do głowy, że polityk ze mnie po prostu kiepski?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– No to ci się przyznam do czegoś. Coś ci tam kiedyś mówiłam, że powinniśmy się stać języczkiem u wagi między imperium a Polakami, ale wiesz...

– Wiem, a przynajmniej się domyślałam – powiedział.

Tak ją tym zaskoczył, że zapomniała języka w gębie. Potem uśmiechnęła się do niego. Bogowie, ile lat ich różniło? Nieważne. I pomyślała znowu z całkowitą, niezachwianą pewnością, że znalazła mężczyznę swojego życia. I tym mężczyzną jest właśnie Kadir. I absolutnie nieważna jest różnica wieku. To był on.

Nie bacząc, że znajdują się na oczach wszystkich, zrobiła krok i przytuliła się do niego. Srał na to, co dowódca powinien, a czego nie powinien.

Kadir objął Shen ramieniem.

– Ja się po prostu wkurzyłam – wyjaśniała szeptem. – Po prostu krew mnie zalała na tę niesprawiedliwość, na to, jak mnie potraktowali i w ogóle jak się wszyscy zachowują. Shen, zrób to, Shen, zrób tamto. Ale tylko do wyznaczonej granicy. No to się wkurwiłam! Chcecie gniewu ludu? No to

go zobaczycie! No to go zobaczycie w całej okazałości. A teraz... – zacięła się na moment. – A teraz nie wiem, czy zrobiłam dobrze.

– Dobrze czy niedobrze, nie nam rozstrzygać. A twój gniew rozumiem.

– Naprawdę?

– Tak.

– A czy w świecie skurwysynów sama nie stałam się kurwą?

Wzruszył ramionami.

– Obudziłaś demony, Shen. A one pokażą, co to wypalanie ran żelazem. I jak zwykle nie oberwą winni, tylko ci, co są pod ręką. Jednak trzeba sobie zadać pytanie: czy w ogóle gdziekolwiek na świecie są ci naprawdę winni? A ja twój gniew rozumiem. Naprawdę.

Podniosła głowę, chcąc popatrzeć mu w oczy.

– Ale to będzie... – nie dokończyła.

– Będzie, będzie. – Potwierdził ruchem głowy.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale przerwał mu okrzyk Nanti, która biegła w ich stronę coraz bardziej zasapana.

– Przestańcie się ścisnąć. – Kiedy zatrzymała się obok nich, długo nie mogła złapać oddechu. – Mam dwa meldunki.

– Aż takie ważne, żeby przerywać kontemplowanie pięknych widoków? – zapytał Kadir.

– To się teraz „kontemplowanie” nazywa? – Była sierżant piechoty chyba nie zrozumiała do końca.

Shen straciła cierpliwość.

– Co jest w tych meldunkach?

– Właśnie przybył kurier. Pierwszy jest od Sharri. Polacy na okręcie podwodnym zaczęli cenzurować meldunki od Nuk.

– O? – Shen potrząsnęła głową. – A skąd nagle Sharri na to wpadła?

– Bo poprzedni meldunek przekazany przez Duon kończy się słowami: „Stało się coś niebywałego, szczegóły w następnym przekazie”. A dzisiaj pisze, że Polacy umacniają się w świątyni razem z pułkiem z Kong i ustalają sposób dostarczenia zaopatrzenia. Wszystko wskazuje na to, że oryginalny meldunek zaczynał się od czegoś naprawdę ważnego, ale ktoś to wyciął i teraz zaczyna się dosłownie w pół słowa.

Shen zerknęła na Kadira. Ten skrzywił się lekko.

– Cenzura u Polaków? – Jego twarz wyrażała powątpiewanie. – No chyba że tam rzeczywiście zdarzyło się coś absolutnie przełomowego.

Dowiemy się niebawem.

– Jak?

– Jeśli dowiedzieli się tam o czymś niebywałym i nie chcą, żeby się rozniosło, to nie wypuszczą ze świątyni dziewczyn z pułku. Jeśli tam stało się coś naprawdę ważnego, to pułk utkwi w świątyni na długo.

Shen zamyśliła się i stała, powoli masując sobie twarz. No tak, miał rację. Im dłużej nie będzie wiadomości, tym większa tajemnica. A kontakt z Nuk trzeba uznać za spalony. Co jest grane? Co oni tam odkryli albo o czym się dowiedzieli?

– A drugi meldunek? – zapytała.

Nanti przełknęła ślinę.

– Patrol sprawdzający wsie wzdłuż linii lasów znalazł w głuszy jednego Polaka.

– Z wojsk lądowych czy z marynarki?

– Chyba bez munduru.

– No ale coś przecież mówił?

– Może i mówił. Na patrolu sami świeżuteńcy rekruci. Nikt tam słowa po polsku nie rozumie. A on mało przytomny. – Nanti wzruszyła ramionami. – W ciężkim stanie. Zanieśli go do wsi, do wsiowego czarownika, a ten dopiero kazał ściągnąć medyka z najbliższego miasteczka. A medyk zakazał, żeby go transportować do polskiej bazy na wybrzeżu. Może umrzeć w drodze. Zresztą i tak to wszystko przerasta tę ciemną babę, dowódcę patrolu.

Shen przytaknęła energicznie.

– Dobra, jedźmy tam. Tu, na granicy, i tak nie mamy nic do roboty.

– I nikt nie próbował się dogadać z tym Polakiem? Choćby gestami?

– Był tam jakiś kupiec, co trochę zna mieszaną gwarę. – Nanti rozłożyła ręce. – Ale chory niezbyt przytomny. Podobno powtarza jedno słowo. „Gradient”, „Gradient”.

Shen spojrzała na Kadira. Ten wzruszył ramionami. Obojgu nic to słowo nie mówiło.

– Coś jeszcze?

Nanti zmieszała się nagle. Opuściła wzrok i przygryzła wargi, jakby bała się albo wstydziła tego, co ma przekazać. Potem zebrała się w sobie.

– Może kupiec nie zrozumiał dobrze. Może coś przekręcił. Ale... – zawiesiła głos.

- Ale co?
- Ten Polak mówił, że był w piekle.

**Koniec tomu trzeciego**

COPYRIGHT © BY Andrzej Ziemiański  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2014

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-921-2

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT ORAZ GRAFIKA NA OKŁADCE Piotr Cieśliński

ILUSTRACJE Dominik Broniek

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ Dariusz Nowakowski

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl), e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl)



fabryka słów  
W SŁOWA W ŚWIETLE

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)



# ANDRZEJ ZIEMIANSKI

Achaja już ponad 10 lat udowadnia, że jest jedyną słuszną cesarzową w świecie fantastyki.

*Andrzej Ziemiański ma niezwykle przystępny, lekki styl, a jego teksty pochłania się w tempie ekspresowym. Jego znakiem firmowym jest też doskonała znajomość realiów wojskowych, wszelakich militariów, fachowych nazw, taktyk i kreowanie barwnych opisów tychże.*

*Paweł Kukliński – lubimyczytać.pl*

– Czy wiesz, że używanie pocisków, które eksplodują po uderzeniu w ciało, jest zakazane? – nie wytrzymał. – Dlaczego tniesz pociski na krzyż?!

Mielczarek powoli podniósł głowę znad imadła.

– Ano tnę tak, bo jestem człowiekiem wierzącym, panie komandorze – odparł spokojnie. – W Boga wierzę, a krzyż to jego znak właśnie.

## PODNIK CESARZOWEJ ACHAJ TOM III



fabrykaslow.com.pl



Patroni medialni

